

**NIEPODLEGŁOŚĆ**  
CZASOPISMO POŚWIĘCONE NAJNOWSZYM  
DZIEJOM POLSKI

TOM LIX  
(XXXIX PO WZNOWIENIU)

WYDAJE  
INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO  
POŚWIĘCONY BADANIU NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

WARSZAWA 2010

REDAKCJA

Andrzej Przewoźnik, Arkadiusz Adamczyk, Marek Sioma

KOMITET REDAKCYJNY

Anna Cienciąła, Adolf Juzwenko, Zbigniew S. Kowalski,  
John Micgiel, Andrzej Suchcitz, Włodzimierz Suleja,  
Piotr Wandycz, Zbigniew Wójcik

ADRES REDAKCJI

Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa  
ul. Wspólna 2, 00-926 Warszawa  
e-mail: [ijp1918@wp.pl](mailto:ijp1918@wp.pl)

© Copyright by Instytut Józefa Piłsudskiego  
Poświęcony Badaniu Najnowszej Historii Polski w Warszawie

Publikacja wydana we współpracy ze Stowarzyszeniem Polskich  
Komatantów w Londynie oraz Polonia Aid Foundation Trust

ISSN 022-0272-0280

DYSTRYBUCJA

Wydawnictwo LTW  
ul. Sawickiej 9, Dziekanów Leśny  
05-092 Łomianki  
tel./faks (22) 751 25 18  
e-mail: [wyd@ltw.com.pl](mailto:wyd@ltw.com.pl)



**ANDRZEJ PRZEWOŹNIK  
(13 V 1963 – 10 IV 2010)  
STANISŁAW MIKKE  
(11 IX 1947 – 10 IV 2010)**

Na Ich pogrzebach powiedziano już wiele..., że byli wspaniałymi ludźmi..., że zginęli na służbie..., że trudno Ich będzie zastąpić..., że mieli wiele planów... Być może dlatego użyto tak wiele słów, by podjąć próbę zagłuszenia okrutnej prawdy, że... odeszli.

Pan Andrzej był z nami od początku. Od początku też dzierżył ster. Wówczas, gdy powstawało Towarzystwo Przyjaciół Instytutów Józefa Piłsudskiego za Granicą i później gdy przekształciło się w Instytut Józefa Piłsudskiego w Warszawie..., gdy tworzyła się nowa redakcja „Niepodległości”, a następnie wokół pisma z 80-letnią już tradycją powstała seria wydawnicza »Biblioteka „Niepodległości”«..., gdy

Instytut angażował się w obchody rocznic, w organizację konferencji naukowych poświęconych osobie Józefa Piłsudskiego lub dziejom stworzonej przez Marszałka formacji ideowej... Nawet, gdy nasz „Naczelnny” zachowywał pozory spokoju, kipiał energią i pomysłami.

Pan Stanisław dołączył później. W Zarządzie Instytutu Józefa Piłsudskiego zastąpił zmarłego mecenasa Jerzego Biejata. Na instytutowych zebraniach siadywał lekko z boku, wydawał się wycofany. Nigdy też pierwszy nie zabierał głosu, a zapytany odpowiadał rzeczowo, sucho, popadając w ton, właściwy raczej sali sądowej. Serdecznością emanował natomiast po „wyczerpaniu porządku obrad”. Ożywał się natychmiast przy jednym ze stałych, zwyczajowo ostatnich, punktów zebrań, tj. przy zapoznawaniu Zarządu z zawartością kolejnego tomu „Niepodległości”. Wychodziła z Niego wówczas dusza redaktora (wszak był redaktorem naczelnym „Palestry” – oficjalnego organu polskiej advokatury). Doradzał..., podpowiadał... Mimo kierowanych doń propozycji wzbraniał się przed dołączeniem do składu redakcji. Twierdził, że za mało wie o historii, że w tej materii jest amatorem...

10 kwietnia 2010 r. światu ponownie przypomniany został Katyń. I Pan Andrzej i Pan Stanisław od wielu lat stali w pierwszym szeregu tych, którzy usilnie dążyli, aby świat poznał prawdę o mogiłach w katyńskim lesie. Aby ofiara polskich żołnierzy przetrwała w naszej pamięci. Tamtego dnia Pan Stanisław miał ze sobą w samolocie pierwszy egzemplarz swej książki pt. *Śpij Mężny...* Egzemplarz ten – podobnie jak wieniec polskich kwiatów od Prezydenta RP – zdołał przetrwać katastrofę...

Mamy nadzieję, że równie trwała - jak książka wydobyta z wraku prezydenckiego samolotu – okaże się pamięć o naszym Naczelnym oraz o jakże życzliwym nam Adwokacie Pamięci. Zwłaszcza wśród czytelników i przyjaciół „Niepodległości”.

*Redakcja*

# **ROZPRAWY**



PIOTR KILAŃCZYK

Łódź

### **JULIAN STACHIEWICZ. SZEFSZTABU DOWÓDZTWA GŁÓWNEGO W POWSTANIU WIELKOPOLSKIM**

Dnia 25 grudnia 1918 r. na pokładzie brytyjskiego okrętu wojennego HMS „Concord” przybył do Gdańska wraz z aliancką misją wojskową Ignacy Jan Paderewski. Wielkiego artystę powitał w imieniu Naczelnej Rady Ludowej (NRL) Wojciech Korfanty i zaprosił jednocześnie do odwiedzenia Poznania<sup>1</sup>. Mistrz zaproszenie przyjął, a nikt wówczas nie przewidywał konsekwencji jego przybycia do Poznania. Decyzja ta odcisnęła również swe piętno na losach późniejszego generała, Juliana Stachewicza.

Gwałtowna erupcja uczuć patriotycznych wywołana przybyciem wielkiego Wirtuoza i patrioty szybko przerodziła się w powstanie przeciw panowaniu niemieckiemu na terenach zaboru pruskiego. Wobec tego władze NRL nie chcąc pozostawać z boku toczących się wydarzeń, postanowiły reagować i pokierować żywiołowo rozwijającym się ruchem, za co odpowiedzialność ponosił Wojciech Korfanty, któremu powierzono sprawy wojskowe w NRL. Jeszcze przed wybuchem walk prowadzono ożywioną wymianę informacji wojskowych między Poznaniem a Warszawą starając się uzyskać pomoc ze stolicy. Przede wszystkim chodziło o wsparcie w postaci kadry oficerskiej, choć równie dotkliwy był brak charyzmatycznego dowódcy, który posiadałby odpowiednie przygotowanie taktyczne i operacyjne. W Poznaniu zdawano sobie z tego sprawę, a Korfanty podczas jednej ze swych wizyt w Warszawie zaproponował stanowisko głównodowodzącego wojsk powstańczych płk Waławowi Przeździeckiemu. Ten propozycji nie przyjął, tłumacząc się niezajomością miejscowych warunków<sup>2</sup>. Czyniono także starania, aby ściągnąć gen. Eugeniusza de Henning Michaelisa.

<sup>1</sup> G. Łukomski, B. Polak, *Powstanie Wielkopolskie 1918-1919. Działania bojowe-aspekty polityczne-kalendarium*, Koszalin-Warszawa 1995, s. 45.

<sup>2</sup> Wyjaśnienie Przeździeckiego oparte są na relacji tegoż, spisanej 27 XI 1929 r. przez Stanisława Biegańskiego. Zob. *ibidem*, s. 39.

Gwałtowny rozwój wydarzeń na froncie wielkopolskim spowodował iż porzucono negocjacje z Warszawą i podjęto próbę znalezienia odpowiedniej osoby w Wielkopolsce. Wybór padł na przebywającego właśnie w Poznaniu kpt. Stanisława Taczaka, któremu 28 grudnia Korfanty zaproponował stanowisko tymczasowego głównodowodzącego powstania<sup>3</sup>. Kapitan propozycję przyjął. Wkrótce w gronie najbliższych współpracowników nowego dowódcy znalazł się Julian Stachiewicz.

Nowy przydział służbowy Stachiewicza był zaskoczeniem, gdyż od połowy listopada 1918 r. przebywał on na leczeniu w Zakopanem lecząc przewlekłe zapalenie płuc. W liście do żony pisał, aby wystarała się o mieszkanie, „tylko koniecznie z kaloryferami i łazienką”<sup>4</sup>, co może świadczyć, iż problemy zdrowotne były na tyle poważne, że wymagały nie tylko długotrwałej kuracji, ale i zmiany trybu życia. Niewątpliwie służba wojskowa tego nie gwarantowała. Według relacji syna Juliana Stachiewicza, Mieczysława, ojciec zataił wówczas przed Józefem Piłsudskim informację, że nie zakończył leczenia<sup>5</sup>, co skutkowało nowym przydziałem służbowym od 1 stycznia 1919 r. na stanowisko szefa sztabu kpt. Taczaka. Stachiewicz dał tym świadectwo wielkiego poświęcenia, znamionujące poczucie obowiązku, ale i braku dbałości o własne zdrowie. Można spekulować, że stwierdzenie prawdy o nie wyleczonej chorobie pozbawiłoby go funkcji szefa sztabu wojsk powstańczych, ale Stachiewicz zachował się inaczej. Brak źródeł nie pozwala na definitywne zrozumienie postępowania, ale wydaje się, iż poczucie obowiązku i konieczność walki o kolebkę polskości przeważyły szalę decyzji. Należy się również zastanowić nad kwestią istotniejszą, a mianowicie, dlaczego powierzono mu tak specyficzne zadanie.

W zakresie stanowiska szefa sztabu sprawa wydaje się oczywista. Stachiewicz, z wojskowego punktu widzenia, miał właściwe przygotowanie do pełnienia takiej funkcji. Świadczyć o tym mogły wcześniej pełnione funkcje sztabowe w I Brygadzie, szefostwo sztabu Komendy Głównej Polskiej Organizacji Wojskowej czy wreszcie odbyty w 1917 r. kurs Sztabu

---

<sup>3</sup> B. Polak, *General Stanisław Taczak 1874-1960*, Poznań 1988, s. 45.

<sup>4</sup> Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie, Kolekcja nr 49, teczka 8, dok.1.

<sup>5</sup> M. Stachiewicz, *Moje pierwsze czterdzieści lat. Wspomnienia*, Warszawa 2008, s. 17.



Generalnego przy Polskiej Sile Zbrojnej. Miał więc, jak na swój młody wiek (29 lat) odpowiednie przygotowanie teoretyczne i praktyczne do pełnienia funkcji sztabowych. Jednocześnie przełożony Stachiewicz, Stanisław Taczak, miał braki w przygotowaniu operacyjnym, gdyż karierę liniową zakończył zaledwie na szczeblu dowódcy batalionu. Kolejnym paradoksem był fakt, że Stachiewicz był podpułkownikiem (od 1.I.1919), a jego przełożony majorem (od 2.I.1919)<sup>6</sup>. Powstał dosyć specyficzny układ, w którym szefem sztabu był młody, ale doświadczony oficer młodszy stopniem; głównodowodzącym zaś starszy (44 lata) major bez odpowiedniego przygotowania do pełnienia tejże. Nie ujmuje ona jednak nic Taczakowi, który jak się okazało był dobrym dowódcą. Należy przy tym stwierdzić, że dysproporcje w przygotowaniu wojskowym jakie wystąpiły między wspomnianymi oficerami nie miały negatywnego wpływu na ich wzajemne relacje. Wręcz przeciwnie. Kontakty Taczaka i Stachiewicza były oparte na współpracy, ścisłym wzajemnym współdziałaniu, a nie na mentorskiej postawie dowódcy w stosunku do podwładnego. Trudno spekulować, czy takie zestawienie najważniejszych wojskowych postaci pierwszej fazy Powstania Wielkopolskiego było przypadkowe, ale niewątpliwie było ono wynikiem wielu okoliczności, zarówno miejscowych warunków, jak i decyzji Naczelnego Dowództwa w Warszawie.

Stanisław Taczak w swoich ankietach personalnych podkreślał, że za bezpośrednią „zgodą Naczelnika Państwa wybrany został na dowódcę powstania”<sup>7</sup>. Wydaje się, iż Piłsudski celowo przystał na tę kandydaturę. Można przypuszczać, że Komendant znał Taczaka, Wielkopolanina, znanego patriotę, niezaangażowanego w działalność polityczną, wreszcie zwolennika apolityczności armii<sup>8</sup>. Poglądy Taczaka dawały więc gwarancje, że będzie on na swoim stanowisku skupiał się przede wszystkim na sprawach wojskowych, a nie angażował się w bieżącą walkę polityczną. Był więc dla Piłsudskiego osobą

---

<sup>6</sup> B. Polak, *op. cit.*, s. 46.

<sup>7</sup> Cyt. za: *ibidem*.

<sup>8</sup> Pewne informacje na temat Stanisława Taczaka mogli Józefowi Piłsudskiemu przekazywać specjaliści wysłannicy i informatorzy Sztabu Generalnego i Naczelnego Dowództwa WP w tym Wincenty Wierzejewski, Mieczysław Paluch, Jerzy Hulewicz, Stanisław Łapiński, Ignacy Matuszewski.

odpowiednią. Komendant miał zapewne również informacje o nie najwyższych kwalifikacjach wojskowych Taczaka, i to prawdopodobnie z tego powodu wyznaczył mu do pomocy jednego z najzdolniejszych swoich oficerów sztabowych, Stachiewicza. Są to jedynie dywagacje, ale wydaje się, że nie bezzasadne.

O ile można dyskutować, czy Stachiewicz został wysłany do Poznania tylko ze względu na swoje wysokie kwalifikacje wojskowe, o tyle nie sposób podważyć przekonania, że został tam skierowany, ponieważ Piłsudski chciał mieć zaufanego człowieka w centrum gwałtownie rozwijających się wydarzeń. Nikt w tym czasie, szczególnie w Warszawie, nie znał rzeczywistej sytuacji wojskowej w Wielkopolsce. Wiele działań przeciw wojskom niemieckim prowadziły samorzutnie organizowane oddziały miejscowej ludności. Nie znane były również siły, jakimi dysponowali powstańcy. Brakowało struktur organizacyjnych, administracji wojskowej, wreszcie podstawowych dyrektyw taktycznych dla walczących oddziałów. Wielkopolska znajdowała się wprawdzie nadal pod panowaniem niemieckim, ale trwałość tej zależności nie była pewna. Tamtejsze społeczeństwo nie chciało czekać na rozstrzygnięcia, które przynieść miała konferencja pokojowa. Dużo bardziej przemawiała do wyobraźni „polityka faktów dokonanych”, niż gabinetowe ustalenia mocarstw. Nie może więc dziwić fakt, że w tak niepewnej sytuacji Piłsudski chciał wiedzieć, ale i mieć wpływ na wydarzenia rozgrywające się w Wielkopolsce.

Nie bez znaczenia jest również fakt, że ogólna sytuacja polityczna ziem zaboru pruskiego, wymagała przemyślanych działań. Obawa przed zaostreniem stosunków z Niemcami, które łatwo mogły przerodzić się w wojnę odradzającego się państwa polskiego z Rzeszą Niemiecką, nakazywała tonowanie gwałtownych wystąpień miejscowej ludności. Zarówno więc NRL, jak i władze w Warszawie, zgodne były w ocenach, że politykę należało prowadzić nader ostrożnie, co miało zapewnić skierowanie do Wielkopolski odpowiednich osób. Cechy charakterologiczne i doświadczenie Stachiewicza wskazywały, że będzie umiał on realizować oczekiwania Sztabu Generalnego, co w szczegółowych rozwiązaniach sprowadzało się głównie do prowadzenia prac organizacyjnych, szkoleniowych, a nie typowo bojowych.

Jak podaje Jerzy Hulewicz, który wraz ze Stachiewiczem przybył

do Poznania 3 stycznia 1919 r., sytuację wojskową zastali tam dosyć skomplikowaną<sup>9</sup>. Nowe dowództwo wojsk powstańczych stanęło bowiem przed ogromem spraw wymagających natychmiastowego załatwienia. Toteż na początku przystąpiono do opracowania etatów Dowództwa Głównego (DG) tak, aby można było w uporządkowany i systematyczny sposób, rozpocząć zasadniczą pracę wojskową. Zgodnie z tymi ustaleniami DG podlegało bezpośrednio NRL. Funkcję szefa sztabu ppłk Julian Stachewicz przejął oficjalnie już pierwszego dnia pobytu, tj. 3 stycznia.

Dowództwo Główne musiało zmierzyć się również z decentralizacją ośrodków dowódczych sił powstańczych. W samym Poznaniu istniało ich bowiem kilka: Komenda Służby Straży i Bezpieczeństwa, Komenda Miasta, Komenda Straży Ludowej. Z biegiem czasu, dzięki wsparciu NRL, udało się podporządkować DG kolejne organizacje wojskowe, tam działające. Było to proces skomplikowany, gdyż praktycznie do 8 stycznia DG, nie chcąc prowokować swoim istnieniem władz niemieckich, działało niemal w konspiracji<sup>10</sup>. Nie publikowano obwieszczeń, instrukcji, ulotek oraz drukowanych rozkazów<sup>11</sup>. Oficerowie tegoż, aby nie zwracać na siebie uwagi, chodzili wyłącznie w ubraniach cywilnych. Czas ich pracy w pierwszych dniach stycznia nie był określony. Wszyscy kwaterowali w mieście i o świcie stawiali się do pracy w hotelu „Royal”, przy ul. Święty Marcin 38, gdzie na II i III piętrze mieściła się siedziba Dowództwa<sup>12</sup>. Pracowano bardzo intensywnie, codziennie odbywano odprawy z dowódcą, szefem sztabu i kierownikami wydziałów. Następnie Wydział IIa, w oparciu o materiały dostarczane z Wydziałów i Biur DG, po uprzednim zapoznaniu się szefa sztabu, przygotowywał rozkazy dzienne. Oprócz tego opracowywano szereg rozkazów wewnętrznych i rozkazów wysyłanych przez wydziały w teren<sup>13</sup>. W niedługim czasie cały zespół

---

<sup>9</sup> *Powstanie Wielkopolskie 1918-1919 r. Wybór źródeł*, wybór i oprac. A. Czubiński, B. Polak, Poznań 1983, s. 147.

<sup>10</sup> Konspirację tę można było przerwać, gdy 8 stycznia Komisariat NRL oficjalnie zawiadomił rząd pruski o przejęciu władzy w prowincji. Zob. B. Polak, *op. cit.*, s. 55.

<sup>11</sup> G. Łukomski, B. Polak, *op. cit.*, s. 59.

<sup>12</sup> B. Polak, *op. cit.*, s. 46.

<sup>13</sup> *Ibidem*, s. 51.

oficerów sztabu funkcjonował dobrze. Bogusław Polak skonstatował: „dyscyplina, ofiarność i wzajemne zrozumienie – to tylko niektóre z cech pracy sztabu DG. Nie było tam, żadnych antagonizmów dzielnicowych, współpraca była harmonijna i efektywna”<sup>14</sup>.

Według Antoniego Czubińskiego, prace sztabowe DG w Poznaniu ruszyły z miejsca właśnie wraz z przybyciem do Poznania ppłk Stachiewicz. Trudno ustalić, czy rzeczywiście miał on tak przemożny wpływ na funkcjonowanie sztabu, czy też sprawne funkcjonowanie było konsekwencją „dotarcia się” w ciągu kilku dni całego zespołu. Stachiewicz natychmiast po objęciu swych obowiązków skupił się na sprawach organizacyjnych, co zresztą było zgodne z oczekiwaniami NRL, jak i wojskowych władz w Warszawie. Rozpoczął więc od uporządkowania struktur wojsk powstańczych. 7 stycznia w sztabie DG opracowano podział obszaru Wielkopolski na siedem (następnie 9) okręgów wojskowych, których dowódcy mieli sprawować władzę zwierzchnią nad wszystkimi oddziałami, operującymi w danym rejonie. Oprócz struktur terenowych, stworzyć należało konkretne, regularne formacje poszczególnych broni. W kolejnych rozkazach DG ogłaszano zasady organizacji następujących jednostek: piechoty, żandarmerii, artylerii, oddziałów samochodowych i telefonicznych, oczywiście formując początkowo niższe jednostki taktyczne<sup>15</sup>.

Należy ponadto wspomnieć o pracy Stachiewicza jako koordynatora działań wojennych na froncie. Ppłk Stachiewicz przyjechał do Poznania w momencie, gdy trwały już walki, a więc w sytuacji, gdy nie było mowy o spokojnej pracy koncepcyjnej w zaciszu gabinetów. Wszystkie ustalenia musiały nie tylko uwzględniać bieżącą sytuację na froncie, ale nawet z biegiem czasu ją kreować. Paradoksalnie w pierwszych dniach po objęciu stanowiska w sztabie nie miał Stachiewicz wielkiego

---

<sup>14</sup> *Ibidem*, s. 50. Niewątpliwie właściwe warunki pracy w sztabie były po części również wynikiem, osobistych dobrych relacji między Stachiewiczem a Taczakiem. Ten ostatni wielokrotnie z wielkim szacunkiem i sympatią odnosił się do swojego szefa sztabu. Z drugiej strony, jak stwierdził B. Polak „Stachiewicz z naciskiem podkreślał swe służbowe podporządkowanie głównodowodzącemu. Wytrwale sekundował Taczakowi w codziennej, wyczerpującej pracy koncepcyjno-organizacyjnej”. Z czasem obaj zaprzyjaźnili się i pozostali w tych przyjacielskich stosunkach przez długie lata.

<sup>15</sup> *Powstanie Wielkopolskie 1918-1919. Wybór źródeł...*, s. 177-181.

wpływu na bieg wydarzeń na froncie. Powodem była, po części wspomniana wcześniej, kwestia kilku ośrodków rozkazodawczych, które skutecznie komplikowały sprawne prowadzenie skoordynowanych działań wojskowych. Ponadto oddziały powstańcze często nie miały podstawowego przygotowania taktycznego do prowadzenia działań zbrojnych. Właśnie z tego powodu wiele operacji było mało efektywnych. Nie obyło się więc bez typowej pracy u podstaw. 10 stycznia wydane zostały specjalne dyrektywy taktyczne, zawierające zbiór podstawowych przepisów bojowych, typowych dla każdej armii. Te specyficzne instrukcje prowadzenia walk, były niewątpliwie pomocne dla dowódców oddziałów powstańczych, którzy mimo wielkiego zaangażowania, poświęcenia i patriotyzmu, wykazywali się częstymi błędami w taktyce prowadzonych działań<sup>16</sup>.

Nie ograniczano się jednak do szkoleń oddziałów w terenie. Również w samym sztabie zaczęto opracowywać pierwsze cele taktyczno-operacyjne. Jednym z pierwszych było opanowanie w nocy z 5 na 6 stycznia niemieckiej stacji lotniczej na Ławicy. Operacja, zwieńczona sukcesem, została szczegółowo przygotowana w sekcji operacyjnej DG z udziałem Stachiewicza i Taczaka<sup>17</sup>. Przy minimalnych stratach (1 zabity i 3 rannych) powstańcy zajęli lotnisko i zdobyli dużą ilość sprzętu lotniczego. Z inspiracji Stachiewicza większość samolotów została jednak wywieziona do dyspozycji władz wojskowych w Warszawie, co zresztą stało się przyczyną konfliktu szefa sztabu z NRL<sup>18</sup>. Najbardziej jednak spektakularną operacją wojskową, w której przygotowaniu brał udział Stachiewicz, była bitwa o Szubin. Miasto stanowiło bowiem kluczowy punkt dla opanowania rejonów północno-wschodniej Wielkopolski, co zaważyło na prowadzeniu tam, już od pierwszych dni stycznia, zaciętych walki. Jednak brak właściwej koordynacji działań sprawiał, że powstańcy doznawali kolejnych porażek, otwierając tym drogę oddziałom niemieckim do zajęcia kolejnych miejscowości: Żnina, Łabiszyna i innych. Zła sytuacja na froncie północno-wschodnim skłoniła dowódcę tego odcinka, ppłk Kazimierza Grudzielskiego, do wysłania specjalnych emisariuszy

---

<sup>16</sup> B. Polak, *op. cit.*, s. 64.

<sup>17</sup> *Ibidem*, s. 68.

<sup>18</sup> A. Czubiński, *Powstanie Wielkopolskie 1918-1919. Geneza charakter znaczenie*, Poznań 1988, s. 267.

do Poznania, z misją uzyskania wsparcia dla przeprowadzenia kontr-oferensywy. Jeden z nich, ppor. Zygmunt Skórzewski, zdołał dotrzeć 8 stycznia do DG i przedstawić Stachiewiczowi sytuację na froncie. Otrzymał wówczas zapewnienie, iż szef sztabu uczyni wszystko, by pomóc ppłk Grudzielskiemu<sup>19</sup>. Jeszcze tego samego dnia rozpoczęto koncepcyjne przygotowania do operacji wojskowej w rejonie Szubina. Następnego przystąpiono do szczegółowego opracowywania planu działań, w tym rozkazów mobilizacyjnych dla oddziałów piechoty i kawalerii oraz dokonano wyboru głównodowodzącego akcją<sup>20</sup>. Ostateczny kształt rozkazowi mobilizacyjno-operacyjnemu nadał Stachiewicz, modyfikując nieco wcześniejszą wersję rtm. Bronisława Wzacnego<sup>21</sup>. Akcja przyniosła pełen sukces<sup>22</sup>. W wyniku działań powstańców zajęty został nie tylko sam Szubin, ale wyparto również Niemców ze Żnina i Łabiszyna, zajmując wkrótce niemal całą północno-wschodnią Wielkopolskę, opierając linię obrony na Noteci.

Na pozostałych frontach walczone ze zmiennym szczęściem. Dla biografii Stachiewicza ważne wydają się być wydarzenia, jakie rozgrywały się na froncie zachodnim. Tam bowiem, chyba najbardziej, powstańcy starali się rozszerzyć zdobycze terytorialne. 13 stycznia szef sztabu wydał jednak rozkaz, aby powstańcy w swych działaniach nie przekraczali rzeki Obry, miasta Kopanica i Kanału Obrzańskiego<sup>23</sup>. W związku z tą decyzją pojawiły się głosy wskazujące, że DG zaprzepaściło energię i zapał powstańców. Walczący gotowi byli w swym marszu na zachód zająć dużo większe obszary, niż te zakreślone rozkazami DG, a nawet wkroczyć na ziemie Rzeszy Niemieckiej, zajmując wschodnie tereny Brandenburgii. Czy jednak rzeczywiście Sztab DG zaprzepaścił wielką szansę rozszerzenia powstania, odbierając powstańcom możliwość zajęcia dużo większych terenów? Antoni Czubiński w swej pracy o Powstaniu Wielkopolskim, poddaje w wątpliwość sens takich działań. Jego zdaniem nie dostrzegano poważnych problemy z opanowaniem rejonów zamieszkałych przez duży odsetek

---

<sup>19</sup> W. Lewandowski, *Bój o Szubin dnia 11 stycznia 1919 r.*, Poznań 1936, s. 53.

<sup>20</sup> *Ibidem*, s. 58-60, 64.

<sup>21</sup> *Ibidem*, s. 235.

<sup>22</sup> W. Zdziabek, M. Pacholska, *Powstanie Wielkopolskie*, Poznań 2008, s. 51.

<sup>23</sup> A. Czubiński, *op. cit.*, s. 316.

ludności polskiej. Rejony wysunięte jeszcze bardziej na zachód poza linię wyznaczoną przez Sztab DG były już wyraźnie zdominowane przez ludność niemiecką, dającą silne oparcie wojskom Grenzschtzu. Rozciągnięcie działań powstańczych na te tereny oznaczałoby jedynie niepotrzebne rozciągnięcie frontu. Również na arenie międzynarodowej wywołałyby niekorzystne wrażenie, że powstańcy walczą nie w obronie ziem etnicznie polskich, lecz dokonują zaboru ziem niemieckich<sup>24</sup>. Należy wyraźnie stwierdzić, że decyzja Stachiewicza podyktowana była wyłącznie racjonalną oceną możliwości powstańców i w żadnym wypadku nie zmierzała do zaprzepaszczenia energii walczących.

Praca w Sztabie DG nabrała dla Stachiewicza nowego wymiaru z chwilą zmiany na stanowisku głównodowodzącego wojsk powstańczych. Już w momencie mianowania Taczaka głównodowodzącym wiadomym było, że pełnić on będzie swą funkcję do momentu przybycia do Poznania bardziej doświadczonego i wyższego stopniem oficera. Nastąpiło to 16 stycznia, gdy do stolicy Wielkopolski przybył gen. Józef Dowbor-Muśnicki.

Okoliczności sprowadzenia Dowbora-Muśnicki miały dziwny, acz charakterystyczny dla ówczesnych rozgrywek politycznych przebieg. Ponadto łączyły się bezpośrednio z osobą Stachiewicza. 1 stycznia NRL zdecydowała, że głównodowodzącym wojsk wielkopolskich zostanie Dowbor-Muśnicki. O wyborze poinformowano Piłsudskiego, który jednakże zwlekał z zawiadomieniem generała, kierując do Poznania Stachiewicza. Zdaniem Antoniego Czubińskiego, robił to po to, aby Stachiewicz zdążył „urządzić się” w Poznaniu, zanim przybędzie Dowbor ze swoim sztabem<sup>25</sup>. Komisariat NRL nie mogąc doczekać się przybycia Generała wysłał do niego dwa listy informacyjno-pognagające. Po ich otrzymaniu Dowbor-Muśnicki odbył 7 stycznia rozmowę w tej sprawie z Piłsudskim. W jej trakcie Komendant miał stwierdzić: „mianuję Pana komenderującym wojskami w Poznaniu, będzie Pan moją awangardą, w potrzebie podtrzymam. Radzę wziąć jako szefa sztabu mego oficera, nadzwyczaj zdolnego podpułkownika Juliana Stachiewicza”. Interlokutor przystał na sugestię i zaakceptował zaproponowanego mu szefa sztabu.

---

<sup>24</sup> *Ibidem*, s. 315-317.

<sup>25</sup> *Ibidem*, s. 326.

Znane są opinie jakoby to Piłsudski wysyłając Dowbora-Muśnickiego do Poznania, nie tylko pozbywał się groźnego konkurenta do stanowiska Wodza Naczelnego, ale także liczył, że uda się go w Wielkopolsce skompromitować jako wojskowego<sup>26</sup>. Wydaje się więc, że Stachiewicz, jako zaufany człowiek Piłsudskiego miał w tych planach odegrać pewną rolę. W ten sposób stał się uczestnikiem rozgrywki między Piłsudskim a Dowbor-Muśnickim, która czyniła go obiektem ataków, a jednocześnie była wielkim sprawdzianem lojalności względem Naczelnika Państwa<sup>27</sup>.

Niewątpliwie Stachiewicz wiedział o przybyciu nowego głównodowodzącego, ale też nie ulega wątpliwości, że pojawienie się Dowbora-Muśnickiego mogło przywołać nieprzyjemne wspomnienia dawnego zatargu, związanego z zamachem w Bobrujsku z maja 1918 r. *Ex post* Dowbor-Muśnicki twierdził, że nie skojarzył, że ów Stachiewicz rekomendowany przez Piłsudskiego był tym samym, który swego czasu występował jako zastępca skonfliktowanego z nim płk. Barthy<sup>28</sup>. Dlatego też konsternacja była zapewne obustronna.

Dowbor-Muśnicki na początku spotkania nie omieszkął przedstawić swojego stanowiska w kwestii warunków dalszej współpracy: „oświadczyłem, że nie należę do liczby tych generałów, którzy podpisują podsuwane im przez szefa sztabu papierki i słuchają bezapelacyjnie jego rad. Muszę zatem wiedzieć o wszystkim co się dzieje i kategorycznie zabraniam wysyłania jakichkolwiek meldunków, względnie wydawania rozporządzeń, bez mojej uprzedniej aprobaty. Zdaje się, że kwestie stosunku do siebie postawiłem jasno. Ponieważ nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, mogłem liczyć, że ppłk Stachiewicz przyjął do wykonania to, co mu powiedziałem”<sup>29</sup>. Choć jest to relacja jednostronna, można

---

<sup>26</sup> Józef Piłsudski o przyczynach upadku rządu J. Moraczewskiego, podał Z. Landau, „Kwartalnik Historyczny”, 1958, nr 4, s. 1153.

<sup>27</sup> Już opis pierwszego spotkania dostarcza ciekawych informacji o reakcji Stachiewicza na przybycie nowego dowódcy. Tak reakcję tę zapamiętał Józef Dowbor-Muśnicki: „Na pierwszy rzut oka zrobił [Stachiewicz – P.K.] nieokreślone wrażenie; zdziwiło mnie, że był jakby trochę zastraszony, czy zawstydzony; patrzył nieśmiało, niedowierzająco”. Zob. J. Dowbor-Muśnicki, *Wspomnienia*, Warszawa 2003, s. 233.

<sup>28</sup> Szerzej: *ibidem*, s. 369-370.

<sup>29</sup> *Ibidem*, s. 233.



jednak ze sporą dozą prawdopodobieństwa przyjąć, że spotkanie mogło mieć taki przebieg. W pewien sposób potwierdził to Stachiewicz w liście do Naczelnego Dowództwa w Warszawie stwierdzając: „General Józef Muśnicki objął tu dowództwo i postanowił zatrzymać mnie na szefostwie Sztabu, chociaż, jak mi to zresztą zupełnie szczerze powiedział, nie ma do mojej fachowości zaufania jako do »partyzanta legionowego«”<sup>30</sup>. Przyjmując za prawdziwy opis autorstwa Dowbora-Muśnickiego można się zastanawiać, czy Stachiewicz mógł zareagować inaczej? Wiedział przecież, że formalnie podlegał nowemu dowódcy, ale także, że miał niepisane zobowiązania względem Józefa Piłsudskiego. Kolejne dni i tygodnie pokazały, które z tych zobowiązań były dla niego ważniejsze.

Zmiana na stanowisku głównodowodzącego wojsk powstańczych zaowocowała także pewnymi zmianami w charakterze powstania. Dowbor-Muśnicki przybył do Poznania z konkretnym zamiarem stworzenia armii regularnej, w oparciu o normalny pobór rekruta, przysięgę wojskową i zawodową kadrę oficerską. Wprowadzało to nową jakość w dotychczasowym funkcjonowaniu wojsk wielkopolskich. Wiele wskazywało na to, że rozpolitykowane, swobodnie działające oddziały powstańcze nie przyjmą nowych wzorów i General, zgodnie z oczekiwaniami Piłsudskiego, nie uzyska akceptacji i zostanie zdyskredytowany przez miejscowe czynniki wojskowe i polityczne. Jednakże już 20 stycznia Stachiewicz w raporcie do Piłsudskiego stwierdzał, że „rachować na skompromitowanie się Dowbora przez oficerów zbyt silnie nie można”<sup>31</sup>. Dowbor-Muśnicki był zbyt doświadczonym i zdecydowanym oficerem, aby łatwo ulec i wycofać się pod naciskiem głosów niezadowolenia. Jego zdecydowana postawa szybko przyniosła owoce w postaci realnych osiągnięć. Już 17 stycznia Komisariat NRL na prośbę Dowbora-Muśnickiego ogłosił dekret o powołaniu pod broń trzech roczników (1897-1899) mężczyzn<sup>32</sup>. W ten sposób w miejsce zaciągu ochotniczego wprowadzono obowiązkową służbę wojskową. Rozbudowa wojsk powstańczych ujawniła z całą ostro-

---

<sup>30</sup> B. Woszczyński, *Dwa dokumenty do Powstania Wielkopolskiego 1918-1919*, „Najnowsze Dzieje Polski”, 1967, t. XI, s. 187.

<sup>31</sup> B. Woszczyński, *op. cit.*, s. 187.

<sup>32</sup> W. Zdziabek, M. Pacholska, *op. cit.*, s. 60.

ścią brak kadry oficerskiej wynikającej z nielicznej miejscowej grupy oficerów i podoficerów. Należało więc skorzystać ze wsparcia spoza Wielkopolski. W tej sprawie wypowiedział się również Stachiewicz, który w raporcie z 12 stycznia wskazywał, że „przyszłość organizacji wojskowej zależy tu przede wszystkim od importowanych oficerów. Tutejsi – bardzo chętni i pracowici – nadają się jednak, z wyjątkiem kilku, na prowadzenie najwyżej baonu. Potrzebni tu są oficerowie przede wszystkim tacy, którzy potrafią dobrze żyć z żołnierzem – dosyć zanarchizowanym i znającym niemiecki system służby – zatem legionowi”<sup>33</sup>. Dowbor-Muśnicki miał jednak inny pogląd w tej kwestii. Zgadzał się wprawdzie co do istoty, czyli potrzeby sprowadzenia kadry oficerskiej, inne jednak miało być jej pochodzenie. W przeciwieństwie do sugestii Stachiewicza, Dowbor-Muśnicki skorzystał z wypróbowanych i dobrze znanych mu oficerów z byłego I Korpusu Polskiego w Rosji. Zgodnie z przewidywaniami szefa sztabu oficerowie ci nie znali nowych specyficznych warunków, w których się znaleźli. Jednak silne powiązanie z dowódcą, wysokie kwalifikacje wojskowe i apolityczność czyniły z nich zwartą kadrę dowódczą, która szybko zdobyła posłuch wśród żołnierzy oraz akceptację i szacunek miejscowego społeczeństwa.

Wprowadzanie kadr oficerskich odbywało się nie tylko poprzez stanowiska w nowo formowanych oddziałach. Czyniono również starania, aby z wojsk powstańczych, a szczególnie DG usunąć oficerów związanych z Piłsudskim. Oczywiście najbardziej eksponowaną z tych osób, był ppłk Stachiewicz. Dlatego też Dowbor-Muśnicki przydzielił mu do pomocy swojego zaufanego oficera, ppłk Władysława Andersa, co miało skutecznie ograniczyć jego swobodę działania. Jednak najbardziej spektakularną i sporną kwestią, pomyślaną jako próba usunięcia propiłsudczykowskich oficerów, była sprawa przysięgi wojskowej. Żołnierze i oficerowie oddziałów powstańczych mieli złożyć ją na wierność Komisariatowi NRL<sup>34</sup>. Rota przysięgi została przez oficerów z Królestwa uznana za nie do przyjęcia i wywołała lawinę sprzeciwów i oburzenia. Stachiewicz 20 stycznia raportował: „oczywiście przedstawiłem sprawę natychmiast, że przysięga ta wyklucza poprzednią

---

<sup>33</sup> B. Woszczyński, *op. cit.*, s. 188.

<sup>34</sup> A. Czubiński, *op. cit.*, s. 341.



*Zaprzysiężenie Dowództwa Głównego Polskich Sił Zbrojnych byłego zaboru pruskiego (Wojsk Wielkopolskich) - gen. Józef Dowbor Muśnicki prowadzi defiladę, przyjmują ją członkowie Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej( ppłk Julian Stachiewicz maszeruje za gen. Muśnickim) - Poznań, 26.01.1919.*

i złożyć ją mogę tylko o tyle, o ile zostaną zwolniony z warszawskiej, to samo odniosłem do wszystkich oficerów przysłanych z Królestwa. Generał na to się zgodził, wskutek czego nadał do gen Szeptyckiego depeze [...] Proponuje on tam udzielenie dymisji wszystkim oficerom odkomenderowanym do Poznania [...] Jutro ja stanę do raportu, że w każdym razie nawet pomimo zwolnienia w Warszawie, na NRL przysięgać nie będę i na skutek tego poproszę o dymisję<sup>35</sup>. Dowbor-Muśnicki, pod naciskiem licznych protestów, zmodyfikował nieco swój wcześniejszy rozkaz, nakazując oficerom, którzy złożyli już przysięgę na wierność rządowi warszawskiemu, podpisanie jedynie oświadczenia, w którym zobowiązywali się, że przez czas swej służby w wojsku wielkopolskim za jedynych swych przełożonych uznawać będą dowódców mianowanych przez NRL<sup>36</sup>. Oczywiście było to tylko pozorne ustępstwo. Dla Stachiewicza sytuacja była jednoznaczna, a dalsza współpraca z Generałem, oznaczała wyparcie się wcześniej

<sup>35</sup> *Ibidem*, s. 344.

<sup>36</sup> P. Bauer, *Generał Józef Dowbor-Muśnicki. 1867-1937*, Poznań 1988, s.171.

złożonej przysięgi i posłuszeństwa Piłsudskiemu. Wydaje się, że była to główna przyczyna dymisji Stachiewicza i jego wyjazdu z Poznania. Znamienne, że Dowbor-Muśnicki w swych wspomnieniach przemilczał podłoże konfliktu eksponując kwestię niesubordynacji Stachiewicza i jego agenturalnej działalności na rzecz władz w Warszawie.

Nie podlega dyskusji, że od początku swojej pracy w Sztapie DG wojsk powstańczych, jeszcze za czasów mjr Taczaka, Stachiewicz utrzymywał kontakty z władzami wojskowymi w Warszawie. Wysyłał im odpowiednie informacje o przebiegu działań wojskowych i sytuacji politycznej. Sam też otrzymywał odpowiednie instrukcje<sup>37</sup>. Działalność tą kontynuował, gdy dowódcą wojsk powstańczych został nieprzychylny Piłsudskiemu, Dowbor-Muśnicki<sup>38</sup>. Czynności te można uznać za przejaw niesubordynacji, ale nie w ocenie samego Stachiewicza. Dla niego sprawa wydawała się jasna. Czuł się przede wszystkim zobowiązany wobec naczelnych władz wojskowych w Warszawie, a zwłaszcza wobec Piłsudskiego. To, że przyszło mu służyć pod rozkazami innych nie zmieniało tego faktu<sup>39</sup>.

Wracając do kwestii zatargu pomiędzy Dowborem-Muśnickim a Stachiewiczem należy stwierdzić, że od początku swojej pracy w Poznaniu, Dowbor starał się usuwać z DG wojsk wielkopolskich oficerów związanych z Piłsudskim. Nie ukrywał przy tym niechęci

---

<sup>37</sup> B. Polak, *Dowódcy Powstania Wielkopolskiego i wojska wielkopolskiego 1918-1919*, t. I, Koszalin 1989, s. 57.

<sup>38</sup> P. Bauer, *op. cit.*, s. 163-164.

<sup>39</sup> Podobnie należy potraktować sprawy wywożenia różnego rodzaju dóbr materialnych, w tym sprzętu wojskowego z Wielkopolski do Warszawy. Jedną z takich sytuacji było wywiezienie na rozkaz Stachiewicza samolotów zdobytych po zajęciu przez powstańców lotniska na Ławicy. Inną sprawą było oskarżenie Stachiewicza o skup i wysyłkę do Warszawy skór. [Według relacji Mieczysława Stachiewicza, ojciec jego miał mówić, że kazał wywozić skóry, bo żołnierze w Warszawie nie mieli butów (Relacja Mieczysława Stachiewicza w zbiorach autora)]. Sprawa ta miała być w przekonaniu Dowbora-Muśnickiego jednym z powodów usunięcia Stachiewicza z Poznania. Ta nietypowa działalność szefa sztabu, która przysporzyła mu tak wiele kłopotów, nie jest łatwa do rozstrzygnięcia. Pojawia się bowiem pytanie czy wywożąc amunicję, sprzęt wojskowy i inne dobra materialne nie osłabiał powstania? W tej sprawie bronił się sam stwierdzając: „Bezsprzecznie wiele materiałów można by stąd wywieźć, jako niepotrzebne dla tutejszej organizacji”. Cyt. za: B. Woszczyński, *op. cit.*, s. 188.

do nich. Postawa taka jednoznacznie wskazywała Stachiewiczowi, że nie mógł liczyć na dłuższą współpracę. Już 12 stycznia w raporcie do Naczelnego Dowództwa WP w Warszawie, zwracał się z zapytaniem: „Proszę o instrukcje jak się mam zachować [...] w razie chęci Muśnickiego usunięcia mnie, względnie zepchnięcia mnie do roli drugorzędnej – co on, mam wrażenie, chce zrobić”<sup>40</sup>. Oficjalnie pracę w sztabie DG Stachiewicz zakończył 9 lutego, przekazując swe obowiązki Władysławowi Andersowi<sup>41</sup>.

Pomimo wyraźnej niechęci Dowbora-Muśnickiego do młodego podpułkownika nie mógł on nie zauważyć pewnych jego dodatnich cech. W swych wspomnieniach podał, że na zakończenie pracy w sztabie wystawił Stachiewiczowi: „pobłażliwą opinię”<sup>42</sup> stwierdzając m.in.: „Miałem możliwość przekonać się, że ppłk Stachiewicz posiada umysł giętki, dostateczne wiadomości wojskowe, dobrą wolę i wiele chęci do dalszego się kształcenia. Ma on charakter zgodny, jest dobrze wychowany i zdyscyplinowany. Orientuje się szybko w każdej sytuacji i nie traci równowagi w ciężkich chwilach. [...] Wysoki urząd Szefa sztabu pełnił starannie...”<sup>43</sup>.

Analiza „pobłażliwej opinii” nie potwierdza, że Stachiewicz był mało wartościowym oficerem, czy też „partyzantem legionowym”. Raczej należy przyjąć, iż był młodym, zdolnym oficerem, który mimo nieprzychylniej atmosfery w DG, w sposób odpowiedzialny i fachowy starał się współkreować wydarzenia Powstania Wielkopolskiego w najtrudniejszym okresie jego trwania.

---

<sup>40</sup> *Ibidem*, s. 189.

<sup>41</sup> Wydaje się jednak, że faktyczną pracę w sztabie Stachiewicz zakończył mniej więcej tydzień wcześniej, a przez kolejne dni „likwidował” swoje sprawy w Poznaniu. Zob. B. Polak, *Powstanie Wielkopolskie 1918-1919*, Kościan 1973, s. 45

<sup>42</sup> J. Dowbor-Muśnicki, *op. cit.*, s. 235.

<sup>43</sup> Centralne Archiwum Wojskowe, Akta personalne J. Stachiewicza, sygn. 539, k. 60.

MARIUSZ KOLMASIAK

Częstochowa

### ZAWSZE WIERNY MARSZAŁKOWI. WALENTY WÓJCIK (1893-1940)



*Nastłuchuje wierny Wójcik przez sen na jawie:  
„Poczekajcie, coś szeleści, jak kociak w trawie.  
Coś sunie. Byłbym przysiągł, że krok słyszałem:  
pies, nie pies, coś jakby źrebak-lecz bardzo mały!” (...)*

*Wójcik we drzwi uchylone  
wpada blady i skupiony  
i choć wie już-że niestuszenie,  
„melduje” coś tam „postuszenie” (...)<sup>1</sup>*

*Walenty Wójcik na zdjęciu  
z końca lat 20 (zbiory  
autora)*

Kim był człowiek tak blisko związany z Józefem Piłsudskim – Naczelnikiem Państwa i Pierwszym Marszałkiem Polski, że jego postać znalazła się w wierszu Kazimierzy Iłłakowiczówny? Z jakiego pochodził domu, jaki przebieg miała jego kariera wojskowa i wreszcie, jak doszło do tego, iż znalazł się w bliskim otoczeniu jednego z najważniejszych ludzi dla współczesnej historii Polski? To pytania, na które warto udzielić odpowiedzi.

#### Dzieciństwo i młodość

Walenty Wójcik urodził się 4 lutego 1893 r.<sup>2</sup> w Trzebcach, niewielkiej miejscowości położonej pomiędzy Przedborzem a Wielgomłynami<sup>3</sup>.

<sup>1</sup> K. Iłłakowiczówna, *Legenda o Marysi w Belwederze*, [w:] *Wiersze o Marszałku Piłsudskim*, Warszawa 1936, s. 72-75.

<sup>2</sup> Archiwum Archidiecezji Częstochowskiej (dalej: AACz), Księga Chrztałów, Małżeństw i Zgonów (dalej: KCMZ), 1893, akt ur. nr 25.

<sup>3</sup> *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego*, Warszawa 1892, t. XII, s. 550. Wieś znajdowała się w ówczesnym powiecie noworadomskim w guberni piotrkowskiej.

Rodzina Wójcików<sup>4</sup> gospodarująca na 6 morgach ziemi, zamieszkiwała domostwo oznaczone numerem ósmym. Ich dom był, typowym w tym regionie, budynkiem drewnianym o dwóch dużych izbach – kuchni i pokoju oraz dwóch mniejszych pomieszczeniach – sieni i komorze. Wójcikowie, włościanie, byli katolikami. Potwierdzają to wpisy w księgach parafialnych, oraz wspomnienia wnuków małżonków Balbiny i Idziego Wójcików<sup>5</sup>. Ich parafią był kościół pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa Męczennika w odległych o ok. 7 km Wielgomłynach. Na uwagę zasługuje fakt, że rodzice docenili wagę wykształcenia. Dzieci ukończyły przynajmniej po kilka klas szkoły realnej w Wielgomłynach<sup>6</sup>, co w ówczesnych czasach nie było normą, gdyż zarówno w zaborze rosyjskim, jak i w całej Rosji nie było obowiązku nawet podstawowej edukacji, a ponadto podstawową funkcją ówczesnej szkoły było zaszczepienie kultu Rosji i dynastii panującej<sup>7</sup>. Pewną formą oporu młodego Walentego wobec rosyjskiego systemu kształcenia była działalność w chłopskim ruchu lewicowym, zaraniarzy<sup>8</sup>, wiążącym nadzieje na odzyskanie niepodległości Polski z obozem Józefa Piłsudskiego<sup>9</sup>. Ruch ten rozwijał się w Królestwie

---

Były to tereny ograniczonego autonomicznie Królestwa Polskiego, pozostającego faktycznie pod zaborem rosyjskim. Dziś Trzebce nadal leżą w gminie Wielgomłynny, jednak powiat noworadomski został po odzyskaniu niepodległości przemianowany na powiat radomszczański. Pod koniec XIX wieku wioska liczyła 25 domów i 162 mieszkańców rozlokowanych na 438 morgach ziemi.

<sup>4</sup> W skład rodziny wchodziła: matka Balbina [(1856-1941), córka Walentego i Katarzyny Mrozińskich, urodzona w Wielgomłynach], ojciec Idzi [syn Tadeusza i Marianny Wójcików, urodzony w Trzebcach] oraz ich dzieci – dwie córki: Marianna (\*1879) i Feliksa (\*1895) oraz trzech synów: najstarszy spośród nich Jan (\*1890), Walenty (\*1893), który imię dostał najprawdopodobniej po dziadku, a także Teofil (\*1897). Wójcikowie mieli jeszcze córkę Katarzynę (1876-1877) oraz pięcioro synów, Ignacego (urodził się i zmarł w 1878 r.), Antoniego (1881-1882), Józefa (1883-1888), znów Ignacego (1885-1889) i Pawła (1887-1892), jednak umarli oni nie doczekawszy dojrzałego wieku.

<sup>5</sup> Relacja Antoniny Pawlik dla autora z dn. 16 VIII 2007 r. oraz prof. Zbigniewa Wójcika z dn. 10 IX 2006 r.

<sup>6</sup> *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego*, t. XIII, Warszawa 1893, s. 317.

<sup>7</sup> J. Miąso, *Walka o Narodową Szkołę w Królestwie Polskim w latach 1905-1907*, „Rozprawy z dziejów oświaty”, t. XLIV, 2005, s. 80.

<sup>8</sup> Z. Wójcik, *Ludzie Belwedery*, „Magazyn Rzeczpospolita” 1997, nr 22, s. 25.

<sup>9</sup> W. Piątkowski, *Dzieje ruchu zaraniarskiego*, Warszawa 1956, s. 131. Nazwa

Polskim w latach 1907-1915. W 1912 r. Walenty Wójcik wyjechał do Szwajcarii – jak podaje jego syn, prof. Zbigniew Wójcik – do pracy „za chlebem”<sup>10</sup>. Nie był jednak typowym emigrantem zarobkowym. Jak wynika z dokumentów należał do organizatorów drużyn strzeleckich<sup>11</sup>. Na początku 1913 r. do Szwajcarii przybyli również Jan Wójcik z żoną. Starszy brat zamieszkał w Bernie, gdzie pracował w fabryce cygar. Można przypuszczać, że na obczyźnie bracia trzymali się razem i pracowali w tych samych zakładach, przynajmniej do wybuchu I w. ś.

To właśnie wtedy Walenty Wójcik miał okazję pierwszy raz zobaczyć przyszłego marszałka Polski. Osobę, która odcisnęła na nim i na jego rodzinie ogromne – w znaczeniu pozytywnym – piętno. Józef Piłsudski przebywał bowiem w Szwajcarii w lutym 1914 r. wizytując oddziały strzeleckie.

#### W służbie Ojczyźnie

Wraz z rozpoczęciem działań wojennych Wójcik podjął decyzję o powrocie na ojczyste ziemie. Napływ ochotników do Legionów Polskich był tak duży, że gdy dotarł w sierpniu 1914 r. do Krakowa, nie zdążył już zostać wcielonym do 1. pułku piechoty, utworzonego m.in. z batalionów strzeleckich Józefa Piłsudskiego<sup>12</sup>. Znalazł się

---

ruchu pochodziła od „Zarania” – tygodniowego czasopisma wydawanego przez Maksymiliana Malinowskiego. Pismo szerzyło wśród chłopów patriotyzm, oświatę oraz hasła postępu społecznego i gospodarczego. Drukowano tam artykuły omawiające sposoby podniesienia higieny osobistej oraz czystości mieszkań i obejść gospodarskich. Zaraniarze wyznawali hasło *sami sobie*, które oznaczało społeczną i polityczną niezależność chłopów od szlachty i kleru. Byli to przodujący chłopci burzący stare formy życia oraz obierający drogi prawdziwego postępu.

<sup>10</sup> Relacja prof. Zbigniewa Wójcika z dn. 10 VII 2007 r.; Z relacji tej wynika, iż jego ojca do Szwajcarii ściągnął starszy brat, Jan. Klóci się ona jednak z danymi pochodzącymi ze źródeł pisanych, według których W. Wójcik przebywał w Szwajcarii już w 1912 r. Natomiast brat Jan z całą pewnością przebywał w Wielgomłynach w styczniu 1913 r., ponieważ zawarł wówczas w tamtejszym kościele związek małżeński z Marianną Wodką. Wątpliwym się wydaje, aby Jan przybył ze Szwajcarii wyłącznie na ceremonię ślubną, a następnie znów emigrował. Najpewniej, to dzięki Walentemu Wójcikowi jego brat wkrótce po ślubie wyjechał za granicę.

<sup>11</sup> Centralne Archiwum Wojskowe (dalej: CAW), Akta Personalne Walentego Wójcika (dalej: AP), Krzyż Niepodległości (dalej: KN), 7 VII 1931 r.

<sup>12</sup> S. Czerep, *II Brygada Legionów Polskich*, Warszawa 1991, s. 47.



w Legionie Zachodnim, w 2. batalionie 2. pułku piechoty<sup>13</sup>. Warto nadmienić, iż był jedną z pierwszych osób pochodzących z Guberni Piotrkowskiej, które wstąpiły do Legionów Polskich<sup>14</sup>. Choć oficjalne powołanie pułku nastąpiło 14 września 1914 r., to żołnierze złożyli przysięgę dziesięć dni wcześniej<sup>15</sup>.

Warto zauważyć, że rodzicom wszystkich legionistów przyznano na mocy reskryptu cesarza i króla Franciszka Józefa z 4 grudnia 1914 r. zasiłek wojskowy. Skorzystali z niego również rodzice Walentego. Jak wynika z dokumentacji *Konsygnacji kwitów na zasiłki wojskowe do L... dla rodzin Legionistów polskich*, pobierał go ojciec, Idzi Wójcik. Za każdy dzień nieobecności syna otrzymywał 2 korony i 40 halerzy. Suma ta w porównaniu z innymi była przeciętnej wysokości. Niektórzy rodzice dostawali co prawda nawet ponad 4 korony za każdy dzień służby domownika, jednak byli i tacy, którzy za ten sam czas otrzymywali niecałe 2 korony<sup>16</sup>.

Tymczasem w sytuacji zagrożenia Krakowa ze strony wojsk rosyjskich, postanowiono organizujące się oddziały legionowe przenieść w inne, bardziej bezpieczne miejsce. Legioniści, w tym 2 pułk piechoty,

<sup>13</sup> CAW, AB, KN, 7 VII 1931 r.

<sup>14</sup> R. Kotewicz, *Piotrków-Radomsko u progu Niepodległości*, Piotrków-Radomsko 1998, s. 44.

<sup>15</sup> Po nabożeństwie i przemówieniu prezesa Naczelnego Komitetu Narodowego, Juliusza Leo, legioniści przysięgali – zgodnie ze słowami roty – wierność i posłuszeństwo cesarzowi austro-węgierskiemu Franciszkowi Józefowi. Zob. S. Czerep, *op. cit.*, s. 31.

<sup>16</sup> Nie mniej dochód z tytułu służby syna przybierał poważne kwoty. W porównaniu z innymi rodzicami, którzy w tym samym okresie pobierali 48, 60, 75, czy nawet do 132 koron Idzi Wójcik pobrał 18 maja 1916 r. 1437 koron i 60 halerzy. Była to należność za 599 dni służby jego syna w Legionach w czasie od 10 września 1914 r. aż do 31 kwietnia 1916 r. Kolejną – tym razem już o wiele mniejszą – sumę Idzi podjął dnia 1 sierpnia tego samego roku. Wynosiła ona wówczas 74 korony i 40 halerzy. Należała się ona rodzinie za 31 dni służby Walentego Wójcika w czasie od 1 do 31 lipca 1916 r. W okresie pobierania tego zasiłku syn Idziego i Balbiny Wójcików przeszedł cały szlak bojowy aż do walk na Wołyniu w roku 1916. Zob. Archiwum Państwowe w Piotrkowie Trybunalskim [dalej: APPT], Biuro Werbunkowe Legionów Polskich w Noworadomsku [dalej: BWR], sygn. 8, *Konsygnacja kwitów na zasiłki wojskowe do L... dla rodzin Legionistów polskich za czas od 1 maja do 31 maja 1916 r.*

zostali wysłani w Karpaty Wschodnie<sup>17</sup>. Oddział Wójcika dotarł 5 października 1914 r. transportem kolejowym na obszar Rusi Zakarpackiej, gdzie słabo wyszkolona piechota przy minimalnych stratach własnych zwyciężała w potyczkach z kozakami pod Kracsfalú, Marmaros–Sziget, Bocsko i Vissovoelgy, by następnie ruszyć na północ i po sforsowaniu Gorganów stoczyć na terenie Galicji Wschodniej boje pod Zieloną, Rafajłową (23/24 X 1915), Pasieczną i Pniowem. 24 października żołnierze 2 pułku zajęli Nadwórną, po czym wspólnie z 3 pułkiem piechoty i dwoma batalionami piechoty austriacko-węgierskiej wzięli udział w krwawej bitwie pod Mołotkowem (29 X 1915)<sup>18</sup>. Kolejne sukcesy legionišci odnieśli w kampanii bukowińskiej – 23 stycznia 1915 r. zdobyli Karlibabę. Otworzyło to wojskom austro-węgierskim drogę w głąb Bukowiny i Galicji. Ciężkie walki – m.in. pod Briazą, Mołdawą, Łopuszną, Śniatyniem, Niżniowem, Tłumaczem, Korolówką czy Bartnikami, doprowadziły do uszczuplenia stanów oddziału. W połowie marca żołnierze udali się na zasłużony odpoczynek do Kołomyi, gdzie utworzono II Brygadę Legionów, popularnie nazywaną Brygadą Karpacką. W jej skład weszły 2 i 3 pułki piechoty, dywizjon artylerii, dywizjon kawalerii, oddziały techniczne oraz zakłady pomocnicze. Od połowy kwietnia 1915 r. II Brygada zaczęła przybywać na pogranicze bukowińsko-besarabskie, gdzie legionišci zajęli pozycje pod Dobronowcami.

W maju, wycofujący się za rzekę Prut II batalion, w skład którego wchodził Wójcik, został rozbity, a w wyniku przedwczesnego zniszczenia mostu część żołnierzy musiała przebyć rzekę w pław pod ogniem rosyjskim<sup>19</sup>. Jednakże Wójcik, jak zapisano w jego oficjalnych aktach, „dnia 13 maja 1915 roku dostał się do niewoli rosyjskiej, skąd zbiegł i już dnia 12 czerwca 1915 roku powrócił do oddziału”<sup>20</sup>. Ponieważ wydarzenia te miały miejsce na terenie Rumunii, która do 1916 r. pozostawała w tajnym sojuszu z państwami Trójprzymierza, Wójcik został odznaczony za swój czyn Rumuńskim Krzyżem za wierną służbę II klasy<sup>21</sup>.

---

<sup>17</sup> S. Czerep, *op. cit.*, s. 54.

<sup>18</sup> S. Wyrzycki, *2 Pułk Piechoty Legionów*, Pruszków 1992, s. 12.

<sup>19</sup> S. Czerep, *op. cit.*, s. 102-103.

<sup>20</sup> CAW, AP, KN, 7 VII 1931 r.

<sup>21</sup> W *Spisie legionistów przydzielonych do Biura Werbunkowego w Noworadom-*

8 czerwca 1915 r. rozpoczęła się ofensywa bukowińska. 13 czerwca Polacy dotarli w pościgu aż do Rokitny, słynnej z brawurowej szarży ułanów rotmistrza Zbigniewa Dunin-Wąsowicza. Dalsze walki pod Rarańczą, gdzie szczególnie odznaczył się Wójcik<sup>22</sup> (4 VIII 1915), zakończyły udział 2 pułku piechoty w kampanii bukowińsko-besarabskiej. Pod koniec października 1915 r. żołnierze, w tym również oddział Wójcika, zostali przerzuceni transportem kolejowym przez Stanisławów, Lwów i Lublin na Wołyń. Wyładowano ich w Maniewiczach i od razu skierowano do bitwy pod Kostiuchnówką (XI 1915). Następnie, aż do wiosny 1916 r., legionieści zajęli pozycje nad Stochodem, gdzie czas upływał im na budowie i poprawianiu umocnień polowych, patrolowaniu przedpoła, służbie obozowej, urządzaniu kwater i zagospodarowywaniu terenu. W maju 1916 r. legionieści odpoczywali w Karasinie, skąd na front wyrwała ich rosyjska ofensywa gen. Brusilowa. II Brygada została ściągnięta w rejon Hołuzji. Wczesnym rankiem 19 czerwca 2. pułk piechoty wyruszył do Hruziatyna.

Dostępne informacje dowodzą, iż Walenty Wójcik przynajmniej od czerwca 1916 r. nie brał już udziału w walkach. Możliwe, że był ranny, co uczyniłoby go niezdolnym do służby liniowej. Prawdopodobnym scenariuszem jest także skierowanie Wójcika przez dowództwo do innego, bardziej odpowiedniego zadania.

Następnym etapem w życiu plutonowego Wójcika było przeniesienie w drugiej połowie 1916 r. do pracy w Biurze Werbunkowym Legionów w Radomsku<sup>23</sup>.

---

sku z 1916 r. (APPT, BWR, sygn. nr 8) wymieniona jest następująca nazwa tego odznaczenia: „srebrny medal II klasy za waleczność”. Analiza zdjęcia Walentego Wójcika z przełomu lat 20 i 30 XX wieku wykazała jednak, iż bez wątpienia odznaczony został rumuńskim Krzyżem za wierną służbę. Warto jednak dodać, iż Wójcik odebrał je wiele lat później, w 1923 r.

<sup>22</sup> Z. Wójcik, *Ludzie Belwederu*, „Magazyn Rzeczpospolita” 1997, nr 22, s. 25.

<sup>23</sup> Zadaniem takich biur było prowadzenie różnych form agitacji i podejmowanie działań mających na celu pozyskania ochotników dla armii. Były to m.in. zebrania, przedstawienia patriotyczne czy uroczystości skupiające mieszkańców, np. msze św. Ponadto ważną rolę w działalności agitacyjnej na ówczesnych terenach polskich odgrywał także kolportaż prasy oraz broszur o tematyce niepodległościowej. Często rozwieszano plakaty i legionowe odezwy. W dokumencie datowanym na 5 sierpnia 1916 r. stwierdzono: „Rozkaz służbowy: Wszyscy legionieści przydzieleni do oficera Werbunkowego Legionów Polskich i do Komendy Obwo-

Sam Walenty Wójcik sprawował tam funkcję „ekspedykta”<sup>24</sup> (spe-dytora) i komendanta III sekcji<sup>25</sup>. Zajmował się wówczas najprawdo-podobnie organizowaniem przewozu bliżej nieokreślonych towarów przydatnych wojsku, ale także transportem samych żołnierzy<sup>26</sup>. Jako komendant III sekcji, jednej z siedmiu, na które podzielono powiat radomszczański, Wójcik sprawował kontrolę nad posterunkami werbun-kowymi w Kobielach Wielkich, Żytnie, Wielgomłynach i Maluszynie<sup>27</sup>.

---

dowej, stawią się jutro tj. dnia 6 sierpnia b.r. /niedziela/ o godzinie 9:50 rano przed kościołem parafialnym [prawdopodobnie kościół św. Lamberta – przyp. M.K.], celem wzięcia udziału w uroczystym nabożeństwie. Zjawić się należy służbowo (z bronią)”. Zob. APPT, BWR, sygn. 4, Rozkaz służbowy nr 494/16. Pod treścią rozkazu widnieją pięć podpisów, w tym Walentego Wójcika.

<sup>24</sup> APPT, BWR, *Wykaz stanu personalnego Komisaryatu w Radomsku*.

<sup>25</sup> R. Kotewicz, *op. cit.*, s. 43.

<sup>26</sup> Potwierdzenie tego stanowi krótki, odręczny dokument w języku polskim, zwany *Kartą służbową*. Można w nim przeczytać, że „legionista plutonowy Wójcik Walenty z dwoma legionistami udaje się jutro (30 VII 1916 – M.K.) w sprawach służbowych do Mstowa (miejscowość w dzisiejszym powiecie częstochowskim – M.K.) i z powrotem”. Zob. APPT, BWR, sygn. 8, *Pismo L:455/16 z 29 VII 1916*; Delegacja, o której mowa w dokumencie trwała dwa dni. Nie wiadomo jednak czym żołnierze się w tym czasie zajmowali. Można się jedynie domyślać, że mogli wówczas pracować nad pozyskaniem technicznych możliwości przewozu żołnie-rzy na front, zdobycia dla nich wyekwipowania czy wyżywienia. Dokumentów tego typu, tj. *Kart służbowych (Dienstzettel)* zachowało się więcej, jednak pozostałe, w odróżnieniu od przedstawionej powyżej, sporządzano w języku niemieckim. Zob. APPT, BWR, sygn. 3, L:307/16 z 28 V 1916. *Podróż do Kocierzowy, Wielgom-łyn, Ruśca i Silniczki*; sygn. 3, L:313/16 z 31 V 1916. *Podróż wraz z 7 osobami do Piotrkowa*; sygn. 8, L:323/16 z 11 VI 1916. *Podróż wraz z 6 osobami do Piotrkowa*; sygn. 8, L:445/16 z 24 VII 1916. *Podróż wraz z 1 osobą do Piotrkowa*; sygn. 4, L:508/16 z 17 VIII 1916. *Podróż wraz z 1 osobą do Piotrkowa*; sygn. 4, L:523/1916 z 21 VIII 1916. *Podróż do Piotrkowa*. Nazwisko Walentego Wójcika zostało jednak przekreślone i zastąpione nazwiskiem Stanisława Niemca; sygn. 4, L:574/16 z 19 IX 1916. *Podróż do Piotrkowa*. Tu również nazwisko Walentego Wójcika zostało przekreślone i zastąpione nazwiskiem Kazimierza Groszczakiewicza. (Zapis nie-czytelny. Nazwisko odszyfrowane w przedstawionej powyżej formie nie widnieje w spisie legionistów z piotrkowskiego ani w spisie legionistów z radomszczań-skiego); sygn. 5, L:621/16 z 14 X 1916. *Podróż do Wielgomłyn*.

<sup>27</sup> Z tego okresu zachował się ręcznie pisany raport W. Wójcika, następującej treści: „Biuro Zgłoszeń do Wojska Polskiego w Wielgomłynach. Do Biura Zgłoszeń w Wielgomłynach należą cztery gminy: Wielgomłyny, Maluszyn, Kobile Wielkie, Masłowice. Kolei i dróg masowych nie ma. Z Noworadomska cztery mile drogi.

Ponadto dokument parafii św. Lamberta wskazuje, że był on także „kancelerem”<sup>28</sup> (kancelistą), tj. pracownikiem kancelarii. W ramach swoich obowiązków musiał zatem tworzyć m.in. dokumentację dla Biura Werbunkowego, znać się na rachunkach, formach pism urzędowych czy doniesień.

Po latach, syn Walentego Wójcika, Zbigniew wspominał: „tam w Radomsku wygrał drugą bitwę”<sup>29</sup>, mając na myśli poznanie przyszłej żony, Stanisławy Cyranowskiej, córki stolara Antoniego i Marianny<sup>30</sup>. Tydzień po ich ślubie z internowania w Magdeburgu wrócił Józef Piłsudski.



*Stanisława z Cyranowskich Wójcikowa,  
(zbiory prof. Z. Wójcika)*

Odpowiednie lokale do werbunku są. Wysyłanie raportów codziennych drogą telefoniczną ani prostą jest niemożliwe, bo telefonu w pobliżu nie ma”. Zob. APPT, BWR, sygn. 8, Notatka z ok. 1916 r. Podpis Wójcika widnieje także na innym dokumencie Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego-Centralnego Urzędu Ewidencyjnego działu poświadczeń przynależności. Pismo pochodzi z 7 sierpnia 1916 r., świadczy to o tym, iż zajmował się równocześnie ewidencjonowaniem legionistów.

<sup>28</sup> Urząd Stanu Cywilnego Parafii św. Lamberta w Radomsku (dalej: USC św. Lamberta), Księga Małżeństw (dalej: KM), 1918, akt nr 166, Autor zachował oryginalną pisownię.

<sup>29</sup> Relacja prof. Zbigniewa Wójcika z 10 IX 2006 r.

<sup>30</sup> Ich oświadczyny odbyły się przy udziale świadków, Sławomira Sandalewskiego i Jana Mrozińskiego. Jako że „pozwolenie na zawarcie związku od władzy wojskowej i ojca dano”, małżeństwo pomiędzy Stanisławą a Walentym, plutonowym i żandarmem polnym w Wojsku Polskim, zostało zawarte. Miało to miejsce w kościele św. Lamberta w Radomsku dnia 3 listopada 1918 r. o godzinie szóstej po południu. Ślubu udzielił ks. wikariusz Stanisław Wieczorek „z upoważnienia księdza Władysława Antosza, kapelana wojskowego”. Zob. USC św. Lamberta, KM, 1918, akt nr 166.

### „Ścieżka obok drogi”<sup>31</sup>

Po ewakuacji Niemców z Warszawy Dowództwo Polskiej Żandarmerii Wojskowej, przemianowanej 13 listopada 1918 r. na Żandarmerię Wojska Polskiego, przystąpiło do szybkiego zwiększania stanu osobowego. Właśnie w tym czasie (prawdopodobnie 28 XII 1918 r.<sup>32</sup>) Wójcik został przeniesiony do Plutonu XII 1. Dywizjonu Żandarmerii Wojskowej w Warszawie<sup>33</sup>. Pierwsze lata niepodległości Polski, które przyszło mu spędzić w stolicy odrodzonego państwa, były bardzo ważnym okresem również z innego powodu. Zamieszkał wówczas ze świeżo poślubioną żoną Stanisławą w mieszkaniu przy ulicy Bonifraterskiej 9, a w niecały rok później, 8 sierpnia 1919 r., na świat przyszło ich pierwsze dziecko, córka Halina Maria. Natomiast wspomniany już syn, Zbigniew Stanisław urodził się 29 października 1922 r. Warto także nadmienić, iż Walenty należał do wojskowej spółdzielni utworzonej przy 1 Dyonie Żandarmerii<sup>34</sup>.

Po likwidacji Dowództwa Żandarmerii Wójcik został z dniem 17 października 1921 r. przydzielony do Plutonu Żandarmerii Wojskowej Warszawa nr 1<sup>35</sup>. Następnie, 20 grudnia 1922 r. został tymczasowo, ze względów służbowych, odkomenderowany do Plutonu Żandarmerii Wojskowej Warszawa nr 3<sup>36</sup>. Najprawdopodobniej tym właśnie rozkazem został on przydzielony do osoby Marszałka i mianowany pierwszym

---

<sup>31</sup> Tytuł tej części zaczerpnięty został ze wspomnień napisanych przez Kazimierę Iłakowiczównę, w którym poetka metaforycznie zawarła odniesienie własnego życia do życia Józefa Piłsudskiego. Według niej podążała ścieżką obok drogi, którą szedł Marszałek. Metafora ta idealnie pasuje do podsumowania okresu życia Walentego Wójcika, jaki spędził przy Piłsudskim.

<sup>32</sup> CAW, 1 Dywizjon Warszawski (dalej: 1 Dyon Żand.), I 375.1.55, Wykaz imienny podoficerów zawodowych ewidencyjnie przynależnych do I Dywizjonu Żandarmerii Wojskowej w Warszawie.

<sup>33</sup> CAW, Dowództwo Żandarmerii Polowej Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego (dalej: Dow. Żand. Pol.), I 301.19.23, Ekspozytura Żandarmerii Warszawa.

<sup>34</sup> Członkostwo w niej dawało prawo do zakupów artykułów pierwszej potrzeby, niezbędnych przecież temu młodemu małżeństwu z małymi dziećmi w tak trudnych czasach, jakimi były niewątpliwie pierwsze powojenne lata. CAW, 1 Dyon Żand., I 375.1.14, Dodatek do rozkazu dziennego nr 118 z 4 XII 1923 r.

<sup>35</sup> CAW, 1 Dyon Żand., I 375.1.53, Rozkaz dzienny nr 68 z 17 X 1921 r.

<sup>36</sup> CAW, 1 Dyon Żand., I 375.1.14, Rozkaz dzienny nr 1 z 10 I 1923 r.



*Sulejówek, ok. 1925 r., Walenty Wójcik w kółku (zbiory M. Wawrzyniaka)*

dowódcą jego osobistej ochrony. Możliwe także, iż wtedy właśnie został awansowany do stopnia wachmistrza. W każdym razie od tej pory nie odstępował Naczelnika, a jego życie prywatne ściśle wiązało się z życiem Piłsudskiego. Wydaje się być wielce prawdopodobnym, iż o przydzieleniu do służby w ochronie Komendanta decydujący wpływ miały wyniki kursu odbytego 6 grudnia 1922 r., który Wójcik ukończył z lokatą szóstą na trzydziestu dwóch uczestników. Oznaczało to wynik „dobry”<sup>37</sup>.

Początek lat dwudziestych był okresem reorganizacji polskiej sceny politycznej. W jej wyniku Józef Piłsudski w 1923 r. usunął się w „cień” przenosząc się do „Milusina” w Sulejówku. Podczas „migracji” zajmował się twórczością pisarską oraz działalnością odczytową<sup>38</sup>. Za Marszałkiem do Sulejówka podążył Walenty Wójcik pełniąc funkcję

<sup>37</sup> CAW, 1 Dyon. Żand., I 375.1.55, Wykaz zmian w ewidencji wachmistrzów Dyonu Żandarmerii Wojskowej Nr I za miesiąc grudzień 1922; Dokument datowany na 7 I 1922 r., co musi być pomyłką osoby go sporządzającej.

<sup>38</sup> *Droga życia Józefa Piłsudskiego*, pod red. Komitetu, Londyn 1977, s. 192.

komendanta posterunku żandarmerii<sup>39</sup> i dowódcy dwóch żandarmów pracujących na zmianę<sup>40</sup>, m.in. starszego żandarma Adolfa Piekiełko<sup>41</sup>. Dodatkowo w rejonie „Milusina” codziennie pełniło służbę około siedmiu ułanów z 7. pułku oraz kilku oficerów z różnych garnizonów, którzy celowo spędzali tam urlopy. Dla ochrony przeznaczono sąsiednią „Willę Otrando” (zwaną „drewniakiem”), w której Wójcik jednak nie mieszkał dojeżdżając z Warszawy<sup>42</sup>.

W Sulejówku Piłsudski znalazł wreszcie czas by poświęcić więcej uwagi życiu rodzinnemu i sprawom osobistym. Właśnie tą prywatność miał za zadanie ochraniać Walenty Wójcik, tym bardziej, że codzienność była stale zakłócana przez anonimy, groźby, dotyczące także żony i córek Marszałka. Miały także miejsce niewyjaśnione próby zamachu<sup>43</sup>. Mimo wszystko czas rodzinie upływał we względnie spokojnym. „W gorące, letnie popołudnia –wspominała Aleksandra Piłsudska – jedynie pszczoły nad kwiatami i śmiech dzieci przerywały senną ciszę lasku”<sup>44</sup>. Żona Marszałka wspomniała także, iż musiała doglądać kilku uli, ponieważ jej „mąż lubił obserwować życie pszczół”<sup>45</sup>. Tak było na początku, gdyż później „dogładanie uli należało do Piłsudskiego, któremu pomagał uzbrojony w siatkę wachmistrz Walenty Wójcik

---

<sup>39</sup> C. Leżeński, *Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym*, t. I, Lublin 1989, s. 262.

<sup>40</sup> Relacja prof. Zbigniewa Wójcika z dn. 10 IX 2006 r.

<sup>41</sup> Adolf Piekiełko (ur. 1899), działacz niepodległościowy, legionista, żandarm, starszy wachmistrz, od 1920 r. służył w Dywizjonie Żandarmerii Wojskowej nr 1 w Warszawie, członek spółdzielni dywizjonowej. Służył wraz z Walentym Wójcikiem w Szwadronie Ochronnym 1 Dywizjonu Żandarmerii, ochroniarz Józefa Piłsudskiego, najpierw w Sulejówku, a następnie w Belwederze. Od 1936 r. był przewodnikiem w Muzeum im. Józefa Piłsudskiego. Wraz z żoną mieszkali w budynku Kwatery przy ul. Klonowej. Jak podaje prof. Zbigniew Wójcik: „Pan Piekiełko pod koniec swojej służby w Belwederze ciężko zachorował, z trudem mógł chodzić. Nie wiem kiedy umarł, jego żona żyła jeszcze wiele lat po wojnie”. Rzeczywiście, w marcu 1939 r. na podstawie orzeczenia wojskowo-lekarskiej komisji rewizyjnej szpitala okręgowego Adolf Piekiełko został przeniesiony w stan spoczynku.

<sup>42</sup> Jak to ujął „ojciec tylko bywał w Sulejówku i kursował pomiędzy Belwederem a Sulejówkiem”. Zob. Relacja prof. Zbigniewa Wójcika z dn. 2 IX 2009 r.

<sup>43</sup> *Droga życia Józefa Piłsudskiego...*, s. 192.

<sup>44</sup> A. Piłsudska, *Wspomnienia*, Warszawa 1989, s. 213.

<sup>45</sup> *Ibidem*, s. 211.



lub inny wartownik<sup>46</sup>. Janina Pasik, córka Michaliny, kucharki oraz Jana, ordynansa konnego Marszałka, wspominała o jeszcze innych zajęciach Wójcika. Z jej opisu wynika, że w momencie gdy jej ojciec z przyczyn finansowych musiał zmienić pracę w „Milusinie” na lepiej płatne zajęcie w fabryce w Ursusie, „pracę tę z polecenie pana Marszałka załatwił [...] Walenty Wójcik”. Nie przyszło mu to jednak łatwo, gdyż „osobista prośba pana Marszałka [w tamtych czasach – M.K.] naprawdę niewiele znaczyła. [...] Walenty Wójcik dobrze się nachodził, zanim znalazł tę pracę<sup>47</sup>. Z przytoczonych słów wynika, iż Piłsudski zlecał Wójcikowi drobne sprawy, czego przykładem szukanie nowego zajęcia dla oddanego pracownika. Oczywiście podstawowym jego obowiązkiem była ochrona Marszałka. I to nie tylko przed ewentualnymi zamachowcami czy też osobami chcącymi zakłócić mu spokój. Do jego zajęć należało także zapewnienie bezpieczeństwa podczas codziennych czynności, nawet tak prozaicznych, jak wspomniana już opieka nad pasieką.



*Sulejówek, imienny Marszałka, 19 marzec 1926 r. W kółkach Walenty Wójcik i jego córka Halina (zbiory autora)*

<sup>46</sup> P. Ceranka, *Piłsudscy w Sulejówku 1923-1926*, [w:] „Niepodległość i pamięć. Józef Piłsudski w pamięci narodu”, 1997, nr 9, s. 74.

<sup>47</sup> J. Kochański, *Wyznawcy Niepodległej. Piłsudscy, Moraczewscy. Przed Sulejówkiem. W Sulejówku*, Warszawa 2009, s. 421-422.

W miarę wzrastającego napięcia w życiu wewnętrznym Polski i w sytuacji międzynarodowej samotnie Sulejówka zaczęły ożywiać wizyty polskich i obcych polityków<sup>48</sup>. Niewątpliwą konsekwencją tych spotkań było jedno z ważniejszych wydarzeń Polski międzywojennej – przewrót majowy, którego Piłsudski i jego zwolennicy dokonali 12 maja 1926 r.<sup>49</sup>. Tegoż dnia, ok. godziny 17:00 Marszałek pojawił się na moście Poniatowskiego w Warszawie, gdzie w otoczeniu gen. Gustawa Orlicz-Dreszera, ppłk Kazimierza Stamirowskiego, mjr Włodzimierza Jaroszewicza, por. Mariana Żebrowskiego, adiutanta por. Michała Galińskiego oraz właśnie Walentego Wójcika, spotkał się z prezydentem RP Stanisławem Wojciechowskim. Ostatnia szansa zażegnania sporu nie dała jednak wyników i planowana demonstracja wojskowa przerodziła się ostatecznie w trzydniową walkę, zwaną niekiedy „wojną domową”. Sytuacja tego dnia była o tyle dramatyczna, że gen. Tadeusz Rozwadowski wydał gen. Włodzimierzowi Zagórskiemu, dowódcy grupy lotniczej, rozkaz „całkowitego rozproszenia oddziałów” sprzyjających Piłsudskiemu z nim samym na czele, przy użyciu bomb i karabinów<sup>50</sup>. Już o 17:30 strona rządowa rozpoczęła ostrzał oddziałów Piłsudskiego stojących w rejonie mostu Kierbedzia<sup>51</sup>. Następnego dnia, 13 maja, Rozwadowski wydał kolejny rozkaz, skierowany tym razem do płk. Izydora Modelskiego. Nakazywał zlikwidowanie „całego incydentu”, jak nazwał zamach, oraz ujęcie „przywódców ruchu nie oszczędzając ich życia”<sup>52</sup>.

Walenty Wójcik, choć miał świadomość grożącego mu niebezpieczeństwa, przez cały ten czas trwał wiernie przy Marszałku. Potwierdzają to wspomnienia Zbigniewa Wójcika, odnoszące się prawdopodobnie do 10 maja 1926 r.: „około południa wpadł do domu (mieszkaliśmy wówczas przy ulicy Bonifraterskiej 9) z Sulejówka ojciec i poprosił

---

<sup>48</sup> *Droga życia Józefa Piłsudskiego...*, s. 191-192.

<sup>49</sup> Na temat przewrotu majowego istnieje bogata literatura przedmiotu. Najnowsza publikacja zbierająca ustalenia badaczy zob. *Zamach stanu 1926 roku*, red. M. Sioma, Lublin 2007.

<sup>50</sup> Cyt za: W. Jędrzejewicz, *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*, t. I, Londyn 1977, s. 221.

<sup>51</sup> B. Urbanowski, *Józef Piłsudski – marzyciel i strateg*, t. II, Warszawa 1997, s. 609.

<sup>52</sup> Treść rozkazu gen T. Rozwadowskiego w: *Przewrót majowy 1926 r. w relacjach świadków i uczestników. Materiały Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie*, Londyn 2003, s. 21



*Józef Piłsudski na Moście Poniatowskiego w drodze na rozmowę z prezydentem Wojciechowskim, 12 maja 1926 r. Walenty Wójcik pierwszy z prawej (zbiory autora)*

matkę o świeże koszule i jakieś inne drobiazgi. Pamiętam też, że wziął wspaniały pistolet Mauser, który był w naszym domu aż do wybuchu wojny w roku 1939. Na pytanie matki, dokąd idzie, odpowiedział, że nie wie, na drugie pytanie, kiedy wróci, odpowiedź była taka sama. Dodał jeszcze, że idzie za Marszałkiem tam, dokąd będzie trzeba, bez względu na to, co się stanie<sup>53</sup>.

Z postawy tej przebija głębokie przywiązanie do Piłsudskiego, nie tylko przełożonego, ale i człowieka który stał mu się bliski. Znajduje ono potwierdzenie chociażby w słowach mjra Stanisława Skarbka, który pisał po latach, w 1940 r., w liście do A. Piłsudskiej, że wie jak Wójcik „przywiązany był do osoby [...] Marszałka”<sup>54</sup>. Warto także za adiutantem Mieczysławem Lepeckim powtórzyć, iż „każde zadowolenie czy troska rodziny Marszałka odbijała się na twarzy wachmistrza Wójcika jak w lustrze. Wszystkie jej sprawy uważał za swoje, i jak o swoje się troszczył”<sup>55</sup>. Również z innego źródła dowiadujemy się, że wachmistrz interesował się „szczególnie wszystkimi sprawami dotyczącymi Pana Marszałka”<sup>56</sup>. Lepecki w swych wspomnieniach o żandarmach z osobi-

<sup>53</sup> Z. Wójcik, *Marszałek Piłsudski w mojej pamięci* [w:] „Niepodległość i pamięć: Józef Piłsudski w pamięci narodu” 1997, nr 9, s.147.

<sup>54</sup> Instytut Polski i Muzeum im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie (dalej: IPMS), Kancelaria Cywilna Prezydenta RP, Gabinet Wojskowy, Akta 1939-1941, sygn. A.48.Z II.7, nr dok. 21.

<sup>55</sup> M. Lepecki, *Pamiętnik adiutanta Marszałka Piłsudskiego*, Warszawa 1988, s. 81.

<sup>56</sup> CAW, AR, KN, 7 VII 1931 r., *Meldunek z 25 IV 1929 r.*

stej ochrony Piłsudskiego, m.in. właśnie o Wójciku, napisał znamienne słowa, że „nic nigdy nie wydawało mi się tak pewne, jak ich miłość do Marszałka...”<sup>57</sup>. Jest to bardzo dobitne stwierdzenie, bardzo dobrze podsumowujące powyższe opinie różnych ludzi na temat sympatii Wójcika do Piłsudskiego. Sympatia ta nie była jednak jednostronna, bowiem „rodzina pana Marszałka lubiła tego starszego, zażywnego wachmistrza”<sup>58</sup>. Również list wspomnianego już mjr Skarbka, w którym znalazło się stwierdzenie, iż „JW Pani Marszałkowa zawsze się jego [Walentego Wójcika – przyp. M.K.] osobą interesowała”<sup>59</sup>, potwierdza

<sup>57</sup> M. Lepecki, *op. cit.*, s. 81.

<sup>58</sup> *Ibidem*, s. 81.

<sup>59</sup> IPMS, Kancelaria Cywilna Prezydenta RP, Gabinet Wojskowy, Akta 1939-1941, sygn. A.48.Z II.7, dok. nr 21. Sympatia rodziny Piłsudskich i Wójcików przekładała się również na bliskie kontakty ich dzieci. Dziewczęta chodziły do tego samego gimnazjum oraz wspólnie spędzały czas. Jak pisał po latach obserwator codziennego życia w Belwederze, Mieczysław Lepecki: „panny Piłsudskie bardzo się z panną Wójcikówną zaprzyjaźniły, zachowując tę przyjaźń również poza murami szkolnymi” [M. Lepecki, *op. cit.*, s. 81.]. Natomiast młodsza córka Marszałka, Jadwiga Piłsudska-Jaraczewska tak wspomniała dzieci Walentego Wójcika: „znałam jego dzieci z którymi się bawiłam. Hala była akurat pomiędzy moją siostrą [Wandą – przyp. M.K.] a mną, więc w wieku naszym. A Zbyszek był młodszy, nawet śmiał się niedawno, że nie chciałyśmy się z nim bawić” [Relacja Jadwigi Piłsudskiej-Jaraczewskiej z dn. 22 VIII 2007 r.]. Rzeczywiście, jak przytacza Zbigniew Wójcik: „Moja siostra Halina bardzo się przyjaźniła z Wandą i Jagodą Piłsudskimi i niemal codziennie bywała w Belwederze. Ja jako chłopiec bywałem przez nie traktowany dość lekko, mimo to często brałem udział w ich zabawach, a nawet od czasu do czasu zapraszały mnie na podwieczorek czy kolację” [Z. Wójcik, *Marszałek Piłsudski w mojej pamięci...*, s.148.]. Dzieci Aleksandry i Józefa Piłsudskich wypowiadając się o Walentym Wójciku stwierdzały m.in., że choć „ochrona ich nie interesowała, to jednak, zachowały dla niego specjalne wobec niego uczucie wdzięczności” [Relacja Jadwigi Piłsudskiej-Jaraczewskiej z dn. 22 VIII 2007 r.]. Podyktowane było ono m.in. uratowaniem przez Wójcika pamiątek po ich ojcu, o czym będzie mowa w dalszej części. Jadwiga Jaraczewska stwierdziła ponadto, że znała „pana Walentego Wójcika jako chorążego, który w bardzo miły sposób się kręcił”. Druga z córek Marszałka, Wanda Piłsudska stwierdziła m.in.: „gdy sięgnę wstecz pamięcią do mojego dzieciństwa, wczesnych lat Niepodległości, przychodzi mi na myśl charakterystyczna sylwetka chorążego Walentego Wójcika, niestrudzonego strażnika bezpieczeństwa mojego Ojca” [Cyt. Wandy Piłsudskiej zaczerpnięty z: *Między Wschodem a Zachodem Rzeczpospolita XVI-XVIII w., Studia ofiarowane Zbigniewowi Wójcikowi w siedemdziesiątą rocznicę urodzin*, Warszawa 1993.]

niewątpliwie życzliwy stosunek żony Piłsudskiego do osoby ochroniarza. Natomiast wzajemność samego Marszałka potwierdza Kazimiera Lenszkiewicz, przedszkolanka w Szkole Rodziny Wojskowej w Belwederze w latach 1927-1929. Jej zdaniem Wójcik był niewątpliwie ulubionym przez Marszałka wachmistrem z ochrony Belwederu<sup>60</sup>.

Po przewrocie majowym Józef Piłsudski wrócił do Warszawy i ponownie zamieszkał w Belwederze. Wraz z nim powróciła jego służba ochronna z wachmistrem Wójcikiem na czele. Jednocześnie ilość żandarmów wzrosła z trzech do czterech<sup>61</sup>. Służbę pełnili: Walenty Wójcik, Adolf Piekielko, Jan Cajbel<sup>62</sup> i Brunon Piechowiak<sup>63</sup> pozostając w dyspozycji mjra Kazimierza Buslera, a następnie Aleksandra Hrynkiewicza – adiutantów osobistych Marszałka<sup>64</sup>. W Belwederze dodatkowo służbę ochronną sprawowało ośmiu żandarmów i pięciu funkcjonariuszy cywilnych<sup>65</sup>, odpowiedzialnych za ochronę pałacu.

Walenty z żoną Stanisławą oraz z dziećmi Haliną i Zbigniewem został 25 listopada 1927 r. zameldowany w domu na terenie Kwatery Głównej na rogu ulic Belwederskiej i Klonowej. Był to długi, piętrowy dwuskrzydło-

<sup>60</sup> K. Lenszkiewicz, *Wspomnienia Belwederskie*, „Zeszyty Historyczne”, 1984, z. 68, s. 196.

<sup>61</sup> Posterunki żandarmerii dowodzone były przez podoficera w stopniu starszego wachmistrza lub wachmistrza, który podlegał bezpośrednio dowódcy plutonu. Liczba żandarmów posterunku zależna była od potrzeb. W jego skład wchodził zatem dowódca i dwóch do pięciu żandarmów; G. Ratajczyk, *op. cit.*, s. 222.

<sup>62</sup> Jan Cajbel, działacz niepodległościowy, legionista, żandarm, starszy wachmistrz, wraz z Walentym Wójcikiem służył od kwietnia 1928 r. w Szwadronie Ochronnym 1 Dywizjonu Żandarmerii, ochroniarz Józefa Piłsudskiego. W 1936 i 1937 r. był przewodnikiem w Muzeum im. Józefa Piłsudskiego, następnie zrezygnował. Mieszkał wraz z rodziną przy ul. Klonowej. Zamordowany w czasie niemieckiej okupacji przez gestapo.

<sup>63</sup> Brunon Piechowiak (ur. 1898), działacz niepodległościowy, powstaniec wielkopolski, żandarm, wachmistrz, w 1923 r. przeniesiony z Dywizjonu Żandarmerii Wojskowej Nr 4 do Szwadronu Ochronnego 1 Dywizjonu Żandarmerii, gdzie służył wraz z Walentym Wójcikiem, od 1927 r. ochroniarz Józefa Piłsudskiego. Od 1936 r. był przewodnikiem w Muzeum im. Józefa Piłsudskiego. Pod koniec sierpnia 1939 r. został przydzielony do plutonu krajowego. Wg prof. Zbigniewa Wójcika, Bruno Piechowiak z żoną na pewno żyli jeszcze na początku okupacji, jednak dalsze ich losy nie są znane.

<sup>64</sup> M. Lepecki, *op. cit.*, s. 80.

<sup>65</sup> G. Ratajczyk, *op. cit.*, s. 256.



*Marszałek Piłsudski z oficerami swego sztabu na spacerze ulicami Warszawy 31 maja 1926 r. Walenty Wójcik w kółku (zbiory Fundacji Rodziny Józefa Piłsudskiego udostępnione autorowi przez Jadwigę Piłsudską-Jaraczewską, fot. Mariusz Kolmasiak)*

wy budynek. „Jego fronton – jak podaje Cezary Leżeński – cofnięty do tyłu oddziela od samej ulicy poza smukłymi sztachetami coś na kształt podwórka oznaczonego gazonami i trawnikami oraz dość gęsto rosnące w długim rzędzie topole”<sup>66</sup>. Walenty Wójcik zamieszkał wówczas w służbowym mieszkaniu, pod adresem ul. Belwederska 53/17. Następnie wraz z rodziną zamieszkiwał przy ul. Belwederskiej 53/22 (stan z 13 lipca 1931 r.). Okna skrzydła w którym mieszkali wychodziły na Belweder. Dnia 20 października 1936 r. musiał się wymeldować wraz z całą rodziną do lokalu nr 25, co było spowodowane zajęciem tej części budynku przez Martę i Edwarda Śmigłych-Rydzów<sup>67</sup>. Warto wspomnieć również, iż przez pewien okres czasu mieszkała z rodziną Wójcików matka Stanisławy, Marianna Cyranowska, która przeprowadziła się do nich po śmierci męża pod koniec lat dwudziestych i mieszkała aż do swej śmierci, tj. do ok. 1932 roku<sup>68</sup>.

<sup>66</sup> C. Leżeński, *op. cit.*, s. 262.

<sup>67</sup> Relacja prof. Zbigniewa Wójcika dla autora z dn. 3.09.2009 r.

<sup>68</sup> Kilka lat później o możliwość zamieszkiwania z Wojcikami starał się także brat Stanisławy, Józef Cyranowski. Ponieważ mieszkanie Wójcików znajdowało się na terenie Kwatery Głównej, wymagało to zgody organów wojskowych, jak

W 1926 r. Walenty Wójcik rozpoczął kurs w Centralnej Szkole Żandarmerii. Nie udało się jednak ustalić, czy rozpoczął się on jeszcze przed przewrotem majowym, czy już bezpośrednio po nim. Faktem pozostaje, iż pomimo dobrej opinii dowódcy kursu Wójcik nie ukończył go, a jego deklaracja wygasła 13 czerwca 1926 r.<sup>69</sup>. Na uwagę zasługuje również fakt, że był pierwszym podoficerem, który otrzymał order Polonia Restituta za pracę niepodległościową<sup>70</sup>.

Warto przyrzeć się charakterowi pracy Walentego Wójcika. W pierwszym rzędzie należy odwołać się do słów Mieczysława Lepeckiego i jego spostrzeżeń na temat ochrony, którą, co należy podkreślić, Marszałek uważał za zbędną: „Służby ochronnej w całym słowa tego znaczeniu nie pełnili, spełniając raczej funkcje zaufanych; odbywali dyżury przy centralce telefonicznej, „uważali” na interesantów, pomagali przy urządzeniu uroczystości, wozili obiady i kolacje Marszałkowi do GISZ-u, nieraz posłużyli w jakiejś sprawie samemu Marszałkowi. Ściśle mówiąc, wszyscy oni byli tam od wielu lat i prawie nigdy nie byli zmieniani. Prawdziwym królem wśród nich był starszy wachmistrz Walenty Wójcik<sup>71</sup>. Do jego zadań należała opieka nad codziennymi sprawami administracyjnymi prywatnego mieszkania państwa Piłsudskich. Wójcik, jak podaje jego córka, „miał

---

również przeprowadzenia uprzedniego wywiad. Dlatego też Wydział Śledczy w Ostrowie został zobligowany do przesłania Urzędowi Śledczemu w Warszawie obszernego raportu na temat Józefa Cyranowskiego. W dokumencie sporządzonym 23 marca 1938 r. wskazywano, iż nie był on karany, opinię moralną miał nienaganną a politycznie, choć się nie udzielał, był nastawiony prorządowo. Według relacji Zbigniewa Wójcika informacje te okazały się wystarczające by wydać Cyranowskiemu zgodę na zamieszkanie u szwagra. Według profesora wuj zamieszkiwał z nimi, jednak bardzo krótko [Relacja prof. Zbigniewa Wójcika z 15 X 2009 r.]. Warto także dodać, iż budynek w którym mieszkała m.in. rodzina Wójcików istnieje do dziś. Mieści się tam obecnie Ministerstwo Obrony Narodowej.

<sup>69</sup> CAW, 1 Dyon Żand., I 375.1.55, Wykaz podoficerów I Dyonu Żand, którzy nie ukończyli kursu w Centr. Szk. Żand.

<sup>70</sup> A. Kunert, *Rzeczpospolita Walcząca*, Warszawa 1997, s. 331; „Światowid”, Kraków, nr 3 (25 I 1930), s. 5; Marian Romeyko pisał nawet, że Wójcik „to chyba w wojsku międzywojennym jedyny nieoficer odznaczony Orderem Odrodzenia Polski”. Zob. M. Romeyko, *Przed i po maju*, Warszawa, 1967, s. 595.

<sup>71</sup> M. Lepecki, *op. cit.*, s. 81.

dostęp do pana Marszałka o każdej porze dnia i nocy, nawet do prywatnych apartamentów, nawet do prywatnego życia<sup>72</sup>. Ponadto pewnym jego niepisany zadaniem, czy raczej zwykłą uprzejmością, było udzielanie odwiedzającym Piłsudskiego informacji o jego aktualnym nastroju. Syn, Zbigniew relacjonował: „Kiedyś tak mi powiedział, pół żartem, pół serio był stale w Belwederze, w pogotowiu, a gdy Piłsudski wychodził, wyjeżdżał, to z nim. I jak siedział w Belwederze i byli wezwani przez Piłsudskiego różni generałowie, ministrowie to przychodzili do ojca i pytali się tak: Panie wachmistrzu, w jakim humorze jest Komendant. I ojciec ich informował, bo Komendant to potrafił mieć humor<sup>73</sup>. Zbigniew Wójcik zapamiętał także, wspomniane przez Lepeckiego, wożenie posiłków do GISZ-u. Jednak z pewną różnicą. Uważa on mianowicie, iż tylko jego ojciec woził Marszałkowi jedzenie, ponieważ miał on do niego wyjątkowe zaufanie<sup>74</sup>. Natomiast na pytanie o innych żandarmów z ochrony marszałka Piłsudskiego, Zbigniew Wójcik odpowiedział, że „byli od służby w Belwederze, obsługiwali telefon<sup>75</sup>. Potwierdzałoby to, przynajmniej częściowo, słowa Mieczysława Lepckiego konstatującego, że żandarmi odbywali dyżury przy centralce telefonicznej. W pewnej mierze, albowiem pisząc o żandarmach Adiutant potraktował ich całościowo, nie wyróżniając żadnego. Podobnie czyni Kazimiera Iłłakowiczówna<sup>76</sup>. Relacja Z. Wójcika dowodzi natomiast konkretnych zajęć poszczególnych żandarmów.

<sup>72</sup> Cyt. za: J. Kochański, *op. cit.*, s. 487.

<sup>73</sup> Relacja prof. Zbigniewa Wójcika z dn. 1 IX 2009 r.

<sup>74</sup> Według słów Profesora: „Piłsudski mówił: ugotować ma Adelia [Adela Heybutowicz (wg M. Lepeckiego) lub Hajdukowa (wg P. Ceranki), pochodząca z okolic Wilna, a dokładniej z powiatu święciańskiego, od 1924 r. kucharka Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, a następnie w Belwederze], a przywiezie Wójcik. Bo już w pewnym momencie był podejrzliwy a wierzył, że Wójcik mu nic nigdy nie wsypie”. *Zob. ibidem.*

<sup>75</sup> *Ibidem.*

<sup>76</sup> Słynna poetka zanotowała: „Żandarmów było kilku. Nie mogłam z początku zrozumieć, po co oni są, i miałam ich za rodzaj wojskowych woźnych. Zwracałam się też do nich o różne przysługi, to o atrament, to o zaostrenie ołówka. Zmyliło mnie to, że anonsowali oni wizyty. Byli zdziwieni moimi żądaniem, ale uprzejmi, aż porucznik Vacqueret wyjaśnił mi, że to nie jest służba, ale podoficerowie policji wojskowej, która nazywa się żandarmerią”. *Zob. K. Iłłakowiczówna, Ścieżka obok drogi, Warszawa 1989, s. 156*





*Prawdopodobnie na stadionie Legii w 1930 r.  
Walenty Wójcik w głębi po cywilnemu (zbiory prof. Z. Wójcika)*

Jadwiga, młodsza córka Marszałka, w nawiązaniu do pełnionych przez ochronę obowiązków stwierdziła, że Piłsudski „bardzo jej nie lubił”<sup>77</sup>. Z opinią tą korespondują stwierdzenia Lepeckiego, który zanotował, że „marszałek Piłsudski nigdy nie zgadzał się na to, aby Go pilnowano i ochraniano”, co miało być spowodowane niechęcią do „wszelkiego rodzaju carszczyzny”, jak i niewiarą w skuteczność jakiegokolwiek ochrony w przypadku ewentualnego zamachu<sup>78</sup>. Jednak właśnie na wypadek zamachu ochrona Józefa Piłsudskiego była bardzo liczna i działała w każdym możliwym miejscu, co miało zapobiec potencjalnym nieszczęśliwym wypadkom. Chroniony był zarówno Belweder, GISZ, jak i droga pomiędzy nimi.

Według wspomnień cytowanej już Jadwigi Piłsudskiej-Jaraczewskiej, Marszałek „często chodził pieszo Alejami Ujazdowskimi do pracy w GISZ-u”<sup>79</sup>. Kazimiera Lenszkiewicz odnotowała, że „Piłsudski około

<sup>77</sup> A. Romanowski, *op. cit.*, s. 16.

<sup>78</sup> M. Lepecki, *op. cit.*, s. 85.

<sup>79</sup> A. Romanowski, *op. cit.*, s. 16.

południa zwykł był iść do GISZ-u. Marszałek szedł zawsze sam. Nikt mu nie asystował na tej około 300-metrowej trasie. Jeżeli w ogóle była jakaś ochrona, to tak dyskretna, że nigdy jej obecności nie udało mi się zauważyć<sup>80</sup>. Jednak ochrona musiała być, co potwierdza zdjęcie, na którym uwidocznił się Józef Piłsudski w drodze z Inspektoratu do Belwederu (na drugim planie Walenty Wójcik).



*Józef Piłsudski w drodze z GISZu do Belwederu. Za nim idzie Walenty Wójcik (zbiory prof. Z. Wójcika)*

Sytuacja ta znajduje potwierdzenie w słowach syna Walentego Wójcika, który stwierdził: „Bardzo często widywałem Marszałka, gdy codziennie, mniej więcej między godziną 10:00 a 11:00 przed południem szedł z Belwederu do Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych”<sup>81</sup>.

<sup>80</sup> K. Lenszkiewicz, *op. cit.*, s. 197.

<sup>81</sup> Z. Wójcik, *Marszałek Piłsudski w mojej pamięci...*, s. 148. Jak napisał dalej przy tej okazji, wywiązała się pewnego razu między nim a Marszałkiem krótka rozmowa na temat ułańskiego czako. Mały Zbigniew na jej zakończenie zasalutował, i Piłsudski odwzajemnił mu się tym samym. „Byłem ogromnie dumny, że scenę tę widział mój ojciec – jak zapamiętał – idący kilka kroków za Marszałkiem”. W rozmowie z autorem Zbigniew Wójcik bardziej dokładnie sprecyzował odległość dzielącą jego ojca i Józefa Piłsudskiego. Podał, iż szli w ok. 20 metrowym odstepie. [Relacja prof. Zbigniewa Wójcika z dn. 1 IX 2009 r.] Inną odległość

Profesor Wójcik odnosząc się do kwestii ochraniań Marszałka na trasie z Belwederu do GISZu dodał też, że oprócz jego ojca, z drugiej strony ulicy szła dodatkowo straż cywilna<sup>82</sup>. Warto ponadto zauważyć, iż Wójcik uczestniczył również w wyjazdach samochodowych Marszałka, co ilustrują zachowane fotografie<sup>83</sup>.



*W samochodzie na ulicach Warszawy w 1932 r.  
Walenty Wójcik w kółku (zbiory prof. Z. Wójcika)*

natomiast podaje w swojej pracy Marian Romeyko. Podkreślić jednak należy, iż w przytoczonej historii żandarm idący w obstawie jest anonimowy, a nazwisko Wójcika pojawia się w kontekście osoby, która najczęściej stanowiła „uliczną” eskortę Marszałka. W 1929 r. kilku oficerów lotnictwa, w tym i on, spotkali w Alejach Ujazdowskich samotnie idącego w kierunku Belwederu Piłsudskiego. Dopiero w pewnym oddaleniu szedł za nim żandarm. Według Romeyki odległość, jaka wówczas ich dzieliła, wynosiła około pięćdziesięciu kroków co mogło odpowiadać dystansowi 40-50 metrów. M. Romeyko, *op. cit.*, s. 595

<sup>82</sup> Najprawdopodobniej miał on na myśli podkomendnych płk Bolesława Ziemiańskiego, którzy wchodzili w skład specjalnej „Grupy wywiadowczej”. Relacja prof. Zbigniewa Wójcika z dn. 1 IX 2009 r.

<sup>83</sup> Zdjęcia, na które powołuje się autor, znajdują się w zbiorach Narodowym Archiwum Cyfrowego. Noszą następujące sygnatury: 1 - A - 122, 1 - A - 1873 oraz 1 - A - 31 - 2. Jedno pochodzi ze zbiorów prof. Z. Wójcika. Widać na nich, iż Walenty Wójcik siadywał z przodu przy kierowcy Zygmuncie Malinowskim. Pierwsze przedstawia wyjazd z Warszawy do Sulejówka z 11 lipca 1929 r. Widoczni są na nim także prócz Piłsudskiego, Wójcika oraz wspomnianego szofera Malinowskiego major Zambrzusi oraz pies „Pies”. Kolejne zdjęcie zostało wykonane 19 maja 1931 r. po naradzie Marszałka z Walerym Sławkiem. Następne zrobiono dzień później, 20 maja 1931 r. Józef Piłsudski udawał się wówczas na przedstawienie w Starej Pomarańczarni w Łazienkach Królewskich wraz z adiutantem mjr Kazimierzem Buslerem. Ostatnie zdjęcie przedstawia Marszałka jadące w 1932 r. ulicami Warszawy w towarzystwie adiutanta kpt. Lucjana Miładowskiego oraz oczywiście Walentego Wójcika i Zygmunta Malinowskiego.

Bardzo trafnym wydaje się zatem stwierdzenie, że Wójcik pełnił różne funkcje przy Marszałku, w tym te związane z jego ochroną<sup>84</sup>. Znamienne, że teoretycznie najważniejsza funkcja została wymieniona na drugim miejscu, jakby mimochodem, co w świetle ustaleń nie powinno wszakże budzić zastrzeżeń. Życie Wójcika było bowiem integralnie związane z życiem Marszałka, co w pewnym stopniu potwierdza tygodniowy plan zajęć „Obu”: w poniedziałek Marszałek szedł do Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, który był niedaleko Belwederu i pracował tam zazwyczaj aż do soboty. Fakt ten potwierdził Zbigniew Wójcik wskazując, iż Piłsudski „czasami wyszedł z Belwederu nawet na kilka dni do GISZu. Tam miał pokój i dopiero po paru dniach wracał z powrotem do Belwederu”<sup>85</sup>. Najczęściej w soboty powracał do Pałacu<sup>86</sup>. Wówczas „wieczory po kolacji – jak wspomina Aleksandra Piłsudska – spędzaliśmy razem, po czym mąż wracał jeszcze do pracy, często siedząc aż do świtu”<sup>87</sup>. Natomiast niedzielę spędzał z rodziną w podwarszawskim Sulejówku<sup>88</sup>. Piłsudscy bywali tam na tyle często, że Walenty Wójcik zdecydował w 1932 r. kupić w bliskim sąsiedztwie marszałkowskiego „Milusina”, a bliżej Dworku-Siedziby Zofii i Jędrzeja Moraczewskich, „Willę Angorę” (ówczesna ul. Moraczewskiego 3, obecnie 11 Listopada)<sup>89</sup>. Dom był dość duży, piętrowy, z siedmioma pomieszczeniami.

Wójcik swoje obowiązki pełnił nie tylko w Belwederze, w GISZ-u, czy Sulejówku, ale i w dniach wypoczynku Marszałka w Druskiennikach. Marszałek nie lubił osobistej ochrony polegającej na chodzeniu

---

<sup>84</sup> Z. Turowska, *op. cit.*, s. 112.

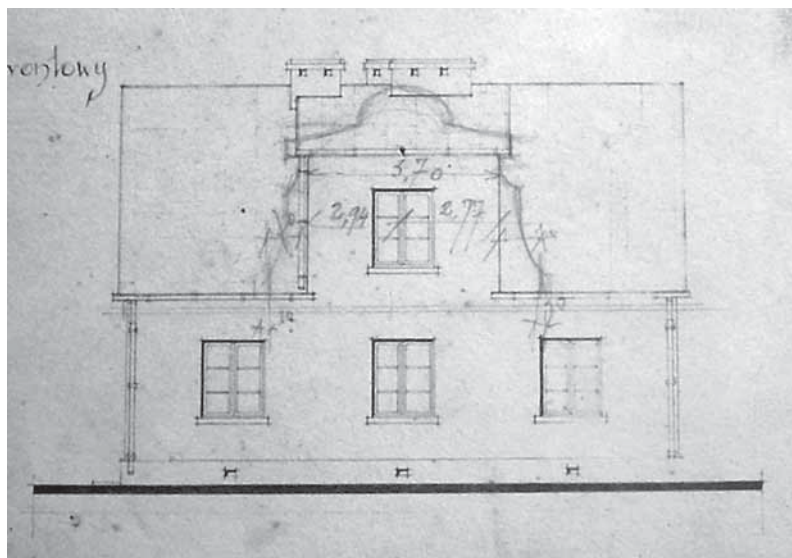
<sup>85</sup> Relacja prof. Zbigniewa Wójcika z dn. 1.09.2009 r.

<sup>86</sup> J. Sikora, *Marszałek Józef Piłsudski*, Marki 2003, s. 39.

<sup>87</sup> A. Piłsudska, *op. cit.*, s. 232.

<sup>88</sup> J. Sikora, *op. cit.*, s. 39.

<sup>89</sup> Projekt domu mieszkalnego, murowanego, krytego blachą, w miejscowości Sulejówek, gmina Okuniew powiatu Warszawskiego wykonano w warszawskiej Pracowni Architektonicznej Albina Zaborskiego przez Jana Białego. Projekt ukończył 1 marca 1932 r. Dnia 17 marca 1932 r. Wydział Powiatowy Sejmiku Warszawskiego zatwierdził go. Zezwolenie na rozpoczęcie i prowadzenie robót budowlanych wydano 23 marca 1932 r. Kierownikiem robót był wymieniony powyżej Jan Biały. Dom Wójcików był piętrowy, z pokojami na poddaszu. Łącznie było 7 pomieszczeń. Miał 1330 metrów kwadratowych powierzchni. W sierpniu 1946 r. żona i dzieci Walentego Wójcika sprzedali dom.



*Dom Wójcików w Sulejówku wg przedwojennego planu (zbiory M. Kozak)*

za nim krok w krok i „nigdy nie było sposobu ulegalizowania ochrony, ani też jakiegokolwiek uzgodnienia z Nim jej działalności”<sup>90</sup>. Stanowiło to nie lada wyzwanie i konieczność łamania rozkazów Piłsudskiego. Do jednej z takich sytuacji doszło najprawdopodobniej latem 1929 r. Wg syna Walentego Wójcika, Zbigniewa: „szefostwo jego ochrony [...] nie mogło się na to zgodzić i wysłało „nielegalnie” do Druskiennik odpowiednią ekipę, w której znalazł się również mój ojciec, który udał się tam jednak nie w mundurze, lecz po cywilnemu. Wziął ze sobą moją siostrę i mnie. Któregoś dnia razem z moją siostrą poszliśmy na spacer do lasu w pobliżu Niemna. Nagle z bocznej ścieżki wyszedł Marszałek w swym „roboczym” mundurze, bez dystynkcji i orderów. Ujrzawszy nas zatrzymał się i zwrócił się do mojej siostry, którą przecież stale widywał w Belwederze, gdzie bawiła się z jego córkami, i dość zdziwionym głosem, ze swym nieco śpiewnym, wileńskim akcentem zapytał: „A co ty tu robisz?” Moja siostra odpowiedziała natychmiast rezolutnie: „Jesteśmy tu z tatusiem, Panie Marszałku!” Marszałek

<sup>90</sup> M. Lepecki, *op. cit.*, s. 85.

coś mruknął i powiedziawszy nam „do widzenia” oddalił się. Gdy po powrocie do pensjonatu, w którym mieszkaliśmy, opowiedzieliśmy ojcu, wysoce rozradowani, że spotkaliśmy „Pana Marszałka”, ojciec był ogromnie skonsternowany, a nawet chyba zaniepokojony. O ile wiem, zdarzenie to – na całe szczęście – nie przyniosło ani ojcu, ani nikomu z ochrony, żadnych przykrych następstw, ani nie ściągnęło na ikogo gwałtownego wybuchu gniewu ze strony „nielegalnie” strzeżonego<sup>91</sup>.



*Druskienniki, lato 1929 roku. Walenty Wójcik w kółku (zbiory autora)*

W ostatnich dniach życia Piłsudskiego Walenty Wójcik, podobnie jak inni blisko z nim związani, był zasmucony i niespokojny. Mieczysław Lepecki zanotował o żandarmach z ochrony, że „w ich głowach, być może, nie świeciła jeszcze myśl smutna, ale wierne serca były już niespokojnie”. Jako ludzie „oddani Marszałkowi i Jego rodzinie na śmierć i życie”<sup>92</sup> bardzo przeżywali ciężką chorobę Marszałka. W swych wspomnieniach Zbigniew Wójcik zanotował: „Niedziela 12 maja 1935 roku była dniem ciepłym i słonecznym. Wraz z rodzicami i siostrą wcześniej rano pojechaliśmy do Sulejówka, by spędzić dzień świąteczny

---

<sup>91</sup> Z. Wójcik, *Marszałek Piłsudski w mojej pamięci...*, s. 150.

<sup>92</sup> M. Lepecki, *op. cit.*, s. 314..

w tej pięknej, wówczas jeszcze bardzo zalesionej podwarszawskiej miejscowości, gdzie od kilku lat mieliśmy własny dom. Powrót pociągiem do Warszawy przewidziany był na późny wieczór. Zapamiętałem, że ojciec był jakiś niespokojny, a bezpośrednio po obiedzie powiedział, że musimy wracać do Warszawy, gdyż przypomniał sobie, iż ma coś do załatwienia w Belwederze<sup>93</sup>. Tego samego dnia Józef Piłsudski, przegrał z trawiącą go chorobą. Zmarł w Belwederze o 20:45 w otoczeniu najbliższej rodziny – żony Aleksandry oraz córek, Wandy i Jadwigi; lekarzy Stefana Mozołowskiego i Tuchanowicza; współpracowników, m.in. gen. Sławoja Składkowskiego i gen. Bolesława Wieniawy-Długoszewskiego; oraz ochrony. W chwili zgonu Wójcik był w sąsiednim pokoju. Gdy – jak trafnie ujął Aleksander Hrynkiewicz – skończyła się „epoka związana z życiem Wielkiego Człowieka”, Wójcik opuścił Belweder i udał się do swego mieszkania. Dotarł tam kilka minut po 21.00 i słowami „Marszałek umarł”, powiadomił bliskich o wydarzeniach wieczora. Zbigniew Wójcik wspominał: „Rodzina moja odczuła śmierć tę jak śmierć najbliższej osoby – ojca czy dziadka, płakaliśmy wszyscy, tak jak po kimś z najbliższej rodziny”<sup>94</sup>.

Wójcik brał udział w przygotowaniu zwłok Marszałka do pogrzebu, mając baczenie na strój jaki założono Zmarłemu. Adiutant Piłsudskiego, Aleksander Hrynkiewicz, polecił Wójcikowi „przynieść najnowszy mundur marszałkowski Komendanta i wszystkie części bielizny, jaką Komendant zwykł używać”<sup>95</sup>.

Uroczystości pogrzebowe trwały sześć dni. Nazajutrz po śmierci, i w dniach następnych (tj. 13 i 14 maja) trumna wystawiona była w Belwederze. Obok stała kryształowa urna z jego sercem. W środę wieczorem trumnę z ciałem Marszałka przewieziono na lawecie armatniej zaprzężonej w sześć koni do Katedry św. Jana Chrzciciela. Wójcik znalazł się wśród kilkunastu oficerów i podoficerów w honorowej asyście wojskowej w trakcie przemarszu żałobnego konduktu ulicami Warszawy. 17 maja 1935 r. przed południem została odprawiona msza pontyfikalna, celebrowana przez kardynała Aleksandra Kakowskiego. W południe kondukt z trumną przeszedł na Pole Mokotowskie,

---

<sup>93</sup> Z. Wójcik, *Józef Piłsudski 1867-1935*, Warszawa [b.r.w.], s. 7.

<sup>94</sup> *Ibidem*, s. 8.

<sup>95</sup> A. Garlicki, *Józef Piłsudski 1867-1935*, Warszawa 1988, s. 702.



*Pogrzeb marszałka Piłsudskiego w Krakowie, 18 maja 1935 r. Walenty Wójcik w kółku (zbiory autora)*

gdzie odbyła się defilada. Zagrzały działa, a kilkadziesiąt samolotów przeleciało nad trumną. Następnie została ona przeniesiona na platformę kolejową, która po podłączeniu do lokomotywy, powoli odjechała do Krakowa. Wraz z nią do Krakowa pojechał Walenty Wójcik z córką Haliną. Następnego dnia, tj. 18 maja, przy dźwiękach



Dzwonu Zygmunta, trumna została wniesiona do Katedry na Wawelu. Walenty Wójcik również wówczas szedł w honorowej asyście. Po mszy celebrowanej przez metropolitę arcybiskupa Adama Sapiechę doczesne szczątki Marszałka złożono w krypcie św. Leonarda<sup>96</sup>.

### **Po śmierci Piłsudskiego**

Już w kilka miesięcy po śmierci Józefa Piłsudskiego opracowano ustawę powołującą Muzeum ku jego czci, mające za zadanie gromadzenie pamiątek związanych z osobą Marszałka. Udostępnienie placówki zwiedzającym nastąpiło 6 czerwca 1936 r.<sup>97</sup>. Prawdopodobnie latem 1937 r. Belweder został zamknięty na okres remontu<sup>98</sup>, po czym 11 listopada 1938 r. ponownie Muzeum zostało otwarte<sup>99</sup>.

Dyrektorem Muzeum został mianowany ppłk Adam Borkiewicz<sup>100</sup>, kustoszem dr Józef Kluss<sup>101</sup>, kierownikiem kancelarii i archiwum Wanda Goertz<sup>102</sup>, intendentem starszy wachmistrz Walenty Wójcik, przewodnikami trzech podoficerowie z dawnej ochrony osobistej Piłsudskiego – starszy wachmistrz Jan Cajbel i wachmistrzowie Adolf Piekiełko oraz Bruno Piechowiak. Po odejściu pierwszego z nich, obowiązki jego prawdopodobnie pełnił starszy wachmistrz Władysław

---

<sup>96</sup> J. Sikora, *op. cit.*, s. 43-44.

<sup>97</sup> Archiwum Akt Nowych (dalej: AAN), Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze (dalej: MJPB), sygn. 28, *Księga wpisów Belwederu 1936-1939*.

<sup>98</sup> AAN, MJPB, sygn. 7, *Plan na rok budżetowy 1937/1938 r.*

<sup>99</sup> AAN, MJPB, sygn. 13, *Plan pracy od 1 IV 1938 do 31 III 1939 r.*

<sup>100</sup> Adam Borkiewicz (1896-1958), urodzony w Bąkowej Górze w powiecie piotrkowskim, niedaleko miejsca urodzenia Walentego Wójcika. Pułkownik Wojska Polskiego. Kawaler Orderu Virtuti Militari. Od 1935 r. był dyrektorem Muzeum im. Józefa Piłsudskiego w Belwederze. W momencie wybuchu II wojny światowej został zmobilizowany i mianowany oficerem sztabowym we Lwowie. W czasie okupacji był członkiem Komendy Głównej AK. Po wojnie zajął się pracą naukową. Historyk wojskowości.

<sup>101</sup> Józef Kluss (1890-1967), historyk sztuki, grafik, kustosz Muzeum im. Józefa Piłsudskiego oraz Muzeum Narodowego w Warszawie, organizator i pierwszy dyrektor Muzeum w Pszczynie.

<sup>102</sup> Wanda Goertz (1896-1958), służyła w męskim przebraniu w Legionach, następnie pracowała w GISZ oraz Muzeum Józefa Piłsudskiego, brała udział w obronie Warszawy w 1939 r., w czasie okupacji była żołnierzem AK oraz uczestniczyła w Powstaniu Warszawskim, zmarła na emigracji w Londynie.

Kozera<sup>103</sup>. Wiadomo na pewno, iż był on jedną z osób odpowiedzialnych za prace przy inwentaryzacji zbiorów Muzeum<sup>104</sup>.

Walenty Wójcik w Muzeum im. Józefa Piłsudskiego w Belwederze zatrudniony był od 4 stycznia 1936 r.<sup>105</sup>. Pod względem etatowym i służbowym został tam jednak przydzielony dopiero 30 września. Tego dnia rozkazem Biura Personalnego Ministerstwa Spraw Wojskowych anulowano rozkaz z 4 sierpnia tegoż roku, na mocy którego Walenty Wójcik „pod względem macierzystym i gospodarczym” został wcielony w szeregi 21. pułku piechoty<sup>106</sup>. W tej samej sytuacji znaleźli się również starszy wachmistrz Władysław Kozera i wachmistrz Adolf Piekiełko, którzy zostali tam przydzieleni pomimo prośby dyrektora wystosowanej do ministra spraw wojskowych 30 marca, a zatem 4 miesiące wcześniej. W dokumencie tym dyrektor wnioskował o zaliczenie ich do grona personelu Muzeum. Przeniesiony miał być do niego dr Kluss, p. Goertz, chor. Walenty Wójcik oraz trzech pozostałych żandarmów z ochrony Marszałka<sup>107</sup>. Kolejne pismo do MSWojsk. w tej sprawie Adam Borkiewicz wysłał 29 kwietnia 1936 r. Wymieniał w nim Wójcika, Cajbela, Piekiełko oraz Piechowiaka i prosił o ich przydział do Muzeum do roku 1938 jako wojskowych<sup>108</sup>.

---

<sup>103</sup> Władysław Kozera, działacz niepodległościowy, starszy wachmistrz, wraz z Walentym Wójcikiem służył w Szwadronie Ochronnego Żandarmerii. Od 1936 r. pracował w Muzeum Józefa Piłsudskiego. Po wybuchu II wojny światowej eskortował wraz z W. Wójcikiem do Bułgarii pamiątki po Marszałku.

<sup>104</sup> A. Borkiewicz-Celińska, *Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze (1935-1939)*, „Niepodległość” 1997, t. XLIX, s. 188;

<sup>105</sup> AAN, MJPB, sygn. 14, Wykaz pracowników Muzeum z 24 IX 1936 r.

<sup>106</sup> AAN, MJPB, sygn. 14, k. nr 41; Przeniesienie do wspomnianego pułku spotkało się z niezadowoleniem Wójcika i jego kolegów, o czym meldował Ministerstwu Spraw Wojskowych ppłk Borkiewicz: „melduję, że wszyscy podoficerowie żandarmerii przydzieleni do Muzeum, czują się pokrzywdzeni przydziałem macierzystym do 21 p.p.”. Zob. AAN, MJPB, sygn. 14, *Wniosek o odkomenderowanie wachm. Piechowiaka z 1 dyonu żandarmerii do Muzeum z 13 VIII 1936 r.*

<sup>107</sup> AAN, MJPB, sygn. 5. *Pismo L. 101/36 z 30 III 1936 r.*

<sup>108</sup> Utrzymanie przez nich statusu wojskowych i nie przemianowywanie na urzędników podyktowane było nie tylko względami prestiżowymi. Jak motywował Borkiewicz, *pokrzywdziłoby ich dotkliwie materialnie, tem bardziej, że już utracili dodatki jakie posiadali /180-140 zł mies./*. AAN, MJPB, sygn. 5. *Pismo L. 160/36/pf. z 29 IV 1936 r.*

Pomimo tych zabiegów wszyscy czterej zostali przydzieleni do 21. pułku. Z niewiadomych przyczyn rozkaz uchylono i już na początku 1937 r. Wójcik, Kozera i Piekiełko, zgodnie z nowymi rozkazami, pod względem ewidencyjnym i służbowym zostali przydzieleni do Muzeum, natomiast gospodarczym do Kwatery Głównej Ministerstwa Spraw Wojskowych<sup>109</sup>.

Czas służby Wójcika w Muzeum skończył się 5 sierpnia 1938 r. Kilka miesięcy wcześniej, tj. 30 kwietnia złożył on do dowódcy I Dywizjonu Żandarmerii podanie o przedłużenie służby w żandarmerii o kolejne 4 lata. Najprawdopodobniej wniosek nie został rozpatrzony do grudnia 1938 r., lub była to decyzja negatywna, albowiem jak wynika z korespondencji dyrektora Muzeum z nominalnym dowódcą Wójcika z 15 grudnia 1938 r. z winy pierwszego z nich nastąpiło przedłużenie tej służby. Wójcik zatem zamiast w sierpniu powrócić do swojej macierzystej jednostki, pozostał przynajmniej aż do połowy grudnia w Muzeum. W powyższym piśmie, które jest potwierdzeniem poprzedniego z 28 listopada tegoż roku, dyrektor prosił o przedłużenie intendentowi służby w Muzeum<sup>110</sup>. Choć nie udało się odnaleźć odpowiedzi, sam fakt pozostawienia Wójcika w Muzeum aż do wybuchu wojny świadczy o pozytywnym rozpatrzeniu sprawy.

Możliwe jednak, iż decydujący wpływ na pozostawienie Wójcika na tym stanowisku miała zmiana jego kategorii wojskowej. Mógł być to wybieg, który miał na celu zatrzymanie go w Muzeum. Dziwnym bowiem zbiegiem okoliczności podanie dyrektora Borkiewicza z prośbą o zmianę kategorii Wójcika zostało wysłane 17 grudnia 1938 r., a zatem dwa dni po kolejnej próbie interwencji<sup>111</sup>. Próbie, która podobnie jak poprzednie mogła okazać się nieskuteczną. Faktem jest natomiast, że Wójcik 27 stycznia 1939 r. stanął przed stałą komisją rewizyjną 1-go Szpitala Okręgowego w Warszawie, która orzekła o jego zdolności jedynie do służby pozaliniowej, przyznając chorążemu kategorię D<sup>112</sup>. Należy jednak dodać, iż Wójcik dwukrotnie wysyłał do Departamentu Zdrowia MSWojsk. podania, których treść nie jest niestety znana.

---

<sup>109</sup> AAN, MJPB, sygn. 7. *Pismo nr 21/37 z 14 I 1937 r.*

<sup>110</sup> AAN, MJPB, sygn. 10. *Pismo nr 921/38 z 15 XII 1938 r.*

<sup>111</sup> AAN, MJPB, sygn. 10, *Pismo nr 929/38 z 17 XII 1938 r.*

<sup>112</sup> CAW, 1 Dyon. Żand. I 375.1.41, *Rozkaz dzienny nr 9 z 31 I 1939 r.*

Możliwe, że już wówczas wnosił o zmianę kategorii. Obalaloby to przedstawioną powyżej hipotezę, ponieważ pierwsze z nich jest datowane na 23 czerwca 1936 r.<sup>113</sup>, a drugie na 20 maja 1937 r.<sup>114</sup>. Jednak zastanawiające jest zamieszczone na jednym z nich zdanie dyrektora Borkiewicza, w którym podaje, iż Walenty Wójcik „całkowicie zasługuje swą wierną służbą na poparcie”<sup>115</sup>. Byłaby to dość dziwna argumentacja, przemawiająca za zmianą kategorii wojskowej. Byłby to raczej bardziej adekwatny argument dla przyznania np. sanatorium, lub urlopu zdrowotnego, niż zmiany przynależności służbowej.

Abstrahując od kwestii związanych z ewentualnym przeniesieniem Wójcika należy podkreślić, iż wszedł on w skład Zarządu Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze, w którym znaleźli się również: dyrektor Adam Borkiewicz, kustosz Józef Kluss oraz Wanda Goertz<sup>116</sup>. W początkach formowania się placówki do obowiązków Wójcika należało przede wszystkim rejestrowanie osobistych rzeczy Marszałka<sup>117</sup>. Następnie odpowiedzialny był za sprawy bieżące, kwestie związane z zabezpieczeniem budynku, nadzorem nad czystością wewnątrz pałacu i parku, sprawował kierownictwo i nadzór nad pracą tak przewodników, jak woźnych i dozorczy, zajmował się kontrolą zbiorów oraz współpracą z kustoszem polegającą m.in. na wspólnym sporządzaniu protokołu inwentaryzacyjnego, wpisywaniu zabytków do ksiąg inwentarzowych, sporządzaniu kartotek do tej księgi, nadzorowaniu utrwalania pod postacią fotografii i rysunków wewnątrz Belwederu oraz fragmentów ekspozycji, jak również porządkowaniu przedmiotów w składach<sup>118</sup>. Do obowiązków Wójcika należało ponadto ustalenie zabezpieczenia oraz rozmieszczenia sprzętu przeciwpożarowego w Muzeum i w skrzydłach

<sup>113</sup> AAN, MJPB, sygn. 5. *Pismo nr 262/36 z 23 VI 1936 r.*

<sup>114</sup> AAN, MJPB, sygn. 7. *Pismo nr 288/37 z 20 V 1937 r.*

<sup>115</sup> *Ibidem.*

<sup>116</sup> AAN, MJPB, sygn. 5. *Pismo L. dz. 102/36.*

<sup>117</sup> E. Kołodziej, *op. cit.*, s. 112.

<sup>118</sup> AAN, MJPB, sygn. 13, *Instrukcja dla dyżurnego urzędnika Muzeum* (brak daty); Dyżurny urzędnik pracował od chwili otwarcia aż do zamknięcia Muzeum. Do jego obowiązków należało m.in. sprawdzenie na koniec każdego dnia wraz z woźnymi, czy wszyscy zwiedzający opuścili budynek, sprawdzić zamknięcia okien i drzwi, wydać woźnym zarządzenie na kolejny dzień i wreszcie oddać zapasowy klucz chor. Wójcikowi.

Belwederu<sup>119</sup>, a także comiesięczne odbieranie ryczałtu kancelaryjnego oraz poborów dla pracowników Muzeum. Pierwsze dwa dokumenty, które świadczą o wykonywaniu wymienionego zadania, zostały datowane na 31 grudnia 1936 r. Dyrektor Borkiewicz upoważnił nimi Wójcika do odbioru pieniędzy dla Muzeum z Referatu Rachunkowo-Kasowego Kwatery Głównej Ministerstwa Spraw Wojskowych za styczeń 1937 r.<sup>120</sup>. Do innych powinności należało również załatwianie

<sup>119</sup> Jak informuje ręczny dopisek: „p. chor. Wójcik zarządzi uporządkowanie strychu itp.”. Porządkowanie polegać miało na usunięciu takich rzeczy jak „rupiecie, jak skrzynki, kosze, stolki itp.”. Słowa te podkreślono na czerwono, jak gdyby dla podniesienia ich priorytetowej rangi. Zob. AAN, MJPB, sygn. 5. *Protokół z 6 VI 1936 r. Zarządzenie o uprzątnięciu strychu* zostało powtórzone w piśmie Administratora Gmachów Ministerstwa Spraw Wojskowych z dnia 9 czerwca tego samego roku. Zob. AAN, MJPB, sygn. 5. *Pismo nr 532 z 9 VI 1936 r.*

<sup>120</sup> AAN, MJPB, sygn. 6, Upoważnienia dla chor. Wójcika do odbioru ryczałtu kancelaryjnego oraz do odbioru poborów dla pracowników Muzeum za miesiąc styczeń 1937 r. Dziwna – w porównaniu do poniżej opisanego systemu odbierania ryczałtu i poborów, gdzie oba były odbierane jednocześnie – sytuacja miała miejsce w lutym 1937 r. Oto bowiem ryczałt kancelaryjny odebrała p. Wacława Kaszkiewiczówna [AAN, MJPB, sygn. 7, *Upoważnienie dla p. Wacławy Kaszkiewiczówny do odbioru ryczałtu kancelaryjnego za miesiąc luty 1937 r.*], a pobory dla pracowników Walenty Wójcik [AAN, MJPB, sygn. 7, *Upoważnienie dla chor. Wójcika do odbioru poborów dla pracowników Muzeum za miesiąc luty 1937 r.*]. Wedle kolejnej wzmianki należność z Referatu za maj 1937 r. odebrała p. Wanda Goertz [AAN, MJPB, sygn. 7, *Upoważnienie dla p. Wandy Gertzówny do odbioru ryczałtu kancelaryjnego oraz do odbioru poborów dla pracowników Muzeum za miesiąc maj 1937 r.*]. O następnych miesiącach brak jest informacji, natomiast od dnia 1 grudnia 1938 r. [AAN, MJPB, sygn. 10, *Upoważnienia dla chor. Wójcika do odbioru ryczałtu kancelaryjnego oraz do odbioru poborów dla pracowników Muzeum*] aż do 31 sierpnia 1939 r. obie sumy pieniędzy odbierał dla Muzeum intendent Wójcik [AAN, MJPB, sygn. 11 i 12, *Upoważnienia dla chor. Wójcika do odbioru ryczałtu kancelaryjnego oraz do odbioru poborów dla pracowników Muzeum*]. Dokumentacja tego okresu jest prawie pełna, brakuje jedynie informacji o styczniu 1939 r. Musiał on także 12 grudnia 1936 r. odebrać sumę pieniędzy przeznaczoną na remunerację dla przewodników i woźnych [AAN, MJPB, sygn. 6, pismo nr 597/36 z 12 XII 1936 r.] oraz tego samego dnia 150 zł należności za 2 listy marszałka Piłsudskiego, dla osoby, która odstąpiła je Muzeum [AAN, MJPB, sygn. 6. *Pismo nr 596/36 z 12 XII 1936 r.*]. W tym dniu odbierał on jeszcze 163,60 zł za podwieczorek wydany dla podchorążych w dniu 29 listopada tegoż r. [AAN, MJPB, sygn. 6. *Pismo nr 598/36 z 12 XII 1936 r.*]. Nie ma niestety szerszej informacji, z jakiej okazji wydano wspomniany podwieczorek. Możliwym jednak wydaje się, iż było

wszelkich poruczonych spraw poza terenem placówki, co wymagało odbycia przynajmniej kilku wyjazdów służbowych. Pierwszy, potwierdzony w dokumentach, miał miejsce 14 listopada 1936 r. W tym dniu Wójcika został upoważniony do odbioru zamówionego uprzednio przez Muzeum papieru czerpanego z Mirkowskiej Fabryki Papieru w Jeziornie-Mirkowie<sup>121</sup>. Ostatni znany wyjazd służbowy miał miejsce w dniach 14-15 lipca 1939 r.<sup>122</sup>.



Walenty Wójcik jako intendent muzeum w pokojach Belwederu (zbiory prof. Z. Wójcika)

to rocznicowe przyjęcie na cześć Powstania Listopadowego 1830-1831. Następnie dnia 15 marca 1937 r. Wójcik został upoważniony przez dyrektora do podjęcia należności dla mjr Mariana Pacholskiego z Wilna [AAN, MJPB, sygn. 7. *Pismo nr 149/37 z 15 III 1937 r.*] i płk Kazimierza Buslera z Ostrołęki [AAN, MJPB, sygn. 7. *Pismo nr 150/37 z 15 III 1937 r.*]. Obaj zostali służbowo wezwani do Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze, celem spisania z nimi relacji historycznych z życia Marszałka. Koszt przejazdu wezwanych Muzeum pokryło z własnego budżetu [AAN, MJPB, sygn. 7. *Pismo nr 91/37 z 22 II 1937 r.*].

<sup>121</sup> AAN, MJPB, sygn. 6, pismo nr 514/36 z 14 XI 1936 r. W niespełna trzy lata później, dnia 24 kwietnia 1939 r., Walenty miał odebrać od Kierownictwa Zaopatrzenia Uzbrojenia 3 kb.as. wz. 95 kl. „c” z bagnetami i 3 kb. as. wz. 88/90 kl. „c” z bagnetami [AAN, MJPB, sygn. 11. *Pismo nr 269/39 z 24 VI 1939 r.*]. Chodziło zapewne o 6 karabinów armii austro-węgierskiej, trzech Manlicherów wzoru 95 i trzech wzoru 88/90.

<sup>122</sup> Wójcik miał jechać wówczas do kpt. Kumora, adiutanta Dowódcy Korpusu Nr VIII w Toruniu po dwa karabiny „Werndla”, cztery bagnet i jeden karabin „Kropatschka” z bagnetem. AAN, MJPB, sygn. 12, *Pismo nr 478/39 z 11 VII 1939 r.* i *pismo nr 480/39 z 13 VII 1939 r.*

Oprócz wypełniania obowiązków intendenta Walenty Wójcik, podobnie zresztą jak i inni pracownicy placówki, wcielał się niekiedy, w chwilach dużego natłoku zwiedzających, w rolę przewodnika po Muzeum. Choć ppłk Borkiewicz w cytowanym już piśmie do Ministerstwa Spraw Wojskowych pisał, iż „przydzielony chor. Wójcik pełni obowiązki etatowego intendenta Muzeum, a nie przewodnika”<sup>123</sup>, to zupełnie co innego wynika z przekazów źródłowych. Zachowały się przynajmniej dwie relacje mówiące o oprowadzaniu przez niego wycieczek. Pierwsza pochodzi 14 maja 1937 r. i została spisana przez Stanisława Grygę z Państwowego Instytutu Nauczycielskiego. Z dokumentu zatytułowanego *Uwagi o muzeum Marszałka Piłsudskiego w Belwederze* wynika, iż dotyczyła ona przebiegu wycieczki, która miała miejsce 1 maja tegoż roku. „Z przyczyny ciasności pomieszczeń – jak podaje autor relacji – nie mogliśmy zwiedzać i oglądać eksponatów w jednej grupie. Dlatego kilku z nas musiało zwiedzać w łączności z przygodnym zespołem”. Ten przygodny zespół, w którym znajdował się Gryga z kilkoma innymi nauczycielami z PIN, oprowadzany był właśnie przez Walentego Wójcika. Píše on co prawda, że „więcej bez wątpienia bylibyśmy skorzystali, gdybyśmy byli w tej grupie, której objaśnień udzielał p. pułk. Dyrektor Muzeum”, wytykając przy tym Wójcikowi pewne braki w wiedzy historycznej wykraczające poza okres im współczesny. Jednocześnie jednak zwrócił uwagę, iż „braki te wyrównywał orientacją w całości tak eksponatów, jak i szczegółów związanych z życiem Marszałka w Belwederze i pamiątek z tego okresu Jego życia”. Dodaje również cenną uwagę, iż „braki te pokrywał oprowadzający pietyzmem z jakim mówił o Marszałku i czcił w odniesieniu do „relikwii” jakie po Nim zostały. Czci tej umiał się do tego wyraźnie domagać i od zwiedzających. Uwydatniło się to zwłaszcza przy przechodzeniu przez parterowy pokój narożny i kaplicę, gdzie spoczywały zwłoki Marszałka”. Stanisław Gryga uczynił również interesujące spostrzeżenie stwierdzając, że „był wszakże za Jego [Piłsudskiego – M.K.] życia w Jego bezpośrednim otoczeniu”, przez co wydawał się „być integralną częścią Muzeum, jedną z pamiątek po Marszałku”<sup>124</sup>.

---

<sup>123</sup> AAN, MJPB, sygn. 14. *Wniosek o odkomenderowanie wachm. Piechowiaka z 1 dyonu żandarmerii do Muzeum z 13 VIII 1936 r.*

<sup>124</sup> AAN, MJPB, sygn. 7, k. nr 12. *Uwagi o muzeum Marszałka Piłsudskiego w Belwederze z 14 V 1937 r.*

Zgoła inny obraz pracy Wójcika jako przewodnika wylania się z pisma z 24 maja 1939 r. Jest to bowiem zażalenie na wyżej wspomnianego wniesione przez Zofię Pachońską, dyrektorkę Państwowego Gimnazjum Krawieckiego w Częstochowie. Powołuje się ona na fakt, jaki miał mieć miejsce 20 maja tegoż roku. Otóż tego dnia między godziną 13:30 a 14:30 grupa uczennic pod opieką dwóch nauczycielek zwiedzała Muzeum w Belwederze. Grupa – zapewne z takich samych przyczyn jak w przypadku pierwszej relacji – została podzielona na dwie części. Jedna 24 osobowa część zwiedzała ekspozycje z innym przewodnikiem, natomiast grupa 10 uczennic z tego Gimnazjum była oprowadzana przez Wójcika. Była to grupa łączona z Uniwersytetem Ludowym z Wołynia. Miało wówczas dojść do konfliktu, w trakcie którego przewodnik miał określić wiedzę uczennic, używając przytoczonych w zażaleniu słów, że ich wiedza jest na „dwa z dwoma minusami”. Dyrektorka potwierdzała zainteresowanie i duży zakres wiadomości u zwiedzających z Uniwersytetu Ludowego, „co jednak – jak pisze – nie upoważniło p. Chorążego do ironizowania na samym wstępie w ogóle wiadomości uczennic gimnazjów”. Wskazywała przy tym, iż „sposób przeprowadzania objaśnień mógł być nawet ciekawy i pobudzający do reagowania i zainteresowania zwiedzających, jednak nie powinien był doprowadzić do ironicznych i sarkastycznych uwag”. Opiekunki, gdy zauważyły „wstrzymywanie się od odpowiedzi” uczennic, które wg nich wiedzę posiadały, „chcąc zatrzeć wrażenie poprzednich uwag zwróciły się ze względów wychowawczych o to, aby p. Wójcik poprzestał jedynie na udzielaniu objaśnień podczas oprowadzania, a zaniechał klasyfikowania uczennic”. Na tę interwencję miał on zaproponować nauczycielkom opuszczenie sali, „a nawet zażądał tego kategorycznie oświadczając, że sposobu objaśnień nie zmieni”<sup>125</sup>. W archiwum Muzeum Józefa Piłsudskiego zachowała się odpowiedź, jaką dyrektor

<sup>125</sup> Dyrektorka Gimnazjum potwierdziła, iż „Panie nauczycielki nie chcąc zakłócać nastroju należnego Belwederowi opuściły wycieczkę. Opisane tu zajście określiła ponadto jako przekreślające autorytet nauczycielek wobec uczennic i prawo interwencji i obrony młodzieży przed – co warto podkreślić – złośliwym klasyfikowaniem ich wiedzy. Dodała także, iż to nie może pozostać bez echa. W ostatnim zdaniu Dyrekcja zwraca[ła] się z uprzejmą prośbą do Zarządu Muzeum w Belwederze o rozpatrzenie powyżej opisanego zajścia oraz dania satysfakcji paniom nauczycielkom wobec młodzieży przez p. Chorążego Wójcika”. Zob. AAN, MJPB, sygn. 11, pismo nr 351/39 z 24 V 1939 r.



Adam Borkiewicz wysłał w tej sprawie do Częstochowy. Dokument został sporządzony 31 maja 1939 r. Dyrektor w bardzo przekonujący sposób oczyścił go ze stawianych zarzutów<sup>126</sup>, podkreślając, że Chorąży był osobą prawą, honorową, o której po zapoznaniu się z życiorysem trudno byłoby komukolwiek powiedzieć słowo urągające jego dobremu imieniu. Dyrektor Muzeum określił go w swojej odpowiedzi jako wyborczego przewodnika, a także jako osobę prawdopodobną i spokojną, która nie potrafi być „ironiczna” i „sarkastyczna. Umie natomiast zainteresować młodzież, którą lubi oprowadzać po Belwederze”. W piśmie tym cenne są nie tylko przytoczone powyżej opinie na temat Wójcika. Rzuca ono przede wszystkim więcej światła na konflikt jaki zaszedł między nim a nauczycielkami z Częstochowy<sup>127</sup>.

---

<sup>126</sup> Przede wszystkim powołał się na opinie świadków, i to nie tylko na wspomnianą w treści anonimową zgorszoną publiczność, ale również na p. Dodacką oraz p. Stoklińską, honorowe przewodniczki w Muzeum. Pierwsza z nich została określona mianem osoby poważnej i wysoce inteligentnej, natomiast o drugiej wiadomo, iż była najprawdopodobniej pracownicą lub działaczką Komunalnej Kasy Oszczędnościowej miasta stołecznego Warszawy. Były to zatem osoby, po pierwsze, nie zaangażowane w opisany konflikt, i po drugie, nie związane żadnymi formalnymi zależnościami z Muzeum. Ich praca była honorowym wolontariatem. Można więc przyjąć, iż byli to świadkowie wiarygodni. Odpowiedź dyrektora opierała się również na meldunku Walentego Wójcika.

<sup>127</sup> Jak wynikało z pierwszych słów pisma, dyrektorka Gimnazjum została mylnie poinformowana o przebiegu zajęcia. Najmniej istotną sprawą była nieścisłość w określeniu składu grupy, jednak warto ją przytoczyć. Grupa mianowicie składała się z uczennic z Częstochowy, młodzieży z Wołynia oraz nie wymienianych wcześniej kilku osób z Poznania. Ważniejsze jest natomiast, że *„od samego początku – jak podaje – panie nauczycielki Gimnazjum wypowiadały swe krytyczne uwagi, zwłaszcza gdy młodzież z Wołynia ujawniała lepsze wiadomości od (ich – przypis autora) uczennic”*. Gdy grupa weszła do pokoju balkonowego na I piętrze Walenty Wójcik powiedział, że „tu zamieszkał po swym wyborze Pierwszy Prezydent RP, po czym zapytał się uczniów: czy wiecie, jak się nazywał?”. Jedna z uczennic z Częstochowy odpowiedziała na pytanie, że był to Stanisław Wojciechowski, co było oczywiście odpowiedzią błędną. „Na to chor. Wójcik żartobliwie rzekł – jak na liceum, to z historii dwa z dwoma minusami”. Jak widać z powyższego była to wesoło rzucona uwaga, która mogłaby nie wywołać żadnych reperkusji gdyby nie pewien fakt. Otóż ktoś starszy z grupy odezwał się, że ten brak wiedzy u uczennic „to wina nauczycielki”. Te poczuły się dotknięte, co wywołało „bardzo ostrą reakcję jednej z pań nauczycielek, skierowaną przeciw przewodnikowi, który nie orientował się z początku, że pani jest nauczycielką uczennic z jego grupy”. Po-

Zwiedzanie sal w Muzeum trwało przeciętnie od 45 minut do godziny, a Wójcik oprowadzając wycieczki prowadził wyjaśnienia systemem pogadanki<sup>128</sup>. Zawsze – jak wspominał jego syn – ubrany był wówczas

wstał zatarg, i próby uspokojenia sytuacji przez Wójcika nie dawały rezultatów. „Kilkakrotnie prosił obie panie, by uspokoiły się, swe uwagi czy niezadowolenia zakomunikowały dyrektorowi Muzeum, a nie przeszkadzały jemu mówić i innym osobom słuchać”. Jak zatem widać, przewodnik sam kierował nauczycielki do dyrektora. Jest to zdaniem autora jeszcze jeden argument przemawiający za tym, iż konflikt został wywołany nie przez Walentego Wójcika ale przez nauczycielki z Częstochowy. Próbował on – jak już było wspomniane – konflikt załagodzić, „jednak panie nauczycielki nie raczyły zastosować się do tego, kontynuując zatarg. Zakłócały one swym agresywnym zachowaniem” – jak jest to określone w liście dyrektora – „spokój, nakazany regulaminem dla zwiedzających”. Nie mając w tej sytuacji innego wyjścia Wójcik zlikwidował zajście zgodnie z zarządzeniami dyrektora, czyli wykluczył obie panie nauczycielki ze swej grupy. Znamienne, że nie interweniowały one w tej sprawie na miejscu u dyrektora Muzeum, a jak wynika z pisma „wyszły z Belwederu, głośno wypowiadając swe groźby”. Jedna z nich groziła interwencją swojego ojca generała „wywołując zgorszenie wśród publiczności”. Istotnie, 30 maja 1939 r. miała miejsce interwencja w sprawie tego zajścia, jednak wojskowego w stopniu nie generała, a pułkownika. Niestety nie zachowała się w dokumentach żadna szersza notatka na ten temat. Można jednak przyjąć, że był to ojciec jednej z pań, który zgodnie ze słowami córki, interweniował w jej sprawie. Wracając do wydarzeń z 20 maja. Bezpośrednio po zajściu inne osoby z grupy prowadzonej przez Wójcika złożyły zażalenie na nauczycielki z Częstochowy, zarzucając im zakłócanie spokoju w Belwederze. Warto nadmienić, że również p. Dodacka prowadząca drugą grupę uczennic Gimnazjum z Częstochowy twierdziła, że była „zaskoczona brakami wiadomości o życiu Wskrzesiciela Polski Niepodległej i w ogóle z historii Polski Współczesnej wśród uczennic”. Dodaje także, iż uczennice te nie „wstrzymywały się od odpowiedzi – jak podawała w liście dyrektorka Gimnazjum – lecz nie pytane nawet popisywały się wiadomościami”. W konkluzji swojego listu dyrektor Adam Borkiewicz wyraża swoje przypuszczenie, że „ujawnienie powyższego stanu – czyli braków w wiedzy uczennic – stało się powodem wywołania zajścia w Belwederze przez [...] jedną z tych pań”. Obrona Wójcika została w liście dyrektora Muzeum przedstawiona tak rzeczowo, że nie sposób wprost nie uwierzyć w jego niewinność. Argumenty oraz powołanie się na wspomnianych świadków pozwala bowiem zupełnie inaczej spojrzeć na całe to zajście.

<sup>128</sup> AAN, MJPB, sygn. 11. *Pismo nr 363/39 z 31 V 1939 r.* Pałac Belwederski podzielony na trzy części. Jedna obejmowała te pomieszczenia, które za życia Józefa Piłsudskiego były zajmowane przez biura i mieszkania współpracowników. Po urządzeniu znalazły się w tej części usystematyzowane chronologicznie przedmioty związane z życiem Marszałka. Zajmowała ona kilka pokoi lewego skrzydła

w wojskowy mundur<sup>129</sup>. Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze w 1939 r. posiadało ponad 4500 eksponatów, które przedstawiały w bardzo wszechstronny sposób życie Pierwszego Marszałka Polski. Zbiór był na tyle cenny, że należało o niego dbać nie tylko doraźnie, ale i myśleć przyszłości, o ochronie dla przyszłych pokoleń. Dlatego też w obliczu narastających napięć na arenie międzynarodowej, zwiastujących zagrożenie działaniami zbrojnymi Polacy próbowali się do takiej sytuacji jak najlepiej przygotować. Przejawem była m.in. intensyfikacja działalności Ośrodka Obrony Przeciwlotniczej Warszawa (OPL). Każdy wojskowy budynek, zatem i Muzeum w Belwederze, musiało mieć przeszkolony w tym względzie personel. Intendent Wójcik, obok dyrektora Borkiewicza, pozostawał głównym odpowiedzialnym za koordynację tych działań. Dokumenty przychodzące z OPL zamienne kierowane były do obu pracowników placówki<sup>130</sup>. Urzędnikami

pałacu, oraz pomieszczenia na parterze lewej strony korpusu głównego. Część druga, w skład której wchodziły pokoje na pierwszym piętrze zajmowane przez niego w latach 1918-1922, została możliwie jak najwierniej odtworzona. Ostatnią część ekspozycji stanowiły pokoje w prawym skrzydle pałacu i częściowo na piętrze, które od 1926 do swej śmierci zajmował Marszałek z rodziną. Ta część pozostała nienaruszalna, co było równoznaczne z pozostawieniem wszystkiego na swoim miejscu, jak za życia Piłsudskiego.

<sup>129</sup> Relacja prof. Zbigniewa Wójcika z dn. 14 IX 2009 r.

<sup>130</sup> AAN, MJPB, sygn. 16. *Pismo L. dz. 763/Tjn. Opl. 39 z 20 V 1939 r.* Np. formularze zatytułowane „Karty powołania” dla organów służb OPL zostały przesłane 20 maja 1939 r. do dyrektora Muzeum, jednak „z urzędu” miały zostać przekazane do rąk chor. Wójcika. Podobnie było z pismem od Komendanta OPL z dnia 24 maja 1939 r. zawiadamiającym o przeprowadzanych dwa dni później pokazowych ćwiczeniach, które adresowane jest do Dyrektora Muzeum J. Piłsudskiego, z zaznaczeniem, że *do rąk chor. Wójcika*. Ćwiczenia miały się odbyć 26 maja o godzinie 17:00 na terenie 1-go pułku w pobliżu Cmentarza Powązkowskiego. Wziąć w nich mieli udział jako widzowie wszyscy komendanci OPL obiektów wojskowych. Miejscem zbiórki wyznaczonej na godzinę 16:40 był róg ul. Tatarskiej przy przystanku dla tramwajów nr 1 i 8 przy czwartej bramie cmentarnej, skąd uczestnicy mieli odjechać o godzinie 16:45 na miejsce ćwiczeń podstawionymi samochodami [AAN, MJPB, sygn. 17, k. nr 7.]. Tak też było z zarządzeniem pt. *Zapobieganie pożarów i opl domów*. Komendant pisał w nim o zapobieganiu i rozszerzaniu się pożarów w budynkach oraz o przygotowaniu obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej domów mieszkalnych. Ręczny dopisek niebieską kredką na marginesie tego dokumentu świadczy, iż sprawa dopilnowania wykonania powyższego zarządzenia została polecona Walentemu Wójcikowi [AAN, MJPB,

dyżurnymi obiektu zostali wachmistrz Piechowiak i p. Kluszczyński, komendantem pogotowia przeciwpożarowego wachmistrz Kozera, za bezpieczeństwo odpowiadał por. Kaszycki ze Szwadronu Ochronnego 1 Dywizjonu Żandarmerii. Pogotowia technicznego natomiast należało w razie potrzeby żądać z obiektu Kwatery Głównej, a Drużyny sanitarno-ratunkowej i Drużyny odkażającej z GISZu<sup>131</sup>. Miejszem urzędowania komendanta obiektu, jego zastępcy, urzędników dyżurnych oraz komendanta pogotowia przeciwpożarowego była kancelaria Muzeum J. Piłsudskiego w Belwederze<sup>132</sup>.

W niecały rok po śmierci Marszałka, a nie jak podał Mieczysław Lepecki<sup>133</sup> w lecie 1935 r., Wójcik został chorążym. Z dokumentacji uposażenia żandarmów wynika, iż wydarzyło się to nie wcześniej niż w grudniu 1935 r. Do tego bowiem czasu Wójcik występował jako starszy wachmistrz<sup>134</sup>. Interesującej informacji w tym względzie dostarczył dyrektor Borkiewicz stwierdzając, że „wraz z ostatnimi adiutantami Pana Marszałka awansował chor. Wójcik”<sup>135</sup>. Potwierdza to *Wniosek na mianowanie personelu Muzeum* z 30 marca 1936 r., w którym Wójcik występuje już jako chorąży<sup>136</sup>. Omawiany okres można zawęzić zatem do nie więcej niż 4 miesięcy przełomu 1935 i 1936 r. W świetle kilkakrotnie

---

sygn. 17, k. nr 29.]. Instrukcja OPL z 1 czerwca 1939 r. miała zostać przekazana ppłk Borkiewiczowi bądź jego zastępcy chor. Wójcikowi [AAN, MJPB, sygn. 16, pismo L. 285/tjn/39 z 1 VI 1939 r.]. Kolejnym dokumentem kierowanym do niego było pismo z Kwatery Głównej Ministerstwa Spraw Wojskowych z 30 sierpnia 1939 r. O godzinie 22:20 Komendant OPL Zgrupowania Wojsk wysłał m.in. do Komendanta OPL Obiektu Muzeum J. Piłsudskiego Pana płk Borkiewicza i jego zastępcy chor. Wójcika zarządzenie o pogotowiu przeciwlotniczym. Na marginesie dopisano ręcznie: „światła wewnętrzne zasłonić”. Wygaszenie niepotrzebnych lamp oraz zakrycie pozostałych miało uczynić Muzeum niewidocznym z powietrza, a tym samym ustrzec je przed zbombardowaniem przez nieprzyjaciela [AAN, MJPB, sygn. 17, k. nr 60.].

<sup>131</sup> AAN, MJPB, sygn. 17, k. nr 76. *Imienna lista przydziałów OPL Obiektu Muzeum im. J. Piłsudskiego* (brak daty).

<sup>132</sup> AAN, MJPB, sygn. 17, k. 77. *Wykaz miejsc urzędowania Komendanta Obiektu OPL Muzeum Marsz. J. Piłsudskiego* (brak daty).

<sup>133</sup> M. Lepecki, *op. cit.* s. 81.

<sup>134</sup> CAW, 1 Dyon Żand., I 375.1.61. *Wykaz uposażenia Szwadronu Ochronnego 1 Dyonu Żand. za m.b. grudzień 1935 r.*

<sup>135</sup> AAN, MJPB, sygn. 5. *Pismo L. 160/36/pf. z 29 IV 1936 r.*

<sup>136</sup> AAN, MJPB, sygn. 5. *Pismo L. 101/36 z 30 III 1936 r.*

przytaczanego roku 1935, jako daty awansu, m.in. przez Mieczysława Lepeckiego i Halinę Wójcikównę<sup>137</sup>, można przyjąć, iż awans Wójcika nastąpił najprawdopodobniej w grudniu 1935 r. Był zarazem najwyższym stopniem wojskowym, jaki żołnierz mógł osiągnąć bez matury, mimo że – jak wspominał syn – w szkole podoficerskiej był prymusem. Przytoczone słowa dają podstawę do twierdzenia, iż Walenty Wójcik prymusem był na kursie organizowanym dla podoficerów przed awansem na stopień chorążego. Autor nie dotarł do dokumentów wskazujących, iż Wójcik taki kurs w ogóle przeszedł, jednak ówczesne obowiązujące przepisy wykluczały raczej jego ominięcie.

#### Zawierucha wojenna

Pod koniec sierpnia 1939 r., w sytuacji zagrożenia wybuchem wojny, część pracowników Muzeum Józefa Piłsudskiego została zmobilizowana. Dotyczyło to m.in. dyrektora ppłk Borkiewicza, który 31 sierpnia 1939 r. meldował MSWojsk. objęcie stanowiska według przydziału<sup>138</sup>. Zanim do tego doszło, zdążył zarządzić by większość zbiorów i akt złożyć w piwnicach Belwederu „w tzw. Kaplicy, której okna są opatrzone workami z piaskiem”<sup>139</sup>. Z kolei najcenniejsze pamiątki zostały przygotowane do ewakuacji poza granice Polski<sup>140</sup>.

<sup>137</sup> J. Kochański, *op. cit.*, s. 475.

<sup>138</sup> AAN, MJPB, sygn. 16. *Pismo nr 78/pfn/39*.

<sup>139</sup> Jak pisała do Komendanta Miasta Zdzisława Borkiewiczowa, zastępująca najwyraźniej czasowo w obowiązkach swojego męża. AAN, MJPB, sygn. 12. *Dokument nr 34* (nie datowany).

<sup>140</sup> Jak informowała w ww. piśmie jego autorka: „Srebrne i złote przedmioty zostały wywiezione przez wachmistrza Kozere wraz z papierami z Ministerstwa Spraw Wojskowych”. Zob. *ibidem*. Powyżej przytoczony dokument potwierdza jedną z wersji przebiegu ewakuacji eksponatów z Muzeum. Jedną z, ponieważ za ratowanie tych najważniejszych, bo osobistych pamiątek po Marszałku, odpowiedzialny był przecież Walenty Wójcik, o czym wyżej cytowana nie wspomina. Nie udało się również autorowi na dzień dzisiejszy odnaleźć żadnego innego dokumentu wspominającego o jego udziale w tym przedsięwzięciu. Potwierdza to jednak wiele osób, poczynając od młodszej córki Marszałka Jadwigi Piłsudskiej-Jaraczewskiej (Relacje Jadwigi Piłsudskiej-Jaraczewskiej z dn. 19 VIII 2007 r. oraz z dn. 14 IX 2008 r.), poprzez dzieci Walentego (Relacja prof. Zbigniewa Wójcika z dn. 10 IX 2006 r., 18 VIII 2007 r., 10 II 2008 r., 1 IX 2009 r. oraz z dn. 13 X 2009 r.), a kończąc na m.in. prof. Waławie Jędrzejewiczu.

Postawę Wójcika w pierwszych dniach wojny najlepiej oddają wspomnienia Haliny Wójcikówny: „pamiętam dobrze dzień 10 września 1939 roku. Sulejówek, nasz dom rodzinny. Wojna, popłoch, panika, Warszawa płonie, bombardowania. Mój ojciec nagle wpada do domu. Szybko, szybko! Gdzieś gna go poczucie obowiązku żołnierskiego. Kilka zdań ze zrozpaczoną moją matką, kilka całusów dla mnie i dla mojego brata, do widzenia kochani, do zobaczenia najdrożsi – drzwi się zamknęły i już nigdy go nie zobaczyliśmy. Poszedł z wiarą, że bardziej potrzebny jest Polsce niż rodzinie”<sup>141</sup>. Córka Walentego Wójcika, podobnie jak i jego syn<sup>142</sup>, podają dzień 10 września jako datę, która rozpoczęła śpieszną ewakuację najcenniejszych eksponatów z Muzeum. Jednakże zdaniem Anny Borkiewicz-Celińskiej, córki dyrektora Muzeum, eksponaty miały zostać wywiezione już 3 lub 4 września 1939 r.<sup>143</sup>. Natomiast Wacław Jędrzejewicz inaczej przedstawia przebieg ewakuacji Muzeum: „Bezpośrednio przy przejściu granicy rumuńskiej w Kutach 17 września 1939 roku zetknąłem się w Czerniowcach z Ministrem Henrykiem Floyar-Rajchmanem, który opiekował się transportem majątku Funduszu Obrony Narodowej, skierowanym do Bukaresztu. W transporcie tym znajdowało się parę skrzyń i waliz z przedmiotami należącymi do rodziny Marszałka Piłsudskiego”. Jak wiadomo, ewakuacja FON rozpoczęła się 5 września<sup>144</sup>, co zgadzałoby się mniej więcej z datą podaną przez Borkiewicz-Celińską. Jednak należy podkreślić pewną – jak się wydaje – nieścisłość relacji Jędrzejewicza. Otóż we fragmencie wspomnień publikowanych w paryskich „Zeszytach Historycznych” napisał, iż „ponadto oddzielnie przybyła do ambasady wielka skrzynia z rękopisami marszałka Piłsudskiego, jego szablami, mundurem i innymi pamiątkami z Muzeum Belwederskiego”<sup>145</sup>. Z powyższego wynika zatem, że pamiątki eskortowane m.in. przez Wójcika nie były wywożone tym samym transportem, którym Floyar-Rajchman przewoził majątek FONu. Przybyły one bowiem do ambasady w Bukareszcie w różnym czasie.

---

<sup>141</sup> J. Kochański, *op. cit.*, s. 487.

<sup>142</sup> Relacja prof. Zbigniewa Wójcika z 14 X 2009 r.

<sup>143</sup> A. Borkiewicz-Celińska, *op. cit.*, s. 209.

<sup>144</sup> H. Noskowicz-Bieronowa, *Kto ukradł złoty FON?*, Kraków 1991, s. 11.

<sup>145</sup> W. Jędrzejewicz, *Fundusz Obrony Narodowej w czasie 2-jej Wojny Światowej*, „Zeszyty Historyczne” 1962, t. LXXIII, s. 163.

Pewne rozbieżności dotyczą również wskazania, kto ewakuował omawiane pamiątki. Wspomnienie Zdzisławy Borkiewiczzowowej, zastępującej męża nie wspomina o Wójciku. Równie znaczące różnice występują we wspomnieniach Jędrzejewicza, który wskazywał, iż od granicy polsko-rumuńskiej „eskortę tych przedmiotów stanowili chorąży Walenty Wójcik i sierżant żand. Kozera”, którzy z ambasady polskiej w Bukareszcie „zabrali dwie walizki rękopisów Marszałka Piłsudskiego, mundur, buławę i inne przedmioty pamiątkowe i 13 października 1939 r. zawieźli je pod opiekę posła Tarnowskiego do Sofii”<sup>146</sup>, ale w innym miejscu stwierdził, że eskortę transportu zawiezonego pod opiekę posła Adama Tarnowskiego do stolicy Bułgarii stanowił tylko sierż. Władysław Kozera<sup>147</sup>. Faktyczną wersję wydarzeń potwierdziła jednak Anna Borkiewicz-Celińska podając, iż obaj wspomniani pracownicy Muzeum eskortowali je zarówno z Warszawy do Bukaresztu, jak i później do Sofii<sup>148</sup>.

Próba ustalenia co dokładnie przewozili Wójcik i Kozera napotka się istotne rozbieżności. Jędrzejewicz bowiem podaje, iż „były to wielkie skrzynie z rękopisami, szable Marszałka, mundur, czapka, buława, część archiwum Kapituły Orderu Virtuti Militari oraz inne pamiątki z Muzeum Belwederskiego”<sup>149</sup>, by w drugiej wersji swoich wspomnień ograniczyć się do stwierdzenia, że była to jedna, „wielka skrzynia”<sup>150</sup>. Oba fragmenty dotyczyły okresu, gdy pamiątki były przewożone z Polski do Rumunii. Później miały zostać – ze względu na swoją pojemność – podzielone na dwa transporty. Jeden – jak już wspomniano – eskortowali Wójcik i Kozera. Były to dwie walizy zawierające m.in. rękopisy Marszałka, jego mundur i przedmioty pamiątkowe. Drugi transport zawierał worek z szablami pamiątkowymi Piłsudskiego<sup>151</sup>. Profesor nie wspomniał przy tym o trzecim transporcie, który sam ewakuował do Paryża. Miały się w nim znaleźć przywiezione do Bukaresztu przez Wójcika i Kozere dokumenty

---

<sup>146</sup> Cyt. za: A. Borkiewicz-Celińska, *op. cit.*, s. 229.

<sup>147</sup> W. Jędrzejewicz, *op. cit.*, s. 165.

<sup>148</sup> A. Borkiewicz-Celińska, *op. cit.*, s. 209.

<sup>149</sup> Cyt. za: *Ibidem*, s. 229.

<sup>150</sup> W. Jędrzejewicz, *op. cit.*, s. 165.

<sup>151</sup> *Ibidem*.

Archiwum Kapituły Orderu Virtuti Militari<sup>152</sup>. Szczegółowego spisu eksponatów wywiezionych z Muzeum w pierwszych dniach września dostarczyła p. Borkiewicz-Celińska. Prócz licznych medali, odznak, drobnej biżuterii, papierośnic, szabel i broni palnej Marszałka oraz innych pamiątek, na uwagę zasługują takie przedmioty jak koszulka chrestna Piłsudskiego, kurtka mundurowa z odznaczeniami czy np. srebrna buława i klucze do Wilna<sup>153</sup>.

Uporządkować należałoby w tym miejscu wydarzenia z biografii Wójcika w pierwszych miesiącach wojny, które nieodłącznie związane były z ewakuacją pamiątek z Belwederu, oraz do pewnego momentu z losem Władysława Kozery. Nie jest znany dokładny dzień odprawienia transportu z Warszawy. Przyjąć więc należy, iż miało to miejsce 3, 4 lub 10 września. W trakcie podróży obaj pracownicy Muzeum musieli stawiać czoła licznym przeciwnościom, które wymagały od nich samozaparcia, inicjatywy, pomysłowości, a zwłaszcza odwagi<sup>154</sup>. Helena Noskowicz-Bieronowa w pracy, pt. *Kto ukradł złoty FON?*, opisując ewakuację majątku FON, odprawianego z Polski w podobnym czasie co transport z Belwederu, który musiał przecież poruszać się zblizoną trasą, stwierdziła: „Transport umykał przed frontem, przed niemieckimi nalotami bombowymi, omijał bombardowane stacje, unikając kontaktu z wojskami radzieckimi wkraczającymi do Polski”<sup>155</sup>. Ten krótki opis oddaje po trosze atmosferę, w której działali w tych dniach Wójcik i Kozera. Dnia 17 września 1939 r. przekroczyli w Kutach granicę i skierowali się do Bukaresztu. W polskiej ambasadzie w Rumunii 3 października komisja, w skład której wchodził m.in. wspomniany już Henryk Floyar-Rajchman i Wacław Jędrzejewicz, zdecydowała aby „skrzynię belwederską przesłać Prezydentowi Raczkiewiczowi i prosić go o opiekę nad nią”. Następnie pamiątki po Piłsudskim podzielono na dwa transporty. Nad jednym z nich czuwał Wójcik i Kozera. Walizy z pamiątkami eskortowali do Sofii, gdzie przekazali je na czasowe przechowanie posłowi Adamowi Tarnowskiemu. W tym

---

<sup>152</sup> A. Borkiewicz-Celińska, *op. cit.*, s. 209.

<sup>153</sup> *Ibidem*, s. 227-228.

<sup>154</sup> *Ibidem*, s. 209.

<sup>155</sup> H. Noskowicz-Bieronowa, *op. cit.*, s. 11-12.



miejscu – wg prof. Zbigniewa Wójcika – drogi jego ojca i wachmistrza Kozery rozeszły się<sup>156</sup>. Nie wiadomo jakie było dalsze koleje losów ostatniego. Wójcik ruszył w dalszą podróż by przekazać pamiątki z Muzeum polskim władzom na uchodźstwie.

Kolejnym etapem podróży Wójcika była Francja, gdzie zgłosił się do Stacji Zbornej w koszarach Bessieres na Boulevard Bessieres w Paryżu<sup>157</sup>. Następnie – najprawdopodobniej na uprzednią prośbę wdowy po Marszałku<sup>158</sup> – został przydzielony do Domu Wojskowego Prezydenta Rzeczypospolitej Władysława Raczkiewicza, jako jego ochroniarz<sup>159</sup>.

Wójcik wraz z Prezydentem miał okazję się spotkać już wcześniej, w latach 1926-1930, gdy Władysław Raczkiewicz pełnił funkcję wojewody wileńskiego. „Ojciec jeździł z Marszałkiem – relacjonował Zbigniew Wójcik – więc Raczkiewicz za każdym pobytym Piłsudskiego widział Wójcika i nawet witał się z nim”. Dodaje także, iż „ojciec ogromnie dużo zawdzięczał Raczkiewiczowi”<sup>160</sup>. Wpływ na tę opinię miała zapewne sytuacja w jakiej znalazł się on we Francji. Przydzielenie do osoby Prezydenta, zdaniem syna „uchroniło go od przesłuchań, gdyż, jak wiem żandarmeria gen. Sikorskiego usiłowała zmusić ojca do złożenia zeznań szkalujących pamięć Marszałka Piłsudskiego. Oczywiście bezskutecznie”<sup>161</sup>. Do przesłuchania jednak musiało dojść, ponieważ – jak podaje dalej prof. Wójcik - próbowano mu wmówić, iż był świadkiem morderstwa popełnionego przez Józefa

---

<sup>156</sup> Relacja prof. Zbigniewa Wójcika z dn. 2 IX 2009 r.

<sup>157</sup> IPMS, Kancelaria Cywilna Prezydenta RP, Gabinet Wojskowy, Akta 1939-1941, sygn. A.48.Z II.7, nr dok. 21.

<sup>158</sup> Relacja prof. Zbigniewa Wójcika z 2 IX 2009 r. Według niej Aleksandra Piłsudska zwróciła się do gen. Kazimierza Sosnkowskiego z prośbą o umieszczenie gdzieś Walentego Wójcika. Generał miał rozmawiać z prezydentem Władysławem Raczkiewiczem i ten przyjął go do swojego Gabinetu Wojskowego; Autor skontaktował się korespondencyjnie z Instytutem Józefa Piłsudskiego w Ameryce w celu poddania kwerendzie zespołu akt „Archiwum Generała Kazimierza Sosnkowskiego”. Pozycja nr 32 zawiera bowiem kopie notatek z rozmów z prezydentem Władysławem Raczkiewiczem. Są one jednak niezwykle lakoniczne i nie zawierają niestety żadnej wzmianki o Walentym Wójciku.

<sup>159</sup> *Dzienniki czynności Prezydenta RP Władysława Raczkiewicza 1939-1947*, oprac. Jacek Piotrowski, t. I, Wrocław 2004, s.178.

<sup>160</sup> Relacja prof. Zbigniewa Wójcika z dn. 3 IX 2009 r.

<sup>161</sup> Z. Wójcik, *Ludzie Belwederu...*, s. 28.



Walenty Wójcik we Francji w 1940 r. (zbiory prof. Z. Wójcika)

Piłsudskiego<sup>162</sup>. Wójcik zaprzeczając temu raz jeszcze miał okazję dowieść swej lojalności, której nie osłabiła nawet śmierć Marszałka.

W obliczu zagrożenia niemiecką ofensywą we Francji, Wójcik wraz z innymi Polakami został na początku czerwca 1940 r. przeniesiony do Libourne, niedaleko Bordeaux w południowo-zachodniej części kraju. Dnia 18 czerwca znalazł się na pokładzie statku „Madura” i ewakuował się do Anglii<sup>163</sup>, gdzie dotarł w nocy z 20 na 21 czerwca. Z Falmouth pociągiem udał się do Londynu<sup>164</sup>, gdzie przekazał uratowane pamiątki po Marszałku

---

<sup>162</sup> Relacja prof. Zbigniewa Wójcika dla autora z dn. 10 IX 2006 r.; Możliwe, że chodzi tu o sprawę morderstwa wachmistrza Stanisławy Koryzmy zastrzelonego na tarasie pod oknami Belwederu w grudniu w nocy z 4 na 5 grudnia 1928 r. W. Jędrzejewicz, *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*, t. II, Warszawa 1989, s. 322.

<sup>163</sup> Wraz z nim tą drogą ratowało się wielu członków Domu Prezydenta RP z rodzinami, urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Skarbu z rodzinami, członkowie Rady Narodowej RP Adam Ciołkosz i Szwarzbardt, Pani Stanisława Kukielowa i Pani Ida Kotowa, ogn. Mossakowski, trzech szoferów wojskowych oraz służba. Łącznie było to ok. 80 Polaków, pozostających pod kierownictwem ministra Jana Wszelakiego, dyplomaty. *Dzienniki...*, s. 178.

<sup>164</sup> *Ibidem*, s. 181-182; Prezydent został poinformowany o przybyciu wyżej wymienionych osób dnia 22 czerwca 1940 o godzinie 11 przez p. A. Piotrowskiego.

jego żonie, Aleksandrze Piłsudskiej. Jeden z uratowanych przez niego przedmiotów we wrześniu 1939 r. – szabla, wisi obecnie w prywatnym pokoju pamięci urządzonym przez siostry Piłsudskie w ich londyńskim mieszkaniu. „Kiedyś popatrzyłam na tę szablę<sup>165</sup> – mówiła Halina Wójcikówna – Boże!, pomyślałam sobie, to ta szabla jest teraz tym dowodem wierności mojego ojca<sup>166</sup>. W Londynie Wójcik zamieszkał w wynajętej dla Prezydenta wili przy Campden Hill Road Nr 6, w której znaleźli również schronienie mjr Stanisław Skarbek, por. Wiesław Kłobukowski, A. Piotrowski oraz służba<sup>167</sup>. Dnia 12 października 1940 r. Prezydent wraz z osobami ze swojego najbliższego otoczenia, w tym Wójcikiem, przeniósł się na Grosvenor Square Nr 15.



*Walenty Wójcik na zdjęciu z okresu pobytu w Anglii (zbiory prof. Z. Wójcika)*

Dwa dni później, 14 października, miało miejsce tragiczne w skutkach bombardowanie Luftwaffe. Naloty na stolicę Anglii były niemiecką próbą skruszenia oporu Anglików, którą Wójcik przyplacił życiem. W Dzienniku Czynności Prezydenta RP<sup>168</sup> zanotowano: „19:00. Rozpoczęło się bardzo intensywne bombardowanie. Jedne z pierwszych padły 2 bomby na Grosvenor Square. W tym momencie kończono obiad<sup>169</sup>. Jak wynika z relacji

<sup>165</sup> Polska szabla oficerska ofiarowana Józefowi Piłsudskiemu przez oficerów I Brygady Legionów w II rocznicę wymarszu „1 Kompani Kadrowej” – (Wolyń, Piaseczno, 6 VIII 1916 r.). Zob. *Pamiętki po Józefie Piłsudskim: powrót po 65 latach*, opis eksponatów G. Nowik, Warszawa 2005, s. 16.

<sup>166</sup> J. Kochański, *op. cit.*, s. 487.

<sup>167</sup> *Dzienniki...*, s. 206.

<sup>168</sup> Dzienniki czynności Prezydenta RP Władysława Raczkiewicza prowadzone były przez por. Wiesława Kłobukowskiego, Adiutanta Prezydenta RP i Zygmunta Szczepańskiego, urzędnika cywilnego Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP.

<sup>169</sup> *Dzienniki...*, s. 256; Różniącą się szczegółami relacje z tych wydarzeń przekazał Aleksandrze Piłsudskiej mjr Stanisław Skarbek. Napisał on bowiem, że bom-

mjr Stanisława Skarbka Wójcik jako „wzór obowiązkowości i sumiennosci chcąc zorientować się w sytuacji zeszedł przed dom, w tym momencie zrzucił samolot serię bomb, z których jedna rozwalila sąsiedni dom i hall domu naszego. [...] Śp. Wójcik stojąc przy bramie wejściowej otrzymał parę odłamków w brzuch i w nogę – stan jego od razu był beznadziejny – a kiedy jeden z naszych przybiegł do niego, pierwsze jego słowa były: „Czy Panu Prezydentowi nic się nie stało i czy wszyscy żyją?”<sup>170</sup>. Według zapisu pochodzącego z Dzienników Czynności Prezydenta RP „po wybuchu pierwszej bomby chor. Wójcik zszedł na dół, by zobaczyć rezultaty pobliskiego wybuchu, gdy druga bomba, zawadziwszy o komin domu Nr 15, przebiła się przez 3 piętra sąsiedniego domu Nr 16 i wybuchła na parterze, burząc całkowicie dom Nr 16, częściowo dom Nr 17 i rozwalając ścianę parterową domu Nr 15. Odłamki bomby i gruz ścian o 3-stopowej grubości poraniły śmiertelnie chor. Wójcika”<sup>171</sup>. „Chorąży Wójcik – jak zapisano dalej – został przewieziony do szpitala w stanie nie rokującym

---

bardowanie rozpoczęło się o godzinie 19:30 i siedziano wówczas w jadalni nie przy obiedzie, a przy kolacji. Podkreślił, iż bombardowanie rozpoczęło się „bardzo intensywnie i potęgowało się z minuty na minutę”. Zob. IPMS, Kancelaria Cywilna Prezydenta RP, Gabinet Wojskowy, Akta 1939-1941, sygn. A.48.Z II.7, nr dok. 21. Z kolei Naczelny Lekarz Miasta dr Bednarski, pisząc do Komendanta Miasta w Londynie, relacjonował, iż opisywany wypadek zdarzył się o północy.

<sup>170</sup> IPMS, Kancelaria Cywilna Prezydenta RP, Gabinet Wojskowy, Akta 1939-1941, sygn. A.48.Z II.7, nr dok. 21.

<sup>171</sup> W dalszej części sporządzonej notatki autor opisał inne straty, jakie spowodował nalot. W domu prezydenta ciężko ranny został w holu portier i pewien Anglik. Bardzo zniszczone zostało również samo pomieszczenie. W całym budynku wypadły wszystkie szyby, a w mieszkaniu prezydenta Raczkiewicza miejscami uszkodzona została nawet stolarka okienna. Ściany jadalni, w której podczas bombardowania przebywał Prezydent z rodziną, mjr Skarbek oraz por. Kłobukowski, a którą w przerwie między bombami opuścił Walenty Wójcik, zarysowały się jedynie. Tylko mocna żelbetonowa konstrukcja domu nr 15 uchroniła ich przed losem Wójcika, a także osób przebywających na parterze w holu. Wszyscy przeżyli. Ponieważ naloty trwały całą noc, prezydent Raczkiewicz z rodziną spędził ją w nieuszkodzonym schronie swojego domu. *Dzienniki...*, s. 256; Warto w tym miejscu przytoczyć kolejny fragment listu mjr Stanisława Skarbka: „Pan Prezydent tylko cudem uniknął śmierci, bo dzieliła nas jedynie ściana od trafionego domu, przy czym hall zasypany znajdował się pod jadalnią”. Zob. IPMS, Kancelaria Cywilna Prezydenta RP, Gabinet Wojskowy, Akta 1939-1941, sygn. A.48.Z II.7, nr dok. 21.

nadziei życia<sup>172</sup>. Wg relacji dr Bednarskiego miał on uszkodzone w kilku miejscach jelita oraz złamane obie kości podudzia lewego, a także stracił dużo krwi. Nadzwyczajne środki, podjęte w szpitalu St. George's przy Blackshaw Road, m.in. kilkakrotne transfuzje krwi nie dały rezultatów<sup>173</sup>. 15 października, dzień po nalocie, był jeszcze przytomny. O godzinie 10.50 odwiedził go dr Bednarski<sup>174</sup>, a kilka minut później przybył prezydent Raczkiewicz. W Dzienniku Czynności zapisano, że „stan rannego był najzupełniej beznadziejny”<sup>175</sup>. Prezydent ponownie odwiedził rannego następnego dnia<sup>176</sup>, ale kontakt był utrudniony z powodu tracenia przez Wójcika przytomności<sup>177</sup>. Kolejnego ranka, 17 października 1940 r. o godzinie 7:00 rano, Walenty Wójcik zmarł.

Kilka godzin później Prezydent rozmawiał z ks. Zygmuntem Kaczyńskim o położeniu uchodźstwa we Francji i możliwe, że wówczas podjęto także decyzję, iż to ks. Kaczyński poprowadzi najpierw mszę żałobną za duszę zmarłego Wójcika, a następnie jego pogrzeb. Dzień później o zaistniałych faktach mjr Stanisław Skarbek, szef Gabinetu Wojskowego Prezydenta RP, powiadomił Kwaterę Główną Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie oraz wdowę po Marszałku, Aleksandrę Piłsudską<sup>178</sup>. W liście do Marszałkowej opisał bardzo dokładnie wszystkie okoliczności poprzedzające tragiczny w skutkach nalot, jego przebieg oraz stan zdrowia Wójcika<sup>179</sup>.

Nabożeństwo żałobne miało miejsce dzień po śmierci o godzinie 11.00 w Kościele Polskim pw. Matki Boskiej Częstochowskiej i św. Kazimierza<sup>180</sup> przy Devonia Road w dzielnicy Islington<sup>181</sup>. Po mszy

<sup>172</sup> *Dzienniki...*, s. 256.

<sup>173</sup> IPMS, Kancelaria Cywilna Prezydenta RP, Gabinet Wojskowy, Akta 1939-1941, sygn. A.48.Z II.7, nr dok. 21.

<sup>174</sup> *Ibidem*.

<sup>175</sup> *Dzienniki...*, s. 257.

<sup>176</sup> *Ibidem*.

<sup>177</sup> IPMS, Kancelaria Cywilna Prezydenta RP, Gabinet Wojskowy, Akta 1939-1941, sygn. A.48.Z II.7, nr dok. 21.

<sup>178</sup> *Ibidem*.

<sup>179</sup> *Ibidem*.

<sup>180</sup> Parafia pw. Matki Boskiej Częstochowskiej i św. Kazimierza przy Devonia Road nazywana była „Domem” Rządu RP na Uchodźctwie - <http://www.parafia-devonia.org.uk/historia-kosciola.php> (11 VIII 2009)

<sup>181</sup> „Dziennik Polski”, 17.X.1940, nr 231, s. 4.

św. uczestnicy pogrzebu, wśród nich m.in.: Prezydent z małżonką, mjr Skarbek i por. Kłobukowski, gen. Józef Haller z adiutantem, dyr. Jeżdżewski, gen. Aleksander Osiński, gen. Bronisław Regulski, prezes Najwyższej Izby Kontroli Tadeusz Tomaszewski, Kamieniecki z konsulatu RP, pluton żandarmerii oraz ks. prałat Kaczyński z ks. rektorem Władysławem Staniszewskim – zebrali się w siedzibie domu Prezydenta<sup>182</sup>. Stąd wszyscy wyruszyli do katolickiej kaplicy przy Baker Street 5, gdzie leżała trumna z ciałem zmarłego. Został on „ubrany do trumny we własny, nowy, sukieny mundur ze wszystkimi odznaczeniami”<sup>183</sup>. Pogrzeb Wójcika rozpoczął się o godzinie 12.00. Najpierw ks. Kaczyński w asyście ks. Staniszewskiego odprawili modły nad trumną<sup>184</sup>, a następnie „Prezydent Raczkiewicz udekorował trumnę Krzyżem Walecznych [nadany pośmiertnie – M.K] w asyście gen. Bronisława Regulskiego i plutonu żandarmerii oraz osób z Kancelarii Cywilnej i Gabinetu Wojskowego”<sup>185</sup>. Po modlitwach ciało Wójcika zostało złożone na karawan motorowy i odprowadzone w kondukcje, któremu przewodniczył ks. Kaczyński na cmentarz St. Mary’s przy Harrow Road w Kensal Green<sup>186</sup>. Warto nadmienić, iż Wójcik był pierwszym pochowanym tam polskim żołnierzem. Jego nagrobek stanowi jasna płyta kamienna, opatrzona znakiem jednostki oraz inskrypcją<sup>187</sup>. Na mogile wieńce złożyli: Prezydenta RP z biało-czerwoną szarfą, dom wojskowy i cywilny oraz przyjaciele. Marian Drozdowski skonstratował: „Prezydent wziął udział w pogrzebie i nabożeństwie tego odważnego legionisty, który chronił życie marszałka Piłsudskiego i prezydenta Raczkiewicza”<sup>188</sup>. Był to

---

<sup>182</sup> *Dzienniki...*, s. 260; IPMS, Kancelaria Cywilna Prezydenta RP, Gabinet Wojskowy, Akta 1939-1941, sygn. A.48.Z II.7, dok. nr 21.

<sup>183</sup> IPMS, Kancelaria Cywilna Prezydenta RP, Gabinet Wojskowy, Akta 1939-1941, sygn. A.48.Z II.7, dok.nr 21.

<sup>184</sup> *Dzienniki...*, s. 260.

<sup>185</sup> M. Drozdowski, *Władysław Raczkiewicz Prezydent RP*, t. II, Warszawa 2002, s. 77.

<sup>186</sup> *Dzienniki...*, s. 260.

<sup>187</sup> K. Grodzińska, *Polskie groby na cmentarzach Londynu*, Kraków 1995, s. 132. Do tego grobu w późniejszym czasie złożono jeszcze pięciu poległych Polaków, a mianowicie: Stanisława Bartę, Jana Bartkiewicza, Józefa Fedaka, Mieczysława Rutkowskiego i nieznanego z imienia W. Sowińskiego.

<sup>188</sup> M. Drozdowski, *op. cit.*, s. 77.

niewątpliwie dowód uznania i wielkiego szacunku dla osoby Wójcika, który całe swoje życie oddał słusznej sprawie<sup>189</sup>.

### Epilog

Walenty Wójcik zmarł, jednak w pamięci potomnych przetrwał jako wspomniały człowiek, o którym niezapomniano do dziś, pomimo prawie siedemdziesięciu lat, jakie minęły od jego tragicznej śmierci. Odeszła osoba, po której pozostały jak najlepsze wspomnienia – rodzina, niezwykle oddana, kochająca Ojczyznę – postać, o której pamięć nie zaginęła wśród jego dużej rodziny po dziś dzień. Oto jak wypowiedziały się o nim dzieci. Córka określiła go mianem „człowiek-cień [który był] gotowy w każdej chwili”<sup>190</sup>. Dodała również, że ojciec był w gotowości przez cały czas „podczas prawie dwudziestu lat z Marszałkiem”<sup>191</sup>. Natomiast syn scharakteryzował go w sposób następujący: „był on dla mnie wielkim autorytetem moralnym, nauczycielem szczerego, nie tylko deklaratywnego patriotyzmu, człowiekiem nieskazitelnej uczciwości, do końca wiernym żołnierzem swego Komendanta”<sup>192</sup>. Młodsza córka Marszałka, Jadwiga Piłsudska-Jaraczewska stwierdziła, że „był lubiany i ceniony” oraz, „że wzbudzał szacunek”<sup>193</sup>. Przełożeni także nie szczędzili mu pochwał. Miał być „dzielny,

---

<sup>189</sup> Na uwagę zasługuje również fakt, iż prezydent Władysław Raczkiewicz w dniu 2 listopada 1940 r. po Mszy w intencji wszystkich poległych dotychczas w wojnie Polaków udał się na St. Mary Cementary, gdzie złożył wiązaną biało-czerwonych kwiatów na grobie śp. Chorążego Wójcika: *Dzienniki...*, s. 263. Kolejnym faktem, godnym zauważenia, są Msze Święte odprawiane za duszę zmarłego Walentego Wójcika. Jedna została odprawiona 21 października 1942 r. o godzinie 10:30 w kościele polskim przez biskupa Karola Mieczysława Radońskiego. Obecni na niej byli gen. Stefan Jacek Dembiński-Dembina, mjr S. Skarbek, por. W. Kłobukowski oraz p. Z. Szczepański. Zob. *Dzienniki...*, s. 613; Kolejna miała miejsce cztery lata później – w szóstą rocznicę śmierci Wójcika – a dokładnie 19 października 1946 r. Odprawiał ją ks. Plater. Wśród obecnych był prezydent Władysław Raczkiewicz oraz „domowi” oraz delegacja żandarmerii z kpt. [Jasielnickim?]. Zob. *Dzienniki...*, t. II, s. 594.

<sup>190</sup> J. Kochański, *op. cit.*, s. 487.

<sup>191</sup> Relacja Haliny z Wójcików Gordziejewicz-Gordziejewskiej udostępniona autorowi przez Jerzego Kochańskiego.

<sup>192</sup> Z. Wójcik, *Ludzie Belwederu...*, s.28.

<sup>193</sup> Relacja Jadwigi Piłsudskiej-Jaraczewskiej z 22 VIII 2007 r.

wybitnie ideowym legionistą<sup>194</sup>. Z pomiędzy żandarmów pełniących w Belwederze służbę, najbardziej odpowiada zadaniu, ze względu na takt i dyskrecję. Spokojny trzeźwy /w ogóle nie pija alkoholu/. Poza służbą oddaje się życiu rodzinnemu. Czytuje wszystkie dzienniki<sup>195</sup>.

Jerzy Kochański, autor wywiadu z Haliną Wójcikówną nazwał go „sławnym wachmistrzem”<sup>196</sup>. I nie ma w tym przesady, czego najlepszym potwierdzeniem jest fakt zamieszczenia w 1930 r. właśnie jego zdjęcia w ilustrowanym piśmie społeczno-kulturalnym „Światowid” w rubryce zatytułowanej: *Ci, o których się mówi* obok zdjęć Williama Howarda Tafta, byłego prezydenta USA, Zogu I, króla Albanii, Miss Francji roku 1930, czy gwiazd muzyki, filmu i teatru. Pod zdjęciem Wójcika napisano m.in., iż jest to „bardzo popularna w stolicy postać”<sup>197</sup>.

Dowodem zasług Wójcika są również jego liczne medale. Jeden z nich – Rumuński Krzyż za wierną służbę II klasy, przyznano mu w 1915 r.<sup>198</sup>. Rozporządzeniem Kierownika MSWojsk. z 12 czerwca 1923 r.<sup>199</sup> został dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych. Otrzymał także Brązowy Krzyż Zasługi. Starszy wachmistrz został nim wyróżniony (zarządzeniem z 14 maja 1928 r.) za zasługi na polu bezpieczeństwa wojska<sup>200</sup>. W roku 1928 odznaczono go także: Medalem Pamiątkowym za Wojnę 1918-1921 oraz Medalem Dziesięciolecia Odzyskania Niepodległości. Przed 1930 r. odznaczony był już wymienionym wcześniej Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (Polonia Restituta). Natomiast 11 listopada 1931 r.<sup>201</sup> zarządzeniem prezydenta Ignacego Mościckiego przyznano Wójcikowi Krzyż

---

<sup>194</sup> CAW, AP, KN, 7 VII 1931 r.

<sup>195</sup> CAW, AP, KN, 7 VII 1931 r., Meldunek z 25 IV 1929 r.

<sup>196</sup> J. Kochański, *op. cit.*, s. 14.

<sup>197</sup> „Światowid”, 25.I.1930, nr 3, s. 5.

<sup>198</sup> Nie dane mu było jednak wówczas nosić tego odznaczenia. Mógł to zrobić dopiero kilka lat później. Autorowi nie udało się ustalić, kiedy dokładnie to mogło mieć miejsce. Wiadomo jedynie, że do dnia 10 grudnia 1923 r. należało się stawić w Adiutanturze Dywizjonu Żandarmerii Wojskowej celem podpisania podania o pozwolenie na noszenie tej rumuńskiej odznaki. Zob. CAW, 1 Dyon Żand., I 375.1.54, Rozkaz dzienny nr 118 z dn. 4 XII 1923 r.

<sup>199</sup> Dziennik Personalny, 1923.06.12, nr 38, s. 392.

<sup>200</sup> Dziennik Personalny, 1928.05.15, R. 9, nr 10, s. 192.

<sup>201</sup> Dziennik Personalny, 1931.11.11, R. 12, nr 8, s. 374.



Niepodległości za „działalność niepodległościową z bronią w ręku”<sup>202</sup>. Nosił również przypiętą do munduru Odznakę Pamiątkową „Krzyż Legionowy” z literami „J.P.”, oraz cyframi 1914 i 1918. Ponadto Walentemu Wójcikowi został przyznany pośmiertnie w 1940 r. trzeci Krzyż Walecznych.



*Płyta w kościele św. St. Kostki w Warszawie na zdjęciu z lat 80 XX wieku (zbiory autora)*

Dodatkowym wyróżnieniem, które jest na dzień dzisiejszy namacalnym dla wszystkich zwieńczeniem życia chorążego Walentego Wójcika, jest pamiątkowa płyta w przedsionku kościoła p.w. św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu.

<sup>202</sup> CAW, AP, KN, 7 VII 1931 r. Podkomisja odznaczeniowa b. 2-go P. P. Leg. Pol. Krzyż Niepodległości przyznała Walentemu Wójcikowi na posiedzeniu Komitetu w dniu 30 VI 1931. Zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 7 VII 1931 ogłoszono w „Monitorze Polskim” nr 156 z dnia 10 VII 1931.

MARIAN MISZCZUK

Warszawa

### MICHAŁ GRAŻYŃSKI NA EMIGRACJI WE FRANCJI (PAŹDZIERNIK 1939 – CZERWIEC 1940)

Michał Grażyński, wojewoda śląski, przewodniczący Związku Harcerstwa Polskiego przybył do Paryża w pierwszych dniach października 1939 r. W czasie podróży zaszła w jego położeniu politycznym zasadnicza zmiana. Wyjeżdżał z Rumunii jako członek rządu, a do Francji dojechał jako kapitan rezerwy Wojska Polskiego i przewodniczący ZHP, gdyż 30 września gabinet gen. Sławoja Składkowskiego podał się do dymisji. Podróżował pociągiem wraz z żoną i synem Michałem. Tym samym pociągiem dotarli też bliscy współpracownicy Maria i Henryk Kapiszewscy oraz Antoni Drągowski<sup>1</sup>.

Grażyński liczył na możliwość włączenia się w prace nowo powstałego rządu. Jako osoba znająca doskonale wartość potencjału ludzkiego ZHP, od razu po przybyciu do Paryża rozpoczął prace organizacyjne nad stworzeniem reprezentacji organizacji przy rządzie polskim. Jego działania w sposób naturalny wynikały z funkcji przewodniczącego oraz roli, jaką odgrywał w harcerstwie poza Krajem, jak również z poważnej pozycji zajmowanej przez niego w światowym skautingu<sup>2</sup>.

W dniu 7 października spotkał się z gen. Józefem Zającem, wybranym podczas XVII Walnego Zjazdu ZHP (Lublin, 20-21 maja 1939 r.) wiceprzewodniczącym ZHP, który dzień wcześniej otrzymał od gen. W. Sikorski propozycję „kierowania w swoim zastępstwie spr-

---

<sup>1</sup> Archiwum prywatne Haliny Martin w Londynie. Materiały Harcerskie (dalej: MH AHM), sygn. I/13/2. *Relacja Marii Kapiszewskiej nagrana przez Halinę Martin w Londynie, 6 marca 1974 r.*

<sup>2</sup> Jak stwierdziła M. Kapiszewska: „Jego wielką troską było podjęcie natchmiasz takiej działalności, która skupiłaby we wspólnym wysiłku wojennym wszystkich harcerzy i harcerki, jacy znaleźli się poza granicami kraju”. Zob. M. Kapiszewska, *Sprawa harcerstwa*, „Słowo Ojczyste”, Londyn 1989, nr 1, s. 4.

wami wojskowymi”<sup>3</sup>. Zając wspominał: „Serdecznie przywitaliśmy się i postanowiliśmy zorganizować robotę harcerską wewnątrz Francji, w innych państwach, a także w Polsce, oraz łączność między Francją a Krajem przy pomocy harcerstwa w Rumunii i na Węgrzech. Sprawy te mamy omówić w dniu jutrzejszym na specjalnej konferencji. Poza tym omówiliśmy sytuację osobistą woj. Grażyńskiego, który, moim zdaniem, zasługuje w pełni na to, aby był użyty do pracy rządowej na terenie Francji”<sup>4</sup>.

### **Naczelny Komitet Wykonawczy**

Najprawdopodobniej konsekwencją spotkań z gen. Zającem była decyzja Grażyńskiego o powołaniu (9.X.1939) Naczelnego Komitetu Wykonawczego ZHP z siedzibą w Paryżu. W jego skład wejść mieli ci członkowie Naczelnej Rady Harcerskiej i Naczelnictwa, wybrani podczas ostatniego Walnego Zjazdu organizacji, którzy znaleźli się poza granicami Kraju. Liczono, iż wraz z napływającym uchodźcami zaczęną przybywać inni członkowie władz harcerskich, którzy automatycznie wchodziłoby w skład NKW. Komitet miał stanowić reprezentację ZHP poza Krajem, choć nie było zamiarem Grażyńskiego zastępowanie świetnie działających władz ZHP na terenie Kraju<sup>5</sup>.

<sup>3</sup> J. Zając, *Dwie wojny. Mój udział w wojnie o niepodległość i w obronie powietrznej Polski*, Londyn 1964, s. 227.

<sup>4</sup> *Ibidem*, s. 231-232.

<sup>5</sup> Jak wskazywała M. Kapiszewska: „Konsekwentnie i twardo stawiana zasada kontynuacji wszelkich form organizacyjnych wynikających ze statutowych postanowień i uchwał Walnego Zjazdu wydawała nam się wówczas bezdyskusyjnym nakazem chwili, jako protest przeciw niszczącej przemocy okupanta. Zatem, choć sama forma Komitetu nie miała żadnego odpowiednika w postanowieniach statutu, to jednak mandat do podjęcia tej działalności czerpaliśmy z poczucia odpowiedzialności, jaka ciążyła na nas, jako instruktorach, których Zjazd Walny wybrał do uczestnictwa w kierowaniu sprawami Związku. Forma Komitetu nie wchodziła przy tym w kolizję z tymi czynnikami władzy harcerskiej, które – byliśmy tego pewni – wznowią działalność w kraju w formach konspiracyjnych”. Zob. M. Kapiszewska, *op. cit.*, s. 4; Natomiast W. Musialik przyjęła, że NKW „nie uznał naczelnych władz harcerskich wybranych we wrześniu przez pozostałych w Warszawie członków przedwojennych władz harcerskich z ks. J. Mauersbergerem na czele”. Zob. *Eadem, Michał Tadeusz Grażyński (1890-19650. Biografia polityczna*, Opole 1989, s. 302. Twierdzenie to powtarza dalej w swojej

W jego skład weszli: dr Grażyński – przewodniczący ZHP, gen. Zając – wiceprzewodniczący ZHP, harcmistrzowie: Maria Kapiszewska, Henryk Kapiszewski i Antoni Drągowski. Skład nie był przypadkowy i nie zmienił się do maja 1940 r. Kapiszewski, apolityczny instruktor mającym olbrzymie doświadczenie w sprawach międzynarodowych był powszechnie szanowanym w harcerstwie w Kraju i poza jego granicami. Antoni Drągowski, zawodowy dyplomata, przez wiele lat działał na terenie Francji. W latach 1930-1939 pełnił funkcję Komendanta Głównego ZHP we Francji. Przed wybuchem wojny wrócił do Warszawy ale, jak stwierdziła Kapiszewska: „Miał we Francji ogromny autorytet i był w polskich sferach bardzo lubiany, przede wszystkim w sferach harcerskich”<sup>6</sup>. Maria Kapiszewska, członkini Głównej Kwatery Harcerek miała olbrzymie doświadczenie wydawnicze, zarówno jako wieloletnia redaktor pisma „Na Tropie” (1928-1937), jak i kierownik harcerskiej spółki wydawniczej o tym samym tytule, która zaopatrywała harcerstwo w książki, prasę, a także druki organizacyjne. W międzynarodowym skautingu najważniejsze znaczenie mieli naczelnicy (*Chief Scouts*) i komisarze międzynarodowi (*International Commissioners*). Tylko oni byli upoważnieni do reprezentowania swojej organizacji na forum międzynarodowym. Analogicznie było w ruchu przewodniczek i skautek (*World Association of Girl Guides and Girl Scouts*), ale i na tym terenie można było liczyć na autorytet Olgi Małkowskiej. Właśnie ona została uznana przez władze WAGGS za reprezentantkę harcerek. Drągowski zapewniał doskonale rozeznanie w harcerstwie we Francji, Danii, Belgii i Holandii oraz skautingu francuskim.

W pierwszym okresie działalności od października 1939 r. do stycznia 1940 r. Komitet działał w następujących kierunkach: 1. rządowym (uzyskanie uznania Rządu RP, nawiązanie roboczego kontaktu

---

pracy konstatując, iż z tego powodu w „MSWojsk. przeważały opinie, że należy zmienić kierownictwo ZHP, tak by przekreślić dwuwładzę, jaka powstała przez wzajemne nieuznawanie się Naczelnictwa w Kraju i NKW w Paryżu”. Zob. *Ibidem*, s. 303; Jest to stwierdzenie całkowicie błędne, bowiem Naczelnictwo ZHP ukonstytuowało się 16 stycznia 1940 r., a informacje o strukturze władz harcerskich w konspiracji dotarły do Grażyńskiego w połowie 1940 r. W. Musiałik nie poparła swego twierdzenia o wzajemnym nieuznawaniu się obu tych ciał żadnym dowodem.

<sup>6</sup> MH AHM sygn. I/13/2, *Relacja Marii Kapiszewskiej...*

z ministerstwami, agendami rządowymi oraz innymi organizacjami i instytucjami polskimi na emigracji; 2. harcerskim (nawiązanie łączności i współpracy z harcerstwem w Kraju, rejestracja harcerzy przybywających w formujących się we Francji w oddziałach Wojska Polskiego i zorganizowanie nad nimi różnych form opieki, nawiązanie kontaktu z wszelkimi tworzącymi się na obczyźnie środowiskami pracy harcerskiej (początkowo Węgry, Rumunia), oraz zagranicznymi organizacjami harcerskimi (Francja, Belgia, Holandia, Stany Zjednoczone, Kanada, Brazylia), uzyskanie zgody władz francuskich na wydawanie pisma harcerskiego; 3. skautowym (uzyskanie uznania przez Międzynarodowe Biuro Skautowe i Światowe Biuro Przewodniczek i Skautek za prawowite przedstawicielstwo ZHP oraz utrzymywanie kontaktu z organizacjami skautowymi innych krajów (głównie europejskich), szerzenie właściwej propagandy spraw polskich wśród organizacji skautowych i uzyskiwanie ich pomocy dla różnych przejawów życia polskiego na obczyźnie<sup>7</sup>.

W ocenie M. Grażyńskiego utworzenie uznanej przez międzynarodowy skauting reprezentacji ZHP, opartej o osoby pochodzące z demokratycznych wyborów, miało wzmacniać pozycję nowego rządu, zarówno wśród Polonii, jak i na arenie międzynarodowej. Podobnie sądził Zajęc, który w swoich wspomnieniach pod datą 14 października 1939 r. zapisał: „Znowu był u mnie Grażyński, który nie ma jeszcze żadnego stanowiska, a tymczasem prowadzi robotę harcerką, która może odegrać dużą rolę i u nas i w kraju i dla łączności z krajem”<sup>8</sup>.

**»Sprawa harcerstwa« równa się »sprawa Michała Grażyńskiego«**

Oceny Grażyńskiego i Zajęca były jednakże nietrafione, gdyż rząd gen. Władysława Sikorskiego personifikował ZHP z osobą Michała Grażyńskiego, wojewody śląskiego, wybitnego działacza sanacyjnego. Zachodził tu również wyraźny konflikt pomiędzy celami nowego rządu: eliminacja lub niedopuszczenie do objęcia stanowisk rządowych przez wybitnych i mniej wybitnych przedstawicieli obozu piłsudczy-

---

<sup>7</sup> Tamże; *Relacja H. Kapiszewskiego o jego losach od końca września 1939 r. do września 1947 r.*, mps, s. 1, kopia w zbiorach autora.

<sup>8</sup> J. Zajęc, *op. cit.*, s. 234.

kowskiego<sup>9</sup>, a powierzeniem Grażyńskiemu jakiegokolwiek funkcji, na co wpływ miały niejednokrotnie ustosunkowane wrogo osoby z najbliższego otoczenia gen. Sikorskiego (prof. S. Kot – minister bez teki, płk Izidor Modelski – II zastępca ministra spraw wojskowych, który jako kierownik Biura Personalnego i Biura Rejestracyjnego odpowiadał za sprawy personalne, czy Jan Stańczyk – minister pracy i opieki społecznej)<sup>10</sup>. Ponadto w rządzie znalazło się wielu polityków nienawidzących Grażyńskiego z powodów osobistych, m.in. syn Wojciecha Korfantego, Zbigniew, pracujący w Biurze Rejestracji MSWojsk., zięć Korfantego, Tadeusz Ullmann, oraz gen. Józef Haller, ówczesny minister bez teki, który miał o pracy harcercskiej Grażyńskiego wyrobioną, pejoratywną opinię<sup>11</sup>. Zając próbował interweniować bezpośrednio u gen. Sikorskiego, ale poza zezwoleniem „abym został jeszcze czas jakiś na tym stanowisku i pilnował co się tam dzieje” odniósł wrażenie, że w sprawie Grażyńskiego „niestety tutaj jak mi się zdaje nic się nie da zrobić”<sup>12</sup>.

<sup>9</sup> Szerzej: A. Adamczyk, *Piłsudczycy w izolacji 1939-1954. Studium z dziejów struktur i myśli politycznej*, Bełchatów 2008, s. 42 i nast.; M. Dymarski, *Stosunki wewnętrzne wśród polskiego wychodźstwa politycznego i wojskowego we Francji i w Wielkiej Brytanii 1939-1945*, Wrocław 1999; A. Grzywacz, M. Kwiecień, *Sikorszczyzna kontra Sanatorzy 1939-1940 (Z dziejów konfliktów politycznych uchodźstwa polskiego)*, „Zeszyty Historyczne”, Paryż 1999, nr 127, s. 63-127; Idem, *Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej w walce z sanatorami 1939-1941*, „Zeszyty Historyczne”, Paryż 2000, nr 131, s. 11, 14-16, 45-48; M. Hulas, *Goście czy intruzi? Rząd Polski na uchodźstwie wrzesień 1939 – lipiec 1943*, Warszawa 1996, s. 74-75; M. Pestkowska, *Uchodźcze pasje. Władysław Sikorski a polska społeczność na zachodzie 1939-1943*, Paryż 1985.

<sup>10</sup> J. Zając pod datą 13 X 1939 zapisał: „Spotkałem się także z innymi ludźmi ze Śląska, z min. Stańczykiem i z p. Adamczykiem, którzy nie bardzo dobrze wyrażają się o Grażyński; mówią m. in., że on oprócz zajmowania się rzeczami większej wagi, przykładał rękę do wyrzucania ze stanowisk ludzi dlatego tylko, że należeli do organizacji nie popierających go”. Zob. J. Zając, *op. cit.*, s. 234.

<sup>11</sup> „Stwierdził generał, że Grażyński wprowadził do harcerstwa złe nastroje, polityczną działalność, że posługiwał się harcerstwem dla osiągnięcia własnych celów politycznych”. Zob. *Ibidem*, s. 242.

<sup>12</sup> *Ibidem*, s. 289. Pod datą 27 grudnia 1939 r. Zając zapisał: „Sam Grażyński jest w trudnej sytuacji, nic mu nie chcą dać, pieniądze się skończyły, wobec tego gdyby nie robota harcercska, nie miałby co robić. Ale ponieważ dużą rolę tutaj odgrywa Korfanti, jeden z synów Wojciecha Korfantego, przeto trudno mu

Jedynym sukcesem Grażyńskiego na polu kontaktów z nowymi władzami polskimi na uchodźstwie było zalecenie prezydenta Władysława Raczkiewicza z października 1939 r., by traktowano go, jako „wojewodę śląskiego oraz Przewodniczącego Związku Harcerstwa Polskiego”<sup>13</sup>. Wszelkie starania Grażyńskiego o pracę na rzecz rządu lub o powołanie do czynnej służby wojskowej pozostawały bez odpowiedzi. Dlatego też skupił się on na działalności w NKW.

W początkach swej pracy Komitet, nieuznany, a raczej niezauważany formalnie przez rząd, mógł prowadzić swoją działalność, bowiem w 1939 r. ministrowie mieli wiele ważniejszych spraw niż zajmowanie się harcerstwem. Kapiszewski nawał ten stan „biernym tolerowaniem istnienia dotychczasowym władz harcerskich”<sup>14</sup>. Trwał on jednak krótko – do momentu wejścia do rządu w grudniu 1939 r. prof. Kota, który stał się wkrótce najbliższym współpracownikiem premiera traktującym „rząd Sikorskiego, jako nieomylny, nie dostrzegając jak bardzo w swoim myśleniu upodabnia się do zwalczanych tak zaciekle sanatorów”<sup>15</sup>.

NKW uzyskał natomiast uznanie i poparcie Komendy Związku Harcerstwa Polskiego we Francji, która udzieliła Komitetowi swojej siedziby w Domu Polskim na 7, rue Grillon. W naturalny sposób NKW zostało uznane także przez harcerstwo w Danii, Belgii, Holandii i Kanadzie. Wszędzie tam pracami harcerskim kierowali instruktorzy wysłani przez ZHP w końcu lat trzydziestych, dla których Grażyński był niekwestionowanym autorytetem. Większości również był doskonale znany Kapiszewski, pełniący obowiązki komisarza międzynarodowego harcerzy i kierownika Biura Zagranicznego Naczelnictwa. Komitet wiązał wielkie nadzieje z ruchem harcerskim w USA i spodziewał się

---

przebrnąć przez te rozmaite sity i zagmatwane sieci polityki personalnej obecnego rządu. Będę jeszcze raz rozmawiał w jego sprawie z gen. Sikorskim. Może coś się uda zrobić, bo jest to człowiek bardzo wartościowy, tym bardziej, że w dziedzinie walki z niemczyzną na Śląsku położył duże zasługi”. Zob. *Ibidem*, s. 288.

<sup>13</sup> Zakład Historii Ruchu Ludowego, Archiwum prof. Stanisława Kota, Działalność ZHP na emigracji, sygn. 306, *List M. Grażyńskiego do Prezydenta RP W. Raczkiewicza z 14 lipca 1940 r.*

<sup>14</sup> MH AHM sygn. I/13/2, *Relacja H. Kapiszewskiego...*, s. 6.

<sup>15</sup> T. P. Rutkowski, *Stanisław Kot 1885-1975. Biografia polityczna*, Warszawa 2000, s. 128.

stamtąd pomocy finansowej<sup>16</sup>. Na terenie międzynarodowym NKW w pierwszym rządzie nawiązał łączność z MBS i już 17 października 1939 r. dyrektor MBS J. S. Wilson rozesłał do organizacji zrzeszonych w MBS „Circular No. 15 of 1939”, w którym podawał: “I have to advise you that the Office of General Executive Committee of the Polish Scouts and Girl Guides has been established in Paris under personal Direction of dr. Michał Grażyński, President and Monsieur Henryk Kapiszewski, International Commissioner”<sup>17</sup>. W prasie polskiej i skautowej pojawiły się notatki o powołaniu NKW i jego pierwszych pracach. Komitet wydawał „Biuletyn”, z którego polskie gazety przedrukowywały materiały informujące o pracy harcerskiej<sup>18</sup>.

Jednym z podstawowych zadań NKW było nawiązanie kontaktu z organizacją pod okupacją, gdyż, jak wskazywała Kapiszewska, „czuliśmy się ramieniem kraju zagranicą”<sup>19</sup>. Okazało się to jednak niewykonalne, gdyż odcinek ten został zmonopolizowany przez ministerstwo kierowane przez Kota, a Komitet nie mógł się temu przeciwstawić<sup>20</sup>. Wyrywkowe informacje przynosili uchodźcy z Kraju, ale do początków 1940 r. nie było jasne, jak wyglądała sprawa organizacji władz i struktury konspiracyjnego harcerstwa.

<sup>16</sup> NKW nawiązał kontakt z kierownictwem Ruchu Młodzieżowego Związku Narodowego Polskiego w USA (do 1938 r. Harcerstwa ZNP). Komitet liczył na wsparcie finansowe ZNP i je otrzymał. Nawiązał korespondencyjny kontakt także z Skautingiem Polskiego Zjednoczenia Rzymsko-Katolickiego w Chicago, Harcerstwem przy Sokole w Pittsburgu.

<sup>17</sup> Boy Scout International Bureau, J. S. Wilson Director, Circular No. 15 of 1939, 17<sup>th</sup> October 1939. Kopia w zbiorach autora.

<sup>18</sup> W „Żołnierzu Polskim we Francji” pisano: „Komitet ma na celu kierowanie działalnością całego ruchu harcerskiego, zmierzającą do odzyskania niepodległości kraju oraz zachowanie ciągłości pracy Związku”. Zob. „Żołnierz Polski we Francji”, Lille, nr 2 (1 XI 1939), s. 28.

<sup>19</sup> MH AHM sygn. I/13/2, *Relacja Marii Kapiszewskiej...*

<sup>20</sup> Według Kapiszewskiej: „Wobec rządów Kota myśmy byli od razu z miejsca odcięci od jakichkolwiek możliwości próbowania łączności z krajem. To było nam ściśle zakazane. Grażyński był absolutnie od wszystkiego odcięty. Stąd wynikały dodatkowe trudności we współpracy, bardzo bolesne dla nas i dla Grażyńskiego. Ibidem. Według Kapiszewskiego: Rząd przede wszystkim nie chciał dopuścić do nawiązania kontaktu z harcerstwem krajowym przez Przewodniczącego ZHP dr Grażyńskiego, mówiono nam o tym zupełnie wyraźnie”. Zob. MH AHM sygn. I/13/2, *Relacja H. Kapiszewskiego...*, s. 6.



Docierały natomiast informacje o pracach harcerskich w konspiracji, działalności drużyn na emigracji, ochotnikach harcerzach przybywających z Harbina, Argentyny, Kanady i USA. Pewna stabilizacja na froncie aliancko-niemieckim i okrzepnięcie nowego rządu spowodowały, że harcerstwo znalazło się w kręgu zainteresowań władz. W Paryżu, w grudniu 1939 r. odbyła się, zorganizowana przez harcerki wspólna wigilia z udziałem harcerzy-żołnierzy przybyłych w ten dzień do Paryża, ale był to ostatni miesiąc spokojnej pracy Komitetu. Rząd przeszedł do działań mających w zasadzie jeden cel – odsunięcie przewodniczącego.

Wydaje się, że reakcję rządu przyśpieszył Henryk Kapiszewski. Starał się on poprzez różne kontakty z osobami „z otoczenia Sikorskiego (oczywiście nie Kota) żeby im tłumaczyć sytuację i bronić Grażyńskiego i pozycji harcerstwa, które nie pójdzie na to, by otrzymać pewien mandat działalności z rąk rządu Sikorskiego za cenę publicznego wyrzeczenia się swojego przewodniczącego. Takie były kontakty z płk Tadeuszem Wasilewskim, dobrym znajomym sprzed wojny”<sup>21</sup>. Wiemy również z relacji samego H. Kapiszewskiego, że jego „dwa, czy trzykrotne rozmowy z min Ładosiem, Malczewskim i płk Wasilewskim, mające na celu ustalenie zadań dla harcerstwa zagranicą, nie dały wyniku. Ograniczyły się one do zapoznania tych ludzi z tym, co to jest i jaki ma zasięg harcerstwo zagranicą oraz skauting”<sup>22</sup>.

W styczniu 1940 r. szef II Oddziału Sztabu Naczelnego Wodza, ppłk Wasilewski, przygotował dwa wystąpienia opatrzone nagłówkiem *Sprawa harcerstwa*, które zostały skierowane do generałów Kazimierza Sosnkowskiego i Mariana Kukiela<sup>23</sup>. Oba napisane przez Wasilewskiego odręcznym, kaligraficznym pismem przeszły drogą służbową przez szefa sztabu Naczelnego Wodza do adresatów. W pierwszym piśmie datowanym na 12 stycznia 1940 r. Wasilewski pisał: „Ośmielam się

<sup>21</sup> *Ibidem*, *Relacja Marii Kapiszewskiej...*

<sup>22</sup> *Ibidem*, *Relacja H. Kapiszewskiego...*, s. 20. Wydaje się że relacja ta została napisana na żądanie UB i dlatego Kapiszewski podaje tylko te szczegóły, które nie obciążały osób w kraju i nie wspomina o żadnych działaniach na terenach zajętych przez ZSRR.

<sup>23</sup> M. Kapiszewska, *op. cit.*, s. 6; Eadem, *Sprawa harcerstwa (dokończenie)*, „Słowo Ojczyście”, Londyn 1989, nr 2, s. 7.

wystąpić z inicjatywą w dziedzinie, luźno tylko związanej z moim oddziałem pracy, ale jednak związanej na skutek znanego ustawienia organizacyjnego ze Sztabem P. gen. Sosnkowskiego. Mianowicie idzie mi o właściwe użycie Związku Harcerstwa Polskiego w obecnych warunkach. O ile mi wiadomo ZHP teraz nie jest wykorzystany ani pod względem swoich stosunków międzynarodowych, ani pod względem zapasu ludzi (w Ameryce, Kanadzie, Francji, na Węgrzech, w Rumunii), ani pod względem swoich ożywionych stosunków z Polską, ani pod względem tkwiących w nim możliwości propagandowych i roboty w Kraju. O ile mi wiadomo stan ten jest spowodowany uzasadnioną nieufnością do kierownictwa ZHP, któremu przewodzi były wojewoda Grażyński. Osobiście uważam, że niemożliwe jest praktyczne użycie ZHP, dopóki Grażyński stoi na czele. Stąd wniosek, że należy usunąć kierownictwo ZHP i wciągnąć Związek do zorganizowanej pracy. W każdym razie nazwisko Grażyńskiego jest w harcerstwie znane i nawet ma pewien mir. Dlatego należałoby jego odejście przygotować w sposób poprawny i ostrożny. Oczywiście — przed zmianą musiałyby być gotowa lista Zarządu i Kierownictwa ZHP oraz obmyślane sposoby prawne zmiany<sup>24</sup>. W drugim datowanym na 20 stycznia konstataował m.in.: „Melduję, że Związek Harcerstwa Polskiego posiada obecnie organizację, która sięga niemal do wszystkich skupień Polaków na świecie (przede wszystkim: Francja, Ameryka, Węgry, Rumunia), która w dalszym ciągu ma łączność i wpływ na Polskę, która wreszcie ma ścisłe związki ze wszystkimi organizacjami skau-

---

<sup>24</sup> Referat został opatrzone uwagami przez osoby, którym przedłożono go do wglądu. Gen. Kukiel napisał: „Uważam zmianę za konieczną. Użycie p. Grażyńskiego w służbie publicznej niemożliwe. Przyznanie subsydium na studia np. w zakresie prac kongresowych rzeczą uznania Rządu. Sądzę, że sprawę harcerstwa można by rozwiązać przez rozwiązanie obecnych władz i ustanowienie zarządu przez komisarzy rządowego do tych spraw wyznaczonego. Ważna byłaby opinia prawna ppłk. Szurleja lub dyr. Glasera i porozumienie z Min. Kotem”. Także gen. Sosnkowski zgodził się „w całej osnowie z wywodami ppłk. Wasilewskiego”, a ppłk H. Bagiński napisał na tym dokumencie „Wniosek ppłk. Wasilewskiego popieram i uważam go za życiowo do zrealizowania, ażeby ZHP podporządkować obecnemu Rządowi Polskiemu”. [Dokumenty w zbiorach prywatnych. Kserokopia w posiadaniu autora]. Na dokumencie widnieje również parafa Naczelnego Wodza i data: 25 stycznia 1940 r., co dowodzi, że był on od początku informowany o tej sprawie. M. Kapiszewska, *op. cit.*, s. 6.

towymi świata. ZHP jest w obecnej chwili narzędziem, które może posłużyć do propagandy i do roboty w Kraju. Dalej ZHP – właściwie teraz pokierowany – powinien być (na równi z tworzonym wojskiem) awangardą porządku i nowego systemu w odrodzonej Polsce. Dotychczas jednak – o ile wiem – [ZHP] nie zostało użyte, jako narzędzie, do tych prac. O ile wiem – dlatego, że kierownictwo ZHP znajduje się w rękach Grażyńskiego i kompanii. Należy tedy zmienić kierownictwo i wziąć ZHP w swoje ręce.

Dowiedziałem się poufnie, że Grażyński [gotów jest] do ustąpienia, ale pod dwoma warunkami: 1/ że dowie się o tej konieczności z ust Naczelnego Wodza; 2/ że będzie miał z czego żyć (ten ostatni warunek wychodzi od jego otoczenia, które utrzymuje Grażyńskiego ze składek).

Według mojego zdania warunki są słuszne. Co do pierwszego – to istotnie Grażyński nie widział dotychczas możliwości ustąpienia, bo dochodziły doń tylko niemiarodajne żądania, w formie raczej plotek. Jego stanowisko pochodzi zaś z wyboru (jakkolwiek – jak wiadomo – z wyboru pod presją reżymu). Dalej – jego nazwisko – ma mir wśród młodzieży, co stwierdzam, jako człowiek od 25 lat bliski ZHP. Z tych powodów zmiana Grażyńskiego powinna mieć *decorum* solidne. Zmiana musi być przygotowana uprzednio w szczegółach przez prawników, bo oprócz Grażyńskiego trzeba usunąć kilka nazwisk skomplikowanej góry organizacyjnej i uzasadnić rzecz prawniczo, aby nie narażać się na trudności międzynarodowe.

Melduję, że absolutnie nie nadaję się na dalszego referenta tej sprawy, poza tym wychodzi ona poza moje kompetencje. Ośmielam się na inicjatywę jedynie tylko z tego powodu, że uważam, iż ZHP jako narzędzie do pracy w Kraju nie jest dotychczas wykorzystane, pomimo że z Polską ma ustawiczną i żywą łączność<sup>25</sup>.

---

<sup>25</sup> Referat ten gen. Kukiel opatrzył uwagą: „Zgadzam się z wnioskami ppłk. Wasilewskiego. Harcerstwo należy przejąć, z zachowaniem wszelkich form legalnego postępowania, w porozumieniu z Grażyńskim. Gdyby ceną miało być jakieś subsydium dla niego na pracę naukową, udzielone dyskretnie i przy jego zobowiązaniu do powstrzymania się od wszelkiej działalności, uważałbym to za rzecz do przyjęcia. Kompetentnym w tej sprawie jest minister Kot”. [Dokument w zbiorach prywatnych. Kserokopia w posiadaniu autora.] Komentując treść referatu M. Kapiszewska stwierdziła: „Na jego marginesie pragnę podkreślić dwie sprawy. Po

Tego samego dnia, tj. 20 stycznia 1940 r. Tadeusz Ullman skierował odręczne pismo do ministra Kota, w którym donosił „P. Grażyński kontynuuje ożywioną działalność w ZHP. Komisarzem ZHP na Polskę jest podobno p. Wierzbiański. Czy nie byłoby możliwości mianować komisarza w osobie może któregoś z generałów mniej czynnych (p. gen. Kukiel rzucił nazwisko gen. Jatelnickiego) i dodać mu do boku 2 dzielnych, młodszych b. harcerzy, by zrobili porządek. Sprawę tę uważam osobiście za palącą”<sup>26</sup>. Informacje Ullmana były nieścisłe, ponieważ Marian Wierzbiański nie brał wówczas udziału w konspiracyjnej pracy władz harcerskich, a gen. Bolesław Jacyna-Jatelnicki nigdy nie miał nic wspólnego z działalnością harcerstwa.

Prawdopodobnie pod presją owych pism premier podjął 26 stycznia 1940 r. decyzję o przygotowaniu „całokształtu zmiany kierownictwa ZHP pod względem personalnym i prawnym”<sup>27</sup>. Brak było jednak decyzji, kto miałby wejść do nowych władz.

#### O co walczyliśmy

Od momentu powstania NKW ZHP w Paryżu prowadził ożywioną korespondencję z różnymi środowiskami harcerskimi rozsypanymi po całym świecie, zachęcając do wzmożonej działalności i udzielając wskazówek. W styczniu 1940 r. Komitet zaczął wydawać organ prasowy „Na Tropie. Czasopismo Harcerskie”, nawiązujący do pisma wydawanego przez ZHP przed wojną. Dla podkreślenia ciągłości

---

pierwsze nie wiem, na jakiej podstawie ppłk Wasilewski twierdził, że Grażyński gotów jest do ustąpienia pod dwoma wymienionymi przez niego warunkami. Mąż mój kilkakrotnie omawiał sprawy harcerskie z ppłk. Wasilewskim, którego znał jeszcze przed wojną, wytykając m.in. czynnikom rządowym, że wokół Grażyńskiego stwarza się nastrój nagonki i plotek, natomiast nikt ze sfer rządowych nie rozmawia otwarcie z nim samym oraz że Grażyńskiemu nie dano żadnej możliwości wykonywania jakiegóż pożytecznej pracy, która by przy tym zapewniła najskromniejszy byt jemu i jego rodzinie. Przedstawianie tych opinii jako <warunków> Grażyńskiego polegało na zupełnym nieporozumieniu, względnie było sugestią własną ppłk. Wasilewskiego”. Zob. M. Kapiszewska. *Sprawa harcerstwa (dokończenie)*..., s. 5.

<sup>26</sup> Zbiory Jana Rossmanna [dalej: ZJR], *List T. Ullmana do min. S. Kota*, Paryż 20 I 1939 [właściwie 1940]. Kopia w zbiorach autora.

<sup>27</sup> ZJR, *List Szefa Sztabu Naczelnego Wodza płk A. Kędziora do min. S. Kota*, L. 5811/tj/II z 26 I 1940 r., kopia w zbiorach autora.

istnienia pisma na winiecie umieszczono XIII, kolejny rok wydania, a redakcję powierzono ponownie Kapiszewskiej. Począwszy od stycznia 1940 r., ukazało się pięć, wychodzących regularnie co miesiąc, numerów<sup>28</sup>. Według relacji Kapiszewskiej „treść każdego numeru zatwierdzał Przewodniczący Grażyński, który również w każdym numerze zamieszczał swoją programową gawędę pt. *O co walczymy*. Zwrócić też należy uwagę na Harcerskie wyznanie wiary, przyjęte przez Komitet jako tekst obowiązujący, który należało odczytywać na uroczystych zbiórkach i zebraniach („Na Tropie” nr 3 marzec 1940). O ile pamiętam, było ono również zredagowane przez Grażyńskiego”. Pismo stało się samowystarczalne finansowo, bowiem kilkuset zarejestrowanych instruktorów i harcerzy wpłaciło pieniądze za prenumeratę, co wystarczyło na druk w „Drukarni Polskiej” w Paryżu. Zgodnie z przepisami francuskimi wydawnictwo firmował obywatel francuski L. Dombrowski (jako *Le Gerant*).

Dla Grażyńskiego pismo stało się jedyną możliwością prezentacji poglądów i dotarcia do szerszego odbiorcy. W *O co walczymy* wykladał swoje credo polityczne, które zdeterminowało jego dalszą postawę i w konsekwencji zaważyło na decyzji pozostania na politycznej emigracji. Pisał: „wojna dzisiejsza toczy się o najwyższe wartości narodu, podeptane brutalnie przez Niemcy i Rosję. Hasło: „Siła przed prawem” – próbuje zamienić świat w dżunglę, w której królują tylko kły i pazury”<sup>29</sup>. Na łamach tych zdołał także zaprezentować swą wizję nowych granic polskich, jak również przedstawić program ukształtowania nowego ładu powojennego oparty o koncepcje federalistyczne marszałka Piłsudskiego, jednak o wiele śmieiej i szerzej zakrojony<sup>30</sup>.

### **Minister Kot**

W początku 1940 r. przybył do Paryża były radca prawny ZHP, adwokat Edward Muszalski, który 22 stycznia referował ministrowi

<sup>28</sup> Numeru 5 nie udało się odnaleźć ani w zbiorach prywatnych, ani w zbiorach publicznych.

<sup>29</sup> M. Grażyński, *O co walczymy* [cz. 1], „Na Tropie. Czasopismo Harcerskie”, Paryż 1940, nr 1, s. 2.

<sup>30</sup> Idem, *O co walczymy*, [cz. 4] „Na Tropie. Czasopismo Harcerskie”, Paryż 1940, nr 4, s. 37-38.

Kotowi sprawy związane z harcerstwem w Kraju przekazując wiedzę na temat skali działań i roli krajowego harcerstwa w Polskim Państwie Podziemnym oraz rozwoju pracy harcerskiej w ośrodkach uchodźczych. Wówczas, zdaniem W. Musialika, „były radca prawny ZHP otrzymał zadanie przygotowania zasadniczej, „zgodnej z ideologią i wysiłkiem obecnego rządu przemiany w harcerstwie”. Następnym etapem miało być objęcie wpływami możliwie wszystkich skupisk harcerzy oraz utrzymanie łączności z krajem”<sup>31</sup>. 29 lutego Muszalski przedstawił dwa dokumenty opatrzone nagłówkiem *Na życzenie Pana Ministra profesora Stanisława Kota*. Pierwszy zatytułowany *Związek harcerstwa Polskiego. Ogólne kwestie prawne* zawierał prawną ocenę sytuacji władz harcerskich, propozycję ustanowienia zarządu przymusowego, zlikwidowania stanowisk inspektorki i inspektora harcerstwa w strukturach MWRiOP. Na sprawach prawnych Muszalski bez wątpienia się znał i rząd przyjął jego rekomendację<sup>32</sup>. Drugi dokument, pt. *Związek Harcerstwa Polskiego. Kwestie praktyczne* był zbiorem poglądów Muszalskiego na sytuację w ZHP przed wybuchem wojny i w okresie, kiedy przebywał on jeszcze w Polsce. W *Kwestiach praktycznych* Muszalski wyłożył oenerowski punkt widzenia na sprawy harcerstwa sprzed 1939 r., dodając swoją, całkowicie fałszywą ocenę sytuacji w harcerstwie w Kraju pod okupacją<sup>33</sup>.

---

<sup>31</sup> W. Musialik, *op. cit.*, s. 304.

<sup>32</sup> ZJR, E. Muszalski, *Związek harcerstwa Polskiego. Ogólne kwestie prawne*, kopia w zbiorach autora,

<sup>33</sup> Muszalski stwierdził m.in.: „Stan obecny harcerstwa w Kraju, tak żeńskiego, jak i męskiego wskutek powyższych metod jest tym bardziej rozpaczliwy organizacyjnie. Kierownicy formalni dawniejsi rozpierzchli się bądź nie są zdolni do działania, utraciwszy autorytet i uznanie dołów. W ostatnich tygodniach roku 1939 poszczególne grupy pozostałych w Warszawie instruktorów poczynają rozważać sytuację i przemyśliwać nad reaktywowaniem organizacji, co jednak nie bardzo im szło wskutek niechęci wzajemnych grup i koterii i braku wzajemnego zaufania między nimi, tudzież w stosunku do byłych kierowników, a także wskutek utraty przez wielu z nich bezpośredniego kontaktu z tzw. dołami, czyli zastępami drużynami. Natomiast sama młodzież w wieku 16 do 22 lat, z niektórymi starszymi, a stale współpracującymi z tą młodzieżą, ideowymi instruktorami, poczęła uruchamianie drużyn, a właściwie raczej ich starszych harcerzy (lat 15-18) w sposób spontaniczny i tajny. Osobiście posiadałem kontakt z szeregiem młodzieńców tak współpracujących”. ZJR, Idem, *Związek harcerstwa Polskiego. Kwestie praktyczne, Paryż 29 lutego*, kopia w zbiorach autora.

Na podstawie tych informacji został przygotowany projekt *Zarządzenia kierownika Spraw Wewnętrznych z marca 1940 r. w sprawie władz ZHP*. W dokumencie znalazły się m.in. następujące zarządzenia: „Ponieważ ZHP już w czasie ostatnich miesięcy przed wojną, a zwłaszcza obecnie jest w stanie, w którym nie wypełnia swych zadań, względnie wypełniał je i wypełnia nienależycie Rada Ministrów zawiesza wszystkie władze Związku, w szczególności Zjazd Walny, NRH, Naczelnictwo ZHP, Zarządy Okręgów i Komendy Chorągwi”<sup>34</sup>. Cały dokument wskazuje na nieuwzględnienie realiów, a zagadką pozostaje przede wszystkim sposób zawieszenia (sic!) Zjazdu Walnego. Niestety do sierpnia 1942 r. program ten zdominował politykę gabinetu wobec harcerstwa, co przejawiało się w nie zajmowaniu się sprawami pomocy drużynom harcerskim, ułatwianiu pracy drużynowych, czy przygotowaniu wytycznych dla pomocy w wychowawczej pracy harcerskiej. W walce z Grażyńskim wszystkie metody okazały się jednakże właściwe, a stanowisko rządu wzmacniały raporty z inwigilacji byłego wojewody<sup>35</sup>. Pogłoski o sanacyjnych „spiskach” i „grupach konspiracyjnych” niektórzy członkowie rządu wykorzystywali propagandowo tworząc podbudowę dla powołania Komisji do Rejestracji Faktów i Zbierania Dokumentów dotyczących „ostatnich zdarzeń” w Polsce<sup>36</sup>. Grażyńskim Komisja zajmowała się

<sup>34</sup> ZJR, *Zarządzenie kierownika Spraw Wewnętrznych z marca 1940 r. w sprawie władz ZHP*, kopia w zbiorach autora.

<sup>35</sup> W jednym z takich raportów z 24 marca 1940 r. oficer Oddziału II, por. Mieczysław Lissowski, napisał: „Grażyński Michał po ucieczce rządu do Rumunii, zajął jedno z najbardziej czołowych miejsc w obozie pomajowym. Jest to zawzięty wróg obecnego Rządu z czym się nie kryje i daje wyraz w prowadzonych przez siebie rozmowach. Szczególnie ostro występuje przeciw Str[onnictwu]. Nar[odowemu]. i Str[onnictwu]. Pracy i atakuje min. Kota i Strassburgera, wicem. Popiela i Faltera. Również na terenie paryskim jest bardzo ruchliwy, ale niezmiernie ostrożny. Utrzymuje liczne kontakty. Reasumując melduję, że Grażyńskiego obok Kościalkowskiego uważam za głównego organizatora i kierownika akcji sanacyjnej na terenie Francji, a zdanie moje podziela b. wielu ludzi orientujących się w terenie sanacji”. Zob. Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Władysława Sikorskiego, Ministerstwo Sprawiedliwości, sygn. A.20.5., t. 21, *Raport por. Mieczysława Lissowskiego z 24 marca 1940 r.* Z raportem tym zapoznali się prof. Stanisław Kot i Izydor Modelski.

<sup>36</sup> Szerzej: A. Grzywacz, M. Kwiecień, *op. cit.*

w końcu 1939 r., próbując „przeświecić” jego rolę w trakcie II Powstania Śląskiego i wydarzeniach, które po nim nastąpiły.

Kwestia powołania nowych władz harcerskich rozbijała się o sprawy personalne. Jak wskazała W. Musialik 13 marca płk Wasilewski „przeprowadził poufną naradę w kwestii wyboru następcy M. Grażyńskiego. Wśród kandydatów wymieniono gen. Józefa Hallera, gen. Józefa Zajęca, Henryka Bagińskiego, Olę Małkowską i gen. Aleksandra Osińskiego. W kwestii wyboru składu Naczelnictwa ZHP wypowiedział się również T. Ullmann<sup>37</sup>. Niezależnie Kot i Muszalski prowadzili rozmowy z wieloma osobami, sondując możliwości usunięcia Grażyńskiego i szukając poparcia dla tej idei nawet u tak bliskich współpracowników przewodniczącego ZHP, jak Maria i Henryk Kapiszewscy, którzy nie poddali się presji ministra<sup>38</sup>.

Oceniając postępowanie Kapiszewskich należy pamiętać, iż zwolnienie z posady państwowej wiązało się z utratą źródła utrzymania. Nic więc dziwnego, że znalazły się osoby, które uległy naciskom Kota. Kapiszewska wskazuje w swej relacji, że rolę odpowiadającą zamierzeniom ministra przyjął J. Jankowski i swoimi intrygami doprowadził do powstania głębokiego rozłamu pomiędzy Grażyńskim a Kapiszewskimi<sup>39</sup>.

---

<sup>37</sup> W. Musialik, *op. cit.*, s. 306.

<sup>38</sup> Zdaniem Kapiszewskiej minister Kot „Rozmowę taką przeprowadził m.in. ze mną i z moim mężem, sugerując niedwuznacznie, że i nasza osobista sytuacja uległaby korzystnym zmianom, gdybyśmy zgodzili się na usunięcie Grażyńskiego ze stanowiska przewodniczącego ZHP. Kategorycznie odmówiliśmy podjęcia się takiej roli i staraliśmy się przedstawić min. Kotowi argumenty, że usuwanie Grażyńskiego byłoby rażącym pogwałceniem praworządności i pociągnięciem ze wszech miar szkodliwym”. Zob. M. Kapiszewska, *Sprawa harcerstwa (dokończenie)*..., s. 5.

<sup>39</sup> Według Kapiszewskiej „oprawa celów, form pracy i kompetencji Naczelnego Komitetu Wykonawczego była oczywiście przedmiotem żywej dyskusji również w gronie starszyny harcerskiej, które od października 1939 r., kiedy to powstał Komitet znacznie się rozszerzyło, gdyż do Francji, a i do samego Paryża przybywali dalsi instruktorzy i działacze harcerscy z Polski i innych terenów. Wszyscy oni pragnęli włączyć się w nurt wspólnej pracy harcerskiej i czuli się za nią współodpowiedzialni. W gronie tym budziły się wątpliwości szczególnie na temat stosunku Naczelnego Komitetu Wykonawczego w Paryżu do spraw harcerstwa w Kraju, dyskutowane też było żywo negatywne stanowisko Rządu, które



### **Regulamin NKW**

W toku dyskusji w gronie starszyny harcerskiej został wypracowany regulamin Komitetu, podpisany przez Grażyńskiego 8 kwietnia 1940 r. Był to dokument regulujący wewnętrzne sprawy organizacyjne NKW, który w ciągu następnych dwóch tygodni uległ jednakże dezaktualizacji<sup>40</sup>. W tym czasie zapadły bowiem zasadnicze decyzje o wyznaczeniu zarządu przymusowego, które Kot uzgodnił z gen. Sikorskim. 18 kwietnia odbyła się w sprawie harcerstwa konferencja, której przewodniczył Kot, a uczestniczyli: gen. Zając, płk Modelski, płk Stefczyk, ppłk H. Bagiński, ppłk Wasilewski. Według notatki sporządzonej po posiedzeniu przez ppłk. Wasilewskiego: „P. min. prof. Kot zagaja, wskazując potrzebę wykorzystania ZHP przede wszystkim do pracy na Kraj i to w charakterze nie-wojskowym i nie-politycznym. Członkowie ZHP przydadzą się do służby łącznikowej, zwłaszcza organizacja Żeńska. Na zawadzie do pełnego uruchomienia

---

w praktyce utrudniało w wielu wypadkach rozwinięcie przez harcerstwo szerszej działalności. Rząd bowiem nie akceptując osoby Przewodniczącego, nie udzielał harcerstwu poparcia. Grażyński stał na stanowisku, że przysługuje mu pełnia kompetencji przewodniczącego – per analogiem do Rządu RP. Wielu innych instruktorów było zdania, że wobec tego, iż poza granicami kraju znaleźli się tylko nieliczni członkowie władz statutowych Związku, a łączność z krajem jest nikła, zwierzchność harcerska utworzona poza granicami kraju ma mieć charakter tylko prowizoryczny, ma sprawować władzę tylko w stosunku do harcerstwa na emigracji i działać jedynie w łączności z krajem. Ibidem, s. 6-7. Odmienne zdania byli Kapiszewscy i Drągowski, którzy uważali, że w kraju robota pójdzie własnym torem i nie możemy sobie uzurpować kierownictwa z emigracji na kraj”. Zob. MH AHM sygn. I/13/2, *Relacja Marii Kapiszewskiej...*

<sup>40</sup> Warto przytoczyć §3 *Zakres działalności*, bowiem ten kierunek myślenia stał się dominujący zarówno w posunięciach rządu jak i powstających władz harcerskich w Wielkiej Brytanii: „1/ Nadanie kierunku ideowo-wychowawczego młodzieży harcerskiej z uwzględnieniem najważniejszego celu narodowego, jakim jest walka o niepodległość Polski; 2/ Utrzymanie kontaktu z ZHP w kraju – w zakresie organizacyjnym, ideowym oraz pomocy materialnej; 3/ Sprawy łączące się z pracą harcerstwa polskiego poza granicami kraju oraz z młodzieżą uchodźczą; 4/ Współpraca w zakresie opieki nad harcerzami w wojsku i harcerzami znajdującymi się w niewoli; 5/ Wydawanie pisma „Na Tropie”; 6/ Organizacja finansów, biura i rachunkowości; 7/ Utrzymywanie kontaktu z ruchem skautowym oraz innymi organizacjami młodzieżowymi narodów obcych oraz inicjatywa w dziedzinie zorganizowania pomocy materialnej dla młodzieży polskiej”.

ZHP w pracy bieżącej stoi osoba jego Przewodniczącego, byłego wojewody Grażyńskiego, do którego Rząd nie ma zaufania<sup>41</sup>. W kwestiach personalnych ustalono, że najlepszym kandydatem na stanowisko przewodniczącego ZHP był Józef Haller „przede wszystkim ze względu na konieczności reprezentacyjne międzynarodowe”<sup>42</sup>. Generał Zajac i płk Bagiński odmówili „przyjęcia funkcji wiceprzewodniczącego ZHP”<sup>43</sup>.

<sup>41</sup> ZJR, *Notatka z posiedzenia w sprawie ZHP odbytego dnia 18 kwietnia 1940 r. pod przewodnictwem p. min. prof. Kota w Paryżu*, kopia w zbiorach autora. W szczegółach od notatki Wasilewskiego różni się opis zebrania, przekazany przez gen. Zajacę, zdaniem którego Kot powiedział w czasie tego zebrania, „że rząd nie może rozmawiać z Grażyńskim, jako przewodniczącym Związku, a to ze względu na to, że jego działalność polityczna w Związku Harcerskim, jaką przejawiał, jest nie do darowania. Ja ze swej strony powiedziałem, że jestem na tym zebraniu bez upoważnienia komitetu wykonawczego, że komitet niejednokrotnie starał się o nawiązanie kontaktu z rządem przeze mnie, a przedtem i przez Grażyńskiego, ale sprawa była odwlekana, natomiast Związek rozpoczął działanie i przeprowadził szereg prac, idących po linii wskazań obecnego rządu. Co do spraw osobowych, to stwierdziłem, że byłem zawsze zdania, że na czele Związku powinien stać harcerz, że ja zgodziłem się na udział w naczelnictwie w charakterze wiceprzewodniczącego zarządu głównego tylko dlatego, że uważałem, że mogę w pewnej mierze pomóc Związkowi. Uważam, że o wyborze przewodniczącego powinno zadecydować zebranie starszyny Związku, ale jeśli chodzi o przyszłego przewodniczącego, to powinien to być harcerz oraz taki, który będzie naprawdę kierował pracą Związku”. Zob. J. Zajac, *op. cit.*, s. 355; Jak wynikało z notatki Wasilewskiego również ppłk H. Bagiński i płk I. Modelski „ostro wypowiadają się przeciw osobie b. woj. Grażyńskiego, skompromitowanego nie tylko szkodliwą działalnością w ZHP, ale i w Rzeczypospolitej. Wobec wyraźnego negatywnego stanowiska Kraju wobec przedstawicieli b. reżymu, powrót do starych ludzi jest niemożliwy. Płk Stefczyk podnosi konieczność zmian statutu ZHP, szczególnie par. 3 (ideologia Piłsudskiego) oraz skreślenie poprawek Jędrzejewicza”. ZJR, *Notatka z posiedzenia w sprawie ZHP odbytego dnia 18 kwietnia 1940 r. pod przewodnictwem p. min. prof. Kota w Paryżu*, kopia w zbiorach autora.

<sup>42</sup> ZJR, *Notatka z posiedzenia w sprawie ZHP odbytego dnia 18 kwietnia 1940 r. pod przewodnictwem p. min. prof. Kota w Paryżu*, kopia w zbiorach autora.

<sup>43</sup> Warto zatrzymać się nad motywami postępowania obu oficerów. Zajac nie był nigdy instruktorem harcerskim, ale jako działacz, wiceprzewodniczący ZHP wiedział, że większość zarzutów wobec przewodniczącego to były pomówienia i odważnie o tym mówił ryzykując zapewne swoją karierę wojskową. H. Bagiński był jednym z pierwszych polskich skautów, autorem fundamentalnej pracy *U podstaw organizacji Wojska Polskiego*, a także po 1935 r. współtwórcą Kół Harcerzy z Czasów Walk o Niepodległość przy Naczelnictwie ZHP. Znał realia ZHP przed

Po zebraniu przedłożono gen. Sikorskiemu do podpisu dwa dokumenty oraz do aprobaty depeszę do przebywającego wówczas w Stanach Zjednoczonych gen. Józefa Hallera<sup>44</sup>, który jednakże nie zgodził się na objęcie proponowanego mu stanowiska. Owe dwa pozostałe dokumenty to: *Zarządzenie* prezesa Rady Ministrów i ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego o zniesieniu urzędów inspektora harcerstwa i inspektorki harcerstwa w MWRiOP oraz *Polecenie* wydane gen. Zającowi „przekazania przez dotychczasowe Naczelne władze Związku Harcerstwa Polskiego pełnionych funkcji mianowanemu moim zarządzeniem z dnia dzisiejszego nowemu Naczelniectwu Związku Harcerstwa Polskiego”<sup>45</sup>. Wbrew supozycjom Musialika, bazując na relacji Muszalskiego należy stwierdzić, iż nie powołano wówczas zarządu przymusowego, a gen. Sikorski nie „wydał zarządzenia w sprawie władz ZHP”<sup>46</sup>, co zdeterminowało rozwój spraw harcerskich po ewakuacji na Wyspy Brytyjskie.

---

wojną i wiedział, ile organizacja zawdzięczała Grażyńskiemu. W Wojsku Polskim został zweryfikowany w 1919 r. jako podpułkownik i do wybuchu wojny, pomimo wielkiej wiedzy i zasług, nie awansował. Minowany przez Naczelnego Wodza pułkownikiem i Szefem Saperów, zgodził się na udział w pracy harcerskiej jednak uzależniał to „od pozostawienia mię na dotychczasowym stanowisku”. Kiedy 26 maja został z tego stanowiska odwołany napisał do Kota odręczny list, w którym prosił by *wykreślić* „moją kandydaturę ze składu nowego Zarządu ZHP”. Zob. ZJR, *List H. Bagińskiego do prof. S. Kota, Paryż dnia 26 maja 1940 r.*, kopia w zbiorach autora. Był to jednocześnie ostatni dokument, dotyczący sprawy powołania nowych władz harcerskich w okresie francuskim.

<sup>44</sup> Depesza zawierała następującą treść: „Generał Józef Haller. Ambasada RP w Waszyngtonie. Mianowany został nowy zarząd Związku Harcerstwa Polskiego stop przewidzieliśmy Pana Generała na przewodniczącego stop proszę o odwrotne wyrażenie swojej zgody”. Gen. Sikorski przekreślił ten tekst i odręcznie napisał nowy: „Proszę zgodę Pana Generała na objęcie przewodnictwa Związku Harcerstwa Polskiego”. Zob. M. Kapiszewska, *Sprawa harcerstwa (dokończenie)*..., s. 6.

<sup>45</sup> ZJR, *Zarządzenie Prezesa Rady Ministrów i Ministra Wyznań religijnych i Oświecenia Publicznego o zniesieniu urzędów Inspektora Harcerstwa i Inspektorki Harcerstwa w MWRiOP*, bez daty; *Pismo Prezesa Rady Ministrów do Pana gen. Zająca*, Paryż, dn. 18 kwietnia 1940 r. Oba dokumenty podpisane przez Premiera nie miały ciągu dalszego, kopie w zbiorach autora.

<sup>46</sup> W. Musialik, *op. cit.*, s. 307.

### Vichy

Dwa dni przed konferencją w sprawie harcerstwa, tj. 16 kwietnia 1940 r. Grażyński jako oficer rezerwy w stopniu kapitana otrzymał wezwanie do stawienia się do służby wojskowej z przydziałem do Vichy. W praktyce był to przydział do obozu „dla oficerów zbędnych i niewygodnych dla rządu”<sup>47</sup>. 24 kwietnia 1940 r. II zastępca ministra spraw wojskowych płk Modelski, polecił Grażyńskiemu by „w związku z przyjęciem Pana Kapitana do Armii Polskiej we Francji z dniem 16 kwietnia 1940 r., złożył Pan Kapitan z dniem dzisiejszym godność Przewodniczącego Związku Harcerstwa Polskiego w ręce Generała Zająca”<sup>48</sup>. Było to zapewne dla Grażyńskiego szokujące polecenie, bowiem ani Modelski, ani żaden inny przedstawiciel rządu nie miał prawa do wydawania takich rozkazów. W odpowiedzi Grażyński (26.IV.1940) stwierdził: „W związku z pismem Ministerstwa Spraw Wojskowych Biuro Personalne L. Dz- 9317/40 Pers. z dnia 2 kwietnia 1940 — melduję, że pismem z dnia 25 kwietnia br. przekazałem funkcję przewodnictwa w moim zastępstwie tymczasowo wiceprzewodniczącemu Związku Harcerstwa Polskiego Dr. Józefowi Zającowi, generałowi WP. Dr Michał Grażyński, kapitan”. Zdaniem M. Kapiszewskiej „Grażyński uważał, że winien poinformować o swoim odejściu również ogół instruktorów harcerskich; pragnął też podkreślić, że nie ustępuje ze stanowiska przewodniczącego, co było intencją czynników rządowych, a jedynie odchodząc do wojska przekazuje swoją funkcję wiceprzewodniczącemu ZHP”. Przewodniczący przygotował również odezwę do harcerek i harcerzy, która miała ukazać się w majowym, piątym numerze „Na Tropie. Czasopisma Harcerskiego”.

Stanowisko Grażyńskiego wywołało reakcję czynników rządowych. Jeden z wysokich urzędników Prezydium Rady Ministrów informował 3 maja 1940 r. ministra Kota: „Dowiedziałem się w prywatnej rozmow-

---

<sup>47</sup> T. Münnich, *Cerizay i Rothésay*, „Zeszyty Historyczne” Paryż 1986, nr 78, s. 227. Zob. również M. Dymarski; *Polskie obozy odosobnienia we Francji i w Wielkiej Brytanii w latach 1939-1942*, „Dzieje Najnowsze” 1997, z. 3, s. 115; J. Zuziak, *Obozy izolacyjne Rothésay i Tignabruaich. Z historii Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii*, „Mars” 1995, nr 3, s. 89.

<sup>48</sup> Treść obu pism i następny cytat za: M. Kapiszewska, *Sprawa harcerstwa (dokończenie)*..., s. 6.

wie z adwokatem Muszalskim, iż p. M. Grażyński wystosował rodzaj listu otwartego do harcerzy i że list ten ma się drukować w „Drukarni Polskiej” w Paryżu. Wobec tego, korzystając z przysługujących Prezydium Rady Ministrów praw wykonywania nadzoru nad wspomnianą drukarnią, zażądałem przysłania natychmiast tekstu listu p. Grażyńskiego, z którego treści wynika, że p. Grażyński zastępczo jedynie przekazuje swoje funkcje wiceprzewodniczącego Z.H.P. i jak widać, z podpisu nadal uważa się za Przewodniczącego Z.H.P.”<sup>49</sup>.

Odsunięcie Grażyńskiego od pracy harcerskiej wytworzyło nową sytuację. Generał Zając poinformował rząd, iż NKW przystąpił „do opracowania przepisów przejściowych do istniejącego Statutu HP regulujących stan rzeczy w sytuacji obecnej [i] pragnąc w sprawie wyżej poruszonej uzyskać opinię instruktorów, instruktorek i działaczy harcerskich, znajdujących się obecnie na terenie Francji, zwołuje w myśl ustnego porozumienia z Panem Ministrem zjazd instruktorski obecnych w Paryżu”<sup>50</sup>. Stosownie do oficjalnej zapowiedzi 23 maja 1940 r. odbyło się zebranie instruktorów i instruktorek przebywających wówczas w Paryżu, w którym uczestniczyli ponadto Komendant Naczelny ZHP we Francji, Jan Kułakowski, Komendantka Harcerki we Francji hm. Zofia Turska i Komendant Harcerzy we Francji hm. Jan

<sup>49</sup> W dalszej części listu urzędnik pisał: „Ponieważ takie przedstawienie sprawy nie jest zgodne z rozkazem MSWojsk. Jaki p. Grażyński otrzymał, zawiadomiłem II. wiceministra Spraw Wojskowych P. Pułk. Madelskiego o liście p. Grażyńskiego, w związku z czym p. pułk. Modelski wysłał telefonogram do p. Grażyńskiego do Vichy zabraniający druku listu i ogłaszania jakichkolwiek enuncjacji politycznych, jako że wojskowym nie wolno publikować niczego bez zezwolenia władz przełożonych. Ponad to prosiłem pułk. Modelskiego, aby wydał rozkaz cenzorowi p. Karze skonfiskowania listu p. Grażyńskiego, gdyby ten chciał go wydrukować w piśmie harcerskim „Na Tropie”. Ze swej strony zabroniłem drukarni wypuszczenia poza drukarnie tego listu i poleciłem rozrzucenie natychmiast jego składu”. Zob. ZJR, *Pismo z Prezydium Rady Ministrów w Paryżu do min. S. Kota w Angers, Paryż L. dz. Prez. Par.X.40 z dnia 3 maja 1940 r.*, podpis nieczytelny, kopia w zbiorach autora. Ponieważ w żadnej z bibliotek w kraju i zagranicą nie udało się odnaleźć piątego numeru pisma „Na Tropie. Czasopismo Harcerskie” można domniemywać, że nastąpiło „rozrzucenie” (tzn. zniszczenie) składu przygotowanego do druku pisma.

<sup>50</sup> ZJR, *Pismo wiceprzewodniczącego ZHP J. Zająca do Ministra Spraw Wewnętrznych S. Kota. Paryż, 13 maja 1940 r.*, kopia w zbiorach autora.

Polak. Z zarejestrowanych w NKW ponad 70 instruktorów w zebraniu wzięło udział 19 osób ponieważ sytuacja na froncie uniemożliwiła udział osób zmobilizowanych, a także przebywających poza Paryżem. Po rozważeniu różnych wniosków i po dłuższej dyskusji większością głosów przyjęte zostały następujące uchwały: „1/ Nowa władza nie ma zastąpić dotychczasowych władz naczelnych Związku, a jedynie być władzą harcerstwa uchodźczego, reprezentować harcerstwo za granicą, utrzymać kontakt organizacyjny z Krajem; 2/ Pozostawia się nazwę „Komitet Wykonawczy”; 3/ Zebranie instruktorów i pracowników harcerskich, które zostało zwołane przez dha gen. Zająca w dniu 23 maja 1940 r. w Paryżu stwierdza, że władze Związku nie są w stanie pełnić dzisiaj powierzonych sobie funkcji i widzi konieczność utworzenia nowych władz Związku”<sup>51</sup>. Ze względu na stronę formalną oraz biorąc pod uwagę, że Statut ZHP nie przewidywał sytuacji, „którą ówczesnie przeżywano, grono zebranych prosi Rząd jako Władzę Nadzorczą Związku, aby powołał tę władzę z listy harcerzy i harcerek przez grono to sobie przedstawione”<sup>52</sup>. Przeprowadzone wśród obecnych głosowanie wykazało, że najwięcej głosów otrzymał Grażyński, wyprzedzając gen. Zająca. Józef Haller otrzymał jeden głos, ale nie było w tym nic dziwnego, bowiem był on dla większości instruktorów harcerskich postacią podręcznikową i jego związki z ZHP na poziomie ogólnopolskim skończyły się w lutym 1923 r.<sup>53</sup>. Kapiszewscy nie zgodzili się z III uchwałą zebrania, nie przyjęli też wyboru do nowych władz Komitetu. H. Kapiszewski zgłosił się ochotniczo do wojska, a M. Kapiszewska wyjechała z Paryża.

W praktyce oznaczało to koniec istnienia NKW. Formalnie urzędował jeszcze gen. Zająca, ale i on 9 czerwca zdał „wszystkie papiery harcerskie i książki na ręce radcy Angermanna z Prezydium Rady Ministrów”. Wspominał: „Napisałem, że z tą chwilą przestałem pełnić

---

<sup>51</sup> ZJR. *Protokół z zebrania harcerskiego, które odbyło się dnia 23 maja 1940 r. w Domu Polskim (7, rue Crillon) pod przewodnictwem d-ha gen. Józefa Zająca*, kopia w zbiorach autora.

<sup>52</sup> *Ibidem*.

<sup>53</sup> J. Haller był Przewodniczącym ZHP od 3 lipca 1920 do 4 lutego 1923 r., a potem był wybierany kilkakrotnie do Zarządu Okręgu Wielkopolskiego.

funkcję przewodniczącego komitetu naczelnego Związku Harcerstwa Polskiego<sup>54</sup>, o czym poinformował Grażyńskiego. Rezygnacja oznaczała także, iż Grażyński ponownie stawał się urzędującym przewodniczącym. Nie oznaczała jednakże końca starań rządu o powołanie zarządu przymusowego. Zdaniem Kapiszewskiej: „Według informacji uzyskanej pośrednią drogą od hm. Muszalskiego, Rząd wyraził zgodę na osobę gen. Józefa Hallera, jako przewodniczącego Komitetu. W dniu 17 czerwca hm. E. Muszalski, W. Dłużewski i T. Słoński udali się do gen. Hallera, który przebywał wtedy w Peru w Pirenejach, aby uzyskać jego zgodę na objęcie tej funkcji. Haller jednak ponownie odmówił. W dniu tym skapitulowała Francja. Większość harcerzy opuściła Francję lub rozproszyła się, głównie na terenach tzw. zony nieokupowanej Francji”<sup>55</sup>.

W tym samym czasie Grażyński wraz z innymi oficerami zgrupowanymi w Vichy, w ramach tworzonej legii oficerskiej, został skierowany na północ Francji do Granville, w departamencie Manche w Dolnej Normandii, gdzie miał przejść kurs broni przeciwpancernej. Tam też zastała go informacja o kapitulacji Paryża. Po przedostaniu się do St. Jean de Luz w Akwitanii, w departamencie Pyrénées-Atlantiques 21 czerwca znalazł się na pokładzie „Batorego” i ewakuował do Wielkiej Brytanii<sup>56</sup>.

\* \* \*

Reasumując należy stwierdzić, iż opinia W. Musialik powołującej się na wspomnienia Muszalskiego, jakoby w maju i czerwcu 1940 r. został powołany przez rząd nowy organ władzy harcerskiej<sup>57</sup> jest nieuprawniona. Ponadto po wielu miesiącach narad, przygotowywania pism i referatów rządowi nie udało się osiągnąć żadnego z założonych celów. Przede wszystkim Grażyński pozostawał przewodniczącym

<sup>54</sup> J. Zając, *op. cit.*, s. 380.

<sup>55</sup> M. Kapiszewska, *Sprawa harcerstwa (dokończenie)...*, s. 7.

<sup>56</sup> W. Wenzel, *Początki pracy ZHP w W. Brytanii*, „Skaut. Komunikat Koła Harcerki i Harcerzy z lat 1910-1945”, IV-V.1966, nr 6, s. 6. Artykuł dostępny na stronie prowadzonej przez Marka Popiela: <http://www.skaut.okay.pl/isba/1962>.

<sup>57</sup> W. Musialik, *op. cit.*, s. 306-307.

ZHP, a praca harcerska rozwijała się zarówno w Kraju, jak i na uchodźstwie. Niezmiennie pozostało natomiast negatywne oddziaływanie (tzw. czarny PR) rządu wobec osoby przewodniczącego ZHP. Wraz z upływem czasu stawało się ono coraz bardziej groteskowe, ale i przerażające zarazem. Najbardziej tragiczne był wszakże fakt, iż działania te odbijały się na możliwości normalnej pracy społecznej instruktorów harcerskich, tak wówczas potrzebnej dzieciom i młodzieży. Narastało również oderwanie od krajowych realiów, co miało wpływ na coraz trudniejsze porozumiewanie się Kraju z uchodźstwem.



*Michał Grażyński Przewodniczący ZHP na 3 Narodowym Zlocie Skautów Łotewskich w Asari pod Rygą 20 VII 1934*



*Wigilia harcerska w Paryżu w 1939 r. W środku Przewodniczący ZHP M. Grażyński, z prawej wiceprzewodniczący gen. J. Zajac, z lewej komendantka Harcerzek we Francji Zofia Turcka*



Michał Grażyński, *O co walczymy*<sup>58</sup>

[cz. 1]

Niemcy i Bolszewicy wprawdzie okupowali Polskę, nie udało się im jednak zlikwidować sprawy polskiej, jak tego pragnęli i jak się tego spodziewał Hitler i jego minister, Ribbentrop. Wojna toczy się dalej, a jej celem – co prawda nie jedynym – jest właśnie przywrócenie Polsce jej niezależnego bytu.

I my, Polacy, nie jesteśmy w tej wojnie ani bezbronnymi widzami, ani narzędziem tylko w rękach walczących stron. Mamy za sobą duży kapitał moralny przez to, żeśmy się nie poddali jednostronnemu dyktatowi Niemiec w sprawie Gdańska i Pomorza i żeśmy niemal w pojedynkę wytrzymali jakiś czas przynajmniej atak całej potęgi wojskowej Rzeszy, umożliwiając w ten sposób naszym sprzymierzeńcom dokonanie mobilizacji. Mamy tu we Francji swego Prezydenta, Rząd, Wodza Naczelnego i tworzymy Armię Polską z lotnictwem i marynarką wojenną. Jesteśmy pełnoprawnym członkiem Koalicji Angielsko – Francusko – Polskiej i będziemy po zwycięstwie zasiadać w rokowaniach pokojowych nie jako jakiś komitet, ale jako jedno ze zwycięskich państw. Oczywiście trzeba najpierw odnieść zwycięstwo nad wrogiem, który wcale nie jest słaby.

W kraju współczynnikiem toczącej się wojny jest wspaniała postawa polskiego społeczeństwa, które po bohatersku znosi stosowany bezprzykładny ucisk. Zagranicą najważniejszym instrumentem walki

---

<sup>58</sup> Tekst Michała Grażyńskiego opublikowany został w czasopiśmie „Na Tropie. Czasopismo Harcerskie” wydawanym w Paryżu w 1940 (nr 1, s. 1-2; nr 2, s. 14-15; nr 3, s. 26-27, nr 4, s. 37-38). W tekście poprawiono ewidentne błędy literowe, ujednolicono pisownię znaków przystankowych. W krajowych zbiorach bibliotecznych odnaleziono jedynie nry 1, 2, 4 (przechowywane w Bibliotece Narodowej w Warszawie). Żadnego numeru tego pisma nie odnaleziono w polskich bibliotekach zagranicą (Bibliotece Polskiej w Londynie, Bibliotece Polskiej w Paryżu, Bibliotece Muzeum Polskiego w Rapperswilu). Poniższy tekst pochodzi z kopii kserograficznych z lat 70. XX w., przechowywanych w zbiorach Jana Rossmanna, które autor otrzymał w 1986 r. Oryginały znajdowały się w zbiorze dokumentów Henryka Kapiszewskiego. Autorowi nie udało się ustalić, co stało się z oryginałami.

jest Armia, która u boku sprzymierzonych walczyć będzie o wolność Polski i nowy porządek świata. Wszyscy pragniemy, aby sztandary naszych pułków otoczyła nowa sława wojenna i by utworzyły one zawiązek nowej legendy żołnierskiej jako współczynnika przyszłej Polski. W nadchodzących walkach nie zbraknie nam niewątpliwie ani głębokiej miłości kraju, ani odwagi i umiejętności bojowej.

To jednak nie wystarczy. Trzeba mieć równocześnie świadomość tych wielkich celów, o które w tej wojnie chodzi, a które będzie można urzeczywistnić przez pobicie nieprzyjaciela.

1/ Oczywiście najwyższym i najważniejszym dla nas celem, o który wszyscy Polacy walczą jest odzyskanie niepodległości, a więc odbudowa Państwa Polskiego. Na wielkim placu de l'Alma w Paryżu na kamiennej kolumnie wznosi się postać naszego wieszczka, Adama Mickiewicza, który jako pielgrzym idzie ku Polsce. I on był kiedyś na przymusowej emigracji, a idąc drogami polskiego pielgrzymstwa, głosił z bólem, że Polska Jest Chrystusem narodów i że poniosła ofiarę za ich odkupienie. Nie tędy biegnie nasza droga. W toczącej się walce przyświecać nam będzie hasło drugiego wielkiego poety, Stanisława Wyspiańskiego, który powiedział, że naród ma prawo istnieć jako państwo i że w zawierusze dziejowych wypadków waży czyn ludzki, a nie słowo.

Nic chcemy, by nam Polskę ktokolwiek przyniósł w darze!

Będziemy o nią walczyć tak, by z jej powstaniem do nowego życia złączył się nierozdzielnie nasz własny polski wysiłek i żołnierski czyn.

2/ Nieraz w czasie naszych ognisk śpiewaliśmy starą pieśń o polskich sztandarach, które na Kremlu szumiały w rytm słów: „Za naszą wolność i waszą”! Mieści się w tym jakby drugi punkt naszego programu na najbliższą przyszłość. Polska musi w granicach swych zamknąć nie tylko resztę naszych niewyzwolonych ziem na zachodzie, ale stać się – w myśl dawnej, wspaniałej idei Jagiellońskiej – zbornikiem wielkiego związku międzynarodowego, obejmującego tereny między morzem Bałtyckim i Czarnym oraz wskrzeszone na nowo do niezależnego życia narody czeski i słowacki. Będzie to z jednej strony łączyć się z wyzwoleniem z niewoli bratnich narodów, z drugiej zaś trwałym zabezpieczeniem pokoju we wschodniej i środkowej Europie w stosunku do wiecznie głodnych i żądnych zaborów Niemiec i Rosji. Oto

drugi cel, tak ściśle związany z naszą tradycją na przestrzeni wielu wieków, cel, któremu trzeba utorować drogę zwycięskim bagnetem i utrwalić mądrą myślą polityczną.

3/ Wreszcie wojna dzisiejsza toczy się o najwyższe wartości narodu, podeptane brutalnie przez Niemcy i Rosję. Hasło: *Siła przed prawem* – próbuje zamienić świat w dżunglę, w której królują tylko kły i pazury. Walczymy dzisiaj w szeregach tych narodów, które uznały wartość prawa i honoru, wolności i sprawiedliwości, które we wzajemnych stosunkach międzynarodowych chcą utrzymać zasady wzajemnego szacunku i wzajemnego słowa. Uczestniczymy jakby w jakiejś wyprawie krzyżowej, podjętej w obronie idei Boga i miłości, oraz zbudowanej na tych ideach kultury chrześcijańskiej. Jest to jakby wojna o urzeczywistnienie w życiu międzynarodowym naszych ideałów skautowych.

Idziemy zatem do walki z głęboką wiarą w zwycięstwo, oraz z niezłomną wolą zdobycia wolności dla naszej Ojczyzny. Otóż świadomość takich celów powinna tworzyć pobudkę Waszego życia i tych walk, które Was czekają. Zwycięstwo będzie triumfem Polski, ale równocześnie triumfem idei dobra, piękna i sprawiedliwości.

Pomyślcie o tym!

[cz. 2]

*przede wszystkim trzeba przywrócić wolność  
i niepodległość Polakom i Czechom...  
z przemówienia Chamberlaina  
(Birmingham, 24.II.1940)*

W artykule poprzednim próbowaliśmy odpowiedzieć na to pytanie w sposób jak najbardziej ogólny, a to z tej przyczyny, by stworzyć niejako podstawę do bardziej szczególnych sformułowań. Cały ten cykl naszych zasadniczych rozważań wychodzi z założenia, któremu byliśmy wierni i któremu dawaliśmy wyraz w okresie przedwojennym. Chodziło nam o to, by ruch harcerski czerpał swoje siły żywotne, rozmach w pracy i wiecznie odradzający się entuzjazm z jak najlepszego zrozumienia tych zagadnień, które łączą się z istotą naszego życia narodowego i państwowego, lub które służyły najdonioślejszym celom ogólnie światowego programu skautowego. Nie chcieliśmy zredukować się do roli kontemplacyjnego zakonu wychowawczego, przeżywają-

cego stare formuły, — do wygodnej roli obserwatorów, siedzących na brzegu i spoglądających na toczący się przed ich oczami barwny, ale burzliwy strumień życia. I dzisiaj musimy mieć tę samą ambicję twórczego oddziaływania na te czynniki, z których ma się zrodzić nowa, tak bardzo upragniona przez nas rzeczywistość, niosąca ze sobą wolność naszej Ojczyzny. Wracamy dzisiaj do sprawy warunków przyszłego pokoju, o który przecież leje się krew.

Dla nas jest rzeczą jasną, że Polska musi stać się nie tylko współczynnikiem toczącej się wojny przez swą armię, przez swą bohaterską postawę w kraju, ale i twórczym współczynnikiem zawieranego po zwycięstwie pokoju. Otóż dobrze jest zdać sobie sprawę z tego, jak się warunki tego pokoju zarysowują w toczącej się dyskusji na terenie naszych sprzymierzeńców, oraz co my sami z punktu widzenia polskiej racji stanu winniśmy wnieść do zarysowującego się programu nowego układu stosunków w Europie.

Gdybyśmy chcieli ująć w kilku punktach te cele wojny, które nasi sprzymierzeńcy już wysunęli — to moglibyśmy je streścić jak następuje:

a) Uratowanie kultury grecko-rzymsko-chrześcijańskiej, czyli tzw. kultury zachodnioeuropejskiej przed barbarzyństwem narodowego socjalizmu i jednoczącego się z nim coraz wyraźniej bolszewizmu.

b) Obalenie w stosunkach międzynarodowych zasady, prowadzonej przez państwa agresji, że siła idzie przed prawem, a natomiast podniesienie utrwalenie świętości umów międzynarodowych, mających w swej treści szanować wolność narodów, ich prawo do życia i rozwoju kulturalnego, według własnej woli i charakteru.

c) Ułożenie stosunków między państwami na podstawie swobodnej wymiany dóbr kulturalnych i materialnych, przy równoczesnym rozbudowaniu systemu koncyliacji i arbitrażu w ewentualnych sprawach między poszczególnymi państwami.

d) Na tle powyższych ogólnych założeń, utrwala się coraz mocniej hasło wielkich związków międzypaństwowych – w centralnej i wschodniej Europie, czyli federacji, mogących zastąpić powersalskie rozproszkowanie w tym rejonie, a to: przez silne zgrupowanie państw mniejszych i związanie ich ustrojowe lub traktatowe, tak w dziedzinie politycznej jak i gospodarczej.

e) Najbardziej oficjalnie, bo w liście Prezydenta Lebrun do kró-

lewskiej pary holendersko – belgijskiej, a ostatnio w mowie Churchilla – wysunięto ze strony Francji i Anglii tezę przywrócenia wolności: Polsce, Czechom i Austrii i obalenia rządu narodowo-socjalistycznego, który przez swój cynizm, łamanie umów i danego słowa oraz popełnione okrucieństwa pozbawił się zaufania i jakiegokolwiek szacunku.

g) Nadto w publicystyce francuskiej wysuwa się postulat: 1) włączenia Prus Wschodnich do odbudowanego państwa polskiego z równoczesnym wysiedleniem Niemców, 2) realizacji granicy francuskiej z przed r. 1814 (granica Renu), 3) stworzenie zneutralizowanego obszaru na wschód od granicy holendersko-belgijsko-luksembursko-francuskiej, na przestrzeni od Morza Północnego do Szwajcarii pod kontrolą angielsko-francuską, 4) rozbitcie polityczno-terytorialne Rzeszy na mniejsze państewka, odpowiadające dawniejszym księstwom czy królestwom.

h) Wreszcie — mówi się jeszcze o innych gwarancjach rzeczowych, dotyczących zarówno rozbrojenia, zniesienia przemysłu wojennego, jak i dalszego zabezpieczenia wojskowego w stosunku do pobitych Niemiec.

Już to bardzo ogólnikowe podsumowanie wyników urzędowych oświadczeń i toczących się rozpraw na temat warunków przyszłego pokoju wskazuje, jak zasadniczo i głęboko te sprawy są stawiane w opinii walczących razem z nami sprzymierzeńców. Otóż i my musimy ustalić swój własny punkt widzenia, mieszczący się wprawdzie w szerokich ujęciach programów koalicyjnych, ale uwzględniający i ten fakt, że właśnie Polska była i będzie tym naturalnym przez historię i położenie geograficzne wyznaczonym zwornikiem mocnej budowy politycznej w środkowej Europie.

[cz. 3]

Nie spełniły się nadzieje, związane z pokojem wersalskim. Po dwudziestu latach, które zresztą nie przypominały w niczym sielanki, a natomiast zaznaczały się coraz to nowymi rewolucjami, kilku wojnami, oraz największym w dziejach ludzkości przesileniem gospodarczym, Europa na nowo przybrała wygląd obozu wojennego, a to samo pokolenie włożyło mundury polowe i znalazło się w rowach strzeleckich. Na tle tak ponurej rzeczywistości rodzi się krytyka zasad Traktatu

Wersalskiego, krytyka o tyle trudna, że przecież postanowienia tego traktatu nigdy w całości nie zostały wykonane. Wsuwa się nowe pomysły i przygotowuje grunt pod „trwały pokój”, oparty o terytorialną przebudowę Europy, o lepsze zabezpieczenie zasad moralnych w życiu międzynarodowym o mądrze przemyślane międzypaństwowe związki polityczne i gospodarcze. Wszystko to zaś zahacza się niejako o zagadnienie przebudowy środkowej i wschodniej Europy, skąd wzięła swój początek nowa zawierucha wojenna.

Musi nas to oczywiście interesować w najwyższej mierze. Powinniśmy zarówno w toczących się rozprawach, jak i w działaniach znaleźć swój własny punkt widzenia, wyprowadzony z polskiej racji stanu. Chodzi tu o wartości największe, bo o odzyskanie wolności, o ugruntowanie na wieki i zabezpieczenie naszej niepodległości, o stworzenie warunków spokojnej pracy kulturalnej przyszłych pokoleń.

Otóż dla nas takimi węzłowymi punktami wyjścia polskiej myśli politycznej są następujące tezy:

1) Obowiązuje nas całkowita solidarność z ogólnymi celami ideowymi naszych sprzymierzeńców: Anglii i Francji. I to nie tylko z przyczyn naszego sojuszu, ale z poczucia doskonałej łączności moralnej z sojusznikami, z szacunku, jaki odczuwamy do pojęć honoru, wolności, sprawiedliwości i respektowania umów międzynarodowych.

2) Celem, od którego w żadnym wypadku odstąpić nie wolno, to odzyskanie wszystkich zrabowanych nam wbrew prawu i słuszności ziem, w tych granicach, jakie państwo polskie posiadało w dniu rozpoczęcia działań wojennych. Nikt nam tej dawnej Polski nie podarował. Dusza tych ziem tworzyła się myślą, pracą i walką niezliczonych pokoleń polskich. Każda piędź tej świętej ziemi przesiąknięta jest krwią i potem polskim. Do tych najważniejszych tytułów posiadania i władania, dołączyły się w latach 1918-1921 umowy międzynarodowe, określające z jednej strony nasze granice, z drugiej wzajemne stosunki z sąsiadami, oraz miejsce w wielkiej społeczności narodów europejskich.

Napadnięto nas bez wypowiedzenia wojny oraz z pogwałceniem wszelkich zasad prawa międzynarodowego. Jeżeli dziś wysuwa się jako jeden, głównych celów wojny przywrócenie szacunku dla cynicznie zgwałconej zasady szanowania umów i prawa, to oczywiście wysuwany przez nas postulat całkowitej odbudowy państwa polskiego w dawnych

granicach, nie może budzić najmniejszych wątpliwości. Dołącza się do tego jeszcze jeden moment, do którego wrócimy później.

Jeżeli chce się uporządkować stosunki polityczne w centralnej i wschodniej Europie pod kątem widzenia utrwalenia pokoju, to warunkiem niezbędnym do tego jest silna terytorialnie Polska.

3) To jednak nie wystarcza. Traktat Wersalski i późniejsze postanowienia załatwiły sprawę naszych granic zachodnich w sposób ułamkowy, a przez to wybitnie niekorzystny tak z punktu widzenia politycznego, jak i strategicznego. Doznaliśmy wówczas na tym najważniejszym dla nas odcinku granic niepowodzenia, które stało się w dużej mierze z jednej strony zarzewiem ostatniej wojny, a z drugiej wpłynęło na nieszczęśliwy przebieg kampanii polsko-niemieckiej. Było to przy tym jakby jedno z dalszych ogniw naszych historycznych niepowodzeń na zachodzie.

Sięgali kiedyś Słowianie aż pod Wezerę. Jeszcze Bolesław Chrobry wbijał słupy graniczne w rzece Sali, kiedy podejmował próbę tworzenia wielkiego państwa słowiańskiego, jako zapory przeciw niemieckiemu „Drang nach Osten”. Nie udało się. Kolejno traciliśmy naturalne linie oporu, jak Łabę, potem Odrę, by się wreszcie zatrzymać na Wiśle. Ale i tu pozwoliliśmy u samego ujścia Wisły usadowić się Niemcom w Gdańsku, a Prusy Wschodnie oddać Hohenzollernom. W tym tkwiła słabość dawnej Polski i jedna z głównych przyczyn naszego wówczas pod koniec XVIII wieku upadku. Nie udało się tych błędów odrobić po wielkiej wojnie 1914-1918. Wysłunięte przez Polaków żądania, nie zostały uwzględnione, wskutek czego u ujścia Wisły rozsiadło się rzekomo wolne, a zawsze Niemcom uległe miasto Gdańsk, przykryte od północy niemiecką prowincją Prus Wschodnich. Zrodziło się na tym tle urobione przez propagandę niemiecką pojęcie „korytara”, będące punktem wyjścia niemieckiej polityki rewindykacyjnej. O Gdańsk i o Pomorze zaczął się i ostatni spór wojenny. Sprawy ucisku mniejszości dołączono tylko ze względów propagandowych. Nie potrzebujemy chyba podkreślać, jak na przebiegu operacji wojskowych we wrześniu 1939 r. zaciążył fakt ataku armii niemieckiej od strony Prus Wschodnich.

Otóż jeżeli mówi się teraz w dyskusji nad warunkami pokoju o zabezpieczeniu pokoju, to oczywiście sprawą pierwszorzędnej wagi

z tego punktu widzenia jest poprawienie naszej granicy na zachodzie:  
a) przez wcielenie Wolnego Miasta Gdańska i Prus Wschodnich do państwa polskiego;

b) przez włączenie całego śląska Opolskiego, na którym jeszcze dziś siedzi z górą 700.000 (siedemset tysięcy) Polaków; c) przez dalsze wyrównanie strategiczne granicy na zachodzie między Bałtykiem a Sudetami, które powinny tworzyć nowe granice odbudowanego państwa czeskiego; d) wszystkie te zmiany terytorialne na zachodzie należałoby złączyć z przesiedleniem ludności niemieckiej w głąb Rzeszy, a to celem ostatecznego zakończenia sporów mniejszościowych i wyrównania wiekowej krzywdy, wyrządzonej ludności polskiej przez Niemców.

Trzeba odwrócić wieki całe trwający proces niemieckiego parcia na wschód. Trzeba powrócić na zachodzie do bolesławowskiej tradycji przez mądrze przeprowadzoną granicę i polityczną solidarność czesko-polską.

[cz. 4]

Dobre wytyczenie naszych granic na zachodzie, gruntowne oczyszczenie tego terenu z Niemców, to sprawa pierwszorzędnej wagi, jeżeli chodzi o pokój i spokojną przyszłość Polski. Ale to nie wystarcza. Trudność naszego położenia politycznego w ciągu całych wieków polegała na sąsiedowaniu z dwoma imperializmami zaborczymi, a mianowicie niemieckim i rosyjskim. Stąd płynęły nasze straty terenowe, a następnie pod koniec XVIII wieku utrata wolności z powodu jednoczesnego ataku Niemiec, Austrii i Rosji. Dopiero rozgromienie tych trzech potęg w czasie wielkiej wojny 1914-1918 umożliwiło nam odbudowę państwa, co prawda w granicach nieporównanie uszczuplonych od tych, w jakich mieściła się dawna Rzeczpospolita.

Niemcy i Rosja znowu przekształciły się na potężne organizmy militarne, dążące do zaboru na gruncie odrodzonych imperializmów. W ich kleszczach padają albo trzeszczą wszystkie leżące między nimi konstrukcje państwowe, za słabe, by mogły pojedynczo wytrzymać nacisk, a nie połączone ze sobą tak, by mogły zbiorowo i jednolicie stawić opór. Z tego punktu widzenia położenie geograficzne Polski jest szczególnie niekorzystne. Porozumienie polityczne dzisiejsze; Rosji



i Niemiec przedstawia zawsze dla Polski ogromne niebezpieczeństwo. Nie chodzi tu o czyste porozumienie, że tak jest dowodzi tego historia oraz najświeższe wypadki. Otóż w tym stanie rzeczy istnienie Polski, jako słabego ludnościowo i terytorialnie państwa będzie zawsze stawać nasze bezpieczeństwo na krawędzi, ile razy nadciągnie burza wojenna w wielkiej skali oraz przy mobilizacji wszystkich sił Niemiec i Rosji przeciw Polsce. Dotyczy to również innych państw w tym obszarze. Otóż z takich rozważań rodzą się myśli o mniejszych lub obszerniejszych federacjach państw w środkowej i wschodniej Europie.

Dosyć często czytamy w polskim piśmiennictwie politycznym o między państwowym związku polsko-czesko-słowackim. Oczywiście miałyby to duże znaczenie w stosunku do jednego frontu, a mianowicie niemieckiego. Nie usuwa jednak niebezpieczeństwa, które grozi w razie równoczesnego uderzenia od wschodu i zachodu. Jeśli chce się naprawdę ustalić trwały pokój na wschodzie i środkowej Europie, trzeba wyzyskać obecną sposobność i pójść na śmiałość i wielką myśl politycznej przebudowy obszarów, leżących na między morzu bałtyckim-czarnomorskim i to w oparciu o silną Polskę. Aby tego dokonać trzeba rozwalić front wschodni przez pobicie Rosji, wyparcie jej z zachodnich i południowych obszarów Europy, trzeba wyzwolić z niewoli uciśnione i uzależnione przez nią ludy od wybrzeża bałtyckiego, poprzez Białoruś i Ukrainę, aż o wspaniałe szczyty Kaukazu. Wysuwając taką myśl nie bawimy się w teoretyczne tylko igraszki rozumowe, ale wskazujemy niejako dawne, sławne drogi polskich pochodów na Wschód. To właśnie jednak ma szczególniejszą doniosłość, jest bowiem jakby uzupełniającym sprawdzianem słuszności koncepcji. Istniało przecież przez całe wieki państwo, obejmujące na zasadzie unii: Polskę, Litwę i Ruś, opierające się w kresie swego najwspanialszego rozkwitu o Bałtyk i Morze Czarne, tworzące w swym czasie nie tylko największą potęgę na wschodzie, ale w całej Europie. Zachwiała się ta potęga dopiero z powodu walk z kozakami i zaborczego pochodu Moskwy, a upadła z przyczyny wad ustrojowych i równoczesnego ataku trzech państw: Austrii, Prus i Rosji.

Zachodzi pytanie, czy są warunki do podjęcia i urzeczywistnienia tej wspaniałej w swym królewskim blasku myśli Jagiellońskiej, która by polegała na ponownym politycznym zorganizowaniu pomostu,

leżącego pomiędzy dwoma morzami: Bałtyckim i Czarnym. Wiemy, że stosunkowo niedawno, bo w czasie wojny bolszewicko-polskiej podjął tę myśl marszałek Piłsudski, wysuwając z jednej strony koncepcję federacyjną około trzonu polskiego, z drugiej strony rozbięcie bolszewii przez oderwanie od niej Ukrainy. Stąd wypłynął układ z Petlurą i słynny marsz na Kijów.

Nie powiodły się wielkie plany Marszałka. Nie było po temu warunków.

Dzisiaj jest inaczej. Wprawdzie tylko Polska znajduje się w stanie wojny z Rosją, ale jesteśmy dopiero w samych początkach zmagania. Już w czasie wojny finlandzko-rosyjskiej (sic!) konflikt między Aliantami a Rosją zdawał się być prawie pewny w momencie, kiedy ofiarowano Finlandii pomoc w wojsku. Jak wiemy polityczne apetyty rosyjskie nie wyczerpały się na Polsce i Finlandii. Jeszcze nie zmiłkło echo walk na linii Mannerheima, a już Mołotow zgłasza w swej mowie pretensje do Besarabii. Bolszewicki imperializm marzy o dotarciu do ciepłych mórz południowych tak w Europie, jak i w Azji. A cechuje go przecież ten sam brak skrupułów moralnych, co i Niemcy. Należy się w tym zakresie liczyć z takimi wypadkami, które rozszerzą front walczących i na drugiego śmiertelnego wroga Polski, którego siła zresztą, jak wykazała kampania finlandzka (sic!) jest w stosunku odwrotnym do obszaru i ilości ludności.

Europa zbyt dużo krwi przelewa w ostatnich czasach. Tęsknota za pokojem musi się złączyć z radykalnym rozwiązaniem problemów, niemieckiego i rosyjskiego. Myśl obszerniejszych związków między państwowych jest słuszna. Trzeba jednak, by były one wyrazem pewnego logicznego układu stosunków, uwzględniającego zarówno momenty historyczne, geograficzne, narodowościowe, gospodarcze, jak i strategiczne. Stworzenie bariery na pomoście czarnomorsko-bałtyckim, obejmującej 90 milionów ludzi, to najrealniejsza gwarancja trwania pokoju nie tylko na Wschodzie, ale w Europie.

# MISCELLANEA



ELŻBIETA SZTANKÓNÉ STRYJNIAK  
*Piotrków Trybunalski*

### RZECZ O PERSWAZYJNOŚCI PRASY. „NIEWOLA” JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Pierwsze korespondencje i artykuły prasowe autorstwa Józefa Piłsudskiego ukazały się w 1893 r., w wydawanym przez Polską Partię Socjalistyczną „Przedświcie”. Piłsudski publikował następnie także w innych organach prasowych tej partii.

Prasę PPS, ze względu na jej adresata, należy usytuować w obszarze publicystyki robotniczej. Jej antecedencje odnajdujemy przede wszystkim w tradycji piśmiennictwa politycznego, propagandowego i agitacyjnego, które w dziejach polskiej myśli politycznej ma wymierne osiągnięcia, sięgające okresu reformacji, debat polskiego parlamentaryzmu, a następnie okresu Sejmu Wielkiego – epoki szerokiej i intensywnej dyskusji politycznej. Piśmiennictwo to nieprzerwanie towarzyszyło polskiemu życiu politycznemu w okresie zaborów, w kraju i na emigracji. W szczególnych momentach historycznych zwiększała się liczba publikacji<sup>1</sup>. Ich zasadniczą funkcją było szerzenie idei niepodległościowych, które po upadku powstania styczniowego podjęła PPS.

Cały ów dorobek polskiej myśli politycznej i związanego z nią piśmiennictwa przygotował grunt do ukształtowania się dziewiętnastowiecznej prasy politycznej, w tym – robotniczej. Bezpośrednich wzorów dostarczyła jej prasa Europy Zachodniej; właśnie w Genewie ukazał się w 1879 r. jeden z najwcześniejszych tytułów polskiej prasy robotniczej – „Równość”<sup>2</sup>. W chwili debiutu publicystycznego Piłsudskiego prasa

<sup>1</sup> Wymowny jest tu bilans periodyków z okresu powstania styczniowego: ich liczba jest szacowana na około stu tytułów, z których większość ukazała się w nielegalnym obiegu – w różnych nakładach, o różnym zasięgu terytorialnym i o różnej częstotliwości wydania (niektóre były efemeryczne). Zob. L. Mariak, *Perswazyjność prasy tajnej okresu Powstania Styczniowego na przykładzie leksyki*, Szczecin 2001.

<sup>2</sup> S. Dziki, *Prasa w rozwoju historycznym* [w:] *Dziennikarstwo i świat mediów*, red. Z. Bauer, E. Chudziński, Kraków 2000, s. 43.

PPS koncentrowała się na problematyce ściśle związanej z programem partii, analizując przede wszystkim tematykę dotyczącą wyzwolenia narodowego i społecznego. „Przedświt”, „Robotnik”, ale także jednolitości miały za zadanie przekonać czytelników do prezentowanych idei oraz nakłonić do aktywnego poparcia programu partii.

Teoria retoryczna wypracowała aparat badawczy, który od stuleci skutecznie służył badaniom wszelkich tekstów, których celem jest przekonywanie<sup>3</sup>. Rodzaj perswazji prasy socjalistycznej, ze względu na jej cel, najbliższy jest typowi perswazji praktykowanemu w publicystyce propagandy i agitacji politycznej. Obydwa terminy mogą mieć u współczesnego polskiego czytelnika konotację negatywną, gdyż propaganda i agitacja były wykorzystywane jako narzędzia manipulacji przez systemy totalitarne, i przez długie lata kojarzono je z takimi przejawami działalności językowej, jak propaganda III Rzeszy<sup>4</sup> lub język propagandy systemów komunistycznych<sup>5</sup>. W związku z tym konieczne jest posługiwanie się w badaniach nad polskimi tekstami perswazyjnymi aparatem badawczym wypracowanym przez klasyczną teorię retoryczną, który zapewnia neutralną konotację owych terminów. Powstał on bowiem w warunkach swobodnego dyskursu, to znaczy w takiej sytuacji, gdy w publicznym obiegu informacji istniała możliwość prezentowania zróżnicowanych, odmiennych stanowisk.

Prasa socjalistyczna funkcjonowała w obiegu nielegalnym, poza zasięgiem działania cenzury państw zaborczych – czynnika ograniczającego swobodę dyskursu, dlatego, jako instrumenty opisu prasy PPS, terminy perswazja, propaganda i agitacja mogą być użyte w klasycznym znaczeniu.

---

<sup>3</sup> Współcześni teoretycy retoryki wyznaczają jej obszar badawczy następująco: „Z chwilą gdy dana informacja chce wywrzeć wpływ na jedną lub wiele osób, ukierunkować ich myślenie, rozbudzić lub uspokoić ich emocje, skłonić do pewnego działania, należy ona do dziedziny retoryki”. Zob. C. Perelman, *Imperium retoryki*, Warszawa 2002, s. 180.

<sup>4</sup> V. Klemperer, *LTI. Notatnik filologa*, Kraków-Wrocław 1983.

<sup>5</sup> Co znalazło wyraz w następującym stwierdzeniu Michała Głowińskiego: „Stosunek propagandy i terroru nie jest tylko relacją między fikcją i realnością. Propaganda ma terror osłaniać, chronić i upiększać, a także – motywować, jest więc przemocy potrzebna”. Zob. Idem, *Propaganda a terror; „Pismak 1863 i inne szkice o różnych brzydkich rzeczach”*, Warszawa 1995, s. 174.

Teoria retoryczna, opisująca wszelkie aspekty dyskursu retorycznego, traktuje propagandę i agitację jako szczególny rodzaj przekonywania<sup>6</sup>. W ujęciu klasycznej teorii retorycznej na *persuadere* składają się tak zwane tria *officia dicendi*, czyli trzy funkcje mówienia: *docere* – funkcja informująco-pouczająca – dominująca w dyskursie skierowanym przede wszystkim do sfery intelektu odbiorcy, *movere* – funkcja dominująca w dyskursie mającym oddziaływać na wolę czytelnika, wpływając na jego czyny i sposób wartościowania, *delectare* – funkcja estetyczna. W tekstach propagandowych i agitacyjnych funkcją dominującą jest zazwyczaj *movere*, gdy *docere* stanowi funkcję dominującą w gatunkach literatury polemicznej i dlatego nie dziwi jej przewaga w polemicznych fragmentach artykułów prasowych. W tekstach Józefa Piłsudskiego jest ona jednak szeroko realizowana także w innych partiach tekstu, na przykład w rozbudowanych wprowadzeniach zasadniczego tematu, które teoria retoryczna określa terminem *narratio*, przybierających, w konsekwencji, charakter popularnego wykładu naukowego.

Klasyczny przykład artykułu o dominującej funkcji *docere* stanowi *Niewola*<sup>7</sup>. Zasadniczym tematem tegoż jest ciężar podwójnego ucisku, klasowego i narodowego, jakiemu podlegali Polacy w zaborze rosyjskim. Autor nie ograniczył się jedynie do charakterystyki sytuacji społeczeństwa polskiego. Piłsudski opatrzył tekst obszernym *narratio*, w którym przedstawił zarys historii niewoli: od człowieka pierwotnego – z natury i warunków życia zawsze wolnego, po różne formy zniewolenia, w zmieniających się i następujących po sobie w toku dziejów, formacjach polityczno-społecznych. Następnie dokonał porównania sytuacji społeczeństwa polskiego z formami ucisku ówczesnie występującymi w różnych miejscach globu, m.in. na Krecie. Dopiero po tym rozbudowanym *narratio* przeprowadził analityczny wywód mający wykazać ciężar podwójnego ucisku: narodowego i klasowego, jakiemu poddano pod zaborami społeczeństwo polskie.

<sup>6</sup> Propaganda to: „perswazja nastawiona na jeden cel, mianowicie na pozyskanie dla idei czy doktryny jak największej liczby zwolenników, zaś agitacja to perswazja obliczona na zjednanie odbiorcy dla jakiejś sprawy, idei czy poglądu, oparta na autorytatywnym i sugestywnym przekonywaniu”. Zob. M. Korolko, *Sztuka retoryki. Przewodnik encyklopedyczny*, Warszawa 1990, s. 31.

<sup>7</sup> J. Piłsudski, *Niewola*, „Robotnik”, nr 19 (6 XII 1896), s. 3-5. Wszystkie cytaty z artykułu *Niewola* podano za: Józef Piłsudski *Pisma zbiorowe*, Warszawa 1937, t. I, s. 154-158.

Tok wywodu uzupełnił rzeczowymi informacjami o sytuacji bieżącej, konstatując, że uciskowi podlegały wszystkie klasy. Ekonomicznego doświadczały ziemianie, przemysłowcy i handlowcy w wyniku grabieżczego systemu podatkowego, nawet trzykrotnie wyższego na ziemiach polskich, niż w Rosji. Uderzał on nie tylko w bezpośrednio płacących podatki, ale również – i przede wszystkim – w pracowników, którzy byli gorzej opłacani i musieli więcej i ciężiej pracować, aby zrównoważyć kolejny efekt wysokich podatków – drożyznę<sup>8</sup>. Inne narzędzie wyzysku stanowił pobór do wojska, wg określenia Autora, mięsa armatniego<sup>9</sup> oraz koszt utrzymania armii okupacyjnych. W administracji usuwano Polaków ze stanowisk państwowych, urzędniczych, a na ich miejsce przyjmowano Rosjan. Rugowanie Polaków i zastępowanie ich żywiołem obcym dotyczyło nawet stanowisk robotniczych. Drastyczny przykład ucisku stanowiła rusyfikacja szkolnictwa<sup>10</sup>. W administracji państwowej nadmiar formalności, kosztownych i czasochłonnych, zniechęcał do działania i uniemożliwiał inicjatywę, „a wszystkie te środki, stosowane dla ustawicznej kontroli naszych czynności, jak paszporty, meldunki itd., czyż nie utrudniają nam życia? Człowiek rad by sobie wyszukać lepsze zajęcie, a tu trzeba masę czasu i pieniędzy tracić na wyrobienie paszportu, tak, że niejeden machnie ręką i zadawalnia się (sic!) marnym miejscowym zarobkiem, byle tylko nie mieć kłopotu z policją”<sup>11</sup>.

<sup>8</sup> Pisał: „...jakiś obłudnik, carski demokrat, mógłby nam powiedzieć: <<Co was, bezdomnych robotników, może to obchodzić, że dusimy panów i różnych posiadaczy?>> Wygląda to niby na prawdę, ale w gruncie rzeczy byłoby to bezczelnym mydleniem nam oczu, bo przecież kapitaliści, żeby wyjść na swoje przy zdzierstwach rządu, zwiększają czas naszej pracy lub zmniejszają płacę; na ile zaś to nie pokrywa jeszcze carskiego haraczu, zwiększają cenę swoich produktów – następuje drożyzna, na czym znowu robotnik traci najwięcej. W ten sposób cały ciężar tego wyzysku najeźdźcy spada na nasze spracowane barki”. Zob. J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, Warszawa 1937, t. I, s. 156,

<sup>9</sup> *Ibidem*.

<sup>10</sup> Pisał: „Weźmy chociażby rusyfikację w szkołach: zdaje się, na pozór, że nic nie ma ona wspólnego z zarobkiem, a jednak ma, bo młodzież marnuje czas i wysiłki na naukę rosyjskiego języka, ogłupia ją cały nikczemny system nauczania, obliczony na tłumienie światła nauki; dzięki temu poznaje ona mniej użyteczne rzeczy, niżby mogła się nauczyć w tym samym czasie, a więc potem i trudniej radzi sobie w życiu i zarobek mniejszy”. Zob. *ibidem*, s. 157.

<sup>11</sup> *Ibidem*.



Ucisk polityczny przejawiał się w działaniach cenzury, prowadząc do zubożenia i wyjałowienia dorobku duchowego narodu<sup>12</sup>.

Tok dowodzenia zamknął Autor krótkim *refutatio* – polemiką z niewyartykułowanym tu wprost poglądem, że życie pod zaborami mogło być znośne: „Widzimy przeto, że niewola nie jest ciężarem urojonym, wysnutym z fantazji, ale uciska rzeczywistość i czyni życie ludzkie o wiele cięższym. [...] Niewola nie jest również tym zwykłym wyzyskiem robotnika przez rząd, który ma miejsce we wszystkich samoistnych państwach, bo ponad ciężar tego wyzysku dorzuca ona jeszcze sobie właściwe brzemień materialnego zdzierstwa i ucisku”<sup>13</sup>. W konkluzji sformułował Autor hasła walki o wolność narodową i społeczną: „Znieść wszelki ucisk i wyzysk to zadanie socjalizmu i hasło robotników wszystkich krajów. My zaś znajdujemy się w takim położeniu, że chcąc się pozbyć wyzysku kapitalistycznego, musimy zacząć od niewoli politycznej. [...] Stając dziś zawsze i wszędzie w obronie naszego bytu i godności, walcząc o lepsze warunki pracy, nigdy też zapominać nie powinniśmy, że dopiero z opadnięciem kajdan niewoli, nałożonych na nas przez despotyczny rząd najezdniczy, rozpocznie się era szybkiego postępu ku szczęśliwej przyszłości bez troski i krzywdy”<sup>14</sup>.

W wielu artykułach Józefa Piłsudskiego (a także innych autorów publikujących na łamach prasy PPS), realizacji zasadniczego celu perswazji, którym było propagowanie programowych idei, towarzyszyła popularyzacja wiedzy ogólnej. Przyczyn tego zjawiska należy upatrywać w kilku źródłach. Czynnikiem decydującym o owej zrównoważonej koincydencji obu funkcji (*movere* i *docere*) jest specyfika polskich warunków polityczno-społecznych po powstaniu styczniowym. Jedną z istotnych, dla polskiej myśli politycznej i społecznej, konsekwencji powstania było unaooczenie – wręcz udowodnienie, konieczności

<sup>12</sup> Piłsudski wskazywał: „Literatura np. jest dziś najpotężniejszą dźwignią rozwoju społecznego we wszystkich krajach, a jakaż ona biedna i uboga u nas pod opieką carską! Bo czymże ją zapelnąć, kiedy o kwestiach najżywotniejszych, najwięcej nas obchodzących cenzura zabrania pisać [...] Nic więc dziwnego, że wobec takich pęt i knebla piśmiennictwo nasze stało się jałowym i płytkim”. Zob. *ibidem*, s. 158.

<sup>13</sup> *Ibidem*.

<sup>14</sup> *Ibidem*.

politycznego upodmiotowienia ludu, które mogło zostać zrealizowane pod warunkiem oświecenia. Szeroko pojęty i realizowany postulat oświaty i uświadomienia politycznego ludu łączy polską publicystykę popowstaniową różnych orientacji politycznych.

W zamyśle Piłsudskiego (a także w programie PPS) osiągnięcie niepodległości było najbliższe realizacji dzięki sojuszowi ruchu narodowyzwoleńczego z ruchem socjalistycznym. W przyszłym, wolnym i demokratycznym państwie Piłsudski przewidywał udział w rządzeniu proporcjonalny do możliwości danej grupy społecznej: im bardziej oświecona, aktywna i odpowiedzialna, tym większy mogła mieć udział w kształtowaniu ustroju. Przypomnijmy, że w pierwszych dniach niepodległości Komendant ubolewał<sup>15</sup> nad niewystarczającym, jego zdaniem, udziałem w rządzie przedstawicieli ruchu ludowego. Owa niedostateczna reprezentacja była konsekwencją braku odpowiedniej kadry, innymi słowy, nieprzygotowania reprezentantów ludu do sprawowania funkcji państwowych wysokiego szczebla. W publikacjach Józefa Piłsudskiego *docere* jest szeroko realizowana i nawet pisma agitacyjne jego autorstwa zawierają walor poznawczy<sup>16</sup>.

Podmiotowe potraktowanie ludu miało istotne konsekwencje dla samego aktu perswazji: lud stał się partnerem w dyskursie politycznym. Autor identyfikował się z robotnikami, stale używając zaimka *my*. Oszczędnie operował emocjonalizmami, koncentrując się na rzeczowości wywodu. Nie posługiwał się przy tym typowymi (jeszcze w okresie powstania styczniowego) dla tekstów skierowanych do ludu potocznymi przysłowiami i sentencjami – w ich miejsce wprowadził *narratio* w formie popularnego wykładu naukowego.

Nie bez znaczenia dla realizacji *persuadere* w artykułach Józefa Piłsudskiego, drukowanych w tym czasie, jest fakt, iż była to prasa konspiracyjna. Fundamentem perswazji propagandowej był autorytet intelektualny i moralny Autora. Mirosław Korolko twierdził, że skuteczność propagandy jest wprost proporcjonalna do stopnia zaufa-

---

<sup>15</sup> Por. *Oświadczenie Józefa Piłsudskiego z dnia 14 listopada 1918 roku* [w:] *Ibidem*, t. V, s. 18-19.

<sup>16</sup> Przykładami takich tekstów są: odezwa pt. *Do towarzyszy socjalistów Żydów*, (*Ibidem*, t. I, s. 28-33.) oraz artykuł wzywający do udziału w demonstracjach pt. *Święto majowe w Warszawie* (*Ibidem*, t. I, s. 142-146.).

nia słuchacza (czytelnika) do propagującego<sup>17</sup>. Anonimowi autorzy<sup>18</sup> nielegalnej prasy PPS siłą rzeczy nie mogli dysponować tym atutem. Musieli zdobyć autorytet i osiągnąć efekt perswazyjny wyłącznie poprzez tekst, a argumentację uwiarygodniały wyłącznie jego rzeczowość i intelektualna kompetencja.

Artykuł pt. *Niewola* został opublikowany w „Robotniku” 6 grudnia 1896 roku. Józef Piłsudski przeznaczył w nim najwięcej miejsca na propagowanie programu PPS: odzyskania przez Polskę niepodległości i wprowadzenia w wolnej ojczyźnie ustroju demokratycznego. Obszerną partię tekstu poświęcił historii niewoli – jej przejawom w różnych krajach i epokach. Wywód cechuje rzeczowość i rzetelna argumentacja. Adresatem przesłania są przede wszystkim polscy robotnicy, potraktowani przez Autora jako podmiot historii.

---

<sup>17</sup> M. Korolko, *op. cit.*, s. 31.

<sup>18</sup> W notatce od wydawców *Pism zbiorowych* Józefa Piłsudskiego (jako wydawca tomu I podpisał się Waław Lipiński), w tomie I, na s. 69 czytamy: [...] artykuły „Robotnika” nie były podpisywane.



# ŹRÓDŁA



PAWEŁ DUBER

Katowice

**NIEZNANA RELACJA NA TEMAT OSTATNIEGO  
ETAPU PRACY NAD UCHWALENIEM KONSTYTUCJI  
KWIETNIOWEJ (1934-1935)**

Początkowo nic nie zapowiadało nadzwyczajnych wydarzeń, do których doszło 26 stycznia 1934 r. podczas obrad plenarnych Sejmu. W porządku dziennym umieszczono co prawda dyskusję nad sprawozdaniem Komisji Konstytucyjnej w sprawie tez konstytucyjnych, przedłożonych przez klub BBWR, a na posiedzeniu stawił się *in corpore* rząd premiera Janusza Jędrzejewicza. Opozycja nie zdecydowała się jednak na wzięcie udziału w obradach, manifestacyjnie opuszczając salę obrad<sup>1</sup>. Nie dziwi więc fakt, iż w porannym wydaniu „Kuriera Warszawskiego” stwierdzono: „W tych (...) warunkach przebieg posiedzenia nie budzi szczególniejszego zainteresowania. Obrady bowiem toczyć się będą (...) wyłącznie w obecności członków klubu B.B”<sup>2</sup>. Teoretycznie przywódcy poszczególnych stronnictw politycznych nie mieli żadnych podstaw do niepokoju, ponieważ doskonale zdawali sobie sprawę, iż sanacja nie posiadała w Sejmie przewagi 2/3 głosów, niezbędnej do przeprowadzenia jakichkolwiek zmian w obowiązującej konstytucji, nie mówiąc już o innych wymogach proceduralnych, przewidzianych w podobnych przypadkach<sup>3</sup>.

Okazało się jednak, iż opozycja nie doceniła przebiegłości, a także determinacji kierownictwa obozu sanacyjnego, które w przerwie

<sup>1</sup> A. Ajnenkiel, *Polska po przewrocie majowym. Zarys dziejów politycznych Polski 1926 – 1939*, s. 438.

<sup>2</sup> *Z sejmu*, „Kurier Warszawski (wydanie poranne)”, nr 25 (26 I 1934), s. 10.

<sup>3</sup> Zgodnie z treścią art. 125 ustawy zasadniczej ewentualne zmiany mogą być uchwalone „tylko w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów, względnie członków Senatu, większością 2/3 głosów. Wniosek o zmianę Konstytucji winien być podpisany co najmniej przez 1/4 ustawowej liczby posłów, a zapowiedziany co najmniej na 15 dni”. Zob.: *Konstytucja marcowa*, oprac. A. Burda, Lublin 1983, s. 96.

posiedzenia zebrało się w gabinecie marszałka Sejmu, Kazimierza Świtalskiego. O przebiegu tego spotkania można się dowiedzieć z relacji spisanej po latach przez jednego z jego uczestników, Bohdana Podoskiego. To właśnie od niego, a także od Stanisława Cara, miała wyjść inicjatywa przedłożenia Sejmowi skodyfikowanego wcześniej projektu autorstwa drugiego z wymienionych polityków, ponieważ „regulamin (...) pozwala na uchwalenie w trybie nagłym każdej ustawy, nie wyłączając konstytucyjnej”<sup>4</sup>. Pomysł ten został jednak odrzucony przez prezesa klubu BBWR, Walerego Sławka, który uważał, iż w ten sposób istniałaby możliwość postawienia obozowi rządzącemu zarzutu, że „tekst uchwalony przez Sejm, nie był formalnie znany żadnemu z posłów przed posiedzeniem”. W zamian zaproponował jednak, żeby wnieść pod obrady tezy, będące przedmiotem obrad, co spotkało się z akceptacją pozostałych uczestników spotkania, wśród których znajdował się także Aleksander Prystor oraz szef rządu. Przeciwno podobnemu rozwiązaniu opowiedział się jedynie Świtalski, jednak „przyjął je, jako decyzję większości”<sup>5</sup>. W ten sposób, pod nieobecność na sali obrad posłów opozycyjnych, doszło do uchwalenia nowej ustawy zasadniczej<sup>6</sup>. Pięć dni później okazało się jednak, iż jej treść, a także sposób, w jaki została przyjęta przez izby ustawodawcze, wzbudził zastrzeżenia ze strony Piłsudskiego<sup>7</sup>, w związku z czym kierownictwo obozu sanacyjnego zdecydowało się na wprowadzenie niezbędnych zmian w istniejącym projekcie, wykorzystując w tym

<sup>4</sup> B. Podoski, *Prace nad konstytucją kwietniową*, „Niepodległość”, T. XII (po wznowieniu), Nowy Jork – Londyn 1979, s. 192.

<sup>5</sup> Ibidem.

<sup>6</sup> Sprawozdanie Sejmowe (dalej SS) ze 108 posiedzenia Sejmu, 26 I 1934, l. 3 – 39 i nn. W historiografii słusznie podkreśla się, iż w trakcie tego posiedzenia doszło do naruszenia regulaminu obrad, a przede wszystkim art. 125 konstytucji, ponieważ pomimo wystarczającego quorum nie zostały dopełnione inne wymagania formalne. Zob. m.in.: W. Rostocki, *Pięćdziesiąt pięć lat mocy obowiązującej Konstytucji Kwiecniowej. Ustrój władzy państwowej w ustawie zasadniczej i praktyce*, Lublin 2002, s. 39; D. Górecki, *Pozycja ustrojowo – prawna Prezydenta Rzeczypospolitej i rządu w ustawie konstytucyjnej z 23 kwietnia 1935 roku*, Łódź 1995, s. 13; A. Ajnenkiel, *Polska...*, s. 438.

<sup>7</sup> Zostały one wyrażone podczas jego rozmowy ze Świtalskim i Sławkiem, do której doszło 31 stycznia 1934 r. Zob.: K. Świtalski, *Diariusz 1919-1935*, Warszawa 1992, s. 653-657.



celu Senat. Stamtąd dokument trafił ponownie do Sejmu, który 23 marca 1935 r., a więc przeszło rok później, zaakceptował wprowadzone poprawki, uchwalając tym samym konstytucję kwietniową w jej ostatecznym brzmieniu<sup>8</sup>.

Przebieg konferencji, do której doszło w gabinecie Świtalskiego, znany był dotychczas historykom jedynie z cytowanych powyżej wspomnień Podoskiego, opublikowanych po upływie ponad czterdziestu lat od omawianych wydarzeń<sup>9</sup>. Okazuje się jednak, iż istnieje inne, nieznane dotychczas źródło, będące opisem ostatniego etapu prac nad konstytucją. Zawiera ono również relację z wydarzeń z 26 stycznia 1926 r., nie wyłączając poufnych rozmów pomiędzy najbliższymi współpracownikami Piłsudskiego. Jest to fragment zeznania, złożonego przez Świtalskiego 24 września 1953 r. w obecności por. Henryka Bereśa, oficera Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, w trakcie śledztwa wytoczonego byłemu marszałkowi Sejmu w okresie powojennym przez komunistyczne władze<sup>10</sup>. Czytając treść tej relacji warto o tym fakcie pamiętać, ponieważ okoliczności, w jakich powstała, wywarły z pewnością wpływ na jej ostateczny kształt. Nie oznacza to jednak, iż powinno się kwestionować wiarygodność tego dokumentu, o czym można się przekonać porównując jego zawartość ze wspomnieniami Podoskiego. Okazuje się, iż poza pewnymi drobnymi różnicami oba źródła doskonale się uzupełniają, a największa sprzeczność, jaka w nich występuje, dotyczy listy uczestników spotkania w gabinecie marszałka Sejmu – zdaniem Świtalskiego zamiast Podoskiego był tam obecny ówczesny minister spraw zagranicznych Józef Beck. Należy jednak uznać to za ewidentny błąd, zrozumiały z uwagi na czas, jaki

<sup>8</sup> SS ze 142 posiedzenia Sejmu, 23/24 III 1935, l. 151-154. Zob. także: A. Ajnenkiel, *Polska...*, s. 440.

<sup>9</sup> Zob. m.in. A. Garlicki, *Józef Piłsudski 1867-1935*, Warszawa 1989, s. 681; A. Ajnenkiel, *Konstytucje Polski w rozwoju dziejowym 1791-1997*, Warszawa 2001, s. 208-209.

<sup>10</sup> Do jego zatrzymania doszło w nocy z 15/16 listopada 1948 r. Szerzej na temat śledztwa, a następnie procesu zob.: J. Piotrowski, T. Serwatka, *Ostatnie lata życia Kazimierza Świtalskiego*, „Niepodległość”, t. LVIII, Warszawa 2008, s. 163-171; R. Świętek, *Kazimierz Świtalski, premier Rzeczypospolitej 14 IV – 7 XII 1929*, [w:] *Prezydenci i premierzy Drugiej Rzeczypospolitej*, pod red. A. Chojnowskiego i P. Wróbla, Wrocław 1992, s. 282.

upłynął od omawianych wydarzeń. Warto również zwrócić uwagę na krytyczną opinię marszałka Sejmu na temat niektórych zapisów nowej ustawy zasadniczej, ponieważ uwzględnienie ich w omawianych tezach stanowiło jedną z głównych przyczyn zajęcia przez niego negatywnego stanowiska względem zaproponowanej przez Cara taktyki<sup>11</sup>. Najważniejszym powodem podobnej postawy miało być jednak przekonanie, iż należało zastosować się ściśle do wymogów, przewidzianych w art. 125 konstytucji marcowej, pozwalając tym samym opozycji na odrzucenie projektu, zgłoszonego przez klub BBWR, a następnie rozwiązać parlament i dążyć do uzyskania w wyborach niezbędnej większości, pozwalającej na przeforsowanie w Sejmie nowej ustawy zasadniczej w sposób w pełni legalny<sup>12</sup>.

Zeznania byłego współpracownika Józefa Piłsudskiego, złożone 24 września 1953 r., można więc uznać za ważne uzupełnienie dotychczasowej wiedzy na temat ostatniego etapu prac nad konstytucją kwietniową. Oryginał tego dokumentu jest przechowywany wraz z innymi aktami procesowymi Świtalskiego w Archiwum Państwowym m.st. Warszawy<sup>13</sup>. Sporządzony został w formie rękopisu, w którym na każdej stronie widnieje podpis byłego marszałka Sejmu. Przygotowując ten tekst do druku autor starał się w jak najmniejszym stopniu ingerować w treść protokołu, decydując się jedynie na wprowadzenie drobnych poprawek w pisowni oraz interpunkcji.

---

<sup>11</sup> Niektóre ze sporządzanych na bieżąco zapisek „Diariusza” w pełni ten fakt potwierdzają. Por. np.: K. Świtalski, *Diariusz...*, s. 654-655.

<sup>12</sup> W tym przypadku trudno jednak jednoznacznie stwierdzić, na ile wiarygodne jest to stwierdzenie. Sugestie, zgodne z którymi należało odwołać się do poparcia społecznego poprzez przeprowadzenie wyborów do Sejmu na tradycyjnych zasadach, pojawiają się także w „Diariuszu”, warto jednak pamiętać, iż zostały one przez autora dopisane już w czasach powojennych, a odnosiły się bezpośrednio do okresu po śmierci Piłsudskiego, kiedy istniała zdaniem Świtalskiego możliwość zdyskontowania panującej wówczas w polskim społeczeństwie atmosfery żałoby. Wątpliwe jednak, czy polityk ten faktycznie brał pod uwagę podobne posunięcia jeszcze za życia Marszałka. Zob.: *Ibidem*, s. 705.

<sup>13</sup> Archiwum Państwowe m.st. Warszawy, Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy, sygn. IV 3K 14/54, t. 2, Protokół przesłuchania podejrzanego K. Świtalskiego z 24 września 1953 r., k. 133-136.

**Fragment zeznania Kazimierza Świtalskiego, złożonego 24 września 1953 r. w obecności oficera śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego por. Henryka Beresia**

W miesiącu styczniu 1934 r. klub B.B.W.R. wniósł do łaski marszałkowskiej projekt podstawowych zasad w/g których miała być opracowana nowa konstytucja. Celem przedłożenia projektu tych ogólnych zasad było zarówno spropagowanie kwestii konstytucyjnej na forum sejmowym, jak i w szerszej opinii społecznej, jak również próba skonstatowania czy na pewne zasady wyłuszczone w projekcie B.B.W.R. nie będą się godzić jakieś stronnictwa opozycyjne i ten sposób przynajmniej na pewne zasady nowej konstytucji nie będzie można uzyskać kwalifikowanej większości głosów w sejmie. Wydaje mi się, że kluby opozycyjne uznały ten drugi wyżej wspomniany cel dla siebie za niebezpieczny gdyż wtenczas byłaby stała się możliwą częściowa rewizja konstytucji 1921 r., czego opozycja nie pragnęła, a nadto debaty nad tezami konstytucyjnymi klubu B.B.W.R. mogłyby ujawnić rozbieżne stanowiska prawicy i lewicy opozycyjnej, co musiało by wywołać w społeczeństwie wrażenie, że opozycja w tym ważnym zagadnieniu państwowym nie ma jednolitego stanowiska. To zdaje mi się było najgłówniejszym powodem, że z chwilą wejścia na porządek dzienny obrad sejmu wyżej wspomnianego wniosku klubu B.B.W.R. kluby opozycyjne nie oczekiwanie zarówno dla mnie, jak i dla klubu B.B.W.R. poczęły gromadnie opuszczać salę sejmową demonstrując w ten sposób, że sprawa zmiany konstytucji ich nie interesuje. W ten sposób powstała nagle nowa zupełnie sytuacja, nie przewidywana przeze mnie jak i przez większość sejmową i dlatego zarządziłem kilkunasto minutową przerwę posiedzenia sejmu celem zastanowienia się nad zupełnie nową sytuacją. W czasie tej przerwy przyszli do mego gabinetu Janusz Jędrzejewicz – pełniący wówczas funkcję Premiera, Sławek Walery – będący wtenczas prezesem klubu B.B.W.R., Beck Józef – ówczesny Minister Spraw Zagranicznych, Prystor Aleksander – będący posłem z ramienia klubu B.B.W.R. i Car Stanisław, pełniący funkcję Wicemarszałka Sejmu, który był przewidziany jako główny referent ustawy konstytucyjnej. Na tym dorywczym zebraniu Car

Stanisław wysunął propozycję, by wyzyskując nierozważną abstynencję opozycyjnych klubów sejmowych przegłosować tezy konstytucyjne przez plenum sejmu bez odsyłania ich do komisji konstytucyjnej. Moje stanowisko wobec tej propozycji Cara Stanisława było następujące: odstąpienie od zwyczaju parlamentarnego, by w pierwszym czytaniu projektów ustaw odsyłać je do odpowiednich komisji, nie bardzo mi odpowiadało, zwłaszcza że chodziło o tak ważną sprawę jak Konstytucja. Pod względem formalnym taki krok nie natrafiłby na większe trudności i nie wzbudzał by wskutek tego większych zastrzeżeń, gdyż regulamin obrad sejmowych nie jest żadną ustawą, a tylko zwykłą uchwałą plenum sejmu. Wobec tego plenum sejmu jest również władne drogą takiej samej uchwały zmieniać postanowienie regulaminu albo na stałe, albo tylko odnośnie do tej kwestii która w danym okresie stanęła na porządku dziennym. Taka jednak uchwała musi wywoływać pewne zdziwienie i wrażenie jakiegoś taktycznego „kruczka”. Nadto w tezach konstytucyjnych znalazł się ustęp mówiący o tym, że obywatele którzy zasłużyli się dla państwa mogą mieć większe prerogatywy niż inni obywatele. Uważałem, że nie znajdzie się nigdy żadne istotne kryterium, które pozwoli określić, jacy to ludzie ponieśli większe zasługi dla państwa niż inni. Ta właśnie teza konstytucyjna została umieszczona we wniosku klubu B.B.W.R. wbrew memu zdaniu i przeciwko niej występowałem zdecydowanie na konferencjach zajmujących się ułożeniem najgłówniejszych zasad nowej konstytucji. Z zachowania się innych osób znajdujących się wtenczas w moim gabinecie, których nazwiska podałem wyżej, wywnioskowałem, że są skłonni przychylić się do propozycji wysuniętej przez Cara Stanisława. Ponieważ w okresie krótkiej przerwy nie można było zasięgnąć opinii ani Prezydenta RP – Mościckiego I., ani Piłsudskiego Józefa, a sytuacja wytworzona przez nieopatrzoną abstynencję opozycji mogła się więcej nie powtórzyć, a przez to samo całe zagadnienie mogło przestać być aktualnym, zwróciłem się do Jędrzejewicza Janusza z następującymi słowami: „Nie możemy w tym przypadkowym gronie rozstrzygać tej kwestii drogą głosowania zgodnie ze zwyczajem które (sic!) zachowywaliśmy przy podobnych konferencjach w których uczestniczyli byli premierzy rządów. Trzymaliśmy się wtenczas zawsze zasady, że ostateczna decyzja przy rozbieżności zdań należy

do każdorazowego premiera jako ponoszącego moralnie i formalnie największą odpowiedzialność za losy spraw państwowych. Dlatego i w tym momencie nie pozostaje mi nic innego jak trzymać się tej zasady praktykowanej u nas dla utrzymania koniecznej dyscypliny wewnętrznej naszego obozu i dlatego czuję się w obowiązku zrobić tak jak zadecyduje urzędujący premier, to znaczy Janusz Jędrzejewicz". Ponieważ Janusz Jędrzejewicz po krótkim wahaniu się przychylił się do propozycji wysuniętej przez Cara Stanisława, wznowiłem na nowo posiedzenie sejmu i oddałem głos Stanisławowi Carowi jako referentowi też konstytucyjnych, który postawił formalny wniosek by tezy konstytucyjne zostały uchwalone przez plenum sejmu bez odsyłania do komisji konstytucyjnej. Po oświadczeniu się za tym wnioskiem większości posłów biorących udział w tym posiedzeniu przystąpiłem do głosowania nad wnioskiem klubu B.B.W.R. Skonstatowałem, że w posiedzeniu bierze udział dostateczne „quorum” posłów przewidziane w ustawie konstytucyjnej dla podejmowania prawomocnych uchwał i stwierdziłem, że za wnioskiem klubu B.B.W.R. oświadczyła się kwalifikowana większość tj. 2/3 posłów biorących udział w posiedzeniu. W/w wniosek klubu B.B.W.R. został zgodnie z obowiązującą wówczas konstytucją marcową 1921 r. odesłany do Senatu, który po dokonaniu swoich poprawek i po zamienieniu pod względem redakcyjnym „tez” na odpowiednie artykuły ustawowe, zwrócił go Sejmowi, a ten poprawki Senatu przyjął wymaganą większością głosów 11/20.

Przy całym rozpatrywaniu zagadnienia rewizji konstytucji moje osobiste zapatrywanie szło w tym kierunku, że wymóg zawarty w konstytucji marcowej, a opiewający, że do rewizji konstytucji konieczna jest większość 2/3 ciał ustawodawczych, był niesłuszny. Wszelkie bowiem demokratyczne instytucje muszą rządzić się zasadą że ostatecznie rozstrzyga we wszystkich kwestiach ustawodawczych zawsze wola zwykłej większości. Jeżeli natomiast wymaga się dla zmiany jakiejś ustawy większości 2/3 członków ciał ustawodawczych to wtedy jedna trzecia (1/3), a więc mniejszość, może sparaliżować wszelkie usiłowania zmiany ustaw i w ten sposób przechodzić do porządku dziennego nad wolą większości reprezentantów społeczeństwa, a tym samym stawać na przekór opinii większości społeczeństwa. To stanowisko na skutek mojej argumentacji znalazło wyraz w projekcie ustawy

konstytucyjnej, która weszła w życie w kwietniu 1935 r. i w której jest artykuł, że zmiana (rewizja) konstytucji może być dokonywana zwykłą większością głosów ciał ustawodawczych.

Mimo tego osobistego zapatrywania na niesłuszność wymogów 2/3 głosów przy rewizji konstytucji byłem przekonany, że musi się jednak trzymać przepisów obowiązującej wówczas ustawy konstytucyjnej i dlatego byłem zwolennikiem planu, by po odrzuceniu projektu konstytucji przez negatywne stanowisko 1/3 posłów do tego zagadnienia, pójść na rozwiązanie tego sejmiku i w nowych wyborach postarać się zarówno o spropagowanie w najszerszych sferach społeczeństwa idei rewizji konstytucji, jak i przez uzyskanie większości 2/3 mandatów w sejmiku uchwalić nową konstytucję i w ten sposób uniknąć wszelkich zastrzeżeń na temat sposobu jej uchwalenia.

WŁADYSŁAW POBÓG-MALINOWSKI

**TRAGICZNY WRZESIEŃ (1-17 IX 1939).  
FRAGMENTY WSPOMNIEŃ**

Cz. I

oprac. Przemysław Marcin Żukowski

„W Polsce – w pamiętnym sierpniu – wierzono w sła-  
wę. Wierzono w armię, a i z postawy Rządu, odzwiercie-  
dlonej w mowie Becka, wyciągnięto wniosek, że mamy  
dość sił na burzę, która idzie...! [...]

W tym stanie rzeczy rozpętał się wrześnieowy huragan.  
Wymarzona świątynia tylu polskich pokoleń – wielki,  
wspaniały gmach naszej wolności – zakołysał się, runął,  
stał się zwałiskiem gruzów...!”

W. Pobóg-Malinowski, „Z mojego okienka. Fakty i wrażenia  
z lat 1939-1945”, cz. „Francuska Wiosna”.

**SŁOWO WSTĘPNE**

Twórczość, podobnie jak i postać Władysława Pobóg-Malinowskiego, mimo upływu 48 lat od jego śmierci, nadal budzą kontrowersje, a co za tym idzie zainteresowanie. Monumentalna, jak na czasy, w których powstała, *Najnowsza historia polityczna Polski* zajmuje na półkach wszystkich zainteresowanych dziejami końca wieku XIX i pierwszą połową XX miejsce niezwykle ważne i to bez względu na emocje jakie wywołuje. Gdyby nie kilka zbiegów okoliczności: niezbyt pozytywne recenzje po opublikowaniu na łamach paryskiej „Kultury” fragmentów zapisków pod tytułem *Na Rumuńskim rozdrożu*, wrodzona nieumiejętność do zwięzłego wyrażania swoich myśli, nieumiejętność dokonania skrótów, a także, mówiąc kolokwialnie, upór i kłótniwość pisarza, możemy zaryzykować tezę, że funkcję tę spełniałyby nie *Najnowsza historia...*, lecz wielotomowe wspomnienia Poboga-Malinowskiego<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Sam Pobóg-Malinowski opublikował: fragment o dzieciństwie (pod pseudonimem Julian Woyszwillo) w paryskim „Sztandarze Polski”, nr 7 (7 III 1945). Krótkie myśli wspomnieniowe zawarł również w artykule: *Skoro nie szabłą to piórem*, „Kultura” (Paryż) 1960, nr 161 i przede wszystkim w drukowanych wspo-

Władysław Pobóg-Malinowski przyszedł na świat 23 XI 1899 r. w Archangielsku jako syn Romualda i Jadwigi z domu Jakubowskiej<sup>2</sup>. Tam też kształcił się w gimnazjum, a następnie zdobywał szlify wojskowe we Włodzimierskiej Szkole Wojennej. Do odzyskującej niepodległość Polski przybył jako żołnierz armii Józefa Dowbór-Muśnickiego i wziął czynny udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920. W okresie powojennym pozostał w służbie czynnej dochodząc do stopnia porucznika artylerii ze starszeństwem z 1 I 1919 r. W stan spoczynku został przeniesiony 1 I 1933 r. W roku 1928 otrzymał przydział do Wojskowego Biura Historycznego, a od roku następnego był członkiem Instytutu Badania Najnowszej Historii Polskiej. I z tej instytucji przeszedł do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i jako kierownik referatu archiwalnego we wrześniu 1939 odpowiadał m.in. za ewakuację akt ministerstwa. Po pełnej przygodzie podróży przez Rumunię, Węgry, Jugosławię i Włochy przybył wraz z drugą żoną i jej matką do Paryża, gdzie po przebrnięciu skomplikowanej procedury rejestracyjnej został oficerem w 4 pułku artylerii, w którym służył w pierwszej połowie 1940. Dalszą część wojny spędził w okupowanej Francji, a po jej uwolnieniu i otwarciu Konsulatu Generalnego w Paryżu 25 VIII 1944 r. został radcą, aż do dnia cofnięcia uznania rządowi na uchodźctwie, które nastąpiło 5 VII 1945 r. Szukając możliwości uzyskania stałych dochodów był do swojej ostatecznej demobilizacji w marcu 1948 oficerem w sztabie Polskiej Misji Wojskowej. Później utrzymywał się z pracy w polskiej sekcji Radia Francuskiego i z pisania artykułów m.in. do „Kultury” redagowanej przez Jerzego Giedroycia. Posiadając poparcie Michała Kranca i Andrzeja Kwicińskiego z Filadelfii starał się o wizę amerykańską dla siebie, drugiej żony (z pierwszą Anną lub Hanną z domu Fijałek rozwiódł się jeszcze w okresie międzywojennym; ich córka Irena wojnę spędziła w Polsce, a po 1945 została prawnikiem

---

mnieniach: *Na rumuńskim rozdrożu*, „Kultura” (Paryż) 1945, nr 7-10 i jako całość: Warszawa 1990. Piszący te słowa opracował i ogłosił drukiem: W. Pobóg-Malinowski, *Z mojego okienka. W Polsce przed wojną*, cz. I, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prace historyczne”, Kraków 2008, z. 135, s. 149-173; cz. II, *ibidem*, 2009, z. 136, s. 155-179.

<sup>2</sup> W zachowanych dokumentach można odnaleźć również inne daty i miejsca urodzenia: 23 XI 1899, Kossowo; 22 XI 1899, północna Rosja, nad Morzem Białym oraz 23 XI 1901, Warszawa.



i profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego) i syna Krzysztofa. Gdy był już zaopatrzony w bilet na statek, Stany Zjednoczone wstrzymały wydawanie pozwoleń na wjazd do odwołania, a dodatkowym argumentem przeciw było otrzymane przez Poboga negatywne orzeczenie lekarskie. Nie pomogły listy z poparciem prof. Oskara Haleckiego, wskazującego że w Nowym Jorku czeka na niego pilna praca naukowa. Również podjęte starania o naturalizację z lat 1950–1952 zakończyły się niepowodzeniem. Ostatnie swoje dni Władysław Pobóg-Malinowski spędził w genewskim szpitalu, w którym zmarł 21 XI 1962 r. Pogrzeb odbył się 24 XI 1962 r. Przemawiający nad grobem Poboga gen. Waław Scaewola-Wieczorkiewicz stwierdził, że zmarły „służył całe życie dla Polski”<sup>3</sup>.

Rękopisy memuarów, którym sam Autor nadał tytuł: „Z mojego okienka. Fakty i wrażenia z lat 1939-1945”, przekazane przez Eugenię Barbarę Staniszewską-Mantovani, która w ten sposób spełniła prośbę swojej siostry Marii – drugiej żony Władysława, przechowuje paryska Biblioteka Polska<sup>4</sup>.

Droga polskich oficerów i żołnierzy, a niejednokrotnie i ich rodzin, którzy pragnęli dostać się, na terytorium sojuszniczej Francji, była w dużej mierze podobna – szlak biegł poprzez południową Europę. Władysław Pobóg-Malinowski wraz z rodziną przybył na terytorium III Republiki na początku 1940 roku, przez „okno” nadgranicznej Modany. W kilka dni później celem weryfikacji stawiał się przed komisją wojskową w paryskich koszarach Bessiéres. Podczas kilkudniowych „przesłuchań” temat ewakuacji z Warszawy pojawiał się wielokrotnie:

„W tym wypadku dałem w rozmowie rzetelny obraz naszej tragicznej wędrówki poprzez Naęczów i Kazimierz do Krzemieńca i Kut. Kapitan dość często przeplatał moją relację pytaniami – odnosiłem wrażenie, że jakby się niecierpliwił, że i tu nie chcę nikogo oskarżać

<sup>3</sup> Biblioteka Polska w Paryżu (dalej: BPP), Archiwum Władysława Pobóg-Malinowskiego (dalej: AWPM), sygn. 1882, Materiały biograficzne. Zob. A. Prokopiak-Lewandowska, „Instytut jednego człowieka”. *Władysław Pobóg-Malinowski w okresie życia na emigracji. Przyczynek do biografii*, „Archiwum Emigracji – Studia. Szkice. Dokumenty”, Toruń 2009, z. 10 (t. 33), s. 91-116 (tam literatura).

<sup>4</sup> P. M. Żukowski, *Władysław Pobóg-Malinowski i jego wspomnienia*, w: *Piśmiennictwo wspomnieniowe Drugiej Emigracji*, red. W. Lewandowski i R. Moczokan, Toruń 2009 (w druku).

ani nikogo potępiać. W końcu zaproponował mi, bym bodaj z tej relacji zrobił wymagany meldunek. Powtórzył mi, że bez tego „nie ma mowy o weryfikacji”. Po krótkiej wymianie zdań – zgodziłem się na to [...]”<sup>5</sup>.

Znając ogromną ilość zapisków Poboga-Malinowskiego nie stwierdzimy nigdy, czy to co opisał w swoich książkach, artykułach, czy wypowiedział w niezliczonych audycjach radiowych, było dokładną relacją z rozmów z przedstawicielami wyżej wymienionej komisji. Poniżej przedstawione zostały jego wspomnienia, dotyczące „tragicznego września” 1939, których spisywanie rozpoczął już w roku 1943 w Grenoble, kontynuował w Biviers (1943-1944), a ostateczne poprawki naniósł po 1945 r. w Paryżu i w roku 1949 podczas częstych pobytów w Londynie. Najcenniejsze wydają się obszerne akapity, które przedstawiają osobiste spojrzenie Autora na okres między końcem sierpnia 1939 r. a przekroczeniem mostu na Czeremoszu w Kutach w nocy z 17 na 18 września 1939. Szczególnie interesująca wydaje się konfrontacja zapisu Poboga z relacjami Stanisława Schimitzka<sup>6</sup>, chociażby ze względu na wzajemne antypatie obydwu autorów.

Należałoby zadać pytanie, dlaczego Pobóg skłonił się do napisania wspomnień? Nie ukrywajmy, że przebywając niemal całą wojnę na południu Francji miał i czas, i sposobność do ich napisania. W jednej z notatek podał następujące powody:

„Ogarnęła mnie chęć zajrzenia raz jeszcze nieszczęściu w same ślepie, dźwignęła z niemocy ducha biedna odwaga smutnych aż do śmierci – zapuścić sondę w głąb rany do cna ją wymacać przekonać się naocznie i nieomylnie, że jest niewyleczalną – no i niech tam wszystko jasne pioruny zapalą!...”.

Podobnie pompatyczny wstęp przewidział Pobóg dla całości swoich wspomnień. Według wielkiego prawdopodobieństwa miały się one zaczynać w sposób następujący:

„Wstrzymałem plany redakc[yjne]... podjęte... Nie wykonałem zadań powierzonych mi przez... Urwałem w połowie pracę zbierania

---

<sup>5</sup> BPP, AWPM, sygn. 1899, W. Pobóg-Malinowski, *Z mojego okienka. Fakty i wrażenia z lat 1939-1945*, cz.: *Francuska Wiosna. Fragmenty wspomnień z 1940*.

<sup>6</sup> S. Schimitzek, *Na krawędzi Europy. Wspomnienia portugalskie 1939-1946*, Warszawa 1970.

dokumentów. Poświęciłem inne życiowe zamiary. Poniechałem myśli układane tak długo. Zarzuciłem stosunki i rzeczy ludzkie – czasem ważne, często bliskie i drogie...”

Z zachowanych notatek można wywnioskować, iż przygotowywał je, a przynajmniej liczył się z możliwością, wydania kolejnych fragmentów wspomnień drukiem. O zaniechaniu tego projektu przesądziły zarówno dość krytyczne recenzje dotyczące opublikowanej części pt.: *Na rumuńskim rozdrożu* jak i problemy dnia codziennego.

Do pomysłu całościowej edycji wspomnień powrócił Pobóg na przełomie lat 50-tych i 60-tych XX wieku. Do gentelman agreement w sprawie edycji doszło z londyńskim wydawcą Bolesławem Świderskim, który podjął się m.in. drugiego wydania *Najnowszej historii...* „Pamiętnik – pisał Pobóg – gotów. Wymaga ostatecznej redakcji. Obejmuje okres od mego dzieciństwa do r[oku] 1946. Dalej chyba nie pójdę. Najwięcej – o okresie 1919-1939. Tam będą rewelacje!”. Trudności jakie są mu robione – czy to ze względu na wspomnienia czy druk książki o marszałku J. Piłsudskim – Pobóg kwitował:

„Jestem nie tylko Litwin ale – Panie Drogi – jestem Ż M U D Z I N i to od SETEK LAT!!! A Pan wie, jak u nas na świętej Żmudzi mawiano: «Kiedy gadzina (tj. żmija) ukąsi Żmudzina, to zdycha gadzina od krwi Żmudzina!»... Oni też zdechną prędzej niż ja...!»<sup>7</sup>.

Prace redakcyjne nie zostały ukończone z dwóch powodów; wydawca nie przysłał umowy, a Pobóg, gwarantując, że danego słowa dotrzyma, zaznaczył jednak wyraźnie, że „bez umowy chyba się nie da”<sup>8</sup> oraz w niedługim czasie – śmierci Autora.

Tekst zawiera wszelkie uwagi i dopiski Autora. Przypisy objaśniające, zawierają przede wszystkim rudymenarne dane biograficzne w odniesieniu do osób lub związane informacje merytoryczne jeżeli mowa jest o wydarzeniach. Pominięto skreślenia, uwspółcześniono pisownię. W nawiasach kwadratowych rozwinięto skróty, uzupełniono brakujące litery w wyrazach.

*Przemysław Marcin Żukowski*

<sup>7</sup> P. M. Żukowski, *Władysław Pobóg-Malinowski i jego wspomnienia...* (w druku).

<sup>8</sup> Ibidem.

\* \* \*

Noc – ostatnią przed wojną – spędziłem źle. Byłem zmęczony całodzienną podróżą, upojony nadmiarem słońca i świeżego powietrza, a jednak sen nie przychodził i nie zamykał mi powiek. Myśl – jak więzień w ciasnej celi – wałęsała się bezustannie w zamkniętym kole moich służbowych spraw i zagadnień – zadań i obowiązków. Znałem je dobrze już nie od wczoraj, dotąd wszakże patrzeć na nie mogłem z daleka, ważyć i oceniać je spokojnie, bez nerwowego pośpiechu – z łagodzącym poczuciem, że dopiero kiedyś, z czasem wypadnie mi wziąć je na swoje barki. Teraz – po przyjeździe z Kazimierza<sup>9</sup> i Nałęczowa (a może lepiej – na tle wrażeń?) – wszystko to zbliżało się nagle, stanęło mi obok, otoczyło zwartym pierścieniem, wystąpiło w jaskrawszej barwie, zadźwięczało podniecającą nutą spotęgowanej aktualności. Przytłoczony z nagłą tym ciężarem – na próżno starałem zrzucić go z siebie, odepchnąć jak najdalej, zapomnieć – na próżno przypominałem sobie o jutrzejszym dniu, o czekającej pracy i potrzebie odpoczynku – na próżno też parokrotnie – włączając prąd do lampy – próbowałem wrócić do przerwanej lektury ale zawsze miły mi staruszek, Jeż-Miłkowski<sup>10</sup>, choć w wspomnieniach jego trafiłem na odcinek, pełny żywego ruchu i grających barw, nie mógł również stłumić i zagłuszyć źródeł mego niepokoju. W podnieceniu, jakie zwykle towarzyszy myśli, pracującej w ciszy i ciemności nocy, borykałem się i szamotałem z kompleksami przewidywanych trudności i przeszkód, z których każda nękała swą przejaskrawioną treścią, domagała się natarczywie kroków zapobiegawczych i trafnych, skutecznych rozwiązań.

Znużony – dopiero nad ranem, po trzecim, czy czwartym zgaszeniu lampy – popadłem w lekki półsen, w czujne półdrzemanie. Myśl pracowała dalej<sup>11</sup>. Zstąpiwszy w głąb, biegła teraz inną ścieżką – wśród

---

<sup>9</sup> W tekście Autor wspomina wyłącznie o Kazimierzu Dolnym nad Wisłą. Pominięto więc nazewnictwo dookreślające geograficznie to miasto.

<sup>10</sup> Właśc.: Zygmunt Miłkowski, ps. Teodor Tomasz Jeż (1824-1915), pisarz i działacz niepodległościowy. Zob.: [Z. Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*. Do druku przygotował A. Lewak. Wstępem poprzedził A. Brückner, t. I-III, Kraków 1936-1937.

<sup>11</sup> Tak w oryginale.

podświadomych obaw i trosk, wyczuć i oczekiwać. Sny miewam rzadko – najczęściej rozplywają się bez śladu w chwili obudzenia się i w wyjątkowych tylko wypadkach zostaje po nich w pamięci obraz zamglony, poplątany, dziwaczny nieprawdopodobny – bez sensu, [bez] początku i końca. I teraz również ukazywały się fragmenty poszarpane, jak strzępy ponurego filmu. Teraz wszakże – fragmenty te, ostre w szczegółach i niezwykle plastyczne, łączyły się ze sobą, wiązały, układały się w całość koszmarną i mimo wszystko logiczną. Były tu zniekształcone echa wczorajszego dnia, były również odbłaski trwoźnych przewidywań; wyraźne w liniach i kształcie, straszliwe w treści – utkwily mi w pamięci tym mocniej i tym głębiej, że miały w sobie coś proroczego, bo na dwutygodniowym szlaku ewakuacyjnym z Warszawy do Kut przypominały mi się kilkakrotnie swym uderzającym podobieństwem do przeżywanej rzeczywistości.

Najpierw – ujrzałem siebie w jakimś ciemnym lochu. Błądząc w jego labiryncie, potykając się o jakieś kłody, wpadając w niewidoczne jamy – szukałem po omacku wyjścia. Szukałem go z męczącym uczuciem, że trzeba się spieszyć, że każda chwila jest droga, bo gdzieś – poza lochem – ktoś wygląda mnie niecierpliwie, ktoś – jak na zbawienie – czeka na moją pomocną dłoń. Nagle jednak ciężką drogę zagroził mi jakiś niesamowity potwór. Nie widziałem go – schowany w ciemnej głębi, wyrzucał ku mnie, jak olbrzymi pająk, dziesiątki swych kosmatych łap, chwycił za ręce i nogi, sięgał do gardła. Śmieszna bronią – nożem do rozcinania książek – starałem się zadawać ciosy nieomyłne, najbardziej skuteczne; w miarę jednak przeciągania się tej nierównej, rozpaczliwej walki coraz częściej uderzałem w próżnię, a kosmate łapy ostrymi szponami coraz głębiej, coraz mocniej i głębiej wpijały mi się w ciało. W chwili najbardziej straszliwej, gdy czułem już, jak wypływają ze mnie ostatnie resztki sił, a wzrastające przerażenie wydziera się z piersi brutalnym krzykiem o pomoc i ratunek – potwór niespodziewanie wypuścił mnie ze swych kosmatych łap, cofnął się, schował się gdzieś w ciemnościach, a ja – ściskając w pięści ten sam nóż – pobiegłem, nie rozumiejąc dobrze, gdzie i po co – nie widząc nawet, czy jest to usprawiedliwiona, choć niezbyt sławna ucieczka przed wrogiem, czy też mściwy pościg za nim. Wydarłszy się wreszcie z ciemnego lochu, ujrzałem przed sobą olbrzymie złote rżysko, a na

nim – w prażącym słońcu – toczący się szybko na przełaj nieograni-  
czony ludzki tłum. Kobiety z niemowlętami w ręku i betami na ple-  
cach, mężczyźni obwieszani workami, kuframi, garnkami i rondlami  
z krowami i trzodą na uwięzi, z domowym ptactwem w ręku uciekali  
przed siebie w jakimś panicznym strachu – wśród szczęku, porykiwań  
i kwiku, wśród płaczu, lamentu, krytyków i nawoływania. Chciałem  
zdaje się powstrzymać ich w tej ucieczce – chwyciłem najbliższych  
za ręce, wołałem: gdzie tak pędzą, przed czym tak uciekają, czego się  
tak bardzo boją? Ale oni – z sercem pełnym nieziemskiej trwogi – nie  
odpowiadali nic. Nie słyszeli, nie dostrzegali mnie nawet. Wczepiłem  
się wówczas oburącz w ramię starego gospodarza. Włókł mnie za sobą,  
szarpał się niecierpliwie, krzyczał gniewnie, kłął, wreszcie – obrócił ku  
mnie swą twarz z dużym płowym wąsem, spojrział oczyma, w których  
zastygło bezgraniczne przerażenie i – bez słowa – skinął ręką wstecz.  
Obejrzałem się i zrozumiałem wszystko. Biedni ludzie – unosząc swój  
dobytek – uciekali z płonącego miasteczka. Po zadrzewionej szosie,  
po drzemających nad nią starych spichlerzach poznałem Kazimierz.  
I w tejsze chwili przypomniałem sobie, że ten właśnie ktoś – opuszczony  
i samotny – czeka na moją pomoc. Pobiegłem, co tchu w piersi. W mi-  
janych uliczkach, a potem na rynku było pusto i głucho. Nic – tylko  
suchy trzask płomieni. Ani jednego człowieka, ani jednego ludzkiego  
głosu! Wszyscy pouciekali! Nikt nie ratuje stojących w ogniu białych  
domów, nikt nie przeszkadza szalejącym żywiołom pożerać szlachet-  
nych, cudownych kształtów starych renesansowych kamienic. Ale i ja  
również nie próbowałem ich ratować, choć w głębi serca poruszył  
[mnie] szczery żal. Głos pilniejszego obowiązku kazał iść dalej, biec  
czym prędzej. Długo, długo jeszcze przedzierałem się przez morze  
dymu i płomieni – jak żmije – z sykiem wyciągały się ku mnie ze  
wszystkich stron. Wreszcie wyszedłem na poszukiwaną małą uliczkę,  
wiodącą do klasztoru. I tu również szalał ogień. Miąłem płonąca  
bramę, szybko przebiegłem przez pełne dymu podwórze. Klasztor  
płonął również. Po schodach, ginących w ogniu i dymie, wpadłem  
na piętro. W szalonym pośpiechu, z mieszanym uczuciem topniejącej  
nadziei i rosnącej trwogi – zacząłem zaglądać do cel. W pierwszej,  
w drugiej, w trzeciej – pusto, nie ma nikogo! W czwartej dopiero  
[znalazłem] pogrążonego w modlitwie przeora. Usłyszał mnie, zwrócił

ku mnie swą miłą twarz, przez chwilę patrzył mi uważnie w oczy – potem, nie śpiesząc się, podniósł się z klęcznika, w milczeniu zbliżył się do mnie, ujął pod ramię, wyprowadził z celi na korytarz, a stąd na podwórze klasztoru. Ognia i dymu już nie było. Wyzierały tylko zewsząd ślady wściekłego żywiołu. W jednym z kątów, w mroku, pod okopconym i na wpół zburzonym murem – ujrzałem młodą kobietę. Płakała, pochylona nad trupem małego dziecka. Szloch jej – zrazu cichy – nabrzmiewał coraz więcej rozdzierającym bólem i bezradną rozpaczą, przybierał na sile z każdą chwilą, pogłębiał się, potężniał, przekształcał się w niesamowity, upiorny krzyk. Było w nim tchnienie nieludzkiego cierpienia – powiew nieziemskiej zgrozy. Czułem, jak zimny lęk przebiega mi po grzbiecie, jak przerażenie lodowatą dłonią sięga po serce, podnosi włosy na głowie, skrapla czoło, ciężarem stukilowym wlewa się do nóg. Chciałem się cofnąć, uciekać ale nie mogłem podnieść ociężałych nóg. Miałem wrażenie, że wrosły mi w ziemię. Szamocząc się bezustannie z tą nagłą swoją niemocą – wydierałem się z objęć snu i wracałem do przytomności.

Ocknąłem się. Przez siatkę ciemnych firanek w oknie wlewało się do pokoju mleczne światło pochmurnego dnia. O, jak dobrze! Minęła już ciężka noc, rozplynęły się i nie dusiły już koszmarne widziadła! Jedynie szloch kobiecy nie ucichał – nie ustawał, trwał, wisiał tuż nad głową. Otrząsając się z resztek snu, zrozumiałem, że to wyje, ukryta gdzieś w pobliżu, syrena alarmowa. Drgnąłem – i jakby szarpnięty mocno za ramię – usiadłem na swym tapczanie. Zdziwienie, wahanie, wątpliwość, pewność, trwoga, żal, zadowolenie, prawie radość – wszystko zamknęło się w jednym pytaniu: wojna? To już! Nareszcie – alarm, wojna! Nareszcie – już się zaczęło!

Spojrzałem na zegarek. Było parę minut po szóstej. Za wcześnie, by już wstawać, ubierać się, iść do biura. Nie sposób też telefonować do kogokolwiek o tej porze. Trzeba czekać. Trzeba przede wszystkim zdobyć się na spokój w swoich reakcjach – w ocenie tego pierwszego wrażenia. Odruchowo sięgnąłem po papierosa – to mnie zawsze uspokaja i zaciągając się dymem, spróbowałem raz jeszcze zanalizować sytuację i skontrolować samego siebie. Czy w przeczuciach swych nie idę za daleko? Czy nie poddaję się zbyt łatwo uczuciom? Może to tylko nerwy?

Nie podzielałem przecież opinii tych moich przyjaciół i kolegów, którzy mimo wszystko nie tracili jeszcze nadziei, że idąca ku nam z zachodu wielka czarna chmura rozjedzie się bez błyskawic i piorunów – nawet bez kropli deszczu. Na wszelkie ich argumenty odpowiadałem przecież zawsze i niezmiennie niezachwianym swym przeświadczeniem o stałym pogłębianiu się konfliktu i o nieuniknionym jego wybuchu. Bo o cóż tu chodzi? W sytuacji, jaka się wytworzyła w ciągu kilku ostatnich miesięcy – my, Polacy, z naszymi prawami w Gdańsku i pełną suwerennością na Pomorzu, staliśmy się głównym – jedynym już i ostatnim jakoby – celem niemieckiego nacisku. Świat – w niemalym swym odłamie – patrzy na te wielkie sprawy przez fałszywe szkiełka prowadzonej od lat wielu, a wzmożonej dzisiaj propagandy niemieckiej – uznaje w gruncie rzeczy pretensje i żądania Rzeszy za słuszne i umiarkowane, skłonny jest do ustępów dla niej naszym kosztem, a – nie doceniając naszych praw, nie rozumiejąc ani naszych żywotnych interesów, ani symbolicznego znaczenia tych „spornych” problemów w dyplomatycznej na razie walce z staropruskim imperializmem – dziwi się naszej nieustępliwości, w niechęci swej do wojny niecierpliwi się, niepokoi i sądzi, że to nie od Berlina, tylko od nas – od naszej postawy i naszej ostatecznej decyzji – zależy dalszy bieg wydarzeń, po drodze pokojowego współżycia narodów czy w zawierusze zbrojnego konfliktu. Świat ten, nie umiejąc czy też nie chcąc sięgnąć wzrokiem dalej i głębiej, nie rozumie istoty kształtującego się dramatu i w beznadziejnej próbie ucieczki przed zapadającym wyrokiem dziejów – rzuca rozpaczliwe pytania: *mourir pour Dantzig?* – umierać za Gdańsk? – przecież to nonsens! Cóżby się jednak stało w wypadku naszego załamania się moralnego i odwrotu naszego z zajętych stanowisk? Cóżby się stało w tym – niemożliwym zresztą – wypadku, gdybyśmy nagle zmienili swe poglądy, przekonania, wiarę, gdybyśmy się wyrzekli nagle wszystkich swoich imponderabiliów, ogołocili z nich własną duszę do cna i – po zrobieniu z przebiegłością mizernego kupczyka rachunku doraźnych zysków i strat – postępowali tak, jak przed rokiem zachowali się Czesi?<sup>12</sup>.

---

<sup>12</sup> Odniesienie do wydarzeń z 29-30 IX 1938, kiedy to na konferencji monachijskiej Francja, Wielka Brytania, Włochy i Niemcy uzgodniły cesję sudeckich terytoriów Czechosłowacji. Po początkowych zapewnieniach mocarstw zachodnich z maja-czerwca 1938, że wystąpią zbrojnie w obronie Pragi i ogłoszeniu mobiliza-



Niesławna nasza kapitulacja w najlepszym czasie opóźniałaby katastrofę o parę czy o kilka miesięcy, ale nie mogłaby je odwrócić. Niemcy w krótkim czasie skierowaliby swój nacisk w inną stronę – tak, jak po Anschlussie austriackim<sup>13</sup> wyszukali sobie Czechów, po Czechach znaleźli Gdańsk i autostradę przez Pomorze<sup>14</sup>. Nie może się to powtarzać bez końca. Kto sieje wiatr – ten zbiera burzę. Kto idzie taką drogą – ten wie, ten wiedzieć musi, że prędzej czy później stanie przed nieustępliwą przeszkodą. Czy Niemiec cofnął się przed nią? Na pewno – nie! Gdy zawiedzie przebiegła „dyplomacja” – sięgnął po oręż, by przeszkodę zburzyć i usunąć. Gdzież tedy jest, jak wygląda, w czym się wyraża ta siła fatalna, grożąca nam i światu katastrofą wojenną? Kryje się może w sytuacji wojennej Rzeszy z jej podniesioną do najwyższego już kresu temperaturą w nastrojach mas, z jej ciężkimi komplikacjami w życiu gospodarczym, gdzie w trakcie przygotowań wojennych na olbrzymią i niespotykaną dotąd skalę pozamykano tak mocno prawie wszystkie drogi powrotu do normalnej, pokojowej pracy państwa i społeczeństwa, że kraj cały stał się już jak kocioł, w którym nadmiar nagromadzonej pary spowodować może wybuch w każdej chwili? Nie! Sytuacja ta może w pewnym tylko stopniu wpłynąć na decyzje polityczne, nie jest jednak i nie może być czynnikiem rozstrzygającym – nie jest przecież przyczyną, tylko skutkiem, wytworzona bowiem została planowo, systematycznie i celowo, jako niezbędny krok wstępny do konfliktu zbrojnego

---

cji powszechnej w samej Czechosłowacji, rząd tamtejszy ugiął się i podpisał ugodę. 17 III 1939 r. wojska niemieckie wkroczyły do Pragi kładąc kres niepodległej Republice. Rząd polski wykorzystując postanowienia konferencji monachijskiej wystosował 1 X 1938 ultimatum do Pragi domagając się zwrotu Zaolzia, co zostało przez rząd czechosłowacki spełnione i od następnego dnia wojsko pod dowództwem gen. W. Bortnowskiego zaczęło zajmować przyznany teren – łącznie ok. 966 km<sup>2</sup> z ok. 200 000 ludności.

<sup>13</sup> Mowa o wydarzeniach z 12 III 1938 r., kiedy to z rozkazu A. Hitlera wojska niemieckie, łamiąc po raz kolejny postanowienia traktatowe, przekroczyły granicę austriacką. Dzień później Austria stała się częścią III Rzeszy.

<sup>14</sup> Już podczas wizyty w Niemczech 24 X 1938 r. J. Beck usłyszał od A. Hitlera i J. von Ribbentropa punktowy plan pokojowego ułożenia wzajemnych sąsiedzkich stosunków. Już wtedy była mowa o włączeniu Gdańska do III Rzeszy, plebiscycie i o autostradzie. Szczegóły tego spotkania poznały tylko najważniejsze osoby w państwie; opinia publiczna dowiedziała się o niemieckich żądaniach dopiero w kwietniu-maju 1939.

z nieznanym jeszcze bliższym czy dalszym sąsiadem. Nie! Siłą, pchającą Niemców do wojny, jest – jak zawsze i wszędzie – wola jednostki. Hitler, krocząc ku swoim celom, na pewno stokroć większym i poważniejszym niż Gdańsk i pomorska [autostrada] – wysiłkiem swej diabolicznej woli ciągnie za sobą cały naród, ciągnie tym łatwiej, że w celach jego odbijają się, jak w zwierciadle, zarówno świeże i młode nastroje pokolenia, żyjącego w cieniu ostatniej klęski, jak i stare – atawistyczne – tęsknoty zbiorowej germańskiej duszy. Wczoraj jeszcze, gdy obalano traktat wersalski<sup>15</sup> i wydzierano słabym sąsiadom obszary, zamieszkałe przez Niemców<sup>16</sup> – nazywało się to „budowaniem wielkiej Rzeszy”. Dziś do tej „etnograficznej zasady” dołączono już postulaty ekonomiczne – dziś mówi się już i pisze, krzyczy się coraz głośniejszym głosem o *Lebensraumie*<sup>17</sup>, o potrzebie, a nawet i konieczności zdobycia „przestrzeni życiowej”. A jutro? Kto wie? – jutro już może w słowach Hitlera i w oficjalnych deklaracjach polityki niemieckiej zadźwięczy wiecznie tam żywa tęsknota do urzeczywistnienia obłądnej teorii o powołaniu, woli i prawach *Herrenvolku*<sup>18</sup>, odezwą się może patologiczne ambicje do „organizowania”, właściwie zaś do brutalnego ujarzmienia krajów Europy, a po nich i całego świata. Dziś – na drodze do tych nieokreślonych jeszcze zbyt wyraźnie, ale stale rosnących celów – znalazła się Polska. Kocioł niemiecki dygoce przed tą przeszkodą coraz mocniej. Stoimy przed alternatywą – albo kocioł wybuchnie, albo „klapa bezpieczeństwa” otworzy się raz jeszcze i wypuści nadmiar pary – tak jak to było dotąd, w kolejnych sukcesach – nadreńskim, austriackim, sudeckim, czeskim, litewskim. Trzeba pamiętać, że sukcesy te odniesiono bardzo tanim kosztem – jedynie wyrefinowaną grą na nerwach – bez krwi, bez armat, czołgów i samolotów jeszcze – szantażem, bezwstydnym kłamstwem, podstępem i oszustwem. I nie może ulegać najmniejszej wątpliwości,

<sup>15</sup> Traktat między Ententą a pokonanymi Niemcami podpisany został 28 VI 1918 w podparyskim Wersalu. Kończył zmagania pierwszej wojny światowej, a postanowienia w nim zapisane miały gwarantować pokój na wiele pokoleń.

<sup>16</sup> Poza wymienionymi wyżej należy wspomnieć: powrót Zagłębia Saary (1935), remilitaryzację Nadrenii (1936), aneksję litewskiej Kłajpedy 21 III 1939.

<sup>17</sup> Właśc.: *Lebensraum* (niem.) – przestrzeń życiowa.

<sup>18</sup> *Herrenvolk* (niem.) – naród panów, ideologia hitlerowskich Niemiec, według której naród niemiecki (jako najczystszy rasowo) był powołany do panowania nad innymi.

że Niemcy – dopóki tylko pozwoliły im na to okoliczności – będą stosowali te same metody, by zaoszczędzić swej krwi, by zachować jej jak najwięcej na przewidywany i nieunikniony okres poważniejszych zadań i cięższych zmaganiań. Toteż – z tych samych względów i powodów – i dziś, w ostrym dyplomatycznym zatargu z Polską, mogą przewlekać i pogłębiać jeszcze stan istniejącego napięcia. Może – biorąc za podstawę świeże jeszcze sukcesy monachijskie – trwają w mylnym zapewne przeświadczeniu, że uzyskali tam „wolną rękę” w sprawach wschodu Europy, może sądzą, że uda im się wykorzystać głęboką niechęć Zachodu i nie mniej szczerze jego dążenia do zażegnania konfliktu – obłudą gry dyplomatycznej, kręactwem i kłamstwami, przykrytymi w razie potrzeby „uroczystym słowem honoru”, oszukać raz jeszcze świat i naszych sojuszników, uspić ich czujność, przekonać ich, że właściwie nie ma o co zaczynać i prowadzić wojny, że nie warto bić się i umierać za jakiś mały i głupi Gdańsk. Może – obciążeni dziedzicznie zadziwiająco tępotą w dziedzinie psychologii – ludzą się jeszcze, że uda im się coraz jaskrawszymi metodami „psychicznego terroru” doprowadzić do pęknięcia i załamania się naszych podstaw moralnych i zmusić nas – opuszczonych już przez świat i samotnych – do haniebnej kapitulacji, do przyjęcia roli i obowiązków wasala – a po tym nowym zwycięstwie bez krwawych ofiar obrócić swą przygotowaną już maszynę wojenną w inną stronę – runąć na zachód, czy raczej jeszcze dalej na wschód. Może wreszcie – zasilając jeszcze bardziej pieniącą się falę oszczerstw, kłamstw, pogroźek, gwałtów i prowokacji, zwłaszcza w Gdańsku, mają nadzieję pobudzić nas i zmusić do ostrzejszej niż dotąd reakcji – podchwyciliby ją przecież, rozdmuchali, wyolbrzymili, uznaliby i przedstawili światu jako *casus belli* i z taką tarczą w rękę a z nadzieją zlokalizowania konfliktu, uderzyliby na nas, na nas przerzucając cały ciężar dziwnego problemu, tzw. odpowiedzialności za wybuch wojny. Wreszcie te nadzieje, przewidywania, rachuby mogą oczywiście wywierać wpływ na decyzje Berlina, mogą powstrzymać go jeszcze czas jakiś przed użyciem, w ostatecznym jednak wyniku muszą zawieść! Bo w myślach moich o nas – o Polsce – nie było nigdy ani cienia wątpliwości. Wiedziałem, że nie zawahamy się i że nie ustąpimy. Wiedziałem, że ta polska „klapa” bezpieczeństwa nie drgnie przed zewnętrznym naciskiem i nie wypuści nadmiernej pary z niemieckiego kotła. Może tu dodać

opinię fr[ancuskiego] dyplomaty z fr[ancuskiej] żółtej księgi<sup>19</sup>, że raczej zginiemy, a nie skapitulujemy. Wiedziałem też, że w postawie naszej nie ma nic z nieporadnego stania w miejscu – nic z biernego czekania [na bieg] wypadków – i rozumiałem również dobrze, dlaczego – spotykając się co dnia ze świeżą i coraz większą dawką niemieckich prowokacji – musimy być w odpowiedziach swych bardzo opanowani, powściągliwi, ostrożni. A jakżeż często w samotnych rozmyślaniach czy w szerszych rozmowach z przyjaciółmi – nie mogłem stłumić w sobie palącego pytania – *quousque tandem*<sup>20</sup>? Jak długo jeszcze będziemy musieli znosić to wszystko? Jak długo jeszcze będziemy musieli krępować i dusić w sobie naturalne odruchy, nie tracić zimnej krwi, z narzuconym sobie spokojem odpisywać kierowane do nas obelgi, oszczerstwa, prowokacje i – stojąc z bronią u nogi – patrzeć wciąż i wciąż czekać? Wojna przecież wybuchnąć musi – przyjdzie do nas jeśli nie dziś, to jutro, więc czyż nie lepiej chwycić oburącz karabin i wybiec na spotkanie nawałnicy? A takie myśli moje i uczucia były nie tylko odbłaskiem porywczego mego usposobienia. Zawsze i wszędzie – w każdej sytuacji życiowej – jestem zwolennikiem i żądam wyraźnego, przejrzystego postawienia sprawy – walki nie szukam, ale zmuszany do niej nigdy się przed nią nie cofam, zawsze też wolę wyprzedzić przeciwnika w ataku i [w] wymierzeniu pierwszego ciosu. Teraz w dodatku odzywały się wpływy nękającej [mnie] od paru miesięcy „wojny nerwów”. Wszak to od wczesnej już wiosny żyłem – jak wszyscy – w stanie niezwykle napięcia psychicznego, w ciężkiej bezustannie, a coraz trudniejszej do zniesienia ciszy oczekiwania.

Tak myślałem i tak czułem od wielu już tygodni. Teraz – przy ponurym akompaniamencie syreny przebiegając raz jeszcze tą pracowicie już wydeptaną ścieżynę – zapytywałem siebie, czy nie popełniam gdzieś błędu w ocenie naszej i obcej rzeczywistości politycznej? Czy nie znalazłem się wskutek psychicznego znużenia na zawodnym torze, gdzie – patrząc na świat czy na wypadki przez swój osobisty pryzmat – staram się wyszukać i zebrać jak najwięcej barw i odcieni, zgodnych

---

<sup>19</sup> *Le livre jaune française. Document diplomatique 1938-1939*, Paris 1939.

<sup>20</sup> Właśc.: *Quousque tandem abutere, Catilina, patientia nostra?* (Jak długo, Katylinio, będziesz nadużywał naszej cierpliwości?) – z przemowy Cyncyona przeciwko Katylinii wygłoszonej w senacie rzymskim 8 XI 63 r. p.n.e.

z kolorem moich myśli i uczuć, odrzucać zaś lub nie dostrzegać wcale farb i deseni, które mogłyby zakłócić kto wie – czy nie sztucznie wytworzoną harmonię? A więc – czy w sytuacji wewnętrznej Rzeszy wszystko zmierza do katastrofy wojennej? Może istnieją ukryte gdzieś, a działające niezawodnie hamulce? Czy Hitler nie ma przed sobą innych szlaków, czy istotnie musi iść tą jedyną drogą, którą wybrałem dla niego i wymyśliłem swoimi argumentami? Czy nie może zatrzymać się przed spotkaną przeszkodą, cofnąć się przed nią, wykonać nagle ostrej wolty? Osaczony przez gromadę tych pytań, broniłem się przed nimi, jakby w obawie, że zachwiać mogą gmachem moich utrwalonych i zakorzenionych ocen, przewidywań, oczekiwania, nie czułem jednak w sobie tej pewności, która pozwalałaby odrzucić je stanowczo, jako bezprzedmiotowe. O! – biorę dla przykładu choćby problem woli Hitlera. Panuje on wszechwładnie nad milionami niemieckich serc i umysłów – to prawda. Ale ta wola jego spotka się gdzieś w przestrzeni z wolą innych jednostek, odpowiedzialnych za losy innych narodów. I cóż ja w gruncie rzeczy mogę o tym wiedzieć? Stoję przecież tak daleko od punktów ścierania się głównych sił. Gdzieś – jak w bajce – za rzekami, górami i morzami toczy się bezkrwawa walka – ktoś odnosi tam zwycięstwo, kto inny pada pod brzemieniem klęski, ktoś robi komuś ustępstwa, robi kompromisy, a ja – cóż wiedzieć mogę o ukrytych celach, niejawnym motywach, [udrapowanych?] zręcznie rachubach? – skazany jestem przecież na celowo nieraz tłumione, zniekształcone echo, czasem – bardzo często – nawet na mizerne strzępy echa! W dodatku cały wczorajszy dzień [31 VIII 1939] spędziłem poza Warszawą. Nie widziałem [się] i nie mówiłem wczoraj z żadnym z tych moich przyjaciół, którzy – oczywiście nie trzymają też wszystkich nici w ręku, dowiadują się jednak wcześniej i wiedzą zawsze znacznie więcej, niż radio i prasa. A może wczoraj właśnie nastąpił jakiś zasadniczy zwrot? Od kilku dni przecież toczą się w Berlinie rozmowy ambasadora Hendersona<sup>21</sup> z Hitlerem. Ja wsłuchując się w odgłosy tej podjętej przez Anglików

---

<sup>21</sup> Neville Henderson (1882-1942), ambasador Wielkiej Brytanii w Berlinie (V 1937-3 IX 1939). Dyplomacja brytyjska próbowała w końcu sierpnia 1939 mediacji ze stroną niemiecką w celu załagodzenia kryzysu, a w tym celu Ambasador często podróżował między stolicą III Rzeszy a londyńską Centralą.

próby mediacji – wyłapałem skwapliwie parę faktów, wzmacniających moje nastawienie – a więc Wielka Brytania poważnie i stanowczo ostrzegła Niemcy o swej nieodwołalnej decyzji przystąpienia do wojny w wypadku nie sprowokowanej napaści na nas czy stworzenia w Gdańsku faktów dokonanych, my przedwczoraj ogłosiliśmy mobilizację powszechną<sup>22</sup>, koncentracja wojsk niemieckich nad naszą granicą rośnie z każdą godziną, a Niemcy w rozmowach z Anglikami stosują coraz ostrzejszy ton; dochodzi do tego jeszcze zawarty przez Hitlera z Moskwą pakt<sup>23</sup>, który rozumiem i tłumaczę jako przebiegły chwyt, mający na celu stworzenie takiej sytuacji, by przy nieuniknionej wojnie na dwa fronty na wschodzie stała przeciw Niemcom tylko polska siła. I z faktów tych wyciągam wnioski o niechybnym i bliskim już wybuchu konfliktu. Ale czy słusznie? Czy najświeższe pociągnięcia Niemców nie są ostatnią już i posuniętą do najdalszych granic próbą uzyskania sukcesu drogą niezawodnego dotąd terroru psychicznego? I czy rzeczywistość istotnie wygląda tak, jak ją widzę. Istnieją przecież obok moich przewidywań poglądy zgoła inne. Przypominałem sobie, jak to niedawno – w przededniu mego wyjazdu do Kazimierza – jeden z moich przyjaciół starał się przekonać mnie, że Hitler w tej „grze dyplomatycznej” z Anglikami ponosi najwyraźniejszą klęskę, że przyparty do muru i postawiony przed alternatywą – wojna czy pokój – na pewno wybierze pokój, że może nie cofnąłby się jeszcze przed wojną z samą tylko Polską, nie odważy się jednak na konflikt zbrojny z Polską, wchodzącą w skład potężnej koalicji, bo w ostatecznym a nieuniknionym wyniku dojść musiałoby do nowego Grunwaldu, to też pod wpływem stanowczych rozmów z Hendersonem rozpocznie niechybnie odwrót. Kto inny – również parę dni temu – machał lekceważąco ręką na względy prestiżowe. Nie mogą one mieć i nie mają żadnego, najmniejszego nawet znaczenia.

---

<sup>22</sup> Władze Rzeczypospolitej zarządziły mobilizację powszechną w nocy 28/29 VIII 1939, ogłoszenie nastąpiło 29 VIII, pierwszym dniem mobilizacji był 30 VIII. Po interwencji dyplomatów Francji i Wielkiej Brytanii, odwołano zarządzenia. Ostatecznie dzień 31 VIII był pierwszym dniem mobilizacji powszechnej.

<sup>23</sup> J. von Ribbentrop i W. Mołotow podpisali 23 VIII 1939 w Moskwie układ wraz z tajnym protokołem dzielącym pomiędzy Niemcy i ZSRR wpływy w Europie Wschodniej.

Cofnięcie się Hitlera przed wojną z Polską nie wywoła wstrząsu w Rzeszy, ani prób odegrania komedii z przekazywaniem władzy przez „skompromitowanego” Hitlera Goeringowi<sup>24</sup> czy jakiemuś innemu opasłemu piwoszowi. Bo czyż trzeba lepszych na to dowodów, jak świeżo zawarty pakt z Moskwą? Przez ileż to lat Hitler, jak wściekły brytan na uwięzi, szarpał się, skakał, wył, bryzgał na Rosję pianą swej nienawiści? I oto nagle – i jak łatwo! – przekreślił wszystko, zapomniał o wszystkim, jak łatwo przetrzucił bezmyślne, bezkrytyczne czy posłuszne niemieckie stado z dotychczasowej na nową, na inną, z gołą inną, drogę! Dlaczegoż ta tak nagła i tak radykalna zmiana kursu możliwą byłaby jedynie w stosunku do Moskwy? Dlaczegoż nie może się to powtórzyć w zatargu z Polską? Kto wie – może wczoraj właśnie, a może dziś nad ranem rozpoczął się niemiecki odwrót? I może głos wyjącej syreny nie jest – jak cicho i uparcie tego pragnę – pierwszym oddechem toczącej się już wojny, lecz tylko sygnałem odprężenia – przejścia z jednego stanu w inny, tak, jak w ćwiczeniach polowych wojska dźwięk trąbki jest rozkazem do zwijania stanowisk, zbierania się na szosie i powrotu do koszar? Może to tylko próbny alarm? Przypominał mi się tu wczorajszy zatarg z policjantem przy wjeździe do Warszawy. Lecz fala mocnych wątpliwości i stanowczych zastrzeżeń, uderzając w to wspomnienie, spieszyła z odsieczą i pomocą dla moich zachwianych z lekka poglądów. Nie, nie! – to byłby oczywisty nonsens! Jesteśmy przecież dzisiaj w drugim dniu mobilizacji – tysiące ludzi spieszy na punkty zbiorcze, tysiące innych ma tysiące pilnych, ważnych spraw do załatwienia! W takich warunkach odrywać ludzi od warsztatów, hamować spotęgowany ruch, wymagać od spieszących, by szli do bram czy do schronów? – nie, to nonsens, to chyba wojna!

(Może lepiej rozważania te – od początku str[ony] 3-ej dotąd, skrócić tu – a to, co napisałem, przenieść w całości lub w znacznej części do poprzedniego rozdziału – do opisu ostatnich dni sierpnia. Zobaczą, jak to wypadnie, gdy ten „poprzedni” rozdział napiszę. Tymczasem niech zostaje tak, jak jest).

---

<sup>24</sup> Herman Wilhelm Goering (1893-1946), polityk nazistowski, marszałek III Rzeszy (1940-1945), minister lotnictwa i premier Prus (1933-1945), naczelny dowódca Luftwaffe (1935-1945).

Spojrzałem raz jeszcze na zegarek. Wskazówka (czy raczej: duża wskazówka) nieznacznie posunęły się naprzód. Znowuż tylko kilka minut po szóstej! Za wcześnie! – stwierdziłem raz jeszcze z wyraźnym odcieniem irytacji w nieokreślonym kierunku. Trzeba jeszcze czekać! Ale to tylko powiedzieć łatwo. Czekać – to znaczy leżeć w łóżku z tym nieustępliwym, zawodzącym głosem syreny nad głową?! Było w nim coś z wycia psa, przeczuwającego nieszczęście – coś z rozpaczliwego wołania człowieka, który – napadnięty wśród ciemnej nocy, w szczerym polu – walcząc o swe życie, ostatnim tchem wzywa pomocy i ratunku – było coś, co wyciągało mnie i wypychało mnie uparcie z łóżka. Usiadłem. Zapaliłem jeszcze jednego papierosa. Ale! – prawda – zapomniałem, może radio coś powie? Zerwałem się i – przeszedłszy do sąsiedniego pokoju – włączyłem prąd do aparatu. Mimo wczesnej godziny stacja warszawska była czynna. Ktoś głosem równym, spokojnym, bez cienia wzruszenia czy podniecenia nadawał niezrozumiałe kryptogramy, przeplatając je nie mniej tajemniczymi zwrotami: „uwaga, uwaga – nadchodzi” lub „uwaga, uwaga – przeszedł”. Przypominało to aż do złudzenia chwilę z marcowej mojej wizyty w konsulacie naszym we Wrocławiu, gdzie nad miarę przejęty porucznik w sposób tak zabawny rozdmuchiwał i nadymał wagę i znaczenie swej roli i swoich obowiązków. W głębi znów odezwały się wątpliwości – kto wie, może i teraz – jak wówczas w marcu – nie ma nic poza alarmem próbnym, nie dzieje się nic poza ćwiczeniami obrony przeciwlotniczej? Wychyliłem się w oknie, spojrzałem w głąb ulicy – nic, pusto i cicho. Wróciłem znów do radia, które – po krótszej chwili milczenia – zaczęło wysyłać nową serię zaszyfrowanych poleceń dla kogoś. Niech to diabli! Co to jest? I kiedy się to skończy? Kiedyż wreszcie usłyszę coś zrozumiałego o powodach odezwania się syreny? I tu też trzeba czekać!

Nie zamykając aparatu – w nadziei, że każdej chwili spaść może rozstrzygająca wiadomość – zajrzałem do pokoju żony. Nie spała. Zaniepokojona i podniecona, powitała mnie pytaniem o moje zdanie. Co sądzę? Czy ja wiem? Chyba wojna! Czy jestem tego pewny? Nie – pewności nie mam, ale według mnie wszystko przemawia za tym. Radzisz zatelefonować? Ale do kogoż to można dzwonić o tej porze? Jest przecież zaledwie kwadrans po szóstej: Do urzędnika



informacyjnego w ministerstwie? Można, ale cóż on mi powie? Nie otwiera przecież nadchodzących w ciągu nocy listów ani depesz. Ale odbiera telefony, mówi z ludźmi, którzy przychodzą z miasta..., słusznie..., spróbuję...

Szczęśliwie trafiłem na znajomego pana. Ale w uprzejmych jego słowach nie było potwierdzenia dla moich przeczuć i domysłów. Przeciwnie – w głosie jego dźwięczała początkowo jakoby cicha radość, że oto on sam może wreszcie mówić z kimś, kto rozstrzygnie jego własne wątpliwości. Wyjąca syrenę oczywiście słyszał, co więcej – wyszedłszy na dziedziniec ministerstwa – słyszał huk motorów w powietrzu i jakby odgłosy kilku dalekich wybuchów. Co to jest? Nie wie, ale wczoraj wieczorem, gdy zgłaszał się do nocnej służby, mówiono coś o zarządzonych na dziś ćwiczeniach obrony przeciwlotniczej. Gdzie jest w tej chwili dyrektor Seweryn Sokołowski<sup>25</sup>? Przez całą prawie noc pracował u siebie w gabinecie i niedawno – przed godziną może – odjechał autem do domu. Czy na pewno do domu? Tak, bo przed wyjazdem polecił kierować tam wszystkie telefony do niego.

Podziękowałem i z gorzkawym uczuciem zawodu powiesiłem słuchawkę. Słowa uprzejmego urzędnika kładły się upartą przeszkodą na ścieżce, którą bieć chciały moje uczucia i myśli. Prawdziwą – a bardzo celną dla nich torpedą była zwłaszcza wiadomość o Sewerze. W razie wybuchu wojny – nie mógłby opuścić biura, to jasne. Jeśli więc pojechał do domu – to dowód najlepszy, że ja w przewidywaniach swych i oczekiwaniach posunąłem się za daleko. Z takim wnioskiem wróciłem do pokoju żony. W głębi jednak nie poddawałem się i nie chciałem jeszcze zrezygnować. Podchwyciłem też skwapliwie uwagę żony, że Niemcy mogli runąć na nas nad ranem, czy nawet w ostatniej godzinie i pierwsza wiadomość o ich wystąpieniu może dopiero teraz dociera do Warszawy i ministerstwa.

Tak – wahając się w niepewności, przerzucając się z jednego bieguna na drugi – doczekałem się wreszcie porannego dziennika radiowego, który przyniósł zwykłe wiadomości polityczne. O wybuchu wojny jednak nie było i w nim ani słowa. Dowiadywałem się z niego wszakże

---

<sup>25</sup> Seweryn Sokołowski (ur. 1899), wicedyrektor Gabinetu Ministra Spraw Zagranicznych 1932-1939, internowany wraz z J. Beckiem w Rumunii. We wspomnieniach często występuje pod imieniem Sewer.

o wczorajszej bezskutecznej wizycie ambasadora Lipskiego<sup>26</sup> na Wilhelmstrasse w Berlinie, o przebiegu burzliwej rozmowy Hendersona z Ribbentropem<sup>27</sup> oraz o treści 16-tu punktów Hitlera w sprawie natychmiastowego powrotu Gdańska do Rzeszy i plebiscytu na polskim Pomorzu. Speaker ograniczał się do bezstronnego notowania faktów – nie oświetlał ich, nie dawał żadnych komentarzy, nie mówił nic o reakcjach Warszawy, ani o oddźwiękach zagranicą. W głosie jak zawsze równym i spokojnym – nie było wcale akcentów podniecenia. Ze słów jego wszakże wyrastał i narzucał się z nieodpartą siłą jeden jedyny wniosek – jesteśmy już w stanie wojny z Niemcami. Utrwalała w tym przekonaniu nie tylko oburzająca i niemożliwa do przyjęcia treść niemieckich żądań – szły one w parze z bezczelną próbą narzucenia nam tej upokarzającej roli, na jaką przed pół rokiem zgodzili się Czesi i Litwini. Ze słów speakera wynikało, że Ribbentrop chciał widzieć w Lipskim nie ambasadora lecz delegata, upoważnionego przez rząd do przyjęcia kapitulacyjnych warunków, w rozmowie zaś z Hendersonem – pozwalając sobie na niedopuszczalną formę i nietypowy ton – z nieukrywaną już pasją mówił, że zdziwiony i zagniewany kanclerz – Hitler – przez dzień cały na próżno oczekiwał polskich pełnomocników. Oczywiście – nie przyszli, oczywiście – nie mogło być inaczej. I z zestawienia spokojnej, lecz nieugiętej naszej postawy z kategorycznym tonem niemieckich żądań i objawami wylewającej się już na zewnątrz wściekłości – nie mogło wyłonić się już nic – oprócz wojny.

I z tym przeświadczeniem przerzuciłem się od radia do przyniesionych przez służącą gazet. Nie znalazłem już w nich jednak nowych dla siebie elementów. Wiadomości o rozpoczęciu działań wojennych jeszcze nie było. Może nieco głośniejsze niż dotąd, grały echa ostatnich instynktów granicznych. Parę razy – powoli i dokładnie – przeczytałem sążniste depesze o przebiegu wczorajszych wizyt i rozmów w Berlinie. Druk potwierdzał w całości wrażenia z komunikatu radiowego. W komentarzach redakcyjnych, pełnych powagi i spokojnej

---

<sup>26</sup> Józef Lipski (1894-1958), poseł (ambasador) w Berlinie (3 VII 1933 (29 X 1934)-1 IX 1939), ochotnik w kampanii francuskiej w 1. Dywizji Grenadierów.

<sup>27</sup> Joachim von Ribbentrop (1893-1946), minister spraw zagranicznych III Rzeszy (5 II 1938-30 IV 1945).

determinacji – nie znalazłem również niczego, co by wnieść mogło rozdźwięk do moich myśli i uczuć.

W podnieceniu – przełknąwszy tylko szklankę mocnej herbaty – zacząłem szybko się ubierać i trochę wcześniej, niż zwykle, wyruszyłem do biura. Dzień był pochmurny – zbierało się na deszcz. Wybiegłem bez pałta, w dodatku – autobus z Wybrzeża Kościuszkowskiego umknął mi dosłownie sprzed nosa. Czy mam czekać kilka dobrych minut na przystanku? Nie! W przesadnej obawie przed deszczem chowając swe niecierpliwe dążenie do jak najszybszego zetknięcia się z kolegami – wsiałem do pierwszej z brzegu taksówki. Szofer podany mu adres – plac Marszałka Piłsudskiego 9 – uzupełnił pytaniem, czy do Ministerstwa Spraw Zagranicznych? – i widocznie na tej podstawie przypadkowe spotkanie ze mną uznać musiał za szczęśliwą okazję do zrobienia porządku w nurtujących go wątpliwościach i niepewnych domysłach.

„– Cóż to szanowny Pan powie o tym wszystkim? – zwrócił się do mnie, chowając do kieszeni swą poranną pięciogroszówkę – Bo jak na mój rozum, to nie ma już innego sposobu – tylko wojna! I tak sobie myślę, że nasze chłopaki tłuką się już z Niemcami od rana...”

Nie mogłem oczywiście, a zresztą i nie potrafiłbym przekonywać go, że jest czy może być inaczej. Odpowiedziałem więc, że istotnie – wszystko, co się dzieje, przemawia za słusznością takiego poglądu. Nie mając jednak całkowitej pewności, musiałem zrobić parę zastrzeżeń – tam, gdzie krzyżuje się i ściera tak wiele sił, mogą być jeszcze różne niespodzianki; rzecz jasna – nie zażegna to nieuniknionej wojny, ale może opóźni ją o parę czy o kilka dni.

„– A syrenę szanowny pan słyszał? Gadali tu ludzie z takim, co ją kręcił – powiada tylko, że mu kazali, a dlaczego – to nie bardzo wie. Więc jedni mówią, że to na alarm próbny, a inni – że dla sprawdzenia, czy dobrze działa. Ale któż to widział sprawdzać takie rzeczy – o świcie niemal i bez żadnego uprzedzenia? Ludzie i bez tego już mają nerwy napięte. Oh! – niech no szanowny pan patrzy...”

Spojrzałem przez szybę na ulicę. Panował na niej zwykły o tej porze hałas i ruch. Rzucił się jednak w oczy wymowny szczegół – wszyscy prawie mieli gazety w ręku, wielu, bardzo wielu czytało je – idąc.

„– A ja myślę – ciągnął szofer dalej – że syrena nie wyła bez powodu.

W tym musi coś być! Wojna chyba, bo i co innego? Czy to nareszcie! Pragnę jej – tej wojny – jak własnego szczęścia. Bo to proszę pana krew człowieka już zalewa i cholera bierze dawno! Hitler – austriacki wypierdek – rzuca się, szarpie się i wścieka, wygraża, pięścią pod nosem wymachuje to i święty anioł dawno by już stracił cierpliwość – a my ciągle nic, my ciągle grzecznie i w rękawiczkach. A ja bym dawno już złapał za kark drania, obił po pysku z jednej strony i drugiej, kopnąłbym – za przeproszeniem – w zadek: a pójdiesz ty do jasnej cholery, włóczęgo zatracony...”

Postarałem się, jak umiałem, w kilku słowach i przystępnie wytłumaczyć i uzasadnić powody naszego opanowania i powściągliwości. Nie trafiło mu to jednak do przekonania.

„– Wczoraj wiozłem jednego pana na Żoliborz. Tak samośmy rozmawiali, jak teraz z szanownym panem. Powiada mi – musimy nerwy trzymać w garści i czekać, bo Francuzi i Anglicy wtedy tylko przyjdą nam z pomocą, jeśli Niemcy pierwsi się na nas rzucą. A my sami nie podolamy? – pytam się ja tego pana. Bo jak dobrze policzyć, to na jednego Polaka wypadnie zaledwie trzech szkopów i nawet mniej jeszcze, a to przecież nie za wiele – Nie! – powiada mi – byłoby za ciężko, bo Niemcy uzbroili się po zęby, gdy sami będziemy – skrwawimy się nad miarę i wojnę nawet możemy wygrać, z Francuzami i z Anglikami do spółki zwyciężymy na pewno. No, niech tam! Zgoda! Ale nie rozumiem dlaczego mamy czekać? Przecież Francuzi i Anglicy mają oczy w głowie i widzą dobrze, kto się od kogo pcha. My nie chcemy Berlina, a Niemcy żądają od nas Gdańska. No to jak się pchasz – to i masz po pysku! Sprawa jasna! Kręci się złodziej koło mego domu, dobiera się do drzwi, wytrych pcha już do zamków – a ja nic! Mam patrzeć i czekać, aż on drzwi wyłamie, wpakuje mi się do mieszkania i zacznie szafy i kuferki rozbijać? Nie – proszę szanownego pana – tu każdy sąd nam rację przyzna...! I nie pojmuję, po co to tak bez końca przelewać z pustego w próżne? Czegóż ten drań nie zażąda jeszcze? Jak zbój na równej drodze, a nawet gorzej, bo zbój przychodzi i zabiera, co mu się podoba, a ta cholera chce, żeby mu to jeszcze w zębach przynosić! Podobała mu się ta cała sprawa z Czechami i myśli widocznie, że to z każdym tak można. A tu nie! Nie tędy droga! Pomylił się w adresie! Bo my przecież – proszę szanownego

pana – Gdańska nie damy, na Pomorze nie wpuszczymy i do Berlina nie pojedziemy, jak ten czeski Hacha<sup>28</sup>...!”

W ostatnich słowach szofera zbyt wiele było mocnej, niezachwianej pewności, bym uważać je mógł za pytanie. Nie wypadało mi wszakże zostawić ich bez odpowiedzi. Wjeżdżaliśmy już na plac Marszałka – to też wyrażoną w paru słowach zgodą na taką ocenę sytuacji zamknąłem rozmowę – ciekawą dla mnie jako wyraz warszawskich nastrojów i opinii.

W szeroko otwartej bramie Ministerstwa spotkałem kilku kolegów, spieszących do biura z różnych stron miasta. Szli – jak prawie wszyscy – z gazetami w ręku. Byli najzupełniej zgodni w reakcjach – warunki niemieckie uznawali za niesłychane i niedopuszczalne, za oburzające i prowokacyjne. Byli zgodni również w przeświadczeniu, że wojna musiała już wybuchnąć w ciągu nocy. Jedynie naczelnik Barański<sup>29</sup> nie poddawał się jeszcze, nie kapitulował, bronił się uparcie ze szczytów swej Alpuhary, powtarzając swoje:

„– A ja powiadam panom, że nic z tego nie będzie – że są to tylko strachy na lachy! Hitler nie jest głupi i musi wiedzieć, że przy takim układzie sił wojny nigdy nie wygra...!”

U mnie w wydziale urzędnicy byli już w pełnym komplecie. Na powitanie posypał się z ich strony grad pytań – czy już? Zawiedzeni w swych nadziejach – bo i cóż im mogłem powiedzieć? – pożartowali nieszkodliwie: taki to już szczęśliwy dzisiaj dzień, że nikt wytrzymać w domu nie może, każdy do biura, co sił w nogach – jak po świąteczny dodatek czy po przydział na placówkę. Przed terminem przyszedł dziś nawet i pan Frenkiel<sup>30</sup>, który tak uparcie stosuje zasadę, korzysta z przywileju, wydłużonego kwadransa akademickiego. Teczka jego, kapelusz, rękawiczki leżą już istotnie na biurku. A gdzie on sam? Pobiegł po nowiny do wydziału prasowego, gdzie dawniej pracował przez szereg lat i miał wielu bliższych kolegów.

<sup>28</sup> Emil Hacha (1872-1945), prezydent Czecho-Słowacji, 14/15 III 1939 podpisał w Berlinie dokument akceptujący włączenie swojego kraju w skład III Rzeszy.

<sup>29</sup> Jan Barański (ur. 1894), radca w Konsulacie Generalnym w Berlinie (1936), radca w Komisariacie Generalnym RP w Wolnym Mieście Gdańsku (1936-1939), naczelnik Wydziału Gospodarczego w Departamencie Administracyjnym MSZ (1939).

<sup>30</sup> Aharon Frenkiel (ur. 1892), radca w Referacie Archiwalnym Gabinetu Ministra Spraw Zagranicznych (1937-1939).

Wszedłem do swego gabinetu, nie zdążyłem jednak pootwierać jeszcze wszystkich szuflad w biurku, gdy w sąsiednim pokoju zahuczało jak w ulu. Rozległy się jakieś kroki. W tejże chwili ktoś zastukał mocno i – nie czekając mego zaproszenia – otworzył drzwi. W progu ujrzałem Frenkla. Uśmiechnięty, uradowany, więcej! – bo promieniający szczęściem wyrzucił z siebie zamiast zwykłego dzień dobry:

„– Wojna, panie poruczniku...!

– Wojna czy tylko incydent graniczny w większym stylu?

– Nie! – wojna, najprawdziwsza wojna! Byłem przed chwilą w prasowym – tam wszystko już w ruchu, poszły wraz z pierwszymi szczegółami instrukcje dla radia i prasy...!

– Kiedy i jak się zaczęło?

– Przed piątą nad ranem, panie poruczniku! Stojący w porcie gdańskim krążownik Schleswig-Holstein zaczął ze wszystkich swych dział bombardować naszą bazę na Westerplatte, a zaraz potem rozpoczęło się natarcie wojsk lądowych na całej długości naszej granicy. Ponadto mieliśmy już kilka nalotów na różne punkty w głąb Polski. O 6-ej rano pierwsze bombowce niemieckie ukazały się nad Warszawą i dlatego właśnie odezwały się nasze syreny. O przebiegu walk wiadomości jeszcze nie ma, ale podobno wojsko nasze osaczyło już Gdańsk i wdarło się do Prus”.

Wchłaniałem w siebie te słowa z niewymownym uczuciem ulgi. A więc – już, nareszcie! Nie ma już żadnych wątpliwości – zamknęła się ostatnia furtka – ciężar, dźwigany od szeregu miesięcy, zsuwa się z ramion bezpowrotnie. Frenkiel dostrzegł to moje westchnienie.

„– Prawda, panie poruczniku, że lżej się zrobiło od razu? I jakie to dziwne – wojnę, niosącą śmierć i zniszczenie, witamy z niekłamaną radością! Ja co prawda kobietą nie jestem, ale mogę sobie wyobrazić, że tak właśnie – jak my w tej chwili – czuje się matka po wydaniu dziecka na świat...”.

Sięgnąłem po telefon. I żona<sup>31</sup>, i córka<sup>32</sup> jednak wiedziały już o wybuchu wojny z ostatnich komunikatów radia. Podały nawet parę nie-

---

<sup>31</sup> Maria Weronika z d. Staniszevska Pobóg-Malinowska (1916-1993), druga żona Autora.

<sup>32</sup> Irena Pobóg-Malinowska (1926-1994), córka Anny (Hanny) z d. Fijałek i W. Pobóg-Malinowskiego, 1 voto Wisłocka, 2 voto Malinowska-Kwiatkowska.

znanych mi jeszcze szczegółów. W trakcie tej pospiesznej wymiany pierwszych wrażeń odezwała się znów syrena. Nalot!

Wydana przed paru dniami instrukcja nakazywała – w razie alarmu chować papiery, zamykać szuflady w biurkach i udawać się bezwzględnie do schronu, mieszczącego się w podziemiach i czystych suterenach ministerstwa – w wydziałach pozostać mogli tylko jeden woźny i jeden dyżurny urzędnik. Wyzaczyłem więc dyżury na parę dni naprzód i poszedłem do schronu.

Było tu już pełno, a huczało, jak w ulu. I ani śladu tej tragicznej prawdy, że zebraliśmy się i ukryli tutaj przed możliwą mimo wszystko śmiercią. Schron wyglądał raczej, jak palarnia w teatrze, gdzie publiczność w przerwie między jednym a drugim aktem omawia żywo i z przejęciem frapujący problem. W zgodzie z tym pierwszym wrazeniem pozostawały dalsze spostrzeżenia. Wchodząc w tłum kolegów, myślałem, że wczoraj jeszcze panowałby w tym samym zespole nastrój spokojnej determinacji i niezachwianej wiary, dziś górowała już ponad wszystkim głęboka radość, że się wyszło wreszcie z warunków, w których nie można już było dłużej żyć. Więcej – dziś pieniał się i perlił szczery, prawie młodzieńczy entuzjazm. Z gwaru splatanych głosów, wytryskał beztroski śmiech. Dźwięczał on w gwarze głosów, iskrzył się w blasku oczu, ujawniał się w ruchach i głosach. Wielu witając się – ścisnęło sobie dłoń mocniej niż zwykle, dłużej i serdeczniej, tu i ówdzie gratulowano sobie nawzajem, tu i ówdzie ścisnęto się i całowano. Jak gdyby był to nie początek wojny, lecz jej zwycięski koniec. Takie oczy i takie twarze widziałem w Ministerstwie już dwukrotnie – po raz pierwszy w marcu r[oku] 1938, gdy nadeszła wiadomość o przyjęciu przez Kowno naszego ultimatum<sup>33</sup> w sprawie nawiązania stosunków dyplomatycznych z nami, po raz drugi – w pół roku później, gdy z ust ministra Becka<sup>34</sup> padły oczekiwane słowa o powrocie Zaolzia do Polski.

<sup>33</sup> W nocy z 10/11 III 1938 policja litewska ostrzelała polski patrol graniczny. Śmierć poniósł polski żołnierz Franciszek Serafin. Pod nieobecność J. Becka, Jan Szembek, wystąpił 17 III do Kowna z ultimatum, w którym domagano się natychmiastowego nawiązania stosunków dyplomatycznych, których oba państwa nie posiadały od chwili odzyskania niepodległości. Do końca marca Karys Szkirpa w Warszawie a Franciszek Charwat w Kownie złożyli listy uwierzytelniające jako posłowie.

<sup>34</sup> Józef Beck (1894-1944), minister spraw zagranicznych (2 XI 1932-30 IX 1939), po przekroczeniu granicy (17 IX 1939) internowany w Rumunii.

Koledzy – skupieni w większych i mniejszych grupach – dzielili się w radosnym podnieceniu pierwszą garstką znanych sobie szczegółów, uzupełniali je własnymi domysłami, robili różne – optymistyczne tylko – przypuszczenia. Plotka, która w ciągu wszystkich siedemnastu dni tego września miała towarzyszyć nam niezmiennie, niosąc większą czy mniejszą szczyptę otuchy, podtrzymując nasze złudzenia i wzmacniając nadwątlone, wątłe nadzieje nie zdążyła się jeszcze urodzić. Ale i tu już istniał bardzo przyjemny dla niej grunt. Bo nawet i ci z kolegów, którzy – jakby przeciwstawiając się fali nadmiernego uniesienia, przewidywali słusznie, że wojna będzie długa i ciężka, i że koleje jej mogą być zmienne – nawet oni – nieliczni – nie mieli żadnych wątpliwości nie tylko, co do ostatecznego, zwycięskiego dla nas wyniku, lecz także i co do siły i rozmachu pierwszego naszego uderzenia. Zdawało się i im, że żołnierz polski – jak pełnokrwisty rumak, trzymany długo na wędzidle – runie naprzód z bezprzykładnym impetem, weźmie lekko pierwsze przeszkody, stratuje te, którym przeszkodzić nie zdoła. Sukcesów takich oczekiwano przede wszystkim w Gdańsku i w Prusach Wschodnich, w których czało się niebezpieczeństwo ataku na prawe skrzydło i tyły naszego frontu. Z natury rzeczy wszakże – byliśmy bowiem wszyscy urzędnikami „służby zagranicznej” – w toczącej się wymianie wrażeń i opinii strategia ustępowała grzecznie miejsca polityce, tu zaś górował oczywiście najważniejszy w tej chwili problem wystąpienia zbrojnego naszych zachodnich aliantów. Ale i tu również nie dostrzegałem najsłabszych nawet obaw i wątpliwości – różnice istniały jedynie w przypuszczeniach co do terminu. Jedni byli pewni, że w istniejącej sytuacji pierwsze *démarche*<sup>35</sup> naszych ambasadorów w Paryżu<sup>36</sup> i Londynie<sup>37</sup> wystarczy już do uruchomienia mechanizmu zawartych przez nas sojuszów i że granica francusko-niemiecka stoi już w ogniu wojny, samoloty zaś francuskie i brytyjskie unoszą się już nad miastami Rzeszy, warkotem swych motorów, a zapewne i hukiem

<sup>35</sup> Zob. *Polskie Dokumenty Dyplomatyczne. Wrzesień-Grudzień 1939*, oprac. W. Rojek, Warszawa 2007, s. 3, dok. nr 1.

<sup>36</sup> Juliusz Łukasiewicz (1892-1951), ambasador w Paryżu (20 VI 1936-7 XI 1939).

<sup>37</sup> Edward Raczyński (1891-1993), ambasador w Londynie (1 XI 1934-5 VII 1945).



bomb zapędzają tysiące Niemców do schronów. Inni nie chcieli się zgadzać z takim poglądem, przewidując, że procedura będzie bardziej skomplikowana i może być nawet dość przewlekła; wojna na zachodzie mogłaby już istnieć w tym tylko wypadku, gdyby Hitler – rzucając się na nas, ruszył jednocześnie przeciwko Francji; ale on tego nie zrobi – napadł na nas tylko i będzie wśród złudzeń swoich i nadziei czekał na decyzję naszych aliantów; a ta nie może być powzięta bezwzględnie po polskiej *démarche*, w Paryżu bowiem i w Londynie odbyć się muszą narady rządów i posiedzenia parlamentów, może być też wysłane jeszcze jakieś ultimatum do Berlina; wszystko to oczywiście spowodować musi zwłokę, to też formalne wypowiedzenie wojny nastąpi może wieczorem, a może nawet dopiero jutro.

Nie spodziewałem się już nic ciekawego w dalszej dyskusji na ten temat, to też zamierzałem precyzyjnie się dalej – w głąb schronu – i przyłączyć się tam do jakiejś innej grupki kolegów. Ruszając wszakże, spostrzegłem tuż obok siebie naczelnika Barańskiego, który przed kwadransem jeszcze – w przypadkowym spotkaniu na podwórzu – z taką pewnością mówił o niemożliwości wybuchu wojny. Zwróciłem się więc do niego z niewinnym żartem, dodając, że niespodzianka, jaką zgotował mu Hitler – nie jest zapewne ani przykra, ani gorzka. Nie stropił się – uśmiechał się uprzejmie – bez cienia zakłopotania.

„– Przypomina mi się niezły, choć już stary dowcip, zawarty w odpowiedzi na pytanie, czy można nauczyć kota tańczyć. Oczywiście – można, ale nie warto. Można by powiedzieć, że tak samo prawie jest i w polityce – przewidywać można, ale nie warto, bo rezultat takich przewidywań daje najczęściej praktycznie tyle, co i taniec kota. Ale ja nie uważam się za skompromitowanego. Wojnę już mamy – to prawda. Nie znaczyło jednak, bym nie miał racji. Patrzyłem na wypadki pod szerszym kątem – błąd popełniony został nie przeze mnie lecz przez Hitlera. Z rachunku sił wynikać może tylko klęska Niemiec. Dwa razy dwa to cztery, nigdy trzy i nigdy pięć, tylko zawsze cztery. Ścisłość i nieomylność tego rachunku powinna była powstrzymać Hitlera przed tym samobójczym krokiem...”.

Ostatnie słowa Barańskiego podchwycił najbliższy jego sąsiad. Nie znałem go – spotykałem się z nim po raz pierwszy. Z tego tylko, co mówił przed chwilą domyślałem się, że pracował przez szereg lat na

jednej z naszych placówek w Niemczech. Tonem, w którym nadmiar towarzyskiej uprzejmości łączył się z czujną ostrożnością i z brakiem pewności w słowach i sądach – mówił nie tyle do Barańskiego, co do całej naszej grupki, gdzie – jak wynikało – mieć musiał paru bliższych kolegów.

„– Oczywiście, proszę panów, rachunek sił nie może dać innego rezultatu. Dwa a dwa to cztery – jasne – i nikt o tym nie wątpi. Tylko pozwolę sobie zauważyć, że Hitler najprawdopodobniej myśli, iż napad na Polskę nie pociągnie jeszcze za sobą wojny ogólnoeuropejskiej. Bo przecież wie on bardzo dobrze, jak tam było przed rokiem w Monachium. Równie dobrze wiedzieć musi, że na zachodzie, a zwłaszcza we Francji – społeczeństwo nie chce wojny i wiele by dało za to, by jej uniknąć. To też – napadając na nas – może myśleć, że nastraszy Francuzów i Anglików – pokaże im, że nie cofnie się przed poparciem swoich żądań siłą i skłoni do dalszej uległości i wątpliwości...

– Ale! Ale! Cóż też pan mówi! Hitler przecież równie dobrze wiedzieć musi, że Anglicy już w kwietniu zawierali układ sojuszniczy z nami nie po to, by szukać kompromisu czy ulegać, wie też, że nasz upór jest dostateczną podstawą dla wystąpienia Wielkiej Brytanii....

– Oczywiście, proszę panów, słusznie! Ja też nie przedstawiam tu panom swego poglądu. Mówię tylko o tym, jak na ten problem patrzyć mogą w Berlinie. Bo ja, proszę panów, spędziłem w Niemczech kilka lat, mam tam dużo znajomych – nie waham się powiedzieć, że nawet przyjaciół, którzy – nie zawsze szczerzy w stosunkach do narodowego socjalizmu, byli często – zwłaszcza przy kieliszku – bardzo szczerzy w rozmowach ze mną – jak w ogóle z cudzoziemcami. Od nich właśnie wiem o nastrojach, jakie panują w kołach partyjnych, a wiadomo przecież, że tam się myśli tak, jak myśleć każe Führer. Na tej też podstawie przypuszczać mogę, że Hitler i z Polską nie chce prowadzić wojny w całym tego słowa znaczeniu...

– Jak to – nie chce? To przecież ją zaczynał...?

– Istotnie, proszę panów, zaczął. Zaczął, istnieją jednak podstawy do obaw, że będzie się starał ograniczyć tę polską wojnę jak najbardziej. Może więc zajmie tylko Gdańsk i utoruje sobie szlak komunikacyjny do Prus Wschodnich. Zabezpieczy tę zdobycz, osłoni ją żelazną potęgą swej armii, stanie w miejscu, nie pójdzie dalej, a Francuzom, Anglikom

i nam powie, że wziął tylko to, co uważał za swoje, że niczego więcej już nie chce. I co wówczas?

– Jak to – co wówczas? Dziwne pytanie! Wojna będzie trwała! Gdańska zresztą Hitler tak łatwo nie zdobędzie i kto wie, czy zdobędzie, autostrady na Pomorzu nie zbuduje na pewno, a nawet gdyby tam wlaźł – to przecież my nie damy mu spokoju i nie przestaniemy walczyć...!

Ja to rozumiem i tak samo na to patrzę, ale Niemcy, proszę panów, mogą myśleć inaczej. Mogą się przecież ludzić, a nawet szczerze wierzyć, że przy takim ograniczeniu wojny w Polsce Francuzi i Anglicy zgodzą się pertraktować, raz jeszcze pójdą na kompromis, by naszym kosztem uratować pokój...

– Ależ to nonsens! Co też pan mówi! Francuzi i Anglicy wiedzą równie dobrze, jak my, że Hitlerowi nie chodzi wcale o Gdańsk... Gdańsk jest tylko pretekstem, to jasne dla wszystkich!

– Pozwolę sobie nie przyjąć tej opinii bez pewnych zastrzeżeń. Jasne to, ale czy dla wszystkich? Panowie czytali przecież, że we Francji wiszą afisze z pytaniem – *mourir pour Dantzig*? Więc to nie dla wszystkich takie jasne i proste. Zresztą dla Hitlera – końcowe cele – leżą istotnie daleko i wysoko. Wystarczy posłuchać, co się mówi o tym w Niemczech, wystarczy przeczytać „Mein Kampf”<sup>38</sup>. Ale któż to wiedzieć może, jakimi drogami i etapami chce on do swoich celów zmierzać? Może etap dzisiejszy zamyka się w skromnych na pozór ramach Gdańska i autostrady? Któż to wie? I przyznam się panom, że się tego trochę boję...

– Niepotrzebnie się pan boi...

– O, nie (A może: Dałby Bóg...). Bo Francuzi i Anglicy mogą nawet zdawać sobie sprawę z istotnych celów Hitlera, ale zeszłoroczne Monachium powiedziało chyba dość wyraźnie, że sojusznicy nasi nie chcą wojny. Nie chcą z wielu powodów, a głównie może dlatego, że nie są jeszcze należycie przygotowani do niej. Ani psychicznie, ani materialnie. Może więc i teraz – jak w Monachium – zechcą zyskać jeszcze na czasie, zaczną wywierać nacisk.... A my? Ja, proszę panów,

<sup>38</sup> Po nieudanym puczu monachijskim 8-9 XI 1923 Adolf Hitler został aresztowany i skazany na 5 lat pozbawienia wolności. Jednakże więzienie Landsberg opuścił już w 1924. Wówczas powstało programowe dzieło – *Mein Kampf*.

w ciągu kilku ostatnich lat byłem tylko gościem w Polsce. Proszę mi wybaczyć, że patrzę może zbyt jednostronnie. Ja nie wiem, jak stoimy w dziedzinie zbrojeń... I byłbym panom wdzięczny...! Jak stoimy z czołgami, samolotami, z bronią przeciwpancerną, z obroną przeciwlotniczą? Bo, proszę panów, pracując w Niemczech, widziałem tam, jak szybko rosła i do jakich olbrzymich rozmiarów doszła siła wojskowa Rzeszy. Mają potężne lotnictwo, mają mnóstwo oddziałów pancernych, mają dziesięć co najmniej dywizji zmotoryzowanych. A my? Przed paru dniami, wracając samochodem do Polski, widziałem olbrzymie, niekończące się kolumny potwornie wielkich czołgów. I myślałem – jadąc – co to będzie, jeśli ta żelazna potęga otoczy pierścieniem Gdańsk, stanie murem wzdłuż autostrady i dalej w głąb Polski nie pójdzie? Czy my istotnie potrafimy skruszyć to, rozbić, odrzucić...?”

Uprzejmy młody człowiek prawdopodobnie nie dostrzegł nawet, kiedy i jak zmienił tor, przechodząc od przedstawienia niemieckich poglądów i nastrojów do wyrażenia swoich własnych obaw i trosk. Co prawda nie posuwał się w tych wątpliwościach za daleko – ostrożny, niezdecydowany, gotów był ustąpić i cofnąć się w każdej chwili, przy najslabszym nacisku. Mimo to słowa jego wdzierają się w atmosferę schronu przykrym dysonansem, niosły z sobą coś z zapachu defetyzmu. Raziło to zapewne wszystkich, nikogo wszakże nie mogło dziwić zbyt. Moja berlińska rozmowa z pułkownikiem Karą<sup>39</sup> nie należała do wyjątków. Koledzy z naszych placówek w Rzeszy mieli u nas – w Centrali, przynajmniej w naszym otoczeniu – ustaloną już sławę nieszkodliwych defetystów – niejeden z nich, wskutek dłuższego pobytu poza krajem i bezpośredniego zetknięcia się z codzienną rzeczywistością hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy, pozostawał pod głębokim wrażeniem niemieckiej organizacji i szybko rosnącej potęgi militarnej, a choć mówił o tym zawsze z tysiącami różnych zastrzeżeń – widać było, że w gruncie rzeczy wątpił już nie tylko o skuteczności, ale i o celowości naszego oporu. Od dawna już – od kilku co najmniej miesięcy – było to w Centrali przedmiotem nieustannych żartów i treścią wielu dowcipów. To też i młody sceptyk nie wywołał ani protestów, ani żywszej dyskusji. Odpowiadano mu bez słów prawie

---

<sup>39</sup> Stanisław Kara (ur. 1893), konsul generalny w Berlinie (1939).

– tu grymasem niesmaku, tam gestem lekceważenia, gdzie indziej uśmiechem pobłażliwości czy nawet współczucia. Zresztą – ta łagodna forma reakcji mieć mogła jeszcze jedną podstawę. Było już po nalocie – syrena długim, równym, nieprzerwanym rykiem ogłaszała odwołanie alarmu i wzywała wszystkich z powrotem do wydziałów.

I nasza grupka – wśród żartów i śmiechów – ruszyła również ku wyjściu. Młody sceptyk szedł obok mnie. Mówił coś jeszcze – mówił, trochę zaniepokojony, korzystał z ostatniej chwili, by zatrzeć przykre wrażenie popełnionej *gaffy*. Nie słuchałem go zresztą – unosiłem szczerą niechęć do niego, żal i pretensję, jaką zwykle mamy do ludzi, którzy niezbyt taktownym słowem czy ruchem, zakłócając wewnętrzny nasz spokój, przypominają nam o sprawach, o których chciałoby się nie pamiętać i nie myśleć. Troski jego i obawy sięgnęły w głąb, przedarły się aż do kryjówek, gdzie się gnieździły przyczajone moje własne wątpliwości i trwogi. Wypęłzło też stąd z bolesnym skurczem niepokoju drapieżne wspomnienie paru naszych rozmów z Sewerem Sokołowskim o jaskrawej różnicy sił, o miazdzącej przewadze Niemców, o brakach w naszym przygotowaniu do wojny z takim przeciwnikiem, o możliwości komplikacji i niespodzianek ze strony niezbyt pewnego sojusznika – Francji.

Ale – na szczęście – ten przykry nastrój nie trwał długo. Jak lód w promieniach słońca, roztapiał się on szybko pod naciskiem dzwoniącej dookoła, szczerzej, niezamąconej ufności. Odezwało się też mocne, agresywne poczucie szkodliwej bezpłodności takich refleksji. Ostatnie ich ślady wytępił i pozacierał papieros, nie zawodzący nigdy, a teraz wzmocniony jeszcze filiżanką mocnej czarnej kawy, którą woźny Rymko – jak co dnia – przyniósł z pobliskiej cukierni Lardelli'ego<sup>40</sup>.

I z tą – bez wysiłku odzyskaną pogodą ducha – przystąpiłem do załatwiania oczekujących spraw. Dopominał się o swe prawa przede wszystkim huczący radosnym podnieceniem wydział. Zaprosiłem więc do siebie wszystkich swoich urzędników i – przeszedłszy w ich gronie jeszcze jedną wymianę pierwszych wrażeń i pięknych nadziei – powiedziałem im, że niewątpliwie wojna z czasem postawi przed nami szeregi nowych – może jeszcze nieprzeczuwalnych – problemów

---

<sup>40</sup> Mowa o warszawskich Cukierniach Giovanni Giacomo Lardelli'ego (1870-1941).

i zadań, na razie jednak nie ma jeszcze powodu do jakichkolwiek zasadniczych zmian w dotychczasowym podziale pracy i obowiązków. Nie traci nic – przeciwnie, zyskuje wiele na swym znaczeniu i ciężarze – trapiąca nas wszystkich sprawa nadmiernego rozrostu archiwum. Osobiście – będę się starał wykorzystać wszystko, co się tylko da, by jak najprędzej i najgruntowniej wyczyścić archiwum – usunąć z niego cały niepotrzebny balast. Już parę dni temu – przed swym wyjazdem do Kazimierza i Nałęczowa – zwróciłem uwagę dyrektora Sokołowskiego na gromady urzędników, w ostatnim czasie ściąganych pospiesznie do Centrali ze wszystkich naszych konsulatów w Rzeszy. Ludzie ci – ze zrozumiałych względów nie otrzymując chwilowo żadnego przydziału – sterczą beczynnie w korytarzach, wałęsają się po różnych wydziałach, odwiedzając swych przyjaciół i znajomych. Tymczasem – można przynajmniej w części ich wykorzystać, tworząc z nich zespół pomocniczy dla nas. Dziś jeszcze zwrócę się w tej sprawie do szefa Biura Personalnego<sup>41</sup>]. Liczę na kilkunastu takich pracowników. W naszym szczupłym lokalu nie potrafimy rozmieścić ich wszystkich tak, by nie siedzieli sobie na karkach i nie następowali na pięty. Wypadnie więc podzielić ich na dwie zmieniające się grupy. Chcąc wyzyskać jak najwięcej w najkrótszym czasie, zażądam od nich, by pracowali zamiast przepisowych siedmiu osiem godzin na dobę. Zmiana grup dokonywałaby się o godzinie 4-ej po południu, archiwum więc pracowałoby od 8-ej rano do 12-ej w nocy. Stali moi współpracownicy z archiwalnej połowy wydziału nie mogą oczywiście pracować po szesnaście godzin bez wytchnienia będą jednak musieli podzielić się również na dwie takie zmiany, nowi bowiem nasi koledzy nie będą mogli przynajmniej z początku pracować samodzielnie. Każdy z nas w stosunku do nich musi być instruktorem i doradcą, kierownikiem i kontrolerem.

I chociaż projekt mój niósł w sobie zapowiedzi dodatkowych obciążeń, choć zburzyć miał gruntownie ustalony porządek życia osobistego

---

<sup>41</sup> Chodzi o Wiktora Tomira Drymmera (1896-1975), dyrektora Biura Personalnego Prezydium Rady Ministrów (21 VI 1933-17/30 IX 1939), dyrektora Departamentu Konsularnego MSZ (15 IX 1933-17/30 IX 1939); p.o. dyrektora Biura Personalnego MSZ (1 II 1934-17/30 IX 1939).

– w postawie swych współpracowników nie dostrzegałem niczego, co bym uznać mógł za błady, nikły cię niezadowolenia. Przeciwnie – spotkałem się z ich strony z daleko posuniętą gorliwością.

(odtąd zaczynam pisać skrótami:)

Coś jakby wdzięczność, że w czasie, gdy kraj zdobywać się musi na największy wysiłek – i oni również będą mogli nie tylko pracować szybko, sprawniej, wydajniej – ale ponadto dać z siebie coś więcej. Paru nawet, którzy chcieli pracować od rana do nocy bez przerwy powstrzymywać musiałem w ich gorliwości – tłumaczyć, że nie można wyczerpać się od razu z całego zasobu sił i energii i po 2 czy 3 tygodniach stanąć. Z równie miłą odmianą tej samej postawy spotkałem się i poza MSZ – w paru rozmowach telefonicznych: z członkami redakcji w sprawie pierwszego powakacyjnego posiedzenia – z p[anem] Antonim Rybarskim<sup>42</sup> z wydziału archiwów państwowych w sprawie umieszczenia skrzyń z aktami Depart[amentu] Administr[acyjnego] – jako akta „spółdzielni mleczarskiej” – omawiałem z nim to już dawniej, teraz ustalałem termin – w przyszłym tygodniu. W rozmowach tych uderzała gotowość ułatwień – nie wysuwania żadnych zastrzeżeń – musi być dobrze, zrobi się, itd. Mówiłem telefon[icznie z] Barańskim w sprawie skrzyń – bo dawniej zwlekał on z ich zamówieniem. 30 VIII [1939] dostarczył zaledwie 100 – z tego około 30 rozdrapały wydziały, więc teraz Barański godził się na wszystko – jakby chciał nadrobić, obiecywał osobiście zająć się, dopilnować. Potrzebowałem jeszcze kilkaset skrzyń, a ponieważ stolarz mógł wykonać po 10-12 dziennie, więc otrzymywał polecenie „robienia bez przerwy aż do odwołania” – obiecał też Barański poszukać innego, dodatk[owego] stolarza. Nowy szef biura personalnego Siedlecki<sup>43</sup> projekt mój powitał nie tylko z wdzięcznością, bo nie wiedział, co zrobić z nadmiarem urzędników, kt[órzy] przecież nie mogli pętać się beczynniami.

---

<sup>42</sup> Antoni Rybarski (1886-1962), radca w Wydziale Archiwów Państwowych w Departamencie Wyznań Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

<sup>43</sup> Właśc.: Stanisław Grzymała-Siedlecki (ur. 1897), radca w Gabinetie Ministra Spraw Zagranicznych (1 I 1935-1939), z-ca dyrektora Biura Personalnego MSZ (1939).

Po tych rozmowach zacząłem pracować nad kolejnym zeszytem *Encyklopedii...*<sup>44</sup>. Nagle znów alarm. Czy nie za często? Nie chciało mi się odrywać od roboty, ale nie chciałem dawać złego przykładu urzędnikom – łamać dyscyplinę wewnętrzną – więc zacząłem chować wszystko do szuflad. Ale telefon – to Sewer wzywał mnie do siebie. Więc poszedłem do niego – nie do schronu. W rozmowie z nim musiałem przede wszystkim złożyć sprawozdanie z podróży do Kazimierza. Potem omówić projekt wyzyskania urzędników z konsulatów w Niemczech. Zaaprobował. Potem – jak zwykle kwadrans szczerzej rozmowy o wypadkach.

Potwierdzał przede wszystkim to, co mówił mi już Frenkiel. Dowiedziałem się ponadto, że Niemcy zdążyli już puścić w świat kłamliwą pogłoskę czy wiadomość, że powodem do rozpoczęcia wojny był rzekomy napad polski na dworzec kolejowy w Gliwicach. Oczywiście – nikt w to nie uwierzy, zwłaszcza po wczorajszych wypadkach w Berlinie, ale zawsze kłopot, bo nie wszędzie na świecie – i nawet wśród sojuszników – mamy tylko przyjaciół. O tym jak bardzo zależeć musiało Niemcom na momencie zaskoczenia świadczy fakt, że komunikację telefoniczną przerwali dopiero po godz[inie] 7-ej. Mimo toczącej się już wojny – MSZ mówiło z ambasadorami w Paryżu i Londynie przez Berlin, i dopiero o g[odzinie] 7.10 przerwano rozmowę z ambas[adorem] Lipskim. Oczywiście – placówki nasze zostały już powiadomione o agresji niem[ieckiej] – a ambasadorowie Łukasiewicz w Paryżu, a Raczyński w Londynie otrzymali polecenie bezzwłocznej *démarche*, domagającej się zgodnie z układami sojuszniczymi bezzwłocz[nego] współdziałania zbrojnego. Co do terminu wystąpienia sojuszników – Sewer liczył się z pewną zwłoką. „Procedura rad gabinetowych i uchwał parlamentarnych”. Wątpliwości i obaw nie miał. W[ielka] Bryt[ania] wystąpi na pewno, a to przesądzi o stanowisku Francji, która może oczywiście wykręcać się, zwlekać, ale ostatecznie zrobi to, co każe W[ielka] Bryt[ania]. Kilka cierpkich słów o Francji – skomunizowanej, ogłupiałej, niezbyt przygotowanej. Ale mimo wszystko wystąpi i ona.

---

<sup>44</sup> Przed wojną ukazały się cztery zeszyty. Zob.: *Polska i Polacy w cywilizacjach świata. Słownik encyklopedyczny*, red. W. Pobóg-Malinowski, Warszawa 1939, t. I, z. 1-4. Podczas wojny W. Pobóg-Malinowski ogłosił jeszcze drukiem: *Polska i Polacy w dziejach i kulturze świata*, cz. I-A, Południowa Francja 1942.



Co do przebiegu wczorajszych wizyt i rozmów w Berlinie – Sewer mówił, że angielska próba mediacji w Berlinie należy do szeregu nie-skoordynowanych akcji dyplomatycznych, mających na celu zażegnanie konfliktu. Był tu apel króla Belgów<sup>45</sup> i Roosevelta<sup>46</sup> – potem niefortunne wystąpienie Stolicy Apostolskiej<sup>47</sup> (o tym muszę napisać w poprzednim rozdziale – więc tu ani o tych apelach, ani odpowiedziach Mościckiego<sup>48</sup> – królowi Belgów i Rooseveltowi, ani Becka papieżowi<sup>49</sup> nie rozwodzę się). Najpoważniej wyglądała i najpoważniej traktowana była przez nas próba mediacji angielskiej. Anglicy w porozumieniu z nami – podjęli ją, ostrzegając b[ardzo] stanowczo [III] Rzeszę o swej ostatecznej decyzji zaangażowania się wojennego w razie napadu na Polskę lub w razie próby stworzenia w Gdańsku faktów dokonanych. Apelowali więc o nawiązanie bezpośredniej wymiany zdań z W[arsza]wą. Co do nas – zastrzegali z góry b[ardzo] lojalnie swój respekt dla wszystkich naszych tez. Wobec powagi sytuacji i groźnych skutków ewent[ualnego] konfliktu, potraktowaliśmy tę mediację pozytywnie, upoważniając Anglików do oświadczenia w Berlinie, że bez względu na istniejące napięcia gotowi jesteśmy spróbować raz jeszcze obiektywnej negocjacji [z] Berlinem – z tym, że nie będzie [to] dotyczyć jakichś jednostronnych koncesji, lecz prowadzona będzie w duchu rozsądnego kompromisu. Sprawę tę prowadził w Berlinie amb[asador] bryt[yski] Henderson. Próbował on szukać wyjścia i rozwiązań trwałych. Ribbentrop jednak zaczął w tym czasie stosować wobec niego coraz ostrzejszy ton, nie

<sup>45</sup> Leopold III Sachsen-Coburg-Gotha (1901-1983), syn Alberta I i Elżbiety Gabrieli Wittelsbach, król Belgii 1934-1951, na wygnaniu 1944-1950, protesty zmusiły go do abdykacji na rzecz syna Baudouina. O tych wydarzeniach zob. m.in.: H. Batowski, *Agonia pokoju i początek wojny*, Poznań 1969.

<sup>46</sup> Franklin Delano Roosevelt (1882-1945), z ramienia Partii Demokratycznej, 32 prezydent Stanów Zjednoczonych (1933-1945).

<sup>47</sup> W końcu sierpnia 1939 Pius XII przez nuncjusza w Warszawie Filippo Cortesi'ego zaproponował, aby dla ratowania pokoju Polska zrzekła się Gdańska i Pomorza. Zob.: M. Kornat, *Watykan i Polska (1939-1944) w świetle dokumentów*, „Zeszyty Historyczne”, Paryż 2006, z. 157, s. 179, przyp. 43.

<sup>48</sup> Ignacy Mościcki (1867-1946), chemik, profesor Politechniki Lwowskiej (1912-1922), prezydent RP (1 VI 1926-30 IX 1939).

<sup>49</sup> Właśc.: Eugenio Maria Giuseppe Giovanni Pacelli (1876-1958), włoski duchowny, od 1929 kardynał, sekretarz stanu (1930-1939), 2 III 1939 wybrany papieżem przyjął imię Piusa XII.

żądając już rokowań, ale wręcz oświadczając, że rząd Rzeszy na definitywne zakończenie sprawy czekać dłużej już nie chce. Ribb[entrop] nie precyzował jednak ostatecznych żądań niemieckich. Sam Henderson nie wiedział, czy chodzi tu jedynie o Gdańsk i autostradę, czy też o obszary i ustępstwa jeszcze większe. Widać już było, że Niemcy stoją w przededniu postawienia ostatecznego kroku. Właśnie na prośbę Hendersona 30 VIII wieczorem amb[asador] Lipski zwrócił się do min[istra] Becka z wnioskiem, by zrobić jakiś bezpośredni gest z naszej strony w stosunku do Rzeszy, aby odprężyć sytuację i ułatwić Hendersonowi jego zadanie. Bez wiary już w możliwość powstrzymania niem[ieckiej] agresji – dla porządku niejako – polecono Lipskiemu zażądać natychmiastowego widzenia się z Ribb[entropem] i oświadczyć mu, że rząd polski przyjął angielską propozycję wymiany poglądów w ramach, określonych w nocie ang[ielskiej], o czym rząd niem[iecki] będzie niewątpliwie i szczegółowo w najbliższych godzinach poinformowany przez przedstawiciela rządu bryt[yskiego], jako mediatora w tej sprawie. Zgodnie z tą instrukcją Lipski 31 VIII o g[odzinie] 1-ej po południu zażądał natychmiastow[ej] rozmowy z Ribb[entropem]. Na pytanie Weizsäcker<sup>50</sup>, niem[ieckiego] sekretarza stanu – czy Lipski działa jako ambasador, czy też specjalny delegat rządu pol[skiego] upoważniony do przyjęcia żądań niem[ieckich] – Lipski odrzekł, że jako ambasador wyrazić ma miarodajne opinie rządu i w tym tylko charakterze chce się z Ribb[entropem] rozmówić. Kazano mu wszakże czekać do g[odziny] 7-ej wieczor[em]. Ribb[entrop] – mimo b[ardzo] wyraźnego postanowienia sprawy – łudzić się jeszcze musiał przypuszczeniem, że rząd polski ostatecznie pójdzie na kapitulację. Sądził zapewne, że powtórzy się dramatyczna chwila kapitulacji Hachy – kapitulacji bez pytania [się] nawet o warunki. Dlatego też – czekając na Lipskiego – odpowiednio zaaranżował to przyjęcie – podobnie, jak to zrobił w stosunku do Czechów, a więc gromadząc tłumy gapiów na ulicy i obsadzając gmach ministerstwa, schody i wejścia oddziałami SS<sup>51</sup>. Lipski wszakże wyko-

---

<sup>50</sup> Ernest von Weizsäcker (1882-1951), sekretarz stanu w niemieckim Auswärtiges Amt 1938-1943.

<sup>51</sup> (Die Schutzstaffel der NSDAP) – eskadra ochronna NSDAP (Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei) Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników.

nał tylko udzieloną mu instrukcję. Ribb[entrop] mimo wszystko i tu jeszcze z właściwą sobie natarczywością domagał się od Polski dla jej ambasadora specjal[nych] pełnomocnictw dla ostatecznych a szybkich rozstrzygnięć. Ambasador nasz stwierdził, że działa ściśle w ramach angielskiej propozycji mediacyjnej i stanowisko Polski, co do meritum sprawy będzie mógł przedstawić dopiero po dokładnym zaznajomieniu się ze stanowiskiem rządu Rzeszy. Ribb[entrop] w sposób oschły obiecał zreferować sprawę Hitlerowi. Oświadczenie to zamykało ostatnią wizytę i ostatnią rozmowę ambasadora Lipskiego z Ribbentropem. Prawie bezpośrednio potem Ribb[entrop] przyjął Hendersona i nawiązując do prowadzonej próby mediacyjnej – odczytał b[ardzo] szybko – tak szybko, że Henderson nie był w stanie zrozumieć wszystkiego – 16 warunków niemieckich. Prawie jednocześnie, bo o godzinie 9-ej warunki te powtórzone zostały przez niemieckie radio.

(tu powtórzyłem z nieznacz[nymi] zmianami fragment z pamiętnika J[ózefa] B[ecka]<sup>52</sup>. Trzeba: 1) porównać dla uzupełnienia z polską<sup>53</sup>, francuską i angielską<sup>54</sup> księgą i z raportem Hendersona oraz 2) streścić to – chyba w formie dialogu z Sewerem – tak jak to istotnie było. Bo Sewer – w szczerej rozmowie – tak właśnie mi to przedstawił. Trzeba by ująć tak – jak Sewer – postępując, nie spiesząc).

Pamiętam, że obok oburzenia na Niemców za ich próbę sprostowania nas do poziomu Belgów – satysfakcja Sewera, że im się to nie udało. Trochę uwag o tępcie Niemców, którzy znając dobrze ministra chcieli się jeszcze ludzić, że ustąpi. Szczegółów o przebiegu pierwszych walk jeszcze nie miał. Sewer dawał wyraz przekonaniu, że pierwsze najsilniejsze uderzenie niemieckie bezwzględnie większością

<sup>52</sup> W. Pobóg-Malinowski po drugiej wojnie światowej zajmował się przygotowaniem do druku wspomnień polskiego ministra spraw zagranicznych. Czytając jego pamiętnik często ma się wrażenie, że nie zawsze umiał oddzielić swoje myśli od wiadomości zaczerpniętych m.in. w notatek J. Becka.

<sup>53</sup> (*Polska Biała Księga*). *Ministère des affaires étrangères. Les relations polono-allemandes et polono-soviétique au cours de la période 1933-1939. Recueil de documents officiels*, Paris 1940. (również wydanie w języku angielskim i niemieckim o wspólnej numeracji dokumentów).

<sup>54</sup> (*The British War Blue Book*). *Documents concerning German-polish Relations and the Outbreak of Hostilities between Great Britain and Germany on September 3, 1939*, Miscellaneous No. 9 (1939), London 1939.

sił skierowane zostanie na nas – mówił – ostrożnie i oględnie – że w tych warunkach nie może być mowy o jakiś zasadniczych sukcesach polskich w początkowej fazie wojny. Przypominał [wyraz nieczytelny] – by mnie nie urazić – to, co mówił w lipcu, gdy pojechałem z nim i z Marysią na Bielany na obiad, że w maju czy w czerwcu, w naradach z przedstawicielami sztabów franc[uskiego]<sup>55</sup> i bryt[yjskiego]<sup>56</sup> – szczerze mówiliśmy o tych możliwościach i że już wówczas, na wiosnę, postanowiliśmy się tylko bronić, w razie konieczności stopniowo cofać się w głąb kraju, zadając przy tym Niemcom straty możliwie największe i najbardziej dotkliwe; w obronie tej – mówiliśmy sztabom sojuszniczym – mamy wytrwać aż do chwili czynnego wystąpienia sojuszników na zachodzie, co – odciążając nas od olbrzymiej przewagi Niemiec, pozwoli nam przejść do skutecznej kontrofensywy w ścisłym współdziałaniu z aliantami. Sewer o klęsce oczywiście nie myślał – nie liczył się z nią. Pewność, że w ostatecznym wyniku zwyciężymy niezależnie od tego – jakimi drogami potoczą się wypadki. W trakcie tej rozmowy wszakże wracały parokrotnie obawy o Francję – że wystąpi nie wątpił, ale ze zwłoki mogą być różne komplikacje. Na ogół [był] dobrej myśli, choć podkreślał – i to z naciskiem – że nie trzeba poddawać się fali zbytniego optymizmu – wojna będzie bardzo ciężka, na nas spadnie pierwszy najcięższy cios. Odezwały się echa dawnych obaw, co do stopnia naszego przygotowania. Przypomniał słowa ministra i tym, jak dalece zmienił się stosunek sił – z r[oku] 1933 i obecnie; Polska dobrze uzbrojona i słabe Niemcy i polityka umiarkowanych dążeń, a teraz odwrotnie – czy zdołamy wytrzymać ten szalony, wściekły nacisk niemiecki na początku – zanim sojusznicy wystąpią czynnie – o tyle, by zagrozić to mogło poważnie Niemcom na zachodzie. Pamiętam – przypominałem mu o obawach Szpotańskiego<sup>57</sup>, że Rydz<sup>58</sup> wkroczy do Berlina i przyćmi sławę Komendanta

---

<sup>55</sup> Zob.: *Protokoły polsko-francuskich rozmów sztabowych w Paryżu w maju 1939*, „Bellona”, 1958, z. 2.

<sup>56</sup> Zob.: *Protokoły polsko-brytyjskich rozmów sztabowych w Warszawie w maju 1939*, „Bellona”, 1957, z. 3-4.

<sup>57</sup> Być może chodzi o Stanisława Szpotańskiego (1880-1936), pisarza i badacza literatury.

<sup>58</sup> Edward Śmigły-Rydz (1886-1941), marszałek Polski z 10 XI 1936 r., Ge-

– skrzywił się, Rydz? – i machnął ręką ni to z pobłażliwością, ni to z lekceważeniem. Nie, mówił wyniośle, jakby wynikało przy tym, że nie wierzy, abyśmy wkroczyć mieli do Berlina. Pamiętam również, że powtórzyłem obawy młodego sceptyka ze schronu. Nie sądził Sewer, by tak mogło być. Przypuszczał raczej, że Niemcy zechcą wyzyskać okres mobilizacji na zachodzie – to dwa czy może trzy tygodnie, kiedy sojusznicy nasi nie będą mogli jeszcze rzucić poważniejszych sił – że całą swą potęgę skierują na nas, w nadziei, że nas zduszą i unikną tą drogą walki na dwa fronty, przed czym już Bismarck przestrzegał. Lekcja z r[oku] 1918 nie poszła na marne. Czy więc wytrzymamy? Sewer nie stawiał tego pytania – mówił raczej w ten sposób, że chodził o to, abyśmy to wytrzymali. W tym, co mówił, obawy mieszały się z ufnością. Ufność nawet górowała – może istotnie tak czuł, a może nie chciał mrozić moich uczuć i siać zwątpienia. I jakby dla wzmocnienia tej ufności – w chwili, gdy już się zęgnąłem – odezwał się telefon. Ktoś – miałem wrażenie ktoś ze Sztabu [Głównego] – dzwonił, donosząc, że wojsko nasze po ciężkiej walce opanowało Gdańsk – że do miasta tego wkroczyła dywizja Skwarczyńskiego<sup>59</sup>, do niedawna szefa Ozonu<sup>60</sup>. Patrzyłem na Sewera – w szczerym uśmiechu dużo uradowania. Ale dopytywał się – czy to pewne. Zapewniano, że tak. Powtórzywszy mi tę rozmowę chciał jeszcze dzwonić gdzieś, może do Prezydium [Rady Ministrów], aby sprawdzić. Ale zanim się połączył – telefon od

---

neralny Inspektor Sił Zbrojnych (1935-1939), Naczelnny Wódz (1-27 IX 1939, dymisja została przyjęta 7 XI 1939), po przekroczeniu granicy 17 IX 1939 r. internowany w Rumunii.

<sup>59</sup> Stanisław Skwarczyński (1888-1981), gen. brygady, szef Obozu Zjednoczenia Narodowego (1938-1939), d-ca Korpusu Interwencyjnego przewidywanego do użycia na Pomorzu (VIII-IX 1939), planowany na d-cę Korpusu Interwencyjnego w Gdańsku i Grupy Operacyjnej „Wyszków” (IX 1939), d-ca Zgrupowania Południowego Armii Odwodowej „Prusy” (3-17 IX 1939), internowany w Rumunii.

<sup>60</sup> Obóz Zjednoczenia Narodowego („Ozon”) – organizacja polityczna sanacji, której deklarację ideowo-polityczną ogłosił płk Adam Koc 21 II 1937, który został jej pierwszym kierownikiem, zastąpiony przez gen. S. Skwarczyńskiego, a po wybuchu drugiej wojny światowej przez płk Z. Wendę. Celem organizacji było dążenie do poprawienia obronności państwa, wprowadzanie zasad konstytucji kwietniowej i konsolidowanie obozu sanacyjnego wokół marszałka E. Śmigłego-Rydza jako następcy Komendanta.

Jagielli. Czy słyszał już o Gdańsku? Okrzyki, wzajemne gratulacje, pytania o szczegóły, których oczywiście brak.

Z uczuciami, obudzonymi przez tą pierwszą optymistyczną wojenną plotkę, opuszczałem gabinet Sewera. Wiadomość o Gdańsku miała cudowne skrzydła. Niewiadomo skąd i jak, ale już wszyscy o tym wiedzieli. Zarówno urzędnicy w Gabinetcie [Ministra], jak i spotkani na korytarzach i schodach. Wszyscy z radosnym wyrazem twarzy powtarzali to sobie, dzieląc się uczuciami i wrażeniami. U mnie w wydziale to samo. Radość, podniecenie, entuzjazm. Najgłośniejszą wiatowała Wisia Wojciechowska<sup>61</sup>. Sam byłem wzruszony, podniecony, więc nie próbowałem stłumić tego wybuchu.

Zaprosiłem do siebie już przedwczoraj Szepietowskiego<sup>62</sup> i paru jego referentów – właśnie nadchodzili, by omówić ze mną sprawę niszczenia akt wydziału budżetowego. Chcieli określić granice swych potrzeb. Trzeba było długo tłumaczyć – „użerać się” – bo panowie ci posuwali się w swej przezorności za daleko, żądając zachowania różnych papierów bez znaczenia, bo trwałe ślady ich pozostawiały w księgach czy sprawozdaniach i wykazach rocznych, które przeszły już przez Najw[yższą] Izbę Kontroli<sup>63</sup>. Trzeba było długo tłumaczyć – i to nie po raz pierwszy – że chodzi o zachowanie tego tylko, co tworzy zasadniczy obszar gospodarki pieniężnej, a szczególnie – ile komu przypisano do zwrotu czy też komu ile dano dodatku instalacyjnego i całą nieraz bardzo długą korespondencję można zniszczyć. Obawiali się, że ktoś, coś, kiedyś może zakwestionować i nie będzie na to dowodu. Uporawszy się z nimi – poszedłem do Barańskiego, by poprosić go o przydział jeszcze jednego – trzeciego już – auta ciężarowego, przypuszczałem bowiem, że wobec przydziału nowych urzędników wzrośnie już od jutra tempo wywożenia akt do mirkowskiej fabryki papieru na Jeziornej<sup>64</sup>. Barański i tu – jakby chcąc

---

<sup>61</sup> Jadwiga Wojciechowska (ur. 1894), podreferendarz w Centrali MSZ (1939).

<sup>62</sup> Leonard Szepietowski (ur. 1887), naczelnik Wydziału Budżetowego Departamentu Administracyjnego (1 XI 1936-1939).

<sup>63</sup> Najwyższa Izba Kontroli (NIK) – organ powołany 8 II 1919 na mocy dekretu Naczelnika Państwa wydanego dzień wcześniej, mający zajmować się kontrolowaniem działalności administracji państwowej w tym rządzie z wykonania ustawy budżetowej.

<sup>64</sup> Miejsowość pod Warszawą, obecnie Konstancin-Jeziorna. W XIX w. z ini-

nadrobić wszystko, co wynikało z jego upartej niewiary w wybuch wojny – nawet uprzejmy i uczynny. Wracając od niego – wpadłem na chwilę do Siedleckiego i informując go o zgodzie Sewera na mój projekt, prosiłem go o przysłanie do mnie tego zespołu urzędników na godzinę 6-tą po południu, powtarzając, by wybierał przede wszystkim tych, kt[órzy] pracowali po kancelariach – aby praca w archiwum nie była [dla] nich czymś zupełnie nowym i obcym.

Gdy wróciłem do siebie – było już po 3-ej. Woźny Antoni Kępka przyniósł z wydziału gospodarczego zamówione jeszcze w lipcu 4 maski gazowe, zaraz potem – z naszej ministerialnej rodziny urzędniczej zamówione również „zapasy wojenne” – konserwy mięsne i rybne, mąkę, cukier, kasza, kawa, herbata, kakao, czekolada, masło i tłuszcz w puszkach. Więcej niż połowę z tego – wraz z 2 maskami – wysłałem zaraz przez Kępkę do Irki na Koszykową, resztę odwoziłem sam do siebie na Tamkę<sup>65</sup> sprowadzoną taksówką.

Zajęty od rana w biurze – dopiero teraz przyjrzeć się mogłem miastu. Na ulicach – Królewskiej i Krak[owskim] Przedm[ieściu] – panował ruch nie do opisania. Autobusy i tramwaje przepełnione niewiarygodnie, choć musiała już przepłynąć pierwsza fala spieszących na obiad, bo zbliżała się już 4-ta [po południu]. Dużo wojskowych aut i motocykli – na Krakowskim [Przedmieściu] niekończący się sznur w obu kierunkach. Na chodnikach tłumy – twarze przeważnie uśmiechnięte. Nastrój dobry, doskonały. Zjehawszy w spokojniejszą Tamkę rzuciłem okiem na prasę popołudniową. Oczywiście – nie mogła wiedzieć więcej niż ja po rozmowie z Sewerem. Szczegółów o przebiegu walk jeszcze nie ma. Jest orędzie Prezydenta, że „jesteśmy w stanie wojny z odwiecznym wrogiem”. Poza tym artykułiki, pełne optymizmu i niezachwianej wiary. W tonie prasy i w nastrojach otoczenia mego i ulicy brzmiały jakby echa wiersza K[azimierza] Wierzyńskiego<sup>66</sup>, ogłoszonego w przededniu bodaj w „Gazecie Polskiej”:

„Święty Boże, o sprawiedliwą bijemy się rzecz – o naszą wolną

---

cyjatywy Edwarda Natansona zbudowano obok istniejących już papierni fabrykę Mirków znaną później jako Warszawskie Zakłady Papiernicze.

<sup>65</sup> Ulica w Warszawie, przy której mieszkał W. Pobóg-Maliniowski.

<sup>66</sup> Kazimierz Wierzyński, właśc.: Kazimierz Wirstlein (1894-1969), poeta, prozaik i eseista.

wolę – o naszą ziemię i morze – o matki krzyż na czole – pobłogosław nasz miecz – o polskie kości na Wawelu – o cmentarze ojcowskie, na których znak Twój świeci – o lata przeszłe i przyszłe – o nasze góry i Wisłę – o nasze żony i dzieci – o dolę daleką i bliską – sprawy ludzkie i boskie – o wszystko<sup>67</sup>.

Tylko inaczej to uporządkować i zaznaczyć, że nie przypuszczałem, że tragizm polskiej rzeczywistości po wrześniu usprawiedliwiał taką modlitwę, a nawet przerastał takie myśli i przypuszczenia co do tego, o co się w tej wojnie bijemy.

Przy obiedzie dzieliłem się z Marysią wrażeniami i nadziejami. Obaw nie ujawniałem – zresztą nie odzywały się, stłumiłbym je w sobie lub odpędził jak natrętną muchę. Ale jeszcze w trakcie obiadu odezwał się telefon. Dzwoniła Bronia<sup>68</sup>. To dzień jej imienin. Złożyłem życzenia – cóż, ma ładny prezent. Odpowiada, że istotnie cieszy się bardzo, że się skończyła wreszcie ta męcząca „wojna nerwów” i zaczęła się wojna prawdziwa. Dopytywała się o Francję i Anglię – kazałem czekać z tym do jutra. Przeprasilem, że nie będę miał czasu wstąpić dziś do niej i złożyć życzenia osobiście. Umówiliśmy się, że przyjdzie do nas na obiad pojutrze – w niedzielę. W chwili, gdy skończyliśmy tę rozmowę – odezwała się syrena. Znowu nalot. Zatrąkotały jednocześnie gdzieś karabiny maszynowe, odezwały się armaty. Bronka przypomniała o apelu, by w razie alarmu nie nadużywać telefonu. Zdążyła jednak powiedzieć jeszcze – kończąc pospiesznie rozmowę – że z okien swego mieszkania na Pradze widzi zbliżającą się szybko chmurę bombowców – około 30, lecą dość szybko.

Stałem w oknie, obserwując ulicę. Nie było tu nigdy ani gwaru, ani rojnie. Nieliczni przechodnie – spiesząc – znikali w bramach, w oknach jednak, w bramach, na balkonach ludzie tkwili grupkami, patrząc w górę, pokazując coś palcami. Bombowce musiały już prze-

---

<sup>67</sup> Wiersz ten został opublikowany w „Gazecie Polskiej” nr 241 (30 VII 1939) oraz zamieszczony w dniu wybuchu wojny w trzech pismach: „Goniec Warszawski” nr 243 (1 IX 1939), s. 1; „Nowy Kurier” (Poznań), nr 201 (1 IX 1939); „Polska Zbrojna” nr 242A (1 IX 1939). Później także w: „Polska Walcząca” nr 1 (29 XI 1939), s. 2.

<sup>68</sup> Bronisława z d. Pobóg-Malinowska Katarzyńska (1892-1943), starsza siostra Władysława Pobóg-Malinowskiego.



lecieć – huk motorów, w pewnej chwili b[ardzo] silny – ustał. Nie słyszałem też wybuchu bomb. Trajkotały jednak bez przerwy karabiny maszynowe, często odzywały się z bliska działa przeciwlotnicze. Na Marysi, kt[óra] stała przy mnie, robiło to wielkie wrażenie – za każdym strzałem armatnim doznawała wstrząsu. Mnie ośladnęły wspomnienia z frontu z r[oku] 1920 – odezwał się żal, że niestety nie mogę zmienić marynarki na mundur.

Odwołania alarmu jeszcze nie było – ale nie słysząc ani huku motorów, ani strzałów naszej obrony – podszedłem do telefonu i zadzwoniłem do Irki. Czy minęło szczęśliwie? Tak. Dzięki Bogu. Córa trzymała się w ogóle dzielnie. Wróciłem więc do sprawy przeniesienia jej z gimn[azjum] krakowskiego do Wołowskiej w Warszawie<sup>69</sup>. Owszem – w południe była z matką u dyrektorki i umówiła się, że jeśli nic nie przeszkodzi – to ja przyjdę z nią omówić to między g[odziną] 5-tą a 6-tą [po południu]. Zbliżała się 5-ta właśnie. Miałem jeszcze godzinę czasu. Marysia wahała się co robić – zostać w domu, czy iść do matki<sup>70</sup>. Nie chciała by być sama w możliwym wypadku ponownego nalotu. Wyraziłem przypuszczenie, że jeśli nalot będzie – to chyba nie wcześniej, jak za parę godzin. Może więc spokojnie, nie spiesząc się iść do matki – jeśli w domu nie zatrzymuje jej nic specjalnego. Nic – ale umówiła się z kimś, bodaj z krawcową. No, to czekaj spokojnie godzinę. Wychodząc – w klatce schodowej przy swoich drzwiach ujrzałem mieszkające obok małżeństwo Ksaw[erów] Zaleskich<sup>71</sup> (brat min[istra] Augusta<sup>72</sup>) – z tego, co usłyszałem wynikało, że on musiał iść do biura, a ona pod wrażeniem nalotu jakoś nie bardzo chciała zostać sama. Zaprosiłem więc ją do siebie, mówiąc, że i mojej żonie będzie z nią rażniej.

Jadąc taksówką – z początku do Irki na [ul.] Koszykową, potem od Irki do Ministerstwa – obserwowałem Nowy Świat, aleje Ujazdowskie,

<sup>69</sup> Właśc.: Prywatne Gimnazjum i Liceum im. Zofii Wołowskiej w Warszawie.

<sup>70</sup> Janina Staniszevska – matka Marii, teściowa Władysława Pobóg-Malinowskiego.

<sup>71</sup> Ksawery Zaleski (1891 lub 1892-1947), radca poselstwa (ambasady) w Tokio 1 X 1937 (1 I 1938); Zofia z d. Makomaska Zaleska (ur. 1900), żona Ksawerego.

<sup>72</sup> August Zaleski (1883-1972), minister spraw zagranicznych 15 V 1926-XI 1932; IX 1939-VII 1943, zrezygnował z urzędu po zawarciu układu Sikorski-Majski (22 VIII 1941). Późniejszy Prezydent RP na uchodźstwie (1947-1972).

Mokotowską, Bracką, Szpitalną, plac Napoleona i Małachowskiego, Królewską, plac Marszałka. Ruch wszędzie wzmożony – w tramwajach i autobusach tłok niewiarygodny, ale humory wyśmienite – w sklepach pełno, niekończące się strumienie ludzi po obu stronach jezdni. Spieszą się – ale na twarzach pogoda. Przy skrzyżowaniu Brackiej i Jerozolimskiej musieliśmy dłużej stać – przechodził w kierunku mostu ks[ięcia] Józefa [Poniatowskiego] większy oddział wojska – parę batalionów – wśród żołnierzy dużo starszych, 30-to parolet[nich], z wąsami, ubranie i buty nowe, wprost z magazynów, karabiny umajone. Szli bez śpiewu, ale wesoło. Widok ten wywołuje oklaski, okrzyki entuzjazmu: niech żyje armia. Jakaś pani rzuca kwiaty, sypią się ze wszystkich stron papierosy, ktoś wypada z narożnej cukierni z paczkami ciast i słodczy. Żołnierze chwytają w locie, dziękują roześmianą twarzą. Na pl[acu] Małachowskiego młodzież i starsi z łopatami pracują wśród radosnego gwaru nad wykończeniem rowów w ogródku przy pomniku peowiaka.

U Irki – dobrze. Dziewczyna trzyma się dzielnie. Pełna ufności. Żałuje, że młody wiek nie pozwala jej wziąć udziału w poważniejszej pracy. [Wyraz nieczytelny] – poczekaj, podrośniesz, spadnie i na ciebie ciężar, bo wojna potrwa ze 2-3 lata jeśli nie dłużej. Zwierzyła mi się z zamiaru zbierania i przechowywania gazet – to „takie historyczne chwile”. Zachęciłem, ciesząc się z przejawu niewątpliwego dziedzictwa po mnie. Ze Stefanem Ostrowskim i z Irką mówiłem poza tym głównie na temat wystąpienia Francji i W[ielkiej] Brytanii. Niecierpliwiła ich i nawet niepokoiła trochę ta zwłoka. O plotce, co do Gdańska oczywiście wiedzieli już, dodając, że ułani nasi wdarli się głęboko do Prus [Wschodnich]. Do Wołowskiej z Irką nie poszedłem, bo w międzyczasie był telefon z prośbą, by odłożyć to do jutra.

Do biura wróciłem parę minut po 6-ej. Zostałem już – obok wszystkich swoich współpracowników – kilkanaście świeżo przydzielonych mężczyzn i kobiet. Zgromadziłem wszystkich – z godzinę może klarowałem im, dlaczego zostali przydzieleni i co mają robić. Podzieliłem ich na kilka personalnych grup i każdą z tych grup oddałem pod opiekę innego ze swych współpracowników. Wyzaczyłem, które z nich pracować mają w pierwszej, a które w drugiej zmianie. Przy czym – nie chcąc nikogo krzywdzić ani obciążać nadmiernie ustaliłem, że

każda z tych zmian przychodzić będzie do pracy jednego dnia rano, drugiego zaś – po południu. Po tym wykładzie przyglądałem się czas jakiś pracy wszystkich w magazynie archiwum. Gdzieś przed 8-mą siadłem z H[eleną] Krzyczkowską<sup>73</sup> do pracy nad kolejnym zeszytem *Encyklopedii...*, który – po ostatniej już korekcie wysłać zamierzałem jutro – wraz z fotografiami – do drukarni w Krakowie.

Około 9-ej zatelefonowała Marysia, przypominając o kolacji. Niestety – nie mogę wrócić wcześniej jak o północy, bo nie wypada mi pierwszego dnia opuszczać biura, gdy pozostać w nim musi gromada zaprzęgniętych do pracy ludzi. Ale Marysia czuła się źle – ze służącą tylko – zaproponowała więc, że może byśmy spędzili noc u matki – ja będę miał bliżej z biura, ona nie będzie sama. Żąda jednak, bym wpadł choć na kwadrans na Tamkę i po kolacji odprowadził Marysię na [ul.] Jasną, bo sama się boi. No, na to mogę sobie pozwolić. Taksówką pojechałem do siebie. Na ulicach zaciemnionych ruchu już nie było prawie żadnego – kursowały pełne tramwaje i autobusy, ale na chodnikach prawie nikogo. W domu kolację jedliśmy po ciemku – w nikłym świetle aparatu radiowego (bo nie mieliśmy czym zasłaniać okien). W radio usłyszałem pierwszy komunikat Sztabu – mówił o odpartych atakach, o strąconych samolotach, zniszczonych czołgach. Z komunikatu – b[ardzo] ogólnikowego – wiało spokojem i optymizmem. Wzruszały głęboko słowa: Naczelnny Wódz pozdrawia dzielną i bohaterską załogę Westerplatte. Ponownie – szarpnął się w głębi żal, że nie mogę być w wojsku – i jakby zazdrość w stosunku do tych, co byli już w polu.

Po kolacji – po herbacie z jakimś zimnym mięsem – poszliśmy z Marysią na Jasną, zostawiając w domu służącą. Na ulicach pusto – nigdzie ani taksówki, ani dorożki. Ciemno – lampy łukowe pogaszone, z okien tu i ówdzie nieszczelnie zasłoniętych promyki światła. Księżyc. Ciepło i cicho, jak w noc lipcową. Do mieszkania matki nie wchodziłem, pożegnałem się z Marysią w bramie z tym, że o północy wrócę.

W biurze wróciłem do pracy nad zeszytem *Encyklopedii...* Ale odrywano mnie co chwilę – bo ciągle ktoś wlaził z wątpliwościami i pytaniami. Humory urzędników dobre, nastrój świetny. W pracy dużo szczerzej ochoty. O północy rozeszliśmy się wszyscy. W domu nie

<sup>73</sup> Helena Krzyczkowska (ur. 1897), podreferent w Referacie Archiwalnym (1 V 1935-IX 1939).

spali – czekali na mnie. Matka z jakimś befsztykiem i szklanką mocnej herbaty. Gawędziliśmy długo. Potem, gdy zostałem sam z Marysią, powiedziałem jej o swym zamiarze pójścia do wojska – te strzały armatnie w czasie popołud[niowego] nalotu, słowa komunikatu – zwłaszcza o Westerplatte – odbiły się w duszy poczuciem obowiązku. Przecież przez 12 lat byłem oficerem zawodowym nie po to, by teraz sterczeć w biurze. Zapowiedziałem, że w pierwszej rozmowie z Se-  
werem i Drymmerem wrócę do tej – poruszanej już z nimi – sprawy; bardzo chcę ich przekonać – muszą się zgodzić, muszą mnie zwolnić, jeśli nie zaraz, to po jakimś czasie. Marysia oczywiście słuchała tego bez entuzjazmu. Idź, jeśli uważasz to za swój większy obowiązek, ale czy z twoim sercem przyjmą cię? Domyślałem się, że w tej myśli o sercu jest dla Marysi trochę nadziei – nie chciałem jej przekonywać, wołałem stopniowo ją z tym oswoić. Zасыpiając jednak mówiłem nie do Marysi, lecz do siebie, że jeśli nie będę żądał, nikt zapewne zbyt szczegółowo badać mnie nie zechce, zresztą – mam jakieś znajomości i stosunki, więc zawsze i nawet łatwo zdołam usunąć te „sercowe” przeszkody.

Nazajutrz – 2 IX – trochę przed 8-mą byłem już w ministerstwie. Te same sprawy – wątpliwości moich urzędników z archiwum, wysyłanie akt do Jeziornej – już trzema autami, korespondencja w sprawach bieżących, głównie redakcyjnych, zeszyt *Encyklopedii*.... Wszystko to przerywane parę razy przez syrenę – i wycieczki nasze do schronu. Nastrój – ogólnie rzecz biorąc – równie dobry, jak wczoraj. Mówiono najwięcej oczywiście o wczorajszych nalotach niemieckich. Prasa poranna informowała o tym raczej skąpo, mniej było w niej szczegółów, więcej oburzenia na Niemców z powodu barbarzyńskich ataków z powietrza na punkty, nie mające nic wspólnego ani z wojskiem, ani z obroną. Koledzy w schronie uzupełniali prasę – jedni, powołując się na zupełnie „pewne”, czy b[ardzo] „poważne” źródła, inni – na słowa przybyłych z prowincji rodzin, przyjaciół, znajomych. Wyłaniał się z tego obraz niepokojący – bombowce niemieckie sięgnęły daleko w głąb kraju, siejąc zniszczenie i śmierć. Byli tu..., tam..., gdzie indziej... (uzupełnić w[edłu]g wykazu w polskiej „Czarnej Księdze”). Wymieniano wiele miast – a czy cicho, – bez ofiar – obeszło się w innych, nie wymienionych? Czy to co się słyszy, tworzy już całość obrazu,

czy tylko jego część...? Oburzenie na Niemców za obsypanie kulami pociągu ewakuacyjnego pod Kutnem. Opowiadania tych, którzy byli na zbombardowanych przedmieściach Warszawy (uzupełnić z „Czarnej Księgi”). Szczegóły o bombach obok willi ambasadora St[anów] Zjedn[oczonych]<sup>74</sup> – podobno przybiegł wczoraj do MSZ nie dogolony, bo bomby przerwały mu ten zabieg. Trochę żartów z tego powodu, trochę nadziei, że oberwą za to Niemcy od Ameryki. Przypuszczenia nieokreślone, co do rewanżu z naszej strony – na Rzeszę chyba sypią się bomby polskie – powinniśmy odpłacać im tak samo, nie ograniczać się tylko do obiektów wojskowych. Do Niemców taki argument przemówi dobitniej, niż nota Stanów Zjednoczonych. Drugi temat – co z wystąpieniem Fr[ancji] i W[ielkiej] Brytanii. Triumfowali ci, którzy kazali czekać do dziś. Dziś na pewno. Wątpliwości nie było, przejawiało się jednak zniecierpliwienie. Dlaczego u licha zwlekają? Ktoś napomknął o jakiejś interwencji Włoch<sup>75</sup> i o życzliwym stanowisku Fr[ancji] wobec tego włoskiego projektu. Ale nikt nic pewnego powiedzieć w tej sprawie nie mógł. Co do przebiegu walk – oczywiście Westerplatte na ustach wszystkich. Walki ponoć toczą się zażarte, Niemcy zaskoczeni zaciekłością naszego oporu. Tu i ówdzie nasi wdarli się na terytorium Rzeszy. Ktoś przypomina sobie, że Hitler gdzieś, komuś, kiedyś miał powiedzieć, że w okresie rozbiorów RP wkraczające wojsko pruskie straciło tylko 7-miu żołnierzy, bo szlachta polska nie chciała walczyć, i że liczył się (Hitler), że próba zagarnięcia Korytarza będzie kosztowała co najmniej pół miliona żołnierza – że więc nie warto; miał to Hitler komuś powiedzieć w początkowym okresie paktu o nieagresji<sup>76</sup>. Teraz – mówiono w schronie dookoła – widać, że miał rację. O Gdańsku – wersje sprzeczne. Komunikat Sztabu [Głównego] nic o tym nie mówił – ale plotka utrzymywała się w [niezmienionej?] formie. Siewcą gorliwym optymizmu i entuzjazmu był konsul Ripa<sup>77</sup>. Kiedyś

<sup>74</sup> Anthony Drexel-Biddle młodszy (1896-1961), ambasador w Polsce 1937-1943. Bomby spadły nieopodal willi ambasadora w Konstancinie.

<sup>75</sup> Benito Mussolini proponował zwołanie na 5 IX 1939 konferencji, na wzór Monachium z 1938, z udziałem czterech mocarstw i Polski, celem rozwiązania sporu na drodze pokojowej.

<sup>76</sup> Mowa o: polsko-niemieckiej deklaracji z 26 I 1934 o niestosowaniu przemocy.

<sup>77</sup> Karol Ripa (ur. 1895), konsul i kierownik konsulatu w Morawskiej Ostrawie

– po odwołaniu z Morawskiej Ostrawy – w r[oku] 1934 – w związku z Wystawą Światopoli<sup>78</sup> stykał się ze mną, bo i ja coś na tej wystawie robiłem, nie było zresztą wolnego pokoju w MSZ, więc Ripa korzystał z małego pokoiku u mnie – obok mego gabinetu. Potem wyjechał do Ameryki – do Pittsburga zdaje się – ale mój urzędnik Bombas<sup>79</sup>, pracujący kiedyś u Ripy w Mor[awskiej] Ostr[awie] – załatwiał dla niego różne polecenia, głównie z wykańczaniem budowy willi i jej wynajmem. Z tego wszystkiego – moje stosunki z Ripą [były] nieco bliższe, niż z inn[y]mi konsułami. Wrócił z Ameryki niedawno – przypiął się do mnie w schronie. Żonę i rodzinę wysłał już na Polesie, gdzieś pod Pińsk, bo tam będzie cicho i bezpiecznie. To on głównie nie rezygnował w sprawie Gdańska – wczoraj upierał się, że został przez nas zdobyty. Dziś – wobec komunikatu Sztabu – powoływał się na „pewne źródło” – Gdańsk zdobyliśmy, ale musieliśmy oddać – za to lotnictwo nasze i artyleria grzmoci miasto tak, że nie cichnie, ale całe dzielnice leżą [w] gruzach. W słowach Ripy i reakcjach słuchaczy było dużo satysfakcji. Za drugim spotkaniem w schronie Ripa, trzymając się uparcie swej plotki o Gdańsku – rozsiewał wiadomość, że pierwsza partia wziętych wczoraj do niewoli Niemców – coś około 800 – przybyła już do W[arszawy] i że dziś między 2-gą a 4-tą [po południu] – będą tych jeńców prowadzili przez główne ulice, aby ludność stolicy widziała na własne oczy, jak wygląda nasz pierwszy – drobny – sukces. Opowiadał to barwnie, z mnóstwem szczegółów – ustalał dokładnie trasę przemarszu. Uległem – i w rozmowie telefon[icznej] z Irką namawiałem ją, by o tej porze wyszła na Marszałk[owską] czy Ujazdowską. Zresztą – to, co Ripa mówił – było b[ardzo] prawdopodobne, więc dlaczegóż miałbym nie wierzyć? Okazało się jednak, że i to plotka, bo nikt tych jeńców w W[arszawie] nie widział.

W przerwie między dwoma nalotami Sewer zapowiedział swą wi-

---

(1 V 1926-31 I 1934), w Centrali (1 II 1934-1 II 1935), konsul generalny i kierownik konsulatu w Pittsburgu (1 II 1935-1939), pracownik Centrali MSZ, konsul generalny w Chicago (IX 1939-IX 1944).

<sup>78</sup> Światowy Związek Polaków z Zagranicy utworzony został latem 1934 r. Jego prezesem do wybuchu drugiej wojny światowej był Władysław Raczkiewicz.

<sup>79</sup> Marian Bombas (ur. 1887), podreferent w Referacie Archiwalnym (1 I 1935-IX 1939).

zytę. W pięć minut potem zjawił się osobiście. Po krótkiej rozmowie ze mną – przeszedł do magazynów, przemawiał krótko do urzędników, oglądał dość dokładnie wszystkie piętra, pobieżnie tylko rzucił okiem na stosy worków w podziemnym korytarzu (z archiwum do suterrenowych pokoi Wydziału Gospodarczego) – worków z aktami ostatnio nadesłan[ymi] z różnych placówek. Po obejrzeniu wszystkiego – zaprosił mnie do siebie. Pierwsze jego pytanie – jeszcze na dziedzińcu – ile czasu wymaga załadowanie i wywiezienie wszystkiego? Zaniepokoiło mnie to. Czy stało się coś na froncie? Nie, nic się nie stało, tylko trzeba się zorientować. Przecież sprawa ewakuacji wisi od lipca, kiedy wojny jeszcze nie było. Powtórzył swe pytanie. Tak trudno mi odpowiedzieć. Jeśli całe archiwum przesieję i wyczyszczę, jak robię to teraz z Depart[amentem] Administrac[yjnym] – to zredukuję je do połowy przynajmniej, więc i transport byłby o połowę mniejszy, ale na to trzeba czasu – pół roku, może więcej – i to z tym powiększonym zespołem pracowników. A jeśli tylko ładować i wywozić tak, jak jest – to może tydzień, bo oprócz czterech pięter akt jest jeszcze biblioteka – 25.000 tomów. I pakować jeszcze nie mam w co, bo skrzynie stolarz ma zrobić dopiero, a tych 70, co mam, starczy może na resztki wyczyszczonego Depart[amentu] Administrac[yjnego]. Sewer po wysłuchaniu mnie prosił pracować jak dotąd – z możliwie największą wydajnością, ale bez szkodliwego pośpiechu, bez zmian w dotychczasowym planie. Jeśli zajdzie konieczność ewakuacji – zawiadomi mnie tak, abym miał czasu jak najwięcej. Ale na razie wszystko ma zostać jak dotąd. Będzie pamiętał o mojej sytuacji i bez przypominania z mojej strony wyda na czas odpowiednie polecenia, gdyby do ewakuacji doszło. Skorzystałem oczywiście z tej rozmowy, by poruszyć sprawę mego powrotu do wojska. Dziwne! – bo usłyszałem w odpowiedzi prawie to samo, co sam wczoraj mówiłem do Irki: niech pan poczeka, wojna nie skończy się za tydzień, ani za miesiąc. On – Sewer – też był oficerem zawod[owym] i też z radością wdziałby na siebie mundur, ale nie mogą przecież wszyscy iść do wojska – i w ministerstwie musi ktoś pracować. Może z czasem pójdziemy razem, na razie jednak nie ma o tym mowy. Oczywiście i dziś – jak zawsze – zakończyliśmy swą [roz]mowę przeglądem sytuacji. Sewer czasu dużo nie miał – musiał być niedługo u ministra, zresztą przeszkadzały co chwilę telefony.

O sytuacji na froncie ogólnikowo, że podobno dobra, ale o Gdańsku – że ta wczorajsza wiadomość – to jakaś wyolbrzymiona bujda. Położenie nasze w tej chwili jest raczej ciężkie – dobrze, jeśli zdołamy napór niemiecki powstrzymać, o tym, byśmy mogli wdrzeć się gdzieś na terytorium Rzeszy – wątpił. Wskazał na mapę:

Niech pan patrzy: z takimi granicami? Jesteśmy zresztą w wojnie nie tylko z Niemcami, ale i ze Słowacją. Oczywiście – armia słowacka to głupi drobiazg ale chodzi o przedłużenie długości frontu o długość całej granicy słowac[kiej]. Niemcy nie tylko uderzają z południa, ale i Słowaków do walki z nami zmuszali. Możemy i chyba będziemy [się] cofać – może do Wisły, ale to nie będzie klęską – odbijemy z czasem. Musimy się trzymać i przetrwać do czasu, aż alianci nasi uderzą na zachodzie. Francja? Cóż – zwyczajem swoim zwleka i może rada by się z wojny wykręcić, pod jakimś dyplomatycznym pretekstem. Przyszły już wiadomości o interwencji dyplomatycznej Włochów, którzy proponują zwołanie na 5 IX [1939] konferencji dla zbadania tych klauzuli traktatu wersal[skiego], które wywołały dziś sytuację. Rezultat – kosztem Polski ustąpić Hitlerowi, a przy tym [załatwić] i inne sprawy. Francuzi uczepili się tego oburącz – uznają to za celowe, proponują, by w konferencji tej wzięła udział i Polska (porównać z polską, franc[uską] i ang[ielską] księgą). Oczywiście – nic z tego nie wyjdzie, ale świadczy o tym, że Francja chce się wykręcić, że dużo by dała, by wojny nie zaczynać. Nie uda jej się to, chciała by może sprzeniewierzyć się jak w wypadku Czech – Anglicy nie dopuszczą. Dobrze już i to, że Fr[ancja] – wczoraj już – zarządziła powszechną mobilizację, oznaczając 2 IX jako jej pierwszy dzień. Ma to duże znaczenie, bo zawarte na wiosnę umowy przewidują generalną ofensywę na zachodzie w 15-tym dniu mobilizacji, a więc na 17 IX<sup>80</sup>. Chodzi o to, żebyśmy mogli wytrwać do tego czasu.

---

<sup>80</sup> Gdy jednak 12 IX 1939 r. gen. S. Burhardt-Bukacki złożył gen. M. G. Game-linowi notę, w której Polska domagała się wszczęcia działań na froncie zachodnim, a J. Beck wystosował notę do ambasadorów RP w Londynie i w Paryżu w podobnym brzmieniu, w Abbeville spotkali się premierzy i dowódcy wojskowi Francji i Wielkiej Brytanii. Zdecydowali oni o zaprzestaniu wszelkich działań zmierzających do odciążenia walczącej Polski. Stwierdzono, że jej los zależeć będzie od dalszego przebiegu wojny.



O Anglikach mówił Sewer z uznaniem – wprawdzie bez szczegółów, ale z przekonaniem, że jeśli dotąd nie wystąpili to dlatego chyba, że mają sporo kłopotu z Francuzami, bo ci zwlekają, a Anglicy chcieliby rozpocząć jednocześnie. Może wreszcie dziś zachód wystąpi. Pokazał szereg fotografii – m.in. i tę, gdzie wśród ruin policjant trzyma na kolanach małego chłopca. Zaraz obejść ma to zagranicę – jako materiał propagandowy (porównać z „Czarną Księgą”). Wymieniliśmy garść myśli i uczuć z powodu tego barbarzyństwa. Zapytałem – czy nie możemy odpowiedzieć tym samym, bo to tylko powstrzyma Niemców przed dalszym bestialstwem. Sewer na to: niewątpliwie odpowiemy, ale nie zaraz. Trzeba przede wszystkim zgromadzić dowody, że to Niemcy zaczęli, trzeba to światu pokazać. Idą więc zagranicę te wszystkie fotografie..., idą raporty o nieludzkim bombardowaniu i tego pociągu pod Kutnem, i willi ambasadora ameryk[kańskiego], i wsi, i miasteczek. Odpowiemy tym samym oczywiście – my Polacy, w mniejszej skali, bo lotnictwo mamy szczupłe, ale nasi alianci podziękują i zrewanżują się za nas. A co do samych nalotów – to sprawa jasna. Niemcy chcą nie tylko zniszczyć nasze lotnictwo, ale zdeorganizować całe nasze życie, uniemożliwić przede wszystkim mobilizację – burzą dworce, rozbijają tory i mosty – dezorganizują ruch, by wytworzyć zatory, sparaliżować ruch w ogóle i całkowicie – a i wśród ludności siać panikę. Jak się ludność zachowuje – chyba dobrze, widzimy to na przykładzie Warszawy, gdzie bombardowanie [niekie] wywołują tylko zaciętość, ale demoralizacji nie ma. Co do obrony przeciwlotniczej – to w Warszawie – jak widzimy działa sprawnie i jest jej chyba dość. Wczoraj podobno kilka aparatów niemieckich zestrzelono, ale jak jest [w] głębi kraju? W większych miastach chyba tak samo, jak w Warszawie, ale nie sposób przecież wyposażyć tak wszystkie dworce, mosty, miasteczka, wsie.... Ale i Niemcy chyba nie będą bombardowali każdej dziury – bo pociąga to koszta i straty, a co w rezultacie da?

Ogólne wrażenie z tej rozmowy wyrażało się w przychylnym ufności. Mobilizacja franc[uska] była dowodem, że nie będziemy walczyć, a że chwilowo tu i ówdzie sukcesów nie odniesiemy, jeśli cofniemy się nawet – to nie ma to większego znaczenia. Szkoda zbombardowanych miast – straty materialne i ofiary w ludziach muszą być znaczne,

no – ale to jest wojna – i od dawna mówiliśmy, że walczyć i umierać będzie nie tylko żołnierz na froncie.

Z tymi myślami i uczuciami wracając do siebie spotkałem, w hallu przy pomniku Komendanta, Zbyszka Jakubskiego<sup>81</sup>. „Dziennik Pol[ski]” z Londynu nr 51 z 9 IX [19]40 powołując się na „Czechosłowaka”, kt[ó]ry żałuje („Czechosłowak” żałuje), że rozporządzenie o utworzeniu „Legionu Czeskiego”<sup>82</sup> w Polsce wyszło dopiero w przededniu wojny. „Szkoda, że do tego wskrzeszenia ducha grunwaldz[kiego](!!) doszło tak późno, kiedy już nic nie można było zrobić”. Trzeba było ewakuować krakowski obóz czeskośl[owacki] na walizkach. Część oddziałów nie dotarła do Rum[unii] – została na kresach okupow[ana] przez Sowiety. W tymże „Dzien[niku] Polskim” przemówienie posła Sławika<sup>83</sup>, że warunki polit[yczne] w Polsce w ciężkich chwilach dyplom[atycznej] walki nie pozwalały utworzyć Legionu przed wojną. Ale Polska ułatwiła przejście przez granicę, pozwoliła gromadzić się w Krakowie i przeniknąć na okrętach pols[kich] do Fr[ancji]. Czesi z Wołynia też szli do tego Legionu. Sławik mówił, że we wrześniu „czeska krew spłynęła w obronie ziemi pols[kiej]”. Ale gdzie. Zbyszek sam był skromnym referentem Zarychty<sup>84</sup>, ale teraz jako b[yły] wicekonsul w Bratysławie i spec od zagadnień czeskich – otrzymał samodzielne zadanie. Szedł z plikiem papierów i pokazując mi je mówił, że właśnie w MSZ kieruje sprawami legionu czeskiego, kt[ó]rego utworzenie w Polsce zapowiadała prasa dzisiejsza. Nie mógł powiedzieć jeszcze nic konkretnego, bo emigracyjny generał czeski<sup>85</sup> nie bardzo jeszcze wie, jak wielki będzie ten legion. Oczywiście – hasło nie tyle braterstwa słowiańskiego, co walki z wspól[nym], odwiecznym wrogiem. Mówił mi też o „biednej” i „bezzradnej” Słowacji – zmusili ją

---

<sup>81</sup> Zbigniew Jakubski (ur. 1905), attaché konsularny i wicekonsul w Bratysławie 1 IX 1933 (1 VIII 1935)-28 II 1937, ponownie w Centrali, m.in. kierownik Referatu w Departamencie Konsularnym (24 XI 1937-1939).

<sup>82</sup> Dnia 3 IX 1939 na mocy umowy między gen. L. Prchalą a prezydentem I. Mościckim powołano „Legion Czeski i Słowacki” jako ochotniczą formację zbrojną.

<sup>83</sup> Właśc.: Juraj Slavik (1890-1969), poseł w Warszawie (1936-1939).

<sup>84</sup> Apoloniusz Zarychta (1899-1972), z-ca i naczelnik Wydziału Polityki Emigracyjnej Departamentu Konsularnego 12 IV (1 VII) 1932-1939.

<sup>85</sup> Lev Prchala (1892-1965), gen. czeski, po upadku Czechosłowacji w III 1939 przedostał się do Polski, gdzie dowodził „Legionem Czeskim”.

do walki z nami, ale on był tam – on wie, jak Słowacy myślą i czują. Poseł słowacki w W[arszaw]ie<sup>86</sup> ma rację. Pomówiliśmy trochę o liście posła – oryginał pokazywał mi przed chwilą Sewer, facsimile jego widziałem dziś w prasie. Poseł pisał do Becka, że Słowacja działa pod naciskiem siły fizycznej i że prawdziwe uczucia narodu słowac[kiego] są po stronie pol[skiej]. (sprawdzić w pol[skiej] „Białej Księdze”. Poseł w dopisku upoważniał Becka do ogłoszenia tego listu w razie potrzeby, a Sewer DNB<sup>87</sup> na pierwszą wyjaśnił, że skorzystano z tego upoważnienia, bo wiadomość o wystąpieniu posła usiłowało zarzucić nam [jako] falsyfikat<sup>88</sup>.

Dnia tego była sobota, więc wcześniej nieco – trochę przed 2-gą chyba – udałem [się] do domu na obiad. Na ulicach ruch jeszcze bardziej wzmożony niż wczoraj – tłumy na chodnikach, [wyraz nieczytelny] niekończących się dudniących aut na jezdni, coraz więcej dorożek, bo porekwirowano już i taksówki. „Sałaciarze” z triumfującą miną wracali do swych dawnych praw. W tramwajach i autobusach tłok, w sklepach tłumy – bo wszyscy robią zapasy, do czego wzywała zresztą prasa. Nastrój ulicy świetny. Na twarzach przechodniów nie widać podniecenia czy zdenerwowania – raczej pogoda, często słysząc beztronski śmiech. Na murach coraz więcej afiszów – orędzie Prezydenta, plakaty m.in.: „Silni, Zwarci, Gotowi – zwyciężymy” (jak w „Czarnej Księdze”).

Szedłem z p[anią] H[eleną] Krzyczkowską. Gdzieś na [ul.] Mazowieckiej – w pobliżu [Świętokrzyskiej?] – zaskoczył nas alarm. Ludzie posłusznie na ogół znikali z ulicy, chowając się do bram – niektórzy tylko przyspieszonym krokiem szli dalej. Widocznie dom czy cel był blisko. Weszliśmy i my do jakiejś bramy, a potem – wobec przeciągania się nalotu – do klatki schodowej, gdzie usiedliśmy na schodach. P[ani] Krzycz[kowska] [mówiła] coś o instynkcie, kt[óry] każe szukać dachu

<sup>86</sup> Ladislav Szathmáry (1895-1946), poseł słowacki w Warszawie (30 VI-IX 1939). O wystąpieniu posła słowackiego zob.: E. Orlof, *Dyplomacja polska wobec sprawy słowackiej 1938-1939*, Kraków 1980, s. 198-200.

<sup>87</sup> Właśc.: Deutsches Nachrichtenbüro (Niemieckie Biuro Informacyjne) – niemiecka agencja prasowa, oficjalnie rozpoczęła działalność 11 I 1934 po zlikwidowaniu Agencji Wolffa.

<sup>88</sup> Dokument (oryginał w j. polskim) został ogłoszony w „Expressie Porannym”, nr 244 (4 IX 1939).

nad głową – choć to tylko złudzenie, bo dach szklany. Cicho, by nikt nie słyszał, mówiłem o bezcelowości takiego chowania się – bomba, jeśli spadnie rozszarpie tu wszystkich – chyba trochę osłony przed kulami. Przygodni towarzysze zastanawiali się, gdzie i co bombardują. Różne domysły. Wybuchu bomb nie słyszeliśmy. Trajkotały jednak żywo karabiny maszynowe, odzywały się dość często działa. Kobiety za każdym wystrzałem żegnały się – w drzeniu ktoś wzdychał – szeptał coś wargami, chyba się modlił. Ale nastrój dobry – nikt nie narzeka, raczej zaciętość i pragnienie, by to bezkarnie nie uszło. Z satysfakcją mówił ktoś – i z satysfakcją słuchali inni – jak to wczoraj gdzieś pod Wilanowem spadł ugodzony niem[iecki] bombowiec.

W domu – na Tamce – tylko parę kwadransów, tyle co na obiad, bo Marysia miała zamówioną wizytę u laryngologa na [ul.] Wiejskiej. Odprowadziłem ją – bo w autobusach tłok, a taksówek nie było. Na Wiejskiej pożegnałem się – sam poszedłem do Irki. Gdy byłem na skrzyżowaniu [alei] Ujazdow[skich] i Koszykowej – alarm znowu. O „do diabła” – stanowczo za często! Ale przecież to wojna. Do Irki miałem blisko – więc przyspieszyłem kroku i po chwili byłem już w bramie. Siedziałem na olbrzymim tarasie. Radio wysyłało swe kryptogramy i „uwaga-uwaga” – po uprzed[nim] ogłoszeniu alarmu dla Warszawy. Mówiliśmy o szkole Wołowskiej – załatwiono pomyślnie, iść nie potrzebuję. Irka w związku z tym przeniesieniem do warsz[awskiej] szkoły [ma] różne projekty. Sprawa mieszkania i sprowadzenia mebli z Krakowa. Byłem zdania, że trzeba kilka dni poczekać, aż się sytuacja wyjaśni. Poza tym – ze Stefanem głównie – o polityce. Znowu ten sam drażniący raczej, niż niepokojący temat – co z Fr[ancją] i W[ielką] Br[ytanią]. Dlaczego dotąd nie wystąpiły. Powiedziałem w skrócie, co wiedziałem od Sewera, przyznając, że do wieczora chyba wojnę Niemcom wypowiedzą. Poza tym pytania, co do prawdziwości różnych – optymistycznych tylko – plotek. Pogodne raczej przewidywania co do rozwoju wypadków. W trakcie rozmowy Irka zwróciła uwagę na toczącą się w powietrzu walkę. Jakiś polski samolot atakował Niemca. Trwało to krótką chwilę – zginęli gdzieś za zielenią Ogrodu Botanicz[nego] i Łazienek. Ale widać było, jak Niemiec zmyka. Radość i podniecenie nasze z tego powodu. Cóż – lotnictwo nasze szczupłe, ale odwaga nadrobi różnicę. Któżby chciał o tym wątpić?

Od Irki poszedłem znów do swego biura. Wczoraj nie zdążyłem, więc dziś chciałem koniecznie wykończyć zeszyt *Encyklopedii*.... Ale przerywały różne telefony i urzędnicy ze swoimi wątpliwościami. Biblioteka też upominała się o swe prawa. Poszedłem tam – urzędniczkom Loli Briesemeister i N[eli] Micińskiej<sup>89</sup> poleciłem pracować, jak dotąd – tylko w chwilach wolniejszych powybierać z półek w odrębny zespół cenniejsze wydawnictwa – stare druki i białe kruki. Około 7-ej telefon od p[ani] Beckowej<sup>90</sup> z pytaniem o Marysię – z pytaniem, gdzie jest, bo w domu telefon nie odpowiada. Ministrowa prosiła do siebie na kilka słów. Odszukałem Marysię u matki, a gdy przyszła – razem z nią [udaliśmy się] do Beckowej. Ministrowa chcąc przyjść z pomocą przepracowanym urzędnikom, organizowała z żon niepracujących zespół, który wzięłby na siebie dyżury przy telefonach, głównie dla cudzoziemców. Wobec zgody Marysi, ustalono, że pierwszy dyżur dla niej wypadnie na poniedziałek trochę przed i trochę po południu – coś zdaje się od 11-ej do 2-ej. Gdy opuszczałem mieszkanie ministra – chyba około godziny 8-ej znowu alarm. Więc do schronu z Marysią. Było tu już pełno. W urzędniczym tłumie – kilku obcych dyplomatów z nuncjuszem papieskim<sup>91</sup> – jest on jakby przerażony, udziału w rozmowie nie bierze, pogrążony w swej myśli – bezdźwięcznie rusza wargami – widocznie się modli. Wśród kolegów nie dostrzegłem siewcy plotek optymist[ycznych] – Ripy. Było tłoczno i duszno – mimo wentylatorów. Siedziałem z Marysią na ławce – obok Wisia Wojciechowska – gawędziłem z nią o jej bracie<sup>92</sup>, który – jako p[od]p[u]łk[ownik]-lotnik – wylatywał jutro do Paryża – zdaje się przez Rygę-Sztokholm. W pewnej chwili zbliżył się Kawalec<sup>93</sup>. Zasepiony – zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy nie znam dzisiejszego komunikatu naszego Sztabu [Głównego]. Nie – o co mu chodzi? A no

<sup>89</sup> Właśc.: Aniela Micińska (ur. 1908), bibliotekarka w MSZ.

<sup>90</sup> Jadwiga z d. Salkowska (1896-1974), 1 voto Burhardt-Bukacka, 2 voto Beck (1896-1974), druga żona Józefa Becka.

<sup>91</sup> Filippo Cortesi (1876-1947), arcybiskup, nuncjusz apostolski w Polsce 1937-1939.

<sup>92</sup> Może Zygmunt Wojciechowski (ur. 1896), ppłk dypl. lotnictwa, oficer w dyspozycji D-cy Lotnictwa.

<sup>93</sup> Tadeusz Kawalec (ur. 1895), z-ca naczelnika Wydziału Polaków Zagranicą Departamentu Konsularnego 1 X 1936-1939.

– słuchał przed chwilą radia niemieckiego – z Wrocławia – że zajęli już Śląsk G[órny] i wkroczyli do Białej-Bielskiej. W ogóle przedstawiają sprawę, jak gdybyśmy ponieśli zdecydowaną klęskę – nie mógł tego słuchać, nie był w stanie. Cóż – wojna nerwów trwa. A Francja i W[ielka] Br[ytania] jeszcze radzą... Porozmawialiśmy po cichu a szczerze. Dziś nam ciężko – mogliśmy tu i ówdzie się cofnąć – coś to jednak znaczy. Sytuacja się odwróci z chwilą wystąpienia sojuszników...

Ze schronu wstąpiłem do swego Wydziału. Wydałem polecenia na jutro – mieliśmy pracować mimo niedzieli – tylko nieco krócej, od 10-ej do 2-ej i od 4-ej do 8-ej. Poszedłem z Marysią na Tamkę – tkwiłem dziś w biurze dłużej, niż ktokolwiek z urzędników, pracujących na dwie zmiany. Zresztą – chciałem uporządkować i swoje biurko – swój cały warsztat – w dom. Na zaciemnionych ulicach cicho i prawie pusto, zwłaszcza w dół od Kopernika, bo na Krakowskim [Przedmieściu] jeszcze ruch aut i tramwajów. Marysia kupiła zasłonę na okno w moim gabinecie – tu tylko lampa, w jadalnym ciemno. Czekając na kolację – słuchałem radia warszawskiego. Komunikat Sztabu naszego spokojny, optymistyczny – walki ciężkie na różnych odcinkach, zajęliśmy N[o-]wy] Zbąszyn, ten sam zwrot o zniszcz[onych] samolotach i czołgach. Ale mglisto – zorientować się w sytuacji na froncie trudno. Potem nagrany na płytach przebieg uroczystego posiedzenia Sejmu i Senatu z podniosłym przemówieniem obu marszałków – z manifestacją posłów i senatorów. Potem trochę niewiele mówiących szczegółów o inicjatywie Włochów w sprawie tej konferencji – trochę również wieści z Paryża i Londynu o nastrojach tam panujących – niby wszystko pomyślne dla nas, ale o wypowiedzeniu wojny ani słowa. Po kolacji siadłem do pracy w swoim gabinecie. Porządkowałem przede wszystkim materiały redakcyjne *Encyklopedii*... – odbitki szczerotkowe artykułów już złożonych, rękopisy i maszynopisy artykułów do drugiego tomu, różne swoje notatki, fotografie, nie załatwione korespondencje. Zabrało to parę godzin czasu, bo porządkowałem systematycznie, aby tej pracy nie powtarzać. Złączyłem to z książkami, które miałem pod ręką – z biblioteki ministerstwa przeważnie. Wszystko tak, by w razie potrzeby zapakować do walizy w ciągu 5-ciu minut. Potem zabrałem się do swoich osobistych rękopisów – przede wszystkim prawie wykończony trzeci tom biografii (1908-1914) z teczką notatek i materiałów

do tego tomu, odbitkę szczerką prawie wydrukowaną już biografii J[ózefa] P[iłsudskiego]<sup>94</sup> dla Gebethnera<sup>95</sup> (J. Woyszwillo<sup>96</sup>), tom szkiców z 1905 (Mirecki<sup>97</sup>, Kopiś, artykuły moje z „Niepodległości”), książkę o konspiracji od początków – od Kościuszki do POW<sup>98</sup>, dwie broszury całkowicie już gotowe dla Państw[owych] Wydaw[nictw] Szkol[nych] Książek<sup>99</sup> we Lwowie – o Polakach w kulturze i o walce naszej o niepodległość od 1863. Wszystko to z myślą, że jeśli nawet wypadnie wyjechać gdzieś z Warszawy – to wydrukuję poza Warszawą. Zmęczony – położyłem się do łóżka około g[odziny] 3-ej nad ranem. Nazajutrz – obudzony wcześniej przez syrenę – przed 8-mą – porządkowałem papiery – pamiętnik L[eona] Wasilewskiego<sup>100</sup>, notatnik jego z Paryża z r[oku] 1919 (Komitet Narodowy [Polski]<sup>101</sup>), relacje 1905 r. z pamiętnikiem Sławka<sup>102</sup>, listy J[ózefa] Pił[sudskiego]. W trakcie tej pracy 3 IX przed 10-tą zadzwonił Tad[eusz] Szpotański – dopytywał

<sup>94</sup> Z planowanych sześciu tomów wielkiej biografii ukazały się dwa: *Józef Piłsudski*, t. I: *W podziemiach konspiracji 1867-1901*, Warszawa 1933, t. II: *W ogniu rewolucji 1901-1908*, Warszawa 1935.

<sup>95</sup> Przedsiębiorstwo wydawnicze i księgarskie założone w 1857 przez Gustawa Adolfa Gebethnera i Roberta Wolffa. Zlikwidowane w 1950.

<sup>96</sup> [Julian Woyszwillo], *Józef Piłsudski. Życie-idee-czynny 1867-1935*, Warszawa 1937.

<sup>97</sup> Józef Mirecki ps. *Montwiłł* (1879-1908), polski socjalista, jeden z przywódców Organizacji Bojowej PPS. Zob.: W. Pobóg-Malinowski, *Józef Montwiłł-Mirecki*, „Niepodległość”, Warszawa 1933, t. VIII.

<sup>98</sup> Polska Organizacja Wojskowa – paramilitarna organizacja wojskowa założona przez J. Piłsudskiego w 1914 z połączenia Drużyn Strzeleckich i Związku Wali Czynnej.

<sup>99</sup> Państwowe Wydawnictwo Szkolne Książek zostało utworzone we Lwowie w 1921 r. i działało na rzecz oświaty.

<sup>100</sup> Leon Wasilewski, ps. St. Os...arz (1870-1936), działacz socjalistyczny i niepodległościowy, minister spraw zagranicznych (17 XI 1918-16 I 1919), poseł w Tallinie (16 II 1920-2 XII 1921), współtwórca i prezes Instytutu Badania Najnowszej Historii Polski, redaktor „Niepodległości”.

<sup>101</sup> Komitet Narodowy Polski – założony 15 VIII 1917 r. przez R. Dmowski, którego celem było odbudowanie Polski w oparciu o państwa Ententy. Po przekształceniu Komitetu w Delegację Polską na Konferencję Pokojową w Paryżu L. Wasilewski był w niej przedstawicielem J. Piłsudskiego.

<sup>102</sup> Walerj Sławek (1879-1939), premier 29 III-23 VII 1930, 4 XII 1930-26 V 1931, 28 III-12 X 1935. Pamiętniki drukowane we fragmentach: W. Sławek, *Wspomnienia (1895-1910)*, „Niepodległość”, Nowy Jork-Londyn, t. XVI-XIX, XXII.

się, co z Francją i W[ielką] Brytanią. Zaczynało to ludzi niepokoić – już wczoraj to zauważyłem. Ale nie chciałem mówić o tym przez telefon – umówiłem się, że przed 12-tą spotkamy się w kawiarni – bodaj u Sima. Tu – o tej zwłoce z wystąpieniem W[ielkiej] Br[ytanii] i Fr[ancji] trzeba by powiedzieć, jak w ciągu tych paru dni znecierpliwienia zwłoką przeradzało się w zdziwienie i niepokój – irytację, żal, pretensje, niezrozumienie – dlaczego? Dlaczego jeszcze zwlekają. (Ze starych notatek słowa Anglika, kt[óry] był w tym czasie w Polsce – jak się czuł, jak reagował). Niby – na ogół determinacja, będziemy walczyć i sami, ale [zdrada?] Francji wobec Czech [wyraz nieczytelny] swoje – ludzie pamiętali o tym – czy się to teraz nie powtórzy i jak wobec tego pójdą koleje wojny?

Zaraz po 10-ej poszedłem do biura. Dzień pochmurny. Dużo się mówiło o pięknej pogodzie – w największej nadziei, że deszcz powstrzyma i utrudni Niemcom [działania]. Każdy o to Boga po cichu prosił. Chmury powitałem i ja z ulgą, a że nalotów przez całe rano nie było, więc utrwaląłem się w przekonaniu o wpływie pogody na działania wojenne – korzystne dla nas. Przy wejściu spotkałem się z Sewerem. Miał chwilę czasu – więc zaprosił do siebie, po drodze rzucając okiem na bibliotekę, jak wczoraj w archiwum. W rozmowie z nim – palący już temat – co z naszymi sojusznikami? Był spokojny – dziś muszą wystąpić. Ani cienia wątpliwości, co do Anglików – nie wypowiedzieli wojny dotąd jedynie ze względu na Francję. Ale wywierają na Paryż nacisk coraz silniejszy. Wczoraj już przyszły wiadomości, że Anglicy domagają się od Paryża pośpiechu w postawieniu Niemcom ultimatum i wypowiedzenia wojny – bo Londyn nie wątpi, że Niemcy ultimatum odrzucą. Wczoraj ambas[ador] bryt[yjski]<sup>103</sup> mówił nawet Beckowi, że Halifax<sup>104</sup>, jako bryt[yjski] m[inister] s[praw] z[agranicznych] oświadczył Francuzom kategorycznie, że rząd bryt[yjski] czuje się już prawie niehonorowy, bo zobowiązał się do natychmiastowej pomocy Polsce. Takie stanowisko Londynu każe przypuszczać, że dziś to się skończy. A Francuzi kręcą się – jeszcze się łudzą i wałkują sprawę

---

<sup>103</sup> Sir Howard William Kennard (1878-1955), ambasador w Warszawie, a następnie przy rządzie emigracyjnym w Paryżu (14 I 1935-1940).

<sup>104</sup> Edouard Frederick Wood, baron Irving of Kirby Underdale 3<sup>rd</sup> viscount of Halifax (1881-1959), minister spraw zagranicznych 1938-1940.



inicjatywy włoskiej – mówią więc w Londynie Anglikom, że Ciano<sup>105</sup> usiłuje usunąć trudności i przeszkody ze strony Rzeszy – ale Anglicy odpowiedzieli już wczoraj, że przychylna odpowiedź Anglii w sprawie konferencji udzielona będzie tylko w wypadku – jeśli Niemcy wycofają swoje wojsko z obszarów zajętych już w Polsce. (Sprawdź to w polskiej, franc[uskiej] i ang[ielskiej] książce – w broszurze Bourguisa, na str. 74-77). O przebiegu walk na froncie Sewer nie wiedział nic poza tym, co już słyszałem. W prasie porannej – a może wczoraj w komunikacie Sztabu [Głównego] – wzmianka o wziętym przez nas Nowym Zbąszyniu. Sewer ogólnikowo – przypuszczał raczej – że musieliśmy się tu i ówdzie cofnąć – ktoś mówił mu, że oddaliśmy Śląsk, Częstochowę, Grudziądz, Bydgoszcz – ale na razie przynajmniej nie ma to większego znaczenia. Niemcy oczywiście wyzyskają zwłokę naszych aliantów – kierują na nas gros swych sił, by wyzyskać jak najwięcej, dopóki jeszcze walk na zachodzie nie ma, ale wystąpienie aliantów zmusi ich do pospiesznego przerzucenia sił na zachód – przede wszystkim lotnictwa i broni pancernej.

W trakcie tej rozmowy wpadł bez stukania do drzwi Piłajko<sup>106</sup> z wiadomością o wystąpieniu W[ielkiej] Brytanii<sup>107</sup>. Pełny radości mówił, że właśnie w radio ang[ielskim] przemawiał w Izbie Gmin Chamberlain<sup>108</sup>; że dziś rano W[ielka] Br[ytania] postawiła Niemcom ultimatum z dwugodzinnym terminem – żąda zaprzestania działań wojenn[ych] i wycofania wojsk z Gdańska i zajętych już obszarów Polski. Ponieważ Niemcy nie dali na to odpowiedzi W[ielka] Br[ytania] jest już w stanie wojny. (Porównać z białą pol[ską], fr[ancuską] i ang[ielską] księgą).

Powitaliśmy tą wiadomość z niewymown[ym] uczuciem ulgi,

<sup>105</sup> Gaetano Ciano count di Cortelazzo (1903-1944), zięć B. Mussoliniego, minister spraw zagranicznych VI 1936-II 1943.

<sup>106</sup> Konstanty Piłajko (ur. 1900), radca w Gabinetie Ministra (1 I 1938-1939).

<sup>107</sup> Dnia 3 IX 1939, o godz. 11.00 ambasador JKM w Berlinie Neville Henderson został powiadomiony, że między Wielką Brytanią a III Rzeszą istnieje stan wojny, co zakomunikował rządowi niemieckiemu. Ambasador Francji Robert Colondre przedstawił podobną notę w niemieckim MSZ, z tym że stan wojny między Francją a III Rzeszą zaistniał od godz. 17.00.

<sup>108</sup> Arthur Neville Chamberlain (1869-1940), poseł Izby Gmin (1918-1940), przywódca Partii Konserwatywnej i premier (1937-V 1940).

ze szczerą radością. Jakby [wyraz nieczytelny] jakaś spadła z piersi. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę z tego ciężaru, który dusił przez parę dni, którego badać, nazywać po imieniu nie mogłem, nie byłem w stanie. Gdzieś w głębi musiały się gnieździć stłumione obawy i niepokój – teraz poczułem ich siłę. Ale z ulgą – bo już nie jesteśmy sami w tej strasznej walce. U mnie aż jakby wdzięczność dla Anglii – musiały dręczyć podświadomie tłumione obawy, bo czułem się jak ktoś opuszczony, [kto] otrzymuje nagle pomoc.

W całym Ministerstwie entuzjazm. Okrzyki radości – ludzie ogarnęło głębokie wzruszenie. Łzy w oczach. Wszyscy jak najlepszej myśli. Francja oczywiście wystąpi też – nikt nie wątpił i nie miało już dla nikogo znaczenia, czy wystąpiła już – czy wystąpi dopiero za parę godzin. W[ielka] Br[ytania] postawą swoją zdecydowała już o stanowisku Francji.

Wstąpiłem na chwilę do Wydziału Pras[owego] i wysłuchałem radia polskiego. Speaker powtarzał przemówienie Chamberlaina i wzywał ludność do manifestacji przed gmachem ambasady brytyjskiej. W jakiś kwadrans potem – siedząc już u siebie w gabinecie – usłyszałem okrzyki na ulicy. Wyszedłem na dziedziniec i przez kraty zamkniętej [bramy] patrzyłem na płynący z głębi placu Teatralnego tłum. Ludzie – mężczyźni i kobiety – pełni entuzjazmu przecinali wielkim tłumem plac Marszałka z niemilkącymi okrzykami na cześć Anglii. Przejeżdżający dorożką jakiś oficer wywołał falę okrzyków – Niech żyje Armia! Niech Żyje marsz[ałek] Śmigły-Rydz! Obstąpili dorożkarza – stanął, oficer salutował z uśmiechem – stojąc w dorożce. W tej chwili woźni otwierali bramę – ujrzałem zbliżającą się czarną limuzynę, a w niej Becka z kilku panami. Domyśliłem się, że jedzie do ambasady brytyjskiej. Zresztą – dziś już nie zdaję sobie sprawy, czy ten tłum przewalający się przez plac Marszałka i ten wyjazd Becka miał miejsce za pierwszym czy też za drugim – poobiednim już – pobytem moim w biurze. Zdaje się, że za pierwszym, bo wróciłem gdzieś koło 4-ej – byłoby więc za późno.

Na obiad poszedłem do siebie na Tamkę, bo przyjść miała zaproszona onegdaj Bronka. Br[onka] zaniepokojona o Stef[ana]<sup>109</sup>,

---

<sup>109</sup> Może Stefan Katarzyński syn Bronisławy, siostry W. Pobóg-Malinowskiego.

kt[óry] na parę dni przed wojną – w służbie pomocnicz[ej] wyjechał na Pomorze – nie wracał, nie ma wiadomości. Przed wyjściem moim tuż – telefonował Sewer z pytaniem, gdzie będę po południu – nic szczególnego nie ma, ale może będę potrzebny. Oświadczyłem, że od 4-ej do 8-ej będę u siebie w biurze. W domu – w czasie obiadu – w rozmowie z Marysią i Bronką starałem się uporządkować swoje własne uczucia, wrażenia, myśli. Przede wszystkim – połączona z ulgą radość z powodu wystąpienia W[ielkiej] Br[ytanii] i niewątpliwego w ślad za nim wystąpienia Fr[ancji]. Spokojna pewność, że w takim gronie wojny nie przegramy. To – na dalszą metę – a na bliższą ten zysk niewątpliwy w spotęgowaniu doskonałych zresztą nastrojów społeczeństwa i ducha w armii. Bo mimo wszystko ta przeciągająca się zwłoka działała jak jakiś robak, przegryzający wewnętrznie korzenie. Nie mówiliśmy o tym w ciągu dwóch pierwszych dni, ale przecież nie przestawaliśmy o tym myśleć. Zatruiowało to atmosferę, budziło niepokojące myśli. Teraz nie tylko znikają te wewnętrzne obciążenia – ale wyrastają nowe elementy. Poza tym – odciążenie sytuacji na froncie. Wprawdzie – Francuzi muszą mieć czas na mobilizację, a Anglicy na przewiezienie swych wojsk na kontynent. Ale wiedziałem już 30 VIII – przed wyjazdem do Kazimierza – że Francuzi powołali jeszcze 600.000 ludzi, wyczerpując tym samym mobil[izację] kartkową. Toteż już dziś muszą mieć na granicy co najmniej 1.000.000 żołnierza. Nie pozwoli to może jeszcze na rozpoczęcie akcji w jakimś szerszym stylu, ale jest już dość sił na poważniejsze wystąpienie. Zwiąże to Niemców i może zmusi ich do wycofania części sił z Polski. poza tym lotnictwo – franc[uskie] i ang[ielskie] może już dziś zaczynać bombardowanie. Może stanowcza odpowiedź ang[ielska] – nalot na jakieś miasto – powstrzyma Niemców przed dalszym bombardow[aniem] obiektów nie wojskowych. Może wypadnie Niemcom przerzucić część lotnictwa z Polski na zachód. W każdym razie – odciążenie duże. Poza tym bombardowania Rzeszy – zwłaszcza Nadrenii, gdzie fabryka przy fabryce, takie same jak w Polsce bombardowania węzłów kolejowych spowoduje szkody znacznie większe niż w Polsce, wywoła zamęt, może panikę. Cóż znaczą nasze skromne Kielce czy Radom wobec Essen, Düsseldorfu czy innych miast niem[ieckich]. Miałem wówczas zbyt przesadne pojęcie o lotnictwie aliantów. Zdawało się, że niezliczone

eskadry samolotów bryt[yjskich] i franc[uskich] ruszą od razu na Rzeszę – jak Niemcy na Polskę. (Katelbach<sup>110</sup> pod datą 3 IX [1939] w pamiętniku swym notuje:

„Lotnicy alianccy nie będą się nawet potrzebowali wysilać. Z maksymalnej wysokości – zwłaszcza na zachodzie Niemiec – mogą rzucać bomby, z kt[órych] każda będzie trafiała bądź w fabrykę, bądź w jakiś obiekt wojsk[owy], bądź w dom mieszkalny, siejąc wśród ludności nieopisaną panikę”

– ode mnie: dlaczego Niemcom wolno w Polsce – a aliancom nie? – „Przypomniał mi się – pisze Katelbach – dobrze znany widok Westfalii i Nadrenii – widok, jakby niekończących się miast, po kt[órym] porusza się mrowisko ludzkie” – moje osobiste wspomnienia z pobytu tam w r[oku] 1937 – zwłaszcza w Essen, Düsseldorf, Duisburg – „Dopiero teraz – mówi Katelbach – zacząłem wierzyć w załamanie wewnętrzne Niemiec. Przecież Zachód Niemiec – to jedno wielkie skupisko robotnicze, a więc skupienie ludności, na pewno nie pogodzonej z reżimem, w dodatku katolickie. Straszliwe skutki nalotów nie wywołają uczuć nienawistnych do Fr[ancji] czy Ang[lii], lecz tylko w stosunku do systemu brutalnego terroru, kt[óry] sprowadził nową wojnę na Niemcy”). Tak pisał Katelbach – tak, czy prawie tak samo myślałem i ja wówczas. Gnębiła trochę myśl o słabości naszego lotnictwa, skłonny jednak byłem wierzyć, że i ono odpowie nalotami w głąb Rzeszy – może słabiej, niż alianci, ale i wschód Rzeszy spokoju nie zazna. Sytuację na froncie oceniałem spokojnie. Mówiłem nawet do Bronki, że Niemcy – mimo wystąpienia Anglii i Fr[ancji] – nie osłabiają swego nacisku w Polsce, może go zwiększą – tak samo z nalotami – by odnieść jak największe sukcesy na wschodzie – zanim wojna – na dobrze nie rozpali [się] nad Renem. Ale przetrzymamy to – oddaliśmy Śląsk, Częstochowę, Bydgoszcz, Grudziądz, ale niebawem – odbijemy to z powrotem. Próbowaliśmy ustalić linię frontu – a raczej z powodzi

---

<sup>110</sup> Tadeusz Katelbach (1897-1977), polityk, dziennikarz, nieoficjalny mąż zaufania J. Piłsudskiego i J. Becka na Litwie (1933-1937), senator (1938-1939), pracownik referatu niemieckiego Ministerstwa Informacji i Dokumentacji (1939-1945). Zob.: T. Katelbach, *Rok złych wróżb (1943)*, Dziekanów Leśny 2005; Idem, *Spowiedź pokolenia*, Gdańsk 2001. Wszystkie cytaty wg zapisków W. Pobóg-Malinowskiego.

różnych plotek wydzielić wiadomości pewne. Ale niestety – szczegóły z komunikatu zwarły się już tak mocno ze słyszаныmi komentarzami i plotkami, że podzielić trudno. Mimo to byliśmy dobrej myśli – koleje wojny mogą być i będą zmienne ale wynik pewny – zwycięstwo całkowite, które da nam w rezultacie i Prusy i cały Śląsk. W czasie obiadu usłyszałem swego „przyjaciela” – harmonistę. 11 XI [przy okazji Święta Niepodległości], gdy grał I Brygadę, dałem znak, by przyszedł. Parę kieliszków, grał oberki, kujawiaki, pieśni żołnierskie, coś z godzinę chyba, bo nie chciał odejść. Przychodził często, bo zawsze rzucałem mu trochę grosza. Teraz uparcie patrząc w moje okno – grał i wyjątkowo śpiewał: „Zwycięży orzeł biały – zwycięży polski lud...”. Gdy mu rzuciłem 2 zł, w papierku – krzyknął coś o naszym zwycięstwie, że do Berlina z tą piosenką [pójdzie?]...

Owiany tymi pięknymi nadziejami, które górowały nad żalem z powodu „drobnych” i chwilowych niepowodzeń na froncie – pożegnałem się z Bronką i z Marysią, autobusem – ona do matki, ja do biura. Na rogu [ulic] Chmielnej i Brackiej – przy przesiadaniu [się] z jednego autobusu na drugi – spotkałem się ze Szpotańskim. Zapomniałem zupełnie o umówionym spotkaniu w kawiarni. Przeprosiłem – zresztą chodziło o Anglię, a wystąpiła przecież, gdy on na mnie w kawiarni czekał. Ta wiadomość powiedziała mu chyba więcej, niż mógłby wyciągnąć z moich domysłów i wrażeń. Staliśmy wśród ludzi, spieszących gdzieś, uśmiechniętych, radośnie podnieconych. Gazeciarze z dodatkami nadzwyczajnymi. Rozchwytywano. Kupiłem i ja – ale nic nowego, o Francji nic jeszcze. W rozmowie Szpot[kański] zapytywał o Fr[ancję]. Odpowiedziałem: „Mało panu W[ielkiej] Brytanii?”. Uśmiechał się. Więc mówię: „Cóż Francja może wobec tej decyzji angielskiej?”. Nie zrozumiał: „No, zawsze – mają Fr[ancuzi] świetną armię, no i granicę z Niemcami – a Anglicy sami walczyliby przez morze?”. O, nie – odpowiedziałem – cóż Francja może zrobić po wystąpieniu Anglii? Tylko wystąpić! Bo w MSZ od dawna już uważaliśmy, że w sprawach wielkiej polityki Londyn decyduje za Fr[ancję]<sup>111</sup>. I pożegnaliśmy się z przekonaniem, że Francuzi

<sup>111</sup> Słowa ministra J. Becka zapisane w pamiętniku a dotyczące rozpoczęcia rokowań z Londynem o układ wzajemny: „Wobec jasnego już faktu, że prawie całkowicie kierownictwo polityki zagranicznej Francji i Wielkiej Brytanii znajdu-

albo już wystąpili, albo wystąpią lada chwila; tak jak przypuszczały i nadzw[yczajne] dodatki pism.

Wydziały ministerstwa pracowały mimo niedzieli wszystkie, ale w zmniejszonych nieco kompletach. To też znacznie spokojniej i ciszej, niż rano. Miałem wrażenie zwykłego niedzielnego popołudnia. Nowi archiwiści jakoś nie przychodzili z wątpliwościami. Mogłem więc spokojnie z H[eleną] Krzyczkowską pracować nad *Encyklopedią*.... Dzwoniłem do Irki – zastałem ją b[ardzo] przejętą, bo jak mówiła – na dachu ich kamienicy schwytano szpiega, kt[óry] dawać miał jakieś znaki świetlne. Próbowałem żartować – i wczoraj już, i dziś jakoś za dużo tych pogłosek o szpiegach – czy to nie przesada? Córa odpowiada, że nie – że nie umiał mówić nawet po polsku. Ale czy widziała go? Nie – tylko tak mówiono. Poradziłem spokojnie to ocenić – szpieg jest zwykłym narzędziem w wojnie, zresztą czy to nie przesada, bo jakoś za dużo się o tym mówi? Dziś myślę, że może Irka miała rację i może szpiegiem nazywała przyszłego „dywersanta”. Poza tym – wszystko dobrze. Czuje się dobrze. W szkole zajęcia zaczną się zdaje się jutro. Po tej rozmowie wyszedłem na dziedziniec, by rzucić okiem na miasto. Na pl[acu] Marszałka dość pusto, jak zawsze w niedzielne popołudnie. Na dziedzińcu pracowali robotnicy – ktoś powiedział, że będzie przemawiać przez radio Beck. Ale niewiadomo jeszcze kiedy – chyba jak przyjdzie wiadomość o Francji. Żałowałem, że mogę przemówienia nie usłyszeć. Istotnie – nie usłyszałem. Wróciłem – siadłem w gabinecie do pracy nad zeszytem *Encykl[opedii]...*. Jakoś dobrnąłem do końca. Zostawał tylko list do drukarza ze wskazówkami. Gdy zaczynałem go dyktować – posłyszałem melodię „Marsylianki”. Wybiegłem znów na podwórze. Było chyba pół do 8-mej. Z radosnych okrzyków na ulicy domyślałem się, że i Fr[ancja] wystąpiła. Ktoś z [Wydziału] Prasowego przechodząc obok powiedział, że i na franc[uskie] ultimatum Niemcy nie odpowiedzieli – i że jest wojna. (Porównać z fr[ancuską] księgą – przemówienie Daladiera<sup>112</sup>). Oczywiście – o dyktowaniu listu nie było mowy.

---

je się w Londynie sądziłem, że decydować będzie zakres układu z kierowniczym czynnikiem”. Zob.: *Polska polityka zagraniczna w latach 1926-1939*, oprac. A. M. Cienciala, Paryż 1990, s. 243. Słowa te potwierdzają opinię, że Pobóg-Malinowski pisząc swoje relacje czerpał ze wspomnień Becka.

<sup>112</sup> Edouard Daladier (1884-1970), członek partii radykalno-socjalistycznej, premier Francji 10 IV 1938-20 IV 1940.

Z p[anią] Heleną porozmawialiśmy w radosnym podnieceniu. Po ósmej zacząłem wyganiać do domu zbyt gorliwych urzędników-archiwistów. Jest niedziela – jest tyle pomyślnych wiadomości i tyle powodu do radości – niech idą wcześniej do domu. Poszedłem i sam na [ul.] Jasną, bo Marysia i dziś postanowiła nocować u matki. Przy kolacji był p[an] Józef Trojanowski. Zosia rozentuzjasmowana, po powrocie z manifestacji przed amb[asadą] franc[uską]. Była też i przed angiel[ską]. Wypiliśmy nawet parę kieliszków z myślą o zwycięstwie. W radosnym podnieceniu – w cudownej ufności – wymiana wrażeń, domysłów, nadziei. Podobnie jak w rozmowie z Bronią. Matka wystąpiła z projektem – może zlikwidujemy mieszkanie na Tamce i sprowadzimy się do niej. Chciała mieć Marysię przy sobie, bo ja chyba będę bardzo i coraz więcej zajęty. O ewakuacji W[arsza]wy i o wyjeździe naszym nikt ani słowa – bo i któż by się z tym liczył w tym radosnym dniu. Ale ten mój nadmiar pracy i może nawet powrót do wojska. Wyłoniła się jednak kwestia, gdzie ulokować meble i moją prywatną bibliotekę – olbrzymią, [liczącą] kilka tysięcy tomów? Postanowiliśmy poczekać jeszcze, aż sytuacja się wyjaśni. I wcześniej nieco – koło północy – poszedłem spać, nie przypuszczając, że to ostatnia noc w normalnych warunkach.

Pamiętam jeszcze, że po kolacji a przed pójściem do łóżka siedzieliśmy na balkonie po ciemku. Na ulicy pusto i cicho. Noc ciepła, księżycowa – niebo roziskrzone tysiącami gwiazd. Słuchałem relacji Zochy o przebiegu manifestacji pod ambasadami – z zachowania się publiczności. Sam – siedząc przez cały czas w biurze – nie mogłem obserwować ulicy i nastrojów ludności. Pan Józef zwrócił uwagę, że przez cały dzisiejszy dzień nie było nalotów na Warszawę, był jeden tylko wcześniej rano. Dopytywał się, czy to nie skutek zachmurzenia, bo tyle się w tych dniach słyszało i mówiło o jeszcze jednym spóźniającym się naszym sojuszniku – deszczu i błocie, które utrudnić miały działanie lotnictwa niem[ieckiego] i wojsk pancernych. Nie umiałem na to odpowiedzieć. Przypuszczałem, że to może mieć wpływ, skłonny byłem jednak wiązać to raczej z wystąpieniem W[ielkiej] Br[ytanii] i Fr[ancji]. Niemcy musieli widocznie przerzucić na zachód część swoich sił, może zmienią taktykę w uzasadnionej obawie odwetu.

Nazajutrz – 4 IX – gdy siedziałem przy rannej herbacie odezwała się syrena. Warczenia motorów nie słyszałem – nalot skierowany był

widocznie na jakąś dalszą dzielnicę, może był przy tym słaby. Skądś – z daleka – odezwały się nasze armaty, w pobliżu tylko k[arabin] m[aszynowy] zatrajkotał i zaraz umilkł. Było względnie spokojnie i bezpiecznie. Nie czekając na odwołanie alarmu – poszedłem do biura, mimo protestów zaniepokojonej Marysi. Włożyłem tylko na rękaw białą opaskę, upoważniającą do poruszania się w czasie nalotu. Na ulicach i placach cicho i zupełnie pusto. Tylko w na wpół otwartych bramach mniejsze i większe grupki, zapędzone tu przez syrenę. Nie zatrzymywany przez nikogo – szybko doszedłem do Ministerstwa. W biurze moich urzędników jeszcze brak – ugrzęźli w jakimś schronie i dopiero po dobrym kwadransie zaczęli stopniowo napływać. Mówiłem z Bombasem, który od początku dozorował palenie akt w Jeziornej – teraz, ze względu na alarm, czekał na załadow[anie] na podwórzu z aktami. Polecałem mu, by zwrócił się do dyrekcji fabryki o udostępnienie jeszcze jednego pieca, bo wobec większej ilości pracowników tworzył się już zator z wybrakowan[ych] akt. Potem z p[anią] Krzyczkowską wykończyłem ostatni zeszyt *Encyklopedii...* – woźny Rymko odwiózł go na pocztę wraz z listem do Scharfa, właścic[iela] Drukarni Narodowej w Krakowie<sup>113</sup>. Około g[odziny] 10-ej zjawiał się bez zapowiedzi Sewer. Zajrzał do magazynów – nie po to, by kontrolować, lecz by wizytą swoją podkreślić wobec urzędników wagę i znaczenie [tego], co robią. Potem siedział jeszcze u mnie w gabinecie, krótko – niewiele dłużej, niż palenie papierosa.

Już wczoraj w łóżku – przed zaśnięciem – starałem się przemyśleć i ocenić postawę Sewera wobec wydarzeń. Czułem, że jest on jakby hamulcem dla moich optymistycznych przewidywań i radosnych nastrojów. O co mu chodziło – co chciał osiągnąć? Czy chciał przygotować mnie na gorsze ewentualności? Czy wypowiadał wszystko – czy też odsłaniał część tylko dostępnych mu tajemnic? Przyszedłem wówczas do wniosku, że był po prostu tylko szczery. W postawie jego – jak u wszystkich zresztą – było zadowolenie, że toczyła się już wojna prawdziwa; na dalszą metę spokój i ufność: rozpoczęliśmy wojnę bo nie było innego wyjścia jak tylko kapitulacja, a na to nie pozwalała nam ani racja stanu, ani nasz narodowy honor; walcząc nie w osamotnieniu,

---

<sup>113</sup> Drukarnia Narodowa – przedsiębiorstwo wydawnicze istniejące w Krakowie od 1858.



ale w ramach potężnej koalicji w wyniku ostatecznym zwyciężymy na pewno. Wyjdziemy z wojny powiększeni terytorialnie, wzmocnieni politycznie. To na dalszą metę. A na bliższą – odzywały się jakieś niezdecydowane, prawie wstydliwe obawy, przechodzące nieraz – jak mi się zdawało – nawet w rezygnację, oczywiście na jakimś wąskim odcinku tylko. Czekają nas w przyszłości zwycięstwo, ale po drodze do tego – dalekiego – triumfu będziemy i jesteśmy już narażeni na wszystkie skutki bezspornej przewagi niemieckiej i żółtej opieszałości naszych aliantów; możemy skrwawić się nadmiernie, możemy cofnąć się w głąb kraju – tym dalej, im później rozpoczną się działania na zachodzie. Z wszystkiego, co mówił i co robił, zwłaszcza w nocy z 4 na 5 i 5 IX – wynikało, że nie przewidywał katastrofy, jaką w rezultacie przyniósł wrzesień – obawiał się jednak, że w tej nierównej walce możemy stracić dużo i wojska, i terytorium, kt[óre] – zniszczone ogniem – odbijać trzeba będzie uszczuplonymi siłami.... Nie było niepokoju – był raczej tylko żal, że nie unikniemy poważniejszych ciosów i bolesnych strat.

Teraz, gdy siedział u mnie, paląc papierosa – próbował sprawdzić swoje wnioski. Mówiliśmy o Francji, kt[óra] przecież „jednak wystąpiła”.

„– Tak – odpowiadał mi Sewer – wystąpiła, ale Anglicy musieli ciągnąć ją za uszy. I gdybyśmy nie mieli sojuszu z Anglią – lub gdyby Anglicy nie chcieli zahamować Hitlera – Francja bez ich nacisku wyparłaby się aliansu z nami – tak, jak przed rokiem z Czechami – wyrzekłaby się nas pod jakimkolwiek pretekstem czy nawet bez pretekstu. Wystąpiła, ale wystąpienie to nie znaczy jeszcze, że się skończyły nasze z nią kłopoty – jest nieprzygotowana do wojny, społeczeństwo franc[uskie] bić się nie chce...”.

Zaryzykowałem powołać się na największy autorytet dla Sewera – na słowa min[istra] Becka, kt[óry] w jednym ze swych wywiadów mówił kiedyś o cudownych walorach geniuszu rasy franc[uskiej], który w momentach przełomu czy kryzysu odradza się, jak feniks z popiołów – odmłodzony i bohaterski. Sewer skrzywił się.

„– Słowa te to tylko dyplomatyczna uprzejmość. Minister wypowiadał je bez wiary w ich treść. Nie znam się na mitologii starej Grecji czy Egiptu, nie wiem, jak tam było z spalaniem się i odradzaniem

Feniksa. Zapewne – ogień nie mógł strawić wszystkiego i w popiołach musiało coś zostać. A z francuskiego popiołu – zimnego już – [wyraz nieczytelny] [wyraz nieczytelny]?” – Sewer machną lekceważąco ręką – „Francuzi! – Oh, zobaczy pan – zwlekali z wypowiedzeniem wojny, teraz – dranie – na pewno będą zwlekać z rozpoczęciem działań – przynajmniej ze 2 tygodnie, jak to zawarowali sobie w umowie czerwcowej z nami. A może i dłużej – może czekać będą aż Niemcy wojnę z nimi rozpoczną? A my przez ten czas będziemy musieli borykać się sami, bo i Anglicy muszą mieć czas na to, by przywieść swe wojsko na kontynent...”.

Jak zawsze, tak i dziś Sewer z wielkim uznaniem mówił o Anglikach – o Francuzach jak zawsze – z niewiarą i zastrzeżeniami. Zbyt często i zbyt dużo mówiłem z nim o Francji jeszcze przed wojną. Byliśmy najzupełniej zgodni w ocenie zawsze. Teraz przypominał mi się ostry zatarg z Józefem Teslarem<sup>114</sup> o Fr[ancję] w okresie Zaolzia – wypływały też z pamięci słowa Becka – że J[ózef] Pił[sudski] – mówił kiedyś mi o tym, kto wcześniej – Austria czy Czechy znikną z mapy Europy, a tuż przed śmiercią z wizytą Edena<sup>115</sup> czy Laval<sup>116</sup> w W[arsza]wie obawiał się o los Fr[ancji] w wojnie z Niem[cami] – Francja – mówił Komendant – wojny tej nie wytrzyma. Dziś więc – w tej rozmowie u mnie w gabinecie – przyjmowałem słowa Sewera bez zastrzeżeń – raczej z niepokojącym uczuciem całkowitej słuszności. Ale mimo całkowitej z nim zgody wyraziłem pogląd, że już samo wypowiedzenie wojny będzie miało skutki – odciąży nas. Niemcy jeśli nawet nie wycofają swych sił z naszego frontu, to przynajmniej nowych już kierować nie będą. Tym tłumaczę i wczorajszy względny spokój w powietrzu – nalotów przez cały dzień nie było, a że odwiedzili W[arsza]wę dziś to rozumiałe, bo to jest duże centrum. W każdym

---

<sup>114</sup> Józef Andrzej Teslar (1889-1961), od 1922 zamieszkał we Francji, gdzie był m.in. profesorem filologii polskiej w *Ecole Supérieure de Guerre*, jednocześnie założycielem i kierownikiem „Collection Polonaise Editions”, ekspozytury Polskiej Akademii Umiejętności zajmującej się wydawaniem francuskiego przekładu dzieł J. Piłsudskiego.

<sup>115</sup> Anthony Robert Eden earl of Avon (1897-1977), minister spraw zagranicznych 1935-1938, 1940-1945, 1951-1955.

<sup>116</sup> Pierre Jean Marie Laval (1883-1945), deputowany socjalistyczny, m.in. minister spraw zagranicznych 1934-1936, premier 1931-1932, 1935-1936.

razie wczorajszy dzień był o wiele spokojniejszy niż dwa poprzednie – przynajmniej w W[arsza]wie.

„– Może jest to skutkiem wystąpienia aliantów? – godził się niezbyt chętnie Sewer, dodając zaraz – W nocy zgłosił się do ministra [J. Becka] poseł holenderski<sup>117</sup> – bo Holandia opiekuje się obywatelami i sprawami niem[ieckimi] w Polsce, tak jak Szwecja – na mocy zawartej umowy – obywat[elami] i sprawami polskimi w Niemczech. Otóż poseł holenderski zgłosił się, by oświadczyć, że rząd Rzeszy za pośrednictwem rządu holender[skiego] zawiadamia, że wydał swemu lotnictwu rozkaz bombardowania jedynie obiektów, mających znaczenie wojskowych, i powstrzyma się przed bombardowaniem otwartych miast, o ile rząd polski wyda analogiczne zarządzenia. Minister Beck odpowiedział, że tego rodzaju rozkazy zostały już lotnictwu polskiemu wydane i będą obowiązywały, o ile będzie dotrzymana wzajemność ze strony niem[ieckiej]. Beck mógł tak odpowiedzieć posłowi holender[skiemu] od razu i bezpośrednio, bez porozumiewania się z wojskiem – z Nacz[elnym] Wodzem czy Szefem Sztabu<sup>118</sup> – bo na krótko przed wojną dokonano poufnie wymiany not z W[ielką] Br[ytanią], co do sposobu prowadzenia wojny lotniczej – sposobu, jeszcze bardziej dbającego o oszczędzanie życia i mienia ludności cywil[nej] i precyzyjnego ściśle, co może być uważane za obiekt wojskowy”.

Sewer nie chciał twierdzić, by to wystąpienie Niemców za pośrednictwem Holandii nie było skutkiem wypowiedzenia wojny przez naszych aliantów. Niemcy obawiać się mogą rewanżu i może nie będą już bombardować naszych miast i wsi. Ale to tylko tyle – niezbyt zresztą pewne to, ale jeszcze możliwe. Bo poza tym – na lądzie – zwiększą chyba nacisk dla uzyskania rozstrzygnięć zanim rozpęta się wojna na zachodzie.

„– Jak stoimy w tej chwili?”

Sewer sięgnął po mapę leżącą na moim biurku – i wodząc powoli palcem mówił:

<sup>117</sup> Johan Jeronimus Balthasar Bosch de Rosenthal, poseł Holandii w Warszawie, a następnie przy rządzie na wychodźstwie (8 IX 1937-1941).

<sup>118</sup> Wacław Teofil Stachiewicz (1894-1973), gen. bryg. z 1 I 1935, szef Sztabu Głównego 1935-1939, szef Sztabu Naczelnego Wodza IX 1939, internowany w Rumunii.

„– Diabli wiedzą! Płaczą się już różne plotki z treścią komunikatów Sztabu [Głównego] i z tym, co się słyszało z poważnych ust – od wyższych oficerów i z ogólnikowych uwag min[istra] Becka. Obraz prawdy całkowicie stworzyć trudno, ale zdaje się, że jest w tej chwili tak. Na Pomorzu – wskutek jednoczesnego uderzenia Niemców z Prus Wsch[odnich] i Zach[odnich] musieliśmy po ciężkich walkach ustąpić z Chojnic, Bydgoszczy i Grudziądza. Odcięte Westerplatte, Gdynia i Puck bronią się jeszcze, ale czy długo? Bo Niemcy muszą tam wściekle nacierać. Dalej wzdłuż pogranicza pruskiego oddaliśmy już zdaje się Mławę, tu walki toczą się w rejonie Przasnysz-Ciechanów-Łomża, podobno jednak kawaleria nasza wdarła się do Prus i to dość głęboko, ale gdzie? – w ogóle bliższych szczegółów brak. Co do Poznańskiego nie wiadomo nic – poza tym, że podobno zajęliśmy niemiecki Nowy Zbąszyn. Na południu złamano linię naszego oporu na Śląsku. Straciliśmy Śląsk i Częstochowę; walki toczą się mniej więcej na linii Sieradz-Wieluń-Będzin-Oświęcim-Chrzanów. Zaolzie zajęte – aż do Białej-Bielska. Dalej na południe wskutek przedarcia się Niemców przez Przełęcz Jabłonowską, Tatry i Beskidy opuściliśmy spory szmat – do Żywca, N[owego] Targu i Chabówki. Napływające wiadomości mówią o ciężkich walkach na wszystkich odcinakach frontu”.

Stworzony obraz nie był wesoły, Sewer jednak nie widział jeszcze powodów do niepokoju.

„– Jak się ma takiego silnego przeciwnika i taką z nim granicę – od Bałtyku do Tatr z dodatkiem Prus Wschodnich na tyłach – trudno myśleć o poważnym sukcesie. Dobrze już będzie jeśli potrafimy bronić się skutecznie, cofać się w porządku – wśród walk, zadając Niemcom straty. Mówił ktoś wczoraj – może Beck – że już przed wojną narzucała się nam nieunikniona w naszych warunkach i dyktowana względami strategicznymi koncepcja przyjęcia od razu linii biegu Wisły. To znaczy – musielibyśmy bez walki oddać całe województwa śląskie i wielkopolskie oraz znaczną część województw pomorskiego, warszawskiego, kieleckiego, krakowskiego. To prawie połowa kraju – najbogatsza, najzasobniejsza, najbardziej polska. Ale społeczeństwo nasze, kierujące się uczuciem, nie zrozumiałoby tej decyzji – jak to oddać bez walki połowę kraju? Wstrząs już na początku byłby zbyt silny. To też postanowiono wycofać się jedynie z tych części Pomorza

i Wielkopolski, których obrona byłaby czystym niepodobieństwem. Słyszał Sewer wczoraj od Becka, że przyjęta została linia obrony, biegnąca od Puszczy Augustowskiej wzdłuż rzek Biebrzy i Narwi do Modlina, stąd Wisłą do Torunia i Bydgoszczy, dalej – poprzez jeziora inowrocławskie wzdłuż Warty do Częstochowy i przez ufortyfikowany Śląsk na Bielsko-Żywiec-Chabówkę i Nowy Sącz. Jeśli przyjęto taką linię – a przyjęto ją na pewno, bo przecież mówił o tym min[ister] Beck – to dotychczasowe sukcesy niemieckie nie powinny nas niepokoić. Wszystkie oddane dotąd przez nas miejscowości leżą na zachód od tej linii. Mogliśmy toczyć tam jedynie walki opóźniające – nie krwawić się zbyt wiele o posiadanie miast, które już w założeniu postanowiliśmy oddać – zdecydowany zaś, nieustępliwy upór zorganizować na przewidzianej linii. Niemcy dotąd zdaje się na Śląsku tylko przekroczyli tę linię. Gdyby udało im się to na innych odcinkach to jest i druga linia, przewidywana na wypadek załamania się pierwszej – w rejonie Augustowa biegłaby bez zmian, dalej – wzdłuż Narwi i Bugu, zagarniałaby Modlin i Warszawę, skąd biegiem Wisły i Dunajca na Podkarpacie.

– To znaczy – zapytałem – że zarówno [w pierwszej], jak i w drugiej koncepcja Warszawa ma być broniona.

– Oczywiście.

– A ewakuacja?

– Od Ciechanowa, gdzie już dziś toczą się walki – do Warsz[awy] niedaleko, a jeszcze bliżej do Modlina, przez kt[ó]ry przebiegać ma przewidziana linia obrony. To też ewakuacja chyba nieunikniona. Nie nastąpi oczywiście ani dziś, ani jutro. Ale liczyć się z tym trzeba. Co do pana – mówił Sewer – proszę pracować jak dotąd spokojnie i bez zmian. Pamiętam o panu – i zawiadomię na czas, w najgorszym czasie – bez zwłoki i wcześniej niż kiedykolwiek”.

Sewer miał już odchodzić, ale raz jeszcze sięgnął po mapę.

„– Jesteśmy obaj oficerami. Coś tam zostało nam z ćwiczeń aplikacyjnych. Widzi pan – kierunek celów i dążeń niemieckich zarysował się już zupełnie wyraźnie. Uderzając na nas z dwóch stron – z Prus i od strony Śląska – chcą osaczyć w szerokim ruchu oskrzydającym i zniszczyć nasze armie zgrupowane przeciw nim w zachod[niej] części kraju – na lewo od Wisły. Chodzi o to, abyśmy potrafili i na północy i na południu utrzymać się na linii oporu, wytrzymać wściekły nie-

wątpliwie nacisk. Czy wytrzymamy? Musimy! Musimy wytrzymać aż do czasu aż sojusznicy nasi uderzą na zachodzie...”

Nie powiem, bym się czuł dobrze po tej rozmowie. Była szczerą i choć owiana optymizmem – jednak przygnębiająca. Po wyjściu Sewera z kwadrans może siedziałem pochylony nad mapą Polski – z dręczącym niepokojem w sercu patrząc na linię istniejącego już i przyszłego frontu. Czy wytrzymamy?

Z tych medytacji – niewesołych, dalekich jednak od pesymizmu, nie puszczała mnie bowiem ufność i wiara – raczej żałowałem, że tyle rdzennie polskiego obszaru musieliśmy już oddać – o ile jeszcze oddamy, cofając się choćby na pierwszą tylko linię obrony – wyrwała mnie Marysia, zgłaszając się na swój umówiony z ministrową dyżur przy telefonie. Nie pamiętam już kiedy – czy w chwili, gdy prowadziłem ją na ten dyżur, czy w parę godzin potem, gdy po dyżurze wyprowadzałem ją z ministerstwa zdarzyła się niezbyt miła przygoda. Kończył się nalot – syrena odwołała już alarm. Gdy przechadzaliśmy się przez podwórze, gdzieś wysoko nad nami wybuchł spóźniony pocisk przeciwlotniczy – w parę chwil potem grad odłamków posypał się z góry – w pobliżu i dookoła nas. Schyliłem się, by podnieść jeden z nich, leżący u nóg. Był gorący – sparzywszy palce, odrzuciłem go. I w tejże chwili usłyszałem, że ktoś skądś z góry pyta, czy nie stało się z nami coś złego. Obejrzałem się – to min[ister] Beck na balkonie:

„– Nie! Dzięki Bogu nie, panie ministrze!

– A i mnie mało brakowało – odrzekł pokazując trzymany w chusteczce duży gorący odłamek. – To byłby dopiero pech – artylerzyści, [a] o mało nie oberwaliśmy od swego polsk[iego] towarzysza broni”. Marysia poszła z Rymkiem do domu na Tamkę wydała mu przygotowane materiały redakc[yjne] i rękopisy moje.

W dniu tym jakoś praca nie chciała się skleić. Mordował przez telefon Bombas, mówiąc dość bezradnie, że dyrekcja fabryki nie tylko nie chce dać dodatkowego pieca, ale zaczyna już niecierpliwie się, że to nie widać końca. Mówiłem z dyrekcją – byli uprzejmi, Bombas coś przesadzał, choć co prawda dodatkowego pieca nie wyzyskałem, a zwałac z aut na podwórze fabr[yki] nie można, bo to zawsze akta (jak to – bez opieki zostawić?). Potem – z redakcją<sup>119</sup>, bo dwóch – na

---

<sup>119</sup> Mowa o redakcji słownika encyklopedycznego: *Polacy w cywilizacjach obcych*, w którego skład wchodził: W. Pobóg-Malinowski i Jan Rozwadowski z MSZ

pewno Lepecki<sup>120</sup> i zdaje się Wędkiewicz<sup>121</sup> nie mogli wziąć udziału w dzisiejsz[ym] posiedzeniu – trzeba było telefonować do pozostałych i odwoływać. Robiła to częściowo p[ani] Krzyczkowska. Potem wpadłem na parę chwil do Barańskiego, atakując go o pośpiech ze skrzyniami, wreszcie – poszedłem do Siedleckiego z żądaniem, by odwołał zarządzenie o przydziale bez mego pytania nowej grupy urzędników, z kt[ó]rymi nie wiedział, co ma zrobić – co im dać, by się nie pętali bez celu. Nie chciałem przyjąć ich do siebie, bo w ciasnocie przeszkadzaliby tylko – szybciej brakować akt nie mogłem, bo groziłoby to już karygodną niedokładnością.

I właśnie – gdy wracałem od Siedleckiego – spotkałem się w korytarzu z idącymi z dwóch stron – kpt. Zarychta i Ziętkiewiczem<sup>122</sup>. Ten ostatni pracował w Depart[amencie] Konsular[nym], bodaj u Zarychty. Przed kilku tygodniami wyjechał służbowo do Brazylii i dziś właśnie wrócił – przyszedł do ministerstwa wprost z pociągu, nie zajrzawszy jeszcze do domu. Po przywitaniu opowiadał jak to od Francji jechał okrężną drogą przez Węgry. Opowiadał coś o reakcji Fr[ancji] i Węg[ie]r o wojnie, o skutkach nalotów na naszej prowincji i o zachowaniu się ludności. Opowiadanie swe zakończył pytaniem, czy zostały już wydane zarządzenia ewakuacji W[arsza]wy, a jeśli nie – to dlaczego. Zarówno w tym pytaniu jak i w całej jego postawie – w opowiadaniu tego, co widział i słyszał – dźwięczały jakieś nowe – niewarszawskie – nuty. Zarychta ostro, za ostro, niegrzecznie wsiadł na niego. Nie wolno tak myśleć, a tym bardziej tak mówić, bo staje się to źródłem nieuzasadnionej paniki. To karygodny defetyzm. Nie sposób ewakuować stolicy w czwartym dniu wojny [itp.?), aż musiałem brać w obronę

---

jako redaktorzy naczelni oraz członkowie komitetu: Jan Stanisław Bystron, M. B. Lepecki, Lewak i S. Wędkiewicz.

<sup>120</sup> Mieczysław Bohdan Lepecki (1897-1969), publicysta, adiutant marszałka J. Piłsudskiego 1930-1935, dyrektor Biura Zadań Specjalnych przy Prezesie Rady Ministrów 1936-1939, wiceminister propagandy IX 1939.

<sup>121</sup> Stanisław Wędkiewicz (1888-1963), historyk literatury, językoznawca, działacz polityczny, profesor Uniwersytetu Poznańskiego 1919-1921; UJ 1921-1934, Uniwersytetu Warszawskiego 1934-1939.

<sup>122</sup> Ignacy Ziętkiewicz (ur. 1892), z-ca naczelnika Wydziału Polityki Emigracyjnej i kierownik Referatu Migracyjnego Departamentu Konsularnego 1 XII 1937-IX 1939.

Ziętkiewicza, kt[óry] wypowiedział to w zrozumiałej trosce, a spotkał się z karcącym słowem swego naczelnika, oceniającego sytuację naszą zbyt optymistycznie, czy też z rozmyślną przesadą.

Wkrótce po 3-ej poszedłem na obiad na Jasną. Zostałem Lola – szwagra Włocha<sup>123</sup>, urzędnika z ambasady włoskiej. Przy obiedzie mówiłem z nim oczywiście o polityce – o tym, co myśli i jak postąpi jego kraj. Z dotychczasowych moich kontaktów z nim i rozmów pozostało mi przekonanie, że nie należy on do zbyt gorliwych zwolenników Mussoliniego. Entuzjazmu w każdym razie nie dostrzegałem, choć z drugiej strony był dumny z dotychczas[owych] osiągnięć Italii. Oczywiście – nigdy niedyskretnym pytaniem nie próbowałem nawet zmusić go do postawienia kropki nad „i”. Przed MSZ służył w karabinierach królewskich i był właściwie oficerem na urlopie. Często mówił o rozdźwiękach między dynas[t]ią<sup>124</sup> a Duce i stał wyraźnie po stronie dynastii. Teraz w rozmowie ze mną mówił o rozdźwiękach – na tle różnicy zdań w stosunku do wojny. Społeczeństwo podejrzewa Duce, że chce nowej awantury, czy szuka nowych wawrzynów, a tymczasem Włochy po ciężkiej i kosztownej wojnie o Abisynię<sup>125</sup> i po jeszcze cięższej i kosztowniejszej wojnie domowej w Hiszpanii<sup>126</sup> pragną tylko spokoju i w tej nadziei zwracają oczy ku dynastii. Mussolini musi się z tym liczyć, bo Włochy mimo wszystko nie są krajem bezkrytycznych i posłusznych baranów, jak Niemcy. Zresztą i Duce zdaje się w gruncie rzeczy wojny już nie chce. Przecież nie tak dawno, kilka miesięcy temu, już po zajęciu Albanii<sup>127</sup>, mówił o tym bardzo

---

<sup>123</sup> Może Romolo Mantovani mąż Eugenii Barbary z d. Staniszewskiej, siostry Marii, drugiej żony W. Pobóg-Malinowskiego.

<sup>124</sup> Wówczas królem Włoch, cesarzem Etiopii i królem Albanii (dwa tytuły nie uznawane przez większość krajów) był Wiktor Emanuel III (1869-1947) z dynastii sabaudzkiej.

<sup>125</sup> Konflikt zbrojny między Włochami a Etiopią 1935-1936, który wybuchł w wyniku kolonialnych aspiracji B. Mussoliniego.

<sup>126</sup> Konflikt zbrojny między rządem lewicowym hiszpańskim wspieranym przez ZSRR i międzynarodówkę komunistyczną a prawicową opozycją z F. Franco na czele 1936-1939.

<sup>127</sup> Łamiąc umowy międzynarodowe Włochy zaatakowały Albanie w IV 1939. Agresja zakończyła się obaleniem monarchii albańskiej i przyłączeniem kraju do Włoch.



wyraźnie, wygłaszając na Kapitolu mowę w związku z inauguracją wielkich prac przygotowawczych na projektowaną na rok 1942 wystawę międzynarodową w Rzymie. Lolo nie jest pewny, ale ten pokojowy charakter zamierzeń Mussoliniego znajduje dla siebie potwierdzenie w krążących w ambasadzie pogłoskach i opiniach. W maju zawarty został sojusz niem[iecko]-włoski, zwany „paktem stalowym”<sup>128</sup> – podobno jednak pakt ten zawarto dopiero po uprzednim zobowiązaniu się Hitlera do nie wywoływania – do unikania – wojny w ciągu pięciu najbliższych lat. Dlatego też w ambasadzie włoskiej – tak samo zapewne, jak w Rzymie – wybuch wojny mimo jaskrawych wypadków w lecie i zwłaszcza w sierpniu – powitano jako niespodziankę. Domysły te potwierdza oficjalna reakcja Włoch. W piątek – 1 IX – na wiadomość o wybuchu wojny pol[sko]-niem[ieckiej] Mussolini zwołał bezzwłocznie Radę Ministrów – ogłoszony po posiedzeniu komunikat mówi, że Włochy nie mają zamiaru przystępować do wojny. Jednocześnie opublikowano list Hitlera do Mussoliniego, stwierdzający, że Niemcy nie żądają od Włochów żadnej pomocy. Czy Mussolini nie zmieni swej decyzji dziś – wobec wystąpienia W[ielkiej] Br[ytanii] i Francji? Wszystko jak dotąd przemawia raczej za tym, że nie. W ambasadzie włos[kiej] zresztą panuje opinia, że Hitler jest przekonany, iż uda mu się zmiążdżyć Polskę w b[ardzo] krótkim czasie – zanim dojdzie do czynnej interwencji polskich aliantów wojna będzie już skończona – i alianci nie będą mieli po co występować. Na to liczy Hitler. Mussolini patrzeć musi inaczej – jest w obawie, by napad na Polskę nie przekształcił się w olbrzymi pożar europ[eijski] i zapewne dlatego wystąpił z inicjatywą zwołania konferencji pięciu mocarstw – z Polską oczywiście – celem zlikwidowania konfliktu. Niemcy nie zgodziły się na słuszną tezę ang[ielsko]-polską, iż konferencja może być zwołana pod warunkiem uprzedniego wycofania wojsk niem[ieckich] z zajętych już polskich obszarów. Niemcy odrzuciły tę tezę – inicjatywa włoska nie udała się, ale to wystąpienie Mussoliniego świadczy o głębokiej różnicy w postawie – Włochy, zmęczone i wyczerpane dwiema wojna-

---

<sup>128</sup> Pakt Stalowy – podpisany w Berlinie 22 V 1939 przez J. von Ribbentropa i G. Ciano. III Rzesza uznawała Morze Śródziemne za strefę wpływów Włoch, a w zamian Rzym zobowiązał się do popierania polityki Niemiec, aż do wystąpienia zbrojnie po stronie Berlina.

mi, powiększone o Abisynię i Albanię, mają dość zdobyczy i pragną dłuższego okresu pokoju, by mogły zdobyte te utrwalić i związać je ze sobą najmocniej – Hitler natomiast jest w połowie lub nawet na początku drogi do „powiększania Rzeszy”. Przy takiej zasadniczej różnicy trudno o ściślejszą współpracę.

W trakcie tej rozmowy – w środku obiadu – odezwała się syrena, zapowiadając nową wizytę niemieck[ich] bombowców. Nalot szedł silny. Gniewny warkot motorów nadlatywał szybko. Są coraz bliżej, o – już są nad nami – już przeleciały, gdzie? Trajkotały wściekle nasze k[arabiny] m[aszynowe], często odzywały się armaty, umieszczone gdzieś niedaleko. Za każdym wybuchem drżały szyby. W tym nieustannym huku wyróżniłem w pewnej chwili parę mocniejszych eksplozji. To chyba bomby większego kalibru, bo zadygotały okna, szarpnęły się niecierpliwie przymknięte drzwi. Kobiety – matka, Marysia, Zocha – zatrwożone, skupione w sobie modliły się cicho, drząc i żegnając się przy każdym wybuchu. Siedziałem w kącie kanapy, w milczeniu połykając czarną kawę. Filizanka Lola stała tuż, on jednak nie mógł opanować wewnętrznego niepokoju – chadzał wielkimi krokami po pokoju, po każdym wybuchu – raczej strzale armatnim – wchodził do saloniku, wyglądał przez okno na ulicę. W pewnej chwili podniecony przeszedł nagle z francuszczyzny na włoski. Mówił b[ardzo] szybko. Domyślałem się raczej niż zrozumiałem, że mówi o swych wrażeniach, jakie odniósł, oglądając wczoraj skutki bombardowania gdzieś na przedmieściu W[arsza]wy. Te zastosowane przez Niemców barbarzyńskie metody, są także przeszkodą w sojuszu niem[iecko]-włoskim. Był oburzony.

Po odwołaniu alarmu zatelefonowałem do Irki – nie byłem u niej od dwóch dni. Ale – na szczęście – wszystko dobrze. Trzyma się dzielnie. Zmartwiona tylko, że nauka w szkole jeszcze się nie zaczęła. Obiecałem zajrzeć na Koszykową wieczorem, koło 8-ej. Zaraz po tej rozmowie z Irką poszedłem do biura. Zocha prosiła, bym po drodze zajrzał z nią do sklepu, bo chciała kupić radio. Gdzieś na Marszałkowskiej obejrzałem kilka aparatów, poradziłem Zosi, który z nich wybrać. Chciała się zastanowić, poradzić z matką – miała wrócić tu sama. Poszedłem do biura – na Kredytowej gromadki ludzi, stojąc, pokazywali sobie kłęby dymu na tle jasnego nieba – przy blasku za-

chodz[ącego] słońca – jeden gdzieś w głębi, za placem Grzybowskim, drugi na Pradze – lub raczej w lewo od Pragi. Mówiono, że to palą się zestrzelone przez naszą obronę bombowce niem[ieckie]. Udziału w tej rozmowie nie brałem – w duchu godziłem się, że na pl[acu] Grzybowski[skim] istotnie płonąć może samolot, ale na Pradze chyba poważny pożar, bo kłęby dymu olbrzymie. W biurze powitał mnie telefon od Irki, która – zapowiadając herbatę dla mnie na 8-mą wieczór i abym „koniecznie przyszedł” opowiadała podniecona – z przejęciem – jak to przed chwilą widziała na Marszałk[owskiej] wiezione szczątki strzaskanego aparatu niemieck[iego] i zaraz w drugim aucie ciężko rannego lotnika niemieck[iego]. Nie żałowała go – dobrze mu tak, za to, co robił. Nie mogłem oczywiście mówić jej o konieczności współczucia, bo i u mnie piecił się gniew na tych barbarzyńców choć dokładniejszy obraz tego, co robili, miał dopiero powstać później. Parę chwil porozmawiałem z p[anią] Krzyczkowską, kt[óra] w trakcie obiadu słuchała radia angielskiego – ze zdziwieniem powtarzała mi wiadomość, że lotnicy brytyjscy zrzucili na Rzeszę zamiast bomb ulotki propagandowe. Dlaczego tak jest i co to znaczy. Dopytywałem się czy dobrze słyszała. Dobrze – mówił [wyraz nieczytelny]. Poczulem w sercu bolesny skurcz niepokoju – alianci nie widzą potrzeby pośpiechu czy też nie mogą zdobyć się na jakiś krok stanowczy? Poruszyło się wspomnienie rozmowy z Sewerem – że będą, zwłaszcza Francuzi – zwlekać! Czyżby ulotki te były potwierdzeniem jego przypuszczeń? Nie mogą alianci na lądzie – to jeszcze zrozumią. Ale w powietrzu? Po co rzucać ulotki, jeśli na Polskę – jak długa i szeroka – sypią się z nieba niemieckie bomby?

Pracowałem w magazynie – badając, jak wiele miejsca zajmą i ile skrzyń potrzeba na pozostałą część wyczyszczonego już prawie w całości archiwum [Departamentu] Administrac[yjnego]. Poleciłem pakować to do skrzyń z zamiarem wysłania tego jutro już na Fort Legionów. Szukałem telefonicznie – bez skutku dr Rybarskiego, by go o tym uprzedzić. Gdzieś koło 7-ej, Marysia, przechodząc przez plac Marszałka – wstąpiła na chwilę do mnie. Czy nie ma jakiejś wiadomości? Jest nieco zaniepokojona, bo na ulicach rzuca się nowy nieznaný dotąd widok. Ludzie w obładowanych autach zaczynają opuszczać Warszawę. Myślała początkowo, że to uciekinierzy z zachodnich

dzielnic Polski, ale musiała pożegnać się z tym złudzeniem, bo na autach numery warszawskie, zresztą dużo taksówek. Nie mogłem tego wytłumaczyć. Obawiałem się tylko, że po falach plotek optymistycznych (pełno ich było w ciągu pierwszych dni wojny) przyszła może fala przesadzonych obaw o pesymizmu. Marysia, widząc, że jestem zajęty, pożegnała się po kilku minutach. Ale wróciła niebawem ze zdziwieniem oświadczając, że zatrzymano ją przy wyjściu i nie pozwolono opuścić gmachu. Co to jest? Poszedłem z nią razem. Siedzący przy wyjściu urzędnik informac[yjny] – ten sam, z kt[órym] mówiłem telefonicznie pierwszego dnia wojny – oświadczył, że Biuro Pers[onalne] poleciło zatrzymać wszystkich urzędników, bo coś ma być ogłoszone. No, tak – ale moja żona urzędniczką nie jest. Wyprowadziłem Marysię za bramę i przypuszczając, że zaszło coś poważniejszego – prosiłem ją, by szła jak najprędzej do domu, by nie wychodziła już nigdzie i czekała na mój telefon.

Gdy wracając wchodziłem na dziedziniec – woźny Ryłko – biegł mi na spotkanie, meldując już z dala, że dyr[ektor] Sokoł[owski] wzywa mnie do siebie. Poszedłem, nie zwlekając. Sekretarz Niedźwiecki<sup>129</sup>, zajęty rozmową telefon[iczną], rzucił mi krótko: „Proszę wchodzić, nie czekając”.

Otworzyłem drzwi i ujrzałem scenę niezwykłą. W półmroku, bo pokój oświetlony był jedynie niewielką lampką biurkową z ciemnym abażurem – dostrzegłem trzech panów. Jeden – dyr[ektor] Schimitzek<sup>130</sup> w dziwacznej pozie siedział – raczej pół-leżał na dużym klubowym fotelu. Barański, pochylony nad nim, starał się wlać mu do ust trochę wody ze szklanki. Sewer stał obok z karafką w ręku.

Dyr[ektor] Stanisław Schimitzek nie cieszył się zbyt dużą sympatią w ministerstwie. Nazywano go „drugim Hoffmanem” – z przekąsem oczywiście i wyjaśniano, że Vlastimil Hoffman<sup>131</sup>, jeden z wybitniejszych polskich malarzy był synem mieszanego pol[sko]-czes[kiego] małżeństwa; rodzice postanowili, że jeden z synów, właśnie Vlastimil

---

<sup>129</sup> Edward Niedźwiecki (ur. 1890), podreferent w Gabinetie Ministra (1 I 1938–IX 1939).

<sup>130</sup> Stanisław Schimitzek (1895-1975), dyrektor Departamentu Administracyjnego (1 X 1933-IX 1939).

<sup>131</sup> Vlastimil Hoffman (1881-1970), artysta malarz.

„będzie Czechem”, drugi – Stanisław – Polakiem. Stało się inaczej – Vlast[imil] Polak, Stanisław – Czechem mieszkającym stale w Pradze i pełnym jak najgorszych uczuć do Polski. Co do Schimitzeka musiał być synem spolonizowanego urzędnika austriac[kiego] w b[yłej] Galicji – rodzinę b[ardzo] bliską miał w Pradze czeskiej, wśród rodowitych Czechów. Był przez szereg lat na placówkach zagranicznych, ostatnio w ambasadzie w Berlinie zdaje się, skąd [przyszedł] do Centrali. Mało inteligentny, aż dziw, że dostał tak wysokie stanowisko – był wprawdzie tylko dyrektorem Depart[amentu] Konsularnego (sic!), ale zawsze dyrektorem departamentu. Mówiono o nim, że ożeniony<sup>132</sup> jest z bliską krewną czy bodaj nawet z córką<sup>133</sup> Mar[jiana] Seydy<sup>134</sup> – ukrywał to starannie, w każdym razie unikał rozmów na ten temat. Arogancki, zarozumiały, nie lubiany, bardzo przykry w stosunku do swoich urzędników i w ogóle do każdego, na kim mu nie zależało. Ostre, drobne rysy twarzy z szybko, niespokojnie biegającymi oczkami – było w tym coś z lisa, choć starał się trzymać zawsze „spokojnie i godnie”. Nie był lubiany – był przedmiotem żartów i dowcipów. Jeden z najbardziej antypatycznych ludzi, jakich kiedykolwiek w życiu spotkałem. Kiedyś – w r[oku] 1936 – po nominacji Rydza na marszałka miałem z Schim[itzekiem] dość ostrą rozmowę na tle mego odczytu w klubie, bo ten Czech chciał koniecznie kadzić Rydzowi, nie rozumiał i „dziwił się”, że ja do tego nie dałem się namówić.

Teraz – ujrawszy go w tak niezwyklej pozycji – odruchowo rzucałem się naprzód.

„– Co się stało? – zwróciłem się z pytaniem do Sewera.

– Nic, to chyba zaraz przejdzie. P[anu] dyr[ektorowi] Schimitzekowi zrobiło się słabo, bo się za bardzo przejął...

– Czym? Co się stało – powtórzyłem pytanie, przeczuwając coś poważniejszego.

– Niech pan poczeka chwilkę – odrzekł Sewer, wskazując wzrokiem na bladego jeszcze Schimitzeka”.

<sup>132</sup> Elżbieta z d. Pruszyńska Schimitzek (zm. 1945), od 1929 pierwsza żona Stanisława.

<sup>133</sup> Żoną Mariana Seydy była Maria Emilia z d. Prószyńska (1893-1989).

<sup>134</sup> Marian Seyda (1879-1967), jeden z czołowych przedstawicieli narodowej demokracji, minister spraw zagranicznych 1923, minister bez teki (1939-1941).

Czekałem. Barański lał wodę w zaciśnięte zęby Schim[itze]ka]. Sewer patrzył na to cierpliwie. Niebawem, gdy Schim[izek]owi zrobiło się nieco lepiej – odprowadził [mnie na bok?].

„– Przejął się i zemdlał...! Bo widzi pan – premier<sup>135</sup> wydał zarządzenia, co do ewakuacji. Musimy wszyscy opuścić Warszawę – pan oczywiście z archiwum i biblioteką.

– A termin?

– Bardzo krótki. Pociąg ewakuac[yjny] czeka już na Dworcu Gdańskim, odjazd o 2-iej po północy, a więc jakieś 6 godzin.

– To niewykonalne, dla mnie przynajmniej.

– Wiem, rozumiem.... To też wysła pan na dworzec tyle, ile się zdąży. Ale trzeba się spieszyć i wysłać jak najwięcej. Tak – do Kazimierza. Jest nadzieja, że [odjedzie] jeszcze jeden pociąg, o godzinę czy dwie później, ale to tylko nadzieja. Wysła pan paru lub kilku urzędników – muszą opiekować się aktami w drodze, umieścić to w klasztorze czy spichrzach w Kazimierzu, przygotować się na przyjęcie następnej partii akt. Oczywiście – wysła pan w pierwszym rzędzie akta polityczne – z ostatnich lat najważniejsze. Tych paru urzędników może pan wysłać z rodzinami. Reszta na razie zostaje tu. Bo może być jeszcze jeden pociąg ewakuac[yjny], ostatecznie pozostała reszta urzędników będzie musiała zostać w W[arszaw]ie, wysłać akta do Kazimierza różnymi sposobami, autami np. – a gdyby było nie można to będzie je ukrywała poza MSZ, ostatecznie to będzie paliła wszystko, niszczyła, by Niemcy nic nie znaleźli. Mówię na wszelki wypadek, bo Warszawa chyba nie będzie oddana. Co do pana – chciałbym, aby był pan jak najprędzej w Kazimierzu. Pojedzie pan tam autem – chyba nad ranem. Poprosiłem pana tu – razem z tymi panami, bo nie przestając być w Gabinetie Ministra przechodzi pan

---

<sup>135</sup> Sławoj Felicjan Składkowski (1885-1962), gen. dyw. z 19 III 1936, II wice-minister spraw wojskowych i Szef Administracji Armii (VI 1931-1936), premier i minister spraw wewnętrznych (16 V 1936-30 IX 1939), internowany w Rumunii, wyewakuowany na Bliski Wschód, gdzie bez przydziału znajdował się w tzw. 2 Grupie w Palestynie. Ewakuacja najwyższych władz rozpoczęła się w nocy z 4/5 IX 1939. Prezydent opuścił stolicę 6 IX, natomiast Rząd w nocy z 6/7 IX 1939. Zob.: M. Sioma, *Rząd gen. dyw. Sławoja Felicjana Składkowskiego we wrześniu 1939 roku*, „Niepodległość”, Warszawa 2002, t. LII (t. XXXII – po wznowieniu), s. 13 i nast.

w zakresie ewakuacji na ten jeden czy dwa dni do Dep[artamentu] Administr[acyjnego], bo do niego należy wykonanie ewakuacji. Ale pan widzi, co jest ze Schimitz[e]kiem. Niech pan pójdzie teraz do siebie – proszę wydać odpowiednie zarządzenia, a za pół godziny wrócić tu lub nawet wcześniej jeśli pan zdąży”.

Zrozumiałem przede wszystkim jedno – nie ma chwili do stracenia. Toteż szybko wróciłem do siebie, wysłałem Rymkę po potrójną porcję czarnej kawy i zamknąwszy się na parę minut w pokoju, starałem się przemyśleć co i jak mam powiedzieć swym urzędnikom. W oczekiwaniu na kawę kazałem wzywać telefonicznie całą ranną zmianę współpracowników – i stałych i tych przydzielonych ostatnio. Uporządkowawszy jako tako myśli swoje zwołałem do siebie p[anią] Jaxa-Kwiatkowską<sup>136</sup> i Bombasa, który przed chwilą wrócił z Jeziornej. Auta ciężarowe stały jeszcze na podwórzu ministerstwa. Kazałem zatrzymać je. Woźnemu dałem 10 czy więcej złotych, by z pobliskiego baru przyniósł coś ciepłego – ostatecznie – kielbasę i chleb dla zmęczonych szoferów. I wódki, jeśli w barze sprzedadzą.

P[ani] Kwiatkowska i Bombas, nie rozumiejąc jeszcze lecz domyślając się niespokojnie słuchali tych zarządzeń. Wreszcie – zwróciłem się do nich. Powiedziałem ogólnie lecz stanowczo, co słyszałem od Sewera. Przede wszystkim – p[ani] Kwiatkowska. Ma 70 parę skrzyń przeznaczonych na wyczyszczonej reszcie Dep[artamentu] Administr[acyjnego]. Użyć te skrzynie na inne akta – Dep[artament] Administr[acyjny] nie dający nic może zostać. Jeśli część jego załadowano już – skrzynie opróżnić. Pakować przede wszystkim oryginały traktatów i umów międzynarodowych, potem najświeższe akta polityczne – od r[oku] 1937 wstecz, bo (1938 i [19]39 jeszcze w kancelariach wydziałów). Pracować jak najprędzej, bo – powtórzyłem – pociąg odchodzi o 2-ej. Jedną skrzynię poleciłem wydać p[ani] Krzyczkowskiej, kt[óra] miała załadować przyniesione dziś rano z mojego mieszkania materiały redakcyjne i moje rękopisy.

Po wyjściu p[ani] Kwiatkowskiej – zwróciłem się do Bombasa. Krótko – pojedzie do Kazimierza dziś razem z p[anem] Frenklem. Wybieram Bombasa dlatego, że może najlepiej potrafi rozpakować

<sup>136</sup> Zofia Jaxa-Kwiatkowska (ur. 1892), podreferendarz w Referacie Archiwalnym od 1 IV 1939.

i uporządkować to w Kazimierzu. Jechać może oczywiście z żoną. Niech więc pędzi, co sił w nogach do siebie na Żoliborz, pakuje swe osobiste walizki i wraca do MSZ, przed 1-szą musi być z powrotem, bo na dworzec pojedzie stąd w naładowanym aucie. Bombas zwyczajem swoim zaczął pojękiwać – tym razem dlatego, że ma nie tylko żonę – jest od przedwczoraj obciążony przybyłą z Katowic a złożoną z kilku osób rodziną brata. Same kobiety – czy będzie mógł umieścić je w pociągu, bo przecież rodzina brata do MSZ nie należy. Nie wiem – on, Bombas, jechać musi. Rozumiem, że mu trudno zostawić rodzinę, ale ja na to ani nie poradzę ani nie mam czasu. Już pana nie ma! Niech się pan stara na miejscu, na dworcu, ale ja tu nie mam na to czasu.

Wyprawiwszy Bombasa, parę minut rozmowy ze spokojną i opanowaną p[anią] Krzyczkowską. Jednej skrzyni wystarczy z trudem na redakcję i moje rękopisy, ale co robić z olbrzymim materiałem – przygotowanym już do druku i surowym jeszcze – do książki pozgonnej. Po chwili wahania kazałem wydać jeszcze jedną skrzynię – pakować do niej wszystko z I-go tomu książki i druki, i materiały. Reszta materiału do worków, kt[óre] zażądać z ekspedytu kuriers[kiego]. Potem – telefony do Marysi, by przyszła za godzinę, bo teraz nie mogę. Potem telefon do Irki – dziewczyna boi się iść przez ciemne ulice, Stefan nie może, bo ma dyżur obrony bierniej w kamienicy. Ale ja nie mogę przyjść, a muszę się widzieć i rozmówić w pilnej i najważniejszej sprawie. Ze ściągniętym do telefonu Stefanem porozumiałem się w tym sensie, że kobiety zastąpią go w dyżurze, a on sam przyjdzie do mnie na jakiś kwadrans koło 10-ej.

Potem poszedłem do Sewera. Był sam – przeglądał biurko i żelazną szafę. Przerwał tę pracę i zażądał herbaty, poczęstował papierosem. Dużo czasu nie ma, ale kwadrans może poświęcić...

„– Co się stało, że ta ewakuacja zarządzona została tak nagle i wszystko robi się w takim szalonym pośpiechu?”

Sewer wzruszył ramionami na znak, że nie wiele rozumie i nie wiele może powiedzieć.

„– Z ministrem B[eckiem] nie widziałem się od przedpołudnia, z nikim o tym nie mówiłem, więc do tego, co mówiłem rano o sytuacji na froncie nic dodać nie mogę. Przypuszczam, że stało się coś poważnego i niebezpiecznego, i chyba na odcinku najbliższym War-



szawy – pod Ciechanowem, bo tylko tym wytłumaczyć można i to zarządzenie o ewakuacji, i nakazany pośpiech, i krótki termin.– Będzie u ministra przed godziną 10.30 – coś się tam dowie, ale na razie nic prócz domysłów i wrażeń”.

O samym zarządzeniu ewakuac[yjnym] mówił Sewer z rozdrażnieniem – ze złością.

„– Dają taki krótki termin – można uciec, ale nie można ewakuować. Nie wiedziałem jeszcze sam, ale mówiono mi, że zarządzenia te wydane jako ściśle tajne – z nakazem, że ewakuację należy przeprowadzić w ciągu nocy tylko i sprawnie, by nie tylko nie ściągnąć nalotu niem[ieckiego] lecz przede wszystkim by nie zwracać uwagi ludności i nie wytwarzać nastroju paniki. Tak można uciekać a nie ewakuować! No, pan np. – co pan zdąży wywieźć do 2-jej? Przecież to nonsens. I mieli tyle czasu. I ten Nałęczów z Kazimierzem też sensu wiele nie ma. W lipcu, gdy pamięta pan w przewidywaniach ewakuacyjnych wyznaczano dla Prezydenta i Rządu Lublin, a dla nas – MSZ – Nałęczów i Kazimierz – min[ister] Beck w jednej z rozmów z Rydzem zwrócił uwagę, że to wybór niezbyt szczęśliwy, bo rejon ten nie posiada komunikacji kablowej, a łączność drutowa jest niewystarczająca. Beck brał na siebie omówienie tej sprawy z odpowiednimi organami rządu i wojska, Śmigły jednak oświadczył, że sam wyda zarządzenia. Chyba w tym sensie, by rozładować sieć łączności”.

Ale czy to zrobiono – Sewer nie wie. Teraz, przedwczoraj czy wczoraj, gdy wobec szybkiego rozwoju wydarzeń na froncie i wobec jaskrawych skutków bombardowania – Beck zaczynał wątpić, czy leżący tak blisko Warszawy i przewidywanej linii naszej obrony rejon Lublina będzie mógł normalnie służyć dla planowanego przesunięcia najwyższych władz i zorganizowania tam ich działalności. To też wczoraj czy przedwczoraj min[ister] Beck w rozmowie z Rydzem w Kwaterze Głównej na Rakowieckiej wystąpił z myślą powzięcia decyzji bardziej radykalnej w razie gdyby powstała konieczność ewakuacji Warszawy – a mianowicie – przenieść stolicę do Lwowa. Sewer powtórzył mi te szczegóły, z kt[órymi] później spotkałem się w wspomnieniach Becka.

„Jako argument – mówił minister – wysunąłem: 1) Doświadczenia wojenne wskazują, że przesuwanie tak ciężkiego aparatu, jakim jest rząd z jego wszystkimi organami, małymi etapami prowadzi z natury

rzeczy do dezorganizacji, gdyż każde poruszenie stwarza przerwę w pracy. Dlatego też radykalny skok wydaje się bardziej celowy – przykład: rząd franc[uski przeniósł się] w 1914 do Bordeaux; 2) Lwów daje znacznie lepsze środki łączności, lepszą możliwość zorganizowania obrony przeciwlotniczej, lepsze techniczne pomieszczenia dla biur i korpusu dyplomatycz[nego] w samym mieście lub bliskiej okolicy; 3) W każdym polskim konflikcie wojennym czy politycznym ze strony naszych nieprzyjaciół naciski kierowane są z reguły na dwa problemy polityczne – problem ukraiński w Małopolsce Wsch[odniej] i Wileńszczyzna. (Nawet Sowiety w lipcu na tych kierunkach szukały przemarszu). Wobec tego umieszczenie aparatu rządowego oraz zgrupowanie pewnych odwodów w tym – lwowskim – rejonie zabezpieczy dodatkowo jeden z naszych wielkich historycznych problemów, z chwilą kiedy dla zabezpieczenia drugiego (północnego) nie będziemy już mieli doraźnych środków oraz 4) Lwów leży na szlaku, prowadzącym do jedynej granicy, w stosunku do której możemy robić próby tranzytu materiałów, potrzebnych dla armii oraz przez którą możemy szukać łączności ze światem zewnętrznym”<sup>137</sup>.

Sewer – w szczerzej rozmowie ze mną odsłaniając tą nieznaną mi prawdę – podkreślał, że mimo tych i tylu przekonywujących argumentów Rydz przyjął projekt ministra „bez większej sympatii”, a kilka godzin potem zawiadomił, że nie sądzi, aby to było wskazane. Oczywiście – mówił Sewer – czyż mogło być inaczej. Świetny i najsluszniejszy projekt został odrzucony, bo pochodził od ministra. Tu Sewer jak zwykle – każąc raczej się domyślać, niż mówiąc wyraźnie – powtórzył stare swe przekonanie, że Rydz boi się silnej indywidualności ministra i nigdy żadnej rady nie przyjmie. O – mówił Sewer – i to jeśli chodzi o wypadki [z] ostatnich dni – nie stanowi wyjątku. Ta sama historia z projektem stworzenia „rządu wojennego”. Inicjatywa i tu wyszła od Becka, kt[óry] w rozmowie ze Śmigłym przypomniał mu, że organizacja takiego rządu, jako grupy politycznej ministrów z udziałem Nacz[elnego] Wodza, jako członka gabinetu, była przez J[ózefem] Piłs[udskiego] z prez[ydentem] Mościckim i wszystkimi pomajowymi premierami przepracowana w szczegółach i uzgodniona.

---

<sup>137</sup> Zob.: *Polska polityka zagraniczna...*, s. 274-275.

Ale Śmigły i tego projektu przyjąć nie zechciał. Odezwały się też zaraz protesty gorliwców. Gorącym i namiętym przeciwnikiem tej idei okazał się premier Sławoj Składkowski – „wachmistrz Soroka” – dziwić by to mogło tym bardziej, że we wspomnianych naradach u J. Pił[sudskiego] Sławoj udziału wprawdzie nie brał, lecz jako minister spraw wewn[ętrznych] był o nich poinformowany i wówczas zasadę takiego rządu przyjmował bez zastrzeżeń, godził się ze wszystkim i wszystkiego w dyskusjach bronił gorąco i namiętnie. Dziś śpiewa oczywiście inaczej. Nie powinno to dziwić po „sławnym okólniku”<sup>138</sup> i innych wyczynach. Śpiewa tak jak każe Rydz.

W słowach Sewera, jak zawsze w takich wypadkach, dźwięczała bezsilna złość na ludzi, którzy kierując się niechęcią osobistą do Becka – odrzucali takie mądre rady i sugestie.

„– Rydz – mówił Sewer – nie przyjmując tych rad – w jednym i w drugim wypadku zrobił głupstwo. To w polityce, a boję się, czy nie ma głupstw popełnionych i w strategii. Nie wiem – ale niepokoi sytuacja na froncie. Pańscy przyjaciele – mówił Sewer dalej – obawiali się, że Rydz wkroczy do Berlina. Czy wkroczy – nie wiem, prędzej Niemcy do Warszawy”.

Oczywiście – Sewer w rozmowie poruszył i sprawę archiwum. Wypytywał się o moje zarządzenia – o to jak i gdzie – co i ile zdążyć wysłać na dworzec. Zgodził się, że jeśli zabraknie skrzyń będę wiązał sznurem po kilka teczek. Wyjaśnił mi też, że ewakuacja rozbita jest na dwa eszelony – ciężki odchodzi dziś, lekki – minister ze swym ścisłym sztabem – pozostaje jednak w Warszawie. Stąd nadzieja, że i ja z archiwum będę miał więcej czasu, niż do 2-jej. Co do mnie – Sewer chciałby, abym jak najprędzej był w Kazimierzu – może pojedę nad ranem, muszę się do wyjazdu przygotować osobiście – jeszcze mnie o tym uprzedzi, a w wydziale swym powydawać wszystkie polecenia tak, aby to mogło funkcjonować beze mnie. Sewer zresztą będzie się tym opiekował po moim wyjeździe.

Te szczegóły o archiwum stanowiły początek rozmowy. Kończyliśmy ją niezwykle uwagami o stanowisku Rydza. Byłem dość mocno

<sup>138</sup> Premier S. F. Składkowski wydał tzw. „okólnik o drugiej osobie w Państwie”. Ta osobą miał być E. Śmigły-Rydz. Zob.: „Monitor Polski, nr 163 (16 VII 1936).

tym zgnębiony – nie zaskoczony, bo nie było w tym nic nowego, o tych rozdźwiękach wiedziałem dawniej. Ale słysząc to teraz – żałowałem, że nawet w dobie tak ciężkiej próby trwa to wszystko, jak dawniej.

Ale na medytacje nie było czasu. Zjawił się u mnie opanowany już, ale b[ardzo] zmieniony Schimitzek. Chciał koniecznie obejrzeć – zorientować się – ile czego mam do wywiezienia. Pokazałem mu jedno piętro – nie ma czasu na oglądanie wszystkiego, proszę pomnożyć to przez cztery i dodać bibliotekę. Nie – on chce koniecznie widzieć. Duszę w sobie wściekłość – oprowadzam go po wszystkich piętrach. Poszedł wreszcie, jakby przerażony ogromem tego, co widział. Ze schodów wrócił, prosząc mnie za 5 minut na konferencję, kt[óra] zwołał do siebie. Czy jestem potrzebny – mam przecież tyle pracy? Musi pan być – odpowiada – bo będą wszyscy naczelnicy z główn[ymi] referentami. Dobrze, przyjdę. Tymczasem czeka Frenkiel, ściągnięty telefonem z domu. Musiałem uprzedzić go, że wraz z Bombasem pojedzie o 2-ej do Kazimierza. Trochę wahałem się z jego wyborem. Miał sporo zalet – inteligentny, studia wyższe w szwajcar[skim] Fryburgu, w r[oku] 1914 – po ukończeniu ich czy też może przerywając je – wstąpił do Legionów, dosłużył się sierżanta [i] Krzyża N[ie]p[od]ległości z mieczami. Żyd – nie wypierał się swojego pochodzenia, rysy wprawdzie miał wybitnie semickie, ale nie robił tego, co inni o jaskrawszych jeszcze rysach – nie zmieniał ani nazwiska, ani imienia (Aharon), wszędzie podawał, że jest wyznania mojżeszowego. Już przez to można było go szanować. Ale obok tych zalet miał swoje wady. Mniejsza o to, że jako starszy wiekiem – około 50-ciu lat – rzadko kiedy przychodził do pracy punktualnie. Nie lubił się przemęczać – niby siedział przy biurku, chodził zafrasowany z papierami, ale niewielki [był tego] rezultat. Bał się – specjalny gatunek kwietyzmu. Bał się zapytać mnie o radę – bo cóż o nim pomyślę, bał się jednak załatwić samodzielnie, bo a nuż załatwi źle, to też wołał każdy papierek, bardziej skomplikowany odkładać „na jutro”, co tworzyło z czasem stosy zaległości. Sądziłem jednak, że przy pomocy Bombasa potrafi dopilnować załadowania w W[arszaw]ie i wyładowania w Kazimierzu. Zresztą – w W[arszaw]ie pozostawał ogrom bardziej odpowiedzialnej pracy, nie miałem wyboru – w W[arszaw]ie musiałem zostawić lepszych współpracowników. Jedyne jeszcze,

kt[órego] mógłbym wysłać, był dr Kosina<sup>139</sup> – ale jeszcze większy niedołęga, bardziej nieporadny. Więc zatrzymałem się przy Frenklu.

Po rozmowie z nim [poszedłem] do Schimitz[e]ka. Zostałem tam kilkunastu panów. Schimitzek silił się na spokój, starł się jak umiał ukryć swe zdenerwowanie. Nikt jeszcze o niczym nie wiedział na pewno, ale pogłoski musiały krążyć i siać podniecenie. Wszyscy oczekująco i niecierpliwie patrzyli na dyrektora, a ten – paląc papierosa – mówił długo o tym, czym jest ewakuacja, jak się ją i po co robi, w dzisiejszej wojnie – wobec nalotów – należy unikać skupień, rozpraszać się – słowem nudny wykład, brakowało tylko map i wykresów. Patrzyłem na niego z rosnącym zdumieniem i niepokojem. Rozum mu się pomieszał, czy co? Nagle jednak – chyba po 15 minutach takiego wykładu – nagle i niespodzianie zrobił dziki skok – nie skończywszy jakiegoś zdania, zmieniając ton – blady – oświadczył krótko, że ewakuacja została zarządzona, że wszyscy urzędnicy mają powyczyszczać swoje biura, kancelarie załadować akta, potem wszyscy do domu po walizki i rodziny – i na dworzec. To nagłe przejście było tak nieoczekiwane, że wielu patrzyło ze zdumieniem. Co? Jak? Poruszenie. Jakiś nad miarę zdenerwowany czy złośliwy urzędnik powiedział, że nie pojedzie:

Schimitzek: „Musi pan jechać i dlatego pan nie pojedzie?”

On: Bo mam bieliznę na strychu.

Schimitzek: To niepoważny argument!

On: Argument dostosowany do przemówienia”.

Nie słucałem jednak dalszego przebiegu tej wymiany zdań. Pobiegłem do siebie.

Marysi jeszcze nie było, ale czekał już Stefan. Powiedziałem mu – zastrzegając poufność – o ewakuacji, że ja sam prawdopodobnie nad ranem wyjadę, proponuję więc przez niego Irce i Hance, by jechały ze mną, bo zawsze będą przy mnie – gdziekolwiek się znajdę. Sam nie mogę do Irki przyjść, niech Stefan to im powtórzy – ja za godzinę zatelefonuję po odpowiedź. Jeśli się zgodzą jechać, niech nie zwlekając pakują walizki. Stefan przypuszczał, że będą wolały zostać. Rzuciłem wówczas argument po argumentie za wyjazdem. Stefan obiecał wszystko najdokładniej Irce powtórzyć.

<sup>139</sup> Stanisław Kosina (ur. 1896), radca w Centrali 1938-1939.

Jeszcze mówiłem ze Stefanem – a w drzwiach ukazała się znów blada twarz Schimitz[e]ka. Co się stało? A no – chce, żebym z nim szedł razem do Drymmera, bo moje archiwum to największy kłopot i największa odpowiedzialność! Tłumaczyłem, że tu Drymmer nic nie pomoże, że się do tego nie miesza. I po co do niego? No – powiedzcieć jak jest – może co poradzi. Ależ ja wiem i bez niego, co mam robić. Ale Schim[itzek] uparł się – zobaczyłem, że mniej czasu stracę na pójście do Drymmera, niż na splawienie gościa. Powitał mnie tu nastrój przedwyjazdowego pośpiechu i nieporządku – w sekretariacie pusto, drzwi pootwierane, w gabinecie tylko Drymmer nad otwartymi szufladami biurka – drze w pośpiechu jakieś papiery – szafy pootwierane świecą smutną pustką. O co chodzi? „Mnie o nic – ale dyr[ektor] Sch[imitzek] chce coś od was”. Drymmer zajęty swymi myślami i niszczeniem papierów słuchał nieuważnie. Schim[itzek] plótł 3 po 3. Z bezradnych jego postękiwań wyłoniła się wreszcie prawda, że boi się straszliwie odpowiedzialności, która spadła nań tak nagle, szukał kogoś, kto wydanym rozkazom zdjąć mógłby z niego choćby część tego nieznośnego ciężaru. W tej nadziei uczepił się rozpaczliwie Drymmera. Drymmer od czasu do czasu rzucał do mnie porozumiewawcze spojrzenie, jakby zapytać się chciał – o co Schimitz[e]kowi chodzi – wreszcie przerwał nagle, zniecierpliwiony, oświadczając, że nie może decydować ani radzić, bo to nie należy do niego. Dodał przy tym, że za 5 minut wyjeżdża autem do Kazimierza. Wyjaśnił również, że ostatnio otrzymany telefon wprowadził pewne zmiany – pociąg ewakuacyjny odjedzie nie z gdańskiego lecz wschodniego dworca i nie o 2-ej, tylko między 4-tą a 5-tą. Tak więc nie żałowałem tych kilku minut „straconych” przez Schim[itze]ka na rozmowę z Drymmerem. Zyskiwałem jeszcze dwie, może nawet trzy godziny.

Wracając do siebie – ujrzałem, jak urzędnicy moi – w koszulach tylko – wynosili załadowane już skrzynie do ciężarówek – pracowali obok woźnych i szoferów. Zajrzałem do magazynu – p[ani] Kwiatkowska obliczała, że za jakieś dwie godziny wypełni wszystkie posiadane skrzynie. Co potem? Wiązać sznurkiem teczki – po 4 lub 5.

W gabinecie swoim zastałem Marysię. Była nieco później niż prosiłem telefonicznie. Czekala, aż przygotują w domu jakąś kolację dla

mnie. Przyniosła chleb z masłem, wędliny, owoce, cały termos czarnej kawy. Jeść mi się nie chciało – ze zmęczenia. Marysia zmuszała gwałtem. Przełknąłem coś – z przyjemnością wypilem parę filiżanek kawy.

Nagle telefon. Słucham. Dzwoni Pola Gojawiczyńska<sup>140</sup>, kt[órá] kiedyś wysyłałem na Zaolzie z zadaniem napisania powieści. Głosem zmienionym do niepoznania wypytywała mnie o sytuację i czy to prawda, że rozpoczęła się ewakuacja urzędów. Skrępowany tajemnicą służbową i możliwością podsłuchu odpowiadałem ogólnikowo, raczej kazałem się domyślać. Jest bardzo zaniepokojona – mieszkający u niej w charakterze sublokatora jakiś wyższy urzędnik M[inisterstwa] P[rzemysłu] i H[andlu] czy też Ministerstwa Rolnictwa wpadł jak bomba do mieszkania, szybko się spakował i znikł, tłumacząc szybko, w kilku słowach, że wyjeżdża tylko na parę dni i jakoś naiwnie uzasadniając potrzebę zabrania wszystkich swoich ubrań i całej bielizny. Zaniepokoiło ją to. Czy Niemcy nie wkroczą do Warszawy? Jako autorka powieści o tendencjach antyniemieckich nie chce pozostać w W[arszaw]ie, tym bardziej, że ma dorastającą córkę. Radziła się, co robić – prosiła o ułatwienie wyjazdu, bo starostwo i policja – jak mówiła – ludności cywil[nej] z W[arszawy] nie wypuszczają. Słuchałem tych słów z prawdziwą przykrością – ani pomóc jej, ani nawet szczerze opowiedzieć nie mogłem. Cóż robić w takich wypadkach?

Zaraz potem telefon od Irki. Rozważała z matką i Stefanem sprawę wyjazdu. Wzięła pod uwagę wszystkie za i przeciw, i ostatecznie postanowiła zostać. Protestując, oględnie – ze względu na podsłuch – starałem się przekonać, proszę, by jeszcze się namyśliła i zapowiadam, że po ostatnią jej odpowiedź zadzwonię za godzinę. Ustąpiła, ale w ustępstwie tym nie czułem wahania. Chyba i za godzinę powie to samo, bo rozmowę kończymy nadzieją, że nie wyjadę bez pożegnania z nią.

Poruszony głęboko tą decyzją dziewczyny zacząłem przy pomocy Marysi porządkować biurko. Podarłem listy, materiał redakcyjny z licznymi fotografiami podrzuciłem Krzyczkowskiej i trochę akt p[ani] Kwiatkowskiej. Potem – kazałem Marysi położyć się na kanapie – obliczyła, że na spakowanie walizek potrzeba jej z godzinę czasu,

<sup>140</sup> Właśc.: Apolonia z d. Koźniewska Gojawiczyńska (1896-1963), polska pisarka.

niech więc czeka tutaj, aż Sewer zdecyduje kiedy ja wyjadę. W trakcie tej rozmowy zjawiała się p[ani] Kwiatkowska. Pakowanie skrzyń na ukończeniu, chce przystąpić do wiązania tek, ale brak sznuru. Ma niewiele – była w ekspedycji kurierskim, dyżurny urzędnik wydał wszystko, co miał, a nie wie, gdzie są pochowane zapasy. Tego, co p[ani] Kwiat[kowska] ma – wystarczy na kilkadziesiąt tek. Kazałem dzwonić do mieszkania kpt. Skarżyńskiego<sup>141</sup> i kogoś tam jeszcze z ekspedyktu (sic!). Telefony jednak nie odpowiadały. Może mieszkania były już puste – Skarżyński i inni może już wyjechali. Co robić? Kupić – ale gdzie, w nocy? Kogo wysłać? Chyba pójdę sam, bo ani p[ani] Kwiatkowska ani świeżo przybyli z Niemiec urzędnicy nie poradzą. Wyszedłem – z zamiarem zwrócenia się o pomoc do najbliższego komisariatu policji. Podeszedłem do pierwszego spotkanego policjanta. Zaraz zbliżył się drugi – trafiłem zdaje się na moment zmiany. Wylegitymowałem się, wysłuchali życzliwie – jeden z nich zgodził się zaprowadzić mnie i pomóc. Poszedłem – pustą i cichą ulicą – przez pusty pl[ac] Teatralny. W jakiejś ulicy w bok od Senatorskiej zatrzymał się przed zamkniętą bramką, dzwonkiem obudził dozorcę i kazał mu ściągnąć z góry Żyda – właściciela sklepu. Zaspany, na wpół ubrany zlął do nas – wysłuchał, tylnym wejściem z podwórza zaprosił do sklepu. Wybrałem kilkadziesiąt kłębów mocnego szpagatu, zapłaciłem, kazałem zrobić parę paczek. Usłużny policjant pomógł odnieść do Ministerstwa. Przekazując ten szpagat p[ani] Kwiatk[owskiej] obserwowałem przez kilka minut pracę w magazynie – wszyscy pomęczeni, przejęci, ale widać, że się spieszą, że starają się zrobić jak najwięcej, jak najprędzej. Parę słów rozmowy z policjantem o wojnie, o froncie, i o ewakuacji – z akcentem, że mimo wszystko będzie dobrze.

Poszedłem do siebie. Marysia spała na kanapie, przykryta letnim moim płaszczem. Nie chciałem jej budzić – to też z sąsied[niego] pokoju zatelefonowałem do Irki. Nie! Decyzji nie zmieni – rozważyła wszystko raz jeszcze i raz jeszcze postanowiła zostać. Jest już rozebrana, leży w łóżku. Powtórzyła prośbę, bym nie wyjeżdżał bez pożegnania. Po co prosi – przecież nie wyjadę. Zgnębiony – poszedłem

---

<sup>141</sup> Władysław Skarżyński (ur. 1898), radca ministerialny (1 V 1932-30 V 1934), z-ca naczelnika Wydziału Gospodarczego w Departamencie Administracyjnym (1 VI 1934-IX 1939).



do siebie, usiadłem w fotelu, wyciągnąłem obolałe nogi, wypilem kawę i paląc papierosa starałem się na próżno rozstrzygnąć co lepsze dla Irki – zostać czy jechać ze mną? Jechać niewiadomo gdzie i niewiadomo na co? Ale na smętne medytacje nie ma czasu – p[ani] Kwiatkowska mówi właśnie, że wszystkie trzy auta są wyładowane już skrzyniami po brzegi. Mogą jechać – ale z kim? Nie ma Frenkla, nie ma Bombasa, choć jest już grubo po 1-szej – zbliża się 2-ga. Do diabła! Nie wiedzą chyba o zmianie i siedzą może na dworcu gdańskim – a może z walizkami nie mogą wrócić do MSZ. Może jeszcze przyjdą, ale czekać nie wolno. Wybieram więc jednego z nowych urzędników, kt[óry] energią, przedsiębiorczością, szybkością już odpowiednio zwrócił uwagę. Każę mu jechać na dworzec wschodni – dopytać się tam o pociąg ewakuac[yjny], dać paręset zł[otych] z własnych pieniędzy – niech wynajmie tragarzy, wyładowuje z aut do wagonu i z pustymi autami wracać jak najprędzej. Jeśli jest tam Fr[enkiel] czy Bombas – oddać pod ich opiekę. Jeśli nie – no to musi jechać jeszcze jeden pan – i on zostanie pilnować.

Wyszedłem na podwórze, by wyprawić auta. Gdy odjechały – poleciałem pełne już skrzynie wynosić zawczasu na podwórze, by skrócić czas ładowania po powrocie ciężarówek. Przyglądałem się trochę. Potem przypomniałem o bibliotece, kazałem przynieść klucze, poszedłem. W pokoju, gdzie pracowały panie, ujrzałem stos przygotowanych do wywiezienia najcenniejszych wydawnictw. Przejrzałem – zrobiły inteligentnie, starannie. Ale co z tym zrobić – jak zapakować? Na to trzeba z 10 skrzyń, najmniej. Wracając do siebie – zajrzałem do Sewera. W sekretariacie pusto, pusto również w gabinecie Sewera. Drzemiący na korytarzu woźny oświadczył, że Sewer jest u ministra. Poszedł na krótko, ale jest już tam z godzinę, więc chyba zaraz wróci. Powiedziałem woźnemu, by zameldował, że byłem, że chcę mówić – jeśli więc będzie miał chwilę czasu, nich zadzwoni. Wróciłem do siebie. Praca wrzała. Marysia spała. Usiadłem w fotelu. Zmęczenie wisiało nade mną jakimś ogromnym, straszliwym ciężarem. Nie spostrzegłem nawet, jak wśród rozchwianych myśli o wojnie, o zbliżającym się froncie, o Irce, o wyjeździe z W[arsza]wy zasnąłem siedząc. Ale spałem chyba kilka minut. Obudził telefon – urzędnik, wysłany z autami meldował, że na dworcu tłum, wielu MSZ-towców, Bombasa ani

Frenkla nie widzi, pociągu jeszcze nie ma, ma zajechać za godzinę – co robić? Każę zapytać u dyżurnego ruchu – gdzie, na jakim torze pociąg podadzą – no i w porozumieniu z władzami dworca, najlepiej z komendantem – oficerem – wylądować w pobliżu przewidywanego miejsca, gdzie stać będzie pociąg. I po wylądowaniu zaraz wracać!

Rozmową tą obudziłem Marysię. W rozmowie z nią ten sam temat – Irka, wojna, ewakuacja, nadzieje, że mimo wszystko będzie jeszcze dobrze, wciąż jeszcze tkwiły mi w pamięci te dwie linie naszego oporu. Tu Niemców zatrzymamy, a zimę wypadnie spędzić w Kazimierzu, więc [niech] pakuje walizki – niech pamięta o ciepłych rzeczach.

Po jakimś kwadransie tej rozmowy zatelefonował Sewer, prosząc do siebie. Było już po 3-ej. Świtało.

Sewer był spokojny, jak zawsze, zasepiony jednak na twarzy więcej niż kiedykolwiek. Wysłuchał uważnie wszystkiego, co powiedziałem mu o dotychczas[owym] przebiegu i wyniku pracy w archiwum. Co do mnie – to Sewer nie podjął jeszcze decyzji, co do terminu mego wyjazdu. Dopiero, co odbył rozmowę z ministrem – musi jeszcze przemyśleć, zastanowić się kto zostanie przy nim. Wyjaśnił, że oprócz pociągu ewakuac[yjnego] MSZ dysponować będzie kilkoma autobusami – chciałby, abym ja wyjechał jednym z pierwszych autobusów – może wystara się dla mnie [o] auto, może da swoje. Powie mi za godzinę – po zastanowieniu. W każdym razie chce, abym był w Kazimierzu – przed przybyciem pierwszej partii akt – żebym przyjął to tam, zorganizował, wydał polecenia i wracał tegoż dnia do Warszawy. O ile to będzie możliwe – dodał. Marysię mam wziąć ze sobą, bo mogę nie wrócić. Muszę też przed wyjazdem jak najszczegółowiej omówić wszystko z p[anią] Kwiatkowską, by wiedziała, co ma robić – jak mnie nie będzie. Sewer obiecywał opiekować się, czuwać, udzielać pomocy, ale wchodzić w szczegóły nie mógłby dla braku czasu.

Zaniepokoiły mnie te zastrzeżenia, co do mego powrotu z Kazimierza. Zapytałem więc o front. Niedobrze. Gorzej niż wczoraj po południu, gdy wydano zarządzenia ewakuacyjne, bo niem[iecka] dywizja pancerna, a w ślad za nią oddziały zmotoryzowane przedarły się spod Ciechanowa aż pod Modlin. Wiadomości pewnych jeszcze brak, ale te, które nadeszły – każą się liczyć z możliwością b[ardzo] szybkiego dalszego marszu Niemców i zajęcia Warszawy.

„– Kiedy? – jęknąłem, myśląc o Warszawie.

– Cóż, niech tego pan nie powtarza bez potrzeby, ale jest tak, że Niemcy mogą być w Warszawie za kilka godzin.”

Wrażenie tych słów porównać mógłbym chyba tylko ze skutkami uderzenia maczugą w głowę. Milczałem. Milczał i Sewer.

„– A odwody – zapytałem.

– Wódz Naczelny odwodów nie ma! Albo chyba nie ma...!

– Jak to nie ma?

– Może nie przewidział takiego tempa uderzenia Niemców, może rzucił gdzie indziej – czy ja wiem? Jest rzeczą pewną, że poważniejszych sił do powstrzymania marszu Niemców na Warszawę brak..., przynajmniej o północy było brak..., może teraz, nad ranem ściągnął, ale skąd?”

W głosie Sewera brzmiał bezsilny gniew – [zdawało?] [wyraz nieczytelny], że [wyraz nieczytelny] Rydza. Wódz Naczelny bez odwodów! Co to jest?

„– Może nie przewidział, może po prostu nie starcza mu na zapchanie wszystkich dziur. Bo metody zastosowane przez Niemców, odbiegają daleko od wszystkich szablonowych naszych pojęć o wojnie. Teraz przede wszystkim wyszły na jaw skutki nalotów niemieckich na różne punkty w głębi kraju. Z tego, co się wie – wynikać musi, że pierwsze ataki bombowców skierowane były głównie na nasze lotniska – chodziło o zniszczenie pols[kiego] lotnictwa, ale się to nie udało, bo w przededniu wybuchu wojny, z chwilą ogłoszenia mobilizacji powszechnej, wszystkie nasze samoloty przeniosły się na dobrze ukryte i prawdopodobnie nieznanie Niemcom lotniska alarmowe. Równocześnie jednak szły – fala za falą – naloty na koszary, fabryki, składy amunicji, radiostacje, na punkty komunikacji i przede wszystkim na dworce kolejowe, pociągi, mosty. Czego nie dokonało lotnictwo – zrobiła nowa, nieznaną dotąd broń – dywersanci. Niemcy zrzucają ich z samolotów na spadochronach w ważniejszych punktach kraju, zaprzęgli do tej zdradzieckiej roboty zorganizowaną już zawczasu mniejszość niemiecką w Polsce. Oto np. szczegóły z Bydgoszczy. Od dawna tam zamieszkali Niemcy – obywatele polscy – wystąpili czynnie przeciwko maszerującym przez miasto oddziałom wojska, strzelając z broni ręcznej i maszynowej z okien domów i zza rogów

ulic. Wywołało to oczywiście uzasadniony odwet z naszej strony – były masowe rozstrzeliwania schwytanych na gorącym uczynku<sup>142</sup>. A tak, jak w Bydgoszczy, jest i gdzie indziej, nie tylko na Pomorzu, na Śląsku czy w Poznańskim, ale i w głębi kraju, może tylko na mniejszą skalę. To też w[e] wspólnym wysiłku niem[ieckiego] lotnictwa i dywersantów zburzono dworce kolejowe, rozbito lub uszkodzono tory i mosty, co na zachodzie zwłaszcza sparaliżowało ruch kolejowy. Jednocześnie niszczone sieć telegraficzną i telefoniczną – przy froncie i w głębi [kraju]. Komplikuje to niestęchanie kwestię rozkazodawstwa i łączności. Ale jeszcze nie wszystko – niszczycielskie i barbarzyńskie naloty na miasta mają swój cel w dezorganizacji życia polskiego – ewakuacji obszarów przyfrontowych towarzyszą tłumne wędrówki ludności, opuszczającej miasta w poszukiwaniu schronienia na wsi we wsch[odnich] połaciach kraju. Ta ewakuacyjna fala – ewakuacja samorzutnej, mimo zakazów trudnej do opanowania, bo ludzie jadą wózkami, idą pieszo – fala, podniecana nierzadko paniką, jaką rozmyślnie sieją dobrze po polsku mówiący dywersanci – zatarasowuje szosy i drogi, utrudniając niezwykle ruch jednostek wojskowych. W tych warunkach należy wątpić o skutecznym wykonaniu zarządzanej mobilizacji, co więcej – trudno doprowadzić jednostki wojskowe do przeznaczonych dla nich rejonów, skutkiem czego odwoły Nacz[elnego] Wodza przeznaczone do interwencji w punktach największego zagrożenia w krytycz[nym] momencie okazują się znacznie słabsze – lub nawet nie ma ich wcale”.

Narysowawszy przede mną taki dość beznadziejny obraz tyłów frontu i wnętrza kraju – Sewer przeszedł do linii [bojowej?] i tu bynajmniej nie lepiej. Żołnierz nasz bije się świetnie, nawet ranny nie wypuszcza karabinu z rąk – świetne są nasze armatki przeciwczołgowe. Stoimy jednak wobec olbrzymiej przewagi – przewagi w ludziach i materiale. Najbardziej bohaterски ułan z lancą w spotkaniu z czołgiem musi ulec. Pod względem techniki stoimy dość nisko – nawet za nisko.

---

<sup>142</sup> Ewakuujące się przez Bydgoszcz polskie jednostki 9, 15 i 27 DP zostały ostrzelane przez miejscowych Niemców. Dywersję stłumiło wojsko i policja przy pomocy m.in. ludności miejscowej, która wskazywała kryjówki. W walkach 3–5 IX 1939 zginęło około 240 Polaków i 300 Niemców. Władze III Rzeszy określiły te wydarzenia mianem „krwawej niedzieli”, a po wkroczeniu Wehrmachtu, w odwecie, zamordowano kilkaset osób.

I tu również spotkamy się z nowymi i nieznanymi dotąd metodami prowadzenia wojny. Pancerne oddziały niem[ieckie] – silne, ziejące ogniem i towarzysząca im piechota na samochodach poprzelamywały w wielu punktach pierwotną linię naszego oporu i wdarły się w głąb. Armie nasze, grupy, dywizje atakowane są z przodu, z boków, z tyłu – obraz chaosu organizacyjnego. Śmigły jako Wódz Nacz[elny] pozbawiony normal[nej] łączności z walczącymi oddziałami, zdany tylko na przypadkowe raczej, często sprzeczne ze sobą raporty, na strzępy jakiś meldunków...

Słuchałem tego z uczuciem lodu pod sercem. A więc jest już tak źle? I czy to wdarcie się do Modlina nie jest początkiem likwidacji drugiej przewidzianej linii oporu, tak, jak opanowanie ufortyfikowanego Śląska było początkiem likwidacji pierwszej?

Sewer powstrzymywał mnie jednak, raczej chciał powstrzymać – zresztą, może mówiąc ze mną, pocieszał i wspierał siebie. W tym, co mówił – czułem całą gamę uczuć dla Rydza – irytacja, niechęć, żal – jakby uważał go za niedołęgę, jakby zarzucał mu, że nie potrafił przewidzieć, a teraz nie umiał zaradzić. Dźwięczało jakby lekceważenie i brak wiary, że potrafi wybrnąć.

Modlin – mówił Sewer – może niepokoić. Istotnie – pęknąć może i druga przewidywana linia. Wtedy cóż? – bronić się chyba na Wiśle. Ale czy my, przykuci myślą do starych szablonów, nie przeceniamy znaczenia tej wodnej przeszkody – zwłaszcza teraz, gdy upały mamy jak w lipcu, a stan wody na Wiśle płytki. Zresztą – te przeklęte Prusy, grożące nam uderzeniem od tyłu.... Więc gdzie się cofać? Na Lubelszczyznę, Wołyń i Małopolskę – do Lwowa, o czym już dawno mówił Beck, a na co zgodzić się nie chciał Śmigły? No, ale nie wolno osłabiać się wewnętrznie takimi niewesołymi przewidywaniami. Trzeba się trzymać i trzeba wierzyć, że jakoś to się opanuje. Może wreszcie alianci uderzą, bo poszły już od ministra instrukcje do obu naszych ambasadorów w tym sensie, że niedotrzymanie obowiązku natychmiastowej pomocy dla nas grozi nieobliczalną szkodą dla wspólnej sprawy.

Takim akordem nadziei, zamykał Sewer swe szczere wynurzenia. Wracając do siebie zgnębiony mocno i jakby rozbity wewnętrznie. Czułem się jak gdyby ktoś ostrym nożem poprzecinał prawie wszystkie korzenie

dotychczasowych złudzeń, nadziei, oczekiwań. Można porównać z bombą, wybuchłą wewnątrz mieszkania. Bronilem się wewnętrznie – pochylony myślą nad tymi ruinami wnętrza siebie, jak pogorzelec na zgliszczach. Próbowałem wiązać poprzecinane nici – wierzyć jeszcze, że nie jest tak źle, że nastąpi jeszcze jakiś szczęśliwy i pomyślny dla nas zwrot. Ze słów Sewera starałem się wyłuskać wszystko, co mogło być jeszcze podstawą do nadziei – hamulcem, powstrzymującym przed rozpaczliwym zwątpieniem. W tym sensie mówiłem z Marysią. Przede wszystkim – Sewer w wyraźnej swej niechęci do Rydza może posunął się za daleko i w ocenie sytuacji, i we wnioskach na przyszłość. Poza tym – jest Wisła, która pozwoli bronić się i powstrzymać Niemców, Warszawa leżąca nad Wisłą, może być narażona nie tylko na naloty, ale i na ogień z dział. To też ewakuacja zrozumiała i konieczna. Warszawa będzie się chyba bronić, może wytrwa – aż zbierzemy siły, aż wystąpią alianci. Oczywiście możemy ją oddać Niemcom – ale chyba na krótko. Może tak nie być, ale liczyć się z tym trzeba – to też jeśli chodzi o te niepokojące uwagi i polecenia Sewera co do archiwum – wywozić co się da – dziś, jutro i później różnymi drogami, w razie odcięcia Warszawy – chować akta, ukrywać – w ostateczności palić – wszystko to rozumiał. Jest to przezorność – i nie wynika, że będzie źle, że nie może być dobrze jeszcze.

Marysia słuchała tych moich wywodów spokojnie. Przekonywałem nie tyle ją, co raczej siebie. Zresztą – nie było czasu na rozmowę i medytację. Wróciły z dworca auta. Przybyły z nimi urzędnik meldował, że stosownie do otrzymanych poleceń, wobec tego, że pociągu jeszcze nie ma, złożył skrzynie na peronie, w miejscu, gdzie w[edłu] g wskazówek komendanta dworca stanąć musi pociąg ewakuacyjny. Pilnuje tego drugi urzędnik i Frenkiel, kt[óry] mieszkając na Górnośląskiej w domu MSZ dowiedział się od kogoś o zmianie i poszedł nie na gdański, ale wprost na wsch[odni] dworzec. Bombasa nie ma. Na dworcu tłum – dwóch urzędników za mało do pilnowania, trzeba woźnych – zresztą urzędnik robi co innego. Wydałem polecenia – ładować auta, wywozić drugą partię skrzyń i po wyładowaniu wracać znowu. Woźnych wyślę na dworzec, jak tylko uzyskam ich przydział od kpt. Skarżyńskiego czy Rosmańskiego<sup>143</sup>, skoro tylko się zjawi w Minister-

---

<sup>143</sup> Stanisław Rosmański (ur. 1888), podreferent w Wydziale Gospodarczym Departamentu Konsularnego (10 VII 1936-1939).

stwie. Wyszedłem z tym urzędnikiem na podwórze. Ładowano auta. Porozmawiałem ze zmęczonymi szoferami, uzasadniając potrzebę nadmiernego wysiłku i nawet poświęcenia w takiej chwili. Rozumieli to – cóż, proszę pana – wiadomo, wojna, nie narzekali, wzdychali tylko, że zarekwirowani, od wczoraj rano nie byli w domu – gdzieś na przedmieściach, niepokoją się o rodziny ze względu na bombardowanie. Uspokoilem ich. W pewnej chwili ujrzałem zbliżającego się Sewera. Szedł – jak zawsze – kulejąc trochę, z laską w rękę, bez kapelusza. Przyglądał się chwilę ładowaniu, potem zajrzał do moich magazynów, wymienił parę zdań ze zmęczonymi urzędnikami – i wyszedł ze mną znowu na podwórze. Stanęliśmy w rogu – między głównym wejściem i Depart[amentem] Konsularnym.

Sewer mówił, [że] przemyślał już, ocenił, zorientował się. Za godzinę czy dwie przyjadą zarekwirowane autobusy – wywiozą do Kazim[ierza] i Nałęczowa urzędników z rodzinami i ich osobistym bagażem – po trochę z każdego depart[amentu] i wydziału. Gabinet Ministra będzie miał swój autobus. Sewer chce, abym wyjechał tym właśnie autobusem. Kiedy? Zaraz po 8-ej, najpóźniej o 9-ej. Marysia – ze mną, wobec tego musi iść do domu, spakować walizki, przed 8-mą być tu. Co do mnie – w Kazimierzu przygotować wszystko na przyjęcie archiwum, wydać wszystkie zarządzenia i wracać. Pociąg ewakuac[yjny] przyjść tam musi w południe – może już będzie jak przyjadę. Gdyby się spóźnił mam czekać. Wracać – po południu, wieczorem lub w razie opóźnienia pociągu nawet w nocy. Czym? Autem – jest tam już Schimitzek, on musi auto dostarczyć, ale na niego liczyć trudno – stracił głowę, niedołęga, swego auta chyba nie da – więc w takim wypadku mamy zwrócić się o auto i w ogóle o pomoc do Drymmera. Przed wyjazdem z Kazim[ierza] mam zapytać się Drymmera, czy droga do W[arsza]wy wolna, abym nie wpadł w ręce Niemców. Marysia ma zostać w Kazimierzu, bo jeśli wrócę do W[arsza]wy autem, to niewiadomo czym i jak – może nawet pieszo – będę musiał do Kazimierza wracać. Gdyby i Drymmer auta nie dał – to w Nałęczowie, w willi ministra, tam zawsze będzie parę maszyn, więc mam żądać z polecenia Sewera. Co do archiwum – „władzę” swą przekazuję Kwiatkowskiej. Sewer będzie pamiętał, opiekował się – do niego p[ani] Kwiatk[owska ma się zwracać] o pomoc, poparcie, decy-

zję. Ale Sewer nie może wchodzić w szczegóły, więc muszę p[anią] Kwiatkowską przygotować tak, by miała jak najmniej wątpliwości i by wiedziała, co ma robić nawet w wypadku, jeśli ja w ogóle do W[arsza] wy nie wrócę. Sewer, kończąc rozmowę, proponował swe auto Marysi, by pojechała po walizki na Tamkę i wróciła. Ale auto Sewer wysłał do domu, wróci za jakieś pół godziny. Marysia jednak czekać nie chciała. Zbliżała się godzina 6-ta – czasu niewiele. Pieszko poszła po matkę na [ul.] Jasną, stamtąd z matką pieszo na Tamkę. Miała zatelefonować, jak walizy będą gotowe – wysłę wówczas auto Sewera.

Zaraz po wyjściu Sewera zaprosiłem do siebie p[anią] Kwiatkowską. Zmęczona, straszliwie blada. Zaproponowałem resztki czarnej kawy z termosu; wypła szybko i chciwie. Mówiąc do niej powtarzałem znane już jej szczegóły i polecenia, dodawałem jednak i nowe. Uprzedziłem o swym wyjeździe i o powrocie – przede wszystkim więc polecenia na najbliższą dobę. Ale mogę nie wrócić. Przedstawiłem jej ogłędnie ale szczerze sytuację na froncie i swoje, i Sewera przypuszczenia. Jeśli nie wrócę – ma dopóki to będzie możliwe wysyłać różnymi sposobami i drogami akta do Kazimierza. W razie przecięcia dróg i otoczenia Warszawy rozparcelować archiwum – w pierwszym rządzie polityczne – częściami na Fort Legionów, na Długą, na Jezuicką – gdzie się da, byle tylko nie zostawić nic w gmachu Ministerstwa, bo tu Niemcy rzucą się na nie od razu, a rozparcelowanego może wcale nie znajdą. W ostateczności w razie wyraźnego niebezpieczeństwa palić. Jak? To zależy od okoliczności – może w centralnym ogrzewaniu MSZ, może na podwórzu. Ostatecznie – w magazynach, nie cofając się przed myślą, że wywoła to pożar gmachu. Ma też w tym celu wystarać się o parę beczek benzyny czy nafty. Biedna pani Zofia! Walił się na nią ciężar – przede wszystkim prawda o froncie, po wtóre – cała odpowiedzialność. Wypytywała się – przybita – o front. Uspokajałem – może będzie dobrze. Co do archiwum – pewny jej byłem i spokojny. Lubiła to archiwum, znała na wylot – łączyło się to u niej z rzadko spotykaną sumiennością i wyjątkowym poczuciem obowiązku. Wiedziałem, że choć ze zmęczenia padać będzie z nóg – zrobi wszystko starannie, dokładnie, jak najlepiej.

W trakcie tej rozmowy odezwała się syrena. Nalot. Cel bombowców musiał być blisko, bo nagle zlało się w jeden hałas wszystko – i huk



motorów, i bomby, i karabiny maszyn[owe] i armaty. Pracy nikt nie przerywał, o schronie nikt nie pomyślał. Zatrwożyłem się o Marysię, zatelefonowałem. Przed chwilą właśnie przysłała. Zatrzymała się na chwilę przed bramą naszą na [ul.] Smulikowskiego, bo na chodniku i jezdni duża plama. Ludzie zbiegli się ze wszystkich stron, podejrzewają, że to gazy. Trudno wyrokować, jeśli tego [się] nie widzi, ale może przesada, bo i skąd to się wzięło. Ludzie mówią, że spadło coś z niem[ieckiego] bombowca. Poradziłem zamknąć okna od Smulikowskiego i spieszyc. W kilka minut potem zadzwoniła Marysia, że auto Sewera niepotrzebne, bo p[an] Józef wyszukał gdzieś dorożkę, dzwonił właśnie, że zaraz przyjedzie. Marysia zapytuje, czy z walizkami przyjechać ma na Wierzbową? Decyduję, że na Jasną – niech tam czeka, autem Sewera pojedę pożegnać się z Irką i wracając wstąpię na Jasną.

Po tych telefonach skończyłem rozmowę z p[anią] Zofią. Pamiętam – brakowało paru minut do w pół do 7-ej. Zostałem w gabinecie sam. Czuję się źle fizycznie. Od pół godziny już z niepokojem wsłuchiwałem się w siebie – odzywały się charakterystyczne bóle w lewej stronie klatki piersiowej i drętwienia lewej dłoni – przybierało to na sile, znak, że zbliża się atak serca. Przeraziłem się, że w tak krytycznym momencie zwalić mnie to może z nóg na 3-4 dni. Atak – skutek ponurych wiadomości o froncie i nadmiernego fizycznego zmęczenia. Dawniej nosiłem stale przy sobie nitroglicerynę, od paru lat – wobec poprawy – nie nosiłem flaszeczki, lecz miałem ich kilka – zawsze pod ręką – w biurze, w domu, w Instytucie J[ózefa] Piłs[udskiego]<sup>144</sup>. I teraz znalazłem flaszeczkę w wyczyszczonej szufladzie biurka. Łyknąłem podwójną dawkę. Wobec natychmiast[owego] działania – ulga. Z kwadrans w bezruchu posiedziałem w fotelu. Zbliżała się 7-ma. Poszedłem do Sewera po auto. Zostałem go w jego gabinecie, gdzie przy pomocy Niedźwieckiego i Piłajki pakował do przywiezionych z domu małych walizek zawartość swej ogniotrwałej szafy. Nie chciałem przeszkadzać, więc krótko – o auto tylko. Mogę wziąć, ale zgłaszam się zbyt późno. Za 15, najwyżej za 20 minut auto musi być z powrotem. Nie pamiętam już dlaczego, ale b[ardzo]

<sup>144</sup> Instytut Badania Najnowszej Historii Polski został założony w Warszawie w 1923 i od 1936 nosił imię J. Piłsudskiego. Kontynuatorem placówki jest Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku założony w 1943 r.

Sewerowi zależało na tym, nie tracąc, więc ani chwili – z telefonu Niedźwieckiego zadzwoniłem do Irki. Dobrze, że już nie śpi. Jeśli nie jest ubrana, niech za parę minut w szlafroczku zejdzie na dół, bo czasu mam mało i szkoda tracić go na windę. Potem – stojącemu tuż szoferowi Szymańskiemu<sup>145</sup> kazałem podjeżdżać pod archiwum. Wpadłem do swego gabinetu i z szafy z książkami wyciągnąłem swoje osobiste rzeczy – głównie otrzymane po śmierci Leona Wasilewskiego wydawnictwa P[olskiej] P[artii] S[ocjalistycznej] od r[oku] 1892 – odezwy, broszury, czasopisma z kompletem „Robotnika”<sup>146</sup> na czele. Wszystko to w pośpiechu, przy pomocy paru urzędników zniosłem do auta. W pośpiechu zapomniałem – i przypomniałem [sobie] dopiero w Kazimierzu czy może w Krzemieńcu – o materiałach swoich z szafy żelaznej – akta bezdańskie, pamiętnik Bron[isława] Piłsudskiego<sup>147</sup>, zakupione na Litwie za pośrednictwem Katelbacha metryki i papiery rodzinne Piłsudskich od XV wieku.

Autem Sewera – przez Krakowskie [Przedmieście]-Nowy Świat-[Aleje] Ujazdowskie na Koszykową. Ruch niezwykły. Tramwaje przepełnione. Mnóstwo aut – mało wojskowych, b[ardzo] dużo prywatnych i taksówek. Ludzie siedzą w nich jak śledzie w beczce – wszystko obładowane nad miarę, oblepione walizkami i skrzyniami. Ponure wrażenia. Na chodnikach i jezdni nie zamiatanej rzucający się w oczy brud – mnóstwo podartych papierów. Krzyki dorożkarzy, przekleństwa szoferów. Zatrzymujemy się co chwila, dłużej na każdym skrzyżowaniu ulic, zwłaszcza przy Jerozolimskiej<sup>148</sup> i przy

---

<sup>145</sup> Szymański, szofer S. Sokołowskiego.

<sup>146</sup> „Robotnik” – organ prasowy PPS, wydawany nielegalnie w Warszawie 1894-1904, później w innych miastach, regularny dziennik 1919-1939 wydawany w Dąbrowie Górniczej, reaktywowany we Francji jako „Robotnik Polski we Francji” 1939-1940, po ewakuacji na Wyspy wychodził pod tytułem: „Robotnik Polski w Wielkiej Brytanii” od VIII 1940, po wojnie wydawany zarówno w kraju jak i na emigracji.

<sup>147</sup> Bronisław Piotr Piłsudski (1866-1918), brat J. Piłsudskiego, zesłaniec syberyjski, etnograf zajmujący się ludami i kulturami Dalekiego Wschodu, utonął w Sekwanie prawdopodobnie śmiercią samobójczą. Maszynopis dziennika z lat 1882-1883, spisany w 1918 znajduje się w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.

<sup>148</sup> Właśc.: aleje Jerozolimskie.

wyjeździe z N[owego] Światu na plac Trzech Krzyży. Trochę wolniej na Ujazdowskiej<sup>149</sup>, bo większość aut szła gdzieś w stronę Pragi, sporo skręciło w dół na ul. Książęcą. Wpadam na Koszykową. Z oddali już widzę czekającą Irkę, przy niej Kryśka i Hanka. Patrzą na zegarek – minęło 15, zostaje 5 minut. To przez ten tłok. Witam się. Mówię raz jeszcze, może wyjadą za mną, jest jeszcze godzina czasu. Odpowiadają spokojnie i stanowczo, że zostają. Co do mnie – mówię, że wyjeżdżam za godzinę z tym, że wieczorem czy w nocy wrócę. Ale mogę też nie wrócić. Daję przygotowane dla Irki pieniądze – prawie 3 000 zł. To powinno starczyć na parę miesięcy. Gdybym nie wrócił – a jej pieniędzy zabrakło – niech się uda do matki Marysi. No – już czas, termin podany przez Sewera już minął. Nie mogę dłużej. Tulę do serca dziewczynę – jest mocno wzruszona, ale panuje nad sobą – łez w oczach nie ma, próbuje się uśmiechać. Żegnam się z Hanką, potem z Krysią – na jej pytanie, jak jest mówię krótko, cicho, prawie do ucha – o przerwaniu się Niemców do Modlina, w nocy wyglądało tak, że Niemcy mogą być już w W[arszaw]ie, ale zdaje się, że ostatnio opanowano sytuację. Obejmuję raz jeszcze Irkę, raz jeszcze powtarzam, by w razie potrzeby zwróciła się do matki Marysi. Jestem już w aucie, przez otwarte okno rzucam ostatnie słowa. Szymański rusza. Irka stoi w bramie, wychodzi na chodnik, kiwa ręką, ale zakręć tuż, więc za chwilę znika mi z oczu. Jedziemy Mokotowską, przez Bracką na Jasną. I tu niesamowity tłok – prywatnych aut, taksówek, dorożek, wyładowanych niesłychanie ludźmi i walizkami. Patrzą na to ze ściśniętym sercem. Ale oto i Jasna. Marysia przypadkiem w oknie – proszę o pomoc, z Szymańskim niosę druki do mieszkania, rzucam w przedpokoju na podłogę, prosząc matkę o opiekę, wynoszę walizki, wracam by pożegnać się z matką i Zochą, zabieram Marysię i do Ministerstwa. Wszystko to – ze względu na tłok – trwało nad miarę długo. Sewer musiał być wściekły, więc Szymańskiemu poleciłem wytłumaczyć zwłokę i opóźnienie.

W ciągu tych trzech kwadransów wygląd dziedzińca MSZ zmienił się zasadniczo. Przybyli już urzędnicy (częściowo) – ci, co wyjeżdżać mieli autobusami. Napływali później stopniowo. W chwili

<sup>149</sup> Właśc.: aleje Ujazdowskie.

meo powrotu tworzyli jednak grupkę już dość znaczną. Pod murami gmachu – kobiety i dzieci, to rodziny, wśród waliz, skrzynek, byle jak – w pośpiechu – związanej pościeli. Pierwszy – kogo spotkałem – Bombas. Gdzie był dotąd, jeśli miał polecenie wrócić tu na 1-szą? Nie pamiętam już – jak się tłumaczył. Zdaje się tak, że nie mając ani dorożki ani taksówki z trudem, ratami nosił swe walizy z mieszkania na Żoliborzu na dworzec gdański. Tam czekał i czekał – byli też i inni MSZ-towcy, dopiero nad ranem dowiedział się, że z gdańskiego żaden pociąg nie pójdzie – szukał dorożki czy taksówki, no i dlatego się spóźnił.

Auta moje – ciężarówki – wróciły już z dworca, stały przy wejściu do archiwum. Urzędnik wożący i p[ani] Zofia powitali mnie wątpliwościami; wszystkie skrzynie są już na dworcu – pociągu jeszcze nie ma, ale na peronie tłok, skrzyni ciężkiej nikt tak łatwo nie ukradnie, ale teczki powiązane sznurkiem mogą zniknąć – co robić? Czy te teczki wysłać? Tak. Bo zaraz postaram się o woźnych – pojedę, będą pilnować! Urzędnik prosi o więcej tych woźnych, bo chodzi nie tylko o pilnowanie, ale i o wyładowanie. Tragarzy długo szukał – strata czasu, a poza tym tłum na peronie i w okolicy dworca coraz większy, ciężarówki musiały zatrzymać się dalej, niż poprzednio – dobry kawał drogi do miejsca, gdzie złożono, a teraz chyba będzie jeszcze dalej, bo jeszcze tłoczniej.

Wysłuchawszy tego – idę starać się o woźnych. Kpt. Skarżyński i Rosmański idą mi życzliwie na rękę – bez targu dają to, co na razie mogą – coś 5 czy 6 woźnych, obiecują później dać jeszcze kilku. W trakcie rozmowy słyszę, jak jakaś pani głośno dopytuje się o Marysię. O co chodzi? Mówi w największym zdenerwowaniu, prawie niegrzecznie, że jest już po 8-ej, Marysia ma dyżur przy telefonie i nie zgłasza się, a ona nie może już dłużej czekać, bo wyjeżdża z mężem. Nie chcę jej tłumaczyć, że i Marysia wyjeżdża, więc proszę, by poczekała jeszcze dwie minuty. Zabieram przydzielonych woźnych – z nimi do swych ciężarówek, każę pomagać w ładowaniu – potem na dworzec pilnować. Bombasowi, stojącemu obok z żoną Rumunką i 2 czy 3 kobietami z rodziny brata mówię, by dawał swe walizy na ciężarówkę, jechał na dworzec, tam z Frenklem ma się podzielić pracą – dozorować woźnych, potem ładować do wagonu. Potem – z Marysią

do hallu do telefonu. Marysia odbiera dyżur, a ja do biblioteki. Obie panie – Lola Briesemeister i Nela Micińska – już są. Proszę Nelę, by zastąpiła Marysię w dyżurze. Sam jeszcze zostaję – mówię z Lolą B[riesemeister]. Informuje mnie o tym, co i jak wydzieliła z najcenniejszych wydawnictw dla wywiezienia w pierwszym rządzie. Przyjmuję to bez zastrzeżeń. Lola B[riesemeister] korzysta, by „wstawić się” za Nelą, kt[óra] jest za ambitna, prosić sama nie będzie, a widać, że jest przybita z tego powodu, że wyjeżdża tyłu, prawie wszyscy – a ona nie. Pytam się Lolę o nią – co z nią? Odpowiada mi, że miejsce jej [jest] przy bibliotece – biblioteka na razie zostaje – więc sprawa jasna. Zresztą – ma męża, kt[óry] jako nie MSZ-towiec jechać z MSZ chyba nie może, a ona, Lola, rozstać się z mężem bez konieczności nieodzownej rozstawać się nie chce. Słusznie. Wydaję jeszcze polecenie – pierwsze archiwum, na drugim planie – biblioteka, więc na razie niech to, co przygotowała, czeka. W czasie mojej nieobecności decydować będzie Sewer sam lub przez p[anią] Kwiatkowską. Z biblioteki po drodze zajrzałem do Niedźwieckiego – co jest z tym autobusem i kto w tych sprawach rządzi? Weinstein<sup>150</sup>. A gdzie jest? Oto właśnie nadchodzi. Weinstein patrzy na zegarek. Autobus powinien już być – w garażu ministerstwa. Odjazd za pół godziny – prosi wszystkich znieść walizki do korytarza, najbliżej garażu. Wracam więc do siebie po drodze zatrzymując się przy telefonie, gdzie dyżuruje Marysia. Zwracam się do Neli w sprawie jej wyjazdu. Jest smutna – na pytanie moje odpowiada odwróceniem głowy, bo chce stłumić i ukryć łzy. Więc mówię jej, że do mnie wprawdzie należy podział moich współpracowników na tych, którzy zostają i tych, kt[órzy] jadą. Ona, Nela, wobec stanu rzeczy z biblioteką musiałaby zostać, wobec tego nie mogę decydować sam – jeśli ona jechać chce, ja muszę mówić o tym z Sewerem. Odpowiada mi podziękowaniem – wzruszona i wdzięczna, po chwili prosi, bym Sewera nacisnął.

Odchodzę – usilnie proszę jednego z woźnych, by zaniósł walizki. Żegnam się „do jutra” tylko z p[anią] Kwiatkowską, by nie robić zamieszania, zaglądam do pokoju p[ani] Krzyczkowskiej – nie ma jej, ale była przed chwilą, proszę, by powiedziano jej, gdzie jestem. Woźny

<sup>150</sup> Jan Weinstein (ur. 1903), radca w Wydziale Prasowym Departamentu Polityczno-Ekonomicznego 1939.

bierze trzy walizki naraz, ale za ciężko, w połowie drogi przystaje. Nieogłędnie biorę jedną z tych waliz, dźwigam mimo protestów Marysi, kt[óra] dołącza w hallu. Jakoś z trudem dobrnęliśmy do wskazanego przez Weinsteina korytarza. I tu katastrofa. Klatkę piersiową ścisnął nagle gwałtowny ból. Skurczyłem się, zgiąłem się w pałąk, ostatnim najwyższym wysiłkiem woli powstrzymałem się przed upadkiem na podłogę. Całe szczęście, że oprócz woźnego nie ma nikogo, że nikt tego nie widzi. Jeszcze by wzięli na języki. Woźny przynosi skądś syfon wody sodowej. Piję siedząc na walizce. Ale żadnej ulgi. Więc znowu mimo protestów Marysi zażywam nieco mniejszą dawkę nitrogliceryny. W tym stanie ujrzał mnie przechodzący Weinstein – było po nitroglic[erynie] już lżej, ale zawsze dostrzec coś mógł w twarzy. Zaniepokoił się, powtórzył, że autobus za pół godziny odchodzi, już jest – stoi nie w garażu, lecz na ul. Fredry. W autobusie będzie wygodniej, niż tu w korytarzu na walizce. Godzę się. Obiecuje przysłać woźnego. Istotnie – przyszedł jakiś po paru minutach. Wziął dwie [walizki] – odszedł z Marysią, ja zostałem przy trzeciej. Gdy zabrał i tę poszedłem i ja. Ale zaraz spotkałem zapłakaną p[anią] Jałowiecką. Z mężem jej, Bohdanem<sup>151</sup>, łączyły mnie bliższe koleżeńskie stosunki. Od paru lat był konsulem w Olsztynie. Żona jego – zapłakana, zaniepokojona – wszyscy konsulowie z Prus czy to są już w W[arszaw]ie, przejechawszy przez Kowno, czy też z Kowna już telegrafowali, a o Bohdanie nikt nic nie wie, Niemcy na pewno go zatrzymali, bo był już od dawna kością w ich gardle. Staralem się pocieszyć biedną, ale serce czułem jeszcze, więc nie bardzo mogłem. Może zdziwiła się brakiem – mimowolnym – głębszego przejęcia czy powściągliwością słów, jeśli szczerze przybita mogła dostrzec tę niewystarczającą zapewne i dziwną – oschłą – formę mej relacji.

Idąc z nią – wbrew zamierzeniom – znalazłem się w hallu, przy Neli, patrzącej na mnie pytającym wzrokiem. Myślałem, że czeka już odpowiedzi, ale nie – pokazuje mi oczyma stojącego obok Sewera. Rozmawia z kimś. Czekam parę minut. Gdy rusza – podchodzę. Uderzyć go musiało coś w moim wyglądzie. Co panu jest? – zapy-

---

<sup>151</sup> Bohdan Jałowiecki (1897–1941), konsul i kierownik konsulatu w Olsztynie (1 XII 1936-1 IX 1939), aresztowany przez Niemców, zmarł w obozie w Działdowie.

tał. Mówię o sercu. O, źle, trzeba się trzymać! Wiem, że trzeba, ale sercu nie zawsze można rozkazać, zresztą jest już lepiej – i nie chcę walczyć tego, przechodzę do sprawy Neli. Sewer odpowiada pytaniem – co myślę, czy będzie mi potrzebna w Kazimierzu? Kłamać nie chcę. Powtarzam mniej więcej to, co mówiła Lola, ale dodaję, że jak urzędników z archiwum, tak i panie z biblioteki można by podzielić – Nela przygotowałaby się tam na przyjęcie biblioteki. Sewer się wahał: po co ma jechać? Przecież ma tu rodziców, brata. Odpowiadam, że chyba nie zapomina o tym, ale jechać chce. No to niech jedzie! Wracam do Neli, powtarzam. Uszczęśliwiona, dziękuje. Nie wiem już jak – może telefonicznie, a może jeździła na Saską Kępę, dość, że w niepotrzebnym pośpiechu wyjechała w letniej sukience, z małą walizką – zmiana bielizny, ręcznik, pasta, szczotka do zębów. To wszystko. Bez płaszcza.

Miałem już iść do autobusu – gdy spotkałem się z poszukującą mnie p[anią] Krzyczkowską. Wyglądała zapewne gorzej niż ja. Czuli się źle. Od dawna chora poważnie na serce – pracowała i nie spała przez całą noc. Wobec tego, że do ostatniej prawie chwili – do 6-tej – nie wiedziałem na pewno jadę, czy nie i kiedy – nie omówiłem wyjazdu p[ani] Krzyczkowskiej, choć w ciągu tej koszmarnej nocy rozmawiałem z nią parokrotnie i o ewakuacji, i o sytuacji na froncie. Teraz wyszła kwestia – co p[ani] Helena ma robić? Bardzo bym chciał, by była przy mnie – już choćby ze względu na redakcję o księgę pozgonną (sic!). Ale są komplikacje. Osobiście – mam prawo zdecydować czy ona ma jechać czy zostać. Ale jeśli jechać – to skierować ją mogę na dworzec tylko, do pociągu, kt[órego] dotąd nie ma i lichy wie, kiedy będzie. O miejsce w autobusie prosić muszę Sewera – na pewno nie odmówi, tak jak i w wypadku Neli. To więc nie stanowi kwestii, ale w ogóle – czy jechać? Ja wyjeżdżam w przekonaniu, że wrócę na wieczór lub w nocy; z kolei jakoś będę musiał wrócić do Nałęczowa, więc wówczas pojedzie i p. Helena. Zgodziła się. Może udzieliła się jej moja wiara, że sytuacja nasza nie może być tak tragiczna, że nie możemy w piątym dniu wojny oddać Warszawy, że nie ma sensu uciekać nieprzytomnie na łeb na szyję.

Pożegnawszy się z p[anią] Heleną – poszedłem na ul. Fredry. Pusto i cicho. W głębi dostrzegłem autobus, przy nim Marysię zaniepokojoną,

dłaczego tak długo nie przychodziłem. Walizki nasze już na dachu, szofer drzemie przy kierownicy, poza tym – nikogo jeszcze nie ma. Wchodzę do wnętrza, siadam po zaciemnionej stronie. Marysia była już na śniadaniu w pobliskiej cukierni, zapowiada, że zaraz dla mnie coś przyniesie. Istotnie – po paru minutach mam szklankę herbaty i jakieś świeże drożdżowe ciastka. Połykam to. Sięgam po papierosa, lecz [ofuknięty?] przez Mar[ysię] ze względu na serce pociągam dwa razy i resztę – cały prawie papieros – wyrzucam przez okno. Wtuliłem się w kąt i w tej chwili zasnąłem jak kamień. Jakież to dziwne! Spać w takiej sytuacji, w takim zmęczeniu, z taki stanem nerwów po wrażeniach koszmarnej nocy? A jednak spałem. Czy to zmęczenie wzięło górę? – a może organizm upomniał się o swoje prawa, może bronił się właśnie przed wszystkim, co godziło weń i osłabiało?

Spałem z półtorej godziny, może dwie. Marysia w trosce o moje serce nie chciała mnie budzić – widziała potrzebę odpoczynku. Wyrwał mnie ze snu hałas i ruch. Spojrzałem przez okno – mijamy dzielnicę żydowską. Jedziemy? Oglądam się, obok Marysia – w autobusie pusto, w końcu jego tylko parę kobiet z Krotowskim<sup>152</sup>, urzędnikiem Sewera. Cóż to jest? Marysia wyjaśnia, że termin wyjazdu został znów przesunięty o parę godzin, Krotowski korzysta z tego, bo nie mając auta ani taksówki – jedzie pustym autobusem do swego mieszkania po walizki. Jestem wściekły na siebie, za to, że spałem, zły na Marysię, że nie obudziła, wściekły na Krotowskiego, że przez niego muszę jechać diabli wiedzą gdzie, a tymczasem tam u mnie w biurze ludzie gonią resztkami sił. W pierwszym odruchu chcę zatrzymać wóz, wysiąść i wracać pieszo. Marysia powstrzymuje – mniej czasu stracę na dojazd do Krot[oskiego] i powrót autobusem, niż stąd pieszo, po co się męczyć, jeśli sił tak mało? Przyznaję rację. Tłumię w sobie złość, wściekłość, wyrzuty sumienia, mówię sobie, że sen był potrzebny, bo czuję się znacznie mocniej. Niecierpliwie patrzę, jak mijamy dworzec gdański, potem – cały Żoliborz, wreszcie – wjeżdżamy w jakąś nową, zupełnie mi nieznaną dzielnicę. Krotowski, siedząc obok szofera, mówi mi, gdzie i jak jechać w labiryncie uliczek z niewielkimi domami – wil[ami]. Zatrzymuje się wreszcie. Krot[oski] wysiada z kobietami, ja z Ma-

---

<sup>152</sup> Właśc.: Ludwik Krotoski (ur. 1905), referendarz w Centrali od 31 III 1939.



rysią zostaję w autobusie. Liczę, że 10 minut starczy na wyniesienie waliz. Ale gdzie tam! Mija kwadrans i pół godziny i więcej. Przez otwarte okna dolatuje niezwykle hałas i ruch. Krotowscy [właśc.: Krotoscy] wśród głośnych narad, targów, nawoływań pakują jeszcze parę walizek. Klóćą się – wziąć to – czy zostawić? A tamto – przyda się czy nie? Zniecierpliwiony – wychodziłem już z autobusu, by prosić o pośpiech. Nagle – syrena. W tejże chwili warkot motorów. Podnoszę głowę – leci stosunkowo nisko 8-10 maszyn niemieckich. Słyszę strzały z k[arabinów] m[aszynowych] – nie nasze, niemieckie z powietrza. Kilka serii kul przeleciało nad głową – dość wysoko, ale z mocnym świstem. Nie warto ryzykować, bo licho wie – może i nasz autobus jest celem dla tych łajdaków. Idę więc do mieszkania Krotowskich – mały, parterowy domek, wewnątrz bałagan niesamowity, wszystko poprzewracane, walizy pootwierane, na podłodze jakieś szmaty, papiery, bielizna – szafy pootwierane, prawie puste. Siadam w przedpokoju i czekam. Krotowscy klóćą się w dalszym ciągu – z waliz już zamkniętych wyrzucają jedno, pakują drugie. Nie mieszam się, nie mówię nic, bo alarm trwa, motory ciągle słychać. Trwa to jeszcze z pół godziny. Wreszcie Krot[oski] oświadcza, że jest gotów. Zastanawia się czy czekać na odwołanie alarmu. Radzę, a raczej wymagam, by nie czekając wynosił walizy z mieszkania do autobusu. Usłuchał – mimo protestu kobiet – no, bo alarm trwa. Szofer pomaga wynosić, ładuje to na dach autobusu, dużo tego – prawie cały dach wypełniony. Patrzę na to i pytam Krot[oskiego] – gdzie umieszczą swe rzeczy inni ludzie? Coś tam mi odpowiada – jakoś coś poradzi. Trwa to długo – jeszcze kilka minut i po odwołaniu alarmu. Nareszcie ruszamy i po kwadransie dobrym (dłużej chyba) wracamy na Fredry.

Proszę Marysię, by została w autobusie i dała mi znać, jak zobaczy, że zanoszą się na rychły wyjazd. Sam idę czym prędzej do siebie – do wydziału. Dochodzi godzina 1-sza – w każdym razie grubo po 12-tej. W hallu – mijając pomnik Marszałka – spotykam Sewera. Spieszy się do ministra, który w mundurze pułk[ownika] artylerii konnej czeka, stojąc na I-szym piętrze – u góry, przy schodach. Sewer idzie szybko, lecz mijając mnie mimochodem mówi: sytuacja na froncie uległa zmianie na naszą korzyść, dlatego i wyjazd przesunięty o kilka godzin. Dodaje coś – już nie pamiętam – o ministrze: czy już był, czy

też jedzie dopiero na nabożeństwo w katedrze na intencję zwycięstwa oręża pols[kiego]. [Z udziałem] Rząd[ui], Sejmu, Senatu. Powiedział tylko tyle – nie zatrzymywałem, nie wypytywałem o szczegóły. Krótkie jego słowa przyjąłem z wdzięcznością i ulgą. Dzięki Bogu – nie jest tak źle, jak wyglądało w nocy i nad ranem. I na pewno będzie lepiej!

Myślę o Irce, by zatelefonować do niej, że jeszcze jestem i że jest lepiej na froncie. Alę uwagę moją pochłania zmieniony do niepoznania wygląd ministerialnego podwórza. Stoi tu już kilka wielkich autobusów – niektóre wypełnione już ludźmi, inne jeszcze zamknięte. Na podwórzu zdenerwowany i podniecony tłum – urzędników i ich rodzin wśród istnych gór walizek, pościeli, luzem leżących futer. Wszystko faluje – w jakimś bezcelowym ruchu, tam i z powrotem. Słysząc płacz dzieci, kłótnie, wzajemne pretensje. Tu też, w tej właśnie chwili, spotkałem się po raz pierwszy z chamstwem, kt[óre] pod niszczycielskim wpływem wojny wypływało z głębi – spod pękającej skorupy obowiązujących dotąd konwenansów, zwyczajów towarzyskich czy zasad dobrego wychowania. Otwierano właśnie jeden z zamkniętych autobusów. Ludzie rzucili się szturmem – wśród krzyku, wzajemnego rzucania się na siebie – aby prędzej się wcisnąć i zająć miejsce. Jeden z panów pchnął kobietę z wyraźnymi oznakami ciąży, zatoczyła się z jękiem. Wywołuje to falę protestów, oburzenia i interwencję kogoś, kto zarządzał autobusami. Patrzę na to z mieszaniną smutku, oburzenia i przerażenia. Idę dalej – do siebie. Przy wejściu spotykam wracającą p[anią] Zofię – ma sporo pieniędzy w dłoni. Co to jest? Wypłacają za trzy miesiące z góry gaże tym urzędnikom, którzy na razie zostają. Wchodzę do gabinetu – mówię p[ani] Zofii o lepszej sytuacji na froncie. Przyjmuje to z ulgą i radością. Wypytyuję o bieg pracy – tu, w archiwum, dobrze, wiąże się w dalszym ciągu teczki sznurkami, ale gorzej na dworcu – auta dotąd nie wróciły, długo stały na Targowej, bo nie mogły wjechać na dworzec, telefonowano stamtąd, że pociąg już jest, ale nie ma wagonu towarowego na akta, tłum, ciężarówka stoją daleko – akta trzeba nosić, z trudem przeciskając się przez coraz większy tłum. Odpowiadam, że musiałbym chyba sam tam pojechać, ale nie wiem – czy zdążę. Muszę pomówić o tym z Sewerem. Jest on u ministra, mam trochę czasu, dzwonię do Irki – mówię, że jeszcze nie wyjechałem, ale przyjść nie mogę, pocieszam lepszymi wiadomościami

z frontu. Potem parę minut rozmowy na ten sam „frontowy” – optymistyczny – temat z p[anią] Heleną. Idę do Sewera – widzę go, stoi na schodach przy głównym wejściu, otoczony paru urzędnikami – słów nie słyszę, z wyrazu twarzy, z gestów widzę, że karci za coś – wydaje polecenia. Siadam na schodach i czekam, patrząc ponuro na ziemię, by nie widzieć tego, co się dzieje na podwórzu.

Nigdy chyba nie zapomnę, górującego nad innymi uczuciami, palącego mnie w tej chwili uczucia wstydu. Miałem oto przed sobą z jednej strony – na podwórzu zdenerwowany, podniecony tłum „kolegów” i ich rodzin, podniecenie i nerwy pośpiechu, robiło to wrażenie bezładnej, chaotycznej, pełnej prawie paniki ucieczki, [jak] niespokojne, rozgrzebane mrowisko, z drugiej, za kratami zamkniętej bramy – grupki przechodniów zatrzymujących się na chwilę i obserwujących ciekawie, może z tragicznym skurczem twarzy, co się u nas dzieło. Myślałem, że nie jeden z tych przechodniów, oderwawszy się od krat naszej bramy, pobiegnie w głąb miasta jako zwiastun wyolbrzymionego nieszczęścia – wszystko przepadło, bo MSZ ucieka.

Wiedziałem dobrze, rozumiałem w pełni, że o tak fatalnym przebiegu ewakuacji zdecydował piorunujący rozwój wydarzeń na froncie. Nie ulegało wątpliwości, że ludzie odpowiedzialni zostali zaskoczeni, tak, jak nowe metody wojny musiały zaskoczyć zapewne niejednego z wyższych wojskowych. Wiem i widzę, że ci – odpowiedzialni – nie stoją z opuszczonymi bezradnie rękami – na każdym prawie kroku spotykam się z ich strony z próbami i wysiłkami opanowania chaosu i objawów rodzącej się paniki. Ale wysiłki te przypominały nieskuteczne zarządzenia przypadkowego kierownika walki z nagłą i gwałtowną powodzią. Podnoszę głowę, spostrzegam Sewera. O! – czyż nie jestem wymowną ilustracją dla moich myśli? Nie sili się już na spokój, czerwony z irytacji czy z oburzenia mówi b[ardzo] podniesionym tonem, prawie krzyczy na stojących przed nim kilku urzędników – może to tchórz, siejący w przerażeniu panikę, może niedołęga, kt[óry] stracił głowę, może cham, potrącający brutalnie kobietę w ciąży. Krzyczy Sewer, irytuje się, a gdy odejdzie? Ci sami skrzyczani robić będą to samo!

Patrzę na podwórze – myślę o fatalnym wrażeniu, o tym, co pomysłi i jakie wnioski wyciągnie miasto. Czy wrażenia tego nie można

było osłabić? Kwestia nie błaha, chodzi przecież o nastroje Warszawy, a przez nią i całą Polskę.

Myślę o tym i przychodzę do wniosku, że wrażenia te można było w znacznym stopniu osłabić. Przede wszystkim – przez planowaną akcję informacyjną. W styczniu już przecież zdawaliśmy sobie sprawę z niepokojących zjawisk, które mogły prowadzić do wojny, w marcu przeprowadziliśmy pierwszą falę mobilizacji<sup>153</sup>, w czerwcu wreszcie byliśmy już pewni, że konflikt jest nieunikniony – nie znaleźliśmy tylko terminu, krótszego czy dłuższego. A skoro było tak, to mając do dyspozycji radio i prasę można było łatwo oswoić ogół z zagadnieniem ewakuacji, usprawiedliwić i uzasadnić zawczasu jej cele i potrzeby. Niestety – nie zrobiono nic. Nie słyszałem nigdy o żadnym przemówieniu radiowym, w prasie nie spotkałem ani jednego artykułu. Z drugiej strony – pewne części administracji – już choćby dla przykładu moje archiwum – można było wywieść w ciągu lata, w lipcu czy nawet w sierpniu. Bez pośpiechu, w porządku, starannie. Ileż to poginie teraz! Ileż pracy pochłania praca porządkowania! Ale i tego nie zrobiono. I gdy wczoraj wieczorem wydano zarządzenia ewakuacyjne z tak krótkim, 6-cio godzinnym terminem, to jaki musi być rezultat? Tylko jeden. Władze wykonawcze, czy raczej aparat wykonawczy staje nagle wobec olbrzymich zadań, przerastających znacznie siły i możliwości. A obok tego społeczeństwo warszawskie, rozmiłowane w dodatku w plotkarstwie, łatwowierne – nieprzygotowane psychicznie i myślowo do ewakuacji – z obrazu powstałego z objawów paniki, pośpiechu i chaosu wyciągnie niewątpliwie wnioski najmniej pożądane. Bo nie lepiej chyba niż u nas – wygląda ewakuacja w innych ministerstwach i urzędach.

Myśląc o tym – przed chwilą tłumaczyłem to zwykłym zaskoczeniem. Rzeczywistość swymi niespodziankami przerosła czy przekreśliła wszelkie przewidywania i obliczenia. Czy słusznie? Przypominam sobie, że przecież ewentualność ewakuacji rządu z W[arsza]wy była przewidziana i przepracowana na kilka tygodni przed wybuchem wojny. Początkowo – na przełomie czerwca i lipca – w planach tych ograniczono się do myśli o przeniesieniu pewnych ministerstw z do-

---

<sup>153</sup> Mowa o tzw. mobilizacji alarmowej przeprowadzonej 23 III 1939.

tychczasowych siedzib do lokalów zastępczych w obrębie W[arsza]wy. Myśl ta wyrastała z przewidywania bombardowania lotniczego stolicy. Później jednak – w połowie lipca – poniechano tego planu i wyznaczono dla poszczególnych ministerstw rejonu w głębi kraju. Lublin-Kazimierz-Nałęczów. Ale poza wyznaczeniem tych rejonów i poza dość powierzchownym nawet podziałem ministerstw na eszelon ciężki i sztaby ścisłe – nie zrobiono nic do momentu wybuchu wojny.

Dlaczego tak się stało? Zaskoczenie? Przypuszczenia i obliczenia inne, niż to, co wyrastało tak nagle i tak szybko z wojny? Oczywiście – w pewnej mierze – tak. Obok tego jednak inne zjawiska. Bo oto w pewnych sprawach – mimo stałych ostrzeżeń MSZ – w wybuch wojny nie wierzono i w konsekwencji nie chciano obarczać się pracami „bezcelowymi”. Po co szukać daleko, jeśli u nas, w MSZ, mam pod ręką Barańskiego. Może ta właśnie niewiara w wojnę spowodowała, że na kierownika prac nad planem ewakuacji wyznaczono z początkiem lipca niezbyt wysokiego urzędnika z Prezydium Rady Ministrów. Dziś czy wczoraj powołano na komisarza ewakuacyjnego wojew[odę] Bocińskiego<sup>154</sup>. Ale to dopiero wczoraj, czy nawet dziś. Do tego czasu kierował niezbyt wysoki urzędnik. A jego stopień służbowy zdecydował widocznie i o tym, że na delegatów poszczególnych ministerstw powoływano przeważnie ludzi młodych – u nas Piłkę i Krotowskiego – niedoświadczonych, do prac tych nieprzygotowanych i nie obejmujących myślą ani ogromu cięż[ąc]ego na nich zadania, ani skutków takiej czy innej ich decyzji. Widziałem to przecież w lecie w rozmowach z Piłką i Krotowskim.

Czy to wszystko? Niestety – jeszcze nie wszystko. W spadku po nieboszczce Austrii pozostała nam i górowała nawet w naszym życiu zasada „Grossmachei”<sup>155</sup> – o czym tak słusznie pisał Komendant w *Moich pierwszych bojach...*<sup>156</sup>. Otoczyć się tajemnicą, by przez to dodać sobie powagi i znaczenia. Zasadę tę żywcem przeniesiono do

<sup>154</sup> Ludwik Bociński (1882-1970), płk, w wojsku do 1935 r., wojewoda wileński (1935-1939), poznański (1939), od 6 IX 1939 r. Generalny Kwatermistrz Rządu, komisarz ds. ewakuacji.

<sup>155</sup> Właśc.: grossmachen (niem.) – wywyższać się.

<sup>156</sup> J. Piłsudski, *Moje pierwsze boje. Wspomnienia spisane w twierdzy magdeburskiej*, Warszawa [1925].

polskiego życia, pomieszano ją z zasadami starej P[olskiej] P[artii] S[ocjalistycznej] – owej konspiracji, przykrywano nieraz imieniem J[ózefa] Pił[sudskiego]go – starego konspiratora – wypaczano, wynaturzono, sprowadzono nawet do poziomu śmiesznej karykatury.

Nie jestem bynajmniej zwolennikiem zbyt daleko posuniętego liczenia się z tzw. opinią publiczną, zwłaszcza u nas, gdzie panuje bezkarnie nieprawdopodobne gadulstwo, plotkarstwo itp. Wiem, że w życiu państwa wielu spraw nie można ujawniać, nie można wystawiać na widok czy raczej na targ publiczny, bo byłoby to połączone z wyraźną szkodą dla państwa, z lekkomyślnym kompromitowaniem zasad jego polityki. Do powściągliwości w słowach zmuszają także stosunki z innymi państwami, kt[óre] chcą, by pewne sprawy pozostawały do czasu w ukryciu – mówił o tym niejednokrotnie i Beck. Wiem jednak, że można – bez żadnej szkody dla państwa – przeprowadzić podział spraw taki, by i przysłowiowy wilk był syty i owca cała. U nas jednak nie chciano takiego podziału dokonywać, nie chciano widzieć wcale różnicy między sprawą istotnie poufną a zagadnieniem błahym i bez znaczenia. W niektórych wypadkach – nawet w stosunkach wewnętrznych jakiegoś urzędu – przekraczano granice jaskrawej karykatury, szczególnym chińskim murem otaczając całą procedurę urzędowania, wpuszczając za ten mur niektóre jednostki, karcąc zaś – jako karygodną ciekawość czy nawet jako bezczelną śmiałość z troski szczerzej lub ze służbowej konieczności wynikające pytania ludzi, niedopuszczonych do tego tabu. Przykład szedł z góry i w miarę schodzenia w dół wynaturzał się w sposób coraz bardziej dziwny. Z tym chińskim murem spotkać się można było nie tylko w instytucjach centralnych, lecz także w województwach, starostach i jeszcze niżej – przy czym im niżej się schodziło, tym więcej spotykało się dowodów tępoty, jak u sławnego podhalańskiego starosty, który stał się przedmiotem niezliczonych żartów i dowcipów z tego powodu, że w r[oku] 1934, przemawiając do tłumów z racji klęski powodzi, w swym serwilistycznym zapędzie proponował powódź ochrzcić imieniem Marsz[alka] Pił[sudskiego], powodzi bowiem tak żywiołowej, tak wielkiej nie pamiętają nawet najstarsi ludzie.

Cóż dać mogły w rezultacie takie chińskie mury? Przede wszystkim w urzędach – zwłaszcza w centralnych – wytwarzał się, jakby żywcem

z farsy wyjęty typ napompowanego blagą i snobizmem błazna, który żadnej z tych państwowych tajemnic nie znał, o niczym właściwie nie wiedział, lecz który – wyzyskując pozory swych niby to bliższych stosunków z tzw. górą – otaczał się mgłą tajemniczości, półsłówkami i niedomówieniami stwarzał wrażenie, że należy do wybranego grona wtajemniczonych, lecz, że nie będzie na te wielkie tematy mówić z byle kim. Czasami jednak wytrzymać nie mógł – chciał się pochwalić, zaczynał gadać głupstwa, żonglować domysłami, stając się źródłem plotek i niezdrowych domysłów. Tak było w życiu wewnętrznym urzędów. A na zewnątrz? Społeczeństwo nie informowano lub informowano kiepsko, byle jak, strzępami. Warto powtórzyć to, co piszę gdzie indziej – na tle rumuńskiej rozmowy z gen. Berbeckim<sup>157</sup> – o hodowaniu imponderabiliów a zmniejszaniu bagażu politycznego. Olbrzymi tłum zwykłych śmiertelników, całe prawie społeczeństwo, skazane było na karmienie się plotką, która swą zjadliwością i wpływem podkopywała powagę władz, zawartym w sobie brudem niszczyła często podstawy zaufania. Jakżeż często mówiłem z Sewerem o konieczności walki z tą plotką – drogą pokazywania prawdy, wydanie przemówień Becka tu przecież miało swój początek. Jeden z najbliższych mi ludzi – Leon Wasilewski – nazywał to często „tajnami madrydskawo dwora”<sup>158</sup>, mając na myśli bardzo popularną w dawnej Rosji serię wydawnictw, poświęconych skandalicznym a przejawskrawionym szczegółom życia na hiszpańskim dworze królewskim. Te tylko skandaliczne – przejawskrawione, wypaczone, zabarwione tendencją – wystarczyć miały społeczeństwu w jego zrozumiałej, a często i bardzo szczerzej trosce o losy państwa. W normalnych pokojowych czasach takie przesadne lekceważenie czy neglizowanie opinii publicznej jednych prowadzić mogło do odzwyczajenia od politycznego myślenia, drugich oddzielać od rządzącej sfery stale pogłębiającym się rowem, nagłą katastrofą jednak nie groziło. Ale w czasach największej próby – w dobie tra-

---

<sup>157</sup> Leon Berbecki (1875-1963), gen. broni z 19 III 1939, 1929-1939 prezes Zarządu Głównego Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, 1939-1945 w niewoli niemieckiej.

<sup>158</sup> Dla przypomnienia zaczytywał się nimi (powieść: „Izabela Hiszpańska, czyli tajemnice dworu madryckiego”) Żołzikiewicz, bohater „Szkieł węglem” Henryka Sienkiewicza.

gicznego przełomu, kiedy egzamin zdawać musiał nie tylko dyrektor czy naczelnik, ale cały naród, system taki mścić się musiał rezultatem najbardziej opłakany. Czy więc i teraz naród, po wielkim wzlocie entuzjazmu i bezgranicznej wiary w siły własne, stając nagle oko w oko przed zbliżającą się katastrofą – tracąc tyle, tracąc dużo – w naturalnym w tych warunkach procesie poszukiwania winnych nie sięgnie po plotkę, nie oprze się na osadzie z plotek, jakimi go karmiono przez szereg lat, bo przecież innych elementów do sądu nie ma lub prawie nie ma. (Napisałem to, ale po przemyśleniu zdaje mi się, że będzie lepiej przenieść te rozważania w części do rozdziału I-go, gdzie piszę o stosunkach w przedwojennej Polsce, w części zaś na sam koniec rozdziału II-go, gdzie opowiadam o swej groteskowej sytuacji w Kazimierzu i Nałęczowie, właśnie z powodu nadmiaru konspiracji i chińskich murów. Tu trzeba by to streścić i powiedzieć tylko, że z niepokojem – z bolesnym skurczem niepokoju – myślałem, jakie skutki pociągnąć może ten wystawiony na publiczny widok chaos ewakuacyjny, jakie wnioski wyciągnie społeczeństwo, karmione plotkami i w plotkarstwie mimo wszystko rozmiłowane).

Ze smutnych tych rozmyślań wyrwał mię Sewer. Jest jeszcze wyjątkowo – nad miarę przejęty i wzburzony, choć stara się to ukryć – tkwi jeszcze myślą w tej przykrej rozmowie z urzędnikami i stojąc obok mnie mówi, że na niektórych panów przydałby się bat – najlepszy dla nich argument. Nie pytam się o szczegóły, odpowiadam uwagą, że w tym nagłym skoku – od normalnej pracy przy biurku do chaosu ewakuac[yjnego] – popękać musiały w niejednym jego wewnętrzne więzadła. Pokazuję wzrokiem dziedziniec, streszczam w paru zdaniach swe niewesołe myśli i o tłumie na podwórzu, i o przechodniach przed bramą. I mimo, że w zasadzie nie znoszę – jako zupełnie bezpłodnych – prób wyjaśniania kwestii – „co by było, gdyby było inaczej” – nie mogę powstrzymać się od uwagi, że może i było by lepiej zaoszczędzić Warszawie tego widoku – ewakuować wcześniej, w lecie – ostatecznie zaś w nocy, po cichu. Może i była racja w zamierzonym początkowo traktowaniu tej sprawy, wszystkich związanych z nią zarządzeń – jako „najściślej tajnych”. Sewer potakuje, czuję, że całkowicie podziela, zwłaszcza uwagi początkowe, ale zarówno on, jak i ja – nie mamy ochoty do rozwinięcia tego tematu. Pytam się



go o front – nie wie nic poza tym, że sytuację pod Modlinem jakoś opanowano, może utrzymamy się na przewidzianej linii – w każdym razie na ewakuację „zarobiliśmy” kilkanaście godzin – prawie dobę już. Pyta się mnie z kolei o moje prace. Powtarzam mu słowa p[ani] Zofii o sytuacji na dworcu – mówię, że chciałbym tam pojechać, ale czy mogę i czy zdążę, bo autobus na Fredry czeka. Sewer uważa za wskazane, bym jechał.

Tu mam w pamięci nie tyle lukę, co pomieszanie szeregu zdarzeń. Wszystkie je pamiętam dobrze, obawiam się tylko czy zachowały się w moim wspomnieniu w istotnej swej kolejności i przyczynowym związku. W każdym razie – pewny jestem treści tych szczegółów.

A więc – w pewnej chwili – może pod koniec tej rozmowy mojej z Sewerem, może później, wróciły z dworca moje ciężarówki. Urzędnik, mówiąc o trudnościach, mówił, co wiedziałem już od p. Zofii. Powtarzał najważniejsze – w podstawionym wreszcie pociągu nie ma wagonu towarowego na akta i bagaż osobisty. Opisywał nie budujące wcale momenty z zachowania się „ewakuowanych” w chwili podania pociągu – rzucili się szturmem, nie cofali się i tu niektórzy przed brutalnością, by zdobyć miejsce. Było w tym trochę przesady, jak stwierdziłem później, ale były istotnie przykre wypadki jak u nas na podwórzu z panią w ciąży. Kazałem ładować auta raz jeszcze powiązanymi teczkami, zapowiedziałem, że jadę sam na dworzec.

Obok tego – pamiętam, że Sewer brak wagonu towarowego skłonny był uważać za chwilowe nieporozumienie – może urzędnik źle patrzył, może ten wagon jeszcze dodadzą. Tempo wywożenia akt z archiwum docenił – w zgodzie ze mną – jako zbyt powolne. W związku z tym poleceniem Sewera, a w imieniu min[istra] Becka telefonowałem – pamiętam, z pustego gabinetu Sewera – do dyrekcji autobusów miejskich, z prośbą o dostarczenie kilku. Odpowiedziano mi grzecznie – z ubolewaniem – że wszystkie wozy są już zarekwirowane. Nie dałem za wygraną – bezpośrednio po tej odmowie zadzwoniłem, znów powołując się na ministra, do prezydenta miasta Starzyńskiego<sup>159</sup> z prośbą o interwencję w dyrekcji autobusów. W głosie prezydenta

---

<sup>159</sup> Stefan Bronisław Starzyński (1893-1943). mjr, polityk, ekonomista, komisarz prezydent miasta stołecznego Warszawy 1934-1939, cywilny komisarz obrony miasta IX 1939.

wyczułem dużo zrozumienia i życzliwości, chęć szczerą udzielenia pomocy – przypuszczał jednak, że interwencja jego skutku nie odniesie, bo przecież i dyrekcja autobusów rozumie o co chodzi i bez jego interwencji dałaby wozy gdyby mogła. Obiecał interweniować i o wyniku zawiadomić bezzwłocznie. Czekałem parę minut. Zadzwoił na podany mu numer – niestety, ani jednego autobusu już nie ma. Zorientowany przeze mnie w mojej sytuacji z całą życzliwością, którą czuło się w głosie, po krótkim namyśle zaproponował tak: da mi kilka tramwajów, przyśle je najbliższej ministerstwa, na plac przed teatrem – tu więc nosiłoby się akta, tramwaje wypełnione odwozły by to pod sam dworzec gdański. Dziękowałem, a nie pamiętam, czy to już sam, na własną rękę i od razu, czy też po rozmowie z Sew[erem] nie przyjąłem tego projektu, bo i nosić na plac trudno i byłoby to już wyraźnym sianiem paniki. Chyba zdecydować o tym musiałem po rozmowie z Sewerem, bo zaraz potem otrzymałem od niego kilka niewypełnionych – *in blanco* – nakazów rekwizycyjnych – z tym, że mam złapać i rekwirować pierwsze napotkane na ulicy wozy. Rozumieliśmy całą beznadziejność takiej próby, no ale może się uda. Wyszedłem – nie pamiętam czy sam już, czy w towarzystwie kogoś. Krakowskie [Przedmieście] i Nowy Świat. Tu – mniej niż rano, ale dużo jeszcze – naładowanych nadmiernie ludźmi i bagażem licznym, aut osobowych, dorożek, bryczek. Aut ciężarowych mało – przeważnie wojskowe. Cywilne nie zatrzymują się oczywiście na podawane przeze mnie znaki. W tych bezskutecznych próbach zatrzymania kogokolwiek dobrnąłem N[owym] Światem do Wareckiej. Tu – na rogu – nieoczekiwane powodzenie. Już nie pamiętam, czy to na skutek moich znaków, czy też z własnej inicjatywy szofer wielkiej – pustej – ciężarówki zwolnił ruch. Wskoczyłem na stopnie i pokazując mu nakaz rekwizycyjny – zapytuję czy jest wolny, wyjaśniając jednocześnie, że to dla MSZ. Nie próbuje nawet się wykręcać – czuję dużo życzliwej gotowości, więc każe mu zawracać, ale w tejże chwili zbliża się patrol z oficerem i rekwiruje wóz. Nie protestuję, rozumiem, że wojsko musi mieć pierwszeństwo, mówię jednak z oficerem, pytając go, czy nie mógłby zrezygnować, bo nam to też potrzebne. Odpowiada odmową.

Po powrocie z tej bezskutecznej wyprawy – może zaraz, może w jakiś czas później, gdzieś chyba koło 5-ej, bo już przy zachodzącym

słońcu, małym prywatnym autem Sewera pojechałem na dworzec. Szoferował woźny Kosiński, do pomocy miałem kpt. Skarzyńskiego. Znowu ten sam widok – na chodnikach raczej pusto, jezdnia prawie po brzegi wypełniona. Wszystko wali na Pragę, a więc na wschód Polski. przed dworcem tłoku nie było – bez problemu wjechaliśmy w głąb ulicy. Wsiadłem ze Skarzyńskim. Od razu – na jednym z peronów – poznałem swe skrzyni[e] a obok nich powiązane teczki – w pobliżu, niewielk[iego] budynku, rozwalonego częściowo przez bombę. Przewala się obok tego podniecony i zdenerwowany tłum – na ogół spokojnie, względnie cicho – w twarzach widać ni to rezygnację, czy to przygnębienie – chęć wyjazdu najszybszego. Dyżuruje jednak paru woźnych. Pytam się o Frenkla i Bombasa. Bombasa nie widzieli wcale, Fr[enkiel] był może przed godziną, siedzi już chyba w pociągu. Każę woźnym dobrze uważać i ze Skarzyńskim idę szukać dyżurnego ruchu. Znajduję go gdzieś na jednym z peronów, na kt[órym] stoją pełne ludzi pociągi. Ale kolejarz jest nieludzko zmęczony. Mówię do niego i widzę, że nie słyszy i nie rozumie nic. Biorę go pod ramię – widzę, jak zdobywa się na największy wysiłek – potem odpowiada mi spokojnie, grzecznie, cierpliwie, że nic nie wie. Nie wie nic o ewakuac[yjnym] pociągu MSZ – nie wie, czy, kiedy i skąd odejdzie, nic nie wie o wagonach towar[owych] – nic też nie obiecuje i jakby usprawiedliwiając się – „przecież pan widzi, co się tu dzieje” – bezradnym gestem rąk pokazuje na stojące pociągi, na tłum ludzi na peronie. Dalsza rozmowa z nim stawała się bezcelowa. Wracam więc ze Skarzyńskim. Zatrzymuje nas w drodze nadchodzący pociąg towarowy. Stoję tuż – przez otwarte drzwi towarówek widzę pierwszych naszych rannych żołnierzy. Ranni lekko – obandażowane ręce, głowy, w wagonach dość przestronnie. Ranni stoją lub siedzą na podłodze. Leżących nie ma. Cała gama zrozumiałych u mnie uczuć. Gdy ten pociąg z rannymi stanął – przeskakujemy ze Skarż[yńskim] na drugą stronę. Idę do komendanta dworca – jakiś miły, rozmowny i opanowany porucznik rezerwy – lat około 35. Ale i on – jak dyżurny ruchu – nie wie nic, nic też nie obiecuje. Idziemy dalej – szukać pociągu ewakuacyjnego. Znajdujemy go niebawem gdzieś na jednym z bocznych i dalszych torów. Okazuje się – nie tylko MSZ, lecz i inne urzędy. Idąc wzdłuż – odnajduję w tym pociągu szereg wagonów

MSZ-towych – poznaję je po znajomych twarzach. Pełno wewnątrz. Niewiarygodnie pełno. Bombasa nie ma, ale na skutek moich wołań wyłazi Frenkiel. Nie pytam się go, ale się tłumaczy, że był przy skrzyniach, a teraz odpoczywa. Patrzę na niego – starszy wiekiem, śmiertelnie znużony, więc mówię, by dochodził do skrzyń od czasu do czasu, by woźni czuli kontrolę. Gdzie Bombas? Nie wie. Siedzi chyba w jednym z wozów – może śpi zmęczony, może nie słyszy wołań, bo tłok i hałas wewnątrz. Wagonu towarowego nie ma – stwierdzam to, przechodząc z Fr[enklem] i Skarż[yńskim], wzdłuż całego pociągu. Sprawdzam, co mówi Fr[enkiel] – z braku tego wagonu wszystkie przejścia w wagonach osobowych zawałone [są] bagażem osobistym – walizki, skrzynie, pościel, to samo w przedziałach – na podłodze między ławkami, na półkach pod sam sufit. Stwierdzamy ze Skrz[ynskim], że ani skrzyń z aktami, ani nawet teczek tu się nie ulokuje. Frenkiel zaczyna biedować, co będzie w razie nalotu – tu teraz, czy w drodze – jak ludzie wygrzebią się z tego w chwili niebezpieczeństwa. Istotnie sytuacja poważna i niebezpieczna.

Żegnamy się z Fr[enklem], który odprowadza nas do auta, pędzimy z powrotem – jedziemy sami tylko w kierunku miasta, za to na spotkanie nam wali – sunie powoli raczej – gęsty zwłaszcza na moście Kierbedzia – sznur takich samych, uchodzących z W[arsza] wy limuzyn, aut, dorożek. Sewer, kt[órego] odnalazłem na podwórzu w tym samym tłumie – wysłuchał mego sprawozdania, ale na wnioski kazał czekać, bo jak powiedział – chce przywiezione przeze mnie szczegóły skombinować z innymi elementami. Z innych szczegółów tego ostatniego w W[arszaw]ie popłochu tkwi mi w pamięci parę moich telefonów do Irki – dzwoniłem, chcąc nie tylko pokazać, że do ostatniej chwili myślę i uczuciem jestem przy niej, lecz by i podzielić się z nią strzępkami wieści o polepszeniu się sytuacji na froncie, czego dowodem był także i odwoływany raz po raz termin mego wyjazdu. Byłem też parę razy na [ul.] Fredry, gdzie Marysia, siedząc obok z Nelą w dobrze już wypełnionym autobusie – pilnowały, by mnie na czas zawiadomić. Dłużej nieco – około pół godziny – spędziłem tu przed wyjazdem na dworzec. Było tu cicho, spokojnie, słonecznie – oddychałem z ulgą po atmosferze przygnębiającej [z] podwórza. We troje, bo z Nelą – zamiast obiadu – wypiliśmy kawę z jakimś ciastem

w tej samej cukierce, z kt[órej] rano Marysia przyniosła mi herbatę. Marysia telefonowała stąd do matki – na skutek tego telefonu Zocha przyniosła jeszcze trochę naszych rzeczy, m.in. nasze futra. Pamiętam, że w tym właśnie czasie gazeciarze – roznosząc popołudniówki czy nadzwycz[ajne] dodatki – wykrzykiwali optymistyczne bzdury nie tylko o naszych sukcesach, lecz i o bardzo skutecz[nym] bombardowaniu przez nas Berlina. Pamiętam – z uczuciem satysfakcji wczytywałem się w te szczegóły, wierząc oczywiście w plotkę o bombardowaniu. Wzmocniło się też przekonanie, że nie jest źle i będzie lepiej i na froncie – dzienniki budziły spory optymizm. (Ale jak słusznie – niezbyt słusznie tylko tutaj – pisze Katelbach: prasa popołudniowa z tego dnia:

„dobrze spełnia swą obywatelską rolę w tych ciężkich chwilach. Budzi zdrowy optymizmu. Ton jej jednak dla mnie, urzędującego od kilku godzin w Prezydium Rady Min[istrów] – stoi w rażącej sprzeczności z beznadziejną pustką, wiejących od tych opuszczonych apartamentów, w kt[órych] jeszcze nie tak dawno koncentrowało się kierownictwo nawy państwowej”,

[a] „Wieczór Warsz[awski]” pisał w krótkim artykule:

„Polski żołnierz wie, że na wojnie, jak to na wojnie – trzeba się nieraz cofnąć, by tym mocniej zaraz potem uderzyć. Pierwsze bowiem dni walki – to dopiero badanie wroga – jego stron słabych, by następnie się skupić i rzucić na niego jak jastrząb”.

Przepisałem ten ustęp z Katelbacha, by skorzystać z cytaty „Wieczoru”. Istotnie – pamiętam – jakiś artykulik w tym duchu i sensie. Czytałem to wówczas – przede wszystkim ze ślepą wiarą w druk[owane] słowo – nie tyle tłumiąc, co rozmyślnie nie dostrzegając drzemających wątpliwości czy krytycz[nych] zastrzeżeń. Poza tym jak u Katelbacha, tak i u mnie rażący kontrast między optymistycz[nym] tonem prasy a tym, co widziałem dokoła). Potem – w każdym razie po powrocie z dworca – siedziałem trochę dłużej u siebie w gabinecie, rozmawiając z p[anią] Zofią i p[anią] Heleną: mówiłem również z paru urzędnikami, kt[órzy] zostawali – utkwiała mi w pamięci obojętność kulawego Kostiuka – nie był przygnębiony, choć b[ardzo] zmęczony, ale w ogóle jemu było wszystko jedno – zostać czy jechać. Inaczej – Wisia Wojciechowska, ta – jak odnosiłem wrażenie – wołała zostać

ze względu na rodzinę brata – żonę z dziećmi, bo on [odleciał?] do Paryża drugiego czy trzeciego dnia wojny. Wisia była dobrej myśli – Warszawy tak łatwo nie oddamy, a jeśli oddamy – to ona przypomni sobie czasy pierwszej okupacji i pracę w szeregach młodzieży narodowej. Pamiętam też, że tu właśnie zaniepokoiłem się nieobecnością dwóch [osób] – p[ani] Jastrzębskiej, która mając syna w radio, a u mnie pracując „na funduszu”<sup>160</sup> Sewera – mogła z synem wyjechać. Ale też nie było i młodej Zygmąńskiej<sup>161</sup> – nikt jej od wczoraj nie widział, tylko ze słów urzędnika, co woził akta na dworzec – wynikało, że jest w pociągu, bo jakaś młoda blondynka rozmawiała z Frenklem. Ale czy to ona, a jeśli ona – to jak, z czyjego polecenia i jakimi drogami znalazła się na dworcu?

Dość późno już – chyba po 7-ej – bo już o gęstym zmroku przyszedł jakiś woźny – Sewer wzywa do siebie. Poszedłem. Rozmawialiśmy z kwadrans w zięjącym smutną, przedwyjazdową pustką gabinecie Sewera. Biorąc po uwagę i to, co przywiozłem z dworca i to, co wiedział skądinąd o innych sprawach – zmienia decyzję co do mnie. Przede wszystkim – sytuacja na froncie. Szczegółów nie ma, ale w ogólnym zarysie – walki na południe i zach[ód] od Warszawy toczą się w rejonie Radomska i na linii Warta-Szczerców-Kamieński. Nie mając mapy – starałem się myślać wyłowić, gdzie to jest. Jakby odpowiadając mi – Sewer podkreślał, że to dość daleko jeszcze od przewidzianej linii naszego „zdecydowanego oporu”, więc powodu do niepokoju nie ma. Na północy – pod Modlinem – sytuację na szczęście opanowano. Ponieważ mówiono mu o walkach w rejonie Ciechanowa i Płońska, przypuszczać może, że pod Modlinem nie tylko zapchano dziurę, ale że odrzucono nawet Niemców. Sytuacja w ogóle lepsza, niż nad ranem. Daje to nadzieję, że będziemy mieli więcej czasu na wywiezienie archiwum. O ile jednak dobrze na froncie – o tyle źle na odcinku ewakuacyjnym. Bałagan. Kolarze przemęczeni, kierownicy ewakuacji potracili głowy. Sewer dzwonił, awanturował się o wagon towarowy gdzie mógł – obiecano mgliście, nic z tego nie będzie, bo nawet w tych obietnicach mówiono raczej o następnym pociągu

---

<sup>160</sup> Może Referat Funduszu Specjalnego w Gabinetie Ministra.

<sup>161</sup> Magdalena Zygmąńska (ur. 1911), pracownik kontraktowy w Konsulacie RP w Bratysławie.

ewakuac[yjnym] – nie tym, kt[óry] stał już na dworcu. Wobec tego – zamiast wozić akta na dworzec – załadujemy nasze ciężarówki i powieziemy wprost do Kazimierza. W pierwszym rzędzie – akta najważniejsze, a więc te, które są już na dworcu – trzeba oczywiście pojechać, zabrać je. Ja z tymi trzema aktami muszę wyjechać i jak najprędzej wracać z Kazim[ierza] do Warszawy. Ponieważ pociąg może się spóźnić – Frenkla i Bombasa mogą nie zastać jeszcze, więc wyjeżdżając ciężarówkami mam zabrać w[edłu]g swego uznania jednego lub paru urzędników, kt[órzy] w Kazimierzu zajmą się tym, co mieli robić Fr[enkiel] i Bombas. Sewer w czasie mojej nieobecności będzie się starał gdzie tylko można o ciężarówki czy autobusy – chciałby zdobyć 10. Bezwzględnie zacznie się je tu ładować – nad ranem powinienem wrócić, więc później się omówi resztę. W Kazimierzu mam „wsiąść na kark” Schimitzekowi, a gdyby ten „niedołęga” nie okazywał pomocy o wszystko – do Drymmera, jak to już było omówione poprzednio. Marysia musi jechać tym autobusem, w kt[órym] w tej chwili czeka na mnie. Przewidując opór z jej strony – proszę Sewera, by sam to z nią załatwił. Godzi się. Idziemy na [ul.] Fredry. Jest już 5 minut przed odjazdem – puszczony w ruch motor warczy. Wśród gromadki odjeżdżających i zegnających się widzę zaniepokojoną Marysię, bo wróciła właśnie z bezskutecz[nych] poszukiwań mnie. Powtarzam jej decyzję Sewera, namawiam, by jechała. Sewer na wpół żartem, na wpół serio wydaje jej „rozkaz wyjechać”. Oponuje – powiada, że ją rozkazy nie obowiązują. Daje się jednak przekonać – Sewer mówi jej, że ja – mając takie zadanie na głowie – muszę być wolny o trosk o żonę. Z Marysią i Nelą, nie znającymi Kazimierza, umawiam się, że spotkamy się jutro nad ranem – jak najwcześniej – w znanej mi dużej restauracji na rynku w Kazimierzu. Autobus już ruszał. Obejmuję raz jeszcze Marysię, siedzącą tuż przy drzwiach. Czekam, aż autobus zniknie w ul. Wierzbowej i razem z Sewerem wracam – każdy do siebie. Po powrocie znów nie poznaję ministerialnego podwórza. Pusto. Wszystkie autobusy już odjechały. Pozostały tylko samotne ślady wielogodzinnego deptania tłumu – mnóstwo niedopałków, gazet, papieru, okładek z czekolady, itp.

Nie pamiętam już – kiedy i jak znalazły się moje ciężarówki na ministeri[alnym] podwórzu – czy ściągnąłem je wraz z ostatnim

ładunkiem, czy wróciły same normalnie. Pamiętam – wysłałem znowu gdzieś Rymkę, po wędliny, chleb, masło i wódkę dla szoferów. Powiedziałem im o [kursie] czekającym ich do Kazimierza – przyjeźli to bez pytań i bez narzekań. Jeden z nich zwrócił uwagę na brak benzyny – tego, co mają starczy na 10-15 km. Dobrze, będę pamiętał. Mówię też szoferom, że odjazd nastąpi prawdopodob[obnie] za godzinę – niech więc skorzystają, wyciągną się gdzieś, prześpią się trochę w swoich wozach. I idę zaraz do Barańskiego, kt[óry] jest dziś dla mnie w podwójnej roli – zastępuje nieobecnego Schimitzka i jest nacz[elnikiem] wydz[iału] gospod[arczego]. Przypominam, że byłem u niego parokrotnie – znużony nieludzko siedział na wpół rozebrany w ciemnym swym gabinecie (nie miał czym zasłonić okien) – z boku – więcej na podwórzu – padało światło księżycy w pełni. Sekretarka Bar[ąnskie]go, Maria Krukówna, urządziła się względnie wygodnie – w szlafroku, z waliz swoich wyciągnęła kołdrę, poduszki, jedną z nich proponowała Barańskiemu. Przede wszystkim – sprawa benzyny. Bar[ąnski] dzwoni, wzywa jednego ze swych urzędników – okazuje się, że benzyny w MSZ nie ma, trzeba gdzieś po nią jechać. Wezwany przez Bar[ąnskiego] urzędnik bierze najmniejszą moją ciężarówkę, zabiera z garażu dwie puste beczki, obiecuje wrócić za pół godziny. Po kwadransie jednak telefonuje skądś, że musi czekać, zapowiada znów, że wróci za pół godziny, wraca w rzeczywistości prawie za dwie godz[iny]. Ja w międzyczasie z Barańskim – sprawa pieniędzy, będę miał wydatki z tragarzami, szoferzy też pracują od kilku dni nie opłacani. Bez targów uzyskuję coś z 1 000 zł, które z mego polecenia kwituje i odbiera mający wyjechać ze mną mój urzędnik Kosina. Potem z Barańskim – sprawa osłony. Godzi się dać mi jednego tzw. inżyniera – tajnego ajenta ze służby informac[yjnej] MSZ. Wyklócam się z Bar[ąnskimi] o 3-ech uzbrojonych – po jednym na każdy wóz. Po załatwieniu tych spraw wracam do siebie. Jestem śmiertelnie znużony. Łamie coś w nogach, boli – ból w piersi to serce. Wypijam po raz trzeci dziś nitroglicerynę. Dzwonię do p[ani] Krzyczkowskiej – krótko, niech z walizką przychodzi za pół godziny. Zrozumiała, przyszła wcześniej. Rymko przyniósł herbatę, dzwonię raz jeszcze do Irki – przeliczyłem swoje osobiste pieniądze, mam jeszcze około 800 zł – trochę na Marysię, więc dzielę to na dwie równe części



i jedną – około 400 zł – wysyłam jeszcze Irce przez p[anią] Helenę. Po jej wyjściu proszę p[anią] Kwiatkowską by ktoś uważał, jak przyjedzie auto z benzyną i by mi zaraz dano znać. Kładę się na kanapie i momentalnie zasypiam. Szybko i mocno, jak rano w autobusie. Ale krótko – po paru kwadransach obudzono mnie – benzyna już jest. Wychodzę. Widzę podejrzany ruch w rogu podwórza. Przyspieszam kroku – to szoferzy różnych dygnitarzy „dzielą się” moją benzyną. Paru w ciemnościach, po złodziejsku, ucieka, od paru wśród awantur wydieram z rąk. Wzywam przez okno Barańskiego – interwencja jego bez skutku, benzyna rozdrapana wsiąkła pod ziemię. Urzędnik, kt[óry] to przywiózł, tłumaczy się, że oszczędził tylko na chwilę i że chwili tej wystarczyło by zginęła prawie połowa. Wzywam swoich szoferów – rozdzielają między siebie resztę, stwierdzając, że do Kazimierza starczy na pewno, ale nie starczy na powrót. Liczę, że dostanę w Kazimierzu. Zarządzam odjazd za 10 minut. Przez Rymkę każe Kosinie, by z rodziną (żona i syn) i walizkami wchodził do jednej z ciężarówek. P[ani] Helena przy mnie – przy kierownicy – największej ciężarówki. Sam idę do Sewera – zameldować, pożegnać się. Późno. Dochodzi już 1-sza. U Sewera – ciemno i cicho. Słyszę jak ktoś oddycha. Zbliżam się ostrożnie, świecę zapalką – Sewer śpi na kanapie, przykryty lekkim płaszczem. Nie budząc go, wycofuję się. Idę do siebie, by raz jeszcze pożegnać się z p[anią] Zofią i archiwum. P[ani] Zofia znużona śmiertelnie, tak samo i inni. Proponuję więc, by przerwali pracę – odpoczęli, kładąc się, gdzie kto może. P[ani] Zofii proponuję kanapę w swym gabinecie. Zapowiadam, że wrócę za 8-9 godzin, około południa najdalej. Gdy jestem na podwórzu – słyszę, jak ktoś szuka mnie. To p[an] Zembrzuski<sup>162</sup>, sekretarz wicem[inistra] Szembeka<sup>163</sup>. Prosi, bym zabrał 2 skrzynie akt p[ana] Szembeka – i to z polecenia Sewera. Kiedyż to wydał takie polecenie – przecież śpi. Zembrz[uski] odpowiada, że gdzieś przed godziną. Nie mogę odmówić – proszę tylko o pośpiech, i dlaczego przychodzi w ostat[niej] chwili. (Potem w Białokrynicy wykryło się, że to nie akta, a rzeczy prywatne – ubrania, futra; zrobiłem za to awanturę Zembrzuskiemu

<sup>162</sup> Janusz Zembrzuski (1910-1998), referent w Gabinecie Ministra (1 I 1935-1939), faktyczny sekretarz wiceministra J. Szembeka.

<sup>163</sup> Jan Szembek (1881-1945), podsekretarz stanu w MSZ (1932-1939).

w Białokr[ynicy], ale o tym niżej). Czekając, aż woźni zniosą te dwie skrzynie – słuchałem p[ani] Heleny o Irce; powiedziała jej wszystko, co wiedziała o froncie, by uspokoić i dodać otuchy; pieniądze oczywiście wręczyła. Córa moja liczyła, że jutro się zobaczy[my] – tak przynajmniej mówiła jej p[ani] Helena. [Mówiła?], bym był spokojny – w pewnej chwili, tuląc się do matki, rzekła: „Zostajemy, ale jakoś sobie poradzimy!”.

No, wreszcie skrzynie Szembeka są już na największej ciężarówce. Kosina z rodziną siedzi już również. Szoferzy puścili motory. Proszę p[anią] Helenę, by usiadła – przy kierownicy, obok szofera. Rozdzielam jeszcze swych „inżynierów” – po jednym na ciężarówkę i ruszamy.

Zaciemnione miasto wygląda na umarłe. W oknach ciemno. Tylko obojętny księżyc patrzy z góry. Na ulicach cicho i pusto. Na chodnikach nikogo. Na jezdni – długo nie spotykamy nikogo, nikt nas nie wyprzedza, nikt nie jedzie z tyłu. Dopiero przy skręcie z Krakow[skiego Przedmieścia] na Zjazd<sup>164</sup> spotkaliśmy parę obładowanych aut prywatn[ych]. Towarzyszyły nam do [ul.] Targowej, pomknęły dalej na Grochów.

Przed dworcem cicho i pusto. Bez trudu wjechaliśmy z ulicy na plac wewnętrzny. Cicho i ciemno, bo nawet księżyc świeci tak, że dworzec widzę w cieniu. Po chwili, gdy wysiadam – czuję, a potem dostrzegam, że tu mnóstwo ludzi. Niektórzy, gwarząc z cicha, stoją małymi grupkami. Wielu, znużonych, w milczeniu siedzi na walizkach lub po prostu na chodnikach, pod murem. Przedzieram się ostrożnie przez ten tłum ku swoim skrzyniom. Zmęczeni woźni czuwają. Chcę się zorientować w jakim porządku skrzynie idą, by zabrać przede wszystkim najważniejsze. P[ani] Helena mówi mi, że skrzynie redakc[yjne] oznaczone przez nią napisem z zewnątrz odeszły w pierwszej partii, więc to pozwoli się zorientować. W tej chwili zbliża się porucznik – komendant dworca. Pyta się, kto jestem, co robię. Przypominam mu o swej rozmowie z nim po południu. Przeprasza – nie pamięta, ciemno, zresztą tylu ludzi w ciągu dnia widział. Legitymuje mnie. Wyjaśniam, o co mi chodzi. Chcę zaświecić zapałkę, by odnaleźć orientacyjne skrzynie p[ani] Heleny. Ale porucz[nik] prosi nie świecić

---

<sup>164</sup> Tak w oryginale.

– nalotu nie ma, to prawda, lotnik zresztą nie dostrzegłby tego, ale – pan widzi, taki tłum – jak każdy zacznie świecić – biada! Przyznaję mu rację i decyduję brać skrzynie najbliższe – jutro zabiorę resztę, jeśli nie zabrają tego w pierwszym rzędzie autobusy, o kt[óre] ma się wystarać Sewer. Uprzejmy porucz[nik] spieszy z pomocą. Z nim razem idę do jakiegoś budynku – w pobliżu moich aut. Tam – [daję] 20 zł kolejarzowi, by się wystarał o dwa – trzy ręczne wózki. Po chwili wózki już są. Bez trudu wyszukuję kilku mężczyzn, kt[órzy] za 100 zł podejmują się naładować wszystkie trzy ciężarówki. Z porucznikiem prosimy publiczność, by poszerzyła przejście – przyjęto to bez protestów. Zaczęło się [wyraz nieczytelny] wózkami, ładowanie na auta. Szybko – wrzało. Wynajęci – przeważnie młodzi chłopcy – starali się, żartowali. Przyglądając się ich pracy – stałem z porucznikiem pod zburzonym przez bombę budynkiem. Opowiadał mi jak to było. Cudem uniknął śmierci. Stąd blisko od miejsca, w kt[óre] wpadła bomba. Zerwało mu czapkę z głowy – nie tylko siła podmuchu, ale dość wielkim odłamkiem. Oto – duży ślad na jego rogatywce. Chłopcy zwijali się szybko. W pół godziny załadowali wszystko. Żegnaję się z porucznikiem, swoim każę wsiadać, umawiam się z „inżynierami”, że jadę w pierwszym aucie – w razie jakiegoś defektu zatrzymujemy się wszyscy. „Inżynier” na mojej ciężarówce siada wobec tego na skrzyniach, by mógł widzieć, co się dzieje z jadącymi w tyle. W ostatniej chwili wśród załanych światłem księżyca budynków kolejowych – od dyrekcji na prawo, szukam domu, w kt[órym] mieszka Bronka. O! – jest! Liczę okna. O, – to tam! Przez szparę, wobec nieszczęlnego zasłonięcia, wymyka się promień żółtawego światła. To u niej. Nie przypuszczałem wówczas, że to ostatni za jej życia pożegnalny znak. Patrę w ten promyk – wysyłam ku niemu wiązkę uczuć – uczuć brata do siostry, najbliższej z całego rodzeństwa. Wsiadam na swoje miejsce. Ruszamy. Jest trochę po 2-iej. Jeszcze noc. Jeszcze silne światło księżyca. Liczę, że musimy być w Kazimierzu o 7-iej najdalej – w południe będę znowu w W[arszaw]ie.

Na [ul.] Targowej pusto, cicho i ciemno, bo szeregi wysokich kamienic nie przepuszczają blasku księżyca. Trochę jaśniej na placu przed wiaduktem kolejowym. Zatrzymujemy się na parę minut, bo przecina nam drogę maszerujący oddział wojska. Żołnierze idą

w milczeniu, cicho – w świetle księżycy widać nowe mundury, nowe szaro-żółte buty. Dźwięk menażek czy łopat, rozmowy półgłosem. Patrzą na nich – myślę: gdzież to mogą iść? Chyba na front. Płynię z serca strumień jak najlepszych uczuć. I życzeń – osobistych dla każdego z nich – i wspólnych, przez nich dla Polski. gdy mija ostatnia czwórka – ruszamy.

Na śpiących ulicach Grochowa na jezdni nie ma nikogo oprócz nas. Za to na chodnikach po obu stronach mniejsze i większe gromadki ludzi – z plecakami, walizkami – idą w milczeniu i tylko w jednym kierunku – z Warszawy na wschód. Przypominam sobie ścisk, jaki panował w W[arszaw]ie na jezdni rano, gdy jechałem do Irki, i po południu, gdy wracałem na dworzec wileński. Myślę, że wyjechali już chyba wszyscy ci, co mogli wyjechać autem. Teraz płynie strumień tych, którzy liczyć mogą jedynie na własne nogi. Przy wylocie z Grochowa – mój „inżynier” daje znak: trzeba się zatrzymać, bo stanęły idące z tyłu nasze ciężarówki. Czekamy parę minut. Zniecierpliwiony – bo ciągle myślę o jak najszybszym powrocie do Warszawy – wysyłam swego inżyniera – sprawdzić, przynaglić do pośpiechu. Idzie – nie wraca. Więc spieszę sam. Zbliżając się – chwytam odgłosy awantury. To mój „inżynier” – posądza szofera o szkodnictwo i sabotaż, grozi nie tylko sądem polowym ale i własnym rewolwerem. Dziwię się w duchu, bo ten szofer dotąd robił najlepsze wrażenie – grzeczny, uczynny, mimo zmęczenia szybki i pracowity. To też w pewnej mierze biorę go w obronę, staram się załagodzić – bo i po co krzywdzić takim posądzeniem, proszę, by się spieszył – nie tylko ze względu na moje potrzeby, ale i w swoim interesie, bo lepiej zrobić tę drogę w nocy niż za dnia i narazić się na niem[ieckie] kule z powietrza. Odpowiada mi, że stara się, jak może ale co poradzi, kiedy – tu używa kilku nie bardzo zrozumiałych dla mnie technicznych zwrotów i wyrażań. Czekam, patrząc co chwilę na zegarek. Czas ucieka. Wreszcie – gotowe, możemy ruszać. Ale nagle nowa przeszkoda – teraz następna, idąca na końcu ciężarówka, nie może ruszyć. Ta sama, czy podobna historia. Szofer majstruje coś – długo, prosi kolegę o pomoc, potem biegnie jeden z nich do pierwszej ciężarówki po jakieś narzędzia. Trwa to długo – czas ucieka. Świtało już, gdyśmy się zatrzymywali – teraz, niebo przed nami zaczyna różowieć – to wstaje już słońce.

Przez cały czas naszego przymusowego postoju płynął po obu stronach ludzki tłum. Od czasu do czasu tylko przemykało szybko auto, nadmiarem obciążone bagażem. Ci, co szli pieszo – mijali nas w milczeniu, aż się dziwiłem, że żaden z nich nie zatrzymał się, nie prosił o trochę miejsca na ciężarówce. Może dlatego, żeśmy stali? Zajęty pracą szoferów nie mogłem zresztą ani przyglądać się temu pochodowi, ani zastanawiać się nad nim.

Wreszcie – możemy ruszyć. Straciliśmy ponad godzinę czasu. W obawie zbliżam się do swej ciężarówki, czy teraz w niej z kolei nie odezwą się jakieś wady i braki. Ale na szczęście nie. Polecam szoferowi szybką jazdą nadrobić nie przewidywaną stratę czasu. Siadam. Ruszamy...

Cdn.



## **BIOGRAMY**





JANUSZ MIERZWA

Kraków



Kpt. Marian Głut (lata 20)

**GLUT MARIAN** (1895–1959): mjr WP, działacz niepodległościowy, starosta nowotarski. Ur. 25.I. w Krakowie. Syn Ludwika, z zawodu rolnika, oraz z Marii z Wróblów (Wróblewskich), córki wójta Bobowej. Uczęszczał do gimnazjum w Tarnowie, gdzie w 1914 r. uzyskał świadectwo maturalne. Od 1912 r. w Związku Strzeleckim (ps. „Ciemny”).

Po wybuchu I w. ś. wstąpił do Legionów Polskich. Ranny w bitwie pod Nowym Korczynem, po wyjściu ze szpitala, został w lutym 1915 r. przydzielony do

Intendentury I Brygady. Tam służył do października 1917 r., kiedy przeniesiono go, jako podoficera rachunkowego, do Komendy LP. Po traktacie brzeskim podjął próbę przekroczenia frontu. Wzięty do niewoli został internowany w obozie w Szaldobos, a następnie wcielony do austriackiego 20 PP. Służył na froncie włoskim. We wrześniu 1918 r. odbył kurs oficerów rezerwy w Opawie.

W listopadzie 1918 r. wstąpił do WP. Jako dowódca plutonu i instruktor służył w 5 PPLeg.; następnie 1 PPLeg. Brał udział w odsieczy Lwowa. Następnie kierownik Wydziału Kontroli Gospodarczej w Wojskowym Urzędzie Gospodarczym w Warszawie (29.III.1919-7.VI.1920) i kierownik sekcji zakupów dla armii na terenie Ukrainy (7.VI-14.VII.1920). Dowódca kompanii przy Grupie Operacyjnej gen. Władysława Jędrzejewskiego (14.VII-30.VIII.1920). Od 30.VIII.1920 służył w 75 PP, najpierw jako adiutant pułku (do 10.I.1922), a następnie dowódca 3. kompanii. Ogłosił pracę dotyczącą historii swojego pułku (*Zarys historii wojennej 75-go pułku piechoty*, Warszawa 1929). Jednocześnie, wraz ze służbą wojskową (od 22.II.1922) podjął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Absolutorium uzyskał 5 maja 1925 r., zdając uprzednio egzamin historyczno-prawny (5.X.1923).



*Ślubne zdjęcie Wandy i Mariana  
Głutów (1927 r.)*

W okresie kwiecień 1932 – kwiecień 1934 służył jako dowódca kompanii szkolnej Korpusu Ochrony Pogranicza w Ignalinie (powiat święciański). Ze względu na brak możliwości dalszego, w kwietniu 1934 r., na własną prośbę został przeniesiony do rezerwy. Po odbyciu praktyki administracyjnej w Wileńskim Urzędzie Wojewódzkim, 1 lutego 1935 r. został mianowany radcą w Zarządzie Centralnym MSW, a następnie, dekretem ministra spraw wewnętrznych z 20 lutego 1935 r. starostą nowotarskim. Stanowisko piastował do wybuchu II w. ś. Był zaangażowany w rozwój spółdzielczości na terenie Podhala oraz zachowanie dziewiczego charakteru Tatr.

Intensywnie przeciwdziałał powstającym w górach dzikim schroniskom dla turystów, jak też był przeciwnikiem budowy kolei linowej na Kasprowy Wierch. Miał pośredniczyć w rozmowach polsko-słowackich w 1938 r. Ostateczny efekt „kryzysu czechosłowackiego”, tj. przyłączenie do Polski spornych obszarów Spisza i Orawy, a nie konfederacja polsko-słowacka, oraz konflikt z wiceministrem komunikacji Aleksandrem Bobkowskim miały być przyczyną złożenia przez Głuta wniosku o dymisję. Mimo, że czynił starania o posadę dyrektora oddziału Banku Polskiego we Lwowie, do wybuchu wojny wniosek ten nie został rozpatrzony.

Po wybuchu II w. ś. ewakuował się do Podhajec, gdzie po wkroczeniu wojsk sowieckich został aresztowany przez NKWD. Dzięki wstawiennictwu m.in. Marii Kasprowiczowej został zwolniony i przedostał się do Lwowa, gdzie działał w Organizacji Orła Białego (pseudonim „Buk”, „Roch”); wówczas najprawdopodobniej został mianowany I zastępcą Głównego Szefa Walki Cywilnej Ludwika Muzyczki. Zagrożony aresztowaniem, pod koniec kwietnia 1940 r. Głut przedo-



*Podczas wizyty prezydenta Ignacego Mościckiego (grudzień 1938 r.?)*

stał się, przez „zieloną granicę”, do Krakowa. Działalność niepodległościową kontynuował, pod przybranym nazwiskiem Gut, w ZWZ-AK. Współorganizował, a następnie kierował Organizacją Bezpieczeństwa Wydziału Wojskowego Delegatury Rządu na Kraj. W listopadzie 1943 r., w ramach procesu scalania aparatu administracji zmilitaryzowanej („Teczki”) ze strukturami Delegatury Rządu na Kraj, wytypowany przez przełożonego, Alojzego Kaczmarczyka na stanowisko naczelnika Wydziału Bezpieczeństwa Okręgowej Delegatury Rządu w Krakowie. Ze względów politycznych kandydatura Głuta, jako piłsudczyka, została jednak utracona. Prawdopodobnie działał w Komendzie Okręgu AK Kraków. Formalnie przez całą okupację pracował w Składzie Papieru przy ul. Starowiślniej oraz w Wytwórni Pasów przy ul. Sławkowskiej 6 w Krakowie jako księgowy.

W związku ze zmieniającą się sytuacją polityczną, w lipcu 1944 r. Głut (ps. „Mucha”) został wyznaczony na komendanta Okręgu Krakowskiego organizacji „NIE”. W maju 1944 r. Głut podporządkował podległe sobie struktury zastępcy komendanta Obszaru Południowego Delegatury Sił Zbrojnych płk. Franciszkowi Niepokólczyckiemu. Miał wówczas, z przyczyn osobistych, zaprze-

stać działalności konspiracyjnej, ale nadal utrzymywał kontakty z członkami Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” oraz udostępniał mieszkanie kurierom organizacji, co wskazywałoby na jego przynależność to tych struktur.

W 1946 r., z uwagi na zagrożenie ze strony UBP wyjechał do Bytomia, gdzie zamieszkał u siostry. Do Krakowa powrócił w lutym 1947 r. Ujawnił się 21 kwietnia 1947 r. Podjął pracę zawodową w Instytucie Wydawniczym Wola, Spółdzielni Pracy „Export” oraz Spółdzielni Pracy Stolarzy i Bednarzy „Współpraca”. Podejrzewany przez aparat represji o przynależność do WiN-u, został 27 grudnia 1952 r. aresztowany.

Po długotrwałym i ciężkim śledztwie, z braku dowodów winy, został 18 września 1953 r. zwolniony. Ciężko schorowany, zmarł 19 lipca w Krakowie. Został pochowany na Cmentarzu Rakowickim (kwatery XLII, rząd 16, miejsce 4).

Odnaczony Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Walecznych (czterokrotnie), Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem za Wojnę 1918-21, Medalem Dziesięciolecia Odzyskania Niepodległości oraz Medalem za Długoletnią Służbę (brązowy i srebrny).

Żonaty (V.1927) z Wandą z domu Biała, córką Jadwigi i dra Feliksa Białego, założyciela „Zetu” w Uniwersytecie Wrocławskim, wybitnego działacza narodowego w Rybniku. Miał troje dzieci: Jadwiga (ur. 25.II.1928), architekt-urbanista, Ludwik (ur. 18.XII.1929 w Rybniku, zm. 17.VI.1975 w Krakowie), wykładowca w Wyższej Szkole Ekonomicznej (obecnie Uniwersytet Ekonomiczny) w Krakowie oraz Jan (ur. 23.V.1932 w Ignalinie, zm. 30.X.1995 w Rabce).

CAW, AP 9369; CAW, KW 34/-1058; CAW, KN 13 IV 1931; AAN, MSW, sygn. 9/III-dopływy/849a, k. 84; AAN, MSW, sygn. 9/III-dopływy/852, k. 336-340, 364; Archiwum Państwowe w Krakowie, UWKr., sygn. 7/II, k. 7, 1326; IPN Kr 111/3145; IPN Kr 010/8423; Archiwum UJ, sygn. S II 517, *Księga immatrykulacyjna studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego 1922/23-1929/30*, bp; Archiwum UJ, sygn. KREP 22, *Protokół egzaminu historyczno-prawnego z 5 X 1923*, bp. *Rocznik Oficerski 1932*, Warszawa 1932, s. 49, 906; *Czy wiesz kto to jest?*, t. I, pod red. S. Łoży, Warszawa 1938, s. 210 – tu błędnie nazwi-

sko rodowe matki Mariana Głuta (Rubel); K. Pluta-Czachowski, *Organizacja Orła Białego. Zarys genezy, organizacji i działalności*, Warszawa 1987, s. 82; W. Grabowski, *Biuro Wojskowe Spraw Wewnętrznych i Brygady Wywiadowcze Szefostwa Biur Wojskowych Komendy Głównej ZWZ-AK (kryptonimy: „Głóg”, „Róża”, „Teczka”, „Zeszyt”) w latach 1941-1943 w świetle materiałów Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego*, [w:] *Wywiad i kontrwywiad Armii Krajowej*, pod red. W. Bulhaka, Warszawa 2008, s. 181; G. Ostasz, *Okręg Rzeszowski Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Model konspiracji, struktura, dzieje*, Rzeszów 2006, s. 30; Idem, *Krakowska Delegatura Rządu na Kraj 1941-1945*, Rzeszów 1996, s. 104, 179-182, 306, 309; Z. Zblewski, *Okręg Krakowski Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” 1945-1948. Geneza, struktury, działalność*, Kraków 2005, s. 74-75, 80; *Proces krakowski. Niepokólczycki, Mierzwa i inni przed sądem Rzeczypospolitej*, Warszawa 1948, passim – tu występuje jako Gut; Z. Nawrocki, *Brygady Wywiadowcze 1940-1946 – zarys problematyki*, „Zeszyty Historyczne WiN” 2002, nr 18, s. 40; Relacje pp. Jadwigi Ratajczak, Barbary Głut oraz Józefa Ratajczaka (9 VI 2009), w zbiorach autora.

**JANUSZ MIERZWA**

*Kraków*



*Wicewojewoda Piotr Małaszyński  
(l. 30-te)*

**PIOTR MAŁASZYŃSKI** (1897-1945), kpt. WP, dr praw, starosta grodzki krakowski, wicewojewoda krakowski i lwowski. Ur. 15.VII. we wsi Skopówka, w powiecie Tłumacz. Syn Emeryka, leśniczego (zginął w czasie pierwszej wojny światowej) i Marii z Pawlaków. Pochodził z niezamożnej rodziny i tylko dzięki pomocy materialnej miejscowego proboszcza ukończył szkołę powszechną, a następnie w 1910 r. podjął naukę w gimnazjum w Kołomyi. Po wybuchu I w. ś. wstąpił 28.VII.1914 r. do Legionów Polskich, gdzie służył w 1 kompanii 2 PP. W jej szeregach, pod dowództwem Stanisława Kruk-Szustera, brał udział

w walkach w Karpatach, na terenie Bukowiny oraz w Małopolsce. 1.IX.1916 został zwolniony ze służby celem dokończenia gimnazjum. 29.II.1918 uzyskał świadectwo maturalne w gimnazjum w Kołomyi.

Do WP wstąpił w listopadzie 1918 r. Brał udział w obronie Lwowa, gdzie 6.I.1919 r. został ranny. Po pobycie w szpitalu polowym na terenie Politechniki przeniesiony do szpitala wojskowego w Starym Sączu, gdzie poznał córkę dra Piotra Geislera, Zofię, późniejszą żonę. W stopniu porucznika Korpusu Sądowego służył w WP do 31.I.1930 r. (m.in. w l. 1927-1929 w Prokuraturze Wojskowego Sądu Okręgowego nr 2 w Lublinie). 31.IV.1930 r. przeniesiony w stan spoczynku z jednoczesnym awansem na kapitana, ze starszeństwem od dnia 1.I.1930 r.

Równocześnie ze służbą wojskową, w 1919 r. zapisał się na Wydział Prawny Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Studia ukończył w 1923 r., a 22.VI.1925 r. uzyskał tytuł magistra praw. Doktoryzował się 17.X.1935 r. na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego na podstawie pracy *Egzekucja w ustawie XII tablic.*



*Podczas pobytu w szpitalu (1919). Piotr Małaczyński (leży na noszach)*

W 1929 r. podjął pracę w administracji państwowej. Po odbyciu obowiązkowej praktyki, 28.XI.1929 r. mianowany p.o., a 29.I.1930 r. prowizorycznym starostą grodzkim w Krakowie. Za sprawne koordynowanie pracy służb bezpieczeństwa podczas kongresu Centrolewu otrzymał pisemną pochwałę wojewody krakowskiego. Umiejętności organizacyjne Małaczyńskiego, mimo stosunkowo krótkiego stażu pracy w resorcie spraw wewnętrznych, sprawiły, że już 16.VII.1930 r. został mianowany starostą grodzkim w Krakowie. Stanowisko to piastował do 13.VII.1932 r., gdy został naczelnikiem Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowskim Urzędzie Wojewódzkim. Wydaje się, że i ten awans miał związek z kongresem krakowskim, bowiem w listopadzie 1931 r. Małaczyński zeznawał jako świadek oskarżenia w procesie więźniów brzeskich (awans spotkał również innego świadka, Adama Choczyńskiego, cenzora prasowego w starostwie grodzkim w Krakowie w 1930 r.). Zwolennik polityki „twardej ręki”, akceptujący wnioski starostów dotyczące zsyłek do obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej. W związku z tym uznany po wojnie za sztandarowego „wroga ludu”.



*Dekoracja wicewojewody Piotra Małaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Estońskiego Czerwonego Krzyża. Od prawej: konsul estoński Böhm, prezes Towarzystwa Estońskiego mjr Milli, wicewojewoda Piotr Małaczyński, wiceprezydent Krakowa Stanisław Klimecki, Rosiński*

Przejęcie Małaczyńskiego do administracji wiązało się z jego zaangażowaniem w prace organizacji społecznych. Współtworzył oddział koła 2 PP Legionów Polskich w Krakowie, był członkiem Zarządu Okręgowego ZLP i wiceprezesem Zarządu Okręgowego Związku Strzeleckiego w Krakowie. Prezesował Lidze Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej oraz Aeroklubowi w Krakowie. Działał w Lidze Morskiej i Kolonialnej, PCK oraz organizacjach zawodowych. Udzielał pomocy legionistom współtworząc Rodzinę Legionową 2 PP i ułatwając zatrudnianie tymże w podległych sobie urzędach. 14 X 1935 r. mianowany wicewojewodą krakowskim, co było konsekwencją doskonałych ocen wystawionych przez przełożonych. Oceniany był wówczas przez przełożonych w samych superlatywach (co nie było normą): „Bardzo inteligentny i pomysłowy, odznacza się wybitną pamięcią, orientuje się szybko. [...] W wysokim stopniu uspołeczniony i dbały o dobro sprawy publicznej. Bardzo chętnie podejmuje się pracy poza swoimi obowiązkami. Z łatwością wytwarza warunki dobrej współpracy. [...] [Nadaje się] na kierownicze stanowisko w terenie



i centrali”. 10 III 1939 r. mianowany wicewojewodą lwowskim. Po wkroczeniu Sowietów, ewakuował się do Francji, skąd w październiku 1939 r. został wysłany na Węgry, gdzie przebywała jego rodzina. Działał tu w Węgiersko-Polskim Komitecie Opieki nad Uchodźcami, formalnie pracując jako księgowy w zakładach mięsnych w Budapeszcie. W tym czasie utrzymywał kontakty z b. urzędnikami i brał czynny udział w pracach konspiracyjnych, co nie uszło uwadze Niemców. 21 XII 1944 r., pomimo przeprowadzki do Kapuvár, Małaczyński został aresztowany przez Gestapo. Przetransportowany do Sopron, 2 II 1945 r. trafił do centrali Gestapo w Eisenstadt, gdzie wg niektórych relacji został zastrzelony podczas próby ucieczki. Jego symboliczny grób znajduje się na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Odznaczony: Złotym Krzyżem Zasługi (1932, 1938), Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1935), Krzyżem Walecznych (dwukrotnie 1922), Krzyżem Niepodległości (1930), Krzyżem Obrony Lwowa, odznaka honorowa „Orlęta za Lwów”, Medalem za Długoletnią Służbę (brązowym i srebrnym), Krzyżem Komandorskim oraz Komandorią z Gwiazdą Węgierskiego Orderu Zasługi oraz Krzyż Komandorskim Orderu Estońskiego Czerwonego Krzyża.

Żonaty z Zofią Eugenią Geisler (4.VII.1929), córką gen. Piotra Geislera, z którą miał troje dzieci: Ewę (ur. 20.IV.1931), Michała (6.V.1935) oraz Zofię (30.X.1939), zamężną Woźniak.

CAW, KZ 16-211 (akta odznaczeniowe PM); IPN Kr 010/4139, k. 212-213v (zeznania pos. Franciszka Stachnika); AAN, MSW, sygn. 9/III-dopływy/188 (akta personalne PM) – niekiedy podawane jako miejsce ur. Ottynja; AAN, MSW, sygn. 9/III-dopływy/811, k. 37 (karta kwalifikacyjna za rok 1938); AAN, MSW, sygn. 9/III-dopływy/852, k. 475, 485; AAN, MSW, sygn. 9/III-dopływy/829, k. 68; APK, UWKr 5/VI-XVIII, k. 477-478; APK, UWKr 7/I, t. 1, k. 5; „Dziennik Urzędowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych”, 1930, nr 3, dział VII, s. 97; *ibidem*, nr 14, dział VI, s. 647; *Rocznik Oficerski Rezerwy 1934*, Warszawa 1934, s. 368; *Okręgowe Zgromadzenie Delegatów Związku Legionistów Pol. Woj. Krakowskiego*, „Oleandry”, maj 1937, s. 6-7; *Przeniesienie dra Małaczyńskiego Piotra*, „Oleandry”, marzec 1939, nr 3, s. 12; *Sprawa brzeska. Dokumenty i materiały*,

oprac., wstępem i przypisami opatrzył M. Leczyk, Warszawa 1987, s. 174-176; Relacja (10.XI.2008) i materiały udostępnione przez Zofię Małaszyńską-Woźniak, w zbiorach autora.

# RECENZJE

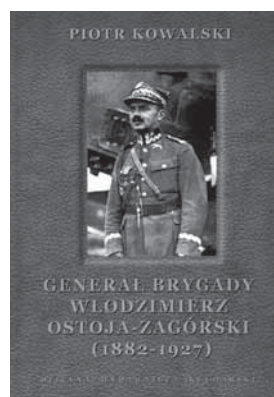


PRZEMYSŁAW OLSZOWSKI

Toruń

**PIOTR KOWALSKI, GENERAŁ BRYGADY WŁODZIMIERZ OSTOJA-ZAGÓRSKI (1882-1927). BIOGRAFIA, OFICYNA WYDAWNICZA KUCHARSKI, TORUŃ 2007, IL., SS. 240**

Biografistyka generalicji polskiej lat II Rzeczypospolitej, z przyczyn natury zasadniczej rozwinięta znacząco po roku 1989, stanowi interesujące i wartościowe pole badań naukowych. Wartościowe przy tym nie tylko z punktu widzenia potrzeb i postulatów polskiej historii wojskowej. Prace nad biografiami wyższych dowódców WP bywają też pasjonującą przygodą badawczą. Wymagają bowiem sięgnięcia do źródeł rozmaitej proveniencji; ergo: także i wiedzy odnoszącej się do różnorodnych, czasem nieprzystających do siebie obszarów zagadnień.



Znaczną część dotychczasowych prac z tego gatunku poświęcono postaciom bądź to najważniejszym dla dziejów sił zbrojnych II RP, bądź też szerzej znanym i przez to w pewnej mierze społecznie popularnym. Biorąc pod uwagę ważną dla dziejów wojskowości polskiej cezurę Maja 1926 roku, nie powinno jednak dziwić, iż przeważają tu zdecydowanie biografie generałów z kręgu piłsudczyków, bądź do nich zbliżonych. Obok tego warto mieć na uwadze, iż odzyskana w 1989 r. niepodległość, a wraz z nią pełna wolność badań naukowych (łącznie z dostępem do źródeł archiwalnych polskiej i obcej proveniencji), spowodowała wzrost zainteresowań badawczych tym właśnie środowiskiem, także i w aspekcie personalnym, co zaowocowało w minionym dwudziestoleciu sporą liczbą biografii polityków i wojskowych z obozu piłsudczykowski, jakkolwiek i w tym zakresie stan badań daleki jest od wyczerpania<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> P. Olstowski, *Biografistyka piłsudczyków – stan badań oraz potrzeby dalszych*

Przed rokiem 1989 – wyłączając oczywiście postać Józefa Piłsudskiego – łatwiej było jednak o biografie generalów uważanych generalnie za antagonistów Marszałka. Wtedy to powstały udane biografie Władysława Sikorskiego, Józefa Dowbora-Muśnickiego i Józefa Hallera, choć nie wykorzystano w nich dostatecznie tych źródeł archiwalnych proveniencji wojskowej, które były już wówczas dostępne<sup>2</sup>.

Biografie wyższych dowódców WP okresu międzywojennego ukazujące się sukcesywnie od początku lat dziewięćdziesiątych, cechowały się – w większości przypadków – szerszym uwzględnieniem akt wojskowych, zwłaszcza z zasobu Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie (co wiązało się także z opracowaniem i udostępnieniem zespołów akt wcześniej szerzej nie udostępnianych), a także polskich archiwów emigracyjnych, przede wszystkim Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Władysława Sikorskiego w Londynie oraz Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku i Londynie. Obok szeregu biografii mniej lub bardziej wybitnych wojskowych piłsudczyków, dotyczyło to także generalów spoza tego kręgu, jak chociażby Mariana Kukieła, którego bardzo wartościową biografię napisał Janusz Zuziak<sup>3</sup>. W ostatnich zaś latach – równie ważnych, obszernych biografii Tadeusza Jordan Rozwadowskiego<sup>4</sup> i Józefa Hallera<sup>5</sup>. Autorzy wymienionych biografii, obok bogatej literatury przedmiotu, wykorzystali szeroki i różnorodny zasób aktowy związany z działalnością polityczną i wojskową bohaterów swych prac, a także pozostawioną przez nich obszerną spuściznę dokumentalną, czym nie zawsze dysponować mogą biografowie.

Możliwie szeroko zakrojona kwerenda zachowanego materiału źródłowego stanowi warunek sine qua non napisania kompletnej

---

prac badawczych, „Czasy Nowożytne”, t. VIII (IX), 2000, s. 221-253. Przedstawiony w tym artykule stan badań – aktualny dla końca lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku – uległ od tamtego czasu znaczącej poprawie.

<sup>2</sup> W. Korpalska, *Władysław Eugeniusz Sikorski. Biografia polityczna*, Wrocław 1981 i 1988; P. Bauer, *General Józef Dowbor-Muśnicki 1867-1937*, Poznań 1988; S. Aksamitek, *General Józef Haller. Zarys biografii politycznej*, Katowice 1989.

<sup>3</sup> J. Zuziak, *General Marian Kukiel 1885-1973. Żołnierz, historyk, polityk*, Pruszków 1997.

<sup>4</sup> M. Patelski, *General Tadeusz Jordan Rozwadowski. Żołnierz i dyplomata*, Warszawa 2002.

<sup>5</sup> M. Orłowski, *General Józef Haller 1873-1960*, Kraków 2007.

i rzetelnej biografii. Jest to szczególnie istotne w przypadku tych postaci będących przedmiotem studiów biograficznych, które nie pozostawiły po sobie większej (bądź zgoła żadnej) spuścizny rękopiśmiennej – publikowanej bądź nie, zaś związany z ich działalnością materiał dokumentalny nie stanowi większej wyodrębnionej całości, lecz rozproszony jest po wielu archiwach (a czasem i bibliotekach) polskich i obcych. W znacznym stopniu odnosi się to do będącej przedmiotem niniejszych uwag, biografii gen. bryg. Włodzimierza Ostoi-Zagórskiego, autorstwa Piotra Kowalskiego.

Zagórski to postać pełnokrwista, interesująca, bezsprzecznie zasługująca na biografię. Do tej pory w literaturze przedmiotu znana z niewyjaśnionych do końca okoliczności swego zaginięcia i śmierci w 1927 r., wcześniejszego – datującego się od okresu legionowego – konfliktu z Józefem Piłsudskim i skupionym wokół niego obozem politycznym, jak też z nie do końca oczywistej roli, jaką odgrywał w Legionach. Last but not least – także z kierowania lotnictwem polskim w okresie przedmajowym, z kolei zaś także z roli, jaką odegrał na tym stanowisku w dniach majowych walk 1926 r. w Warszawie<sup>6</sup>. Był żołnierzem z zamiłowania i wykształcenia zawodowego, zdolnym oficerem, który w trakcie swej kariery wojskowej sprawdzał się dobrze w funkcjach sztabowych. Odznaczał się dużą wiedzą wojskową. Dla odradzającego się w 1918 r. WP był cennym nabytkiem, podobnie jak wielu innych byłych oficerów sztabowych armii austro-węgierskiej. Stąd też wielu, u progu odrodzonej państwowości polskiej, wróżyło mu

---

<sup>6</sup> Por. zwłaszcza: J. Rawicz, *Generał Zagórski zaginął... Z tajemnic lat międzywojennych*, Warszawa 1963 (jedna z „demaskatorskich” prac tego autora poświęconych sprawom i ludziom obozu pomajowego); Z. Cieślakowski, *Tajemnice śledztwa KO 1042/27. Sprawa generała Włodzimierza Ostoi-Zagórskiego*, Warszawa 1983; odnośnie do okresu legionowego zob. W. Suleja, „Zły duch” Legionów Polskich, [w:] Z. Fras, W. Suleja, *Poczet agentów polskich*, Wrocław – Warszawa - Kraków 1995, s. 121-129; J. Gaul, *Z działalności kapitana Włodzimierza Zagórskiego w latach 1914-1918*, „Przegląd Historyczny”, 1997, z. 1, s. 135-143. Szereg ustaleń szczegółowych odnośnie do kariery wojskowej Zagórskiego, zwłaszcza w armii austro-węgierskiej, zawiera praca R. Świętka, *Lodowa ściana. Sekrety polityki Józefa Piłsudskiego 1904-1918*, Kraków 1998. Wymienione prace (poza książką J. Rawicza) zawierają szereg wskazówek bibliograficznych, także w aspekcie poszukiwań archiwalnych.

świetną karierę wojskową. Zaszłości z okresu legionowego, ale także i niektóre elementy postawy Generała przed majem 1926 r., zadecydowały inaczej. Przebieg kariery wojskowej Zagórskiego i rozmaite, czasem bardzo istotne aspekty jego działalności, wymagają szeroko zakrojonej kwerendy archiwalnej i bibliotecznej oraz – co nie mniej ważne – podejścia do studiowanej postaci i związanych z nią w różny sposób osób i wydarzeń, sine ira et studio. W sytuacji bowiem, gdy o wielu istotnych aspektach działalności Zagórskiego wiemy często zbyt mało by ferować jednoznaczne sądy, ostrożność w konstruowaniu narracji i formułowaniu ocen wydaje się szczególnie istotna.

Piotr Kowalski, Autor recenzowanej biografii, podszedł atoli do sprawy z nierzadkim niestety w literaturze historycznej zacięciem „misjonarskim”, które moim zdaniem od początku zaciążyło na sposobie narracji i wartości pracy. Uznał otóż, iż Zagórski jest postacią zapomnianą (więcej: skazaną na zapomnienie), której rolę dla Polski i jej sił zbrojnych pomniejszano, by tym mocniej propagować legendę piłsudczyków i ich wodza, którym ambitny i wybitny generał stał na przeszkodzie. Dlatego też został uprowadzony i zamordowany, zaś „zleceniodawcy [zbrodni], a nawet wykonawcy wywodzili się z kręgów »elity«, która w maju 1926 r. uchwyciła władzę w Polsce” (s. 7). Tego rodzaju sposób postrzegania przez Autora tych spraw związanych z osobą Zagórskiego, które odnoszą się do Józefa Piłsudskiego i jego stronników, towarzyszy Czytelnikowi w trakcie lektury całej niemal pracy Kowalskiego. Nie przyczyniło się to niestety do pełnego rozeznania i zrozumienia przez Autora wielu istotnych spraw z udziałem Bohatera pracy, Czytelnikowi zaś nie ułatwiło oglądu złożonych warunków kształtowania się i przebiegu kariery oficerskiej Zagórskiego, począwszy od służby w armii austro-węgierskiej, poprzez aktywność i rolę w Legionach Polskich aż po służbę w wojsku II RP. Od początku narracji, Piłsudski i piłsudczycy stali się negatywnym odniesieniem dla Autora, który na wielu jej kartach nie ukrywa emocjonalnego stosunku do wielu opisywanych przez siebie zagadnień. Ktoś mógłby powiedzieć: to jego prawo. Owszem – odpowiadam – lecz to nie jest historia. Jednostronnych, bardzo negatywnych odniesień do działań Marszałka i jego zwolenników w latach 1914-1927 jest w książce Kowalskiego tyle, że nie sposób się do nich wszystkich ustosunkować,



biorąc pod uwagę niewielką – siłą rzeczy – objętość recenzji. Ocenę pozostawiam więc Czytelnikom.

Najistotniejszym problemem książki jest jej baza źródłowa, która sprawia, iż podtytuł „biografia” nie wydaje się zasadny. Praca ta jest raczej poszerzonym szkicem biograficznym, który mimo sporej objętości (tekst zasadniczy liczy z górą 200 stron), zawiera w sobie luki w odniesieniu do wielu istotnych spraw w biografii Zagórskiego, przez co brak w omawianej książce odpowiedzi na wiele ważnych kwestii związanych z różnymi aspektami działalności tego oficera (o czym dalej). Kowalski oparł bowiem swą pracę w głównej mierze na literaturze przedmiotu i memuarystyce historycznej (przy czym obie kategorie źródeł nie zostały w pełni wyzyskane) oraz licznych edycjach źródeł. W niewielkim stopniu sięgnął do współczesnej omawianym wydarzeniom prasy (którą zresztą wraz z naukowymi bądź szerzej: fachowymi periodykami połączył w pomieszczonej na końcu omawianej pracy „Bibliografii”, w dziale „Czasopisma”), natomiast niemal zupełnie zignorował źródła archiwalne i rękopiśmienne, jeśli nie liczyć wspomnień Walerego Maryańskiego ze zbiorów wrocławskiego Ossolineum oraz reprodukowanych na końcu książki: kilku pism urzędowych o poszukiwaniu Zagórskiego z listopada 1927 r. z akt Komendy Powiatowej Policji Państwowej w Chełmnie z zasobu Archiwum Państwowego w Toruniu, jak też odpisu aktu chrztu, odpisu dokumentu stwierdzającego awans Zagórskiego do stopnia kapitana c.k. armii oraz prośby ppłk. Zagórskiego z grudnia 1918 r. o przeniesienie w stan emerytury – z akt personalnych Generała w Centralnym Archiwum Wojskowym w Warszawie-Rembertowie. Wykorzystanie przez Autora akt personalnych Zagórskiego w CAW budzi jednak moje wątpliwości. Kowalski pisze, że akta te „nie są nazbyt okazałe. Głównie dlatego, że jeszcze przed wybuchem II wojny światowej wypożyczono ich część, która już nigdy nie została zwrócona. Jednakże również z kwerendy archiwalnej udało się zaczerpnąć kilka ciekawych informacji” (s. 11). Nie wiem, jaką kwerendę i jakie informacje Autor miał na myśli pisząc powyższe, bowiem akta personalne Generała przechowywane w CAW cytuje tylko raz, na s. 19 (akt chrztu z 30.IX.1889 r.). Nie wiem również skąd posiada informację o wypożyczeniu ich części przed wojną. Jeśli nawet było to prawdą, to dlaczego nie skorzystał z pozostałej ich

części? O tym, że akta te – nawet jeśli zdekompletowane – istnieją, świadczy choćby Słownik biograficzny generałów Wojska Polskiego 1918-1939 autorstwa Piotra Staweckiego<sup>7</sup>, którego Kowalski nie wykorzystał. Bardziej zresztą istotnym od akt personalnych z CAW byłoby dotarcie przez Autora do akt personalnych Zagórskiego w wiedeńskim Austriackim Państwowym Archiwum Wojennym (Österreichisches Staatsarchiv. Kriegsarchiv). Dałoby to bowiem wgląd w przebieg jego służby w armii austro-węgierskiej w latach 1902-1918, w tym w centrali wywiadu wojskowego (Biuro Ewidencyjne Sztabu Generalnego) oraz – w latach Wielkiej Wojny – w Komendzie Legionów Polskich. Obok tego – także w edukację cywilną Generała, który będąc absolwentem dwóch wiedeńskich akademii wojskowych (Technicznej Akademii Wojskowej w 1902 r. i Akademii Sztabu Generalnego w 1910 r.), miał też wedle niektórych autorów (w tym i Kowalskiego) ukończyć szkołę handlową oraz „zaliczyć sześć semestrów prawa” (s. 20) – pytanie tylko: kiedy i gdzie? Obok tego w zasobie wiedeńskiego Kriegsarchiv znajdują się akta Biura Ewidencyjnego, w którym w l. 1911-1914 pracował Zagórski i spuścizna szefa tej komórki Sztabu Generalnego gen. Maximiliana Rongego (Nachlaß Ronge), które to materiały, w niewielkim stopniu rozpoznane przez polskich badaczy, powinny rzucić szersze światło na ten, jakże istotny, etap kariery wojskowej<sup>8</sup>. Poza nimi zaś – akta austriackich szkół wojskowych, terytorialnych organów administracji wojskowej, związków taktycznych i operacyjnych, Naczelnej Komendy Armii (Armeeoberkommando – AOK), jak też oddziałów wojskowych, w których służył Zagórski na różnych etapach swej c.k. kariery oficerskiej<sup>9</sup>. Służba w armii austro-węgierskiej, zwłaszcza zaś w centrali wywiadu wojskowego, której naturalne przedłużenie stanowiła działalność w latach Wielkiej Wojny w szeregach polskich formacji

<sup>7</sup> P. Stawecki, *Słownik biograficzny generałów Wojska Polskiego 1918-1939*, Warszawa 1994, s. 358-359.

<sup>8</sup> Na temat wartości materiałów Biura Ewidencyjnego i spuścizny gen. M. Rongego por. uwagi Włodzimierza Sulei zawarte w jego recenzji z pracy R. Świętka *Lodowa ściana: „Niepodległość”*, t. XXX (po wznowieniu), Nowy Jork – Londyn 1999, s. 289-310.

<sup>9</sup> Udany przykładem wykorzystania tego rodzaju materiałów jest w polskiej literaturze przedmiotu cytowana wcześniej praca M. Orłowskiego, *Generał Józef Haller 1873-1960*, Kraków 2007.

wojskowych walczących po stronie państw centralnych, stanowi węzłowy problem w biografii Zagórskiego. Wolno więc wyrazić pogląd, iż bez przepracowania powyższych materiałów trudno właściwie podjąć pracę nad biografią Generała. Od wizyty w Kriegsarchiv winien był Autor rozpocząć kwerendę do swej pracy, w każdym razie kwerendę archiwalną (której – jako badania określonej kategorii źródeł – właściwie w ogóle nie podjął). W dalszej kolejności badaniami winny zostać objęte przechowywane w CAW zespoły akt Legionów Polskich (tu zwłaszcza Komendy Legionów Polskich i odrębnie Komendy Grupy Legionów Polskich, II Brygady Legionów: tu zwłaszcza jej sztabu oraz 3 pułku piechoty którym Zagórski dowodził w 1917 r., III Brygady Legionów: tu akta 6 pułku piechoty, w którym krótko dowodził baonem na przełomie 1916/17 r.), Polskiej Siły Zbrojnej, Polskiego Korpusu Posiłkowego, a także Komisji Wojskowej Tymczasowej Rady Stanu. Dla okresu legionowego i wojny polsko-sowieckiej 1919-1920 r. pomocne będą relacje zgromadzone w Kolekcji Rękopisów i w aktach Wojskowego Biura Historycznego, jak też w Kolekcji Akt Rosyjskich zawierających kserokopie z części przynajmniej polskich materiałów historycznych i dokumentalnych z lat Wielkiej Wojny oraz II RP, przechowywanych w Rosyjskim Państwowym Archiwum Wojskowym w Moskwie<sup>10</sup>. Dla spraw roli odgrywanej przez Zagórskiego w WP od jesieni 1918 r., w zasobie CAW istotne będą akta Sztabu Generalnego (także odrębny zespół akt Oddziału II Sztabu Generalnego), Ministerstwa Spraw Wojskowych (poszczególnych departamentów), Biura Ścisłej Rady Wojennej, Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, zaś dla roli odegranej przez Zagórskiego w wojnie 1920 r. – akta Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego, Dowództwa Frontu Północnego, w którym piastował on w sierpniu 1920 r. funkcję szefa sztabu. Wymienione zespoły akt z zasobu Kriegsarchiv Wien i CAW mają dla opracowania biografii największą wartość. Obok nich wymienić należy zespół akt Naczelnego Komitetu Narodowego w Archiwum Państwowym miasta Krakowa, akta Tymczasowej Rady Stanu i Rady

---

<sup>10</sup> W tej materii por. *Archiwalia polskiej proweniencji terytorialnej przechowywane w Państwowym Archiwum Federacji Rosyjskiej i Rosyjskim Państwowym Archiwum Wojskowym*, Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, Warszawa 2000, tu zwłaszcza s. 132-137.

Regencyjnej w warszawskim Archiwum Akt Nowych czy też akta Cesarsko-Niemieckiego Generalnego Gubernatorstwa w Warszawie i cesarsko-królewskiego Generalnego Gubernatorstwa Wojskowego w Lublinie w zasobie Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie. Poza tymi zespołami akt proweniencji wojskowej i cywilnej, wskazać należy na spuścizny dokumentalne szeregu znanych wojskowych i polityków, z którymi Zagórski stykał się w latach Wielkiej Wojny i w okresie II RP, czy to z tytułu spraw i obowiązków służbowych, czy też na stopie prywatnej, a które przechowywane są w polskich (zwłaszcza krajowych) zbiorach archiwalnych i bibliotecznych – by wymienić tytułem przykładu, obszerne kolekcje generałów Mariana Kukieła (CAW), Tadeusza Jordana Rozwadowskiego (Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu), Władysława Sikorskiego (AAN oraz BZNiO) i Józefa Hallera (AAN oraz Biblioteka Narodowa w Warszawie). Nadto w działach rękopisów najbardziej pod tym względem zasobnych krajowych bibliotek: wrocławskiego Ossolineum, warszawskiej Biblioteki Narodowej i Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego oraz Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, liczba niepublikowanych diariuszy i wspomnień, które powinny zainteresować każdego biografę gen. Zagórskiego, idzie zapewne w dziesiątki tytułów. Bez przepracowania jednak wymienionych materiałów, książka o Generale musi być jedynie rysem biograficznym, który systematyzuje wiedzę o nim, występującą w dotychczasowej literaturze przedmiotu.

Oparcie przez Kowalskiego napisanej przezeń książki na literaturze przedmiotu, jak też na źródłach drukowanych (memuarystyce i edycjach dokumentów), bez uwzględnienia de facto źródeł archiwalnych i rękopiśmiennych bez których nie da się opracować rzetelnej biografii gen. Zagórskiego, powoduje iż praca jest w swej warstwie narracyjnej bardzo nierówna. Do wiedzy o działalności jej tytułowego Bohatera wnosi ona wiele tam, gdzie Autor dysponował w miarę solidną – jak na możliwości wyznaczane istniejącą literaturą przedmiotu – podbudową źródłową w postaci istniejących opracowań, czasem też wspomnień i edycji dokumentów (przykładem kampania karpacka 1914/15 r. z udziałem tych oddziałów legionowych, które stanowiły później II Brygadę, anatomia konfliktu Zagórskiego z Piłsudskim, rola Zagórskiego w kryzysie przysięgowym w lipcu i sierpniu 1917 r., z kolei zaś przed i w trakcie bitwy pod

Rarańczę w lutym 1918 r. i w czasie procesu w Marmaros-Sziget, udział pracach nad tworzeniem zawiązków Sztabu Generalnego WP jesienią 1918 r., kierowanie polskim lotnictwem wojskowym w latach 1924-1926, działalność w dniach 12-15 maja 1926 r. w Warszawie, kwestia uwięzienia Generała na wileńskim Antokolu i jego zaginięcia w Warszawie 7 VIII 1927 r.). Poza wymienionymi komponentami, w obszernych partiach książki mamy do czynienia z czymś, co na użytek recenzji nazwałbym narracją incydentalną, tj. budowaną z różnych bardziej lub mniej istotnych wydarzeń dnia codziennego (które jakkolwiek ciekawe same w sobie, to jednak nazbyt drobiazgowe, przez co w biografii opartej na solidnej podstawie źródłowej byłyby w najlepszym razie marginalnymi uwagami). Było to efektem braku kwerendy archiwalnej będącej podstawą dla konstruowania książki. Rezygnacja z jej przeprowadzenia oznaczała w istocie pozbawienie się przez Autora możliwości kontaktu ze źródłem historycznym tak istotnym dla badacza – biografa, jakim są dokumenty wytworzone „przez” bądź „w związku z działalnością” tytułowego Bohatera pracy (za wyjątkiem wykorzystanej przez Kowalskiego pewnej ilości dokumentów publikowanych w ramach edycji źródłowych, które jakkolwiek bardzo ważne dla wielu aspektów biografii, nie mogły przecież w wystarczającym stopniu zastąpić kwerendy archiwalnej). Dodajmy: możliwości kontaktu z dużą liczbą tych dokumentów, warunkujących kompleksowe rozpoznanie biografii Generała i zrozumienie wielu czynników determinujących jego działania i podejmowane na różnym etapie decyzje. To zaś skazało Autora na korzystanie w konstruowaniu biografii Zagórskiego z pośrednictwa wiedzy zawartej w literaturze przedmiotu oraz w memuarystyce. Wiedza to wszakże z drugiej ręki, pochodząca od autorów dla których – z natury rzeczy – postać Zagórskiego nie była pierwszoplanową, a której weryfikację uniemożliwiła rezygnacja Kowalskiego z kwerendy archiwalnej, i tu się też przysłowiowe kółko zamyka.

Kolejnym, sygnalizowanym już problemem jest fakt pisania pracy pod z góry założoną tezę, co nie pozostało bez wpływu na jednostronność i emocjonalny charakter narracji. Kowalski postanowił bowiem napisać biografię jednego z najwybitniejszych, jego zdaniem, wyższych dowódców WP II RP, którego twórcza energia i fachowa wiedza – niezależnie od niejednoznacznych ocen jego postawy w czasie Wielkiej Wojny – nie została właściwie wykorzystana w odrodzonej armii

polskiej z winy Józefa Piłsudskiego i jego środowiska, które ponosi także moralną i faktyczną odpowiedzialność za jego uprowadzenie i śmierć. Stąd też Autor nie kryje swego negatywnego stosunku do Piłsudskiego i piłsudczyków oraz ich roli w najnowszej historii Polski, o czym świadczy również selektywny dobór źródeł (zwłaszcza pamiętnikarskich) i opracowań, wykorzystanych w tych obszernych fragmentach narracji, które mają charakter wartościujący. Nie wpłynęło to korzystnie na wartość pracy, i bez tego – per saldo – nie przesadną. Tymczasem, wbrew autorskiej wizji, rzeczywistość w odniesieniu do działalności Zagórskiego w Legionach, jak też różnych aspektów jego służby w siłach zbrojnych II RP, odrębnie zaś roli politycznej i wojskowej Piłsudskiego oraz środowisk które uznawały w nim przywódcę, zarówno w latach Wielkiej Wojny, jak i w niepodległej Polsce, była dalece bardziej złożona. Zarzut ten należy odnieść do licznych fragmentów narracji.

Praca Piotra Kowalskiego składa się z ośmiu rozdziałów, uszeregowanych w układzie problemowo-chronologicznym. Całość uzupełnia bibliografia, wykaz skrótów, indeks osób oraz bogaty materiał fotograficzny z wykazem 65 reprodukowanych fotografii, ilustracji, obrazów, szkiców i dokumentów, z których nie wszystkie były dotąd znane i publikowane.

Rozdział pierwszy obejmuje „dzieciństwo, młodość i początki służby wojskowej (1882-1914)” Bohatera. Dzieciństwo i młodość naszkicowano tu stosownie do istniejących źródłowych możliwości. Szczególnie cenne są ustalenia Autora w odniesieniu do historii rodu Ostoja-Zagórskich, w tym linii z której wywodził się Włodzimierz, jak też kolei losu jego najbliższej rodziny oraz domowej atmosfery w jakiej dorastał, a która miała istotny wpływ na kształtowanie się jego osobowości. Z kolei kilkanaście lat służby w armii austro-węgierskiej przed wybuchem Wielkiej Wojny to coś znacznie więcej niż „początki służby wojskowej”. Ukończenie w tym okresie dwóch akademii wojskowych: technicznej i sztabu generalnego, służba oficerska w pułku artylerii, kariera oficera sztabu w 24 Brygadzie Piechoty w Krakowie, przydział do Biura Ewidencyjnego Sztabu Generalnego i praca w sekcji rosyjskiej tego biura (łącznie z pozostawianiem przez czas pewien na placówce zewnętrznej na terenie Rosji – przypusz-

czalnie nie tylko w Moskwie, jak pisze Autor, ale i w Petersburgu), awans do stopnia kapitana z dniem 1 listopada 1913 r. – wszystko to znamionowało błyskotliwą karierę wojskową 31-letniego wówczas oficera Sztabu Generalnego c.k. armii. Zagórski w okres Wielkiej Wojny (1914-1918) wchodził więc już jako człowiek w znacznej mierze ukształtowany, pod względem zawodowym doświadczony oficer liniowy i sztabowy, z kilkuletnim doświadczeniem pracy w wywiadzie, dodajmy: pracy o charakterze zarówno operacyjnym, jak i analitycznym. Dla analizy kariery wojskowej tego oficera jest to okres o znaczeniu zasadniczym. Wtedy opanował podstawy żołnierskiego rzemiosła i szerzej: wiedzy wojskowej, wtedy też uformował się jako oficer. Początkowo jako oficer artylerii, z kolei sztabowiec, w końcu zaś oficer wywiadu, konkretnie zaś: centrali wywiadu wojskowego c.k. monarchii. Był naturalnie jednym z wielu polskich (wtedy raczej: polskiego pochodzenia) oficerów tej armii, którzy mieli w swej karierze służbę w organach wywiadu. Rzecz w tym jednak, że na jego biografii fakt ten zaważył szczególnie, co Kowalski kilkakrotnie przy różnych okazjach (i w różnym kontekście) na kartach swej pracy podkreśla. Było więc rzeczą absolutnie podstawową, przepracowanie tego okresu rozwoju wojskowej kariery Zagórskiego w oparciu o dokumentację z wiedeńskiego Kriegsarchiv. Wówczas dopiero można by pokusić się o sformułowanie opinii o Zagórskim jako wojskowym, o jego wojskowej „socjalizacji”, wreszcie o istotnych aspektach jego pracy w Biurze Ewidencyjnym Sztabu Generalnego, zwłaszcza zaś o konsekwencjach służbowych tego faktu w latach Wielkiej Wojny, kiedy został szefem sztabu Komendy Legionów Polskich z ramienia Oddziału Wywiadowczego Naczelnej Komendy Armii (Nachrichtenabteilung der AOK). Trudno bowiem przyjąć bezkrytycznie relację Zagórskiego z 1924 r., iż z chwilą wybuchu wojny chciał ochotniczo wstąpić do polskich formacji wojskowych, zaś propozycja objęcia funkcji szefa sztabu Komendy Legionów Polskich, jaką otrzymał od szefa Nachrichtenabteilung der AOK, płk. Oskara Hranilovicia von Czvetassin, jedynie wyszła temu naprzeciw. Tymczasem zaś Autor przedstawia ten istotny rozdział w wojskowej karierze Zagórskiego jedynie przez pryzmat informacji zawartych w literaturze przedmiotu, szczególnie bardzo cennej z punktu widzenia polskiej biografistyki

wojskowej, pracy R. Świętka *Lodowa ściana*, bez których to danych Kowalski w ogóle nie byłby w stanie tego zagadnienia opracować. Za Świętkiem też przyjął tezę o agenturalnych powiązaniach Józefa Piłsudskiego i jego środowiska z wywiadem c.k. monarchii, co do której – powtórzę tu za W. Suleją – brak przekonujących dowodów<sup>11</sup>. Bez kwerendy w wymienionych wyżej aktach w wiedeńskim Kriegsarchiv, związanych z pracami Biura Ewidencyjnego przed wybuchem i w trakcie Wielkiej Wojny, pozostaje w najlepszym razie poszlaką przekonanie Autora (s. 23-25) powtarzane później wielokrotnie, że Zagórski z tytułu pracy w sekcji rosyjskiej Evidenzbüro, już przed I w. ś. miał dostęp do danych na temat współpracy środowiska skupionego wokół Józefa Piłsudskiego z wywiadem Austro-Węgier, zaś przed zakończeniem w 1918 r. służby w c.k. armii wszedł w posiadanie związanych z tym materiałów, których posiadanie miało przyczynić się do jego tragicznej śmierci w sierpniu 1927 r.

Brak kwerendy w wiedeńskim Kriegsarchiv bardzo utrudnia również sformułowanie całościowej oceny działalności Zagórskiego w latach Wielkiej Wojny, zarówno w aspekcie ściśle wojskowym, jak i – nazwijmy to – politycznym, wiążącym się z konfliktem z częścią obozu niepodległościowego skupioną wokół osoby Józefa Piłsudskiego. Lata 1914-1918 w biografii Zagórskiego stanowią temat rozdziału drugiego i trzeciego, które przez wzgląd na liczne dla tego okresu opracowania i memuarystykę, są najobszerniejsze w omawianej pracy. W okresie od końca sierpnia 1914 do początku maja 1916 r. pełnił Zagórski funkcję szefa sztabu Komendy Legionów Polskich, następnie przez czas pewien był oficerem wywiadu w sztabie XVIII korpusu armii austro-węgierskiej. Do Legionów powrócił z końcem 1916 r., będąc krótko

---

<sup>11</sup> Recenzja W. Sulei z pracy R. Świętka, zawarta w t. XXX (po wznowieniu) „Niepodległości” (zob. przypis 8), w sposób nader trafny przedstawia słabe strony w rozumowaniu autora *Lodowej ściany* w odniesieniu do kwestii charakteru i zasad współpracy Józefa Piłsudskiego i jego współpracowników z ośrodkiem wywiadowczym (Kundschaft-Stelle) XI korpusu armii austro-węgierskiej w Krakowie. Niemniej jednak szkoda, że praca Świętka – częściowo przez wzgląd na sposób prezentowania swoich racji przez Autora, szczególnie nierzadkie wycieczki o charakterze personalnym – nie stała się przedmiotem szerszej dyskusji w polskiej nauce historycznej, na co przecieź zasługiwała. Jej wartość bowiem nie zasadza się jedynie na bogactwie zgromadzonego materiału.



dowódcą I baonu 6 PP Legionów, z kolei już znacznie dłużej dowodząc 3 PP Legionów, w trakcie kryzysu przysięgowego w sierpniu 1917 r. obejmując ponownie stanowisko szefa sztabu Komendy Legionów, po czym został w Polskim Korpusie Posiłkowym dowódcą 1 pułku artylerii, z którym bez powodzenia usiłował w lutym 1918 r. przejść przez front austriacko-rosyjski pod Rarańczą, co skończyło się jego uwięzieniem i procesem w Marmaros-Sziget, przerwany w końcu września 1918 r. wskutek ogłoszenia przez cesarza Karola I abolicji dla oskarżonych w tym procesie legionistów z II Brygady. Przyjście do Komendy Legionów Polskich z centrali wywiadu wojskowego w 1914 r. i proces w Marmaros-Sziget, w którym oskarżono go o zdradę stanu to kłamry spinające istotny okres w biografii Zagórskiego, w którym Kowalski, zapewne nie bez powodu, upatrywał spełnienia tragicznego losu Bohatera w sierpniu 1927 r. Na podstawie, opartych na opracowaniach i literaturze pamiątnikarskiej, ustaleń Autora można stwierdzić, iż Zagórski był zdolnym sztabowcem, odważnym żołnierzem i dobrym dowódcą o dużej wiedzy wojskowej i niemałych zdolnościach operacyjnych i taktycznych, co udowodnił m.in. w bitwie pod Mołotkowem (28-29.X.1914), dowodząc oddziałami, z których powstała II Brygada. Miał też w późniejszym okresie korzystny wpływ na proces wyszkolenia bojowego pułków tej brygady, a w pewnej mierze i jej korpusu oficerskiego. Ustalenia te byłyby znacznie bardziej wiarygodne, gdyby zostały podbudowane solidną kwerendą archiwalną, na co wcześniej wskazano. Dotyczy to także – co należy wyraźnie podkreślić – kwestii realizowania przez Zagórskiego jego kompetencji i obowiązków jako szefa sztabu Komendy Legionów, co odnosiło się do wielu obszarów zagadnień, w tym także prac o charakterze wywiadowczym, zarówno w sensie wywiadu i rozpoznania wojskowego, jak też wywiadu politycznego i zwalczania szpiegostwa. Sprawy te na podstawie literatury przedmiotu zostały ledwie zasygnalizowane. W oparciu o źródła pamiątnikarskie (w większości Zagórskiemu przychyłne) podjął też Autor próbę nakreślenia psychicznej sylwetki swego Bohatera, a także ewolucji jego poglądów na istotę sprawy polskiej w tej wojnie. Sporo miejsca poświęcono analizie przyczyn i przebiegu konfliktu Zagórskiego z Piłsudskim i dowodzoną przez niego I Brygadą, stanowiącą przez cały okres swego istnienia formację legionową podkreślającą ideową

i polityczną niezależność polskiego czynu zbrojnego od zwierzchnictwa i polityki państw centralnych, zwłaszcza ich czynników wojskowych, z którymi Komendant i jego podwładni na co dzień mieli do czynienia.

W ocenie genezy i istoty konfliktu Piłsudskiego z Zagórskim Autor trafnie wskazał na konflikt dwóch silnych osobowości, a także na determinanty postawy szefa sztabu Komendy Legionów wynikające z jego roli oficera służby stałej, dbałości o zachowanie własnej pozycji i prestiżu, a także roli sprawowanej w Legionach z ramienia AOK. Zauważył również przyczyny pomniejszenia, z upływem czasu, pozycji Zagórskiego, co skutkowało w maju 1916 r. jego odejściem z Legionów. Było to m.in. efektem sukcesu Piłsudskiego w tym konflikcie, ale i braku poparcia ze strony tych czynników w AOK, które Zagórski dotąd na terenie legionowym reprezentował. Fakt ten, obok szeregu przytaczanych przez Autora świadectw osób znających wówczas Zagórskiego, każe postawić szereg pytań o rolę szefa sztabu Komendy Legionów w l. 1914-1916. Pytań, które w oparciu o badaną przez siebie, a dotyczącą różnych aspektów aktywności Zagórskiego w tym okresie dokumentację Komendy Legionów Polskich w CAW, postawił już Jerzy Gaul w znanym także i Autorowi omawianej pracy artykule, pt. Z działalności kapitana Włodzimierza Zagórskiego w latach 1914-1918 („Przegląd Historyczny”, 1997, z. 1), a których tropem (a także cytowanych tam, konkretnych jednostek aktowych z zasobu CAW) Kowalski nie poszedł. Najważniejsze z nich dotyczą identyfikacji Zagórskiego ze sprawą polską, która niewątpliwie wzrastała z biegiem lat i rozwojem sytuacji militarno-politycznej, jakkolwiek zawsze związana była z aktualnym postrzeganiem przezeń pozycji polskich spraw w istniejącym układzie sił, następnie kwestii lojalności Zagórskiego wobec służbowej zwierzchności, lojalności od pewnego momentu będącej w konflikcie z jego własnym poczuciem narodowym (choć przecież i pod Rarańczę ruszył z własnymi oddziałami w kierunku linii frontu głównie dlatego, że nie miał w istocie innego wyjścia), wreszcie zaś roli jako sui generis eksponenta interesów AOK i austriackiego wywiadu wojskowego na terenie legionowym, przez co także kwestii całokształtu koordynowanych przezeń działań wywiadowczych (często w kontrze do podobnych działań piłsudczyków) i wpływu tego faktu na istotę konfliktu z Piłsudskim i jego I Brygadą.

Są to jednak pytania, na które na podstawie wiedzy zebranej przez Autora, z pominięciem kwerendy archiwalnej, trudno odpowiedzieć w sposób jednoznaczny. Nie ułatwia tego także przyjęta optyka postrzegania konfliktu Zagórskiego z Piłsudskim, w znacznej mierze oparta na opiniach pamiętnikarzy niechętnych Komendantowi i jego podkomendnym, za to zupełnie niemal zapoznająca cele legionowej polityki piłsudczyków i ich przywódcy, w tej pracy sprowadzone w dużym stopniu do problemu walki o wpływy w Legionach. Gdyby Kowalski szerzej zapoznał się z istniejącą w tej materii obszerną literaturą przedmiotu (w tym i z cytowanymi przez siebie opracowaniami, które – odniosłem takie wrażenie – służyły mu głównie do umiejscowienia różnych wydarzeń w czasie i przestrzeni)<sup>12</sup>, nie miałby problemu chociażby z właściwą oceną zachowania Komendanta na pogrzebie ppor. Edwarda „Franka” Gibalskiego 14 września 1915 r. (s. 69), ani też nie przypisywałby Radzie Pułkowników w lutym 1916 r. zamiaru prowadzenia „polityki równej odległości w stosunku do J. Piłsudskiego i W. Zagórskiego” (s. 75). Wydaje się także, że Autor nie docenił siły odium, jakie spadło na jego Bohatera z tytułu konfliktu z piłsudczykami i ich przywódcą, konfliktu motywowanego zarówno względami ambicjonalnymi, jak też zasadami rządzącymi służbą wojskową, wreszcie zaś odmiennym postrzeganiem sprawy polskiej w tej wojnie. Odium tym większego, iż Zagórski, obok krzyżowania szyków piłsudczykom tytułem realizowania uprawnień, które przysługiwały mu jako szefowi sztabu Komendy Legionów Polskich, posuwał się nierzadko do metod bezceremonialnych, którym niebezpiecznie blisko było do delatorstwa<sup>13</sup>, a których Kowalski zdaje się czasem nie dostrzegać. Te same elementy wystąpiły też w trakcie kryzysu przysięgowego w lipcu i sierpniu 1917 r., niezależnie od bardzo wyraźnej wówczas postawy Zagórskiego, zdeterminowanego w działaniach na rzecz złożenia przysięgi przez oddziały legionowe. Charakterystycznym,

---

<sup>12</sup> Por. chociażby: W. Suleja, *Orientacja austro-polska w latach pierwszej wojny światowej*, Wrocław 1992; Tenże, *Józef Piłsudski*, Wrocław 1995; W. Milewska, J.T. Nowak, M. Zientara, *Legiony Polskie 1914-1918. Zarys historii militarnej i politycznej*, Kraków 1998; J. Gaul, *Na tajnym froncie. Działalność informacyjno-wywiadowcza polskich organizacji niepodległościowych w latach 1914-1918*, Warszawa 2001.

<sup>13</sup> Por. też uwagi W. Sulei, „Zły duch”..., s. 124-125.

choć i drastycznym przykładem stosunku wielu legionistów, zwłaszcza zdeklarowanych piłsudczyków, do osoby Zagórskiego, jest fragment Szopki benjaminowskiej autorstwa więzionego wówczas w obozie w Beniaminowie por. Wacława Kostka-Biernackiego, w którym były szef sztabu Komendy Legionów Polskich występuje pod postacią Kupca „z Kasztele [K-Stelle]”. Fragment ten notabene wart jest analizy przez obecnych i przyszłych biografów Zagórskiego, także z powodu mniej lub bardziej ukrytych aluzji do jego działalności (również w okresie przed wybuchem I w. ś.)<sup>14</sup>. Odium to, wynikające nie tyle może z nie dającego się uniknąć konfliktu c.k. oficera i szefa sztabu Komendy Legionów Polskich z Komendantem I Brygady, ile raczej z metod jakich Zagórski nie wahał się stosować, ciągnęło się za nim, w opinii wielu, do tragicznego finału, zaś w oglądzie wielu piłsudczyków Rarańcza i Marmaros-Sziget niczego nie zmieniały. Tu właśnie – jak sądzę – szukać należy źródeł kumulacji zjawisk, które znaleźć mogły tragiczny finał w sierpniu 1927 r. Natomiast przekonanie Autora, iż Zagórski, jeszcze przed odejściem ze służby w armii austro-węgierskiej, a już po procesie w Marmaros-Sziget, zdołał wydobyć z archiwum wywiadu wojskowego w Wiedniu dowody świadczące o współpracy Piłsudskiego z Evidenzbüro (s. 111), świadczy o myśleniu magicznym. Z kolei przywoływana przez Kowalskiego – a mająca świadczyć, iż Zagórski był w posiadaniu tego typu materiałów – relacja mjr. dypl. Marcelego Kyci (s. 147) jest w najlepszym razie poszlaką.

Rozdział czwarty poświęcono aktywności Zagórskiego w l. 1918-1921, w tym roli odgrywanej przezeń w odradzającym się WP. W październiku 1918 r., w randze majora, z kolei zaś podpułkownika, brał udział – z ramienia Komisji Wojskowej Rady Regencyjnej – w pracach nad tworzeniem zawiązków Sztabu Generalnego oraz przyszłych sił zbrojnych państwa polskiego. Była to praca bardzo ważna dla odradzającej się armii polskiej, tym bardziej więc warto było sięgnąć do archiwaliów CAW<sup>15</sup>. To samo odnosi się do roli płk. Zagórskiego

---

<sup>14</sup> Zob. W. Kostek-Biernacki, *Szopka benjaminowska*, Warszawa 1927, s. 27. Arię Kupca częściowo jedynie opublikował J. Rawicz w swej quasi biografii Kostka-Biernackiego: *Diabeł przegrany*, Warszawa 1976, s. 89.

<sup>15</sup> Por. chociażby: G. Nowik, *Zanim złamano „Enigmę”... Polski radiowywiad podczas wojny z bolszewicką Rosją 1918-1920*, Warszawa 2004, s. 197-198.

jako dowódcy Dywizji Ochotniczej i szefa sztabu Frontu Północnego w sierpniu 1920 r., z kolei zaś dowódcy 4 DP we wrześniu i październiku tegoż roku. Autor bowiem nie wyzyskał w pełni opublikowanych w latach 1995-1999 edycji dokumentów operacyjnych do bitwy warszawskiej i niemeńskiej (s. 123-127). Kwerenda archiwalna w CAW byłaby istotna także i w kontekście wystawianej Zagórskiemu przez Autora – nie bez powodu – wysokiej oceny jego pracy operacyjnej i dowódczej w sierpniu i wrześniu 1920 r. Trudno natomiast jednoznacznie ocenić przekonanie Autora, iż Zagórski jesienią 1918 i 1920 r. odszedł z wojska tylko i wyłącznie dlatego, że na jego czele stał Piłsudski (s. 117 i 128).

Rozdział piąty poświęcono działalności gospodarczej i wojskowej Zagórskiego – w lipcu 1924 r. mianowanego generałem brygady – w l. 1921-1926. Od chwili powrotu w szeregi sił zbrojnych w marcu 1923 r. – jeszcze w okresie piastowania przez marszałka Piłsudskiego funkcji szefa Sztabu Generalnego WP i przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej – na czoło zagadnień w prowadzonej przez Autora narracji wysuwa się kierowanie przez Zagórskiego Wydziałem (następnie Departamentem) Przemysłu Wojennego Ministerstwa Spraw Wojskowych, zaś od 1924 r. piastowanie przezeń funkcji szefa Departamentu Żeglugi Powietrznej w tym resorcie, więc oficera stojącego na czele polskiego lotnictwa wojskowego. Ponieważ dzieje lotnictwa wojskowego w II RP posiadają znaczącą liczebnie i wartościową literaturę przedmiotu, okres kierowania przez Zagórskiego siłami powietrznymi (1924-1926) został tu przedstawiony zupełnie dobrze, jakkolwiek – powtórzę to raz jeszcze – analiza istniejących archiwaliów (zwłaszcza w CAW) pozwoliłoby Autorowi ukazać także i te obszary zagadnień związanych ze służbą Generała na tym stanowisku, których w oparciu o opracowania i memuarystkę przedstawić nie mógł. Obok przemysłu wojennego, czy spraw organizacyjno-wyszkoleniowych w obrębie sił powietrznych, dotyczy to również wkładu Zagórskiego w polską myśl wojskową, zarówno w dziedzinie lotnictwa (co do którego uważał iż winno zostać rozwinięte w samodzielny rodzaj sił zbrojnych, nie zaś być jedynie bronią pomocniczą wspierającą wojska lądowe), jak i – o czym już zdecydowanie mniej wiadomo – w zakresie formy polskich działań operacyjnych na wypadek wojny (obrony ruchowej

jako najbardziej optymalnej dla polskiego potencjału wojskowego i teatru działań wojennych w walce ze spodziewanym silniejszym przeciwnikiem)<sup>16</sup>. Wysoko ceniąc zasługi gen. Zagórskiego dla rozwoju polskiego lotnictwa wojskowego w okresie przed majem 1926 r., winien jednak Kowalski mieć na uwadze, iż dokonane przez Generała zakupy sprzętu lotniczego we Francji, pod względem liczby samolotów stawiające Polskę na drugim miejscu w Europie, po francuskim sojuszniku właśnie, w perspektywie stosunkowo bliskiej okazały się sukcesem iluzorycznym oraz przedsięwzięciem kłopotliwym z punktu widzenia racjonalnego rozwoju polskich sił powietrznych. Zakupione w 1924 r. maszyny, które mogły być jeszcze wówczas (w większości) uznane za stosunkowo nowoczesne, po kilku latach były już sprzętem przestarzałym, w następnych zaś niszczącym wskutek braku odpowiedniego zaplecza logistycznego. Z powodu zaś braku odpowiedniej liczby wyszkolonych kadr lotniczych – także sprzętem w niewielkim stopniu wykorzystywanym<sup>17</sup>.

Afera „Francopolu” z którą w 1924 r. wiązano Generała, jako członka zarządu tej spółki w l. 1921-1923, następnie szefa Departamentu Przemysłu Wojennego, po czym Departamentu Żeglugi Powietrznej MSWojsk. (nie wyjaśniona w pełni przez Autora), jak też wspomniane wyżej „zaszłości” z okresu Wielkiej Wojny powodowały, że w okresie przed zamachem majowym stał się Zagórski stosunkowo łatwym i, by tak rzec: atrakcyjnym celem ataków prasowych ze strony części publicystów związanych z obozem piłsudczykowskiem (szczególnie celował w tym Wojciech Stpiczyński). Kampania przeciwko Zagórskiemu stanowiła wówczas i później, element upowszechnianej przez piłsudczyków swego rodzaju „czarnej legendy” tej postaci. Tyle że

<sup>16</sup> Por. L. Wyszczelski, *Polska myśl wojskowa 1914-1939*, Warszawa 1988, s. 265.

<sup>17</sup> Autor najwyraźniej przeszedł do porządku dziennego nad uwagami zawartymi w znanej sobie pracy R. Bartel, J. Chojnacki, T. Królikiewicz, A. Kurowski, *Z historii polskiego lotnictwa wojskowego 1918-1939*, Warszawa 1978, s. 98-99. Z innych prac por. też: M. Ciepłowicz, *Wojsko Polskie w latach 1921-1926. Organizacja, wyposażenie, wyszkolenie*, Wrocław – Warszawa – Kraków 1998, s. 135-135; L. Wyszczelski, *Od demobilizacji do zamachu majowego. Wojsko Polskie w latach 1921-1926*, Warszawa 2007, s. 316-317; z prac wspomnieniowych zob. S.P. Prauss, *Z Zakopanego na Stag Lane. Wspomnienia konstruktora lotniczego i pilota. Lata 1910-1970*, oprac. E. Malak, Wrocław – Warszawa – Kraków 1996, s. 144-145.

legenda ta zawierała wiele bezsprzecznych faktów. Kowalski stara się bronić swego Bohatera, nie usiłując zbytnio dociec treści i istoty zarzutów adwersarzy Zagórskiego, które dotyczyły spraw z okresu I w. ś., ale i afery „Francopolu” oraz ówczesnej, prowadzonej przez Generała – jak to ujął January Grzędziński – „reklamarskiej gospodarki w lotnictwie”<sup>18</sup>. Autor ma oczywiście do tego prawo, ważne jednak, by starał się unikać formułowania stwierdzeń przesadnych. Przykładem dowodzenie, że piłsudczycy unikali z nim pojedynków z powodu respektu dla jego szermierczych umiejętności (s. 133, 150). Otóż... piłsudczycy odmawiali Zagórskiemu satysfakcji honorowej (jak w marcu 1926 r. – po raz drugi od 1917 r. – gen. Gustaw Orlicz-Dreszer) tylko i wyłącznie dlatego, że na podstawie nie tak dawnych własnych doświadczeń, nie uważali go za człowieka godnego polskiego munduru<sup>19</sup>, nie zaś dlatego, że – jak twierdzi Kowalski – „uchodził [...] za »pojedynkowicza«, a na rękę miał nosić bransoletkę symbolizującą dwanaście pojedynków ze śmiertelnym dla przeciwnika skutkiem” (s. 150).

Rozdział szósty zawiera analizę – bardzo dokładną – przebiegu walk majowych 1926 r. w Warszawie, a na jej tle rolę gen. Zagórskiego, mianowanego 12 maja 1926 r. ponownie szefem Departamentu Żeglugi Powietrznej MSWojsk. w miejsce płka Ludomiła Rayskiego. Generał, jak w trakcie wojen lat 1914-1920, pokazał się tu jako oficer energiczny i odważny, stanowiący w tych dniach istotne wsparcie dla gremium dowódczego wojsk rządowych. Nieliczne i terenowo ograniczone bombardowania pozycji wojsk Marszałka, mające na celu osłabienie psychicznej odporności tych ostatnich, nie obciążały – trzeba się zgodzić z Autorem – konta gen. Zagórskiego. Po kapitulacji wojsk rządowych był to jednak jeden z głównych kierowanych przeciwko niemu zarzutów, do których dołączono też zarzuty wysunięte jesz-

---

<sup>18</sup> J. Grzędziński, *Maj 1926. Kartki z pamiętnika*, Warszawa 1936, s. 21. Rzeczywistość w tej materii była znacznie bardziej złożona niż sądził Marian Romeyko, *Przed i po maju*, Warszawa 1967, z którego świetnych literacko i interesujących poznawczo wspomnień korzystać należy z dużą ostrożnością, o czym nie zawsze pamiętał Piotr Kowalski.

<sup>19</sup> Por. P. Olstowski, *Generał Gustaw Orlicz-Dreszer (1889-1936). Dowódca wojskowy i działacz społeczno-polityczny*, Toruń 2000, s. 105-106 i 220-221.

cze w kwietniu 1926 r. przez prokuratora wojskowego płk. Stefana Kaczmarka, których istoty, nie badając odnośnych akt sądownictwa wojskowego, Kowalski nie doprecyzował.

Dwa ostatnie rozdziały – siódmy i ósmy – poświęcone zostały odpowiednio pobytowi Generała w wojskowym więzieniu śledczym na Antokolu w Wilnie (1926-1927) oraz sprawie jego zaginięcia – po uwolnieniu z więzienia – 7 VIII 1927 r. w Warszawie i prawdopodobnej śmierci. Nie ulega kwestii, iż uwięzienie gen. Zagórskiego – obok innych generałów strony rządowej – było niezależnie od stawianych mu już wcześniej zarzutów, formą pomajowej represji wobec człowieka uznanego za zdeklarowanego przeciwnika marszałka Piłsudskiego. Na podstawie opracowań, a przede wszystkim źródeł drukowanych, Autor zrekonstruował warunki pobytu Zagórskiego w więzieniu antokolskim<sup>20</sup>, jak też okoliczności zwolnienia 6 sierpnia 1926 r. Z kolei – w ostatnim rozdziale – podjął próbę rekonstrukcji operacji uprowadzenia Generała i dokonanego na nim, jak stwierdził, „mordu kapturowego”. Problem – podobnie, jak z wcześniejszymi próbami dokonania rekonstrukcji wydarzeń, jakie nastąpiły po przybyciu gen. Zagórskiego do Warszawy 7 sierpnia 1926 r., jak choćby pióra Zbigniewa Cieślikowskiego – polega jednak na tym, iż trop urywa się po tym, jak Generał wysiadł na wysokości Krakowskiego Przedmieścia z cadillaka, którym jechał w towarzystwie mjr. Zygmunta Wendy i kpt. Lucjana Miładowskiego. Dalsza narracja w tej materii, prowadzona przez Kowalskiego, ma już charakter hipotetyczny, podporządkowany udowodnieniu tezy zawartej w endeckiej ulotce z 1927 r., informującej o uprowadzeniu i zamordowaniu Generała z polecenia Józefa Piłsudskiego. Rekonstrukcja wydarzeń, które w efekcie doprowadzić miały do śmierci Zagórskiego, jest z jednej strony spójna i na pewnych przynajmniej punktach przekonująca, z drugiej zaś zawiera elementy wątpliwe,

---

<sup>20</sup> Choć i w tym względzie, jak zresztą w wielu innych poruszanych w tej pracy sprawach, nie wadziłaby kwerenda w przechowywanych w CAW aktach Departamentu Sprawiedliwości MSWojsk. Zob. M. Patelski, *Jeńcy majowej wojny. Pobyt generałów: Tadeusza Jordan Rozwadowskiego, Juliusza Malczewskiego, Włodzimierza Zagórskiego i Bolesława Jaźwińskiego w Wojskowym Więzieniu Śledczym na Antokolu w Wilnie*, [w:] *Zamach stanu Józefa Piłsudskiego 1926 roku*, pod red. M. Siomy, Lublin 2007, s. 309-324.

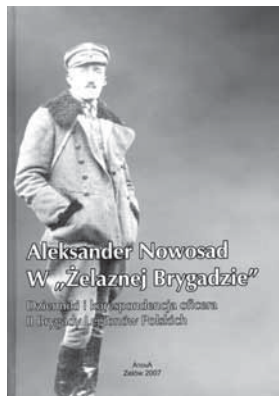


wynikające z przekonania Autora, że „tak musiało być”, będące zatem produktem myślenia życzeniowego. Niemniej jednak dość obszerny wywód Autora wskazuje bez żadnych wątpliwości, iż władze zrobiły wówczas wystarczająco wiele, by śledztwo wdrożone po zaginięciu Generała szybko utknęło w martwym punkcie, tak by można je było umorzyć, co się i stało. Wszystko zatem wskazuje na to, iż sprawa ta pozostanie jedną z nierozwikłanych zagadek II Rzeczypospolitej.

Konkludując, praca Piotra Kowalskiego, powstała w oparciu o literaturę fachową i pamiętnikarską, jak też edycje dokumentów, jednakże bez dokonania przez Autora podstawowej kwerendy archiwalnej, systematyzuje jedynie wiedzę o generale Włodzimierzu Zagórskim, którą znaleźć można w dostępnych opracowaniach. Kowalski wiele z nich mógł jednak wyzyskać w większym stopniu, nie do wszystkich też dotarł. W pewnej mierze książka ta wskazuje kierunki dalszych badań w odniesieniu do tej interesującej i znaczącej w polskiej historii wojskowej dziejów najnowszych, postaci, bezsprzecznie zasługującej na wieloaspektową i całościową biografię, a cokolwiek już dziś zapomnianej. Należy mieć zatem nadzieję, iż omawiana praca, która choć pozbawiona właściwie dokumentalnej (archiwalnej) podstawy źródłowej niewiele do wiedzy o generale Zagórskim mogła wnieść nowego, to jednak przez przypomnienie tej postaci i jej roli w polskiej historii wojskowej, przyczyni się do podjęcia szeroko zakrojonych badań źródłowych związanych z jego działalnością i służbą w armii austro-węgierskiej, polskich formacjach wojskowych w latach I w. ś. oraz w WP, w efekcie zaś do powstania rzetelnej biografii tego oficera.

MARTA WALAK  
*Piotrków Trybunalski*

**ALEKSANDER NOWOSAD, W „ŻELAZNEJ BRYGADZIE”.  
DZIENNIK I KORESPONDENCJA OFICERA II BRYGADY  
LEGIONÓW POLSKICH, WSTĘP I OPRAC. PRZEMYSŁAW  
WAINGERTNER, ŻELÓW 2007, WYDAWNICTWO ATENA, SS. 142**



W 2007 r. staraniem łódzkiego historyka dziejów najnowszych Przemysława Waingertnera ukazał się dziariusz podporucznika Aleksandra Nowosada z 3 pułku piechoty II Brygady Legionów Polskich W „Żelaznej Brygadzie”. Dziennik i korespondencja oficera II Brygady Legionów Polskich.

Aleksander Józef Nowosad urodził się w 1895 r. w Zarzeczcu koło Lwowa. Pochodził z ziemiańskiej rodziny o patriotycznych tradycjach. W sierpniu 1914 r., jako członek Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół-Macierz” wstąpił do formowanego w Krakowie Legionu Zachodniego. Był wówczas absolwentem Państwowej Szkoły Handlowej we Lwowie. W Legionach Polskich służył w 3 PP, z którym przeszedł cały szlak bojowy II Brygady. Dnia 23 grudnia 1914 r. awansowano go do stopnia chorążego; w sierpniu 1916 r. na podporucznika. Po kryzysie przysięgowym w 1917 r. Nowosad znalazł się w Polskim Korpusie Posiłkowym. Podczas krytycznego momentu, jakim było przejście przez linię frontu pod Rarańczą w nocy z 15 na 16 lutego 1918 r., Autor należał do grupy tych legionistów, którym nie udało się przedostać na stronę rosyjską. Internowany w Szeklencze, skąd przetransportowano go do Włoch pod Udine. Do Lwowa, gdzie ówczasie mieszkała jego rodzina powrócił latem 1918 r. Zmarł w październiku tegoż roku na gripę, tzw. hiszpankę. Pochowano go na Cmentarzu Łyczakowskim. Przed śmiercią Nowosad, swoje zapiski i zbiór fotografii przekazał

młodszej siostrze Anieli, która opiekowała się spuścizną do 2004 r. Po jej śmierci krewni udostępnili ten unikatowy spadek autorowi opracowania. Część olbrzymiego zbioru fotografii doczekała się już edycji<sup>1</sup>.

Wysiłek zbrojny jaki poniosły formacje legionowe podczas I w. ś. jest przedmiotem stałego zainteresowania historyków, na co niewątpliwie duży wpływ ma postać Józefa Piłsudskiego. Jego życie i działalność polityczna wywołuje po dziś dzień sporo emocji. W ostatnich latach można wręcz mówić o erupcji na rynku wydawniczym wszelkiego rodzaju prac dotyczących problematyki legionowej o charakterze popularno-naukowym, stricte naukowym, lub pamiętnikarskim<sup>2</sup>. Niektórzy z badaczy, m.in. Andrzej Garlicki, czy Włodzimierz Suleja zdecydowali się na iterację wydawniczą, rozszerzając wcześniejsze publikacje.

Wydaje się, że okres poprzedzający dwudziestolecie międzywojenne, przesiąknięty mesjanizmem, dramatyzmem chwili, patriotyzmem i nostalgią wciąż stanowi dla polskiego czytelnika „ziemię nieznaną”, ale jednocześnie oczekiwaną. W obraz ten doskonale wpisują się losy II Brygady Legionów Polskich, która brała udział w działaniach militarnych na froncie wschodnim wnosząc istotny wkład w budowę wojska Niepodległej. Dzięki ofiarom zyskała miano „Żelaznej Brygady”. Na początku lat 90-tych ubiegłego wieku formacja doczekała się obszernej monografii pióra Stanisława Czerepa<sup>3</sup>, choć równie wartościowe są wcześniejsze opracowania innych badaczy dziejów wojskowości polskiej<sup>4</sup>.

<sup>1</sup> P. Waingertner, „Żelazna Karpacka”. *II Brygada Legionów Polskich w fotografii*, Łódź 2003.

<sup>2</sup> Do jednych z najnowszych pozycji należą m.in.: J. Kruk-Śmigła, *Za wierną służbę Ojczyźnie. Dziennik legionisty I Brygady*, oprac. z rękopisu i przypisami opatrzył oraz podał do druku Jerzy Kirszak, Krosno 2004; M. T. Brzęk-Osiński, *Ze wspomnień legionisty i piłsudczyka 1905-1939*, spisał W. Dąbrowski, red. nauk. P. A. Tusiński, Warszawa 2003; S. Rostworowski, *Bitwy mojego życia 1914-1944*, Warszawa 2001.

<sup>3</sup> S. Czerep, *II Brygada Legionów Polskich*, Warszawa 1991; wyd. II, 2007.

<sup>4</sup> M. Babiński, *Walki II Brygady nad Prutem*, Piotrków 1916; *II Brygada Legionów Polskich*, [w:] *Spis polskich organizacji wojskowych przedwojennych i formacji z wojny światowej (1904-1921)*, Warszawa 1937; *Dwa lata w boju II-jej Brygady Legionów Polskich 30.IX.1914-30.IX.1916*, Piotrków 1916; Ż. Grotowski, *Walki II Brygady Legionów*, Piotrków 1916; *Kampania bukowisko-besarabska Legionów*

Dlatego opublikowanie źródła dotyczącego choćby w sposób wyrywkowy tragicznego epilogu II Brygady, było jak najbardziej zasadne. Dla zwykłego czytelnika spragnionego zakulisowych aspektów wkraczających głęboko w codzienną prozę prostego żołnierza, obecna edycja daje odpowiedzi w zakresie postaw legionistów, ich problemów, niepokojów o los kolegów, rodziny, Ojczyzny<sup>5</sup>; historykowi zaś doskonały materiał badawczy. Czyż nie poruszają słowa młodego oficera, pełne zawiedzionych nadziei i najgorszych przeczuc w chwili, gdy nie udało mu się przekroczyć linii frontu pod Rarańczę: „Przeczułem coś. Rozkazy wydałem, posłałem do Toporowic po ludzi resztę. Sam siadłem na wóz, nic nie jedząc i o siódmej wyjechałem. Około pierwszej w nocy byłem w Mamajesti. Kancelarie otwarte, ciemno, morze pak pustych, wszędzie widać pośpiech, książki zostawione [...]. Żołnierze austr[riaccy] się kręcą. Pytam gdzie pułk. Mówią mi, że gdzieś poszli. Jeden wspomniał o Rarańczy. Wszystko wiedziałem, tylko nie mogłem zrozumieć dlaczego mnie zostawili. Jakieś dziwne uczucia mną miotały. Byłem zły, zdenerwowany. Nie namyślałem się ani chwili – na wóz i jazda galop do Rarańczy. Może ich dogonię...”. (s. 32-33). Jakże ujmują czytelnika emocje pobrzmiewające z kart dziennika tuż po złapaniu przez Austriaków, gdy Nowosad zanotował: „Jesteśmy gotowi na sąd doraźny. Kula w łeb, w najlepszym razie dziesiątkowanie. [...] idziemy do Mamajesti [...]. Obraz straszny. Legion[iści] na przedzie, my [oficerowie] w tyle, eskortowani przez szturmowe austr[iackie] komp[anie]. Wszystko głodne, zmęczone, brudne, obdarte ze wszystkiego...”. (s. 35). Równie emocjonalnie przeżył Autor pobyt w obozach internowania m.in. w Huszt i Szeklencze, skrupulatnie opisując warunki życia obozowego i metody traktowania. Relatywnie dużo miejsca zajmują w adnotacjach No-

---

*Polskich*, Kraków 1916; H. Lewartowski, B. Pochmarski, J. A. Teslar, *Szlakiem bojowym Legionów. Krótki zarys organizacji i dziejów 2 Brygady Legionów Polskich w Karpatach, Galicji i na Bukowinie*, Lwów 1915; B. Merwin, *Legiony w boju 1914*, t. I: *II Brygada w Karpatach*, Wiedeń 1915; Idem, *Legiony w boju 1915*, t. II: *II Brygada na Bukowinie i pograniczu Besarabii*, Kraków 1916; *Szlakiem bojowym II Brygady Legionów Polskich w Karpatach Wschodnich*, Warszawa 1937.

<sup>5</sup> Równie interesującą charakterystykę postaw legionistów II Brygady Legionów Polskich dają m.in.: *Wspomnienia legionowe. Materiały z dziejów walki o niepodległość*, red. S. Falkiewicz, J. Jędrzejewicz, cz.1-2, Warszawa 1924-1925.

wosada komentarze dotyczące relacji między współwięźniami, oraz wizyt wyższych oficerów austriackich. Autor scharakteryzował m.in. zmieniający się, w miarę upływu czasu, stosunek Austriaków do legionistów. Chwilę po przybyciu do obozu pisał: „Nas prowadzą do budynku. Jakiś oberleut[nant] podniesionym głosem każe się ustawić. Mówi że jesteśmy zbrodniarzami [...]. Rewizje osobiste. [...] Każdy milcząco daje się zrewidować...”, ale kilka dni później skonstatował: „Polepszenie traktowania nas. Wolno pisać listy. Każdy wracając z miasta, przyniósł bułki, ciastka. Feta. Wesołość”. (s. 41).

Była to jednakże krótkotrwała iluzja, gdyż legionieści zostali skierowani na front włoski. Autor 2 kwietnia 1918 r. zanotował: „Epilog. Odmaszerowali leg[ionieści] – boso, obdarci, pod bagnetami. Poprowadzili ich w świat. [...] Tak skończył się Legion po stronie [państw] centralnych”. (s. 50). Sam również tego doświadczył dołączając do kolegów. Przyjazd do Udine zilustrował stwierdzając: „dworzec b[ardzo] ładny, brak czasu na zwiedzanie. Za kilka godzin mamy być u celu. Okolice zniszczona zupełnie. [...] Maszerujemy do komendy grupy Villaorba. Wita nas pułk[ownik] Lewandowski, Polak. Źle mówi po polsku. Stoimy długo – deszcz pada”. (s. 55).

Książka zwraca uwagę wymownością szaty graficznej: samotna postać Autora – oficera legionowego została umiejscowiona na tle dominującej szarości okładki, wywołując jednoznaczne skojarzenia – smutku i opuszczenia, adekwatnie do dziejów II Brygady.

Dziennik ppor. Aleksandra Nowosada obejmuje stosunkowo krótki, fragmentaryczny okres historii Brygady (15 luty – 15 czerwiec 1918). Podstawą edycji stał się mały podręczny notes przechowywany w zbiorach rodzinnych. Praca składa się z dwóch zasadniczych części. Pierwsza obejmuje zapiski Autora; drugą stanowi korespondencja (4 maj 1917 – 17 czerwiec 1918). Treść dziennika poprzedza obszerna przedmowa, kończą zaś indeksy. Tak diariusz, jak i korespondencja mają charakter osobisty i nie były dotychczas znane, ponieważ znajdowały się w zbiorach prywatnych. Trudno ustalić jednoznaczną przyczynę tak długiego braku edycji źródła. Domniemywać jedynie można, że siostra Autora uznała zapisane ołówkiem notatki w niewielkim podróznym brulionie za nie przedstawiające wartości historycznej.

Przemysław Waingertner, co należy wyartykułować, szczegó-

łowo opracował dziennik Aleksandra Nowosada, zaopatrując go w wyczerpujące przypisy. Identycznie postąpił z korespondencją. Edycję wzbogacają fotografie, w części nie publikowane. Niestety ich opisy są zbyt lakoniczne i ogólnikowe, a nawet błędne. M.in. na przypisanym autorstwu ppor. Nowosada zdjęciu na s. 29 w prawym dolnym rogu, widnieje podpis J. Karaś. Podobnie wygląda rzecz na stronie 28. Wyraźny na zdjęciu jest podpis Z. Tetmajera, podczas gdy pod zdjęciem czytelnik odnaleźć może informacje o autorstwie A. J. Nowosada. Także na stronie 27 widać wyraźnie, że autorem fotografii jest A. Galiński, podczas gdy opis sugeruje, że był nim A. J. Nowosad. Rzecz dotyczy również adnotacji opisujących sytuacje widoczne na zdjęciach. Należy wyrazić wątpliwość, czy dla zdjęcia ze s. 15 (w prawym górnym rogu), ukazującego legionistów zebranych na placu z flagami narodowymi w tle, adekwatny jest opis: Legioniści z II Brygady w drodze na front na Wołyniu!

Konkludując należy stwierdzić, iż mimo kilku krytycznych spostrzeżeń wydanie niewielkiego dziennika Aleksandra Nowosada było wskazane, zwłaszcza gdy spojrzeć na to przez pryzmat ubogiego stanu memuarystyki legionowej odnoszącej się bezpośrednio do wydarzeń spod Rarańczy<sup>6</sup>. Nie brak wprawdzie prac „z pogranicza”, m.in. pamiętniki ks. J. Panasia i B. Merwina<sup>7</sup>, lecz zauważalny jest niedostatek diariuszów pisanych z potrzeby chwili wyróżniających się autentycznością emocji i obserwacji, brakiem egzaltacji, tak typowej dla pamiętników. Cechy te niewątpliwie podkreślają wyjątkowość recenzowanego dziennika. Dzieła niewielkiego w rozmiarze (tekst 35 ss.), ale wielce potrzebnego, którego historyk zajmujący się losami żołnierzy II Brygady Legionów Polskich pominąć nie może.

---

<sup>6</sup> *Garść wspomnień spod Rarańczy (15.II.1918-15.II.1938)*, [t. 1], zestawił F. Olas, Warszawa 1938; M. Kantor-Mirski, *Od Rarańczy do Kaniowa. Wspomnienia legionowe z r. 1918*, Sosnowiec 1934.

<sup>7</sup> J. Panaś, *Pamiętnik kapelana Legionów Polskich*, Lwów 1920; Idem, *Rarańcza-Huszt-Marmaros-Sziget*, Lwów 1928; B. Merwin, *Z Dulfalvy nad Tagliamento. Z pamiętnika oficera Legionów Polskich 17 II 1918 – 23 IV 1918*, Kraków 1918.

ŁUKASZ POLITAŃSKI  
Bełchatów

**JÓZEF PIŁSUDSKI A PARLAMENTARYZM POLSKI,  
RED. A. ADAMCZYK, WARSZAWA-BEŁCHATÓW 2009.**

Nakładem Instytutu Józefa Piłsudskiego w Warszawie oraz Jednostki Strzeleckiej nr 1001 im. gen. dyw. Janusza Głuchowskiego w Bełchatowie ukazała się publikacja: *Józef Piłsudski a parlamentaryzm polski*, stanowiąca pokłosie sesji naukowej poświęconej niniejszej tematyce. Jest to już VI tom z serii Biblioteczki „Niepodległości”.

Redakcji naukowej powyższego zbioru artykułów podjął się Arkadiusz Adamczyk, pracownik naukowy piotrkowskiej Filii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach – historyk zajmujący się od lat tematyką badawczą z zakresu dziejów polskich elit i formacji politycznych oraz europejskiej myśli politycznej i geopolitycznej w XX wieku.

Recenzowaną publikację zaliczyć należy do literatury pod wieloma względami niezwykle cennej. Powierzchniowo wydawać by się mogło, iż podjęty w niej problem badawczy, dotyczący w dużym uproszczeniu stosunku Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego oraz jego zwolenników do ciał ustawodawczych, stanowił podstawę wielu opracowań poświęconych historii politycznej II Rzeczypospolitej, nie może wnieść wielkich zmian w istniejącym stanie badań. Rozpoczynając lekturę bardzo szybko dostrzec można pewne novum, spotykane w opracowaniach o podobnym charakterze dość rzadko. O jej specyfice świadczy fakt, iż autorami poszczególnych artykułów są nie tylko historycy ale politolodzy, prawnicy czy filozofowie, co rzuca niejednokrotnie nowe światło na podejmowany problem, który przedstawiony jest zarówno w innym kontekście jak i przy wykorzystaniu nowych źródeł.



Podstawowym celem, jaki postawili przed sobą autorzy poszczególnych artykułów było odrzucenie bądź potwierdzenie utartego od lat poglądu – zakładającego dalece negatywny stosunek do Sejmu i Senatu zarówno samego Marszałka jak i jego współpracowników. Niezwykle istotne stało się również określenie znaczenia i miejsca parlamentu w myśli politycznej Piłsudskiego, nakreślenia ewentualnego jego wyglądu w przyszłości czy wreszcie stopnia ingerencji obozu sanacyjnego w wewnętrzne sprawy obu izb.

Strukturalnie ta blisko 250 stronicowa publikacja, składa się z dziewięciu części, opatrzonej solidnym warsztatem naukowym. Indeks nazwisk pozwala w sposób prosty i komfortowy poruszać się wśród szeregu podejmowanych wątków.

Pierwsza z nich: *Parlament w państwie autorytarnym. Rozważania o myśli politycznej Józefa Piłsudskiego (1926-1935)* pióra Waldemara Parucha przedstawia stosunek Józefa Piłsudskiego oraz jego współpracowników zarówno do demokracji jako ustroju, jak i do jednego z jej podstawowych narzędzi – parlamentu. Autor podkreśla, iż jednym z podstawowych celów przewrotu majowego było odejście od demokratycznych instytucji, a zwłaszcza Sejmu jako głównego ich symbolu. Po przejściu pełni władzy przedstawiciele obozu sanacyjnego starali się za wszelką cenę ukazać negatywny charakter, jaki niesie ze sobą istnienie obu izb. Ich zdaniem parlamentaryzm blokował konsolidację społeczeństwa, podsycił antagonizmy, jednocześnie skupiając ludzi niekompetentnych, skorumpowanych nierzadko uprawiających prywatę.

Kolejna część: *Wystąpienia marszałka Józefa Piłsudskiego na forum Sejmu i Senatu*, autorstwa Zbigniewa Girzyńskiego stanowi próbę ustosunkowania się do utartego od lat poglądu zakładającego niezwykle niską ocenę Marszałka zarówno względem instytucji Sejmu i Senatu jak również i samych parlamentarzystów. Zasadniczo problem ten uwidocznił się podczas analizy częstotliwości oraz sposobu z jakim Józef Piłsudski wypowiadał się na forum parlamentu.

Część trzecia: *Odniesienia do parlamentaryzmu polskiego w artykule Józefa Piłsudskiego pt. „Dno oka”*, opracowana przez Elżbietę Sztankóné Stryjniak, traktuje o konflikcie, jaki toczył się pomiędzy rządzącym obozem piłsudczykowskim, a opozycją parlamentarną.



Uwidocznił się on między innymi w artykule Józefa Piłsudskiego: „Dno oka” opublikowanym 7 kwietnia 1929 roku na łamach „Głosu Prawdy”, uzasadniającym decyzję o zagospodarowaniu nadwyżki budżetowej przez Gabriela Czechowicza, ówczesnego ministra skarbu w gabinecie Marszałka. Decyzji, która wywołała falę protestów wśród posłów opozycji, doprowadzając ostatecznie do oskarżenia Czechowicza przed Trybunałem Stanu. Józef Piłsudski podejmując się obrony ministra, daje upust własnym odczuciom i spostrzeżeniom na temat funkcjonowania polskiego parlamentu oraz stosunku Posłów i Senatorów do trawiących młode państwo polskie problemów.

Przemysław Waingertner autor czwartego artykułu *Piłsudzczy w parlamencie polskim 1919-1939* podnosi problem aktywności politycznej piłsudczyków w poszczególnych parlamentach II Rzeczypospolitej. Co ciekawe do chwili obecnej wątek ten będąc ciągle otwartym stanowi zarzewie sporów. Autor artykułu starając się doszukać ich genezy przedstawił dwie podstawowe koncepcje wypracowane przez badaczy dziejów polskiego parlamentaryzmu. Pierwsza z nich, niezwykle krytyczna, skłania się do przypisania piłsudczykowskiej reprezentacji parlamentarnej roli: *bezwolnego instrumentu w rękach Marszałka, zwalczającego ustrój demokratyczny*. Druga, widzi w nich ludzi ewoluujących ideowo i nierzadko wypracowujących własną wizję zarówno ustroju demokratycznego jak i roli izb ustawodawczych w państwie. Autor stara się także odpowiedzieć na pytanie - których parlamentarzystów możemy rzeczywiście określić mianem piłsudczyków.

Piąta część publikacji: *Polityczne i doktrynalne uwarunkowania noweli sierpniowej*, Michała Króla stanowi nie tylko analizę samej noweli sierpniowej, ale próbę odpowiedzi na pytanie, czy była ona realizacją założeń ustrojowych Piłsudskiego i jego najbliższych współpracowników. Autor zwraca uwagę na fakt, iż nowela sierpniowa niejako „uprzedzając endecję” wykorzystana została w celu przeciągnięcia do obozu sanacji części przedstawicieli grona konserwatystów.

Artykuł Janusza Mierzwy *Pozaparlamentarna aktywność parlamentarzystów piłsudczykowskich 1922 - 1939* otwiera kolejny niezwykle interesujący wątek publikacji. W związku z brakiem możliwości kompleksowej analizy form aktywności pozaparlamentarnej choćby czołowych przedstawicieli piłsudczyków, autor wskazuje

jedynie główne kierunki tejże działalności przyjmując za kryterium periodyzacji - maj 1926 oraz lipiec 1935. Do wyszczególnionych przez historyka, niezwykle trafnie wydawać by się zresztą mogło wątków, należą: formy aktywności pozaparlamentarnej przed wypadkami majowymi, organizacje społeczne, inicjatywy naukowe, działalność publicystyczna, gospodarka, samorząd lokalny i środowiska eksperckie.

Marek Białokur opracował siódmą część publikacji pt. *Józef Piłsudski w oczach opozycji parlamentarnej (1922 - 1935). Szkic z dziejów polskiego parlamentaryzmu*. Na wstępie autor przyznając, iż artykuł jest jedynie drobnym przyczynkiem do szerokiego tematu badawczego, dokonał krótkiej oceny istniejących źródeł oraz opracowań historycznych. Główna część artykułu przedstawia, zgodnie zresztą z założeniami historyka stanowisko, jakie względem Marszałka obrały poszczególne ugrupowania opozycyjne, zaczynając od socjalistów i „ludowców”, a kończąc na ugrupowaniach stanowiących „prawą” stronę sceny politycznej.

Opracowana przez Marka Sioma, przedostatnia część publikacji *Spadkobiercy Piłsudskiego. Parlament i parlamentarzyści piłsudczykowscy w latach 1935 - 1939*, stanowi próbę ukazania sytuacji piłsudczyków, poczynając od niezwykle trudnego dla nich momentu, jakim była śmierć Józefa Piłsudskiego. Autor porusza szereg niezwykle istotnych problemów takich jak: wybór następcy Marszałka czy zmiany, jakie przyniosła ze sobą Konstytucja kwietniowa oraz ich wpływ na charakter polskiego parlamentaryzmu. Istotnym stało się również określenie pozycji, jaką zajęli piłsudczycy w tych całkowicie nowych warunkach politycznych, zwłaszcza po powstaniu Obozu Zjednoczenia Narodowego.

W zamykającym publikację artykule Arkadiusza Adamczyka *Parlamentarzyści piłsudczykowscy po 1939 r. Losy, działalność i myśl polityczna* poruszony został wątek, wydawać by się mogło, przez wielu historyków całkowicie pomijany. Autor, podjął się bowiem niezwykle trudnego zadania, jakim jest rekonstrukcja losów parlamentarzystów piłsudczykowskich po 1939 roku przy jednoczesnej próbie „naskikowania” portretu przedstawicieli tego ugrupowania. Za cenne uzupełnienie tekstu uznać należy załączony przez histo-

ryka wykaz parlamentarzystów piłsudczykowskich w sejmach II Rzeczypospolitej.

Reasumując należy stwierdzić, iż niniejsza publikacja, choć nie jest pracą nowatorską stanowi cenne i wartościowe wydawnictwo zarówno uzupełniające jak i ugruntowujące dotychczasowy stan wiedzy. Zagłębiając się w poszczególne karty recenzowanej książki czytelnik może dojść do wniosku, iż problem stosunku Marszałka i jego zwolenników do ciał ustawodawczych wydaje się być nadal otwarty i niezwykle interesujący.

Autorzy poszczególnych rozdziałów w dużym stopniu „wywiązali” się z podjętej próby usystematyzowania istniejącego stanu wiedzy oraz wzbogacenia jej o nowe interpretacje, niekiedy znacznie odbiegające od wypracowanych przez lata „standardów”. Wynika to oczywiście z całkowicie odmiennego spojrzenia na dany problem autorów artykułów składających się na niniejszą książkę, a więc historyków, politologów, prawników czy wreszcie filologów. Niestety pewne zastrzeżenia możemy mieć odnośnie deklarowanego na wstępie obiektywizmu sądów. Znaleźć można, bowiem fragmenty stanowiące wydawać by się mogło subiektywne oceny, przechodzące niekiedy w próbę obrony czy może usprawiedliwienia działań szeroko pojętego obozu piłsudczykowskiego. Kwestia ta nie może jednak w istotny sposób wpłynąć na ogólną - dobrą - ocenę publikacji, stanowiącej istotny krok na drodze poznawania historii politycznej II Rzeczypospolitej.

PAULINA BINIECKA  
*Piotrków Trybunalski*

**PRZYJAŹŃ Z TYSIĄCLETNIM RODOWODEM.  
SZKICE Z DZIEJÓW RELACJI POLSKO-WĘGIERSKICH,  
RED. P. JAKÓBCZYK-ADAMCZYK, D. ROGUT, WYD. ZWIĄZEK  
STRZELECKI „STRZELEC”. JEDNOSTKA STRZELECKA 1001  
IM. GEN. J. GŁUCHOWSKIEGO, BEŁCHATÓW 2009, SS. 249.**



Relacjom polsko-węgierskim z reguły nadaje się bardzo pozytywne zabarwienie, a powszechnie znane jest powiedzenie „Polak, Węgier, dwa bratanki...”. Jednocześnie można odnieść wrażenie, że znajomość źródeł tej sympatii nie jest już tak powszechna. Od dawna nie ukazała się publikacja, która w kompleksowy sposób eksponowałaby najważniejsze wydarzenia i postacie kształtujące i wpływające na pozytywny obraz stosunków między Polską a Węgrami. Monografie dotyczące Węgier, opublikowane w ostatnich latach skupiały się na ich wybranych aspektach bądź na konkretnych wydarzeniach. Dlatego wielowątkowa publikacja pod redakcją Patrycji Jakóbczyk-Adamczyk i Dariusza Roguta pt. „Przyjaźń z tysiącletnim rodowodem” wypełnienia w pewien sposób lukę istniejącą w polskiej literaturze. Zasadność powstania takiej publikacji potwierdzili pośrednio Ambasador Republiki Węgierskiej Robert Kiss i Konsul Honorowy Republiki Węgierskiej w Łodzi Tadeusz Kaczor. Pierwszy z nich napisał wstęp do omawianego zbioru artykułów, a drugi zwięźliwie go posłowie, co spięło zbiór kłamrą, która nadała mu charakteru bliskiego przewodnikowi po arkanach wiedzy o związkach polsko-węgierskich. Niezaprzeczalnym atutem publikacji jest przedstawienie dokonań autorów reprezentujących zarówno stronę polską jak i węgierską. Umożliwiono w ten sposób spojrzenie na badane zagadnienie z perspektywy obu naro-

dów. Perspektywa ta jest dodatkowo poszerzona przez fakt, że niektórzy autorzy parają się nie tylko nauką ale również są czynnymi dyplomatami.

Dowody polsko-węgierskiej przyjaźni zostały przedstawione na rozległej osi czasowej – od zarania polskiej państwowości do czasów działalności NSZZ Solidarność. Poszczególne części publikacji nie zostały ułożone według klucza chronologicznego, co jednak nie burzy toku narracji.

Część merytoryczną tomu otwiera artykuł Jánosa Tischlera, w którym autor omówił zagadnienie przyjaźni polsko-węgierskiej od jej zarania do lat 80-tych XX wieku. Szczególny nacisk położył na opis pomocy udzielonej Polakom podczas II wojny światowej i współpracy w czasach komunizmu, gdzie położył akcent na rzadko poruszaną kwestię wsparcia udzielonego Węgrom w 1956 roku przez Polaków mieszkających na Węgrzech. Jednocześnie nie unikał rys w polsko-węgierskich relacjach: rozbieżnych celów politycznych po I wojnie światowej i węgierskiej powściągliwości w obliczu wydarzeń nad Wisłą na początku lat 80-tych. Godne uwagi jest również umieszczenie wykazu węgierskich śladów w polskich miastach.

W analizie geopolityki Europy Środkowej z punktu widzenia Węgier i Polski w latach 1919-1989, autorstwa Arkadiusza Adamczyka, znalazły się m. in. charakterystyka sytuacji obu państw po I wojnie światowej (co może pomóc zrozumieć opisywany wcześniej przez Tischlera rozdźwięk między nimi) i przesłanki do współpracy w tym niełatwym okresie oraz rozważania o myśli geopolitycznej w Warszawie i Budapeszcie w czasie i po II wojnie światowej. Warto podkreślenia jest zestawienie koncepcji geopolitycznych Polski i Węgier i wzajemne w nich usytuowanie obu państw. Pozwala ono na podjęcie prób doszukiwania się pobudek działań ówczesnych decydentów oraz wytłumaczenia kierunków działań w polityce tych krajów.

Kolejny artykuł, autorstwa Istvána Kovácsa, stanowi owoc wieloletnich badań jednego z najbardziej znanych w Polsce węgierskich badaczy. Jako jedyny dotyczy wątków z XIX w., a węgierski historyk podjął próbę oszacowania liczby Polaków walczących na Węgrzech w latach 1848 i 1849 a także przybliżenia ich motywacji dla udziału w walkach.

Tekst autorstwa Mariusza Patelskiego poświęcony admirałowi Miklosowi Horthy de Nagybanya jest pierwszym artykułem doty-

czącym dziejów najnowszych. Autor zdaje się być bardziej skupiony na przybliżeniu postaci Horthy'ego niż na eksponowaniu wątku przyjaźni polsko-węgierskiej. Kwestia ta pojawiła się na ostatnim planie, niejako na marginesie głównych rozważań. Wyeksponowanie epizodu, jakim było przyznanie Horthy'emu Orderu Wojennego Marii Teresy a zwłaszcza poświęcenie tak wiele miejsca analizie statutu tego odznaczenia potęguje wrażenie, że artykuł pozostaje w luźnym związku z tematyką publikacji.

Zarzutu tego na pewno nie można postawić Markowi Białokurowi, który w dalszej części publikacji przedstawił węgierską traumę narodową, wywołaną przez postanowienia traktatu z Trianon. Opolski badacz uczynił to przez pryzmat współczesnych polskich syntez, co uzmysławia, że jak istotna była to kwestia, że systematycznie znajdowała swe odbicie w polskiej historiografii i publicystyce.

Grzegorz Górny przedstawił przyczynek przybliżający poglądy czołowego polskiego hungarofila – Mariana Zdziechowskiego. Autor skupił się na ukazaniu powodów zainteresowania Zdziechowskiego Węgrami. W mniejszym stopniu odwzorował jego spojrzenie na ówczesną, międzywojenną rzeczywistość. Artykuł ten wyraźnie uzmysławia, że kwestia obecności Węgier i Węgrów w polskiej myśli politycznej wymaga podjęcia osobnych badań.

Bohaterem kolejnego artykułu, autorstwa Imre Molnara, jest János Esterházy. Była to postać, której nawet pochodzenie (ojciec – Węgier, matka – Polka) stanowi wątek spajający dzieje obu państw. Jednak wyeksponowanie jego powojennych losów pośród innych elementów polsko-węgierskich nabiera większego sensu, gdy spojrzysz na Esterházy'ego, jako na przedstawiciela politycznej elity Europy Środkowo – Wschodniej. Jego postać jawi się wówczas jako typowa ofiara komunistycznego systemu, a wielu jemu podobnych, z podobnym bagażem doświadczeń można bez trudu wskazać zarówno w Polsce na Węgrzech, jak i w innych krajach pozostających pod wpływem ZSRR.

Podobny charakter posiada kolejny artykuł. Jego Autorka, Karolina Kaczmarek, nie podjęła bezpośrednio relacji polsko-węgierskich. Pokazała natomiast podobieństwo losów przedstawicieli obu narodów, spójne elementy historii, zbieżne realia ujęte w ramy interesującego opowiadania o ważnych postaciach walczącej z ustrojem komunistycz-

nym, stanowiącym przekleństwo zarówno dla Polski jak i dla Węgier. Na pierwszym planie wysunięta została postać Jozefa Mindszenty'ego, którego dzieje porównuje się do losów kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Motyw paraleli losów Mindszenty'ego i Wyszyńskiego został wspomniany także w tekście Małgorzaty Świder opisującym wydarzenia na Węgrzech w 1956 roku z zupełnie innej perspektywy. Autorka spojrzała na wydarzenia 1956 r. przez pryzmat prasy codziennej, ukazującej się w Niemczech Zachodnich. Wychwyciła niemieckie komentarze, które porównywały sytuację Polaków i Węgrów m. in. kładąc silny akcent na zestawienie postaci Władysława Gomułki i Imre Nagy'ego.

Ostatni artykuł mówi o polsko-węgierskiej współpracy w okresie powstania NSZZ „Solidarność”. Jego autor, Tadeusz Kopyś, szeroko omówił kontakty opozycjonistów obu państw. Wiele uwagi poświęcił na oddanie obrazu opozycji na Węgrzech, wnikając w personalia, sposób zorganizowania oraz odtwarzając szereg akcji przeprowadzanych przez jej członków (w tym działania na rzecz ukazania solidarności z narodem polskim). Zawarł ponadto interesujący wątek dotyczący działalności węgierskich agentów służb bezpieczeństwa, którzy inwigilowali polskie środowiska opozycyjne. Wszystko to złożyło się na pełne ujęcie przedstawionego tematu. Niestety, forma przekazu sprawiła, że tekst jest miejscami nieczytelny, brak w nim logicznego układu a sposób przedstawienia – często z zachwianiem chronologii – przeplatających się wydarzeń sprawił, że chaos utrudnia odbiór ciekawej treści.

Reasumując, dobór artykułów sprawił, że problematyka została omówiona przekrojowo, a fakt, że niektóre wątki są poruszane w kilku tekstach, pozwolił na przedstawienie ich różnej perspektywy i na podkreślenie ich wagi dla relacji Polski z Węgrami. Mankamentem pracy jest brak tekstu spinającego wiek XX. Wyraźnie brakuje syntetycznego artykułu poświęconego czasom najbliższym, ukazującym związki między obu państwami i narodami po 1989 roku. Prezentowana pozycja jest jednak bezsprzecznie godna polecenia tym, którzy pragną poznać genezę przyjaznych związków między Polakami i Węgrami lub wzbogacić swą wiedzę o nowe ujęcia znanych wcześniej zagadnień. Jest też dobrą propozycją dla zaznajomionych z najbardziej współczesnym rozdziałem relacji polsko – węgierskich, którzy chcieliby skonfrontować je z ich historycznym wymiarem.

## SPIS TREŚCI

### ROZPRAWY

- Piotr Kilańczyk (Łódź)*  
Julian Stachewicz. Szef Sztabu Dowództwa Głównego  
w Powstaniu Wielkopolskim 7
- Mariusz Kolmasiak (Częstochowa)*  
Wierny Wójcik. Zarys biografii dowódcy osobistej  
ochrony Marszałka Piłsudskiego 22
- Marian Miszczuk (Warszawa)*  
Michał Grażyński na emigracji we Francji  
(październik 1939 – czerwiec 1940) 74

### MISCELLANEA

- Elżbieta Sztankóné Stryjniak (Piotrków Trybunalski)*  
Rzecz o perswazyjności prasy.  
*Niewola* Józefa Piłsudskiego 109

### ŹRÓDŁA

- Paweł Duber (Katowice)*  
Nieznana relacja na temat ostatniego etapu pracy  
nad uchwaleniem konstytucji kwietniowej (1934-1935) 119
- Władysław Pobóg-Malinowski, *Tragiczny wrzesień*  
(1-17 IX 1939). Fragmenty wspomnień,  
oprac. Przemysław Marcin Żukowski 127



BIOGRAMY

*Janusz Mierzwa (Kraków)*  
Marian Głut 257

*Janusz Mierzwa (Kraków)*  
Płk Piotr Małaszyński 262

RECENZJE

Przemysław Olstowski (Toruń)  
Piotr Kowalski, *General brygady Włodzimierz Ostoja-Zagórski (1882-1927). Biografia*, Toruń 2007 269

*Marta Walak (Piotrków Trybunalski)*  
Aleksander Nowosad, W „*Żelaznej Brygadzie*”.  
*Dziennik i korespondencja oficera II Brygady Legionów Polskich*, Wstęp i opracowanie  
Przemysław Waingertner, Żelów 2007 290

*Łukasz Politański (Bełchatów)*  
*Józef Piłsudski a parlamentaryzm polski*,  
red. Arkadiusz Adamczyk 295

*Paulina Biniecka (Piotrków Trybunalski)*  
*Przyjaźń z tysiącletnim rodowodem. Szkice z dziejów relacji  
polsko-węgierskich*, red. P. Jakóbczyk-Adamczyk, D. Rogut 300

Spis treści 304

Noty o autorach 306

Informacje dla autorów „*Niepodległości*” 308

### NOTY O AUTORACH

Paulina Biniecka, politolog, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, doktorant w Instytucie Historii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Przygotowuje rozprawę doktorską nt. *Węgry w polskiej myśli politycznej 1918-1939*.

Paweł Duber, historyk, doktorant w Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztor w Pułtusku. Przygotowuje rozprawę doktorską, poświęconą działalności politycznej Kazimierza Świtalskiego.

Piotr Kilańczyk, historyk, absolwent Uniwersytetu Łódzkiego, doktorant w Katedrze Historii Najnowszej Instytutu Historii UŁ. Przygotowuje rozprawę doktorską, poświęconą gen. Julianowi Stachiewiczowi.

Mariusz Kolmasiak, historyk z Akademii Jana Długosza w Częstochowie.

Janusz Mierzwa, historyk, adiunkt w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor m.in. biografii płk. Adama Koca (Kraków 2006) oraz pracy *Kombatancki Kraków 1918-1939* (Kraków 2002).

Marian Miszczuk, ekonomista, historyk. Autor i redaktor wielu publikacji dotyczących dziejów harcerstwa [m.in.: *Dzieje harcerstwa na obczyźnie 1912-2006. Zarys problematyki*, Warszawa 2006 (wspólnie z W. Kuklą); *Geneza harcerstwa*, Warszawa 1985; *Harcerki o swojej służbie. Problemy pracy starszych dziewcząt na łamach „Skrzydeł” 1930-1939*, Warszawa 1982], zestawień bibliograficznych oraz biogramów działaczy harcerskich. Przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą Janowi Roszmanowi ps. „Wacek”.

Przemysław Olstowski, historyk, docent w Polskiej Akademii Nauk, Autor m.in. biografii gen. Gustawa Orlicz-Dreszera (Toruń 2000) oraz pracy *Obóz pomajowy w województwie pomorskim w latach 1926-1939* (Warszawa 2008).

Łukasz Politański, historyk, absolwent Uniwersytetu Jana Kochanowskiego, Filia Piotrków Trybunalski, pracownik naukowy w Muzeum Regionalnym w Bełchatowie. Przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą genezie i rozwojowi fortyfikacji wojennych w województwie łódzkim.

Elżbieta Sztankóné Stryjniak, filolog, adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Jana Kochanowskiego, Filia Piotrków Trybunalski. Przygotowuje rozprawę habilitacyjną dotyczącą retoryki Józefa Piłsudskiego.

Marta Walak, historyk, doktorant w Instytucie Historii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego, Filia Piotrków Trybunalski. Przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą III Brygadzie Legionów Polskich 1915-1917.

Przemysław Marcin Żukowski, historyk, adiunkt w Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Opracował m.in.: R. Umiaśtowski, *Dziennik wojenny 18 IX 1939-19 IX 1945*, (Warszawa 2009). Przygotowuje publikację *Absolwenci i pracownicy UJ w polskiej służby zagranicznej 1918-1945* oraz *Historia Wydziału Prawa UJ w latach 1893-1939*.

### **INFORMACJA DLA AUTORÓW „NIEPODLEGŁOŚCI”**

Redakcja „Niepodległości” zwraca się do wszystkich osób chcących publikować na łamach naszego pisma o zastosowanie się do następujących zasad wydawniczych:

Wszystkie teksty należy przysyłać drogą elektroniczną na adres redakcji [ijp1918@wp.pl](mailto:ijp1918@wp.pl)

Tekst winien być złożony w formacie rtf (Microsoft Office). Wielkość czcionki tekstu - 12; wielkość czcionki przypisu - 10; odstęp pomiędzy wierszami 1,5; marginesy standardowe - 2,5 cm; strony nienumerowane; w lewym, górnym rogu imię i nazwisko autora oraz miasto, w którym mieszka; ponumerowane przypisy umieszczone poniżej każdej strony tekstu.

Autorzy tekstów monograficznych zobowiązani są do przesłania krótkiej notatki na swój temat [afiliacja (miejsce pracy), stopień naukowy oraz wykaz opublikowanych publikacji zwartych (również będących aktualnie w opracowaniu)] oraz maksymalnie półstronicowego streszczenia w języku angielskim (nie dotyczy recenzji).

Teksty źródłowe (np. dokumenty, relacje czy wspomnienia) powinny zostać opracowane i zaopatrzone w niezbędne numeryczne przypisy wyjaśniające (np. krótkie biogramy występujących w dokumencie osób) oraz oznaczane kolejną literą alfabetu przypisy bibliograficzne (np. rejestracja odręcznych dopisków).

Nazwy archiwów zapisujemy najpierw pełną nazwą z podaniem stosowanego później skrótu, np. Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce (dalej: IPA). Podobnie można zapisywać zespoły archiwalne, np. Kolekcja Ignacego Matuszewskiego (dalej: KIM, lub tradycyjnie: Kol. I. Matuszewskiego).

Stosujemy następujące skróty nazw dla najczęściej odwiedzanych przez badaczy archiwów: Archiwum Akt Nowych – AAN; Centralne Archiwum Wojskowe – CAW, Instytut Polski i Muzeum im. Gen. W. Sikorskiego w Londynie – IPMS; Instytut Józefa Pił-

sudskiego w Ameryce – IPA; Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie – IPL; Zbiory Specjalne Biblioteki Narodowej – BN; Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu – BZNO; Archiwum Państwowe w Krakowie – APK (analogicznie dla innych miast).

Odnośniki źródłowe w przypisach zapisujemy według następującej kolejności: archiwum (np. AAN), zespół (np. MSZ), sygnatura (np. 239), numerteczki (np. t. 2), numer karty (np. k. 2), nazwa dokumentu. Numer cytowanej karty może też być umieszczony na końcu przypisu źródłowego.

W przypisach stosujemy standardowe zapisy bibliograficzne. Dla druków zwartych np. W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, t. 3, Gdańsk 1989, s. 56; dla artykułów prasowych -I. Matuszewski, *Tragiczna wolność*, „Słowo” nr 2 (28 I 1940) s. 2.; dla artykułów publikowanych w periodykach naukowych: A. Poniński, *Wrzesień 1939 r. w Rumunii*, „Zeszyty Historyczne” 1964, z. 6, s. 180-189.

W tekstach stosujemy powszechnie używane skróty (np., itp., itd., t., rkps, mps, r.), które piszemy z małej litery. W zapisie dat stosujemy słowne nazwy miesięcy (np. 11 listopada 1918 r.). Wyjątek stanowią cytowane źródła, które mogą zawierać inne zapisy dat (np. 11 XI 1918 rok lub 11.XI.18 r.).

Krótkie myślniki stosujemy np. przy zapisie dwuczłonowych nazwisk (Pobóg-Malinowski), bądź ram czasowych (1924-1926 lub 12 września 1954-13 listopada 1956), w pozostałych przypadkach używamy długich myślników (np. Stanisław Stroński – minister informacji i dokumentacji w rządzie W. Sikorskiego).

Biogramy zamieszczone w przypisach powinny być krótkie i winny zawierać roczne daty krańcowe życia, lub przynajmniej rok urodzenia, chyba, że nie jest to możliwe do ustalenia: np. Tadeusz Katelbach (1897-1977) – polityk i publicysta, członek „Zetu”, działacz ZWC i POW; w okresie międzywojennym dziennikarz i korespondent prasy polskiej w Niemczech i na Litwie; senator V kadencji; po wojnie na emigracji w Anglii, RFN i Stanach Zjednoczonych, działacz Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowy Jorku.

Cytaty zapisujemy kursywą np. *Co to jest East Europe? To Polska przede wszystkim.*

Słowa marszałek, prezydent czy minister piszemy z małej litery (np. marszałek Śmigły-Rydz lub prezydent Raczkiewicz). W wypadku Józefa Piłsudskiego słowa Marszałek i Komendant piszemy z wielkiej litery tylko wtedy, kiedy nie wymieniamy po nich nazwiska (np. faktycznym twórcą Konstytucji Kwietniowej był jednak Marszałek, po śmierci Komendanta obóz sanacyjny uległ dalszej dekompozycji).

**Teksty nie spełniające norm nie będą kwalifikowane do druku.**